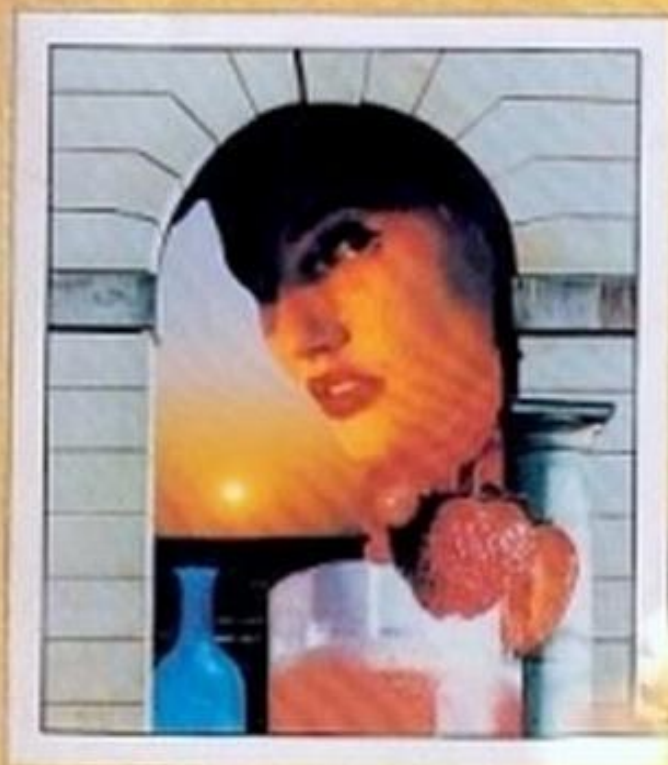


**BARBARA
DELINSKY**



NAMIĘTNOŚCI CHELSEA KANE

Delinsky Barbara

Namiętności Chelsea Kane

Chelsea Kane jest już dojrzałą kobietą, kiedy po śmierci przybranej matki zaczyna coraz silniej odczuwać potrzebę rozwikłania zagadki swojego pochodzenia. Niespodziewane komplikacje życiowe prowokują ją do podjęcia decyzji o wyjeździe do małego miasteczka, w którym się urodziła. Po licznych perypetiach nie tylko poznaje prawdę o swojej przeszłości, ale też znajduje prawdziwą wielką miłość.

PROLOG

Usiłowała stłumić w sobie niemożliwy do przewyciężenia odruch parcia. Nie chciała, aby dziecko już przyszło na świat. Jeszcze nie była gotowa, aby się z nim rozdzielić. Tak bardzo pragnęła zatrzymać je w sobie choć trochę dłużej, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Ciało przejęło nad nią władzę i nieodwołalnie spełniało swoją misję. Poród rozpoczął się zeszłego wieczoru i od samego początku skurcze były bardzo silne, jak gdyby miały jeszcze obostrzyć jej karę. W tej chwili coraz bardziej przybierały na sile, rozrywając brzuch i pozbawiając ją oddechu. Przesuwały dziecko w jej łonie coraz niżej i już nie mogła ścisnąć swoich drżących kolan; wtedy opanowała ją chęć, by kopnąć dziewczynę stojącą pomiędzy jej nogami.

Pokój był ciemny, oświetlony tylko żarem stojącego w rogu piecyka opalanego drewnem i bladym światłem poranka. Mając pomiędzy skurczami, wyobrażała sobie, że to on skazał jej dziecko na narodziny tu i teraz, kiedy wszyscy śpią i nikt nie zobaczy ani nie usłyszy, kiedy nikt się nie dowie. Dziecko, stanowiące hańbiącą plamę na honorze Norwich Notch, w ciemności stanie się niewidzialne, a honor zostanie ocalony. Gdy wstanie słońce, miasto będzie znów nieskazitelne. Kolejny skurcz był tak przejmujący, że głośno zajęczała. Krzyk rozdarł ciszę, po nim nastąpił jeszcze jeden, a kiedy stalowa obręcz opasująca jej brzuch puściła,

poczuła, że brakuje jej powietrza i zaczęła szybko i gwałtownie oddychać. Nawet ten oddech rozlegał się echem w głuchej ciszy i kiedy przez chwilę mogła znów jasno myśleć, odczuła ironię tej sytuacji. W tej chwili wokół tej nędznej chałupy powinna rozszaleć się śnieżycyca na cześć narodzin dziecka, które spowodowało takie zamieszanie

- a jeżeli nie śnieżycyca, zdecydowała na pograniczu hysterii, to przynajmniej jeden z tych ulewnych deszczy, które często nawiedzają New Hampshire pod koniec marca. Drogi by rozmokły i stałyby się nieprzejezdne. Nikt nie zdołałby się do niej przedostać. Mogłaby zachować dziecko choć trochę dłużej.

Nie było jednak ani śladu wichury, burzy śnieżnej, ulewy czy błota. Był cichy świt, który wydawał się z niej drwić swoim całkowitym spokojem.

Jej brzuch się napiął. Ból nie do zniesienia opasał ją jakby sprężyną, której spirale zaciskały się coraz silniej. Tak bardzo chciała, żeby ktoś chwycił ją za rękę i żeby poczuła, że ktoś się o nią troszczy, ale nie było ani ręki, ani współczującej duszy. Zaciśnęła więc pięści na pomiętym prześcieradle i zazgrzytała zębami, żeby stłumić kłębiący się w niej wrzask.

- Przyj - rozległ się cichy głos spomiędzy jej nóg. Należał do szesnastoletniej córki położnej, która została wydelegowana do przyjęcia najbardziej niepożądanego dziecka w mieście. W swej niewinności głos był łagodny, z lekka podniecony, kiedy dziewczyna nakłaniała ją:

- Przyj... Już widzę główkę. Przyj jeszcze trochę mocniej. Starła się tego nie robić. Wydanie na świat dziecka

oznaczało rozłączenie się z jedynym życiem, które kiedykolwiek miała stworzyć, a kiedy ono już opuści jej ciało, będzie dla niej stracone na zawsze. Zastanawiała się, czy dziecko o tym wie i czy tego chce, tak bardzo zdeterminowane, żeby się wreszcie urodzić. Czyż mogła je za to winić? Nie miała do zaoferowania nic prócz miłości, a to zupełnie nie wystarczy, żeby je odziać i nakarmić. Dla dobra dziecka zdecydowała się je oddać. Podjęła tę decyzję, ale jakże mocno jej nienawidziła.

Ból, który ją teraz ogarnął, wymazał jej z głowy wszystkie myśli, oprócz jednej, że właśnie teraz umiera. Zbielałymi palcami mięła sprane prześcieradło, a jej ciało skręcało się w mękach. Przez chwilę, kiedy ból nieco zelżał, odczuła zdziwienie, że jednak wytrzymała, cała obolała, rozdygotana i pokryta potem. Kiedy po chwili złapał ją znowu, jeszcze była ogarnięta zdziwieniem. Instynktownie zaczęła przeć.

- Dobrze - zachęcała ją dziewczyna melodyjnym głosem. - Jeszcze troszeczkę... Taak. Już po wszystkim.

Dziecko opuściło wreszcie jej drżące ciało, lecz ból nadal trwał. Nasilił się jeszcze i objął jej serce i umysł, i nie zdołał go ani trochę złagodzić wzruszający, cichy płacz, który rozległ się w pokoju, zagłuszając jej ciężki oddech. Próbowwała spojrzeć na dziecko, ale nawet gdyby było lepsze światło, nabrzmiały brzuch przeszkadzałby jej. Spróbowała podeprzeć się trochę wyżej, ale trzęsące się ramiona nie mogły utrzymać jej ciężaru.

- Czy to dziewczynka? - zawołała, opadając z powrotem na łóżko. - Chciałam, żeby to była dziewczynka. - Przyj dalej.

Poczuła ciągnący ból. Potem był jeszcze skurcz, i znów dojmujący ból, a kiedy zelżał, ogarnęło ją poczucie bolesnej straty. - Moje dziecko - wyszeptała zrozpaczona. - Chcę moje dziecko. - Jak gdyby w odpowiedzi, niemowlę w nogach łóżka zaczęło głośno zawodzić. Wigor tego dziecięcego krzyku był dla niej okrucieństwem. Gdyby dziecko urodziło się martwe, opłakałaby je i przeżyła, ale fakt, że urodziła zdrowe dziecko jedynie po to, by je oddać, tylko wzmagał jej mękę. - Chcę zobaczyć moje dziecko.

Odpowiedzi nie było. Była świadoma, że na drugim końcu łóżka coś się dzieje i zorientowała się, że niemowlę jest myte. - Proszę.

- Powiedzieli, że nie.

- To moje dziecko.

- Zgodziłaś się przecież.

- Jeżeli jej teraz nie zobaczę, to już nigdy. Dziewczyna nie przerywała czynności w nogach łóżka.
- Proszę.
- Powiedział mi, że nie.
- Nie dowie się. Tylko na chwilę.

Jeszcze raz spróbowała się unieść, ale dziecko już było w koszyku obok ciepłego piecyka, a jej siły zawiodły i zdołała zaledwie z wielkim trudem unieść się na łokciach. Opadła na cienki materac z poczuciem porażki. Była taka słaba, obolała i tak strasznie zmęczona. Jej walka trwała już dziewięć miesięcy, zanim zaczął się ten ciężki poród. Powiedzieli, że jest za stara na dziecko i po raz pierwszy przyznała, że mieli rację. Nie miała siły walczyć.

Zamknęła oczy i pozwoliła zmyć z siebie krew i lepki pot. Była tak wyczerpana, że łzy spływały teraz wolniej po policzkach, ale jej myśli wybiegały naprzód. Doskonale знаła plan - wszystko zostało ustalone. Prawnik miał się wkrótce pojawić.

Dziewczyna naciągnęła na nią czystą koszulę i otuliła kołdrą, żeby nie zmarzła, ale dobre serce dziewczyny jedynie pogłębiło jej rozpacz. Tak jak myślała przez te wszystkie lata, jej przyszłość nie miała żadnych perspektyw. Nie była pewna, czy zdoła się jeszcze pozbierać.

Nagle spostrzegła jakiś ruch wokół łóżka i poczuła małe zawiniątko przytulone do boku. Dotarł do niej szept: - Nie mów im.

Otwierając oczy, odsunęła róg powijaków i z trudem wciągnęła powietrze. W bladym świetle poranka dziecko było samą doskonałością. Duże, szeroko rozstawione oczy, nosek malutki jak guziczek i usta przypominające pączek róży - była to z pewnością dziewczynka, z pewnością wzięła co najlepsze po swoich rodzicach i niewątpliwie była śliczna i silna. W tej właśnie chwili jej matka zrozumiała, że powzięła właściwą decyzję. To maleństwo nie pozna odrapanych ruder, starych łachmanów i byle jakich posiłków. Nie zazna pogardy ze strony mieszkańców miasteczka, ani upokorzeń, ani obelg - będzie otoczone dostatkiem, szacunkiem i miłością.

Przewróciła się na bok i przytuliła niemowlę do piersi. Ucałowała ciepłe czoło, wdychała cierpki zapach noworodka, badała rękami kształty i przygarnęła do siebie jeszcze mocniej, a łzy znów napłynęły jej do oczu. Tym razem płynęły szybciej i wezbrały w szloch tak gwałtowny, że ledwie dosłyszała pukanie do drzwi.

Dziewczyna obok niej szybko sięgnęła po dziecko. - Jest tutaj.

- Nie, proszę, nie! - Kurczowo przycisnęła dziecko do siebie i nakryła jego głowę swoją, nie tyle, by ochronić dziecko, ile siebie. Kiedy odbiorą jej to maleństwo, będzie nikim.

- Proszę - doszedł ją przestraszony szept i poczuła, że dziecko jest od niej odrywane. - Musimy już iść. My. Jej córka już nie należała do niej - w tej chwili należała do córki położnej, potem będzie należała do prawnika, następnie do prawnika rodziny adopcyjnej, a jeszcze później do samej rodziny. Maszyna została wprawiona w ruch. Nie było sposobu na jej zatrzymanie, by nie narazić się na jego gniew, a nikt nie znał konsekwencji jego gniewu lepiej niż ona. To był cichy gniew, ale tym bardziej niebezpieczny u człowieka tak upartego i tak potężnego. Ale był też człowiekiem, który zawsze dotrzymuje słowa. Ostrzegał ją, że będzie cierpieć, jeżeli zdecyduje się donosić tę ciążę, i tak było, ale obiecał też, że dostarczy dziecko całe i zdrowe do miejsca jego przeznaczenia, i tak będzie.

Przytuliła niemowlę do policzka. - Bądź kimś, moja dziecino.

- Pozwól mi ją zabrać.

- Zrób to dla mnie, dziecino, zrób to dla mnie.

- Proszę - błagała dziewczyna. - Już.

- Kocham cię. - Z żalonym jękiem przytuliła dziecko raz jeszcze. - Kocham cię - załkała cicho.

Podskoczyła, kiedy usłyszała drugie, głośniejsze pukanie. Wydała dźwięk, który miał oznaczać protest, ale był to tylko

próżny jęk rozpaczy, jaka ją opanowała. Jej los został już przypieczętowany. Z nadzieją, że los jej córki będzie bardziej łaskawy, oddała popłakujące dziecko w wyciągnięte ręce. Nie była w stanie patrzeć, jak dziecko znika z jej życia, odwróciła się więc i zamknęła oczy.

Drzwi otworzyły się. Słyszała ciche szmery, szelest płaszczy i skrzypienie wiklinowego koszyka, a potem drzwi się zamknęły i zapadła dotkliwa, ponura cisza. Znow została sama, jak przez większość swego nieszczęsnego życia, ale tym razem nie było już nadziei. Razem z jej śliczną dziewczynką odebrano jej wszystko.

Wydała z siebie niski, zwierzęcy jęk rozpaczy, a potem poczuła przejmujący skurcz w brzuchu i zwinęła się z bólu. Jej myśli jeszcze nadal kłębiły się w chaosie, kiedy nadszedł drugi skurcz. Przy trzecim zaczęła rozumieć, a przy czwartym była gotowa.

ROZDZIAŁ 1

Chelsea Kane siedziała na wygodnym pluszowym szeszlunku, który specjalnie na tę okazję został przyniesiony do biblioteki, i przypatrywała się badawczo członkom swojej rodziny. Wszyscy mieli jasne włosy, niebieskie oczy i orle nosy. Uznała, że skądkolwiek pochodziła, to z pewnością z lepszej rasy niż ci tutaj. Czuła odrazę do arogancji i chciwości, które miała przed oczami. Abby jeszcze nie zdążyła wystygnać w grobie, a oni już się kłócili, co komu się należy.

Ona sama chciała tylko Abby, ale ta przecież już odeszła.

Pochyliła głowę i wsłuchiwała się w świst styczniowego wiatru, syczący pogłos rozmów Mahlerów, mruczące

tykanie kieszonkowego zegarka jej ojca i szelest papierów na biurku. Po chwili utkwiała wzrok w dywanie. To był Aubusson, subtelnie elegancki, w bladych błękitach i brązach. „Ten dywan jest niczym twój ojciec” - miała zwyczaj mawiać Abby z właściwą sobie brytyjską pogodą ducha. Istotnie, Kevin był i subtelny, i elegancki. Ale czy był równie przywiązany do dywanu jak Abby, dopiero miało się okazać. Nie był szczególnie wylewny i nie wyrażał otwarcie swoich upodobań i potrzeb. Nawet w tej chwili, kiedy Chelsea uniosła wzrok szukając w jego twarzy pocieszenia, nie odnalazła tam oznak emocji. Była równie surowa, jak krój garnituru, który miał na sobie. Siedział tuż obok niej na szezlongu, a jednak wydawał się daleki, odseparowany przez swój żal. Było tak od pięciu dni, od śmierci Abby.

Chelsea miała ochotę przysunąć się bliżej i wziąć go za rękę, ale nie ośmieliła się. Poczowała się intruzem, naruszającym obszar jego smutku. Być może jej gest by go ucieszył, a może odsunąłby jej rękę, ale czuła się tak pusta w środku, że nie mogła ryzykować odrzucenia.

Graham Fritts, doradca prawny Abby i wykonawca jej testamentu, był już wreszcie gotowy i uniósł do oczu pierwszy dokument. - Oto ostatnia wola Abigail Mahler Kane...

Chelsea nie dopuszczała do siebie jego słów, przepływały obok niej. Zbyt boleśnie przypominały jej elegancko rzeźbioną trumnę, życzliwe ostatnie słowo księdza i tuziny herbacianych róż, które powinny być urzekająco piękne, a jednak były tylko straszliwie smutne. Chelsea nie chciała, aby testament został odczytany tak szybko po śmierci Abby, lecz Graham ugiął się pod naciskami Mahlerów, którzy przybyli do Baltimore z bardzo daleka i nie mieli ochoty ponownie odbywać tej podróży. Kevin nie oponował, w ogóle bardzo rzadko występował przeciwko klanowi. Bynajmniej nie dlatego, że nie było go stać na własne zdanie, przeciwnie - był niezwykle utalentowany. Jednak zasobów energii wystarczało mu na to, by całkowicie poświęcić się przypadkom, które wzbudziły jego

zainteresowanie, natomiast w domu ustępował we wszystkim.

Abby była wobec niego pobłażliwa. W ogóle była nieskończenie wyrozumiała. Chelsea nagle sobie to uświadomiła, a jej myśli zaczęły się prześlizgiwać się po wspomnieniach. Przypomniała sobie, jak Abby kąpała ją w solach epsomitowych, kiedy zachorowała na ospę wietrzną, jak sprowadzała do domu tony jej ulubionych lodów czereśniowych, kiedy zaczęła nosić aparat ortodontyczny, jak wysyłała do wszystkich przyjaciół kopię jej rysunku, który zdobył nagrodę na lokalnej wystawie sztuki, jak miała jej za złe, gdy zaczęła nosić po dwa kolczyki w każdym uchu.

Ostatnio, kiedy stan Abby uległ nagłemu pogorszeniu, co było typowe dla ofiar polio, role się odwróciły i wtedy Chelsea ją kąpała, rozpieszczała, chwaliła i karmiła, szczęśliwa, że ma taką szansę. Abby przecież dała jej tak wiele i to, że mogła jej odplacić, Chelsea traktowała jako dar losu, tym bardziej że obie były coraz bardziej świadome, iż dni Abby są policzone.

-... dom ten oraz dom w Newport przekazuję mojemu mężowi, Kevinowi Kane'owi, oraz...

Domy, samochody, akcje i obligacje - Kevin nie potrzebował żadnej z tych rzeczy. Był znakomitym neurochirurgiem, osiągającym znakomite dochody z pracy w szpitalu, zasilone dodatkowo przez kwitnącą praktykę prywatną. To on pokrywał wszystkie codzienne wydatki związane z potrzebami Chelsea i nalegał, żeby tak właśnie było. Abby płaciła jedynie za luksusy.

Chelsea później żałowała, że tak było, gdyż wzbudziło to jedynie niechęć klanu. Bracia i siostry Abby uważali za niewłaściwe ustanowienie funduszu powierniczego Mahlerów dla Chelsea, która nie miała w sobie kropli ich krwi. Abby jednak uparła się, żeby jej córka była traktowana tak samo jak wszystkie pozostałe wnuczeta Mahlerów i stanęło na tym, przynajmniej na papierze. Fundusz powierniczy na jej nazwisko zapewniał jej

odsetki wystarczające na dostatnie życie, nawet gdyby zdecydowała się nigdy nie pracować.

- ...mojej córce, Chelsea Kane, przekazuję...

Chelsea była architektem. W wieku trzydziestu siedmiu lat była jednym z trzech wspólników w firmie przygotowującej projekty wielkich lukratywnych inwestycji na całym Wschodnim Wybrzeżu.

Dodatkowo zainwestowała jeszcze trochę osobistych pieniędzy w kilka dobrze wytypowanych budynków powstałych według projektów firmy, co znacznie zwiększyło jej dochody. Prowadziła komfortowe życie za pieniądze, które sama zarobiła.

Być może z tego powodu nigdy nie interesowało jej gromadzenie bogactw i ledwie słuchała tego, co czytał Graham. Nie chciała żadnego spadku po swojej matce, nie chciała zaakceptować jej śmierci. Jej ciotki i wujowie chyba nie mieli tego problemu. Siedzieli z wysoko uniesionymi blond głowami, usiłując przybrać obojętny wyraz twarzy, z rękami w wystudiowanych pozach ułożonymi na kolanach. Zdradzało ich jedynie napięcie widoczne w ściągniętych nozdrzach szpiczastych nosów i czujne niebieskie oczy.

- ...mojemu bratu, Malcolmowi Mahlerowi, pozostawiam...

Malcolm dostał jacht, Michael packarda, Elizabeth dwa wyścigowe konie czystej krwi, Anne posiadłość w Aspen. Dalej pilnie śledzili słowa Grahama.

- Zapytaj o rubiny...

Rubiny. Dopiero teraz Chelsea zrozumiała, że właśnie na nie wyczekiwali jej ciotki i wujowie, wcale nie dlatego, że któremuś brakowało biżuterii - podobnie jak jachtów, samochodów czy koni - rubiny jednak były szczególne. Nawet Chelsea, której nigdy nie przy-szłoby do głowy, by założyć na siebie coś równie ostentacyjnego, była świadoma ich wartości. Były własnością rodziny Mahlerów od sześciu pokoleń, tradycyjnie przekazywane przez najstarszą córkę swojej najstarszej córce.

Abby była najstarszą córką, a Chelsea jej jedynym dzieckiem, ale dzieckiem adoptowanym.

- Poświęciłam bardzo wiele czasu rozważając tę kwestię - czytał Graham - i postanowiłam rozporządzić rubinami w sposób następujący: mojej siostrze Elizabeth zapisuję kolczyki, mojej siostrze Anne bransoletę, mojej córce Chelsea - pierścień.

Elizabeth wstała z krzesła. - To nieprawidłowy zapis. Jeżeli najstarsza córka nie ma córki, to następna w kolejności córka otrzymuje cały komplet. Ja jestem drugą w kolejności córką.

Anne, równie poruszona, zmieniła gwałtownie pozycję. - Ten komplet nie może być podzielony, musi pozostać w całości. Nie wiem, do czego Abby chciała doprowadzić?

- Musiało jej się coś pomylić - Malcolm uprzejmym tonem usiłował zbagatelizować sprawę.

- Albo ktoś wywarł na nią nacisk - z jadowicie łagodnym wyrzutem zasugerował Michael.

- Żaden Mahler nigdy nie podzieliłby tego kompletu

- upierała się Elizabeth. - To ja powinnam dostać całość. Kevin poruszył się na krześle. Zaledwie odrobinę

zmienił pozycję, lecz na zasadzie kontrastu do poprzedniego bezruchu to wystarczyło, żeby wszyscy zwrócili na niego uwagę. - To Chelsea powinna dostać cały komplet. To ona jest najstarszą córką najstarszej córki.

- Ona nie jest córką Abby - spierała się Elizabeth.

- Nie w prawdziwym sensie tego słowa, nie ma naszych genów i nie będzie mogła ich przekazać. Poza tym, popatrzcie tylko na nią. Robi karierę zawodową i nie zdecyduje się na dziecko. Nawet gdyby miała w żyłach naszą krew...

Chelsea zrobiło się niedobrze od słów Elizabeth, wstała więc cicho i wyśliznęła się za drzwi. Fakt, że w jej żyłach nie płynęła krew Mahlerów, prześladował ją jeszcze bardziej niż każdego z nich. Od wielu lat usiłowała się dowiedzieć czegoś o swoim pochodzeniu, ale Kevin odmawiał rozmów na ten temat, a Abby była zbyt słabego zdrowia, żeby ją nękać. Jej problem pozostał więc nie rozwiązany.

Abby była jej matką w pełnym tego słowa znaczeniu. Kiedy umarła, Chelsea odczuła bolesną pustkę, straciła poczucie stabilności i oparcia, niczym statek, który zgubił kotwicę.

Abby kochała ją. Mimo fizycznych ograniczeń, rozpieszczała ją tak bardzo, że niemal dusiła ją swoją miłością. Wielokrotnie Chelsea miała ochotę jej powiedzieć, żeby się odzepiła, lecz Abby była zbyt dobra, a Chelsea za nic w świecie nie chciała jej zranić. Kiedy została adoptowana, trafiła najlepiej jak mogła. Dom Kane'ow był niczym cicha przystań, bezpieczna, szczęśliwa, pełna miłości.

Chelsea była jednak ciekawa. Chciała wiedzieć dlaczego została adoptowana, dlaczego Abby nie mogła mieć własnych dzieci, dlaczego wybrała właśnie ją. Interesowało ją, gdzie się urodziła, kim byli jej prawdziwi rodzice i dlaczego ją oddali.

Abby z ogromną delikatnością i taktem, który Chelsea pamiętała jeszcze po wielu latach, wyjaśniała, że paraliż uniemożliwił jej posiadanie dzieci, ale ona i Kevin bardzo zapragnęli mieć dziecko w tym samym czasie, kiedy małe dziewczynka potrzebowała domu. Postępowanie adopcyjne zostało przeprowadzone z wielką dyskrecją. Abby twierdziła, że nie ma żadnych informacji na jej temat, a Kevin ją popierał. „Nosisz nazwisko Kane - mówił z naciskiem nawet wtedy, kiedy Chelsea była szczególnie nieznośna. - Nie jest ważne, skąd pochodzisz, o ile tylko jesteś świadoma, kim jesteś teraz.”

Chelsea podeszła do lustra w złotych ramach, wiszącego nad konsolą w hallu. Była równie wysoka i szczupła jak wszyscy Mahlerowie i równie elegancko ubrana, ale tu kończyły się podobieństwa. Ona miała zielone oczy, a oni niebieskie, jej długie włosy były kasztanowe, z naturalnym skrętem, którego kobiety z rodu Mahlerów zazdrościły jej tylko wtedy, kiedy loki były w modzie. Dzięki wypadkowi motocyklowemu, który przydarzył się jej, kiedy miała siedemnaście lat, i z którego wyszła ze złamanym nosem, na skutek

interwencji chirurga jej poprzednio zadarty, trochę kar-tofiowaty nos był teraz mały i prosty. Podobnie aparat ortodontyczny, który nosiła jako dorastająca panienka, spowodował, że podbródek, który z natury byłby cofnięty, wysunął się odpowiednio w przód i tworzył harmonijną całość z pozostałymi rysami twarzy.

Była atrakcyjną kobietą. Zaprzeczanie temu byłoby przejawem fałszywej skromności, a Chelsea była na to zbyt szczerą i prostolinijną. Przebyła długą drogę od czasów, kiedy nosiła niesforne włosy do pasa, obwódke kohl'u wokół oczu i malownicze ciuchy dzieci-kwiatów - temu stylowi była wierna jako nastolatka. Abby była dumna z tego, jaką kobietą się stała.

A teraz Abby już odeszła, a jej rodzina dosłownie handryczyła się o komplet biżuterii. Chelsea robiło się od tego niedobrze. Gdyby nie Kevin, po prostu wyszłaby z tego domu. Był zdruzgotany i nie chciała zostawiać go samego. Mimo że od wielu lat spodziewał się śmierci Abby, kiedy nadeszła, nie potrafił pogodzić się z rzeczywistością. Chelsea mogła mu mieć za złe uporczywe milczenie o wszystkim, co dotyczyło jej adopcji, ale nie jego głęboką, absolutną miłość do Abby.

Drzwi biblioteki otwarły się i pojawiły się w nich Elizabeth i Anne. - Wiesz o tym, że będziemy walczyć - Elizabeth ostrzegła Chelsea, mijając ją.

Anne wyjmowała futra z szafy. - Pierścioneek powinien zostać w rodzinie.

Wyszły, nic więcej nie mówiąc, nie czyniąc ani jednego gestu pocieszenia czy pożegnania.

Drzwi wejściowe ledwo się zamknęły, kiedy Malcolm i Michael wynurzyli się z biblioteki. Chelsea podała im płaszcze. W milczeniu włożyli je, a Malcolm właśnie wkładał na głowę kapelusz, kiedy zaczął mówić: - Całkiem nieźle na tym wyszłaś, Chelsea.

Stała z boku z opuszczonymi rękami. - Niestety, nie zwracałam uwagi na szczegóły. - Nie dbała o nie ani odrobinę bardziej niż tam, w bibliotece.

- Powinnaś była. Abigail zrobiła z ciebie bogatą kobietę.
- Byłam bogatą kobietą, zanim umarła.
- Tylko dzięki Mahlerom. - To wyszło z ust Michaela. Właśnie systematycznie nakładał palec po palcu czarne samochodowe rękawiczki, zaciskając przy tym wargi. - Elizabeth i Anne czują się dotknięte i szczerze mówiąc, nie dziwię się im. Mają rację. Ten pierścionek jest wart kupę pieniędzy. Ty nie potrzebujesz pieniędzy i nie potrzebujesz pierścionka. Niemożliwe, żeby miał dla ciebie chociaż cząstkę symbolicznej wartości, którą ma dla nas. - Podniósł na nią swoje niebieskie oczy Mahlerów. - Jeżeli jesteś w połowie tak wartościową kobietą, za jaką cię miała Abby, to oddasz nam pierścionek. Właśnie to powinnaś zrobić.

Chelsea wróciła wspomnieniami do przyjęć wydawanych przez matkę, na które byli zapraszani Mahlerowie. Zawsze robili wrażenie na przyjaciółach Chelsea, którzy widzieli w nich pięknych ludzi, nic tylko zabawiających się z arystokracją w wielkich metropoliach i prowadzących zajmujące konwersacje piękną angielszczyzną. Ale na Chelsea piękna mowa ukrywająca brzydkie myśli nie robiła wrażenia ani wówczas, ani teraz.

Bardzo chciała coś poczuć - urazę, a może wolę walki - ale nie znalazła w sobie sił. W obliczu śmierci Abby nie obchodził jej ani spadek, ani rodzinne waśnie. - Nie jestem w stanie o tym teraz myśleć, naprawdę - powiedziała.

- Jeżeli chodzi ci o wycenę pierścionka - zasugerował Malcolm - to już to zostało zrobione. Graham ma dokumenty.

- Chodzi mi wyłącznie o żalobę. Potrzebuję czasu, żeby ochłonąć.

- Nie masz go zbyt dużo. Dziewczyny założą sprawę sądową, jeżeli nie oddasz pierścionka dobrowolnie.

Podnosząc rękę, Chelsea szepnęła: - Nie teraz - i wycofała się do kuchni. Oparła się o kontuar, pod rzędem mosiężnych garnków i wtedy Graham gwałtownie wbiegł do środka.

- Ach, Chelsea - powiedział dysząc - martwiłem się

o ciebie, kiedy tak nagle wyszłaś.

Chelsea lubiła Grahama. Był rówieśnikiem jej rodziców i jako prawnik przejął prowadzenie spraw Abby po śmierci swojego ojca. Przez te wszystkie lata był stałym elementem ich życia.

Założyła ręce i posłała mu błagalne spojrzenie. - Graham, proszę, nie zaczynaj od nowa. Czytanie testamentu, zanim mama zdążyła wystygnąć w grobie, było dostatecznie straszne, a kłótnie są po prostu obrzydliwe. Chcieli, żeby odczytać testament, no to go odczytałeś, ale ja nie mam zamiaru spoglądać na niego, myśleć o nim, ani cokolwiek w jego sprawie robić, jak długo będę w tak głębokiej żałobie. - Machnęła ręką w kierunku drzwi wejściowych. - Już wyszli, polecieć do domu tymi swoimi odrzutowcami i wrócić do swojego życia tak, jakby nic się nie zmieniło, i może dla nich rzeczywiście wszystko jest jak było, ale dla mnie nie.

1 nie ma to nic wspólnego z testamentem, cokolwiek tam mi zostało zapisane, ani z tym, że jestem ileś tam więcej warta niż poprzednio. Nie zgadzam się na definiowanie życia mojej matki w kategoriach dolarów i centów, więc jeżeli po to tu przyszedłeś, to możesz dać sobie spokój.

- Nie po to - powiedział Graham i z wewnętrznej kieszeni marynarki wyciągnął kopertę. - To dla ciebie.

Znużonym wzrokiem spojrzała na kopertę. Była stara i zużyta. - Jeżeli to jakieś stare świadectwo udziałowe, to go nie chcę - powiedziała, mimo że koperta żadną miarą nie robiła wrażenia urzędowej. Była mała, nie miała żadnego nadruku i nawet z miejsca gdzie stała, Chelsea zauważyła, że nie było adresu zwrotnego.

- No, weź - namawiał ją Graham, wyciągając rękę z kopertą.

- Czy była wymieniona w testamencie?

- Nie. To była prywatna sprawa pomiędzy mną a nią, a teraz tobą.

Chelsea, zaciekawiona, sięgnęła po kopertę i natychmiast zwróciła uwagę na jej ciężar. Coś było w środku. Podrzuciła ją w rękę, a potem wpatrzyła się w adres.

Rozmazany atrament utrudniał odczytanie nieudolnych gryzmołów, lecz udało jej się odczytać imię i nazwisko swojej matki. Miała większe trudności przy próbie odszyfrowania nazwiska widniejącego poniżej.

Graham pomógł jej. - To zostało przysłane na adres biura mojego ojca. On był prawnikiem, który reprezentował twoich rodziców w postępowaniu adopcyjnym.

Chelsea to wiedziała, ale kiedy Graham zniecka o tym wspomniał, ogarnęło ją nagłe przerażenie. Serce zamarło jej na moment, a następnie nadrobiło przerwę przyspieszonym rytmem. Utkwiła wzrok w stemplu pocztowym, który również wyblakł ze starości, ale druk był bardziej czytelny niż gryzmoły poniżej. Widniała na nim data 8 listopada 1959 i nazwa miejscowości. - Norwich Notch, New Hampshire? - odczytała.

- Wymawia się „Nor'ich” - poprawił ją Graham.

- Czy tam się urodziłam?

- Tak.

Czuła się oszołomiona. Rozmyślenia nad tym, gdzie się urodziła, były w takim samym stopniu częścią jej życia, jak obchodzenie urodzin każdego marca. Poczła nagły zawrót głowy i kolana się pod nią ugięły - tak długo zadawała pytanie i w końcu uzyskała odpowiedź. Norwich Notch. Trzymała w ręku kopertę jak coś niezwykle kruchego, obawiając się w jakikolwiek sposób nią poruszyć, podnieść ją czy otworzyć.

Z drugiego końca pomieszczenia dobiegł ich poważny głos Kevina. - Co to takiego, Graham?

Oczy Grahama powędrowały z niemą prośbą od twarzy Chelsea do koperty. Przełknęła ślinę i wyciągnęła z koperty kawałek bibułki, równie starej jak koperta. Bibułka wyglądała tak, jak gdyby była wielokrotnie rozwijana i na powrót składana. Położyła ją starannie na blacie i rozprostowała. W środku, na wystrzępionej wstążce, która kiedyś była czerwona, ale już dawno

straciła kolor i blask, wisiał mocno zaśnieżony srebrny kluczyk. A przynajmniej robił na niej wrażenie kluczyka. Jego uchwyt był wykonany w formie miniaturowej wal-torni natomiast pióro pozbawione nacięć, zaledwie cienki walec długości połowy jej kciuka.

Przez myśl przemknął jej obraz metronomu, który stał na fortepianie w salonie rodziców i który przez wiele lat żmudnych lekcji muzyki był jej nemezis. Nakręcało się go kluczykiem o podobnie gładkim piórze.

Zdezorientowana, podniosła wzrok na Grahama. -Kto to przysłał?

Wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Czy to jest klucz?

- Abby się tak wydawało, ale nigdy nie była pewna. Został przysłany, kiedy miałaś pięć lat. -

Zwracając się do Kevina dodał, jakby się usprawiedliwiając: - Przesyłka była adresowana do Abby, więc mój ojciec nie miał wyboru i musiał ją przekazać.

Wzrok Chelsea podążył za jego spojrzeniem. - Nie było powodu, dla którego nie miałby tego zrobić - oznajmiła ojcu. Jego postać, majestatyczna, pomimo zmęczonych oczu i brzemienia, które na niego spadło, wypełniała całą ramę drzwi.

- Wręcz przeciwnie - stwierdził Kevin. Jego uczucia w tej sprawie nie zmieniły się od lat, nawet wtedy, gdy Chelsea stała się dorosłą kobietą, nawet teraz, kiedy Abby umarła. - Byłaś naszym dzieckiem od momentu, kiedy miałaś osiem godzin. Kochaliśmy cię i wychowaliśmy cię. Twoja matka nie chciała wiedzieć, skąd pochodzisz. To było niepotrzebne, zupełnie nieistotne. I dalej tak jest. Wszystko, czym jesteś, pochodzi od nas.

Chelsea wiedziała, że to nieprawda. Nie miała ani rasowego wyglądu Mahlerów, ani dołka w podbródku, wąskich ust i rumianej cery Kevina Kane'a. Zarówno Mahlerowie, jak i Kane'owie byli uzdolnieni muzycznie, natomiast jej słoń nadepnął na ucho.

Nie miała jednak zamiaru sprzeczać się o to z Kevinem!. Nawet gdy był w najlepszej formie, czuł się za-

grożony na samą myśl, że Chelsea będzie starała się odszukać swoich biologicznych rodziców, a teraz był w bardzo złej formie. Był pogrążony w cierpieniu. Ona także, a fakt, że Kevin utrzymywał między nimi dystans, pogrążał ją jeszcze bardziej. Bała się nawet pomyśleć, że mógłby jeszcze bardziej odsunąć się od niej.

Nie mogła jednak zlekceważyć kluczyka.

Położyła go na otwartej dłoni i przesunęła po nim kciukiem. - Kto go przysłał? - zapytała ponownie.

- Abby nigdy się tego nie dowiedziała - powiedział Graham. - Po prostu dostała go któregoś dnia, podobnie jak ty teraz.

Chelsea odłożyła kluczyk, rozprostowała bibułkę i dokładnie obejrzała ją po obu stronach. W podobny sposób zbadała obie strony koperty. Oprócz adresu nic na niej nie było, ani śladu informacji. - Przecież musiał być jakiś list, chociaż parę słów.

- Powiedziała mi, że nic nie było.

- Powiedziała też, że nie wie, gdzie się urodziłam

- wyrzuciła z siebie Chelsea. Świadomość, że Abby kłamała, bardzo mocno ją zabolowała. Natomiast myśl, że Kevin może wiedzieć coś więcej, była jeszcze gorsza. Odszukała go wzrokiem. - Czy wiedziałeś, że ona ma ten kluczyk?

Powoli potrząsnął głową. Oszczędność gestu była odbiciem jego gniewu. - Gdybym o tym wiedział, starałbym się temu zapobiec. I bez zadreczania się jakimś kluczykiem miała dostatecznie dużo zmartwień. Chelsea ogarnął nagle bezbrzeżny żal. - Nie musiałyby się wcale zadreczać, gdyby mi go po prostu dała - rzekła. - Gdyby to zrobiła, uciekłabyś z domu.

- Z powodu kluczyka? Nawet nie wiem, do czego on jest.

- Zrobiłabyś wszystko, żeby się dowiedzieć - mruknął.

- Ty już taka jesteś. Kiedy coś cię zainteresuje, nie zbaczasz z drogi, aż się nie dowiesz... - Jego ton złagodniał. - To jedna z rzeczy, które twoja matka podziwiała u ciebie najbardziej. Ty miałeś odwagę, której jej brakowało.

Chelsea zdumiała się. - To ona miała więcej odwagi niż którekolwiek z nas.

Kevin, ogarnięty wspomnieniami, mówił dalej miękkim głosem: - Ona widziała to zupełnie inaczej. Czowała się ograniczona przez swoją rodzinę prawie tak bardzo, jak przez aparaty ortopedyczne na nogach, natomiast ty zdołałaś się uwolnić. Ty robiłaś to, co ona chciałaby fobić. Poszukiwałaś wyzwań i podejmowałaś każde, które pojawiło się na twojej drodze. Kochała cię równie mocno jako dziecko-kwiat, jak i jako czempionkę klubu pływackiego. - Jego usta zacisnęły się, a głos stwardniał. - Oto powód, dla którego zadreżczała się tym kluczykiem. Wiedziała, że wzięłaby w tobie górę ta twoja zachłanna ciekawość i uciekłabyś w poszukiwaniu nieokreślonych rodziców, którzy i tak cię nie chcieli.

- To nie fair - szepnęła Chelsea, czując jak zaciska się jej gardło. Zrobiło jej się żal Kevina, który tak bardzo się bał, że tamtych dwoje mogłoby zająć w jej sercu miejsce jego i Abby. Ale było jej żal także siebie. Nie chciała uwierzyć w to, że żyła tylko dlatego, iż w czasach, kiedy została poczęta, aborcja była niezgodna z prawem.

Obracając kluczyk w rękę, powiedziała cicho: - Nigdzie bym nie uciekła. Z pewnością nie zraniłabym ciebie ani mamy. To wy jesteście moimi rodzicami i to się nigdy nie zmieni. - Tak bardzo chciała, żeby zrozumiał. - Tylko że zawsze tak bardzo chciałam się czegoś dowiedzieć o tamtych drugich. Ta sprawa wywoływała w niej głębokie emocje. Wątpiła, czy ktokolwiek oprócz innego adoptowanego dziecka byłby w stanie zrozumieć uczucie odrzucenia związane z tym, że zostało się oddaną tuż po urodzeniu, z izolacją na spotkaniach rodzinnych, z jęczącym poczuciem bycia niekompletną.

Nie był to jednak właściwy moment, żeby przerzucać się od jednych emocji do innych. Starannie ułożyła kluczyk na środku bibułki i złożyła papier, tak jak Abby musiała to robić wiele razy. Włożyła małą paczuszkę do

koperty, a kopertę wsunęła do kieszeni jedwabnej sukienki.

Podnosząc głowę powiedziała do Kevina: - Masz rację, teraz to nie ma znaczenia. -I jak gdyby usiłując mu pokazać, że Abby nadal w niej żyje, zwróciła się do Grahama w równie zrównoważony sposób, jak zrobiłaby to jej matka w trudnym momencie: - Kucharka robi wprost niewiarygodnego duszonego kurczaka. Zostaniesz z nami na obiedzie, prawda?

Kevin znał Chelsea na wskroś. Była naprawdę kobietą czynu. Mimo że jej średnia z college'u nie była dostatecznie wysoka, dostała się na studia w Princeton, dosłownie wdzierając się i prezentując swą imponującą teczkę z projektami w rektoracie Wydziału Architektury. Kiedy postanowiła, że jej pierwsze mieszkanie będzie apartamentem na poddaszu, a w tamtych czasach w Baltimore nie było to przyjęte, zaprezentowała projekt jednej z najlepiej rozwijających się agencji handlu nieruchomościami i inwestycji budowlanych, obiecując dalsze darmowe projekty, jeżeli agencja zakupi i przerobi zgodnie z jej planami budynek, który wypatrzyła. Kiedy wraz z dwoma wspólnikami założyła zupełnie nową firmę architektoniczną, zaprojektowała logo, które od razu przykuwało wzrok, i wysłała ręcznie pisane listy do wszystkich potencjalnych klientów, których adresy znalazła w swoim prywatnym notatniku. A że wyrastała wśród rodzinnych znajomości matki i zawodowych ojca, objętość jej notatnika była wcale znaczna.

Jej nowym wyzwaniem był teraz zaśnieżony srebrny kluczyk. Z początku usiłowała go ignorować, bowiem wbił się klinem pomiędzy nią a Kevina, i to w czasie, kiedy najmniej mogła sobie życzyć, żeby cokolwiek stało między nimi. Ale kluczyk nie dawał się zignorować, emanował swoją srebrzystą obecnością z każdego miejsca, gdzie usiłowała go ukryć.

Podobnie nazwa Norwich Notch zyskała znajome znaczenie. Zastanawiała się, czy jakaś mistyczna siła łączyła

ją z miejscem jej urodzenia, czy po prostu powtórzyła tę nazwę już tak wiele razy, że wrosła w jej myśli. W bibliotece odnalazła to miasteczko w atlasie w południowo-zachodnim rogu New Hampshire i dowiedziała się, że ma tysiąc stu mieszkańców. Jednak w innych książkach, które przeglądała, nie znalazła o nim żadnej wzmianki.

Zdołała je jednak odnaleźć w książce telefonicznej dla obszaru Keene-Peterborough. Pośród innych numerów był tam numer miejskiego archiwariusza w Norwich Notch, kościoła parafialnego w Norwich Notch i gminnego szpitala w Norwich Notch i wszędzie tam mogły się znajdować jakieś informacje o jej urodzeniu. Dowiedziała się tego z lektury wszystkich większych artykułów o adopcji, opublikowanych w ostatnich latach. Dowiedziała się też o sposobach poszukiwania, które w oświeconych latach dziewięćdziesiątych były czymś powszechnym. Pracownicy socjalni coraz częściej przyjmowali pogląd, że należy przekazywać informacje zarówno dzieciom adoptowanym, jak i ich naturalnym rodzicom. Zaczęły być w modzie otwarte adopcje.

Mogła po prostu podnieść słuchawkę i zadzwonić. Mogła polecieć do Bostonu i pojechać samochodem na północ albo polecieć do Manchesteru i pojechać na zachód. Gdyby chciała, mogła wsiąść w samochód

I pojechać całą drogę z Baltimore, ale nie chciała. Nie była jeszcze na to gotowa. Nie tuż po śmierci Abby. Nie kiedy Kevin był jeszcze tak wrażliwy. Nie kiedy rzeczywistość Norwich Notch była tak nowa. Potrzebowała jeszcze czasu, żeby przystosować się do istnienia tego miasteczka.

Kluczyk szybko stał się jej stałym towarzyszem. Przez cały tydzień wieczorami trzymała go i obracała w rękę, aż wreszcie wyjęła słoik pasty do czyszczenia srebra i uważnie, żeby nie zmoczyć postrzępionej wstążeczki, wyczyściła miniaturowe rowki kluczyka. Równie starannie wypłukała go i wysuszyła.

Pozbawiony śniedzi, kluczyk był pięknym przedmiotem. Miał skomplikowane kształty waltorni, a - jak Chelsea

przypuszczała - wszystkie szczegóły były dokładnie odwzorowane. Mimo że cieniutkie pióro, wychodzące z ustnika instrumentu, było miejscami porysowane, sam uchwyt był w doskonałym stanie. Kiedy polerowała kciukiem rowki, wyobrażała sobie, że może w kłębie dymu pojawi się dzin i odpowie jej na wszystkie pytania. Ale wieczór był spokojny i przez cały czas była sama.

Miała tyle pytań, tak strasznie dużo pytań, a przede wszystkim - kto przysłał kluczyk i dlaczego. Trzydzieści dwa lata to szmat czasu. Ludzie umierali. Sytuacje się zmieniały. Znów zaczęła się zastanawiać, co jest bardziej istotne dla jej poszukiwań - kluczyk czy stempel pocztowy. Norwich Notch. Taka znajoma nazwa. Miała prowincjonalne, czarujące brzmienie. Równie dobrze mogło tam być biednie, brudno i beznadziejnie. Nie była pewna, czy chce się dowiedzieć, jak tam jest naprawdę. Nie była też pewna, czy zdoła Oprzeć się pokusie.

Z czasem tajemnica klucza stawała się coraz bardziej pociągająca. Im uważniej mu się przypatrywała, tym bardziej była zaintrygowana nie tyle perfekcją jego wykonania, ile rysami na jego piórze. To znak, że był używany - używany przez ludzi, z którymi była w jakiś sposób spokrewniona.

Wyobrażała sobie wiele różnych scenariuszy, a wszystkie były wariacjami scenariuszy wymyślonych przez nią w dzieciństwie. Jej biologiczni rodzice zawsze byli biedni, ale kochali się. W jednej wersji byli nastolatkami, zbyt młodymi i przerażonymi, żeby ją zatrzymać. W innej, jej ojciec był żonaty z kimś innym, ale beznadziejnie zakochany w jej matce. W trzeciej wersji jej rodzice byli małżeństwem, mieli już siedmioro dzieci i żadnej możliwości, żeby utrzymać jeszcze ósme.

Chelsea nieco dłużej rozważała ostatni wariant, dlatego że podniecała ją myśl o posiadaniu przynajmniej jednego brata lub siostry, nie mówiąc już o siedmiorgu. Zawsze chciała mieć brata lub siostrę i błagała Abby, żeby spełniła jej życzenie. Z czasem pogodziła się z tym,

że kobieta z dwiema niesprawnymi nogami i o wątpliwym zdrowiu była w stanie poradzić sobie tylko z jednym dzieckiem, niemniej nie przestała marzyć o rodzeństwie. Dokładnie rozumiała, że z bratem lub siostrą jest się związanym w zupełnie inny sposób niż z przyjaciółmi. Wyrastała wśród hordy przyjaciół, ale tęskniła za tym innym, szczególnym rodzajem związku. Czasami odczuwała wręcz wyraźne poczucie straty.

W tych okresach bardziej zwracała się ku Carlowi.

ROZDZIAŁ 2

- Chciałbym zamówić dużą pizzę pepperoni z zieloną papryką, pieczarkami, cebulą i podwójną porcją sera na wierzchu - powiedział Carl Harper do słuchawki. Uśmiechał się do Chelsea z miną oznaczającą, że stary dobry Carl potrafi wszystko załatwić, a ona w odpowiedzi wzniosła tylko oczy do nieba.

Była wyczerpana. Wrócili właśnie do biura po wieczornej prezentacji ośrodka zdrowia, na którego wykonanie dostała zlecenie. W normalnej sytuacji zrobiłaby wszystko sama, ale tuż po śmierci Abby nie była w stanie skoncentrować się tak jak zazwyczaj. Carl pospieszył z pomocą i choć Chelsea nie miała szczególnych problemów, jego obecność bardzo jej pomogła.

Carl był najlepszym i najstarszym przyjacielem Chelsea. Jego ojciec i Kevin Kane w latach pięćdziesiątych odbywali razem staż i od tej pory ich rodziny pozostawały w przyjaźni. Odkąd Chelsea sięgała pamięcią, Harperowie spędzali lato w Newport, o dwa domy dalej od Kane'ów. Chelsea i Carl, oboje samotni jedynacy, dobrze się rozumieli i uzupełniali się. Tam, gdzie ona działała pod wpływem impulsu, on był praktyczny. Tam, gdzie ona była śmiała, on był rozważny. On pobudzał ją do myślenia, ona jego - do odczuwania. Doskonale się nawzajem uzupełniali.

Chelsea pamiętała czasy, mniej więcej pomiędzy piątym a dziesiątym rokiem życia, kiedy założyła, że gdy dorośnie, wyjdzie za mąż za Carla. Potem, gdy była nastolatką, samą ideę małżeństwa zepchnęły w cień tak istotne sprawy jak dojrzewanie, Beatelsi i wegetarianizm, który praktykowała od dwunastego do piętnastego roku życia, kiedy to naszedł ją nieposkromiony apetyt na hamburgery.

Carl znosił to, i jeszcze inne rzeczy, z dużą dozą cierpliwości. Żył swoim życiem, pobłażliwie ją obserwując, ale kiedy tylko potrzebowała przyjaciela, zjawiał się u jej boku. Fakt, że stali się współnikami we własnej firmie, wydawał się naturalną ewolucją sytuacji z dzieciństwa, kiedy razem budowali zamki z piasku. Carl był w tej dwójce technikiem i biznesmanem. W zamówieniach klientów pociągał go zarówno potencjał inwestycyjny, jak i wyzwanie dla architekta. Był godnym partnerem Chelsea w finansowych przedsięwzięciach. W firmie on koncentrował się na zdobywaniu nowych zamówień, oceniał konkurencyjność firmy w przetargach, pilnował, żeby pojawiały się o niej wzmianki w „Przeglądzie Architektonicznym” i „Nowoczesnej Architekturze”. Chelsea miała w sobie iskrę bożą i twórczego ducha. To ona była artystką. W tym momencie jednak nie czuła w sobie ani iskry, ani ducha. Cały dzień biegła ze spotkania na spotkanie, nadrabiając tydzień spędzony na oplakiwaniu Abby. Czuła się całkowicie wyzuta z sił. Powrót do pracy okazał się trudny.

- Dwadzieścia minut - powiedział Carl, odkładając słuchawkę. - Wytrzymasz?
- Oczywiście. Czy możesz zrobić jeszcze coś dla mnie? - Kiedy uniósł brwi, powiedziała: - Zadzwoń do taty. Sprawdź, czy wszystko u niego w porządku. To pierwszy wieczór, kiedy jestem z dala od niego.

Carl zadzwonił. Rozmawiali z Kevinem jak starzy przyjaciele, krótko i spokojnym tonem. Kiedy odłożył słuchawkę, zwrócił się do Chelsea: - Właśnie wybiera się do moich rodziców. Powiedział, że w szpitalu wszystko w porządku. Cieszy się, że jesteś ze mną.

Uśmiechnęła się. - Myślę, że moje towarzystwo zaczęło go już męczyć. Ale w jakiś dziwny sposób to był przyjemny okres. Po jakimś czasie zaczął mówić. Wspominał. Opowiadał mi o wspólnych czasach z mamą, zanim zachorowała. Nie spodziewałam się, że tak będzie. Zazwyczaj jest taki skryty.

Carl podszedł do jej krzesła. - Ostatnio ty też. - Staął za nią i zaczął masować napięte mięśnie jej barków. - To wszystko było trudne, prawda?

- Tak, brakuje mi jej.

- Z czasem będzie lepiej.

- Wiem. Chociaż będzie to łatwiejsze dla mnie niż dla taty. Tak strasznie mi go żal. Usiłuję wymyślić, co mogłabym powiedzieć, żeby go pocieszyć.

- Byłaś z nim. On tego potrzebował.

- Czasami zastanawiam się, czy to prawda - zadumała się, chmurząc się przy tym, co jej się ostatnio często zdarzało. Związek Kevina z Chelsea manifestował się głównie ciepłymi uśmiechami i upominkami wręczanymi we właściwym czasie. Był bardzo zajęтым człowiekiem. Wiele godzin w ciągu dnia spędzał w szpitalu, a kiedy wracał do domu, przede wszystkim poświęcał czas Abby.

Dlatego właśnie, mimo tragicznych okoliczności, Chelsea tak bardzo ceniła spędzony z nim spokojny czas i dzielone z nim myśli.

- Przez ostatni tydzień prawdopodobnie spędziliśmy więcej czasu razem niż przez cały ostatni rok. Ale ja nie stanę się nią, a ona jest wszystkim, czego on pragnie.

Zamknęła oczy i wykonywała małe obroty głową, żeby uzupełnić dzieło Carla. - Mmmm. Ty wiesz, gdzie dotykać. - Zrobiła głęboki wdech, rozluźniła mięśnie i wypuściła powietrze.

- Carl?

- Tak?

- Czy sądzisz, że Hunt-Omni zostanie przerobiony na dom mieszkalny? - Krążyła plotka, że hotel zostanie ipzedany. W kategoriach nowojorskich nie był on izczególnie duży, ale jeżeli pokoje miałyby być przerobione na mieszkania, pojawiłoby się interesujące wyzwanie dla architekta.

- Na to wygląda. Rozmawiałem o tym z Johnem Bakerem. Jest w bardzo bliskich stosunkach z potencjalnymi nabywcami. Wie, że nas to interesuje.

Chelsea nigdy przedtem nie robiła projektu przeróbki hotelu. To byłaby dla niej gratka, problem, który zająłby jej myśli i pomógł przetrwać, zanim ból po śmierci Abby zelżeje.

No i było jeszcze coś. Pochłaniało to jej umysł w prawie takim stopniu, jak tęsknota za Abby. Schwyciła rękę Carla, uścisnęła je i wstała z krzesła. Sięgając do swojej aktówki, wyjęła mały pakunek owinięty w bibułkę.

- Co tam masz? - zapytał podchodząc. Rozwinęła bibułkę i położyła kluczyk na dłoni.

- No, no - wziął go i obrócił w dłoni. - Do czego to jest?

- Do nakręcania czegoś. Jubiler, z którym widziałam się dzisiaj pomiędzy spotkaniami, mówi, że do jakiejś pozytywki.

Carl nadal badawczo mu się przyglądał, obracając na różne strony. - Skąd go masz?

- Moja matka dała go Grahamowi, żeby przekazał go mnie. Został przysłany z małego miasteczka w New Hampshire, które nazywa się Norwich Notch. Tam się urodziłam.

Utkwił wzrok w jej twarzy. - Skąd wiesz?

Oczywiście wiedział o adopcji, znał jej frustracje związane z tym, że nie wie kim naprawdę jest, i choć Chelsea od czasu do czasu wyczuwała, że podobnie jak Kevin uważa to za zupełnie nieistotne, zawsze cierpliwie jej słuchał.

- To było na stemplu pocztowym. Graham to potwierdził. Jego ojciec prowadził postępowanie adopcyjne.

- No, no. Norwich Notch? Przytaknęła.

- Skąd ja znam tę nazwę?

Jej oczy rozświeciły się. - Czy ty też? Powtórzyłam ją tak wiele razy, że przestałam być obiektywna.

- Norwich Notch. - Skoncentrował się. Chelsea wręcz widziała, jak przerzuca informacje skatalogowane w głowie. W końcu zmarszczył brwi i potrząsnął głową. - Nic mi nie przychodzi na myśl. W którym miejscu New Hampshire to jest?

- W południowo-zachodnim rogu.

- Ach, tak. To wszystko wyjaśnia. Albo przejeżdżaliśmy przez to miasteczko, albo je mijaliśmy w drodze na narty. Prawdopodobnie widzieliśmy drogowskazy.

Nie przypominała sobie drogowskazów z tą nazwą, ale uznała, że pewnie Carl ma rację. Miał dobrą pamięć, a w dodatku to wyjaśnienie było sensowne. Nic dziwnego, że podświadomie zapamiętała to miasteczko.

- Kto to więc przysłał? - zapytał Carl. Wzruszyła ramionami.

- Nie było adresu zwrotnego? Żadnego listu? Nawet paru słów?

- Nic. Tylko stempel na kopercie, którą mama tyle razy otwierała i zamykała, aż papier wytarł się tak, że prześwituje. - Ta wizja prześladowała Chelsea. - Cały czas się zastanawiam, co wtedy myślała. - Z pewnością nie myślała, że straci Chelsea. Była pewna jej miłości. Chelsea podejrzewała, że jeżeli Abby zadreczęła się kluczem, to tylko z powodu reakcji Kevina.

Carl położył kluczyk na jej dłoni. - Co z tym zrobisz?

- Nie jestem pewna. Z całą pewnością coś zrobię. To wskazówka kim jestem. Nie mogę tego po prostu zignorować. - A co mówi Kevin?

Chelsea skierowała kciuk w dół i obserwowała, jak Carl pogrąża się w myślach. Podszedł do okna, gdzie

sześć pięter niżej widniała Inner Harbor ożywiona blaskiem lamp.

- On wcale tak bardzo nie przesadza, Cncls. ispropuj wejść w jego skórę. Właśnie stracił Abby. Boi się, że i ty od niego odejdziesz.

Popatrzyła na niego spode łba. - To tak, jakbyś powiedział, że ojciec traci córkę, kiedy ta wychodzi za mąż... Nie, nie potrząsaj głową, Carl. To dokładnie to mmo. On jest moim ojcem. I zawsze nim będzie, niezależnie od tego, czego się dowiem. Prawdą jest, że to tamci mnie oddali, a on mnie przyjął.

Zawsze go będę za to kochać. - Naprawdę tak myślała, ale uczucie do Kevma nie oznaczało ślepego posłuszeństwa. Zresztą przez całe tycie ślepe posłuszeństwo było jej obce. - Co złego jest w tym, że chcę poznać okoliczności swoich narodzin? Dzieci zawsze pytają o to rodziców. Ty powinieneś coś o tym wiedzieć.

- Tak. Ja byłem pomyłką.

- Wcale nie pomyłką. Cudowną niespodzianką, jak mawiali twoi rodzice i nigdy nie omieszkali przy tym dodać, jak bardzo są zadowoleni, że pojawiłeś się właśnie w tym czasie, mimo że wówczas ogarnęła ich panika. To cudowna historia i znasz ją doskonale. Ja chciałabym poznać moją historię. - Tam, gdzie u innych tkwi Awiadomość własnych korzeni, u Chelsea była tylko ogromna pustka, która wywoływała w niej poczucie osamotnienia.

- Może ci się nie spodobać - ostrzegł ją.

Tę możliwość brała pod uwagę. Miała już kilka koszmarów sennych na ten temat. Jej biologiczny ojciec mógł być mordercą, jej matka prostytutką, a jej bracia i siostry debilami. Co gorsza, mogliby nie chcieć jej znać, co pogłębiłoby tylko uraz związany z faktem odrzucenia przy narodzinach. . .

- Masz rację - powiedziała. - Może, ale przynajmniej ju poznam. Czasem strasznie mnie dręczą myśli o tym wszystkim. Potrafię się pogodzić z prawdą. Potrafię do tego podejść z rozsądkiem. Ale teraz, kiedy nic nie wiem, mam

wrażenie, że żyję w jakiejś pułapce, z której nie potrafię się wydostać. Nie potrafię naprawdę stać się następnym pokoleniem, dopóki nie dowiem się, jakie było poprzednie.

Po króciutkiej przerwie Carl się odezwał: - Mówisz

O małżeństwie i dzieciach.

Odwzajemniła jego spojrzenie, westchnęła i uśmiechnęła się. Miał dar wyłuskiwania sedna sprawy. -
Może i tak.

- Z całą pewnością. To sprawa najbardziej oczywista na świecie. Nigdy nie wyszłaś za mąż, nigdy nie miałaś dzieci, a strasznie byś chciała i jednego, i drugiego,

1 świetnie o tym wiesz.

- Nie miałam czasu ani na jedno, ani na drugie.

- Okay - zgodził się - nie miałaś czasu, ale teraz go masz. Firma doskonale funkcjonuje. Interesy idą świetnie, każdego roku coraz lepiej. Nasze inwestycje przynoszą doskonałe zyski. Wszystko samo się kręci. Mogłabyś sobie pozwolić na to, żeby więcej czasu spędzać z rodziną albo nawet urządzić sobie w domu pracownię i rysować, gdy dziecko będzie spać. Masz trzydzieści siedem lat i nie będziesz już młodsza.

- Ty też, a nie widzę, żebyś pędził do ołtarza. Co z Hailey? - Hailey Smart była prawnikiem i miała biuro dwa piętra niżej. Była figlarna i jednocześnie niezwykle przedsiębiorcza, a w sądzie była jak dynamit. Chelsea lubiła ją.

Zmarszczył nos. - Hailey jest dla mnie trochę za bardzo niekonwencjonalna.

- To nieprawda. Jest świetna.

- Ile razy z nią jestem, tracę oddech.

Chelsea zachichotała. - To namiętność, drogi przyjacielu.

- Nie, to starość. Poza tym, Chelsea, ona nie jest tobą. Dzwonek do drzwi oznajmił, że dostarczono pizzę. Biuro już było opustoszałe, więc sami poszli ją odebrać. Kiedy szli, Carl objął Chelsea w tali.

- Od kiedy skończyłem dwa lata, jestem w tobie zakochany - powiedział. - Jesteś moim najlepszym

Erzyjacielem na świecie. Jak mógłbym się ożenić z Hailey, iedy ty jesteś w moim życiu?

- Czy ty i Hailey rozmawialiście o małżeństwie? - zapytała zdumiona Chelsea. Nie sądziła, że sprawy zaszły tak daleko.

- To ona rozmawiała o małżeństwie - uściślił Carl. To szczególnie zdumiało Chelsea. Zawsze uważała, że Hailey jest typem dziewczyny, która czeka z małżeństwem do ostatniej chwili. Miała dopiero dwadzieścia i dziewięć lat i dużo czasu. Jej kariera ledwie zaczęła rozkwitać.

- Hailey jest przekonana - mówił dalej z lekką ironią - że może zrobić wszystko, co postanowi. Oznacza to, że jednocześnie może być prawnikiem, żoną i matką. Jeżeli to jej się uda, będzie karmić dziecko piersią w pokoju lędziowskim. - Kiedy Chelsea się roześmiała, powiedział: - Ona tak mówi. Wszystko już zaplanowała. Będzie nosić eleganckie kostiumy i grać do końca rolę Wziętego adwokata, tylko da składowi sędziowskiemu do zrozumienia, że przerwy są na karmienie. Mówi, że zestawienie obu tych wizji będzie nie do odparcia. Twierdzi, że sędziowie będą jeść jej z ręki. Właśnie weszli do części recepcyjnej, elegancko oddzielonej od wielkiej pracowni. Cała przestrzeń, zabudowana zgodnie z projektem Chelsea, była wysoka i otwarta, z licznymi oknami i świetlikami, które łagodziły głęboką czerwień gołej cegły. Meble, głównie ze szkła i chromu, były jednocześnie praktyczne i wyrafinowane. Nisko umieszczone reflektorki łagodnie rozpraszały mrok nocy. Carl zapłacił za pizzę. Wrócili tą samą drogą, mijając Stanowiska trzech kreślarzy i nadzorującego ich pracę architekta, i znaleźli się przed gabinetami dyrekcji. Weszli do gabinetu Chelsea. Szybko podjęła przerwana rozmowę, bo słowa Carla ciągle tkwiły jej w głowie. Czuła się dziwnie zaniepokojona. Carl od tak dawna, choć w całkowicie niewinny sposób, należał do niej. - Czy ty kochasz Hailey?

Zdjął kilkanaście szkiców z jej rajzbretu i położył na nim pizzę. - Kocham ciebie.

- Bądź poważny, Carl.

- Jestem poważny - powiedział i zniknął we własnym gabinecie, a za kilkanaście sekund wyłonił się stamtąd z garścią serwetek. - Przywiązałem się do ciebie, Chels. Kiedy jestem z innymi kobietami, czuję się, jak gdybym cię zdradzał.

- Nie powinienes. Nie jesteśmy ze sobą związani w taki sposób.

- A może powinniśmy - powiedział z taką powagą, że przestraszyła się jeszcze bardziej. A potem ugryzł kęs pizzy i zepsuł cały efekt. Połowa tego, co było na wierzchu placka, ześliznęła się i spadła do pudełka. Zebrał wszystko starannie, ułożył na cieście, złożył pizzę na pół i ponownie zabrał się do jedzenia.

Chelsea spróbowała pizzy. Usiłowała się domyślić, do czego Carl zmierza, kiedy odezwał się: - Wiele o tym myślałem od czasu, kiedy zmarła Abby. Myślę, że to naturalne. Kiedy tracisz kogoś bliskiego, zdajesz sobie sprawę, że jesteś śmiertelny. Zaczynasz myśleć o tym wszystkim, czego pragniesz, a co możesz bezpowrotnie stracić, jeżeli nie uczynisz kroku, żeby zrealizować swoje pragnienia. Oboje mamy po trzydzieści siedem lat. Żadne z nas nie zawarło małżeństwa, głównie dlatego, że mamy siebie nawzajem. Dlaczego tego nie zalegalizować?

Chelsea poczuła się niebywale zakłopotana propozycją, w szczególności zaś powagą, z jaką została ona złożona. Odłożyła pizzę i zapytała cicho: - Czy to są oświadczenia?

- Tak przypuszczam.

- Ty nie masz przypuszczać! - zawołała zirytowana, bo nie wiedziała, jak ma zareagować. - Masz to wiedzieć! - Nagle uderzyła ją pewna myśl. - Czy twoi rodzice znowu się ciebie czepiają?

- Oni cię uwielbiają.

- Ja ich też uwielbiam, ale nie jest to podstawa do małżeństwa.

Na jego twarzy zamajaczył niepewny uśmiech. - A czyż ty mnie nie uwielbiasz?

Poczuła jak zaczyna jej łomotać serce. - Owszem, ale wcale nie jestem przekonana, że cię Kocham, ani że ty mnie Kochasz. Nigdy tego tak nie traktowaliśmy.

Carl po prostu zawsze był. Nie postrzegala go w roli romantycznego kochanka, ani w ogóle kochanka jako takiego - co wcale nie oznaczało, że jest to niemożliwe, tyle tylko, że traktowała go zupełnie inaczej.

- Moglibyśmy spróbować - powiedział. - Zobaczyć, czy coś z tego będzie.

Położyła dłoń na jego karku. - Och, Carl, nie wiem, czy jestem w stanie zastanawiać się nad małżeństwem. Ciągle jeszcze myślę o mamie, no a poza tym istnieje ten kluczyk. Masz rację.

Nieświadomość, kim jestem, wywołuje we mnie lęk przed małżeństwem i urodzeniem dzieci... Bóg jeden wie, jakie defekty genetyczne mogę w sobie nosić.

- Nie obchodzą mnie żadne defekty.

- Chcę wiedzieć, kim jestem.

- Ale dlaczego nie moglibyśmy się nad tym zastanowić? Jesteśmy sobie tak bliscy. Powinniśmy spróbować, czy nie możemy być jeszcze bliżej. Czuję, że jesteśmy to sobie winni.

- Hej, wy tam! - rozległo się pełne wyrzutu wołanie i w drzwiach pojawiła się elegancka sylwetka Melissy Koo. - Wydawało mi się, że ustaliliśmy, że w biurze nie ma migdalenia.

Chelsea zachichotała, w duchu dziękując Bogu, że ta niezręczna sytuacja została przerwana. Nie spieszyła się jednak ze zdjęciem ręki z karku Carla. Łaknęła dotyku i bliskości, a w zażyłości z Carlem znajdowała pocieszenie. Z niewidoma ludźmi łączyło ją tyle, co z nim. Nawet Melisę, którą spotkała w szkole poddyplomowej i z miejsca zaczęła podziwiać za ekscentryczny artyzm, znała zaledwie od dziesięciu lat. Mimo że były sobie bliskie, nie było to to samo. Carl był niczym brat. Tak wiele z nim się wiązało - rodzina, przyjaciele i wspomnienia.

Może miał rację. Fakt, że nigdy przedtem nie myśleli o romantycznym związku, nie musiał oznaczać, że to nie miałyby sensu. Być może przedtem czas nie był odpowiedni, a teraz, kiedy oswoi się z myślą o małżeństwie z Carlem, wyda jej się to całkowicie naturalne. W tej chwili tylko go poklepała po karku.

Zwracając się do Melissy, powiedziała: - Co robisz tak późno w biurze?

Melissa była szczupła jak modelka, do tego stopnia, że graniczyło to z wymizerowaniem. Miała surowe rysy twarzy, które łagodniały i rozświeślały się, kiedy się uśmiechała. Właśnie posyłała szeroki uśmiech Chelsea

i wyglądała oszalamiająco. - Właśnie byłam na drinku z Peterem Shorrem. Dostaliśmy pracę nad budynkami DataMile.

Chelsea odwzajemniła uśmiech. DataMile, prywatny bank danych, właśnie wszedł na giełdę i postanowił wybudować trzy oddzielne centra - w Baltimore, Atlancie i Denver. Projekt Melissy był o wiele bardziej śmiały niż wszystkie dotychczasowe siedziby ośrodków gromadzenia i przetwarzania danych. Kiedy zostanie wcielony w życie, wygląd budynków przykuje powszechną uwagę. - To wspaniale!

- Z pewnością ma szansę na nagrodę - prorokował Carl.

- Mam szczerą nadzieję - powiedziała Melissa i zrobiła kwaśną minę - bo straciliśmy Akron Arena.

Z twarzy Chelsea zniknął uśmiech, - Naprawdę?

- Nieoficjalnie. Ale mówi się, że Baker, Wills i Crock strzelają korkami białego szampana, co oznacza, że wiedzą coś, czego my nie wiemy. Jutro spodziewam się telefonu.

- Zauważyła na stole srebrny klucz, który leżał w swoim gniazdku z bibułki. - Ho, ho. A co to takiego?

- Uniosła go i kilka razy obróciła w ręku.

Chelsea krótko wyjaśniła jej pochodzenie klucza. Kiedy doszła do części o Norwich Notch, Melissa spojrzała na Carla ze zmarszczonymi brwiami. - Skąd ja znam tę nazwę?

Chelsea przenosiła wzrok z jednej twarzy na drugą.

- Kiedy mnie wydała się znajoma, złożyłam to na karb wyobraźni. Kiedy ty powiedziałeś, że skądś ją znasz, myślałam, że to przypadek. Ale kiedy tobie, Melisso, z czymś się to kojarzy, coś musi w tym być. Gdzie więc słyszeliśmy tę nazwę?

- Narty - upierał się Carl.

Chelsea potrząsnęła głową. - Melissa nie jeździ na nartach. Spróbujmy wziąć na tapetę New Hampshire. Co robiliśmy w New Hampshire?

- Osiedle w Portsmouth, ośrodek sportów w Sunapee i rzeźby lodowe na zimowym festiwalu w Dartmouth

- powiedziała Melissa - ale Hanover to nie Norwich Notch. - Podeszła do rajzbretu. - Norwich Notch. Norwich Notch. - Wzięła okrusz pizzy do ust. - Czy my znamy kogoś z Norwich Notch?

- Dziwne pytanie - westchnęła Chelsea. - Być może wszyscy moi krewni tam mieszkają. Matka, ojciec, siostry, bracia, ciotki, wujowie, kuzyni - można ciągnąć tę listę w nieskończoność. Wprost nie mieści się w głowie.

- Norwich Notch - mamrotała Melissa i nagle podniosła głowę. - Dajcie mi trochę czasu. Przypomnę sobie.

Biorąc pod uwagę, że Carla, Chelsea i Melissę łączyła architektura, Chelsea wydedukowała, że jeżeli każde z nich przedtem słyszało o Norwich Notch, to musiało to **być** w związku z pracą. Z tego też powodu spędziła cały następny ranek przeglądając segregatory, szukając choćby najmniejszej wzmianki o miasteczku. Kiedy nic nie znalazła, zatelefonowała do kolegi, z którym pracowała, zanim powstała firma Harper, Kane, Koo. Kiedy i to nie wypaliło, zadzwoniła do profesora w Princeton, z którym pozostawała w kontakcie, ale też bez rezultatu.

Była zdecydowana rozwiązać tę tajemnicę. Ona i jej dwoje partnerów słyszeli o Norwich Notch i chciała wiedzieć skąd. Cała podekscytowana, odważnie wyciągnęła z torebki kalendarz, odnalazła stronę, gdzie

zanotowała numery Norwich Notch, i nie pozostawiając sobie ani chwili na wątpliwości, zadzwoniła do miejskiego archiwariusza.

Po kilku minutach знаła odpowiedź. Właśnie odkładała słuchawkę, kiedy w drzwiach pojawiła się Melissa i pomachała skoroszytem.

- To było Centrum Sztuki w Wentworth. Nie w New Hampshire. W Maine.

Przerwała, kiedy Carl wyszedł ze swojego gabinetu i powiedział: - Przypomniałem sobie. Harper, Kane, Koo działała wtedy dopiero od niecałych sześciu miesięcy. Braliśmy udział w przetargu na projekt Centrum Sztuki na wybrzeżu Maine...

- W Wentworth - uzupełniła Melissa.

- Właśnie tak - powiedział z zadowoleniem i spojrzał na Chelsea. - Potrzebowaliśmy zamówień, więc zaoferowaliśmy niską cenę, ale i tak to było niełatwe. Chcieli mieć kamień.

- Granit - sprecyzowała Chelsea i oparła się wygodnie na krześle, czując jak szybko bije jej serce. - Jest sześć razy twardszy od marmuru i ma wytrzymałość żelaza. Chcieli go dlatego, że jest odporny na działanie słonego powietrza i przyznaliśmy im rację, ale chcieliśmy zdobyć szarzielony odcień, który wtopiłby się w linię brzegową. Kontaktowaliśmy się z dziesiątkami kamieniołomów, żeby podały nam orientacyjną cenę. Importowany kamień był zbyt drogi, a poza tym byliśmy zdania, że należy wykorzystać miejscowy kamień. - Gwałtownie wciągnęła powietrze. - Jeden z tych kamieniołomów, do których zwróciliśmy się, a potem zrezygnowaliśmy, znajdował się w Norwich Notch, w New Hampshire.

ROZDZIAŁ 3

Michael Mahler zatelefonował do Chelsea z początkiem lutego. Twardszy od brata, nieodmiennie jednak uprzejmy, zapytał Chelsea, czy zastanawiała się Już nad rubinowym pierścionkiem.

Owszem, zastanawiała się, ale jedynie w kontekście

Posiadania czegoś, co było tak cenne dla Abby. Z całego kompletu Abby najczęściej nosiła pierścionek. Był on więc ogromnie znaczący dla Chelsea i dlatego powiedziała tylko: - Należał do mojej matki. Jej życzeniem było, bym go miała.

- Więc go nie oddasz?

- Nie mogę tego zrobić.

- Nie przesadzaj, Chelsea - strofował ją Michael łonem pełnym wyższości. - Pod koniec życia była bardzo chora. Czy naprawdę myślisz, że była w pełni władz umysłowych, kiedy zdecydowała się podzielić komplet, od pokoleń stanowiący całość?

Chelsea nie miała najmniejszych wątpliwości. - Była w pełni władz umysłowych. Ani razu, nawet już pod koniec, nie powiedziała niczego, co nie byłoby sensowne, a ja to wiem znacznie lepiej niż ty, Michael. Ty przyjechałeś tylko na pogrzeb. My z tatą opiekowaliśmy się nią w tym trudnym okresie przed śmiercią.

- Bez wątpienia w niedopuszczalny sposób wpływając na jej decyzje.

- Troszcząc się o nią. Dbając o to, aby jej ostatnie dni były tak przyjemne, jak tylko możliwe. Miała jasny umysł. Co najmniej dziesięć osób może to poświadczyć.

- Ale to nie może być prawdą - jęknął. - Tylko pomyśl. No, pomyśl. Komplet biżuterii z trzech sztuk. To jest całość.

Chelsea była równie spokojna jak jej głos. Przyszło jej do głowy, że wraz ze śmiercią Abby, Mahlerowie przestali być

tak groźni. Emocjonalne więzi z nimi zostały zerwane. Dawno temu taka możliwość przerażałaby ją. Kiedyś najważniejsze było dla niej poczucie, że ma jakieś korzenie, teraz też, ale zmienił się jej punkt odniesienia. Rozumiała teraz, że jej korzenie to Abby i Kevin, i ci z Norwich Notch, zmarli i żywi. Mahlerowie nie mieli znaczenia. Uwolniła się, tak jak balon wypuszczony na wiatr.

- Matka nigdy nie nosiła rubinów w komplecie - powiedziała pogodnie. - Miała na to zbyt dużą klasę. Naprawdę nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak Elizabeth czy Anne mogły o czymś takim pomyśleć.

Ton Michaela ochłodził. - To, co będą robić po odzyskaniu klejnotów, to ich sprawa, ale wszyscy życzymy sobie, żeby komplet pozostał w rodzinie.

- Zgadza się. I dlatego zatrzymuję pierścionek. Któregoś dnia chcę go przekazać swojej córce.

- Ale twoja córka nie będzie ani trochę bardziej Mahlerem niż ty.

- Z prawnego punktu widzenia, owszem, podobnie jak ja - powiedziała Chelsea. - Mam sądowe dokumenty, które o tym świadczą, Michael. Żaden sędzia nie poda ich w wątpliwość. Jeżeli chcesz, zrób to i zobaczysz, co będzie. Graham z pewnością chętnie będzie mnie reprezentował, ale uwierz mi, kiedy ci mówię, że nie masz szansy na wygranie tej sprawy.

Graham to potwierdził. Jak trafnie przewidział, następnym krokiem Mahlerów była próba oferowania Chelsea pieniędzy w zamian za pierścionek.

- Jak widzisz, pierścionek jest wart znacznie więcej - uprzedził ją - ale wszystkim nam się wydaje, że tu chodzi o zasadę.

Dla Chelsea była to również kwestia zasad.

- Mogą mi oferować dziesięciokrotną wartość pierścionka - zapewniła go Chelsea - a ja potrafię być równie uparta jak każdy Mahler.

Graham splótł ręce przed sobą. - Oto dowód oparty na faktycznym domniemaniu, że pewne cechy są wyuczone, a nie dziedziczone.

- Albo mój upór oznacza, że jedno lub oboje moi biologiczni rodzice byli uparci, a ja to po nich odziedziczyłam.

Tego nie wiem.

- Ja też, i oto dodatkowy powód, dla którego tu jestem... - Gdyby chodziło jej tylko o sprawę legalności testamentu mogła po prostu do niego zatelefonować. Co wiesz o mojej adopcji? Mój ojciec nic mi nie chce powiedzieć, ale ja jestem dorosła. Mam prawo wiedzieć.

- Dlaczego to się nagle stało dla ciebie tak ważne?

- Dlatego, że umarła moja matka. Dlatego, że chciała, żebym miała jakąś wskazówkę co do mojej przeszłości. Dlatego, że jej rodzina nieustannie mi powtarza, że nie jestem jedną z nich, a ja chcę wiedzieć, skąd pochodzę.

Graham zastanawiał się przez chwilę, zanim w końcu powiedział: - Nie mam zbyt wiele do powiedzenia. Adopcja została załatwiona prywatnie. Akta zostały zamknięte i zapieczętowane. Jedną z rzeczy, których Chelsea zdążyła się dowiedzieć, było to, że zamknięte akta mogą zostać ponownie otwarte, a zapieczętowane - rozpieczętowane. Mogła poprosić Grahama, żeby to dla niej załatwił, ale to Koślawiłoby go w niezręcznej sytuacji w stosunku do Kevina. Kevin z pewnością dowiedziałby się o jej poczynaniach, co spowodowałoby nieporozumienia, kiedy jeszcze zbyt mało czasu upłynęło od śmierci Abby. Mogła poczekać. Mogła dowiedzieć się więcej ze źródeł, które nie zagrażały naruszeniem spokoju rodziny.

- Dlaczego moi rodzice nie przeprowadzili tego za pośrednictwem agencji?

Graham, marszcząc brwi, przyjrzał się swoim dłoniom. - Domniemywam - jakie to praktyczne słowo, domniemywam - że choroba twojej matki nie czyniła z niej idealnej kandydatki do adopcji dziecka. Możliwe, że twoi rodzice zwrócili się do agencji, a tam im odmówiono.

Tak, to było możliwe, zdała sobie sprawę Chelsea - idiotyczny warunek, jeśli się weźmie pod uwagę, jak

cudowną matką była Abby, ale możliwy. Było też możliwe, że wybrali bezpośrednią adopcję z jakiegoś innego powodu. Kevin był bardzo skrytym człowiekiem. Zawsze czynił wyraźny podział pomiędzy osobistymi przyjaciółmi, a znajomymi i kolegami z pracy. Wiedziała na przykład, że zapraszał na kolację do klubu gości, którzy nie wiedzieli, że Abby jest kaleką, dopóki jej nie zobaczyli. Podobnie nigdy nie rozgłaszał faktu, że Chelsea jest adoptowana. Kiedy Abby o tym mówiła, on zachowywał milczenie. Eleganckie zawiadomienia, które rozesłali tuż po urodzeniu Chelsea, w ogóle o tym nie wspominały. Wyobrażała sobie, że chciał przeprowadzić proces jak najszybciej i bez żadnych komplikacji. Adopcja bezpośrednia mu to gwarantowała.

- Więc przyszli do twojego ojca - powiedziała. - W jaki sposób to załatwił? Prowadził poszukiwania czy przez przypadek natrafił na niemowlę?

- O ile wiem, po trochu i jedno, i drugie. Przez jakiś czas prowadził dyskretne dochodzenie, które doprowadziło go do prawnika, do którego trochę wcześniej zgłosił się prawnik z Norwich Notch.

- Znasz jego nazwisko?

- Nie.

- Wiesz, czy nadal praktykuje w Norwich Notch?

- Nie wiem nawet, czy jeszcze żyje.

- Czy masz stare segregatory twojego ojca?

- Kilka. Ale tam nie ma informacji, których poszukujesz. Skatalogowałem je po jego śmierci. Tam niczego nie ma.

- Może są zakamuflowane pod inną nazwą. Graham potrząsnął głową. - Kiedy je katalogowałem, otwierałem i czytałem wszystko, na co miałem ochotę. Nie ma twojej teczki, Chelsea.

Zakładała, że kiedyś była. Wszyscy prawnicy trzymali akta i segregatory. Kevin mógł się czuć niezręcznie, wiedząc, że gdzieś tam jest jej teczka, i polecił, by ją zniszczono. Nie miała jednak zamiaru się poddawać. Były jeszcze inne sposoby zdobycia informacji.

- Nie wiesz więc niczego o moich biologicznych rodzicach? A o Norwich Notch? Czy wiesz, że jest to miasto granitu? - Kiedy potrząsnął głową, powiedziała: - Kiedys, dawno temu, otrzymaliśmy ofertę Plum Granite - chodziło o projekt, który wtedy wykonywaliśmy. Oferta okazała się zbyt droga. Jakość granitu jest ponad przeciętna, ale na miejscu nie było widać żadnych urządzeń do obróbki. Muszą go ciąć i polerować gdzie indziej, co podwyższa koszty.

- Nie wydaje mi się, żeby to był szczególnie sprawny system zarządzania przedsiębiorstwem. Dziwię się, że jeszcze nie zbankrutowali.

- Ależ nie - powiedziała Chelsea. - Plum Granite jest głównym pracodawcą w mieście.

A ona jest architektem i co pewien czas potrzebny jest jej granit. To doskonały pretekst. Może pojechać do Norwich Notch w New Hampshire, żeby zbadać jakość granitu. Wszyscy architekci stale to robili, żeby w razie potrzeby móc od razu zdecydować o doborze surowca.

Graham znacząco mierzył ją wzrokiem. - Nie mam zamiaru tam pojechać. - powiedziała.

- Dlaczego nie?

Przerzuciła pasek torebki przez ramię i wstała. - Z tego samego powodu, dla którego nie zatrudniłam prywatnego detektywa.

- Zastanawiałem się nad tym. Stać cię na to.

- Owszem, finansowo, ale nie emocjonalnie. Jeszcze nie.

Graham przypomniał sobie, że Kevin mawiał o niej, że jest osobą, która w grze zawsze łapie piłkę i ucieka z nią. Kiedyś i tak tam pojedziesz.

- Może. - Zmarszczyła brwi, a potem wzruszyła ramionami. - Prawdopodobnie. Ale nie teraz. -

Przeszła w kierunku drzwi. - Mam taki mętlik w głowie. Czasami, kiedy coś się dzieje - na przykład taki telefon Michaela wprost rozpaczliwie chcę wiedzieć, kim jestem. W takich chwilach jestem tak głodna informacji, że lęk prawie znika. Pokazuję kluczyk jubilerowi albo dzwonię do

archiwariusza w Norwich Notch, albo zasypuję cię pytaniami. To na krótko zaspokaja moją ciekawość i na jakiś czas mogę się z tego wycofać. - Kiedy dziś weszła do biura Grahama, odczuwała rodzaj przymusu, który teraz zniknął prawie bez śladu. - Zastanawiałam się, jakie masz informacje. Teraz już wiem.

Kevin spóźniał się, co było całkiem do niego niepodobne. Zazwyczaj był bardzo punktualny i zorganizowany. Jeżeli miał wyznaczoną opercję o siódmej rano, dokładnie o tej godzinie był umyty i w pełnej gotowości. Kiedy mówił, że będzie w domu o ósmej, to wraz z biciem zegara pojawiał się w drzwiach.

Chelsea była nieodrodną córką ojca. Jeżeli miała spotkanie z inwestorem o dziesiątej, to dokładnie o dziesiątej stawiała się w jego biurze razem ze swoją teczką. Kiedy była zaproszona na koktajl, który rozpoczynał się o szóstej, pojawiała się na progu gospodarzy punktualnie o szóstej. Przyjaciele żartowali z jej punktualności. Ostrzegali, że nie pociągnie długo w towarzystwie, jeżeli nie nauczy się spóźniać. Chelsea jednak w najmniejszym stopniu nie obchodziła jej pozycja towarzyska. Już należała do towarzystwa i to jej całkowicie wystarczało, a wspinanie się po szczeblach rankingów towarzyskich nie było jej życiowym celem.

Natomiast sprawianie przyjemności Kevinowi Ka-ne'owi - tak. Wyprowadziła się z dużego rodzinnego domu na przedmieściu osiem lat temu, kiedy skończyła studia architektoniczne, a jeszcze wcześniej, dzięki funduszowi powierniczemu Mahlerów, przestała być zależna finansowo od Kevina. Mimo to zawsze łaknęła jego aprobaty. Było to ściśle związane z jej potrzebą miłości, akceptacji i więzów rodzinnych.

Od czasu śmierci Abby jego aprobata była ściśle dozowana, nie dlatego, że Chelsea zrobiła coś niewłaściwego, ale dlatego, że Kevin był tak przygnębiony. Pracował całymi dniami, zdaniem Chelsea o wiele za dużo jak na sześćdziesięcioośmioletniego mężczyznę,

a kiedy przychodził do domu, zagłębiał się w czasopisma medyczne. Kiedy dzwoniła do niego, miała wrażenie, że jest bardziej odległy niż kiedykolwiek. Właśnie wtedy zaczęła spotykać się z nim na kolacjach. Siedząc z nim twarzą w twarz, miała większą szansę dotrzeć do niego.

Zerknęła na zegarek. Spóźnił się już dziesięć minut. Była pewna, że umówił się z nią we czwartek, o godzinie siódmej w klubowym saloniku. Sama przyszła nawet kilka minut przed czasem.

- Czy napije się pani czegoś w oczekiwaniu na doktora Kane'a?

Jej wzrok powędrował ku ubranemu w liberię kelnerowi, który pojawił się obok niej. - Hm... tak, dlaczego nie? To co zwykle, Norman. I przynieś to, co zwykle pija mój ojciec. Powinien tu być lada moment. Wypowiedziane na głos słowa sprawiły, że poczuła się lepiej, choć widok za oknem nadal skłaniał ją do niepokoju. Był deszczowy lutowy wieczór, bardzo ciemny, gęsty od wilgoci, nieprzenikniony dla oka. Miała wizje, jak jego samochód wpada w poślizg na oblodzonym fragmencie drogi, albo jak gwałtownie zbacza z trasy, żeby uniknąć zderzenia z innym samochodem i uderza w drzewo, albo jak źle ocenia zakręt.

Nie był już młody i był wszystkim, co jej pozostało. Przerząła ją myśl, że mogłoby mu się coś przytrafić.

W takich chwilach, kiedy obawiała się o zdrowie i życie Kevina, myślała o Norwich Notch i o tym, kogo jeszcze mogłaby mieć.

Wtedy on pojawił się w drzwiach, a Chelsea, uśmiechając się z ulgą, wstała z kanapy. - Martwiłam się.

- Objęła go ramieniem i pocałowała w policzek.

- Przepraszam, kochanie. - On też ją pocałował.

- Próbowałem się dodzwonić do ciebie do biura, żeby cię uprzedzić, że się spóźnię, ale właśnie wyszłaś.

- Wszystko w porządku?

- W ostatniej chwili zostałem wezwany na konsultację. - Wskazał gestem, żeby usiadła na sofie i sam usadowił się tuż obok niej. - Czy Carl jest w toalecie?

- Nie, gra w squasha.

Kąciaki ust Kevina opadły. - Myślałem, że zje z nami.

- W każdy czwartek wieczorem gra w squasha - wyjaśniła Chelsea, ale zrobiło się jej przykro. Od śmierci Abby tak niewiele rzeczy sprawiało Kevinowi przyjemność, że nie znosiła odmawiać mu czegokolwiek. Towarzystwo Carla było dla niego przyjemnością i to w większym stopniu niż przypuszczała. - Jest w lidze. Wszyscy na niego liczą.

- A ja liczyłem, że będzie tutaj.

- Nic o tym nie mówiłeś.

- Wydawało mi się, że nie muszę. Myślałem, że wszędzie chodzicie we dwójkę. - Podniósł wzrok, żeby odebrać od Normana swoją whisky z wodą sodową. Pociągnął spory łyk i usadowił się wygodnie na sofie.

Chelsea trzymała kieliszek wina w obu dłoniach, usiłując się domyślić, czy to gniew, czy zmęczenie wywołało jego irytację. Po chwili spytała: - Czy to w jakiś sposób ci przeszkadza?

- To, że spędzasz tyle czasu z Carlem? Oczywiście, że nie! Traktuję go jak syna. Ogromnie bym się ucieszył, gdybyś wyszła za niego za męża, podobnie jak Tom i Sissy. Prawdę mówiąc, Tom wspomniał o tym kilka dni temu. Usiłował wysondować mnie, czy wiem więcej niż on. Powiedziałem mu, że jesteś już dużą dziewczynką i że to nie moja sprawa. - Dodał z wahaniem: - Może się mylę. W końcu jestem twoim ojcem. - Na jego twarzy nagle pojawiło się zakłopotanie. - Co prawda już nie jesteś małą dziewczynką, ale bardzo cię kocham. Co dzieje się między tobą a Carlem?

Tradycyjnie Kevin zawsze wypytywał ją o naukę i pracę, pozostawiając Abby sprawy sercowe, a teraz, choć jego zakłopotanie było urocze, błąkał się w nim również cień smutku. Chelsea tak bardzo chciała, żeby Abby tu była.

- My... - szukała odpowiednich słów, by wyjaśnić sytuację bez wzbudzania złudnych nadziei - robimy próbę.

- Myślałem, że macie to już za sobą - zauważył Kevin. - Jesteście starymi przyjaciółmi. Od pięciu lat jesteście współnikami w firmie.

- Ale nigdy nie chodziliśmy na tradycyjne randki.

- Wychodzi wam?

Posłała mu nieco krzywy uśmiech. - Nazywasz rzeczy po imieniu.

- Nie mam czasu na kluczenie wokół sprawy. Ty też nie, koteczku. Jeżeli chcesz mieć dzieci, powinnaś się pospieszyć.

- Mam jeszcze czas.

- Nie tak wiele, jeżeli chcesz mieć zdrowe dzieci. Z każdym rokiem ryzyko wzrasta.

Odruchowo, dlatego że ta sprawa prześladowała ją od tak dawna, powiedziała: - Ryzyko związane z wiekiem można wyeliminować przy dobrej opiece prenatalnej. Innego ryzyka natomiast nie. Nie mam pojęcia, co odziedziczyłam. Medyczna historia mojej rodziny jest nieznana.

Rzucił jej gniewne spojrzenie. - Wszystko jest w porządku. Sprawdziłem.

- W jaki sposób sprawdziłeś?

- Pytałem.

Zacisnęła usta. Świadczenia lekarskie to jedna sprawa, a niezobowiązujące „pytanie” to co innego. -

Czy sądzisz, że ktoś zdesperowany, żeby znaleźć miejsce dla dziecka, powiedziałby prawdę?

- Znam prawdę. On wiedział, że dużo by go kosztowało, gdyby było inaczej.

- Kim jest on?

Wahanie Kevina trwało o sekundę zbyt długo. - Walter Fritts.

Daj spokój, powiedziała jakaś część jej duszy, ale inna po prostu nie była w stanie. Pomyślała o aktach, których Graham nigdy nie widział, i była pewna, że Kevin wie więcej niż mówi.

Wpatrzyła się w jasny płyn w kieliszku, aż jego powierzchnia stała się gładka jak lustro. - Masz rację.

Jeżeli chcę dzieci, powinnam się wkrótce zdecydować, ale w pewien sposób jestem przerażona. Jak mogę być dobrą matką, jeżeli nie wiem, kim jestem?

- Wiesz, kim jesteś. Jesteś cudowną osobą, a jeżeli chodzi o bycie dobrą matką, ty miałaś najlepszą jako wzór.

Chelsea podjęła kolejną próbę. - To sprawa emocji, czuję się niekompletna.

- Wcale byś się tak nie czuła, gdybyś miała wspaniałego męża i kilkoro wspaniałych dzieci - powiedział cicho, ale stanowczo. - Dzięki nim zapomnisz o tym wszystkim, czego nie wiesz, bo zrozumiesz, że to nie ma znaczenia. Spełniłabyś się jako człowiek. Carl również. Tom, Sissy i ja bylibyśmy szczęśliwi. Wiem, że i twoja matka też, gdyby żyła. Zawsze pragnęła, żebyś wyszła za Carla.

Z gardła Chelsea wydobył się bolesny jęk. - Aha, poczucie winy.

- Żadne tam poczucie winy. Po prostu zdrowy rozsądek. Ty i Carl jesteście idealną parą. Nie rozumiem, na co czekasz.

W jego ustach wszystko było takie proste, tylko czernie i biele, co w dużym stopniu odzwierciedlało jego sposób widzenia świata. Szarości były zbyt nieokreślone, żeby mógł je brać pod uwagę. A może przy jego pozycji w szpitalu tak musiało być. Ktoś musiał podejmować decyzje. Albo przeprowadzano badanie, albo nie. Operowano albo nie.

Chelsea nie była obdarzona takim zdecydowaniem, szczególnie gdy rzecz/ dotyczyła jej tożsamości. Ona zauważała szarości. Widziała wielkie otchłanie. Widziała zatoki pełne ludzi tej samej krwi co ona, jedynie ich imiona i twarze były nieokreślone.

Kevin nie był w stanie tego zrozumieć. Nawet w tej chwili twarz miał ponurą.

Usiłując go rozweselić, powiedziała: - Może masz rację. Może razem z Carlem uznamy, że sobie odpowiadamy. Może zrobimy huczne wesele z długą białą suknią, trzypiętrowym tortem i taką ilością szampana, żeby zatopić ten klub.

Bruzdy na jego czole wygładziły się. Podniósł whisky w milczącym toaście za spełnienie tej wizji.

- Ale jeżeli ja zastanowię się nad tym wszystkim - mówiła przez nią ta druga część jej duszy - co, jak wiem, uszczęśliwiłoby cię, musisz zrobić coś dla mnie.' Musisz być uczciwy. Musisz postawić się w mojej sytuacji. Słusznie czy nie, źle czy dobrze, to wszystko ma dla mnie znaczenie. Jeżeli wiesz coś więcej o moim pochodzeniu, niż to, co mi powiedziałaś, chcę się tego dowiedzieć.

Kevin gwałtownie wypił drinka. Kiedy na dnie zostały już tylko kostki lodu, postawił szklanekę na poręczu kanapy. Ośmielony alkoholem spojrzał jej w oczy. - Nie wiem niczego i nigdy nie chciałem niczego wiedzieć. Od samego początku należałaś do nas. Przybyłaś do nas prosto z łóżka, w którym się urodziłaś, i od tego dnia byłaś naszą córką. Nie chciałem, żeby ktoś obcy kiedyś cię odszukał, dopilnowałem więc, żeby wszystkie akta, jakie kiedykolwiek istniały, zostały zniszczone.

Chelsea przełknęła ślinę. - Wszystkie? - Było dla niej oczywiste, że akta Waltera Frittsa zostały usunięte, ale liczyła, że gdzieś coś jeszcze jest.

Kevin przytaknął i ku swojemu przerażeniu uwierzyła mu. Jeżeli tak sobie życzył, zostało to zrobione.

- Akta sądowe? - zapytała słabym głosem.

- Zniszczone.

- W jaki sposób?

- Przekupstwo.

- Och, tato.

- To miało dla mnie znaczenie - powiedział, używając jej słów. - Słusznie czy nie. Źle czy dobrze.

Jesteś moją córką. Kocham cię. Nie chcę, żebyś walczyła z wiatrakami, goniła wiatr i została zraniona.

- To nie wiatraki i nie wiatr - zaprotestowała. - To cienie i będą mnie prześladować, dopóki nie zobaczę ich wyraźniej. - Usiłowała przekonać samą siebie, że Kevin kłamie. - Musi być coś w Norwich Notch. Szpital na pewno ma jakieś archiwum.

- Urodziłaś się w domu.
- Musiał tam być jakiś lekarz.
- Była położna, której dobrze zapłacono za milczenie.
- Ja zapłacę jej więcej. - To było pierwsze, co przyszło Chelsea do głowy. Popemniła błąd wypowiadając te słowa.

Zobaczyła, jak Kevin się od niej odsuwa. Wyprostował plecy i uniósł podbródek, a w jego oczach, niczym cień, pojawił się znów ten dystans. - Nie chciałbym, żebyś to zrobiła - powiedział chłodno.

- Chcę wiedzieć - wyszeptwała. Nie była pewna, co bardziej ją przeraziło - jego dystans, czy fakt, że celowo uniemożliwił jej poszukiwania. - To, co zrobiłeś, nie jest w porządku. To moja krew, moja genealogia. Jestem dorosła. Mam prawo wiedzieć, kim jestem.

- Jeżeli do tej pory nie wiesz, to coś jest nie w porządku. Na miłość boską, o co chodziło w twoim buncie, kiedy byłaś nastolatką, jeżeli nie o to, by odkryć, kim jesteś?

- Szukałam. Odkąd pamiętam, szukam.

Z trudem wciągnął powietrze i z troską pokręcił głową. - Widzisz, Chelsea, ja codziennie patrzę na umierających ludzi, a to nie jest przyjemne. Widzę ludzi, którzy daliby wszystko, żeby mieć dobre zdrowie i majątek, który ty masz. A ty nie jesteś zadowolona. - Popatrzył na nią jak na kogoś obcego.

- Czego ty właściwie chcesz?

Nie odpowiedziała. Nie była w stanie. Nie mogła wydobyć z siebie głosu, gardło miała zaciśnięte od tyłu emocji. Zresztą wszystko już zostało powiedziane.

Kevin, jak gdyby nagle zdawszy sobie sprawę z tego wszystkiego, zerwał się na równe nogi. - Po tym wszystkim, co twoja matka i ja zrobiliśmy dla ciebie, po tym wszystkim, co wspólnie dzieliliśmy, twoja obsesja na punkcie jakichś ludzi, którzy niczego dla ciebie nie zrobili, jest dla mnie niczym policzek. Abby na to nie zasłużyła, Chelsea, i ja też nie.

Pochyliła się i cicho załkała. - To nie jest obsesja.

Otwierał i zamykał kieszonkowy zegarek, nie zerkając ani razu na tarczę. - Chyba daruję sobie kolację. Nie jestem specjalnie głodny.

Otworzyła usta, żeby go przeprosić, ale on już zdążył się odwrócić i oddalał się pełnym godności krokiem.

Była zrozpaczona. Po tym, jak od niej odszedł, przez wiele dni żyła wewnątrz rozedrgana. Wiedziała, że chce ją ukarać i wiedziała, że nie ma racji. Wiedziała też, że powinna mu o tym powiedzieć i zrobiłaby to, gdyby to był ktokolwiek inny. Ale on był jej ojcem. Nie mogła ryzykować, że zrazi go do siebie jeszcze bardziej.

Carl okazał się darem niebios. Nie tylko był w kontakcie z Kevinem, ale jeszcze pocieszał Chelsea. Spędzali razem prawie cały wolny czas i czuli się sobie bardziej bliscy niż kiedykolwiek. Nie rozmawiali jednak o małżeństwie i jeszcze nie poszli ze sobą do łóżka.

- Seks ma znaczenie - Chelsea powiedziała Cydrze Saperstein, uświadamiając sobie ten fakt.

Cydra była psychoterapeutką, którą Chelsea spotkała w klubie sportowym. Od blisko pięciu lat razem biegały i przez ten czas stały się bliskimi przyjaciółkami. Poza sportem ich życie w żaden sposób się nie zazębiało - nie miały wspólnych przyjaciół, ani kochanków, ani perspektyw zawodowych, mogły bez ryzyka opowiadać sobie o wszystkim.

Ubrane w podobne legginsy i krótkie koszulki z lycry, z włosami związanymi w końskie ogony podskakujące w równym rytmie, rozmawiały urywanymi zdaniami, biegnąc wczesnym rankiem po ulicach miasta.

- Nie jestem niewinna - mówiła dalej Chelsea. - On też nie. Seks czasami się udaje, a czasami nie.

Kiedy się nie udaje, to jest źle. Obie o tym wiemy.

- Ale nie wiesz jak jest, dopóki nie spróbujesz. Więc dlaczego tego nie zrobisz?

Chelsea sto razy zadawała sobie to samo pytanie. - Carl jest dla mnie jak brat. Coś wydaje mi się nie w porządku.

- Czy on cię podnieca?

- Nie wiem. Nie jestem w stanie myśleć o nim w ten sposób.
 - Co czujesz, kiedy cię całuje?
 - To miłe.
 - Po prostu miłe?
 - Nie łączy nas gorąca namiętność. Daje mi czas.
 - Chelsea biegła i dalej o tym myślała. -1 dodatkowo się denerwuje. Chce, żeby to wyszło. Boi się, że może być inaczej.
 - Nie sądzisz, że coś w tym jest? Cydra umiała znajdować to coś.
 - Ale lepiej będzie, jeżeli spróbujesz, Chels. Do diabła, masz rację, seks ma znaczenie. Jeżeli nie jest dobrze, to wróży kłopoty. Dlatego właśnie Jeff i ja się rozwodzimy.
 - Wiele ranków rozmawiały o małżeństwie Cydry, wtedy, kiedy ta musiała rozładować złość. Twierdziła, że najważniejszą z przyczyn rozpadu jej małżeństwa był właśnie seks.
 - On chciał, a ja nie. Wydawało mi się, że pociąg do niego pojawi się z czasem. I nie pojawił się, bo albo jest, albo nie.
 - A jeżeli nie ma?
 - To tylko tracisz czas. Są jeszcze inni mężczyźni. Możesz ze mną chodzić do barów dla samotnych.
 - Nienawidzę barów dla samotnych. Chcę, żeby wyszło mi z Carlem.
- Cydra zachichotała. - Więc spróbuj i zobaczysz. Może być świetnie, a wtedy będziesz sobie pluła w brodę, że tak długo czekałaś.
- Chelsea jednak nie chciała niczego przyspieszać, a praca jej w tym pomogła. Harper, Kane, Koo byli bardziej obciążeni pracą niż kiedykolwiek przedtem. Właśnie skończyła projekt biblioteki w Delaware i była w trakcie projektowania ośrodka zdrowia, klubu łyżwiarskiego i biura agencji ubezpieczeniowej. Jednocześnie nadzorowała wstępne projekty dwóch innych obiektów. Namiętność wymagała koncentracji. Przynajmniej tak sobie to tłumaczyła. Przy takim obciążeniu pracą nie miała czasu, żeby się koncentrować w taki sposób, a Carl to rozumiał.

To, czego nie rozumiał, to dlaczego w nawale pracy zdecydowała się polecieć na północ, żeby zobaczyć granit.

- Zastanawiam się nad wykorzystaniem białego granitu w biurach agencji ubezpieczeniowej - usiłowała wytłumaczyć. - Wiesz, jak trudno go zdobyć.

- Wiem też - powiedział Carl, siadając na rogu jej biurka - że każda duża firma wydobywająca granit ma swoich przedstawicieli, którzy z przyjemnością zaprezentują ci próbki. Po prostu chodzi ci o to - powiedział, podrzucając plastikową ekierkę - żeby rozejrzeć się w Norwich Notch. Zapisalaś Norwich Notch, Plum Granite i numer telefonu. Masz zamiar stanąć na środku miasteczka i powiedzieć: „Oto jestem. Czy ktoś się do mnie przyzna?”

- Oczywiście, że nie.

- Więc co?

Podniosła na niego wzrok, czując jak narasta w niej bunt. Jeżeli wydawało mu się, że zbliżenie między nimi daje mu prawo dyktować jej, co ma robić, a czego nie, to bardzo się mylił. Była wolnym człowiekiem. Była równorzędnym partnerem w firmie. Miała prawo podróżować dokąd zechce i kiedy to uzna za stosowne, nie musząc się nikomu opowiadać.

Jednak, wzięwszy pod uwagę, kim Carl dla niej jest, nie mogła zaprzeczyć, że chciała pojechać do Norwich Notch nie tylko z powodu granitu. - Chcę zobaczyć to miasteczko. Po prostu zobaczyć.

Przedsiębiorstwo eksploatuje żyłę białego granitu, nie ma miejscowego przedstawiciela z próbkami, a ja chciałabym zobaczyć ten granit. Nie dowiem się niczego o sobie. Nie będę zadawać pytań na swój temat, bo to byłoby niestosowne.

- Plany biura agencji ubezpieczeniowej są jeszcze we wstępnej fazie. Wcale nie mówili, że chcą granitu. Czy nie za bardzo wybiegasz naprzód?

Westchnęła i powiedziała cicho: - Myślę, że potrzebujemy przerwy.

Cały czas podrzucał ekierkę.

Kiedy już nie mogła znieść jego milczenia, w odruchu szczerości wykrzyknęła: - Musimy coś zrobić, Carl! Nasz związek osiągnął pewien etap i nic dalej się nie dzieje. Co jest nie tak?

Nie odezwał się. Wyobrażała sobie, że jest równie zmieszany jak ona i zupełnie irracjonalnie zrobiło jej się przykro. Chciała, żeby był silny. Chciała, żeby miał odpowiedzi na jej pytania. Chciała, żeby skłonił ją do zmiany planów mówiąc, że jest zakochany w niej do szaleństwa i będzie za nią tęsknił, jeżeli wyjedzie nawet na trzy czy cztery dni. Chciała, żeby żarliwie jej pragnął. To było wszystko, czego potrzebowała, a on, jeżeli choć trochę ją znał, z pewnością o tym musiał wiedzieć.

Ekierka w końcu znalazła się na jego udzie, a jej najdłuższy bok sterczał w powietrzu, jak przeszkoda, którą należało pokonać. - Może potrzebujemy jeszcze trochę czasu?

Westchnęła zniechęcona, choć wiedziała, że to niesprawiedliwe żądać od niego, by był tym wszystkim, czym ona nie jest. - Być może.

- Trudno jest nagle zmienić swój sposób myślenia.

Chelsea uderzyła myśl, że coś, co jest naturalne i właściwe, nie powinno wymagać tyle wysiłku, że robią coś na siłę, że może oboje pragną miłości, namiętności i dzieci bardziej niż siebie nawzajem, i w takim razie to dobrze, że polecą na północ. Potrzebowała czasu do namysłu, czasu, żeby się przekonać, czy będzie jej go brak. Jeżeli nie, miała przed sobą trudną decyzję.

ROZDZIAŁ 4

W Norwich Notch koniec marca był zawsze deszczowy. W koleinach gromadziły się kałuże, które obracały niebrukowane drogi w bagno, a wokół uparcie zalegały zwały starego zlodowaciałego śniegu, który w miarę rozmarzania gruntu wolno znikał. Samochody i furgonetki z trudem toczyły się po mokrej nawierzchni. Gdy na chwilę zapanowała cisza, słychać było szmer potoków płynących z góry Acaturk, spadających w przepaść i wpływających do Notch.

Dopóki Chelsea nie zaparkowała samochodu obok trójkątnego skwerku, słyszała tylko miarowe bębnienie kropel deszczu o dach samochodu, rytmiczne uderzenia wycieraczek i własne serce, w podnieceniu łomoczące w piersi.

Trwało to od godziny. Poleciała rannym lotem z Baltimore do Bostonu, wynajęła samochód i pojechała na północ, i chociaż wyraźnie widziała drogowskazy, spodziewała się zobaczyć Norwich Notch za każdym zakrętem. Z niecierpliwością mijała kolejne miasteczka, dopóki kościoły z białymi wieżami, bary o zaparowanych szybach i niskie kamienne płoty nie zwały się w jedno. Kiedy minęła Stotterville, graniczące z Notch, poczuła, jak samochód zaczyna lekko rzezić wspinając się pod górę, i zaczęło ją ogarniać coraz większe podniecenie. Deszcz, chłód i całe to otoczenie stało się nieważne; jej podniecenie osiągnęło szczyt.

Tu się urodziła. Przy jednej z tych małych uliczek odchodzących od centrum miasta stał ten dom i chociaż nie miała pojęcia, która to była uliczka, ani który dom, ani czy nadal istniał, na samą myśl o tym czuła się głęboko poruszona. Podobnie jak na myśl, że jej matka musiała spacerować po tych ulicach, kiedy była z nią w ciąży, musiała przechodzić obok tego skweru,

siadywać na starych drewnianych ławkach i przypatrywać się wystawom domu towarowego Farra. Najbardziej jednak poruszała ją możliwość, że kiedy tak stała i obserwowała, któreś z jej biologicznych rodziców we własnej osobie mogło przechodzić obok. Co prawda w tym deszczu prawie nikogo nie widziała, a przynajmniej nikogo w odpowiednim wieku, ale gdyby dostatecznie długo czekała, mogłoby to się wydarzyć.

Oczywiście nie miała zamiaru czekać. Jeżeli którekolwiek z jej rodziców nadal żyło - a to budziło poważne wątpliwości - musieli już o niej zapomnieć. Odkąd Abby otrzymała kluczyk, nie było już żadnej próby kontaktu. Teraz Chelsea była już dojrzałą, samodzielną kobietą, która przyjechała do tego miasteczka w interesach. Pomyślała jednak, że sprawiedliwości stałoby się zadość, gdyby ktoś spojrzął na nią i zobaczył ducha z przeszłości.

Z przyspieszonym oddechem wysiadła z samochodu, narzuciła na głowę płaszcz przeciwdeszczowy i pobiegła do domu towarowego tak prędko, jak tylko nogi w płaskich butach mogły ją ponieść przez wyboisty chodnik. Kiedy planowała ten wyjazd, nie wzięła pod uwagę pogody, a przydałby się jej parasol.

Kiedy otwierała drzwi, zadźwięczał dzwonek. Ściągnęła płaszcz z głowy, przerzuciła go przez ramię i przejechała palcami po gęstych falujących włosach, które opadały jej na ramiona, przytrzymywane tylko spinką za uchem. Ta fryzura była swobodniejsza niż koczek, który zwykle nosiła w pracy, ale właśnie dlatego się na nią zdecydowała. To była prowincja. Ludzie tutaj mieli prostsze gusta, a ona nie chciała wyglądać pretensjonalnie. Z tego samego powodu włożyła krótką spódnicę, sweter i długi luźny żakiet. To dało efekt powagi, a jednocześnie swobody, i tak właśnie chciała być odebrana. Była poważna, aczkolwiek niezupełnie swobodna. Czuła, że miotają nią sprzeczne emocje. Nie wiedziała, czego zdoła się tutaj dowiedzieć. Nie była nawet pewna, czego chciałaby się dowiedzieć.

Oszołomiona rozejrzała się wokół. Młoda kobieta z dzieckiem przy biodrze wybierała sałatę ze stoiska ze Świeżymi warzywami. Dwie inne kobiety - matka i córka, wynioskowała Chelsea z ich podobieństwa - wyjmowały i wkładały suche kwiaty z wiklinowego koszyka. Starszy mężczyzna w okularach bez oprawki przeglądał ilustrowane czasopismo przy stoisku z prasą, nad którym olbrzymie napisy namawiały do wzięcia udziału w kościelnej kolacji z tańcami z okazji prima aprilisu. Chelsea odetchnęła kilka razy, żeby się rozluźnić. Wszyscy ludzie wokół niej mieli na sobie płaszcze - byli więc klientami - mogła zatem rozglądać się wokół nie będąc obserwowana przez sprzedawcę. Chciała mieć trochę czasu, żeby móc przyzwyczać się do myśli, Że jest tutaj. Chciała też dowiedzieć się czegoś o miasteczku. W tym celu zaczęła przechadzkę wzdłuż kolejnych rzędów. Pierwsze, co rzuciło jej się w oczy, to fakt, że mieszkańcy Norwich Notch mieli możliwość dobrego odżywiania się. Tuż obok lady ze świeżymi warzywami i owocami była lada z mięsem, która oferowała wszystko od jagnięcych nerek, poprzez piersi kurczaka aż do filetów Z polędwicy. Obok sery - brie, camembert i harvati z koperkiem. Były puszki, suszone owoce i woda mineralna, i choć Chelsea nie spodziewała się znaleźć niczego bardziej wyrafinowanego niż kawa Maxwell House w szklanym słoiku, odkryła co najmniej tuzin odmian kawy ziarnistej. Najwyraźniej ludzie z Norwich Notch lubili ładne rzeczy. Zobaczyła tkane serwetki w różnych kolorach, śliczne emaliowane garnki w żywych barwach, rzeźbione deseczki do sera, ozdobne półmiski i cały asortyment kubków, nie wspominając już o suchych kwiatach i koszykach o interesujących kształtach, przy których stały dwie kobiety. Spojrzały na nią z ciekawością, acz nie podejrzliwie. Uśmiechnęła się do nich niewinnie i poszła dalej.

Dalej były wełniane kapelusze, rękawiczki i szaliki, bawełniane spodnie, dzianiny i skarpetki. Wyraźnie mieszkańcy Norwich Notch preferowali naturalne tkaniny, podobnie zresztą jak sama Chelsea, i mimo że wyroby pochodziły z klasycznej kolekcji L.L. Bean, ceny na metkach były umiarkowane.

Chelsea cofnęła się w kierunku wejścia. Stała pomiędzy wystawą książek kucharskich Przyjaciół Biblioteki w Norwich Notch i niską drabinką, na której stopniach stały artystycznie ułożone puszeki syropu klonowego miejscowej produkcji. Każda z nich miała ręcznie wypisaną naklejkę i Chelsea poczuła, jak bardzo jej ulżyło. Spodziewała się niechlujnego sklepu w starym stylu, gdzie warstwa kurzu pokrywała zbyt długo leżące na półkach artykuły. Farr sprawił jej przyjemną niespodziankę. Podeszła do niej jakaś kobieta. Była z pięć centymetrów niższa od Chelsea i wyglądała na starszą o rok czy dwa, chociaż Chelsea oszacowała wiek patrząc na jej gładką skórę. Gdyby wzięła pod uwagę jej piaskowe włosy ściągnięte na czubku głowy w surowy koczek, czy niezbyt staranną spódnicę i bluzkę, oceniłaby ją jako dużo starszą.

Pracowała w sklepie. Jej piwne oczy, różniące się tylko o jeden odcień brązu od zielonych oczu Chelsea, były zatroskane, ciepłe i przyjazne, choć była w nich jakaś nieokreślona nieśmiałość.

- Szukam parasola - powiedziała Chelsea, rozglądając się wokół z ciekawością. - Jestem przekonana, że gdzieś je widziałam.

Kobieta łagodnym gestem nakłoniła ją, żeby poszła za nią i razem przeszły dwa rzędy dalej, gdzie w wielkiej donicy stała kolekcja parasoli. Chelsea automatycznie chciała kupić składaną parasolkę, która bez trudu zmieściłaby się w jej aktówce, ale kiedy zaczęła wybierać, zorientowała się, że pomysł jest bez sensu. Mała parasolka nie spełniłaby tu zadania. Potrzeba było czegoś solidnego, co zniósłoby więcej niż krótki sprint do

taksówki. Mieszkańcy Norwich Notch byli surowi i zahartowani. Pomimo filetów z polędwicy, dobrych gatunków kawy i serów, to jednak była prowincja.

Kiedy ta myśl zaświtała jej w głowie, Chelsea odczuła zadowolenie. Był to tylko krótki przeblysk, który pojawił się i zniknął tak szybko, że mogłaby go nie zauważyć, gdyby to nie było coś, czego od tak dawna nie odczuwała. To było miłe, mimo że tak szybko przeminęło, i wiedziała, że jeżeli to uczucie pojawiło się raz, to przyjdzie znowu. Niosło ze sobą jakąś obietnicę, podobnie jak srebrny kluczyk. Nie przywiozła go ze sobą, bo nie przyjechała tutaj, by zadawać pytania. Była tu w interesach i po to, żeby się rozejrzeć i zdecydować, jaki przyjąć kierunek postępowania.

Wybrała parasol w kwiatowe wzory. Nie był w jej zwykłym stylu - kwiatki zebrane w małe bukietiki i całość trochę przesłodzona, za to rączka z lekkiego, gładkiego drewna dobrze leżała jej w dłoni.

Podalała go kobiecie i sięgnęła do kieszeni po portfel.

W drodze do kasy minęła stoisko z prasą. Starszy mężczyzna dalej tam stał i czytał tę samą gazetę. Przypuszczała, że kiedy przeczyta wszystko, co go interesuje, po prostu odłoży gazetę na miejsce i wyjdzie ze sklepu. W mieście takie postępowanie nie byłoby tolerowane. Tutaj wydawało się na miejscu, tylko trochę osobliwe.

Niedbałym gestem sięgnęła po miejscową gazetę. Położyła ją na ladzie obok parasola, a potem, wiedzioną impulsem, podeszła do drabiny z syropem klonowym i wzięła puszkę, i jeszcze książkę kucharską.

- Lubi pani gotować?

Napotkała spojrzenie wyblakłych oczu mężczyzny, którego ubranie wskazywało, że on również pracuje w sklepie. Był średniego wzrostu i tuszy, z typowymi jankeskimi rysami twarzy, bardzo jasnymi włosami i uśmiechem, który miał być czarujący. Gdyby Chelsea lubiła blondynów, mogłaby uważać go za przystojnego, ale wołała mężczyzn wysokich, ciemnych i dynamicznych, albo tak przynajmniej sobie wyobrażała.

- Nie potrafię gotować zbyt dobrze - wyznała - ale próbuję. - Kupowała książki kucharskie w różnych miejscach gdzie była. Zawsze lubiła je czytać, nawet gdy nie wykorzystywała przepisów.

- Ta książka jest fantastyczna. Została napisana przez tutejsze kobiety. Niektóre z tych przepisów są stosowane przez nasze rodziny od pokoleń. Jak na przykład w mojej rodzinie. Ja nazywam się Farr, jak na szyldzie na zewnątrz. Są tu przepisy Farrów i Jamiesonów, i przepisy Plumów. Te bardziej skomplikowane, to przepisy z gospody. - Kiedy mówił, obserwował ją. Rozmowa była tylko pretekstem. Nagle jego głos przybrał na sile. - Czy pani jest przejazdem?

- Jestem tutaj w interesach.

- To znaczy, że pani jest architektem albo dekoratorem wnętrz. - Kiedy spojrzała na niego z zaciekawieniem, powiedział: - Plum Granite jest jedynym zakładem w okolicy, który mógłby przyciągnąć kogoś takiego jak pani, a z pewnością nie jest pani inżynierem budowlanym. - Jeszcze raz obejrzał ją od stóp do głów i wziął od niej syrop. - Jest pani na to zbyt delikatna. Skąd pani jest?

Usiłując go zniechęcić do dalszej rozmowy, Chelsea zaczęła posuwać się w kierunku wyjścia. - Z Baltimore.

- Architekt czy dekorator wnętrz? - zapytał, idąc tuż za nią.

- Architekt. - Położyła książkę tuż obok parasola. Kiedy mężczyzna dołożył syrop, uśmiechnęła się do kobiety, która cierpliwie czekała, żeby nabić ceny na kasę.

- Syrop będzie pani smakować - powiedział mężczyzna. Pochylił się nad ladą, tylko o kilkanaście centymetrów od niej i skrzyżował ramiona na klatce piersiowej. - To miejscowy produkt.

Dotknęła naklejki i powiedziała: - Zauważyłam to.

- Szczerze mówiąc, to nieprawda. Syrop nie jest produkowany tu, na miejscu. Jest produkowany w Stotterville, ale to tylko formalność. Sok pochodzi z lasku

klonowego pomiędzy obydwoma miastami. Zakład jest w Stotterville, więc tam jest produkcja.

Widziała pani kiedyś, jak się robi syrop? Chelsea wpatrzyła się w kasę. - Nie, nie widziałam.

- A powinna pani. To bardzo interesujący proces. Mogłaby pani zwiedzić zakład podczas pobytu tutaj.

Na jak długo pani przyjechała?

- Na niezbyt długo - odpowiedziała uprzejmie.

- Teraz zbiera się sok. Mogłaby pani tam pojechać.

- Gwałtownym ruchem zepchnął ramię kobiety z kasy. Było to tak brutalne, że Chelsea aż podskoczyła. Równie gwałtownie jego głos zmienił się z troskliwie uprzejmego na napastliwy. -

Przyniesi tę książkę o cukrownictwie, Donna. Może pani zechce ją kupić.

- Nie, nie - zaprotestowała Chelsea, kiedy Donna

Krzywała nabijanie cen na kasę. - Nie ma potrzeby, łam tak mało czasu na czytanie. - Przerwała,

kiedy zorientowała się, że jej protesty były próżne. Donna już zdążyła umknąć. Kiedy Chelsea patrzyła jak odchodzi, Jej wzrok napotkał spojrzenie matki i córki, które stały obok, w milczeniu obserwując, co się dzieje. Starszy mężczyzna też opuścił gazetę.

Właściciel sklepu miał rozgniewaną minę. - Musi pani wybaczyć żonie. Mimo że pracuje w tym sklepie od dnia naszego ślubu, a to już czternaście lat, nadal nie nauczyła Mię zgadywać życzeń klientów. - Postukał się w głowę. - Jest trochę ociężała.

Jego żona. Chelsea była zażenowana jego szyderstwami i rozumiała, dlaczego kobieta prawie się nie odzywała. To było obrzydliwe. Chelsea postanowiła z nią porozmawiać któregoś dnia, kiedy jej męża nie będzie w pobliżu.

- Przepraszam - powiedziała i pogoniła za nią. Znalazła złą Donnę w kącie sklepu, który przedtem umknął jej uwagi, przerzucając książki na półce w poszukiwaniu tej, której zażądał jej mąż. Chelsea dotknęła jej ramienia i powiedziała łagodnie: - Proszę nie zadawać sobie trudu. Naprawdę mam w domu stos książek, które czekają, aż

znajdę czas na ich przeczytanie. Mam straszne zaległości. - Rozejrzała się wokół, sprawdzając, co jeszcze jest wystawione w tym kącie. Oprócz książek, wszystkich dotyczących spraw regionalnych, znajdowały się tam rękodzieła, takie jak szmaciane lalki, rzeźbione świece i ręcznie malowane na grubym jedwabiu kartki z życzeniami na różne okazje.

- Czy to wszystko miejscowe wyroby? - zapytała. Kiedy Donna przytaknęła, wyciągnęła z kosza opaskę na włosy, obszytą tkaniną w małe kwiatuszki. Kolejny słodki deseń, ale Chelsea przypadł do gustu i włożyła ją na głowę, przykrywając szylkretową spinkę. - W domu zawsze noszę opaskę. Dobrze w niej wyglądam?

Oczy Donny rozświeciły się aprobatą. Wydawało się, że twarz jej odmłodziła. Chelsea przyłożyła opaskę do włosów Donny. - To pani powinna ją nosić. - Wśród kolorów opaski był piaskowy, niemal identyczny jak odcień włosów Donny, a pozostałe, kontrastowe, wydobywały urok tego odcienia. - Wyglądałaby pani świetnie. Znakomita reklama. Jakie długie ma pani włosy?

Donna nakreśliła ręką linię na wysokości ramion.

- Są kręcone? - zapytała Chelsea. Patrząc na kilka kosmyków, które wymknęły się z jej koczka, podejrzewała, że tak. Kiedy Donna potwierdziła ponurym kiwnięciem, Chelsea szybko dodała: - Ja sama walczyłam z moimi przez długie lata. Próbowałam wszystkiego - prostowania w zakładzie fryzjerskim, nakręcania na puszki po soku pomarańczowym, modelowania na szczotce tak wielkiej, że byłaby odpowiednia dla mamuta, prasowania żelazkiem. Kilka lat temu poddałam się. - Sięgnęła do kosza, wybrała jeszcze dwie inne opaski i włożyła je wszystkie razem Donnie do ręki. - Biorę wszystkie trzy.

Kiedy wróciły do drugiej części sklepu, zadźwięczał dzwoneczek na drzwiach wejściowych, sygnalizując wyjście matki i córki, a mąż Donny, wyraźnie wściekły, zamykał z trzaskiem szufladkę kasy. - Już myślałem, że wyszłaś na lunch.

Stając w obronie Donny, Chelsea powiedziała: - Pani pokazywała mi różne rzeczy, których przedtem nie zauważyłam. Te opaski są śliczne. - Dyskretnie zajęła się grzebaniem w portfelu. Kiedy zapłaciła już za wszystko, powiedziała: - A propos lunchu, czy jest jakieś miejsce, gdzie mogłabym szybko coś zjeść? - O pierwszej miała IDOtkanie w Plum Granite. Było już piętnaście po dwunastej, a nie jadła niczego od świtu.

- Jest bar - zasugerował starszy mężczyzna trzęsącym się głosem. Stał obok, ze złożonymi kościstymi rękami, I całkowicie przerzucił swą uwagę z gazety na Chelsea. W jego oczach nie zauważyła błysku rozpoznania. Raczej, tak jak tamte dwie kobiety, patrzył na nią jak na ciekawostkę.

Na samą myśl o barze ślinka napłynęła jej do ust. - Ooo?

- No - mówił dalej - tylko nie jest otwarty w porze lunchu.

- Och.

- Otwierają go na kolację. W piątki podają świetną rybę.

Kiwnęła głową. - Aha.

- Proszę spróbować w gospodzie - powiedział mąż Donny. - Jeżeli pani zapyta o Shelby i powie jej pani, że to ja panią przysłałem i że się pani spieszy, będzie pani obsłużona błyskawicznie. To moja dobra znajoma. - Wyciągnął rękę. - Ja nazywam się Matthew Farr. A pani?

Wahanie Chelsea trwało ułamek sekundy. Wyobraziła sobie, jak podaje swoje imię i nazwisko, a wszyscy wokół sztywnieją i zaczynają się w nią wpatrywać. Wyobraziła sobie ogłuszający grzmot i uderzenie błyskawicy, kiedy całe miasto zorientuje się, że utracona przed laty córka powróciła. Ale jeżeli nie zdradziła jej twarz, pomyślała, dlaczego miałyby ją zdradzić nazwisko?

Zawstydzona własną głupotą, ucisnęła jego rękę i powiedziała: - Chelsea Kane. - Potem z uśmiechem odwróciła się do Donny. - Dziękuję za pomoc. Jestem pani bardzo wdzięczna.

Wcisnęła pod pachę torbę z zakupami, przeszła przez drzwi i rozłożyła parasol.

Gospoda w Norwich Notch znajdowała się po przeciwnej stronie skweru niż Farr. Chelsea, chroniąc się pod parasolem przed miarowo zacinającym deszczem, włożyła pozostałe zakupy do samochodu i postanowiła trochę się przespacerować. Ponownie minęła dom towarowy, a potem kolejno Stowarzyszenie Historyczne w Norwich Notch, pocztę, Cech Kołdrzarek i bibliotekę. Domy reprezentowały różne style - mur pruski lub czerwona cegła, jedne w stylu typowym dla przylądka, inne kolonialne, jeszcze inne w stylu federalnym. Na każdym widniała tabliczka, oznajmiająca, co się w nim mieści. Na rogu skweru górował nad sosnami kościół parafialny. Schludny napis na fasadzie oznajmiał, że służy on również jako miejsce zgromadzeń dla miasta.

Wspięła się na szerokie granitowe schody, otwarła wysokie podwójne drzwi i weszła do środka.

Przedsiónek był wysoki i pachniał starym drewnem i ambrawą, a jego ściany były dosłownie wytapetowane ogłoszeniami. Niektóre z nich dotyczyły spraw kościelnych, takich jak próby chóru, spotkania zarządu parafii; było też takie samo ogłoszenie jak u Farra - o kolacji z tańcami z okazji prima aprilisu. Inne dotyczyły spraw miasta - skauci rozprowadzali prenumeratę czasopism, żeby zarobić na wycieczkę do Waszyngtonu, międzymiasteczkowa liga koszykówki publikowała kalendarz rozgrywek eliminacyjnych, miejscowy szpital planował akcję krwiodawstwa. Większość ogłoszeń dotyczyło jednak planowanego zgromadzenia mieszkańców. Miało się ono odbywać w przyszłym tygodniu, codziennie, począwszy od poniedziałku, „dopóki każda sprawa nie zostanie poruszona, rozważona i rozwiązana, zgodnie z postanowieniem przewodniczącego, pana Emery'ego Farra” - przeczytała Chelsea, a potem z rozbawieniem popatrzyła na punkty porządku dziennego. Była propozycja zakupu

nowego dystrybutora wody pitnej na szkolne podwórko, nowego węża o dużej średnicy dla straży pożarnej i kosiarki dla miejskiego Wydziału Autostrad. Były jeszcze sprawy wspólnych przedsięwzięć z sąsiednimi miasteczkami i z władzami stanu, przerobu surowców wtórnych, zmiany godzin otwarcia miejskiego wysypiska śmieci, zakazu żucia tytoniu na miejskim boisku w czasie rozgrywek Małej Ligi.

Chelsea zorientowała się, że miasteczko traktuje swoje sprawy z powagą, a jak na tysiąc stu mieszkańców, bardzo dużo się tu dzieje.

Powróciła na schody wejściowe i ogarnęła wzrokiem widok miasteczka, jaki się przed nią rozpościerał. Miało w sobie potencjalne piękno, widziała to dokładnie. W słoneczne dni, kiedy trawa była zielona i kwitły kwiaty, mogła to być przemiła maleńka miejscowość. W deszczu wszystko wyglądało szaro i ponuro, ale w domu towarowym Farra było przecież przyjemnie. Zastanawiała się, jakie jeszcze niespodzianki kryją się za innymi zamkniętymi drzwiami.

Tym razem przespacerowała się po przeciwnej stronie skweru i minęła bank, biuro prawne, na którego piętrze był fryzjer, piekarnię i gospodę. Przystanąła, żeby zastanowić się nad szybkim lunchem, ale uznała, że z niego zrezygnuje. Nie miała dość czasu, a poza tym nie była już głodna. Czowała tylko głód poszukiwania i odkrywania.

Właśnie miała przejść skwer na skos i wrócić do samochodu, kiedy przeciął jej drogę motocykl, wjeżdżający z jednej z bocznych uliczek. Zachwiała się na krawężniku, po czym cofnęła się. Tuż obok niej motocykl zwolnił. Motocyklista, w długim czarnym prochowcu i kasku, przyjrzał się jej i zwolnił. Na rogu skweru zawrócił i pojechał w przeciwnym kierunku, a kask mu się obracał, kiedy się w nią wpatrywał. Chelsea, która nigdy nie dawała się zastraszyć miejskim motocyklistom, tym razem nawet nie drgnęła. Stała w miejscu, aż okrążył cały skwer i zatrzymał motocykl kilka metrów przed nią.

Podniósł w górę szybkę kasku. - Chelsea Kane?

W tym momencie poczuła, że on ma przewagę i żałowała że nie widzi jego twarzy oprócz fragmentów oczu i nosa. - Zgadza się.

Fakt, że jego usta pozostawały zakryte, nie zmienił tonu jego głosu, jedynie lekko przytłumił dźwięk. Nie bawił się w uprzejmości. - Jest pani przed czasem.

- Kim pan jest? - Zakładała że pracuje w kamieniołomach, bo wiedział o jej spotkaniu, ale nie miała pojęcia, na jakim stanowisku. Prosty robotnik nie wiedziałby, kim ona jest. A nikt z kierownictwa wyższego szczebla nie szalałby po mieście na kawasaki. A może? Była przyzwyczajona do wielkomijskich firm i to tych największych. O małych prowincjonalnych przedsiębiorstwach nie wiedziała nic.

- Nazywam się Hunter Love - powiedział. - Pracuję dla starego. Czy pani się zgubiła?

- Nie, po prostu rozglądałam się po mieście.

- Tu nie ma zbyt wiele do zobaczenia oprócz kamienia.

- Nieprawda. Miałam zamiar przejechać się wokół samochodem. Moje spotkanie rozpoczyna się dopiero o pierwszej.

- Daleko pani nie zajędzie. To pora błota. - Wskazał głową samochód. - Ta zabawka nie ma napędu na cztery koła ani przyczepności.

- Nie ma sprawy. Będę jeździła po drogach asfaltowych.

- Nie ma ich zbyt wiele. Wyczerpią się długo przed pierwszą. - Spostrzegła, że jego spojrzenie jest nieruchome i wyzywające. - Jeżeli chcesz się przejechać na wycieczkę, to wskakuj.

Chelsea potrząsnęła głową. - Nie dziękuję. Nie jestem odpowiednio ubrana.

- Boisz się?

To szyderstwo rozzłościło ją. - Nigdy w życiu. Jeździłam przedtem na motocyklach. Prowadziłam motocykle i to większe niż twój. Ale tu przyjechałam w interesach.

- Wiele tu nie zdziałasz - rzucił, nie zrażony odmową.

- Dlaczego nie?
- Firma ma kłopoty.
- Jakie kłopoty?
- Finansowe.

Przy obecnej recesji nie było w tym nic niezwykłego. Zdziwiła się tylko, że mówi o tym bez zahamowań.

- Doprawdy?
- Naprawdę. Z każdym miesiącem coraz trudniej zdobyć pieniądze na wypłatę dla robotników. Jamieson nie da nam już kolejnej pożyczki, a stary chce prowadzić sprawę tak, jak robił to przez ostatnie sto lat. Faktem jest, że nigdy nie miał pojęcia o prowadzeniu firmy, chyba że mowa o prowadzeniu w przepaść.

Jego beznamiętny głos budził zaufanie dla rzetelności tej oceny sytuacji. Hunter Love nie był dobrym rzecznikiem Plum Granite. - Dlaczego mi to wszystko mówisz? - zapytała Chelsea.

Niedbale wzruszył ramionami. - Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć.

- A co on by powiedział, gdyby odkrył, że mi to właśnie powiedziałaś?

Zobaczyła, jak jego oczy lekko drgnęły, ściągnęły się w kącikach; nie wiedziała, czy z rozbawienia, czy z urazy. - Powiedziałby to samo, co mówi od trzydziestu lat. „Nie nadajesz się do niczego, Hunterze Love. Nie masz ani odrobiny oleju w głowie. Nie wiem, po co cię tu trzymam.” Ale cały czas mnie trzyma i zawsze będzie trzymał. Zmusza go do tego poczucie winy, a ja z tego korzystam. Ma wobec mnie dług. - Zasunął szybkę kasku, dodał gazu i odjechał, a gdyby Chelsea stała bliżej, fontanna błota spod jego kół opryskałaby ją od stóp do głowy.

Tuż przed pierwszą Chelsea wjechała w małą uliczkę we wschodniej części miasta i zatrzymała się przed numerem dziewięćdziesiąt siedem. Gdyby nie zauważyła małej tabliczki z napisem PLUM GRANITE, mogłaby

pomyśleć, że zablądziła. Spodziewała się czegoś o wiele bardziej imponującego, jako że Plum Granite było największym przedsięwzięciem w mieście.

Biurowiec był małym jednopiętrowym budynkiem z dachem pokrytym łupkiem, z białą fasadą, i w deszczu sprawiał wrażenie dość obskurnego. Patrząc z lewej strony, widziało się dwa okna, drzwi wejściowe z trójkątną attyką i długą, niezgrabną przybudówkę, spełniającą rolę garażu.

Na podjeździe stał mały ford escort, nieco nowszy Chevrolet blazer i brudna szara ciężarówka z brudnymi białymi napisami. Zza ciężarówki wystawała końcówka rury wydechowej motocykla Huntera Love.

Chelsea zaparkowała na ulicy obok pozbawionego liści szkieletu drzewa świętojańskiego. W pobliżu było wiele bezlistnych drzew - klony, brzozy, bzy i forsycje - i jeszcze wiecznie zielone krzewy, całe mokre i znękane zimą. Wysiadła z samochodu, wzięła aktówkę pod rękę, otworzyła parasol i przeszła przez niebrukowaną ścieżkę. Nie było dzwonka, zastukała więc, zanim otworzyła drzwi.

Sekretariat był mały. Wydawał się jeszcze mniejszy, był bowiem zagracony trzema szafami na segregatory, dwoma składanymi krzesłami, dużym metalowym biurkiem, i wytapetowany masą kalendarzy i informacji przyczepionych do każdego wolnego fragmentu ściany. Za biurkiem siedziała drobna kobieta o krótkich szpakowatych włosach, jasnej karnacji i żywych oczach, w których widniała ta sama ciekawość, jaką Chelsea zaobserwowała u klientów domu towarowego.

Podejrzewała, że w tym wypadku ciekawość została dodatkowo pobudzona tym, co Hunter Love mógł o niej powiedzieć.

Zachowując się jak stuprocentowa kobieta interesu, Chelsea przedstawiła się. - Mam umówione spotkanie z panem Plumem. Czy jest w biurze?

Kobieta kiwnęła głową. Wzięła słuchawkę, przyłożyła ją do ucha i powiedziała głośno: - Proszę pana, panna Kane już przyszła.

Zza otwartych drzwi gabinetu, padły gburowate słowa: - Niech wejdzie.

Chelsea miała poważne podejrzenie, że interkom nie działał lub wręcz nie istniał, a obie wersje potwierdzały głowa Huntera, że katastrofa jest tuż za progiem. Po podłodze z desek przeszła do gabinetu. Ledwie znalazła się za progiem, jej kroki zaczęły się odbijać echem. W przeciwieństwie do sekretariatu, gabinet był niezwykle oszczędnie wyposażony. Były tam dwa twarde krzesła, proste drewniane biurko, na którym stał telefon, i biblioteczka z nielicznymi, wystrzępionymi segregatorami. Na ścianach wisiała kolekcja pożółkłych fotografii w tanich czarnych ramkach, które Chelsea, gdyby była sama w pokoju, chętnie by dokładnie obejrzała. Nie była jednak sama. Było tam trzech mężczyzn. Tylko jeden z nich był na tyle Stary, żeby być OHverem Plumem.

Ich oczy się spotkały.

- Pan Plum?

Szczupły, z przerzedzonymi siwymi włosami zaczesanymi do tyłu nad wysokim czołem, z ustami prostymi niczym linijka, Oliver Plum był najsurowiej wyglądającym mężczyzną, jakiego Chelsea kiedykolwiek widziała. Rozległo się skrzywienie ślizgających się nóg krzesła i Plum wyprostował wolno swoją długą postać, włożył dłonie za szelki i wpatrzył się w nią.

Postanowiła nie podawać mu ręki. - Jestem Chelsea Kane. Przyjechałam obejrzeć biały granit, który pana przedsiębiorstwo wydobywa.

- Po co jest pani potrzebny? - zapytał głosem bardzo mocnym, jak na człowieka w jego wieku, i zaskakująco niechętnym tonem, jak na kogoś, kto potrzebował zamówień.

- Projektuję biurowiec dla agencji ubezpieczeniowej.

- Tylko pani?

- Owszem, to mój projekt, ale jestem częścią firmy.

- Takiej luksusowej, z trzema nazwiskami.

- Luksusowej? Nie wiem. Ale jesteśmy dobrzy.

- Jak dobrzy?
- Mamy coraz więcej zamówień, za każdym razem większych i droższych.
- A wasze zyski?
- Rosną. Ale nie przyjechałam tu, żeby o tym rozmawiać - powiedziała. - Ja i moi partnerzy często wykorzystujemy granit w naszych projektach. Nieustannie szukamy nowych źródeł zaopatrzenia.
- Nie ma nic nowego, jeżeli chodzi o Plum Granite
- zaprotestował Oliver. - Działamy od 1810 roku, od siedmiu pokoleń. Był czas, kiedy wydobywaliśmy kamień jednocześnie w sześciu kamieniołomach w trzech hrabstwach. Nie, my nie jesteśmy nowi i pani o tym dobrze wie. Pani chciała kupić nasz kamień już wcześniej, ale potem zmieniła pani zdanie.

Chelsea musiała przyznać, że miała znakomitą pamięć. Nie miała jednak zamiaru dać się zepchnąć na pozycję obronną. - To nie całkiem tak, panie Plum. Nie zmieniliśmy zdania. Pan nigdy nie wszedł na naszą listę potencjalnych dostawców. Od samego początku pana cena była za wysoka.

- A pani wyobraża sobie, że teraz opuszczę? Niech pani się jeszcze zastanowi, panienko. W pokoju rozległo się lekceważące parsknięcie. Oliver Plum odwrócił się w kierunku mężczyzny, który je wydał,

- Czy masz coś do powiedzenia?

- Tak. Mamy najlepszy biały granit w okolicy i potrzebujemy zamówień. Nie mów jej z góry, że cena jest za wysoka. Jeżeli spodoba jej się kamień, możemy negocjować.

Tym mężczyzną był Hunter Love. Chelsea rozpoznała jego głos. Spodziewała się, że jest młodszy i zdziwiła się, że jest mniej więcej w jej wieku, choć pewna twardość w rysach jego twarzy sprawiała, że wydawał się nawet starszy. Oczy miał brązowe, podobnie jak długie włosy, które potargały się pod kaskiem. Wyglądał na zbuntowanego, a to wrażenie pogłębiał jeszcze mały złoty kolczyk w uchu. Ubrany był w czarną koszulę i dżinsy,

trochę zniszczone, ale czyste. Na oko miał około metra osiemdziesięciu i choć nie dorównywał Oliverowi wzrostem, obydwaj byli równie aroganccy.

- Nie stać nas na negocjacje - warknął Oliver.
- Nie stać nas na to, żeby nie negocjować - odwarknął Hunter.
- Jak obniżymy cenę, stracimy pieniądze.
- Jak utrzymamy, stracimy pracę.
- Nie możemy pracować za darmo.
- Nikt nas o to nie prosi.

Chelsea przerwała. - Problem ceny bierze się stąd, że granit musi być cięty i polerowany gdzie indziej. Dlaczego nie robicie tego na miejscu, jak większość tego typu przedsiębiorstw?

- Urządzenia kosztują za dużo - powiedział Oliver. Wpatrywał się w nią, kołysząc się na piętach.
- Czasami - powiedziała - trzeba wydać centa, żeby zarobić centa.
- Jeżeli nie ma się centa, nie można go wydać. - Można wziąć kredyt.

Oliver potrząsnął głową. - George się nie zgodzi. Już ma rząd na karku z powodu zbyt wielu takich kredytów. - George? - zapytała Chelsea.

Hunter wyjaśnił: - Jamieson. To jego bank jest przy skwerze. - Czy to jedyny bank w mieście?

- Zgadza się.
- Dlaczego nie możecie zwrócić się do jakiegoś innego banku?
- Dobrze pytanie. Chociaż nie nowe. - Hunter spojrzał na Olivera.
- Bank Jamiesona zawsze był bankiem Plum Granite
- powiedział Oliver, akcentując to niczym przysięgę.
- Zawsze był i zawsze będzie.
- No, to wszyscy razem utoniemy - otrzegł Hunter.
- Nikt nie utonie. Norwich Notch jest solidne jak skała.
- Czyżby?

- Bo zawsze trzymamy się razem. - Oliver odwrócił się do Huntera i zaczął wykład. - W mieście są trzy rodziny, które mają wpływ na każdego mieszkańca - Farrowie, Jamiesonowie i Plumowie. W każdej rodzinie ktoś pracuje u Plumów, w każdej rodzinie ktoś ma rachunek u Jamiesonów i w każdej rodzinie ktoś kupuje u Farrów. W tym jest tradycja i stabilność, i zaufanie, i wiele innych rzeczy, których mógłbyś nauczyć się w tej twojej ekskluzywnej szkole, gdybyś nie spędzał czasu na przebijaniu uszu kolczykami, zamiast używać ich do słuchania. Nie nadajesz się do niczego, Hunterze Love. Nie masz ani krzty oleju w głowie. Sam nie wiem, po co cię tu trzymam.

Chelsea zadźwięczały w głowie słowa, które słyszała na skwerze i spodziewała się, że Hunter ostro się odetnie. On natomiast oparł się wygodnie o parapet wychodzącego na ulicę okna, splótł ręce, a kąciki warg uniosły mu się odrobinę w górę. Przypominając sobie, co mówił o poczuciu winy, podejrzewała, że znajduje wystarczającą satysfakcję w drażnieniu Olivera. Nie była pewna, czy ma rację. Czekala, aż dowie się więcej.

Nagle uderzyła ją myśl, że nie powinno jej interesować nawet tyle, ile dowiedziała się do tej pory. Wprost nie wierzyła, że dała się wciągnąć w tę rozmowę. Przyjechała tu, żeby sprawdzić granit, a nie mówić właścicielowi, jak ma prowadzić firmę.

Spojrzała na zegarek. - Strasznie mi przykro, panowie, ale jeżeli wkrótce nie zobaczę granitu, spóźnię się na pozostałe spotkania.

- Z kim? - zapytał Oliver, przerzucając wściekłe spojrzenie z Huntera na Chelsea.

Chelsea nie chciała robić sekretów. - Tocci w Amherst i Petersen w Concord.

- Tocci nie robi w granicie.

- Nie, specjalizuje się w kamieniu polnym, ale tego też dużo stosuję. Nie przyjechałabym tak daleko tylko na jedno spotkanie. - Owszem, Norwich Notch interesowało ją, ale wcale nie miało się stać centralnym punktem ani

ostatecznym celem jej życia. Przed wieczorem miała zamiar dotrzeć do Wiscasse na wybrzeżu Maine i odwiedzić koleżankę ze studiów.

- Zajęta kobieta - wymamrotał Oliver. - Weź ją tam, Judd - powiedział, machając ręką i przez ułamek sekundy, kiedy Oliver patrzył na nią niczym na zakałą ludzkości, Chelsea poczuła dziwną więź z Hunterem. Potem Odwróciła się w kierunku trzeciego mężczyzny w pokoju i zapomniała o pozostałych dwóch. - Judd Streeter « mruknął Oliver, co miało oznaczać prezentację. - Jest U mnie kierownikiem. Weźmie panią do kamieniołomów i pokaże, co będzie pani chciała zobaczyć.

Do tego momentu Judd Streeter w milczeniu opierał się

o biblioteczkę. Teraz powoli wyprostował się. Był wyższy niż Oliver, ciemniejszy niż Hunter i choć Chelsea wątpiła, że znajdzie się na nim choćby gram tłuszczu, była w nim siła, której brakowało pozostałym mężczyznom. Gęste włosy obcięte były w taki sposób, że wyglądały dobrze nawet gdy był rozczochrany. Miał na sobie mokre do kolan dżinsy, niebieską roboczą koszulę i brudne wysokie buty. Wyglądało na to, że przyszedł prosto z kamieniołomów, ale nie było widać po nim zmęczenia. Kiedy podchodził do niej, jego ruchy były płynne, ręka, którą do niej wyciągnął, silna i pełna odcisków, i - gdyby tego jeszcze było mało - oczy miał ciemne, przepastne i szczere, i to do tego stopnia, że Chelsea poczuła, jak zapiera jej dech.

Kiedy wybierała się do Notch, spodziewała się gwałtownego wstrząsu i teraz dokładnie tak się czuła, ale z zupełnie innego powodu. Judd Streeter był, zupełnie po prostu, najbardziej atrakcyjnym mężczyzną, jakiego kiedykolwiek w życiu spotkała. Nie był najbardziej przystojny, nie miał najlepszych manier ani światowej ogłady. Był tylko przerażająco, wprost nieprawdopodobnie, oszałamiająco męski.

ROZDZIAŁ 5

Chelsea nie miała zamiaru dzwonić do Carla w czasie swej podróży, jako że jednym z powodów jej wyjazdu było to, żeby mogli trochę od siebie odpocząć.

Potem zmieniła plan pobytu i zaczęła się martwić, że gdyby Kevinowi coś się stało, Carl nie wiedziałby, gdzie jej szukać. Miała też ochotę usłyszeć jego głos. Był tak uspokajająco znajomy. Przyjaciół, po którym wiadomo, czego można się spodziewać. Nie naruszał jej spokoju, tak jak Judd Streeter.

Telefon dzwonił dziesięć razy, zanim powiesiła słuchawkę i wykręciła numer biura, ale jeżeli nawet Carl pracował po godzinach, nie odbierał telefonu, zostawiając włączoną automatyczną sekretkę. Była dziewiąta.

O dziewiątej trzydzieści spróbowała ponownie, potem znów o dziesiątej. O dziesiątej piętnaście wreszcie podniósł słuchawkę.

- Carl - westchnęła z ulgą - wszystko w porządku?
- Hej, Chels, jak się masz?
- Martwiłam się. Dzwonię od dziewiątej.
- Grałem w squasha. Mówiłaś, że nie będziesz dzwonić.
- Wiem, ale chciałam ci powiedzieć, że jestem jeszcze w Norwich Notch. Dopiero jutro pojedę do Glynnis.

W słuchawce zapanowała krótka cisza, a potem padło zdawkowe: - Co cię tam zatrzymało?

- Prawdę mówiąc, wyjechałam i wróciłam. Spotkałam się z Toccim i Petersenem, ale tu strasznie lało, więc nie mogłam dostatecznie dokładnie obejrzeć granitu. Do jutra rana ma się rozjaśnić, więc pomyślałam, że jeszcze raz spojrzę, zanim pojedę dalej na wybrzeże. Nieprawdopodobne, ale robotnicy w kamieniołomach pracują nawet w taką pogodę. Jedno wielkie bagno, grząskie i śliskie. Robią przerwę tylko w naprawdę ostre mrozy i to tylko dlatego, że wtedy kamień nie lupie się dobrze.

- Poczułaś coś, prawda? - powiedział Carl po ledwie zauważalnej przerwie.

Pomyślała o Juddzie Streeterze - o tym, jak była rozdygotana w środku, kiedy siedziała obok niego w szoferce półciężarówki, kiedy szła za nim do administracji kamieniołomów, kiedy pokonywała u jego boku kolejne stopnie w skale, żeby zbadać olbrzymie bloki granitu. Wiedziała, że to absurd, czysta fantazja. Oczywiście, Carl pytał o jej reakcję na Norwich Notch.

- Nie wiem - powiedziała, usiłując być nonszalancka. Coś czuła w stosunku do tego miasteczka, ale nie była pewna co. - Trudno jest cokolwiek czuć w stosunku do tak mokrego miejsca.

- Jak tam jest, oprócz tego, że mokro?

- To małe miasteczko. Spokojne. Fajny dom towarowy. Teraz jestem w gospodzie. Jest w samym środku miasteczka, tuż obok skweru. Podróżni zatrzymują się w niej od dwustu lat. Podobałaby ci się. Dużo ciemnego drewna i antyczne meble. - Kiedy mówiła, rozglądała się wokół. To miejsce było prawie taką niespodzianką jak Farr. - Pokoje były remontowane kilka lat temu. Ja mam pokój w bielach i błękitach, a tapeta i zasłony są dobrze dopasowane. Wszędzie jest deseń w malutkie kwiatuszki. Wydaje mi się, że jedyny deseń w całym mieście to malutkie kwiatuszki. Mam łóżko z baldachimem, kolonialne, jak reszta mebli. Jest jeszcze rzeźbiona skrzynia i sekretarzyk. I nawet lustro w złożonych ramach.

- Jak opowiadasz, to wydaje się bardzo ładne.

- Aha.

- A ludzie? Czy ktoś wydał się znajomy?

- Oczywiście, że nie.

- Czy ktoś się na ciebie gapił?

- Tylko dlatego, że jestem obca. Zjadłam kolację w restauracji na dole, włożyłam spodnie zamiast spódnicy, a i tak czułam się wysztafirowana.

Zachichotał i wydawało się, że się rozluźnił. - A jak granit?

- Na ile udało mi się zobaczyć, ładny. Zobaczę więcej jutro. Wpadnę też do zakładu w Nashua, który poleruje kamień z kamieniołomu Pluma. Być może kolor jest odpowiedni do mojego projektu, ale chcę być pewna. Biały z odcieniem szarości. Nie, nie całkiem, biały z odcieniem różu.

- A koszty?

- Prawdopodobnie do negocjacji. Potrzebują zamówień.

- Czy są w stanie wyprodukować określoną ilość na określony termin?

Zawahała się. - Nie jestem pewna. Mają problemy finansowe. Firma jest trochę zacofana, jeżeli chodzi o wyposażenie i wydajność.

- Czy sądzisz, że się zwiną?

Jeżeli tak, nie będą pierwsi. Dowiedziała się tego w czasie kolacji od kelnerki - nie Shelby, o której mówił Matthew Farr, ale dziewczyny o imieniu Jenny, która nie wyglądała na więcej niż dziewiętnaście lat i żeby nadać wagę wypowiedzanym przez siebie słowom, co chwilę wznosiła w górę oczy. A mówiła bez przerwy. Chelsea, która zawsze rano miała problemy z obudzeniem się i musiała w spokoju wypić dwie filiżanki kawy, modliła się, żeby dziewczyna nie pracowała na rannej zmianie.

Przy kolacji jednak z ciekawością słuchała wszystkiego, co dziewczyna miała do powiedzenia. Teraz opowiadała to Carlowi: - W ciągu ostatnich pięciu lat zwinęło się dwóch innych producentów granitu w tym stanie, więc Plum Granite mogłoby mieć kupę roboty, gdyby Plum potrafił zdobywać zamówienia. Niestety, to zrzędlivy stary dziad. Zraża do siebie większość ludzi.

- Ale nie ciebie.

- Jest kolejnym wyzwaniem.

- Jak zdobycie informacji, kim są twoi biologiczni rodzice.

Chelsea mogła przysiąc, że słyszała ironię w jego głosie. Zastanawiała się, czy to złudzenie wywołane poczuciem winy. Ale nie chciała kłamać. - Tak. Podobnie.

- Dowiadywałaś się?

Przejeżdżała obok gminnego szpitala w Norwich Notch. Niezależnie od tego, co mówił Kevin, że urodziła się w domu, przy pomocy położnej, zawsze istniała jakaś możliwość, że jej matka odwiedziła jakiegoś lekarza przed lub po porodzie. Szpital był dużym, starym wiktoriańskim budynkiem, zlokalizowanym tuż obok zakrytego mostu w zachodniej części miasta. Zatrzymała samochód, popatrzyła przez chwilę i ruszyła dalej. Podobnie zakonotowała nazwiska pięciu prawników w miasteczku, ale nie zadzwoniła do żadnego z nich.

- Powiedziałaś ci, Carl. Nie po to tu przyjechałam.

- Nie wygłupiaj się, Chels. To przecież ja.

- Nie po to tu przyjechałam.

- Założę się, że granit ci się spodoba - drażnił się z nią.

- Sprawiedliwości stałoby się zadość, gdybym uznała, że jest ohydny - mruknęła. - Komuś w tym mieście nie spodobałam się dostatecznie, żeby chciał mnie zatrzymać, więc byłoby uczciwe, gdybym ja odrzuciła granit z tego miasta. - O dziwo, w tej chwili jej gniew gdzieś zniknął, a Norwich Notch wydało jej się jeszcze bardziej interesujące. Gdyby korzystała z tutejszego granitu, miałaby powód, żeby wracać tu, dopóki nie zaspokoi ciekawości. - Jeżeli kolor okaże się w porządku, warto by go było wziąć pod uwagę. - Nawet jeżeli firma ledwo się trzyma?

- Nie. Ale tego nie wiem na pewno. Dlatego chciałabym, żebyś zadzwonił do Boba Mahoneya. On będzie umiał zdobyć informacje na temat sytuacji finansowej Pluma - Bob był prawnikiem, który w przeszłości współpracował z Harper, Kane, Koo. Specjalizował się w ocenie i nabywaniu przedsiębiorstw, o czym Carl doskonale wiedział.

- Chyba nie myślisz o tym poważnie? - odezwał się cicho.

- Nie, dopóki nie dowiem się czegoś więcej o firmie.

- Nawet wtedy nie! - wykrzyknął z niedowierzaniem. - Nie możemy kupić przedsiębiorstwa wydobywczego!

Takich rzeczy nie należało mówić Chelsea, która prawie całe życie spędziła na robieniu tego, co niemożliwe. - Dlaczego nie? - zapytała.

- Dlatego, że nie wiemy niczego o wydobywaniu granitu.

- Nie wiedzieliśmy niczego o piłce nożnej, dopóki nie zaprojektowaliśmy stadionu. Dalej jeszcze przynosi nam zyski, Carl.

- Ale granit?

- To przecież nasza działka. Ciągłe go stosujemy. Tylko pomyśl o rabatach, które będziemy mogli dawać naszym klientom.

- Aha, co prawda, to pieniądze z naszej kieszeni, jeżeli będziemy dostawcą, ale to w tej chwili nieistotne. Powiedziałaś, że przedsiębiorstwo jest przestarzałe, jeżeli chodzi o sprzęt. Czy masz jakieś pojęcie, ile będzie kosztowało unowocześnienie produkcji?

- Nie. To kolejna rzecz, której chciałabym się dowiedzieć od Boba.

- Czy nie sądzisz, że powinien się dowiedzieć, czy przedsiębiorstwo jest w ogóle na sprzedaż?

- Aha. To też.

Carl westchnął. - Jesteś niesamowita. Zachichotała. - Ja też cię kocham, kotku.

- Nie niesamowicie dobra. Niesamowicie zła. Nie będziemy kupować prowincjonalnego przedsiębiorstwa w jakiejś dziurze w New Hampshire.

- Kupowaliśmy firmy w gorszych miejscach - przypomniała mu pogodnym tonem. - Nie musimy tu zamieszkać, żeby prowadzić firmę.

- Nie kupimy przedsiębiorstwa wydobywczego.

- Dlaczego nie? - pogodny ton zniknął z jej głosu. - Dlatego, że to Norwich Notch? Czy czujesz się zagrożony przez to miejsce, tak jak mój ojciec?

- Nie - powiedział spokojnie. - Po prostu nie sądzę, żeby to był mądry interes.

- Jak możesz tak twierdzić, zanim poznasz fakty?

- Zdobycie faktów będzie kosztować nas pieniądze.

- Ja zapłacę. Z własnych pieniędzy.

- Ale dlaczego? - zapytał poruszony.

Chelsea nie miała odpowiedzi. Nie wiedziała, co zrobi z przedsiębiorstwem wydobywczym. Nie wiedziała, co zrobi z Norwich Notch. Wiedziała tylko, że coś ją ciągnie do tego miasta, a myśl o jakimś namacalnym, materialnym związku z nim dodawała jej otuchy. Tu byli ludzie, niektórzy mili, inni nie, ale wszyscy różni od tych, których znała u siebie. Gdyby weszła w jakieś wspólne przedsięwzięcie z kamieniołomami, mogłaby poznać ich lepiej. Po jakimś czasie mogłaby nawet pokazać srebrny klucz na wystrzępionej tasiemce. Ktoś mógłby go rozpoznać, nawet stwierdzić, że to jego własność.

Było coś więcej, myśl, która tkwiła jej w głowie długo po tym, jak udobruchała Carla paroma żartobliwymi słowami, posłała mu całusa na dobranoc i odłożyła słuchawkę. Gdyby była właścicielką przedsiębiorstwa wydobywczego, byłaby głównym pracodawcą w mieście i automatycznie osiągnęłaby władzę. Gdyby udało jej się rozwinąć przedsiębiorstwo tak, że przyniosłoby dobrobyt miasteczku, stałaby się miejscową bohaterką.

To byłaby całkowita zmiana jej pozycji w mieście. Z porzuconego noworodka stałaby się osobą posiadającą wystarczającą władzę, żeby dowiedzieć się wszystkiego, czego chce, i wykorzystać to tak, jak będzie chciała. A potem mogłaby po prostu zrobić w tył zwrot, sprzedać z zyskiem przedsiębiorstwo i odejść, nie oglądając się za siebie.

W połowie kwietnia Bob Mahoney miał wystarczająco dużo informacji, by powiedzieć Chelsea, że jeśli nawet Plum Granite nie znajdowało się na krawędzi bankructwa, to od prawie dziesięciu lat nie zwiększało obrotów ani zysków. Według jego źródeł, firma mogłaby być w większych tarapatkach, gdyby nie znakomita jakość granitu, staranność wydobywania i fakt, że wszystkie zamówienia były realizowane na czas.

- Więc firma nie jest zadłużona? - zapytała, kiedy powolnym krokiem spacerowali wokół Inner Harbor.

Carl nie przyłączył się do nich. Od jej powrotu ich związek stał się nierówny. Były wzloty i upadki. Nie dało się zaprzeczyć, że upadki były związane z tą osobliwą więzią, jaka łączyła Chelsea z Norwich Notch. Trudno było sobie wyobrazić wyjście z tej sytuacji. Carl nie był w stanie zrozumieć - a ona nie była w stanie wytłumaczyć - jej pragnienia, które było wewnętrznym nakazem, żeby zrobić coś dla, w sprawie albo z Plum Granite.

Nie potrafiła odrzucić tego nakazu, słuchała więc uważnie odpowiedzi Boba.

- Firma jest zadłużona - powiedział - ale tylko w miejscowym banku. Oliver Plum jest superkonser-watystą. Nie uda się do innego banku i być może to dobrze. Dług można spłacić w miarę szybko. Ale ten bankier, Jamieson, też jest konserwatywny. Już nie da Plumowi żadnego kredytu. Plumowi będzie coraz ciężiej pokrywać koszty, jeżeli nie zmodernizuje zakładu.

- Czy twoje źródło twierdzi, że ma zamiar to zrobić? Bob wzruszył ramionami. - Jest pozbawiony wyobraźni. Zacznie od zwolnień.

Chelsea pomyślała o swoich rodzicach, którzy nie mogli pozwolić sobie na to, żeby ją zatrzymać, być może dlatego, że jedno albo oboje byli bezrobotni. - Musi być jakiś inny sposób.

- Bez pieniędzy nie da rady, a tu facet wpędził się w ślepy zaułek. Musi unowocześnić zakład.

Potrzebuje nowego sprzętu i wyposażenia. Musi aktywnie szukać zamówień, a nie czekać, aż klienci go znajdą. O ile dobrze rozumiem, ma dobrych ludzi. On jeden stwarza problemy. Opiera się zmianom, a te wymagałyby poszukiwania pieniędzy poza Norwich Notch.

- Ile? - zapytała Chelsea mrużąc oczy. Słońce świeciło mocno, pełne obietnic. Idealny dzień na dyskusję o nowym wyzwaniu. - Ile potrzeba na wymianę i modernizację sprzętu, zbudowanie hali do obróbki na miejscu i stworzenia systemu transportowego?

Bob wyciągnął z marynarki kartkę papieru, rozłożył ją i podał Chelsea. - To dosyć ogólna lista kosztów.

Spojrzała na sumę. Była dosyć wysoka, ale nie niebotyczna. - Co twoje źródło sądzi o perspektywach tego typu przedsiębiorstwa?

- Nie sądzi, że mogłabyś stracić na tym pieniądze. Przy przemyślanych posunięciach mogłoby przynosić zyski. Jeżeli szczęście będzie sprzyjać, zyski mogą być całkiem ładne.

Chelsea dobrze się tego słuchało, ale była jeszcze jedna, najistotniejsza kwestia. - A Oliver Plum? Czy zechce sprzedać?

Bob podrapał się w głowę. - Trudno wyrokować. Firma jest w rodzinie od bardzo dawna. Jest z tego bardzo dumny. Całe miasto zresztą też. Plum Granite jest tam instytucją. Ale ma tylko cztery córki, wszystkie zameżne, a żaden z mężów nie chce mieć nic wspólnego z tym interesem, więc w gruncie rzeczy nie ma następcy.

- Dlaczego któraś z córek nie przejmie tego interesu?

- Kobiety nie robią tego w miejscach takich jak Norwich Notch.

- Dlaczego nie?

- Bo to patriarchalna społeczność. Kobiety robią to, co mąż.

Z Chelsea wydobył się dźwięk, który nie pozostawiał wątpliwości, co ona sądzi na ten temat. Nie zatrzymując się, powiedziała: - Załóżmy, że chciałabym kupić to przedsiębiorstwo. Jak najlepiej do tego podejść? To nie jest spółka akcyjna, więc nie ma akcjonariuszy, od których mogłabym je wykupić. Jest tylko Oliver Plum. Jak moglibyśmy namówić go do sprzedaży?

- Na początek możemy go zapytać wprost. Nie komplikujmy spraw. Wie doskonale, że firma ma problemy. Nie jest głupi.

- A jeżeli powie „nie”?

- To wtedy zadamy sobie pytanie, czy warto wkładać tyle wysiłku, żeby przekonać go do zmiany zdania.

- Warto - powiedziała Chelsea. Im więcej o tym myślała, tym bardziej była o tym przekonana. - Ja mogę coś zrobić z tym przedsiębiorstwem, Bob, wiem o tym. Mam pieniądze i mam wiedzę.
 - Jaką wiedzę? Jesteś architektem, a nie przedsiębiorcą.
 - Mam kontakty. Mogę namówić klientów, a Oliver Plum tego nie potrafi zrobić, i w dodatku wystarczy mi kilka rozmów telefonicznych. Czy wiesz, ilu znam architektów, którzy podobnie jak ja potrzebują kamienia dobrej jakości? Podobnie przedsiębiorcy budowlani. Nie wspominając już o pomnikach i grobach nieznanego żołnierza, i budynkach rządowych, to wszystko jest z granitu. Czy ty wiesz, ilu znam kongresmenów? - Powinna być za to wdzięczna rodzicom. Co prawda, Kevin byłby wściekły, gdyby wykorzystwała te kontakty dla zdobycia zamówień w Norwich Notch. To jednak Abby była odpowiedzialna za to, że dowiedziała się o Norwich Notch, a jeżeli przekształci upadające przedsiębiorstwo w firmę przynoszącą zyski, czy ktoś może ją winić?
 - A co z twoją pracą? - zapytał Bob.
 - Mogę robić i jedno, i drugie. - Czyż Carl nie powiedział tego, kiedy przytaczał argumenty mające przekonać ją do małżeństwa i macierzyństwa? - Więc jeżeli Oliver Plum odmówi sprzedaży, to co robimy?
- Bob rzucił jej karcące spojrzenie, ale powiedział: -Podwyższymy cenę.
- A jeżeli dalej uparcie będzie mówił „nie“?
 - Podziękujemy mu za czas, który zechciał nam poświęcić, i pójdziemy sobie.
- Tego Chelsea nie chciała. - A co, jeżeli będę chciała chociaż części firmy, tyle, ile uda mi się uzyskać?
- Nie obchodziło jej, że dla Carla to była obsesja. Chciała jakoś wejść w Plum Granite. - Och, Bob - przymilała się. - To przecież twój zawód. Jeżeli Oliver Plum okopie się na swoich pozycjach, co zrobimy?
 - Spróbujemy jakiegoś kompromisu. Będziemy kombinować. Znajdziemy jakiś sposób, żeby go zmusić do przyjęcia naszego planu.

- Na przykład?

- Na przykład pozostawienie jego nazwiska w nazwie firmy. Albo wykupienie go, ale pozostawienie jako tytularnego dyrektora z określoną pensją przez ileś tam lat. Albo spłacenie go, ale przyznanie mu dywidendy. Istnieje bardzo wiele możliwości.

- A jeżeli nadal będzie odmawiał?

Bob zatrzymał się i odwrócił się do niej twarzą. - To wtedy damy sobie spokój. Mówię poważnie, Chelsea. Wiem, że masz jakieś istotne powody, dla których chcesz kupić tę firmę. Nie znam ich i nie obchodzi mnie to. To twoja sprawa. I wydajesz własne pieniądze, i na Plum Granite, i na mnie. Ale ja nie jestem Don Kichotem. Jeżeli zaoferujemy co tylko możliwe, a Oliver Plum będzie nadal odmawiał, to oznacza koniec. Nie będę walczył z wiatrakami. Będziesz musiała znaleźć inne ujście dla tej twojej namiętności.

Chelsea wysłuchała go, ale nie brała pod uwagę porażki. Wsuwając do kieszeni listę zakupów, którą dla niej zrobił, uścisnęła jego ramię i uśmiechnęła się. - Oliver Plum sprzeda. Czuję to w kościach. Lada chwila będziesz go miał w ręku. - Głęboko wciągnęła powietrze. - No tak. - Splotła palce, jak gdyby przygotowując się do akcji. - Kiedy do niego zadzwonisz?

- To twardy facet - powiedziała Chelsea do Cydry dwa tygodnie później, kiedy biegły razem wczesnym rankiem. - Kiedy Bob zadzwonił pierwszy raz, odłożył słuchawkę. Drugi raz powiedział „nie” i dopiero odłożył słuchawkę. Za trzecim razem powiedział „nie”, potem wysłuchał argumentów Boba i odłożył słuchawkę.

- Jaki słodki.

- Ale robimy postępy. Jadę tam razem z Bobem w przyszłym tygodniu.

- Zgodził się z wami rozmawiać?

- Nie wiem, czy rozmawiać. Wysłuchać. To już jest coś.

- A Carl? Czy on zechce wysłuchać?

Chelsea wytarła pot z czoła opaską, którą nosiła na nadgarstku. - Jeszcze nie. I nie zaczynam rozmów na ten temat. To wszystko jest jeszcze zbyt nieokreślone.

- Ale on wie, że wybierasz się do Norwich Notch.

- Uhm. I z grubsza wie dlaczego. Nie dyskutowałam z nim o szczegółach. Robi się wtedy taki spięty.

- A o co mu właściwie chodzi?

Chelsea wiele razy zadawała sobie to pytanie. Carl miewał ostatnio zmienne nastroje, a nigdy przedtem mu się to nie zdarzało. Nie chciało jej się wierzyć, że to wszystko ma związek z Norwich Notch, ale kiedy pytała go, czy ma jeszcze jakiś inny problem, zaprzeczał. Czuła się z tym okropnie. Nie chciała go złościć, a tym bardziej ranić. Nie rozumiała, dlaczego robił wrażenie rozzłoszczonego i zranionego. Nie rozumiała, dlaczego jej zainteresowanie Norwich Notch w ogóle go dotyczyło, ponieważ wszystko, co mogło wynikać z jej zainteresowania, wzbogaciłoby tylko jej osobowość.

- Może to lojalność w stosunku do mojego ojca - powiedziała, bo była to jedyna rzecz, która przychodziła jej do głowy. - Reaguje na mojego ojca w taki sam sposób jak na swojego. Chce, żeby byli zadowoleni. - A twój tata nie jest zadowolony z tego, co się dzieje?

- Niezbyt. - Skręciły na rogu i rozdzieliły się, żeby ominąć rząd śmietników. Kiedy znów biegły razem, Chelsea powiedziała: - W gruncie rzeczy to niedopowiedzenie. Norwich Notch jest cierniem w jego boku. I to bardzo ostrym. - To znak.

- Bardzo możliwe - zgodziła się Chelsea.

- Dlaczego w ogóle mu o tym mówisz?

- Ja nie, to Carl.

- Do diabła, dlaczego Carl to robi?

- Mówi, że chce mnie ochronić.

- Irytując twój ojca?

- Należałoby powiedzieć: odsuwając go ode mnie. Ale kiedy to powiedziałam Carlowi, wyśmiał mnie. Mówi, że

tata mnie kocha. Podobnie jak on. Obaj chcą, żebym była szczęśliwa. To Norwich Notch stwarza kłopoty.

- Wygląda na to, że uciekają od rzeczywistego problemu.

- To znaczy?

- Od zazdrości. Chcą mieć twój czas i uczucie. Nie chcą dzielić się tobą z przeszłością.

Chelsea wiedziała, że to, co powiedziała Cydra, jest prawdą i poczuła się rozdarta. Chciała być dobra dla Kevina. Chciała być dobra dla Carla. Ale jednocześnie myślała o tym, że chce być dobra dla samej siebie i chociaż było to samolubne, nie potrafiła się tego wyrzec. Norwich Notch oznaczało wszystko, czego zawsze chciała dowiedzieć się o sobie, ale do tej pory z tym zwlekała. W wieku trzydziestu siedmiu lat była coraz bardziej niecierpliwa.

Z tego powodu, unikając wszelkiego zamieszania, niemalże wymykając się w ciemności, wyruszyła razem z Bobem do Norwich Notch na spotkanie z OHverem Plumem. Był pierwszy maja. W New Hampshire wiosna pojawiała się później niż w stanach leżących bardziej na południe; pączki na drzewach dopiero co zaczęły się rozwijać. Na miejskim skwerze rozkwitły tulipany obok lawendowych rododendronów, różowego derenia i białej andromedy. Ludzie przechadzali się, ciesząc się słońcem.

Bob prowadził wynajęty samochód, a Chelsea miała okazję się rozglądać i czyniąc to próbowała objąć wzrokiem i zapamiętać wszystko naraz. Na gankach domów stały skrzynki z kwiatami, a na podwórkach za domami - huśtawki. Na wielu domach, które mijali, powiewały flagi, niekiedy czysto dekoracyjne.

Ulica, przy której stał dom z napisem PLUM GRANITE, tym razem wyglądała inaczej. Trawa była bardziej zielona, liście na drzewach świętojańskich miały jaskrawy żółtozielony kolor, forsycje kwitły żółto, a wiecznie zielone krzewy odzyskały świeży wygląd. Na podjeździe stały escort i blazer. Nie było tam motocykla,

co oznaczało, że Hunter Love był nieobecny. Podobnie Judd Streeter i jego półciężarówka. Chelsea poczuła cień rozczarowania. Przypuszczała, że Judda nie będzie, jako że rozmowa z Oliverem miała być poufna. Niemniej jednak gdzieś w głębi duszy miała nadzieję, że choć raz spojrzy na niego. Tylko jedno spojrzenie. To dostarczyłoby pożywki dla jej fantazji. Judd Streeter miał w sobie moc wywoływania takich fantazji.

Odsunęła od siebie tę myśl i skoncentrowała się na rozmowach z Oliverem. Przyprowadził ze sobą prawnika, mężczyznę, który nazywał się Jeremiasz Whip. Chelsea natychmiast oceniła, że jest za młody, żeby mógł przeprowadzić jej adopcję.

Kiedy już wszyscy usiedli - Chelsea i Bob na twardych krzesłach, Jeremiasz na składanym krześle przyniesionym z sekretariatu - Oliver wybuchnął: - Nie sprzedam! Możecie sobie wysuwać oferty, jakie tylko wam się podoba, ale jeżeli to wszystko, co macie do powiedzenia, to zmarnowaliście czas na ten wyjazd. Nie sprzedam. I dosyć tego. - Jego twarz zastygła w gniewnym grymasie, który wydawał się stale na niej gościć.

Bob pozostał opanowany. - Istotnie, panie Plum, już mi pan to powiedział. Prawdę mówiąc, jestem zdziwiony, że pan nas tu zaprosił.

- Nie zaprosiłem was. Sami się tu zaprosiliście.

- Ale pan nie powiedział „nie”.

- To wasz czas, wasze pieniądze. Jeżeli je marnujecie, to wasza sprawa.

- Nie uważamy tego za marnotrawstwo. Marnotrawstwem byłoby, gdyby firma zbankrutowała. A ona właśnie do tego zmierza, i pan doskonale o tym wie. I dlatego pan słucha tego, co mamy do powiedzenia.

- Jeszcze nie zdążyłem dużo usłyszeć - Oliver powiedział tak gderliwym tonem, że było to niemal zabawne. W gruncie rzeczy im dłużej Chelsea nad tym się zastanawiała, tym bardziej widziała w nim coś karykaturalnego. Miał budowę

tyczki grochowej i z gładko zaczesanymi przerzedzonymi siwymi włosami, kościstym nosem i cienką linią ust, przedstawiał sobą widok klasycznego Jankesa, który nienawidzi zmian.

Kiedy Bob jeszcze raz prezentował ofertę i przytaczał argumenty na jej korzyść, wzrok Chelsea powędrował do fotografii na ścianie. Wszystkie były czarno-białe. Większość z nich miała związek z pracą. Niska jakość zdjęć, brak głębi, mężczyźni w grubych czarnych ubraniach, ponure twarze - wszystko to sugerowało, że fotografie zostały zrobione na przełomie wieku. Na jednej z nich sześciu mężczyzn spoglądało w górę stojąc na głazie, który za chwilę mieli przetransportować. Na innej rząd sztywnych robotników stał obok buldożera, który przypominał dinozaura. Kolejna przedstawiała kamieniołom, jak olbrzymie szaro prążkowane płótno, na którym ludzie byli niewiele więksi niż mrówki.

Głos Olivera przerwał jej obserwację: - Nudzimy panią, panienko?

Chelsea przeniosła spojrzenie na jego twarz i przez chwilę poczuła się słusznie skarcona. Pozbierała się błyskawicznie i powiedziała bez cienia przeprosin w głosie: - Podziwiam pana fotografie.

Rzeczywiście dają świadectwo, że przedsiębiorstwo istnieje już od wielu lat. Kto kierował nim przed panem?

- Przez trzy lata mój starszy brat, którego potem przejechała ciężarówka. I proszę nie mówić, że jest pani przykro. To było pięćdziesiąt lat temu i zdążyłem już zapomnieć, jak wyglądał.

Chelsea pomyślała, że albo Oliver Plum jest żalosną kreaturą, albo kłamie. Nie była w stanie sobie wyobrazić, że ktoś może być tak twardy. - A kto był przed nim?

- Mój ojciec. A przed nim jego ojciec. A jeszcze przedtem jego wuj. Czy ma pani jeszcze jakieś pytania?

- Tak - powiedziała. - Kto poprowadzi je po panu? Usta mu drgnęły, co miało znamionować uśmiech.

- O tym właśnie mówiliśmy. Gdyby pani nie zajęła się gapieniem na zdjęcia, to by pani wiedziała.

Złożyła ręce na kolanach. - Od tej pory poświęcam panu całą moją uwagę, panie Plum. Proszę mówić dalej. - Kiedy milczał, wpatrując się w nią, odwróciła się do Boba i z wyczekiwaniem podniosła brwi.

- Czy ktoś coś mówił?

- Chcę wiedzieć, co pani będzie z tego miała? - warknął Oliver.

Chelsea wskazała siebie palcem. - Ja?

Oliver, nieugięty, wpatrywał się w nią bez słowa.

Powiedziała sobie, że gdyby wiedział, kim jest i czego szuka, powiedziałby to przedtem. - Zyski - rzekła. - Czego innego mogłabym chcieć?

- Nie wiem. Dlatego pytam. Wydaje mi się, że jeżeli goni pani za zyskiem, znajdzie pani lepszy i łatwiejszy gdzie indziej. - Lubię granit.

Prychnął. - A co pani wie o granicie? Jest pani artystką.

- Architektem.

- To jedno i to samo. Nie wie pani nic o interesach.

- Ośmielę się powiedzieć, że wiem tyle samo, co i pan.

- A o wydobywaniu kamienia? Czy i o tym pani wie tyle, co i ja? Czy umie pani obsługiwać dźwig?

Albo posługiwać się młotem pneumatycznym. Albo umie pani zejść sto metrów w dół po skalnej półce i nie zabić się przy tym? Albo wie pani, jakich rodzajów haków używamy? Albo zna pani połączenie na pióro i wpust? Czy pani kiedykolwiek czuła żar palnika z dwuipółmetrowym płomieniem?

Chelsea nie dała się zastraszyć. - Nie oferuję panu mojej pracy w kamieniołomie...

- A ja owszem - zagrział.

Zignorowała jego wtręt. - Dobry menedżer ma do tego dobrych ludzi. Pan ma dobrych ludzi. Brakuje panu tylko pieniędzy i planu działania. Twierdzę, że mogę zapewnić i jedno, i drugie.

- A ja twierdzę, że to nie ma sensu. I niech mi pani nie mydli oczu zyskami. Nawet jeżeli pozwoliłbym pani

kupić firmę - a nie mam takiego zamiaru - upłynęłoby dużo wody, zanimby pani cokolwiek zarobiła.

- Rok - powiedziała. - Mogę wszystko zmienić w rok.

- Kompletna bzdura.

- A w tym czasie - mówiła dalej - mogę zatrudnić

0 wiele więcej mężczyzn z miasteczka, niż pan ma na swojej liście płac i liście rezerwowej razem.

Jeżeli panu cokolwiek zależy na Norwich Notch, powinien pan słuchać tego, co mówię. Niech pan tak dalej ciągnie, a za rok Plum Granite będzie w jeszcze większym stopniu cieniem dawnej chwały.

Będzie mniej pracy dla mniejszej ilości ludzi i mniej dochodów dla miasta. Wszyscy stracą. A jeżeli pan mi sprzeda firmę, to wszyscy zyskają. Pan będzie miał ładną sumkę w kieszeni, mieszkańcy Norwich Notch będą mieli ładne sumki w kieszeniach

1 w banku, a to z pewnością ucieszy pańskiego bankiera. A Plum Granite ponownie stanie na nogi.

- To będzie trwało dłużej niż rok. Potrząsnęła głową. - Jeden rok.

Machnął rękami, jak gdyby odganiał muchę. - Niech pani wraca do domu. Nie ma pani tu czego szukać. Pani tu nie należy.

Chelsea poczuła irracjonalną urazę, jak gdyby to, że kazał jej wracać do domu, było echem odrzucenia, którego doznała w kilka godzin po urodzeniu. Nie przebyła jednak tak długiej drogi po to, żeby cierpieć lub uciekać. Ze zdecydowaniem usadowiła się wygodniej na krześle.

W pokoju panowała cisza. Chelsea wpatrywała się w Olivera. Oliver wpatrywał się w nią, a ona raczej sprzedabyła duszę diabłu niż pierwsza odwróciła wzrok. Oliver Plum nie miał monopolu na upór. Ona sama była dostatecznie uparta i nie obchodziły jej jego argumenty - po prostu chciała mieć Plum Granite.

Jeremiasz Whip odchrząknął. Spojrzał niepewnie na Olivera, a potem na Boba. - Być może znajdziemy sposób na zrobienie z wami interesu - powiedział nieśmiałym głosem. - Nie możemy zaprzeczyć, że Plum Granite potrzebuje pieniędzy.

- Możemy się bez nich obyć - odszczeknął Oliver. Jeremiasz posłał mu nerwowe spojrzenie.

Ukradkiem

podniósł spoczywającą na udzie dłoń, pokazując gestem, żeby się uciszył. Spojrzał na Boba. - Mój klient nie jest jeszcze zdecydowany na sprzedaż przedsiębiorstwa. Jest w jego rodzinie od zbyt dawna. Jest całym jego życiem.

Chelsea nie spodobało się, że zwraca się do Boba, podczas gdy to ona ma pieniądze. Powiedziała więc: - Mógłby odejść na emeryturę i żyć wygodnie z tego, co dostanie ze sprzedaży.

- Nie wybieram się na emeryturę - oświadczył Oliver.

- He pan ma lat? - zapytała.

- Gdyby pani odrobiła lekcje, wiedziałaby pani.

- Wiem, ile lat ma firma, bo mam zamiar kupić ją, a nie pana.

- A ja odrobiłem lekcje. Wiem, ile pani ma lat i z jakiej rodziny pani pochodzi, i skąd ma pani pieniądze. Siedzi pani na olbrzymim funduszu powierniczym, więc się pani nudzi i postanowiła pani pobawić się z nami. Ja nie jestem zabawką.

- Nikt tu się nie bawi - powiedziała przygnębiona. Nic, co dotyczyło Norwich Notch, nie było zabawką, przynajmniej dla niej. Gdyby Oliver był jeszcze bardziej sumienny w swoich lekcjach, wiedziałby to. Z drugiej strony, nie mógł się dowiedzieć czegoś, co w ogóle nie było udokumentowane, a co było głównym powodem pobytu Chelsea w Norwich Notch. - Jeżeli w coś wkładam pieniądze, chcę, żeby mi się zwróciły, a Plum Granite nie będzie pierwszym przedsiębiorstwem, z którym to robię. Gdybym miała zwyczaj inwestować w bankrutów, to już dawno wyczerpałabym mój fundusz powierniczy.

- Stawia pani na złego konia. Branża umiera, odkąd wszystko zdominowały stal i szkło.

Gdyby Chelsea uprawiała inny zawód, być może by mu uwierzyła, ale o budowach wiedziała wszystko. Znała gotowe już plany, o których społeczeństwo nie

do wie się przynajmniej przez dwa lata. Wiedziała o wszystkim, co się dzieje w architekturze. - I tu się pan myli. Ostatnie tendencje wskazują, że tradycjonalizm znów odżywa. Wraca granit i to nie tylko jako materiał na fasady i pomniki. Ludzie chcą mieć granit w kuchniach i łazienkach.

- Też coś - wybełkotał. - To tylko drobiazgi. Nie przynoszą zysku.

- To wykazuje, jak mało pan wie o rynku - przekonywała go. Zaczynał ją coraz bardziej irytować. - Czy pan ma pojęcie, ile ludzie są gotowi zapłacić za granitowe blaty w eleganckich kuchniach? Albo jak zyskowna może być sprzedaż wysokiej jakości granitu luksusowym hotelom na wykończenie łazienek? Każda taka transakcja może nie być zbyt wielka ilościowo, ale tu można dyktować najwyższe ceny. Oczywiście, przy tak ustawionej produkcji, pan nie dostanie z tego ani centa. Wycinacie surowe bloki granitu i wysyłacie je, żeby ktoś inny je ciął, polerował i zabierał cały zysk. Być może wie pan wszystko o wydobywaniu granitu, ale jako biznesmen nie jest pan wart funta kłaków.

Położył ręce na biurku. - Ma pani ostry język. Pochyliła się. - Ale mam też bystry umysł. Z tymi dwoma cechami mogę całkowicie przekształcić firmę.

- Już to widzę! - odgrażał się. - Potrzebuję tylko pani pieniędzy. Nic tu po pani.

Wpatrzyła się w niego. - Nie może pan mieć tylko jednego. To transakcja łączona. Beze mnie nie dostanie pan zamówień.

Od wzajemnił jej spojrzenie. - A beze mnie nie poprowadzi pani kamieniołomów. Bez kierownictwa Pluma nic nie będzie się działo.

- Wygląda na to, że pod kierownictwem Pluma też nic się nie dzieje - powiedziała, bo choć Oliver Plum mógłby być jej ojcem, wydawał się zbyt tępy na subtelności. - Nigdy nie będzie pan w stanie zrealizować zamówień, które ja załatwię.

- To nie tak, panienko. Nigdy nie będzie pani w stanie załatwić tylu zamówień, żeby zająć moich ludzi.

- Jeden rok - powiedziała, opierając się na krześle.

- Jeden rok i wyciągnę tę firmę spod kreski.

On też się oparł, ale jego oczy pozostały nieprzejednane.

- Jest pani pewna siebie jak diabli, prawda, panienko?

- Jasne.

- Czy to dlatego, że urodziła się pani w czepku?

- Może.

Zrobił dziwną minę. - Co to za imię, Chelsea? Nie mrugnęła okiem. - To imię, które wybrali dla mnie moi rodzice.

- Takie imię tu nie pasuje.

- Nie obchodzi mnie to.

- Jeżeli chce pani mieć tu dobre stosunki z ludźmi, to powinno.

- Moja oferta nie dotyczy dobrych stosunków z ludźmi. Dotyczy przekształcenia tej firmy w zyskowne przedsiębiorstwo. - Przekonana, że Oliver Plum był jednym z najmniej przyjemnych ludzi, jakich w życiu spotkała, i z tego powodu coraz bardziej rozdrażniona, spojrzała na zegarek.

- Mój prawnik i ja mamy przed sobą długą drogę do domu.

- Przeniosła wzrok na Whipę. - Plum Granite potrzebuje pieniędzy. Ja mam pieniądze. Czy w takim razie możemy przystąpić do rozmów o interesach, czy nie?

ROZDZIAŁ 6

- Spółka? - powtarzał Carl, trochę później tego wieczoru, kiedy Chelsea powiedziała mu o propozycji prawnika Pluma.

- Mam wyłożyć pieniądze na modernizację i zajmować się stroną handlową - wyjaśniła - a on stroną produkcyjną. Mamy być współnikami przez rok. Pod

koniec tego okresu strona, która nie dotrzyma warunków umowy, musi sprzedać swoją część wspólnikowi. Carl miał na sobie koszulkę i szorty, które włożył do gry w squasha. Nawet schodząc z kortu, wyglądał schludnie. Miał na to jakiś sposób, zadumała się Chelsea i przypisała to jego osobowości. Nawet jego myśli były zawsze poukładane.

- Co to znaczy „strona, która nie dotrzyma warunków umowy”? - zapytał, jak zawsze czepiając się drobiazgów.

- Ja twierdzę, że mogę załatwić więcej zamówień niż jego ludzie są w stanie zrealizować. On twierdzi, że nie.

Carl wyglądał na zdegustowanego. - Zakład? Zwycięzca dostaje firmę?

- Kupuje firmę - uściśliła. Nie była idiotką. Chociaż czasami nie przykładła wagi do spadku, to nie spuszczała oczu z własnych inwestycji. Nie miała zamiaru wyrzucać pieniędzy w błoto, nawet dla Norwich Notch.

- Oliver stanowczo odmawia sprzedaży, ale potrzebuje pieniędzy, żeby móc przeżyć. Jeżeli nie uda mi się przekształcić firmy, będzie mógł ją sobie zatrzymać.

- Ale jeżeli jest bez grosza, w jaki sposób będzie w stanie wykupić twoją część?

- Będzie szukał możliwości kredytu gdzieś w innym stanie albo wyznaczy jakąś trzecią stronę, która wykupi moją część. - Przypuszczała, że w ciągu tego roku dowie się sporo o Norwich Notch i okolicznościach swych narodzin. Po tym czasie może będzie chciała po prostu umyć od tego ręce i wyjechać z miasteczka.

- Nie stracę na tej transakcji. W swoim czasie firma była niezwykle dochodowa. Oboje wiemy, że rynek na granit robi się coraz większy. Jedyne, co Plum Granite musi zrobić, to nauczyć się ciągnąć z tego korzyści. Mogę im w tym pomóc.

- Kiedy? Jesteś architektem. A co z Harper, Kane, Koo?

- Harper, Kane, Koo doskonale sobie radzi. Ja też sobie doskonale radzę z moją pracą. Czy kilka godzin w tygodniu poświęcone czemuś innemu cokolwiek zmieni?

- Kilka godzin? - Jego oczy zachmurzyły się. - Chelsea, to, o czym mówisz, zajmie dużo więcej niż kilka godzin. Wzięłaś sobie na głowę obowiązek prowadzenia spraw handlowych rozwijającej się firmy. Przesiębiorst-wa mają do tego całe zespoły ludzi.

Nie widziała żadnego problemu. Plum Granite było niewielką firmą. Wyobrażała sobie, że jej zaangażowanie ograniczy się do kilku telefonów dziennie. - Sam mówiłeś, że wszystko idzie tak dobrze, że mam czas na męża i dziecko. Co za różnica?

- Co za różnica? Różnica polega na tym, że mąż i dzieci to twoje życie osobiste. To oni ci dają prezenty na Gwiazdkę i na urodziny, i na Dzień Matki. To oni są dumni z twojej pracy, a ty z nich. To oni cię kochają, na miłość boską. Jak możesz porównywać z tym przedsiębiorstwo wydobywcze? Chelsea poczuła się bezsilna. Wszystko, co mówił, miało sens. Carl zawsze mówił z sensem, jednak nigdy nie chciał wysłuchać tego, co chciała mu powiedzieć o części siebie, tej części, która tak bardzo pragnęła przyjąć ofertę Olivera.

- Och, Carl - westchnęła - tego nie można porównywać. To zupełnie różne sprawy. Norwich Notch jest Wyzwaniem. Jest czymś, co ogromnie dużo dla mnie znaczy, ale nie jest to tak istotne, to nie sprawa na całe życie, jak to, o czym mówiłeś.

Odwrócił się od niej i podszedł do schodów w foyer. Stał tam z jedną nogą na stopniu i ręką na kolumnie, i powiedział: - Być może ta sprawa na całe życie to tylko iluzja.

- Dlaczego tak mówisz?

- Dlatego, że nie wszystko toczy się tak, jak powinno. Spędziłeś z kimś połowę życia i zakładasz, że spędzisz resztę, ale wcale tak nie musi być. Życie nie jest proste i nie zawsze uczciwe. Może wizja uścisków i pocałunków, i prezentów urodzinowych jest tylko sposobem, żebyśmy czuli się mniej samotni, dopóki coś innego się nie zdarzy, żeby znów wypełnić nasze życie.

- Och, Carl - znowu westchnęła, tym razem dlatego, że nie wiedziała, co ma powiedzieć. Czuła się rozdarta. Carl był bliski i kochany, ale czy dostatecznie bliski i dostatecznie kochany? Miała wizję romantycznego trójkąta, w którego skład wchodził Carl, ona sama i Norwich Notch. Chwilami on był dominujący, chwilami czuł się odrzucony i zazdrosny. Za nic na świecie nie chciała go zranić. Był jej najlepszym przyjacielem.

Podchodząc do niego, powiedziała cicho: - To jest coś, co po prostu muszę zrobić. Kiedy już z tym skończę, będę mogła iść dalej.

- Ale w jakim kierunku? Kim będziesz, kiedy wreszcie odejdziesz z tego miasta?

- Będę sobą. - Pomasażowała mu plecy tak, jak lubił.

- Bardziej świadomą sobą.

- A kiedy ty będziesz się stawała bardziej świadoma, co ja mam robić?

- Masz być cierpliwy. - Kiedy prychnął, obeszła go wokół, objęła ramionami i musnęła usta pocałunkiem.

- Kocham cię, Carl.

W jego oczach była wątpliwość.

- To prawda - upierała się. - Ta sprawa z Norwich Notch dotyczy tylko mnie, nie nas. - Kiedy nie wydawał się bardziej przekonany niż przedtem, objęła go mocniej za szyję i pocałowała głębiej.

Całowała go coraz mocniej, aż poczuła, że on zaczyna odwzajemniać pocałunki.

Westchnął przy jej ustach. - Nie powinnaś zostawiać mnie samego.

- Wyjechałam tylko na jeden dzień.

- Od szóstej rano do dziesiątej wieczór to za długo. Jest mi dobrze, kiedy jesteś tutaj.

W głowie dzwięczały jej jeszcze słowa Olivera Pluma, żeby wróciła do domu, więc wyznanie Carla było jej szczególnie miłe. Był dobrym człowiekiem, pod wieloma względami wręcz zbyt dobrym. Nie była pewna, czy kiedykolwiek spotka kogoś, kto będzie w stanie zaakceptować ją tak jak on.

Chciała, żeby wiedział, co do niego czuje. Znow dotknęła jego ust, ale ledwie zaczęła go całować, on przejął kontrolę. Trzymając jej głowę obiema rękami, całował ją, a potem jego ręce zaczęły wędrować, pieścić ją po całym ciele. On znał jej ciało, a ona jego pieszczoty. To dobrze, powiedziała sobie. Tak powinno być.

Nie zastanawiała się ani chwili, kiedy poprowadził ją do sypialni i rozebrał. Intymność była czymś całkowicie normalnym dla dwojga ludzi, którzy się kochają. W ich wypadku była tylko spóźniona. Być może właśnie tu tkwił problem.

Wmawiała to sobie, powtarzając w kółko, kiedy dotykał ją i całował, a ona odwzajemniała pieszczoty i pocałunki. Nie przestawała powtarzać w myśli, że to właściwe i normalne, i dobre. Kiedy w nią wchodził, myślała o tym, od jak dawna go zna, jak splecione są ich losy, jak bardzo ich rodzice chcą, żeby byli razem, jak bardzo jest wyjątkowy. On robił wrażenie, że ciężko się trzyma. Pieściła jego ciało w tych wszystkich miejscach, które mogły przyspieszyć jego orgazm, a kiedy wreszcie nadszedł, sprawiło jej satysfakcję, że był tak silny.

I tyle było jej satysfakcji. Kiedy zaproponował, że teraz on doprowadzi ją do orgazmu, uśmiechnęła się tylko leżąc na jego ramieniu i potrząsnęła głową. Była zmęczona. Miała za sobą długi, pełen emocji dzień. - Następnym razem - powiedziała i zamknęła oczy, jednak sen długo nie nadchodził. Następnego razu już nie było, a ten pierwszy prześladował Chelsea przez następne tygodnie. Nie była to kwestia sumienia; nie sądziła, że zrobili coś nagannego z moralnego punktu widzenia. Nie było też nic niewłaściwego z czysto fizycznego punktu widzenia. Wszystko było w porządku.

Tu właśnie leżał problem. Seks, który był „w porządku”, nie był podniecający. Nie był to ten rodzaj seksu, na wspomnienie którego napływały rumieńce na twarz, albo ogarniała fala ciepła. Nie rozmawiało się o nim żartob-

liwymi aluzjami przy śniadaniu, ani nie cementował związku, który wisiał już na włosku, ani nie miało się ochoty go powtórzyć.

Nie wiedziała, co ma zrobić. Wyjdź za Carla, szeptał cichutki głosik w jej myślach. Kevin tego chciał. Tom i Sissy Harperowie tego chcieli. Sam Carl tego chciał.

Nie wiedziała jednak, w jaki sposób mogłaby to zrobić. Nie kochała go tak, jak należałoby. Nie przechodził jej dreszcz, kiedy na niego spoglądała i chociaż myśl

o wspólnym domu i dzieciach była „w porządku”, tak samo jak i seks, to myśl o spędzeniu z nim reszty życia przerażała ją. Kochała go, ale nie podniecał jej. Musiało być coś więcej.

Kiedy ona się zadreślała, Bob Mahoney pracował z Jeremiaszem Whipem, przygotowując dokumenty dla sformalizowania spółki z Oliverem Plumem. Chelsea co prawda ogromnie zależało na tej sprawie, ale nie miała zwyczaju ślepo wchodzić w jakąkolwiek transakcję. Miała tu zainwestować swój czas i pieniądze, więc chciała, żeby jej interesy były należycie zabezpieczone. Dopóki nie były, nie miała zamiaru składać nigdzie podpisu.

Finalizacja kontraktu miała mieć miejsce dopiero za kilka tygodni, kiedy Kevin zaprosił ją na kolację. Chciała wykorzystać każdą możliwość dla poprawienia wzajemnych stosunków, chętnie się więc zgodziła. Przywitał ją pocałunkiem, zapytał o pracę i było prawie tak samo, jak przed śmiercią Abby, więc poczuła się różniej na duchu. Potem przekazał jej nowinę, że właśnie sprzedał dom, i wtedy poczuła się oszołomiona.

- Nie było sensu utrzymywać go dla jednej osoby - zauważył. - Po co mi taki wielki dom?

Chelsea nie była w stanie uwierzyć, że go sprzedał. Kochała ten dom, podobnie jak Abby. - Dlatego, że jest piękny. Jest cichy i elegancki. Dlatego, że to dom.

Z taką samą logiką, jaką zastosowałby Carl, Kevin powiedział: - To był dom, kiedy ty i twoja matka mieszkaliście w nim, ale teraz obie odeszłyście. Teraz to

tylko budynek, którego utrzymanie pochłania straszne sumy. Zresztą prawie tam nie mieszkam. Wiedziała o tym. Ostatnio bez przerwy podróżował, a od czasu, kiedy ona sama tam mieszkała, upłynęło już wiele lat. Mimo wszystko to był jej dom lat dziecińczych. Nie mogła sobie wyobrazić, że zamieszkają tam jacyś obcy ludzie.

- Kupił go dyrektor, który przenosi się tu z Chicago. Ma sześcioro dzieci i kupę pieniędzy. Z pewnością będzie o niego dbał.

Ta informacja ani trochę nie zmniejszyła jej poczucia straty, pogłębianego jeszcze dodatkowo urazą. Mógł przecież ją uprzedzić. Mógł powiedzieć o swych zamiarach. Był jej ojcem, a to był ich dom.

- Już od jakiegoś czasu zastanawiałem się nad sprzedażą. Oferta pojawiła się, zanim wyszły ogłoszenia. Mogłyby upłynąć i trzy lata, zanim dostalibyśmy inną, równie korzystną. Nota bene, pieniądze są twoje.

Chelsea cofnęła się, zde gustowana. - Nie chcę ich.

- Chcę, żebyś je wzięła - nalegał. - Ten dom należał do twojej matki.

- A ona pozostawiła go tobie - przekonywała go Chelsea. Zawzięła się, żeby nie pozbył się tak łatwo poczucia winy, dając jej pieniądze. - Więc pieniądze ze sprzedaży są twoje. Nie chcę ich.

- Dlaczego się złościysz?

- Nie złość się. Jest mi smutno. Kochałam ten dom.

- Nie na tyle, żeby w nim mieszkać.

- Jestem już dużą dziewczynką. Nie mogę mieszkać z rodzicami.

- Fakt. A że jedno z twoich rodziców zmarło, to kto ma mieszkać w piętnastu pokojach? A jeszcze nie zaczęliśmy nawet rozmawiać o Newport. Naprawdę, Chelsea.

Spojrzała w dół, na swoje kolana, i wygładziła leżącą na nich lnianą serwetkę. To był tylko budynek. Nie rozumiała, dlaczego czuje się tak przygnębiona. Ostatnio tak rzadko się tam zjawiała.

- Pod koniec tego roku przechodzę na emeryturę

- powiedział Kevin i po raz drugi w ciągu tych paru minut poczuła się oszołomiona.

Zachichotał. - Myślałaś, że nigdy nie zwolnię tempa? Mam już sześćdziesiąt osiem lat, Chelsea. Moje ręce nie są już tak pewne. Od jakiegoś czasu moi współpracownicy wykonują większość pracy.

Najwyższy czas, żeby być uczciwym wobec siebie i odejść. W szpitalu jest wielu zdolnych ludzi.

Przez minutę w ogóle się nie odzywała. Chciała się otrząsnąć z szoku. - Nie mogę sobie wyobrazić, co to będzie, kiedy przestaniesz praktykować. To tak, jakbym usiłowała sobie wyobrazić, jak po nocach wymykasz się do jakiejś kobiety.

Zagrzechotał lodem w szklance, wypił ostatnie krople whisky i odstawił szklanę na stół. - Czas wszystko zmienia. Życie biegnie dalej. Ja należę do szczęściarzy. Jestem zdrowy. Zrobię zwyczajową rundę objazdową po szpitalach z wykładami, odwiedzę miłe miejsca, spotkam miłych ludzi, odpnę się. Być może wówczas przestanę tuk strasznie tęsknić za twoją matką.

A ja? - Chelsea miała ochotę zapytać. Czy nie będziesz tęsknił za mną? Ale sama kilka chwil temu odpowiedziała na to pytanie. Jest już dużą dziewczynką. Ma swoje życie, a Kevin ma swoje i jak widziała, doskonale mu się wiedzie. Był opalony, a jego rysy złagodniały, nie były już tak twarde jak w okresie pogarszającego się zdrowia Abby.

- Będę za tobą tęsknić, jeżeli będziesz tak dużo podróżować - powiedziała cicho.

- Jesteś zajęta. I masz Carla.

Znów wpatrzyła się w swoje kolana. Rozważała, czy warto dalej ciągnąć ten temat, ale skoro Kevin już zaczął.

- Nie jestem pewna, czy nam wychodzi.

- Dlaczego nie? - spytał Kevin i po raz pierwszy jego głos stał się nieco ostrzejszy. Wyobraziła go sobie na sali operacyjnej, starannie zszywającego jej przyszłość i co chwila okazywało się, że szwy wcale nie chcą się trzymać.

- Nie wiem. Może jednak nam wyjdzie. Wszystko jest jeszcze takie nieokreślone.
- Wydawało mi się, że praktycznie mieszkacie razem.
- Nie. - Widywali się każdego dnia i często jedli razem kolację, ale nie spędzili razem ani jednej nocy, od czasu kiedy pierwszy raz się kochali.

Kevin mruknął: - A tym razem o co chodzi, na miłość boską?

Jego niecierpliwość raniła ją. Na domiar złego, jeszcze ta informacja, że odchodzi na emeryturę, i co najgorsze, że sprzedał dom. To wszystko spowodowało, że Chelsea wyrzuciła z siebie: - Nie kocham Carla. Przynajmniej nie w taki sposób, jak powinnam, jeżeli planuję wyjść za niego, i on też nie kocha mnie w taki sposób. Próbowaliśmy, chcieliśmy, żeby coś z tego wyszło, udawaliśmy, że między nami jest coś więcej, a nie ma, nic, co ty albo Tom, albo Sissy chcecie czy powiecie, nie jest w stanie tego zmienić.

Jego twarz oblała się szkarłatem. - Czy twierdzisz, że to nasza wina?

- Nie, ale wiem, jak bardzo chcesz, żebyśmy byli razem. Być może dlatego tak długo próbowaliśmy.

- Westchnęła ze znużeniem. - Ale tego nie ma. - Ciszej, nawet nieco żartobliwie, powiedziała: -

Pozostało nam tylko wyznać to sobie.

Kevin ze złością odwrócił wzrok.

- Czy naprawdę chciałbyś, żebym wyszła za mąż tylko po to, żeby mieć status mężatki? - zapytała Chelsea z przerażeniem. - Bardzo szybko oboje bylibyśmy nieszczęśliwi.

- Nie, nie bylibyście. Jesteście dobraną parą.

- Nie tak bardzo jak ty i mama. Właśnie takiej miłości, jak była między wami, chciałabym w małżeństwie. Czy coś w tym złego?

Miał zacięte usta. Właśnie powiedziała mu coś, co powinien odebrać jako komplement, ale robił wrażenie, jakby niczego nie słyszał. Jego myśli skupiły się na jednym. - Nie miałyby to takiego znaczenia, gdybyś miała dwadzieścia dwa lata - powiedział - ale nie masz.

Masz trzydzieści siedem. Masz już bardzo ograniczony wybór. Carl jest jednym z niewielu porządnych mężczyzn, który jeszcze nie jest żonaty i nie ma dzieci.

- Utkwił w niej potępiające spojrzenie. - Gdybyś miała dzieci, mogłabyś mieć ten dom. Wydaje mi się, że sprzedałem go dlatego, iż w głębi serca wiedziałem, że nigdy nie będzie ci do niczego przydatny.

Jesteś zbyt zajęta realizując swoje cele. Zawsze taka byłaś. A teraz w dodatku ta fascynacja miasteczkiem w New Hampshire. Jeżeli tak bardzo chcesz mieć dom, dlaczego nie kupisz sobie tam jakiegoś? Chelsea poczuła, jak jej gardło ściska się, tłumiąc wymykające się słowa, tak że stały się tylko błagalnym szeptem. - Nie chcę tam mieć domu. Nie kłóćmy się o to, tato.

- I tu właśnie leży problem. Dlatego nie wychodzi między tobą a Carlem. Masz obsesję na punkcie tego miejsca. Potrząsnęła głową. - To nieprawda.

- Ale kupujesz tam przedsiębiorstwo.

- To inwestycja.

- Dostyc kiepska, jak powiedział mi Carl. Powiedział mi też, że o niczym innym nie mówisz.

- Nie ma w tym ani trochę prawdy - oświadczyła.

- Pilnuję się, żeby właśnie z Carlem o tym nie rozmawiać. Nie wiem, dlaczego tak ci to przedstawił. - Szybkim gestem położyła rękę na ramieniu Kevina. - To inwestycja. On wolał nie wchodzić w to ze mną, więc robię to sama. To roczna umowa. To dla mnie coś nowego i podniecającego, podobnie jak dla ciebie czymś nowym i podniecającym jest przejście na emeryturę. Ja chyba też mam do tego prawo?

- Wykonujesz tu dobry zawód.

- Chcę jeszcze więcej.

- Kłopot w tym, że zawsze chciałaś.

- Być może, ale jeżeli tak, to już taka jestem i jeżeli po tuk długim czasie Carl twierdzi, że mu się to nie podoba, to jego problem.

- To jest też twój problem. Ty stracisz. Potrząsnęła głową. - Nie, wszystko w porządku.

Wszystko w porządku.

Kevin przypatrywał się jej - ze smutkiem, pomyślała i miała ochotę się rozplakać - przez dobrą chwilę, po czym westchnął. - Chciałbym móc w to uwierzyć. Ale tak się o ciebie martwię, Chelsea.

- Nie martw się. Proszę. Wszystko jest w porządku.

- Gdyby żyła twoja matka, byłaby w stanie przemówić ci do rozsądku.

- Wszystko w porządku. Naprawdę. To, co robię, ma dla mnie strasznie dużo sensu. Chciałabym potrafić ci wytłumaczyć.

Jednak nie potrafiła. Od czasu śmierci Abby jej stosunki z ojcem znacznie się pogorszyły. Może w rzeczywistości nigdy nie były takie, jak sobie wyobrażała. Podobnie jak w wypadku Mahlerów, Abby była ogniwem, buforem, interpretatorką uczuć. Kiedy Abby zmarła, Kevinowi nie starczało cierpliwości dla Chelsea. Był okres, kiedy miała wrażenie, iż celowo zachowuje dystans wobec wszystkiego, co przypominało mu Abby, także wobec niej. W takich chwilach czuła się odrzucona. Następnego ranka próbowała wyjaśnić to Cydrze. Biegły w deszczu, a ona była w nastroju równie ponurym jak pogoda. - To tak, jak gdyby pieniądze ze sprzedaży domu miały być łapówką, za którą on chce kupić sobie wolność. Jak gdyby dawał mi je, żeby nie czuć się winnym z powodu ciągłych podróży. Powiedziałam mu, że nie chcę pieniędzy. Powiedziałam mu, że nie mam zamiaru ich wziąć. Więc stwierdził, że jeżeli ja ich nie wezmę, odda je Mahlerom. Wiedział, że to jedyna rzecz, której bym nie zniosła.

Cydra zachichotała, naciągnęła na czoło przemokniętą baseballową czapkę i biegła dalej.

- Mówiłam ci, że ponowili ofertę na kupno pierścionka? - zapytała Chelsea. - Proponują wręcz absurdalnie wysoką cenę. - Nieskomplikowane rozliczenie, tak jak oni sami.

- Sprzedasz go?

- Nie ma mowy. To był pierścionek mojej matki. - Po kilkunastu krokach znów się odezwała: - Gdybym była perfidna, wzięłabym ich pieniądze, wykorzystała je na kupno przedsiębiorstwa wydobywczego i wykłuła oczy moim miejscem urodzenia.

Cydra uśmiechnęła się - To byłaby dopiero sprawiedliwość.

- Tyle że ja naprawdę chcę zatrzymać ten pierścionek. Ma dla mnie olbrzymią wartość sentymentalną.

- Pogodzą się z tym?

- Mam nadzieję - przerwała, kiedy przejeżdżający samochód przyspieszył dokładnie w kałuży i obryzgał je od stóp do głów. Na chwilę przerwały bieg. Cydra miotła przekleństwa w stronę odjeżdżającego samochodu, a Chelsea spoglądała ze złością na zabłocony strój. - Co za debil - wyrzekała Cydra, aż Chelsea objęła ją mokrym ramieniem. - Już pojechał. Daruj sobie.

- Dlaczego się nie zatrzymał i nie przeprosił?

Chelsea wycisnęła wodę z końskiego ogona, wystającego z tyłu jej baseballowej czapki. - Może nie zorientował się, co zrobił?

Cydra wzięła brzeg podkoszulka. - Jesteś zbyt wyrozumiała.

Chelsea wygładziła szorty. - Nie, wybieram sobie przeciwników do walki. Jakiś idiota za kierownicą nie jest wart fatygi, żebym się na niego złościła, kiedy w moim życiu jest tyle innych spraw. Cały organizm mi wysiada. Widzisz to? - wskazała na swój podbródek. - Nie pamiętam, kiedy ostatni raz miałam pryszcz.

- Cydra spojrzała bliżej. - Nie widzę żadnego pryszcz.

- Jest. Uwierz mi.

- Wyobrażasz sobie.

- Czy budzenie się po pięć razy w ciągu nocy też sobie wyobrażam? Albo to, że okres mi się spóźnia? Cały biorytm mi się poplątał. - Potrząsnęła głową w kierunku trasy.

Cydra wystartowała obok niej. Kiedy plaskanie ich mokrych tenisówek znów się zsynchronizowało, powiedziała: - Ja też się budzę w nocy. Leżę w łóżku marząc o wielkim, ciepłym męskim ciele i płacząc nad sobą, że go tam nie ma. To piekło.

Chelsea pomyślała o Juddzie Streeterze i niemal zaczęła o nim mówić, jednak w tej samej chwili ugryzła się w język. Judd był mitem, i to trochę żenującym, kiedy zaczynała myśleć o tym obiektywnie.

- A o czym ty myślisz w środku nocy? - zapytała Cydra.

- O Carlu. O bibliotece, którą zaprojektowałam. O Norwich Notch. O moim tacie, o mamie, o domu. O Plum Granite. I o kluczu, dużo myślę o kluczu. Czy powiedziałam ci, że zaniósłam go do rzeczoznawcy?

Cydra rzuciła jej zdziwione spojrzenie. - Dowiedziałaś się czegoś nowego?

- Tylko tyle, że prawdopodobnie jest jedyny w swoim rodzaju. Wydawało jej się, że został wykonany we Włoszech, ale nie była pewna.

Przez minutę biegły w milczeniu. - Zamieść ogłoszenie - rzuciła Cydra.

- Hmm?

- W czasopiśmie, które docierają do Norwich Notch. Mogłabyś dodatkowo zamieścić zdjęcie. Może ktoś się zgłosi.

Chelsea myślała o tym. W lokalnej gazecie, takie ogłoszenie mogło umknąć wśród miejscowych spraw, ale istniały miesięczniki, periodyki adresowane do ludzi, którym zaginął członek rodziny, albo znaleźli jakieś przedmioty, które chcieli zidentyfikować, albo mieli osobliwości, które chcieli sprzedać lub wymienić. Klucz był prawdziwą osobliwością.

- A, Chels? - Hmm?

- A ta druga sprawa?

- Jaka?

- Okres. Jak bardzo ci się spóźnia?

Chelsea biegła dalej, koncentrując się na odgłosie tenisówek na mokrym chodniku. - Kilka dni.

- Och - westchnęła Cydra. - Okay. To nic takiego. Tylko że Chelsea okres nigdy się nie spóźniał i nie był

to dzień czy dwa, tylko pięć. Sprawdziła kalendarzyk i kilkakrotnie policzyła dni, żeby upewnić się, czy się nie pomyliła. Ale było to naprawdę pięć dni. Kiedy zatrzymała się na chwilę i pomyślała, jaka może być przyczyna, zaczęła się trząść.

- Martwisz się, prawda? - zapytała Cydra.

- Oczywiście, że nie. To tylko to moje zwariowane życie. Mam za dużo na głowie. - Poczowała na sobie spojrzenie Cydry, potem Cydra odwróciła wzrok i po kilkunastu krokach znów zaczęła się wpatrywać w Chelsea.

- Martwisz się. - Tym razem to nie było pytanie. - Czy myślisz, że możesz być w ciąży?

Chelsea pomyślała o swojej jedynej, niezbyt udanej nocy z Carlem. Nie była w stanie wyobrazić sobie, że jej rezultatem mogła być ciąża. Nie czuła niczego szczególnego. W tych dniach cyklu mogła zajść w ciążę, ale nie chciała w to uwierzyć. Zrobili to raz, tylko raz. Ale z drugiej strony, czy mógł być to jedynie przypadek, że po raz pierwszy od trzech lat kochała się z mężczyzną i nagle okres jej się opóźnił? - Nie wiem - powiedziała w końcu, ale ta odpowiedź była przyznaniem, że poszła z Carlem na całego. - Więc w końcu to zrobiliście - powiedziała Cydra podnieconym głosem. - Do diabła, dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Do diabła, bo to nie twoja sprawa. Cydra zamilkła.

Chelsea zbliżyła się i doknęła jej ramienia. - Hej, przepraszam cię. Reaguję zbyt nerwowo na przypominanie tej sprawy.

Biegły dalej nie odzywając się do siebie, aż Cydra znacznie łagodniej powiedziała: - Przypuszczam, że nie było to szczególnie udane.

- Nie.

- Wiedziałam, że tak będzie. Ty też wiedziałaś, że tak będzie. Dlatego tak długo zwlekałaś. Gdybyście czuli do siebie pociąg, zrobilibyście to dawno temu. Mówię ci, że odwlekanie tego tak długo było znaczące.

Chelsea zgodziła się.

- Nie bierzecie ślubu.

- Nie.

- Nawet jeśli jesteś w ciąży?

- Nie. - Ślub z powodu dziecka byłby prawie tak samo wielkim błędem, jak ślub dla przyjemności rodziców.

- Chels?

- Hmm?

- Jak... aaa...?

Nie zmieniając rytmu, Chelsea otrząsnęła deszcz z rąk. - Nie pytaj.

- Nie używaliście niczego? Chelsea nachmurzyła się.

- Ale przecież jesteś doskonale w tym zorientowana. Cydra mówiła to samo, co cichy głosik w myślach Chelsea, który już od tygodnia ją beształ... - Nie planowaliśmy, że to zrobimy - powiedziała ze złością. - Nie byliśmy przygotowani. - Ale jesteście odpowiedzialnymi dorosłymi ludźmi!

- Nawet odpowiedzialni dorośli ludzie czasem popełniają błędy.

Cydra gestem zgodziła się z nią, - A zastanawiałaś się, co teraz zrobisz?

- Nie sądzę, że jestem w ciąży. - Dlaczego nie zrobisz testu?

Wybiegły z ciągu budynków, zbliżając się do klubu sportowego. - Bo nie sądzę, że jestem w ciąży.

- Jak długo masz zamiar czekać, żeby się dowiedzieć? - Może jutro dostanę okres.

- A jeżeli nie? - To wtedy będę się martwić.

Pierwszego czerwca komplet dokumentów potrzebnych do utworzenia spółki z Plum Granite znalazł się na

biurku Boba Mahoneya. Oliver Plum, nie mogąc się doczekać obiecanych pieniędzy, już wszystko podpisał. Wraz z podpisaniem dokumentów przez Chelsea transakcja miała nabrać mocy prawnej. Powstrzymał ją nie sprzeciw Carla czy Kevina, ale Jej własny, prywatny niepokój. Z całą pewnością była w ciąży. Lekarz to potwierdził. Nie czuła się ani nie wyglądała inaczej niż poprzednio, ale za każdym razem, kiedy pomyślała o rosnącym w niej nowym życiu, jej myśli zaczynały wirować.

Nie wiedziała, co ma zrobić z Carlem. Nie wiedziała, co ma zrobić z Kevinem. Nie wiedziała, co ma zrobić z Norwich Notch. Cięża nie była w jej planach.

Przerwanie ciąży nie wchodziło w rachubę. Jako adoptowane dziecko doskonale wiedziała, że niewiele brakowało, a mogłaby nie istnieć, więc tej możliwości w ogóle nie brała pod uwagę.

Podobnie nie zastanawiała się nad oddaniem dziecka do adopcji, bo im dłużej się zamartwiała, tym wyraźniej krystalizowała się jedna myśl. Chciała tego dziecka. Nie planowała go, nie była w stanie wyobrazić sobie bardziej niezręcznej sytuacji, kiedy jej związek z Carlem coraz bardziej się rozluźniał, ale chciała tego dziecka. To była krew z jej krwi, kość z jej kości. Chciała go.

- Jeżeli go chcesz - zapytała Cydra, zatrzymując się nagle i krzycząc tak, że biegnąca przodem Chelsea mogła usłyszeć jej głos - to dlaczego, do cholery, biegasz?

Chelsea też się zatrzymała.

- Lekarz powiedział, że nie ma przeciwwskazań. Naprawdę, pytałam go.

Cydra pozostała sceptyczna. - Na pewno?

- Chcę tego dziecka. Nie zrobiłabym niczego, co mogłoby mu zaszkodzić, ale muszę biegać. To rozjaśnia mi umysł. - Potrząsnęła głową w kierunku trasy i znów ruszyła.

Kiedy przebiegły przecznice, Cydra wrzasnęła: - Ju-huu! Dzidzius!

Chelsea rozumiała, o co jej chodziło. Przez całe lata jej przyjaciółki rodziły dzieci, a ona była najbardziej nawiedzoną kobietą pracującą z całej bandy, „ciocią”, która przynosiła prezenty, robiła zdjęcia, laskotała brzuszki i wychodziła. Nie bardzo mogła sobie wyobrazić siebie z torbą pełną pieluch na ramieniu. - Śmieszne, nie?

- Bardzo.

- Ale ja jestem w stanie to zrobić. Będę potrafiła je wychować. Pieniądze nie mają znaczenia. Ani ciągłość pracy.

- Mimo wszystko to nie najlepszy czas, przy tej sprawie przedsiębiorstwa wydobywczego i tylu innych.

- Poradzę sobie - uroczyście oświadczyła Chelsea.

- A co wszyscy pomyślą, kiedy to zaczną być widoczne?

- Że jestem w ciąży.

- Wiesz o czym myślę, Chelsea. Z tego, co mi opowiadałaś, to okropnie konserwatywne miejsce.

- Więc przypuszczam, że będą zaszokowani. - W równym stopniu jak moja biologiczna matka musiała ich szokować, zadumała się. Historia się powtórzy. - Zaszokujesz też twojego tatę.

- Nie. Tak. - Chelsea całymi godzinami usiłowała wyobrazić sobie reakcję Kevina. - Zawiodę go. Wie, że jestem w stanie zrobić nieprzewidziane rzeczy, nie będzie więc zaszokowany, a kiedy dowie się, że to dziecko Carla, przestanie się złościć. A potem, kiedy mu powiem, że nie będzie ślubu... - Głos jej się załamał. Kevin będzie nieszczęśliwy, ale chociaż myśl o tym smuciła ją, nie była w stanie tego zmienić. Kiedy zastanawiała się nad małżeństwem z Carlem, czuła się, jakby coś ją dusiło. To z powodu dziecka powinna się czuć w ten sposób, ale tak nie było. Dziecko będzie całkowicie jej. Będzie tam, gdzie i ona, i będzie robić to, co ona. Hailey Smart wcale nie miała złego pomysłu.

- Więc co powiesz Carlowi? - zapytała Cyra.

- Że nie chcę za niego wyjść.

- A jeżeli zechce wziąć dziecko?

- Będzie mógł je widywać.
- A jeżeli zechce wspólnej opieki?
- Będzie mógł je widywać tak często, jak tylko zechce.
- To nie to samo, co wspólna opieka.
- Ja nie chcę wspólnej opieki - oświadczyła Chelsea. - Chcę, żeby dziecko było całkowicie moje.
- Więzy krwi, których z nikim nie miałaś?
- Aha.

Podbiegając bliżej, Cydra powiedziała: - To bardzo znaczące, wiesz.

- Och?

- Moi koledzy po fachu powiedzieliby, że podświadomie chciałaś zająć w ciążę.

To była interesująca hipoteza. Chelsea nie sądziła, że prawdziwa, ale też nie mogła jej wykluczyć.

Kiedy już przeżyła pierwszy wstrząs, ciąża nie martwiła jej ani trochę. - A co ty byś powiedziała? - zapytała. - Powiedziałabym, żebyś porozmawiała z Carlem i miała to z głowy, żebyś potem mogła już tylko cieszyć się z tego, że jesteś w ciąży.

Pierwsze, co Chelsea rano zrobiła, to odszukała Carla i zapytała go, czy nie mogliby się gdzieś wybrać po pracy. - Nie dzisiaj - powiedział. - Wieczorem mam kolację z J.D. Hendersonem. Nie wiem, jak długo to potrwa, ale nie będę go chciał poganiać. Jest jednym z niewielu na rynku, którzy w ogóle nie liczą się ze stanem ekonomii.

Już wcześniej wspominał jej o tej kolacji, ale zapomniała. Gdyby jej organizm miał inny rytm, zaproponowałyby śniadanie. Nigdy jednak nie była skowronkiem, a ostatnio rano czuła się nieszczęśliwie. - Więc jutro wieczorem?

- Oczywiście.

Zostało to więc ustalone, a przynajmniej tak się Chelsea wydawało. Cały dzień czuła się jednak nieswojo, miała ochotę z nim porozmawiać i mieć to za sobą. Wiedziała, że po spotkaniu z Hendersonem wróci do biura; po każdym spotkaniu przychodził, żeby porobić

notatki lub narysować kilka szkiców, żeby nie zapomnieć nawet najdrobniejszego szczegółu, o którym była mowa. Przyszła tam o dziewiątej w nadziei, że zastanie go przy pracy, a gdyby go jeszcze nie było, planowała poczekać. Miała dostatecznie dużo do roboty w biurze.

Już w hallu zauważyła światło w jego gabinecie. Serce biło jej mocno, kiedy jeszcze raz przebiegała w myślach, co ma mu do powiedzenia. Cicho podeszła do drzwi, postawiła nogę na progu i w tym momencie bijące serce podeszło jej do gardła. Carl był w środku razem z Hailey i żadne z nich nie było kompletnie ubrane.

Oszołomiona, cofnęła się, ale zdążył ją zauważyć.

- O Jezu - usłyszała jego słowa, kiedy splatając ręce, opierała się o ścianę. Potem było kilka cichych przekleństw i Carl wypadł przez drzwi, zatrzymując się na jej widok. Pospiesznie zapiał koszulę, ale poły były nadal na wierzchu. Twarz miał czerwoną ze wstydu.

Przez wszystkie lata ich znajomości Chelsea nigdy nie widziała go w takim stanie. Wyglądał jak ktoś obcy i to jeszcze wzmogło wstrząs, którego doświadczyła.

Podniósł ręce, żeby odparować wściekłe ciosy, których oczekiwał. Kiedy spodziewany atak nie nastąpił, obrócił ten gest we wzruszenie ramionami i pozwolił rękom opaść wzdłuż boków. W jego oczach widniały przeprosiny, których usta nie potrafiły sformułować.

- Ty szczurze - wyszeptała Chelsea. Czuła się zdradzona. - Ty szczurze.

Posłał zakłopotane spojrzenie w kierunku gabinetu. Potem znów odwrócił się do niej i wsunął ręce do kieszeni spodni.

Poczuła, jak żołądek jej się skręca. - Od jak dawna... - zaczęła niepewnym głosem, odchrząknęła i znów spróbowała. - Od jak dawna się z nią spotykasz?

- Od jakiegoś czasu. Wiedziałaś o tym.

- Myślałam, że to już skończone.

- Niby tak.

Niby tak. Przypomniała sobie noc, kiedy się kochali i poczuła lekkie mdłości.

- Co to ma znaczyć?

- Wydawało mi się, że nie jest dla mnie odpowiednia. Myślałem, że ty, jak najbardziej. Ale między tobą a mną zawsze czegoś brakowało. Czegoś, co ona ma.

Chelsea poczuła się, jak gdyby otrzymała cios w brzuch. Nieważne, że sama wiedziała, że czegoś brakuje i przyszła powiedzieć Carlowi dokładnie to samo. Nieważne, że nie chciała za niego wyjść, a jej wyznanie Straciło sens po tym, jak nakryła go z Hailey. Nadal kochała Carla jako przyjaciela. Nosiła w sobie jego dziecko. Świadomość, że był związany z inną kobietą w tym samym czasie, co z nią, sprawiała, że czuła się zbrukana.

Obróciła się na pięcie, podbiegła w stronę hallu, ale zanim dobiegła do części recepcyjnej, zdała sobie sprawę, że ucieczka jest głupotą. Miała tu wszelkie prawa. Przez cały czas, kiedy pracowali nad swoim związkiem, pozostała Carlowi wierna. A że on nie był jej wierny, tracił możliwość jakichkolwiek ewentualnych roszczeń w stosunku do dziecka.

Stanął za nią. - Przykro mi, Chels. Nie chciałem, żebyś dowiedziała się o tym w taki sposób. Nie chciałem cię zranić.

Odwróciła się i stanęła z nim twarzą w twarz, ze skrzyżowanymi ramionami i potępiającym wzrokiem.

- Naprawdę - obstawał. - Naprawdę byłem szczery po śmierci twojej matki, kiedy mówiłem, że chcę, żebyśmy byli razem. I wszystko, co mówiłem przez te wszystkie miesiące do teraz, było serio.

Kocham cię, Chelsea, ale miałaś rację tego pierwszego razu, kiedy ci o tym powiedziałem, a ty twierdziłaś, że nie jesteś pewna, czy jesteśmy w sobie zakochani i że to jest wielka różnica. Wtedy nie chciałem się z tym pogodzić, bo przecież, do diabła, było tyle powodów, dla których powinniśmy się pobrać. Nadal jest dużo, ale to nie są właściwe powody.

Chelsea знаła te wszystkie powody, ale trwała w milczeniu. On zwijał się ze wstydu. Choć poznała prawdę

w obrzydliwy sposób, znajdowała w tym perwersyjną satysfakcję.

Satysfakcja zniknęła, kiedy na jego twarzy pojawił się ból. Usiłowała dopatrzeć się w nim fałszu, ale bezskutecznie. Wyglądało na to, że mówi prawdę. - Przez długi czas w ogóle nie spotykałem się z Hailey. Potem sprawy między nami zaczęły się wlec w mało skonkretyzowany sposób. Nasz związek się nie rozwijał. Pojechałaś więc do Norwich Notch. Nie mam zamiaru obwiniać ciebie ani tego miasteczka - dodał tonem człowieka, który wie, że kroczy po cienkim lodzie. - Pojechałaś tam, bo wiedziałaś, że tu coś się nie klei. Z tego samego powodu - ponieważ wiedziałem, że między nami jest coś nie tak - znów zacząłem spotykać się z Hailey.

- W swoim czasie powiedziałaś, że jest dla ciebie zbyt niekonwencjonalna.

- To prawda. - Przerwał na minutę. Zobaczyła ślad głupawego uśmiešku i zachciało jej się wrzeszczeć. - Ale to podniecające.

Powiedział też wtedy, że traci oddech kiedy jest z Hailey, na co Chelsea odpowiedziała coś o namiętności. Nie przypominała mu o tym teraz. Miała dostatecznie dużo dowodów w hallu.

W ich związku brakowało namiętności. Znalazł ją w związku z Hailey. Nie miała prawa go za to winić.

- Chciałem ci o tym powiedzieć wcześniej, Chels, ale nigdy nie mogłem znaleźć właściwego momentu. Czułem nacisk ze strony moich rodziców, żeby się z tobą ożenić, nacisk ze strony Kevina, żeby się z tobą ożenić, nawet sam na siebie naciskałem, żeby się z tobą ożenić. Usiłowałem powiedzieć ci o Hailey w zeszłym miesiącu, kiedy wróciłaś z Norwich Notch, ale potem zaczęłaś mnie całować i pomyślałem, że może coś jednak z tego wyjdzie i wszystko będzie w porządku.

Więc wtedy, kiedy była z nim tak blisko, jego myśli były z Hailey. - Dlaczego więc nie powiedziałeś mi, żebym przestała? - zawołała, czując się oszukana.

- Bo ja też tego chciałem! - wykrzyknął i on. - Nie byłaś dla mnie nieatrakcyjna, Chelsea. Nie miałem problemów, żeby się z tobą kochać. Ale tobie nie było dobrze, a moja satysfakcja była czysto fizyczna. Nie było w tym nic cudownego ani - machnął ręką - nie było poczucia intensywnego spełnienia czy podniecenia. A czy ty czułaś coś takiego? - zapytał tonem, który mówił, że zna odpowiedź, ale chciał, żeby sama to przyznała.

- Nie - powiedziała cicho.

- A kiedy jestem z Hailey, to wszystko jest, i jeżeli mówiąc to sprawiam ci ból, to mi przykro, ale najwyższy czas, żebyśmy byli wobec siebie uczciwi. Nie pasujemy do siebie. Nie zależy ci na rodzinie i dzieciach tak jak mnie, i wreszcie nadejdzie dzień, kiedy dojdiesz do wniosku, że jednak znajdziesz kogoś lepszego ode mnie. Kiedy przechodzisz, wszystkie głowy odwracają się za tobą. Wystarczy rozpuścić wici, że poszukujesz męża i zostaniesz zasypana propozycjami. A tymczasem możesz poszukiwać swoich korzeni, jeżeli czujesz taką potrzebę. Ja żenię się z Hailey.

Te słowa dotarły do niej jak echo, przytłumione tym, co powiedział wcześniej. Słyszała je jednak jasno i wyraźnie. Powinna być zaszokowana, zraniona lub zła. O dziwo, czuła ulgę.

- Nie mówiłem jeszcze moim rodzicom - ciągnął dalej - ale teraz, kiedy powiedziałem już tobie, mam zamiar to zrobić. Nie będą zachwyceni. Hailey to nie ty, a oni pragnęli całym sercem, żebyś to ty została ich synową. Ale Hailey spodziewa się mojego dziecka, nie mają więc wyboru.

Chelsea poczuła, jak coś przewraca się jej w żołądku. Przycisnęła do niego rękę i głęboko wciągnęła powietrze, żeby się rozluźnić. - Jest w ciąży?

- Od bardzo niedawna - powiedział z dumą. - Jeszcze za wcześnie na wizytę u lekarza, ale zrobiła domowy test. Jeżeli pobierzemy się w ten weekend, nikt się nie domyśli, że to się stało przed ślubem.

Chelsea jeszcze raz wzięła głęboki oddech, bo pierwszy nie przyniósł żadnego efektu. - A co, jeżeli nie jest naprawdę w ciąży? A jeżeli to pułapka na ciebie?

Jego duma przerodziła się w oburzenie. - To nie pułapka. Ona mnie kocha. Nie zrobiłaby tego. Jak możesz coś takiego w ogóle sugerować, Chelsea?

Poczuła, jak zawrzał w niej gwałtowny gniew. - W tych okolicznościach mogę sugerować to, co tylko zechcę. Pomyśl, jak ja się czuję. Skakałeś z mojego łóżka do jej. A może z jej do mojego i z powrotem? - Na samą myśl o tym zrobiło jej się niedobrze. Modliła się, żeby nie zwymiotować. Tego już byłoby za wiele.

Wyprostował się. - Nie byłem z Hailey ani razu, kiedy byliśmy ze sobą. Dopiero wtedy, kiedy pojąłem, że między nami nigdy się nie ułoży, byłem z nią.

Wdzięczna przynajmniej za to, Chelsea westchnęła. W tej chwili uszły z niej wszystkie siły i z trzęsącymi się kolanami oparła się o ścianę.

- Dobrze się czujesz? - zapytał Carl z dawną serdeczną troską, ale to było tylko placebo, a nie to, czego Chelsea naprawdę potrzebowała. Poczuła się wyobcowana, podobnie jak tuż po śmierci Abby, ale tym razem nie miała już żadnego oparcia. Kevin sprzedał dom i odchodził na emeryturę, Bóg jeden wie dokąd, a Carl zenił się z Hailey.

- Chelsea? Skinęła głową.

- Martwię się o ciebie - powiedział. Zdołała przywołać blady uśmiech.

- Nadal jesteśmy przyjaciółmi, prawda? - zapytał. Znów skinęła głową.

- I partnerami w interesach - dodał. - Zawsze będę tu, żeby ci pomóc, Chels. A jeżeli chodzi o rodziców, wezmę na siebie całą winę za to, co się wydarzyło między nami. Moi rodzice cię kochają i nigdy nie przestaną.

Chelsea poczuła tak nagłą i intensywną pustkę, że jeszcze mocniej przycisnęła do siebie skrzyżowane ramio-

na. - Jędę, hmm, do domu - powiedziała. Oderwała się od ściany, otworzyła drzwi i poszła w kierunku windy.

- Zobaczymy się rano? - zawołał nerwowo Carl.

Przytaknęła i machnęła ręką, ale nie odwróciła się. Wszystko w środku ją skręcało. Była skrajnie wyczerpana i zdruzgotana. Chciała już być w domu i położyć się spać.

Spała bez przerwy do dziesiątej następnego ranka. Usiadła spokojnie w kuchni, wypła zwyczajowe dwie filiżanki kawy, które później zwymiotowała, wzięła prysznic, ubrała się i pojechała do biura Boba Mahoneya. Zanim minęło południe, podpisała wszystkie dokumenty, które czyniły ją partnerem w spółce Plum Granite Company. Przed pierwszą zjawiała się w biurze Harper, Kane, Koo, gdzie zaczęła telefonować i porządkować papiery i myśli. O piątej była z powrotem w domu z dwoma pełnymi aktówkami, trzema przepelnionymi teczkami projektów i plikiem czeków bankierskich, a o szóstej następnego w ranka siedziała w swoim samochodzie w drodze na północ, do Norwich Notch.

ROZDZIAŁ 7

Donna Farr stała w oknie wystawowym domu towarowego, ale jej uwagi nie zajmowały słomkowe kapelusze, które przed chwilą ułożyła na wystawie. Matthew właśnie wyszedł i mogła swobodnie wypatrywać przez okno, co się dzieje na skwerze, gdzie Chelsea właśnie wysiadała z błyszczącego zielonego jaguara.

Nie mogła jej pomylić z nikim innym. Prawie trzy miesiące minęły, odkąd ją widziała w ten ciemny

i deszczowy dzień, ale Donna zapamiętała tę twarz jako jasny punkt tamtego dnia i ten obraz mimo upływu czasu nie opuścił jej pamięci. Było w niej coś szczególnego. Donna wyczuła to wówczas i teraz też to wyczuwała, nawet z tej odległości. Tym razem Chelsea miała na sobie żółtą letnią sukienkę o modnym kroju, która na jej szczupłej, wysokiej sylwetce wyglądała znakomicie. Kolor sukienki wydobywał odcień jej włosów, które w słońcu wydawały się bardziej rude niż brązowe i opadały falami na ramiona.

Istotnie, była piękna, lecz piękni ludzie pojawiali się tutaj już przedtem, a i Notch miało swoich pięknych ludzi. Jednak Chelsea miała w sobie coś więcej. Miała wyrafinowanie, którego brakowało innym. Miała pewność siebie. Miała klasę.

Miała też pieniądze. Donna mogła tak przypuszczać już w marcu, patrząc na krój jej ubrań, ale kiedy wróciła w maju z prawnikiem i propozycją zakupu Plum Granite, skala jej bogactwa stała się wymierna. Według Olivera, zaproponowała absurdalną wręcz kwotę pieniędzy. On jednak nie zdecydował się na sprzedaż. Firma była jego duszą i sercem. Znaczyła dla niego wszystko. Donna, która była trzecią z jego czterech córek i która pozostała najbliżej domu, mogła za to ręczyć. Jej najbardziej wyraźne wspomnienia z dzieciństwa łączyły się z rodzinnymi wycieczkami do kamieniołomów w niedzielne popołudnia, kiedy robotnicy mieli wolne, a jej ojciec, przez nikogo nie nagabywany, mógł się wspinać po skalnych półkach. Pamiętała jego wykłady o tym, co zostało zrobione w ciągu tygodnia, instrukcje na temat zastosowania sprzętu i to, jak na nie wrzeszczał, kiedy ona lub któraś z sióstr niecierpliwiły się i chciały już wracać. Traktował kamieniołomy z czcią, z jaką większość ludzi traktowała kościół, i niczym nawiedzony kaznodzieja wymagał posłuszeństwa. Zazwyczaj je uzyskiwał. Tylko najmłodsza z jego córek, Jeannie, pod koniec lat sześćdziesiątych uciekła z folkowym gitarzystą o imieniu Rick. Później pobrali

się, kupili dom w Tenafly w New Jersey i mieli dwoje dzieci. Mimo że ostatecznie Rick zrobił karierę jako dentysta, Oliver Plum nigdy nie wybaczył Jeannie ucieczki.

Janet, starsza o pięć lat siostra Donny, wyszła za Hickory Pullmana, prawnika pracującego dla stanowej komisji ustawodawczej, podobnie jak przed nim jego ojciec. Susan, młodsza o trzy lata od Janet, wyszła za męża za Trevora Balia, którego rodzina od lat prowadziła księgowość w bankach Jamiesona. Sama Donna wyszła za Matthew Farra.

Ze wszystkich trzech małżeństw jej małżeństwo usatysfakcjonowało Olivera najbardziej. Połączyło dwie wielkie rodziny, jak mawiał, a według kryteriów obowiązujących w Norwich Notch, rodzina Farrów była istotnie wielka. Któryś z Farrów był zawsze miejskim poczmistrzem, najstarszy żyjący mężczyzna z rodziny Farrów przewodniczył miejskim zgromadzeniom, a kobiety Farrów zawsze prowadziły kościelne bazary. No i oczywiście w posiadaniu rodziny był dom towarowy, który Farrowie prowadzili od dnia jego założenia w 1808 roku. Nikt, kto miał jakieś znaczenie w Norwich Notch, czy tylko miał nadzieję, że je osiągnie, nie ośmieliłby się kupować rzeczy codziennego użytku gdzie indziej.

Farrowie tworzyli mocną grupę w miasteczku. Donna, która pochodziła z rodziny Plumów, teoretycznie była im równa, ale tylko teoretycznie. Ona była ułomna, a w rodzinie Farrów ani w rodzinie Plumów nigdy przedtem nie było kalek. Gdyby Matthew Farr już dawno nie przekroczył właściwego wieku do ożenku, wątpiła, czy w ogóle chciałby na nią spojrzeć. Był ogromnie przystojny, najlepsza partia w Norwich Notch. Ale wówczas miał już trzydzieści pięć lat i jego rodzice żądali, żeby się ożenił. Donna, która w wieku lat dwudziestu ośmiu stała u progu staropanieństwa, była gotowa do zamążpójścia.

Donna była dumna, że nosi nazwisko Farr. Mówiła to sobie po kilkanaście razy dziennie. Będąc spowinowacaną z Farrami i spokrewnioną z Plumami, była integralną

częścią Notch i właśnie to dawało jej poczucie bezpieczeństwa. Ostatnio zdała sobie sprawę, że przypomina sobie o tym coraz częściej. Tradycja ma w życiu ogromne znaczenie. Porządek też. Notch bez tradycji i porządku nie byłoby tym samym miasteczkiem.

To był też powód, dla którego Oliver Plum nigdy nie sprzedałby Plum Granite, pomijając jego skądinąd głęboką miłość do własnej firmy. Przedsiębiorstwo było instytucją w Norwich Notch, ale gdyby zabrakło Plu-mów, stałoby się niczym. Było nie do pomyślenia, że mogłoby wpaść w obce ręce.

W obecnej sytuacji mieszkańcy byli niezadowoleni, że ktoś z zewnątrz będzie inwestował pieniądze w przedsiębiorstwo. Oliver powiedział o spółce bardzo niewielu ludziom, ale mimo to wieść się rozeszła - jak to zwykle w Notch - a komentarze nie były łagodne.

Chelsea Kane była obca. Nikt nie wiedział o niej nic bliższego. W dodatku była kobietą. Nie można było jej ufać.

Kiedy Donna patrzyła na nią, jak stała niczym królowa na skraju skweru, wątpiła, czy kiedykolwiek dostosuje się do miejscowego środowiska. Była zbyt niezwykła, była kobietą, która zawsze wyróżnia się w tłumie, a to ostatnia rzecz, jakiej mieszkanka Norwich Notch mogłaby pragnąć. One zawsze chciały sprawić przyjemność swoim rodzicom, dostosować się do swoich mężów i troszczyć się o dzieci. Chciały utrzymać taką samą strukturę społeczną miasteczka, jaka w nim panowała od dwustu lat. Zawsze chciały dostosować się do otoczenia, schludne, grzeczne i pracowite.

Donna podskoczyła, kiedy poczuła, że jakaś ręka wsuwa się w jej dłoń. Gwałtownie odwróciła głowę, a jej oczy rozświeciły się, gdy ujrzała Nolana McCoya. Pozwoliła sobie tylko na króciutką chwilę przyjemności i natychmiast sprawdziła, czy przypadkiem nie ma jeszcze kogoś w pokoju. Kiedy jej wzrok znów powędrował ku jego twarzy, było w nim pytanie.

- Tylko sprawdzam, co się dzieje - powiedział, poruszając wargami w taki sposób, że bardzo łatwo było czytać z ułożenia ust.

Nolan był szefem policji, jednym z dwóch etatowych policjantów w Norwich Notch. Został zatrudniony osiem lat temu, kiedy jego poprzednik w pijanym widzie zjechał z szosy i wpadł w dziesięciometrową przepaść. Nolan znał wszystkich mieszkańców Notch. Był szanowany i lubiany. Jednak ciągle był traktowany jak obcy, bo tak funkcjonowało Notch. Osiem lat nie wystarczało, żeby zaakceptować człowieka. Donna znała ludzi, którzy mieszkali tu dwa razy dłużej i nadal podchodzono do nich z podejrzliwością. Ludzie musieli zasłużyć sobie na miejsce w szeregach obywateli miasteczka.

Dopóki nie pojawił się Nolan, Donnie to nie przeszkadzało. W nim było coś, co od początku wzruszało. Przypuszczała, że to jego samotność. Miał rodziców w Nowym Meksyku, brata w Montanie oraz była żonę i dwie córki w Kansas. Twierdził, że tęskni tylko za córkami, ale Donna sądziła inaczej. Wiedziała dostatecznie dużo o samotności, żeby umieć ją rozpoznać u innych i dlatego starała się zapraszać go do domu tak często, jak to było możliwe. Wymagało to wielu zabiegów, jako że Matthew hołdował tradycji w takim samym stopniu jak jego ojciec, a tradycja oznaczała niezmienną listę gości na Święto Dziękczynienia, Boże Narodzenie i kolację noworoczną. Nazwisko Nolana nie figurowało na tej liście, ani nie zanosilo się, że zostanie tam umieszczone. W oczach Matthew Nolan był kimś tylko trochę lepszym niż sezonowi robotnicy zatrudniani przez miasto. Ale Nolan był sumiennym pracownikiem, co w oczach Donny stanowiło kolejny przymiot. Traktował pracę bardzo poważnie. Poświęcał jej długie godziny. Stawiał sobie za cel bezpieczeństwo i spokój w Norwich Notch.

Miał też najcieplejsze oczy, jakie Donna w życiu widziała. Nie był przystojny w konwencjonalny sposób. Miał przedwcześnie posiwiałe włosy, byczy kark i grube rysy twarzy. Ale kiedy na nią spoglądał, to

naprawdę patrzył na nią. Nie widział w niej córki Olivera Pluma ani żony Matthew Farra, ani matki Joshiego Farra. Widział ją. Kiedy na nią patrzył, czuła się cudownie.

W ciągu czternastu lat małżeństwa Matthew Farr ani razu nie wywołał w niej takiego odczucia.

- Wszystko w porządku? - zapytał Nolan, muskając jej palce swoimi.

Uśmiechnęła się. Wiedziała, że trzyma ją za rękę, żeby nie mogła mówić językiem migowym. Wolał, kiedy naprawdę mówiła. Ona zaś nie cierpiała mówić, ale uwielbiała dotyk jego dłoni. W milczeniu lekko wzruszyła ramionami, dotykając go przy tym, rzuciła okiem na skwer i spojrzała znów na jego usta.

- Chelsea Kane - potwierdził. - Wczoraj późno w nocy przyjechała do gospody. Twój tata domyślał się, że będzie tu od czasu do czasu przyjeżdżać, ale nie spodziewał się jej tak prędko. Atrament jeszcze nie wysechł na tych dokumentach, które podpisała. Mówi, że może zostać tak długo, jak długo ma przy sobie książeczkę czekową.

Donna uniosła brwi.

Nolan przytaknął. - Nie może sobie pozwolić, żeby powiedzieć jej, że ma odjechać, ale nie próbuj mu tego uświadomić. Dzisiaj jest naprawdę rozdrażniony.

Donna domyślała się dlaczego. Spółka była ostatnią rzeczą w życiu, jakiej chciał.

- Shelby podawała jej śniadanie - mówił dalej Nolan. - Prawie nic nie jadła i wyglądała na zmęczoną.

- Miała długą podróż - powiedziała Donna bezdźwięcznie.

- Mów na głos - prosił, lekko ściskając jej rękę, ale potrząsnęła głową, a on nie nalegał. - Może tu zostać przez jakiś czas. Zarezerwowała pokój na tydzień z możliwością przedłużenia pobytu.

- Dlaczego?

- Nie wiem, ale twój ojciec będzie wściekły. Spoglądając znowu na skwer, Donna poczuła instynktowną sympatię dla Chelsea Kane. To smutne być

akceptowaną tylko z powodu pieniędzy, nazwiska czy pozycji społecznej. Matthew ożenił się z nią dla nazwiska i pozycji, i był to pusty związek. Zastanawiała się, czy Chelsea przeszkadzało to tak samo jak jej.

Zastanawiała się, czy Chelsea Kane była kiedykolwiek mężatką. Oliver twierdził, że nie, ale twierdził także, że jest nieprzyjemna w obejściu, a Donna odniosła całkowicie przeciwne wrażenie. Kiedy Chelsea w marcu odwiedziła dom towarowy, była w stosunku do niej miła i uprzejma. Donna ceniła uprzejmość.

Kiedy patrzyła, seter Judda Streetera wybiegł z za biura prawnego, zobaczył Chelsea i susami biegł w jej kierunku. Zatrzymał się przed nią, machając ogonem. Poklepała go, podrapała za uszami, a kiedy podniósł w górę pysk, zaczęła go drapać pod brodą. Kiedy tak łagodnie go głaskała, pies nagle nabral niezwykle szlachetnego wyglądu, a Chelsea robiła identyczne wrażenie, pomyślała Donna. Z kasztanowymi włosami, jasną cerą i smukłą figurą, była oszałamiającą kobietą.

Znow Donnie zrobiło się jej żal. Zastanawiała się, co Chelsea naprawdę wie o Notch. Jeżeli wydawało jej się, że zdobyła władzę tylko dlatego, że kupiła udziały w Plum Granite, to się sparzy. Nikt nie był w stanie wkupić się do Norwich Notch. Nikt nie mógł zdobyć tu pozycji, dopóki ojcowie miasta tego nie zaaprobowali, a Oliver był jednym z ojców miasta. Był nadal radnym miejskim oraz wpływowym członkiem komisji planowania i komisji budżetowej. Gdyby Chelsea postanowiła z nim walczyć, czekałaby ją niemała przeprawa.

Przez króciutką chwilę Donna lekkomyślnie marzyła, żeby Chelsea miała taki zamiar. Chwila minęła, a Donna odsunęła od siebie tę świętokradczą myśl. Wtedy poczuła, jak klatka piersiowa Nolana wibruje śmiechem.

Odwrócił jej podbródek w kierunku skweru. - Spójrz na Bucka, jak macha ogonem i się przymila.

Przysięgam, że to zwierzę jest bardziej towarzyskie niż Judd.

Donna zawsze lubiła Judda Streetera. Byli w tym samym wieku i dorastali obok siebie. Zawsze ją dobrze

traktował. Potem wyjechał do college'u i przez jakiś czas pracował w mieście. Kiedy wrócił, stał się chmurny i trzymał się na uboczu. Być może był najlepszym kierownikiem, jaki kiedykolwiek pracował u Olivera, ale Nolan miał rację. Nie był ani w połowie tak towarzyski jak jego pies.

Nolan dotknął jej policzka. Podniosła wzrok i zobaczyła jak mówi: - Muszę już iść. Do zobaczenia. - Dotknął jej ust i przez chwilę nie mogła złapać tchu. Potem ścisnął jej dłoń po raz ostatni, pogłaskał kciukiem i puścił. Poszedł w kierunku tylnego wejścia. Poczula trzaśnięcie drzwi i choć nie mogła usłyszeć wysokich obrotów silnika samochodu policyjnego, obserwowała go dostatecznie wiele razy przedtem - jak otwierał drzwi, wciskał swoją wielką sylwetkę za kierownicę, zamykał drzwi i przyciskał gaz do dechy - że dokładnie wiedziała, co robi. Kiedy oczami duszy widziała, jak wyjeżdża samochodem z podwórka na drogę, poczuła jak uchodzi z niej powietrze.

Pocieszyła się myślą, że niedługo wróci. Wpadał, kiedy tylko mógł. Niezbyt często byli sami, ale to były chwile, którymi cieszyła się najbardziej. Lubiła jego bliskość. Kiedy stał obok niej, dotykając ją barkiem, czuła się bezpieczna, chociaż zdawała sobie sprawę, że to było idiotyczne odczucie. Norwich Notch było najbezpieczniejszym miejscem pod słońcem. Chroniło tych, którzy tu przynależeli, a Donna z całą pewnością przynależała do Norwich Notch. Jeżeli ktokolwiek był osłonięty od wszelkiego zła, to z pewnością ona.

Oślonięta od wszelkiego zła. O tak.

Z westchnieniem znów zaczęła przypatrywać się Chelsea.

Piętro wyżej nad biurem prawnym, przy oknie ze schludnym, wygiętym w łuk napisem ZAKŁAD FRYZJERSKI ZEE, stało dwóch mężczyzn, spoglądając na skwer. Obaj byli korpulentni. Jeden z nich był srebrzystowłosy, drugi siwy. Obaj mieli na sobie zapięte pod szyję

koszule z krótkimi rękawami, ciemne spodnie podtrzymywane szelkami, sznurowane buty, a na twarzach wyraz stoickiego spokoju.

Ktoś obcy mógłby uznać, że oznacza on całkowity brak zainteresowania. Judd Streeter znał obu mężczyzn dobrze i wiedział, że to nieprawda. Nie byli zadowoleni z obrotu spraw. Potrafił to ocenić po ich sztywnej postawie, zaciętych wargach i mniej emocjonalnym niż ZWYKLE sposobie mówienia. Byli zirytowani, bo nie mieli żadnego wpływu na to, co się stało. Oliver Plum wszedł W spółkę nie konsultując się z nimi, a nie załatwiało się spraw w ten sposób. Nieważne, że Plum Granite było własnością Olivera. Funkcjonowanie firmy miało bezpośredni wpływ na losy miasteczka, a wszystkie decyzje, które miały bezpośredni wpływ na miasto, były zwyczajowo podejmowane przez jego trzech radnych. Farr nigdy nie przystępował do działania bez konsultacji z Jamiesonem i Plumem, Plum nie przystępował do działania bez porozumienia z Jamiesonem i Farrem i tak dalej. Przynajmniej do tej pory istniał taki zwyczaj, bo tym razem Plum się wyłamał.

- Niezła dziewczucha - powiedział teraz Emery Farr. To on miał srebrzyste włosy. Nosił okulary, miał rumiane policzki i był trochę podobny do Świętego Mikołaja, więc powinien być równie łagodny jak święty. Był jednak twardy.

George Jamieson, którego siwe włosy wyrastały w krótkich, sztywnych kępkach na czubku głowy, był jeszcze twardszy. - Od razu widać, że to kobieta z miasta.

- Powinna była tam zostać.

- Ale tam nie miałyby się czym popisywać. Musiała przyjechać tutaj, żeby to robić. Spójrz tylko na ten samochód. Musi czuć się ważną figurą z takim samochodem.

Judd zaczął się zastanawiać, co to za samochód, kiedy Emery powiedział: - Nie wiem, co z nim zrobi, jeżeli przyjedzie nim tutaj w zimie. Będzie co chwila wpadał w poślizg.

- No i dobrze - zauważył George.
- Ale kiedy zaczniesz się domagać, żeby sypać więcej piasku, to wcale nie będzie dobrze.
- Może się domagać, czego chce. Wcale nie musimy jej słuchać.
- Na Boga, George, nie możemy tak po prostu zatkać uszu. Ona ma połowę przedsiębiorstwa.
- A czyja to wina?

Obaj mężczyźni posłali piętnujące spojrzenie w kierunku fryzjerskiego fotela, na którym leżał Oliver Plum z dolną częścią twarzy pokrytą pianą. Codzienne spotkania triumwiratu przy goleniu u Zee nabrało rangi rytuału. Każdego ranka o dziewiątej przychodzili tu, żeby przeczytać gazetę, wypić kawę, przedyskutować miejskie sprawy i po kolei zasiadać na popękany skórzany fotel. Mimo że na drzwiach wisiał napis OTWARTE, reszta miasta do jedenastej trzymała się od Zee z daleka.

Judd, który był tu na prośbę Olivera, wiedział, że powinien być dyskretny i nie wyrażać swoich opinii. Nie przeszkadzało mu to ani trochę. Wzajemne docinki tej trójki bawiły go niepomnie. Poza tym było wiele mniej przyjemnych miejsc, gdzie mógłby czekać na szefa. Zakład Zee pachniał letnim słońcem, kremem do golenia i kawą i przywoływał wspomnienia z dzieciństwa, kiedy Judd przychodził tu trzymając silną rękę ojca, wspinał się na wysokie schody i był podsadzany na wielki fotel, by Zee podciął mu włosy. Oczami dorosłego nie postrzegał już fotela jako wielkiego, schodów jako wysokich, a dłoń jego ojca zwiotczała przez lata bezczynności, ale nadal na te wspomnienia robiło mu się ciepło na duszy.

Zee nazywał się Antonio Pozzi. Ojciec Olivera, który nie spotkał w życiu zbyt wielu Włochów, zaczął używać tego przydomka jako jednej z metod zamerykanizowania fryzjera i, zważywszy jak długo już zakład świadczył tu usługi, taktyka starego Pluma przyniosła rezultaty. Zee strzygł i golił w Notch już od czterdziestu pięciu lat.

Fakt, że nadal mówił łamaną angielszczyzną, w najmniejszym stopniu nie przeszkadzał Oliverowi, ani Georg'owi, ani Emery'emu. Wcale nie chcieli, żeby cokolwiek mówił. Był tylko jednym z akcesoriów ich spotkań, takim samym jak zegar na ścianie, którego kuranty biły co pół godziny.

- Gospodarka jest w parszywym stanie - brzmiała odpowiedź Olivera, wypowiedziana z minimalnym ruchem warg, żeby nie przeszkadzać brzytwie Zee.

- Gospodarka jest w parszywym stanie - przedrzeźniał go George pod nosem. Głośniej powiedział: - Gospodarka nie ma wpływu na nas. Norwich Notch jest łolidne jak skała, zawsze było i zawsze będzie. Powinieneś być poczekać, Ollie. Powinieneś być się nas poradzić, zanim zrobiłeś coś tak szalonego. - Spojrzał na skwer i oczy mu się zwężyły. - Ale ty się pospieszyłeś i sięgnąłeś po pierwszego dolara, jaki pojawił ci się na drodze, a teraz będziesz musiał sobie radzić z tą przekłętą babą. Możliwe nawet, że dojdzie do buntu w kamieniołomach. Mam rację, Judd? Stojący przy ścianie Judd przestąpił z nogi na nogę. - Ludzie mnie słuchają. Potrafię tam utrzymać spokój.

- Lepiej dobrze się jej przypatrz, zanim to powiesz jeszcze raz - poradził mu Emery.

Ale Judd już zdążył dobrze się jej przypatrzeć. Pierwszego dnia, kiedy przyjechała do Notch, obejrzał ją z bliska. Od tej pory nie był w stanie wyrzucić jej z myśli.

- Ale kiecka - powiedział George. - Nikt tu nie nosi takich kiecek. Co ona sobie wyobraża?

Emery prychnął. - Nie potrafi odróżnić, co jest właściwe, a co może przynieść kłopoty. To co właściwe w mieście, nie pasuje ani trochę tutaj. Ty mieszkałeś w mieście, Judd. Musisz ją nauczyć, na czym polega różnica. Albo jeszcze lepiej, Ollie ją naucz. To on ją tutaj ściągnął.

- Nie mam zamiaru uczyć jej czegokolwiek - dobiegło mamrotanie z fotela. - Ja tylko korzystam z jej pieniędzy, żeby postawić na nogi moją firmę.

George włożył kciuki pod szelki i oparł dłonie na pagórku brzucha. - Przejdzie się parę razy tak jak teraz i postawi nie tylko twoją firmę.

- Wracając jeszcze do sprawy - wtrącił Emery. - Wydawało mi się, że mówiłeś, że swoją część pracy będzie wykonywała z Baltimore. To co ona tutaj robi?

Oliver chrząknął. - A niby skąd mam wiedzieć?

- To ty robisz z nią interesy - powiedział Emery.

- To mój prawnik robi z nią interesy.

Emery był nieporuszony. - To jak długo ona tu zostaje?

- Sam ją zapytaj.

- Nie będę jej pytał. Ona jest twoją wspólniczką.

- To nie znaczy, że ja jestem jej stróżem.

- Owszem, znaczy - oświadczył George. - Jest twoją wspólniczką i jesteś za nią odpowiedzialny. To ty musisz jej powiedzieć, żeby sobie stąd pojechała.

- Ty jej powiedz, żeby sobie stąd pojechała.

- Judd jej powie - powiedział Emery, rzucając spojrzenie w kierunku Judda.

Judd nie odezwał się słowem. Od dziewięciu lat był u Olivera kierownikiem robót. Oliver nigdy nie przestawał żelazną ręką dusić pieniędzy, ale poza tym Judd w ciągu tych lat prawie całkowicie objął rządy w przedsiębiorstwie. Zatrudniał i zwalniał ludzi, wydzielał nagrody i kary, wyznaczał zadania, uczył techniki, naprawiał urządzenia, nadskakiwał potencjalnym nabywcom i miał oko na Huntera.

Musiał robić dużo nieprzyjemnych rzeczy. Powiedzenie Chelsea Kane, żeby wyjechała z miasta, nie byłoby nieprzyjemne, bo nie widział specjalnego pożytku z wypind-rzonej panienki z miasta, ale byłoby głupie. Plum Granite potrzebowało jej pieniędzy i jej układów. Co prawda niechętnie, ale musiał przyznać, że ona ma to, czego przedsiębiorstwu brakowało.

Musiał przyznać Oliverowi, że wejście z nią w układ było sprytnym posunięciem. Jedynym zadaniem Judda było trzymanie w gotowości dostatecznej ilości ro

hutników, żeby zawsze mogli zrealizować załatwione przez nich zamówienia, a za rok już jej tu nie będzie.

- Powiesz jej, Judd? - zapytał George.

- Jeszcze nie - powiedział Judd. Ani George, ani Rmery, ani nawet Oliver nie onieśmielali go. Dla Plum Granite był niezastąpiony, a oni o tym wiedzieli. - Nie, dopóki nie wykorzystamy tego, co nam wniosła.

Emery, który właśnie rozprostował olbrzymią chustkę do nosa, zdjął okulary i zaczął polerować szkła.

- Przyniesie nam tylko kłopoty. Czuję to w kościach. Tym razem naprawdę narozrabiałeś, Ollie.

- Niczego nie zrobiłem. - Sprzedałeś jej połowę firmy - jęknął George.

- Nie sprzedałem - warknął w odpowiedzi Oliver.

- Ona zainwestowała. Tylko dlatego, że ty nie chciałeś dać mi więcej pieniędzy.

- Czy to moja wina, że Federalna Komisja Ubezpieczeń Kredytów obserwuje wszystkie banki jak sęp.

- Czy to moja wina, że udzieliłeś tylu nieściągalnych kredytów?

- Czy to moja wina, że nie masz zamówień i interes się nie kręci? Czy to moja wina, że wyczerpałeś już limit kredytów? - Limit jest za niski.

- Więc kto mówi o nieściągalnych kredytach?

- Nie tak ostro, ja spłacam w terminie.

- A ja chciałbym wiedzieć - powiedział Emery, wciskując chusteczkę z powrotem do kieszeni - co ona będzie z tego miała? Dlaczego luksusowa dziewczyna z miasta chciałaby mieć do czynienia z nami?

- Jest za bogata i się nudzi - burknął Oliver. - Nie ma lepszego pomysłu na zabicie czasu.

- Więc co my z nią zrobimy? George, cały czas patrząc na skwer, ściągnął wargi.

- Mnie tylko jedno przychodzi do głowy. I jeżeli nie zaczną nosić przyzwoitych spódnic, każdy mężczyzna, który na nią spojrzy, będzie myślał tylko o tym.

Wyobraźnia Judda, ulegając potędze sugestii, rozna-

miętniła się. Zadarzało się to już nierzadko przedtem, kiedy w mroku nocy jego ciało stawało się niespokojne i rozpalone. W takich chwilach wyobrażał sobie Chelsea Kane bez ubrania. Teraz, biorąc się w karby, wyobraził ją sobie ubraną.

- Zaproś ją na kolację - wymamrotał Oliver z fotela.

- Ty ją zaproś na kolację - zripostował George. - O ile dobrze rozumiem, ja jej tutaj nie zaprosiłem i nie muszę się dostosowywać. - Kątem ust zwrócił się do Emery'ego. - Poczekaj tylko co będzie, jak Margaret rzuci na nią okiem.

Oliver podniósł głos. - Odczepcie się od Margaret!

- Czy ona wie o tej transakcji? - zapytał Emery.

- Oczywiście, że wie. Jest moją żoną. Jak mógłbym zawrzeć taką transakcję i nic jej o tym nie mówić? Bardzo prosto, pomyślał Judd. W twardym sercu Olivera Pluma były trzy czułe punkty. Pierwszy i najbardziej oczywisty był związany z firmą. Drugi, to Margaret. Chociaż zbliżali się do pięćdziesiątej rocznicy ślubu, traktował ją niczym najszlachetniejszy kryształ, który przy leciutkim podmuchu mógłby się rozpaść na kawałki. Gdyby uznał, że Margaret mógłby zdenerwować fakt, iż Chelsea Kane zainwestowała w jego firmę, próbowałby to przed nią ukryć.

Trzecim czułym punktem w twardym sercu Olivera Pluma był Hunter Love. Istniały pogłoski, według których Hunter był synem Olivera, efektem jego romansu z żoną robotnika z kamieniołomów, ale nikt tego nie potwierdził i nie zanosilo się, aby ktokolwiek miał potwierdzić. Chłopiec został znaleziony, kiedy mając zaledwie pięć lat wędrował samotnie po lasach, i oddano go na wychowanie do rodziny zastępczej w Cutters Corner. Oficjalnie Oliver pomagał Hunterowi z poczucia obowiązku w stosunku do dziecka jednego z jego byłych robotników, ale biorąc pod uwagę charakter Huntera, poczucie obowiązku dawno powinno było zaniknąć. Hunter Love miał cechy buntownika. Czasami naprawdę bywał niemożliwy do zniesienia.

- Więc co powiedziała Margaret? - spytał Emery.
- Powiedziała, że wszystko w porządku - burknął Oliver. - Po prostu w porządku.
- Tylko dlatego, że nie widziała Chelsea Kane - wtrącił George, a potem warknął: - Powinno się zastrzelić tego wściekłego psa.

Emery zmarszczył nos, unosząc przy tym okulary.

- Od razu do niej podbiegł, Judd. Królewski komitet powitalny. Musiał wyczuć w niej miasto. Kupiłeś Bucka W mieście, prawda, Judd?

- Jasne, że tak - powiedział Judd. Ale wtedy Buck był małym szczeniakiem. Judd wątpił, czy pies pamiętał cokolwiek o miejskich kobietach. A przynajmniej miał taką nadzieję.

- Ten durny pies jest naprawdę miły - powiedział George z chrząknięciem. - Masz głupiego psa. - Przerwał i dodał tonem pochwały: - Chociaż ma dobre oko. Niezła z niej lala.

- Na Boga, George - skarcił go Emery. - Jesteś już na to za stary.

- Mężczyzna nigdy nie jest na to za stary - upierał się George.

- Judd nie jest za stary - powiedział Emery, rzucając kolejne, jeszcze bardziej zaciekawione spojrzenie w jego kierunku. - Będziesz ją miał na oku, Judd? Zrobisz to dla nas?

Ani jeden mięsień nie drgnął na twarzy Judda. Nie uznał, by propozycja Emery'ego była warta choćby najmniejszego wysiłku.

Lecz George ciągnął temat dalej. - To świetny pomysł. Jesteś w odpowiednim wieku. Masz większe szanse niż my, żeby ją lepiej poznać. Dowiedzieć się, co myśli. Dopilnować, żeby nie wchodziła nam w drogę.

- Judd ślubował abstynencję od kobiet! - zawołał Oliver spod ręcznika, którym Zee właśnie wycierał mu twarz.

- I tu wychodzi, jak naprawdę jesteś poinformowany

- odpowiedział Emery. - Ma małą słodką Sarę w Adams Falls, która drapie go, gdzie go świerzbi.

Prawda, Judd?

- Od kobiet z miasta - uściślił Oliver. Wyprostował się przy tym w fotelu, wyrwał ręcznik z rąk Zee i zaczął sam wycierać sobie szyję. - Od kobiet z miasta. Ślubował, że żadnych kobiet z miasta.

- Ale - powiedział George - może przecież ślubować, że do nich wróci po prostu dla towarzystwa, prawda Judd?

Judd był w stanie zrobić wiele dla towarzystwa, nie tyle z lojalności wobec Olivera, ile z lojalności wobec swoich ludzi i miasta, ale podrywanie Chelsea Kane nie mieściło się w tej kategorii. Już dawno temu nauczył się, że niektóre kobiety są jak syreny, wabiące mężczyzn swoimi pieśniami i popychające ich ku zniszczeniu. Chelsea Kane też miała swoją pieśń. Zadźwięczała mu we krwi, już kiedy ją pierwszy raz zobaczył, ale raczej wolałby być przeklęty niż iść za tym wabikiem. Wolał, żeby jego kobiety były proste i miękkie, i nawet jeżeli oznaczało to mniej podniecające, to tak było lepiej. Nie obchodziło go, jakie erotyczne fantazje wywoływała Chelsea; nie miał zamiaru igrać z ogniem.

- Prawda, Judd? - powtórzył George. Tym razem nie było to pytanie, lecz polecenie.

- Nie ja - poinformował go Judd. - Ja nie chcę mieć z nią nic wspólnego.

George znów zerknął przez okno. - Nie wiesz, co tracisz.

Judd doskonale wiedział, co traci. W czasie lat spędzonych w mieście znał wiele takich Chelsea Kane. Do diabła, nawet się z jedną ożenił. I dostał niezłą nauczkę.

George zakołysał się na piętach. - Ona spodoba się Walkerowi Chaneyowi. Jest z Nowego Jorku.

Emery nie zgodził się. - Walker nie potrafi rozmawiać z kobietami. Rozmawia tylko ze swoimi komputerami.

- Więc doktor Summers. Odbывał staż w szpitalu w Waszyngtonie.

- Ona jest za wysoka dla doktora.

- No to Stokey French. On ma jaja.

Emery rozważył tę koncepcję i w końcu ją zaakceptował. - Może Stokey French.

Judd o mało się nie roześmiał, bo propozycja była tak absurdalna. Stokey French mieszkał za mostem, obok szpitala, w Cutters Corner. Jak większość mieszkańców, był robotnikiem w kamieniołomach i choć miał zeza, dzioby po ospie i nieustannie żuł tytoń, wyobrażał sobie, że żadna kobieta mu się nie oprze. Owszem, mógł spróbować z Chelsea, ale jeżeli ona jest z tego rodzaju kobiet, jak Judd przypuszczał, to nie zajdzie daleko. Zniszczy go jednym spojrzeniem.

Naprawdę, śmiechu warte. Ale Judd milczał. Dużo czasu minęło, odkąd się ostatnio roześmiał. Nie był pewien, czy jeszcze potrafi.

Chelsea stała na skraju skweru, ze skrzyżowanymi ramionami i twarzą wystawioną ku słońcu. Ciepło było bardzo miłe, tym bardziej że kontrastowało z chłodem, który ją ogarniał za każdym razem, gdy pomyślała o Baltimore. Całe życie chciała więzi, potrzebowała więzi i czuła ją z Abby i Kevinem, z Carlem, z Harper, Kane, Koo, ze swoją pracą i tłumem przyjaciół. Teraz Abby nie żyła, Kevin gdzieś tam podróżował, a Carl zenił się z Hailey. A jeżeli chodzi o tłum przyjaciół, to gdzieś się rozwiął i nie zdawała sobie dokładnie sprawy jak i kiedy. Nadal utrzymywała kontakty z większością z nich, z niektórymi bliższe, z innymi dalsze, ale nawet ci najbliżsi żyli teraz własnym życiem. Jednak dopiero teraz, kiedy po raz pierwszy od wielu miesięcy stanęła spokojnie, zdała sobie z tego sprawę.

Wzięła głęboki oddech, żeby uspokoić nerwy, i to pomogło. Powietrze było świeże, przepojone zapachem zielonych roślin. Trawa na skwerze była bujna, białe kwiatki górskiego wawrzynu pachnące. Wzdłuż ulic rosły sękate klony i dęby, których liście tworzyły baldachim, ocieniający miasto. Na trawnikach przed domami rosły bzy, które aż się prosiły, żeby z nich zrobić bukiet. Kolorowe kwiaty wysypywały się z każdego ganku niczym z rogu obfitości.

Nadciągało lato. Jego zwiastun, dojrzały zapach wiosny, który wzmagała jeszcze senność i ogólna nieruchawość miasteczka, wypełniał jej zmysły. Nawet jeden listek nie drgnął. W powietrzu wydawały się mieszać ogólne zadowolenie i wysoka wilgotność, które wspólnie redukowały tempo życia do ślimaczego. Śpiew ptaków rozbrzmiewał na zmianę z brzęczeniem pszczół, a w tle szumiała woda, przelewająca się w basenikach dla ptaków na miejskim skwerze. Dobiegały ją radosne głosy dzieci. Nie widziała miejsca, skąd dochodziły te łagodne tony, ale były to jedyne dźwięki w spokoju słońca grzejącego powietrze. Nie było słychać żadnego hałasu urządzeń mechanicznych, ani mrużenia klimatyzatora, ani warkotu kosiarki do trawy, ani pomruku furgonetki - i chociaż wiedziała, że z czasem usłyszy te wszystkie dźwięki, w tej chwili rozkoszowała się wiejską sielanką. Wszystko wokół było przyciszone i spokojne, proste i pogodne.

Właśnie tego potrzebowała. Gdzieś w głębi duszy musiała się tego spodziewać, skoro wczoraj tak pospiesznie spakowała się i wyjechała z Baltimore. Cały poprzedni rok był pełen powikłań i ciężkich przeżyć. Potrzebowała portu, w którym mogłaby się schronić w burzową pogodę. Przeznaczenie przywiodło ją tutaj.

Jeszcze raz odetchnęła głęboko, wolno wypuściła powietrze, a potem równie wolno obróciła się, żeby zlustrować centrum miasteczka. Za nią, tuż przy skwerze, stały trzy wielkie domy w stylu federalnym, ogrodzone schludnymi płotami z palików, sprawiające wrażenie, że nadal są domami mieszkalnymi. Po lewej i po prawej stronie, wokół wierzchołka trójkątnego skweru, były budynki, które poprzednio widziała. Kiedy teraz oglądała je zrelaksowana, w blasku słońca, miały urok, o który w marcu nawet ich nie podejrzewała. Biblioteka, mieszcząca się w małym, pomalowanym na żółto wiktoriańskim budynku, miała w sobie pewien powab. Piekarnia, z wystawą wypełnioną bochenkami chleba, ciastami i ciasteczkami, miała wdzięk. Budynek poczty miał

dostojeństwo, dom towarowy oryginalność, bank szlachetność. No i oczywiście kościół, centralny punkt miasteczka, do którego jej wzrok co chwilę wracał. Mimo że jego drewniany front był pomalowany na białą, cień rzucany przez sosny nadawał mu jasnoniebieski odcień. Powyżej kościoła, ograniczone białym ogrodzeniem i rozrzucone na wzgórzu, stały wysokie, cienkie płyty - strażnicy zmarłych tego miasta.

Zastanawiała się, czy ktoś spośród jej krewnych został tam pochowany.

Zastanawiała się też, czy ktoś spośród jej krewnych nie został tam pochowany, ale nadal żył, cieszył się dobrym zdrowiem i był mieszkańcem miasteczka.

Zastanawiała się, czy ktokolwiek tutaj wiedział, kim ona jest.

Zza biura prawnego wybiegł pies, zobaczył ją i podbiegł do niej w kilku susach. To był rudy seter i robił wrażenie równie dobrze utrzymanego, jak całe miasteczko. Wymachiwał długim ogonem i wsadził nos w jej nadstawioną dłoń.

- Jesteś cudny - gruchała do niego, głaszcząc jego łeb, a potem drapiąc go pod szyją, zaś pies uśmiechał się do niej. Był bardzo przyjacielskim zwierzęciem. Cydra bez wątpienia uznałaby to za znaczące. Chociaż nie przyjechała tu szukać przyjaciół, po tym wszystkim, co wydarzyło się w Baltimore, czuła się pozbawiona oparcia. Przydałby się jej przyjaciel.

Z tą myślą w głowie, udała się w kierunku Farra.

ROZDZIAŁ 8

Kiedy Chelsea wchodziła do sklepu, rozległ się dźwięk dzwonka nad drzwiami. Tym razem były to drzwi z siatki, które zamknęły się za nią z lekkim trzaskiem. Rozejrzała się wokół i zauważyła, że i tu zawitało lato. Wśród wystawionych towarów zamiast syropu klonowego królowały kosze piknikowe, kolory były bardziej jaskrawe, a zapachy lżejsze. Nad stoiskiem z prasą wisiały plakaty zapraszające na kolację z daniami-niespodziankami na zakrytych półmiskach, na mecz softballowy juniorzy przeciwko seniorom, z którego dochód miał służyć Towarzystwu Historycznemu w Norwich Notch i finansować obchody święta Czwartego Lipca.

Dom towarowy robił wrażenie opustoszałego, a na to Chelsea liczyła. Zresztą, kiedy podjeżdżała do skraju skweru, widziała, jak Matthew Farr wsiada do swojej furgonetki i odjeżdża. Bardzo dobrze, nie był jej do niczego potrzebny. Chciała się zobaczyć z Donna.

Kątem oka zauważyła jakiś ruch za kasą. Z uśmiechem podeszła do lady kasowej. Donna wyglądała prawie dokładnie tak samo jak w marcu, a jedyne zmiany polegały na tym, że tym razem bluzka włożona do spódnicy miała krótkie rękawy, a kosmyki włosów, które wymykały się z koczka, były bardziej skrócone. Wpatrywała się w ekran komputera mrużąc oczy, całkowicie zaabsorbowana pracą. - Cześć - powiedziała Chelsea, a po chwili, kiedy nie doczekała się odpowiedzi: - Dzień dobry? - Dopiero kiedy podeszła bliżej, Donna podniosła wzrok.

Jej oczy natychmiast rozbłysły, a na twarzy pojawił się uśmiech, który odbijał podniecenie i zarazem zadowolenie. Chelsea tęskniła za jednym i za drugim, więc tak to sobie wyobraziła.

- Jak się pani miewa? - zapytała, sama czując, jak narasta w niej miłe zadowolenie.

Donna skinęła głową, co oznaczało, że dobrze, potem podniosła brwi, co miało oznaczać to samo pytanie.

- Wspaniale - zaśmiała się Chelsea. - Wróciłam.

- Udając przygnębienie, obniżyła głos o oktawę i powiedziała: - W interesach. - Potem znów się uśmiechnęła i rzuciła spojrzenie za siebie. - Wszystko wygląda wspaniale. Strasznie podobają mi się pani słomkowe kapelusze... - Były umieszczone na stojaku niedaleko koszy piknikowych i przywodziły na myśl długie powiewne sukienki, ser brie, bagietki i wino oraz leniwe popołudnia na brzegu strumyka. - Czy są produkowane na miejscu?

W odpowiedzi zobaczyła gest sugerujący, że i tak, i nie. Kiedy czekała na wyjaśnienie, Donna wyglądała na zdenerwowaną. W końcu z grymasem rezygnacji wskazała na ucho i pokręciła głową. W tym momencie do Chelsea dotarło, że Donna jest głucha. Poczuli się oszołomiona, na zmianę wyrzucając sobie, że wcześniej się nie domyśliła i czując ogromny smutek. Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, a potem, nie wiedząc co mogłaby powiedzieć, zamknęła je.

Donna przysła jej na ratunek, pokazując, żeby weszła za ladę. Usunęła z ekranu komputera remanenty, nad którymi pracowała, i zrezygnacyjnie napisała: - Przykro mi. Wszyscy w miasteczku o tym wiedzą, ale jeżeli ktoś się nie spodziewa, to jest to szok.

Chelsea sięgnęła po klawiaturę i napisała: - To ja przepraszam. Powinnam była się domyślić. - Kiedy spojrzała wstecz, skojarzyło jej się tyle oznak, na które przedtem nie zwróciła uwagi.

Opuszki palców Donny poruszały się po klawiaturze.

- Czytam z ruchu warg. Nie musi pani pisać.

- Lubię pisać na komputerze. A co z tymi kapeluszami?

- Robią je w Vermont. Niezupełnie na miejscu, ale prawie.

- Są świetne. Takie romantyczne. - Kiedy Donna spojrzała na nią, podniosła oczy do nieba w przesadnie rozpaczliwy sposób. - Ale chciałam powiedzieć coś innego - powiedziała. - Tak naprawdę, to przyjechałam tu w interesach.

- Wiem - powiedziała bezgłośnie Donna.

- Tak się domyślałam. Przypuszczam, że wiedzą absolutnie wszyscy. W takim miasteczku chyba nie ma zbyt dużo sekretów.

Donna napisała. - Byłaby pani zdumiona. Chelsea zerknęła na jej smutny profil, potem na ekran i znów na nią. Delikatnie odsunęła jej dłonie i napisała.

- To brzmi intrygująco. Zdradzi mi pani któryś z nich?

- Nie, jeżeli nie chcę zostać ukamienowana na miejskim skwerze.

Chelsea uśmiechnęła się. Czasy, kiedy publicznie kamienowano, dawno już minęły, ale słowa Donny były znaczące. Miasteczka takie jak Norwich Notch nigdy nie pokazywały swoich brudów szerokiemu światu i choć Chelsea nie uważała się za szeroki świat, jako że urodziła się w Notch, Donna o tym nie wiedziała. Nie nadeszła jeszcze pora na zdradzanie sekretów.

- Rozumiem - napisała, a potem: - Czy mogłaby mi pani pomóc w jeszcze jednej sprawie? - Kiedy Donna spojrzała na jej wargi, powiedziała: - Przez najbliższy rok będę spędzała tu dużo czasu. Nie byłoby zbyt rozsądne, gdybym za każdym razem zatrzymywała się w gospodzie. Pomyślałam, że powinnam kupić sobie jakiś dom. - W gruncie rzeczy myślała o wynajęciu czegoś, ale nie poprawiła, kiedy wymknęło jej się, że chce kupić. - Czy mogłaby mi pani polecić dobrą agencję nieruchomości? Na tablicy ogłoszeń w gospodzie są przypięte trzy wizytówki. - Wyjęła notes z torebki i przeczytała: - Mack Hewitt, Brian Dolly i Eli Whip.

Palce Donny zaczęły poruszać się po klawiaturze.

- Mack Hewitt nie da pani dojść do słowa, Brian Dolly nie powie ani słowa, a Eli Whip powie tylko to, co sobie wyobraża, że pani chciałaby usłyszeć. Najlepszym agen-

tem w mieście jest kobieta, Rosie Hacker. Ma biuro przy West Street.

Chelsea spodobał się sposób rozumowania Donny.

- Dziękuję - napisała. - A klub sportowy? Czy jest jakiś w pobliżu?

- Nie ma żadnego klubu sportowego. Każdego dnia są zajęcia aerobiku w piwnicy kościoła. Są otwarte dla wszystkich chętnych i może pani przyjść.

- Nigdy nie ćwiczyłam aerobiku.

- To dobra zabawa.

- Ale ja nie mam słuchu muzycznego - napisała.

- Zupełnie nie czuję melodii.

- Ja też nie - odpisała Donna w chwili, kiedy Chelsea zdała sobie sprawę ze swojego faux pas, ale Donna nie robiła wrażenia urażonej. - Instruktor korzysta z podkładu muzycznego o bardzo wyraźnym rytmie. Jeżeli ja jestem w stanie go wyczuć, pani tym bardziej.

Chelsea odczuła pokusę. Nie pamiętała już, ile razy obserwowała jako widz zajęcia aerobiku.

Niezmiennie była tam jedna, czy dwie osoby, które wypadły z rytmu. Zawsze się z nimi utożsamiała. Owszem, miała dobrą koordynację ruchów i była wysportowana, ale poruszanie się w rytm muzyki było czymś innym. Zazwyczaj była ogromnie pewna siebie, ale kiedy nadchodził czas tańca, zawsze trzymała się na uboczu. Nie chciała robić z siebie idiotki. W zamian więc została biegaczką.

Donna wpatrywała się w nią z oczekiwaniem.

- Jak duża jest ta grupa?

Donna podniosła w górę dziesięć palców, po czym odwróciła się i napisała: - Wszystko kobiety.

Mogłabym panią wprowadzić i wszystkim przedstawić.

Chelsea uznała, że choćby z tego powodu powinna tam pójść. Jeżeli jej celem było poznanie Norwich Notch, im więcej ludzi pozna w miasteczku, tym bardziej zbliży ją to do celu. Poza tym Donna była przemiłą osobą. Spodobał jej się pomysł robienia czegoś wspólnie z nią.

- Okay - powiedziała. - Spróbuję. Ale jeżeli wypadnę niekorzystnie, to będzie pani wina.

Donna uśmiechnęła się. Uśmiech jednak zniknął, kiedy nagle spojrzała zaniepokojona w głąb sklepu. Chelsea niczego tam nie zauważyła. Najwyraźniej Donna też nie, bo nie wykonała żadnego ruchu, żeby odejść, ale też już nie rozluźniła się całkiem. W zadumie przez chwilę wpatrywała się w ekran komputera i napisała: - Czy pani wie, kim jestem?

- Donna Farr - odpisała Chelsea.

- Donna Plum Farr. Oliver jest moim ojcem. Chelsea nigdy by na to nie wpadła. Nie było między nimi fizycznego podobieństwa, a gdyby nawet istniało, trudno by je było dostrzec, jako że Oliver był zawsze ponury, a Donna pogodna i chętnie się uśmiechała. Chelsea zastanawiała się, jak taki gburowaty ojciec mógł spłodzić tak delikatną i łagodną córkę. Niewątpliwie była to zasługa matki Donny. Ta kobieta musiała być świętą, żeby żyć z Oliverem.

Donna napisała: - Miejscowi ludzie są niezadowoleni z umowy, którą z panią zawarł. Plum Granite jest przedsiębiorstwem rodzinnym. Pani jest obca. - Zawahała się, po czym napisała jeszcze szybciej:

- Niektórzy uważają panią za wroga.

- A czy pani też tak myśli?

Oczy Donny powędrowały ku jej oczom. Po minucie, potrząsnęła głową.

- Zainwestowałam - powiedziała łagodnie Chelsea. - Chciałabym, żeby ta inwestycja się zwróciła, co znaczy, że przedsiębiorstwo znów musi się zacząć rozwijać. Czyż nie na tym wszystkim zależy?

Donna przytaknęła i odwróciła się do ekranu. - Ale Plum Granite to Plum Granite. - Przez chwilę trzymała ręce nad klawiaturą, jak gdyby chciała rozwinąć to zdanie, ale potem opuściła je i spojrzała na Chelsea.

- Wiem - powiedziała Chelsea i rozumiała to z intelektualnego punktu widzenia. Nie była pewna, czy z emocjonalnego też. Tak silne utożsamianie się z nazwiskiem było jej obce, podobnie jak poczucie przynależności do wielkiego drzewa genealogicznego. Zazdrościła Don

nic jej poczucia przynależności. - No, dobrze - powiedziała z westchnieniem - jeżeli pani ojciec i jego ludzie dotrzymają swojej części umowy, za rok mnie tu nie będzie.

Rok. To wszystko, czego potrzebowała. Przy odrobinie częścią będzie już miała dziecko, pozna tożsamość swoich rodziców, a na koncie będzie miała więcej pieniędzy niż kiedykolwiek. Wróci do pracy w Harper, Kane, Koo, jak dyby nic się nie stało. Albo zacznie coś nowego. Jak na obietę bez korzeni, miała nieskończoną ilość możliwości.

- Jedzie tutaj - powiedział Oliver do Judda. Odłożył słuchawkę na widełki i położył ręce na biurku. - Właśnie Otworzyła dwa konta w banku. Jedno na firmę, a jedno osobiste. George przysięga, że ma zamiar zostać tu jakiś czas. - Przycisnął zaciśniętą pięść do ust i skwaszony wpatrzył się w podłogę. - Nie wiem dlaczego, u diabła, to robi.

Judd też nie wiedział. Z jego życiowego doświadczenia wynikało, że kobiety, które miały miasto we krwi, nie przyjeżdżały do takich miejsc jak Norwich Notch. One wyjeżdżały z takich miejsc. Chelsea Kane musiała stracić poczucie kierunku. Musiał ją oślepić znak, przez co jeszcze bardziej wszystko mu gmatwała. Oczywiście, że na granicy można zrobić pieniądze. Przy nowoczesnym wyposażeniu i umiejętnym marketingu można było zdobyć zamówienia i czerpać z tego zyski, ale ograniczone zyski. Taka kobieta jak Chelsea Kane mogła wymyślić co najmniej tuzin innych przedsięwzięć, które przynosiłyby o wiele wyższe dochody i to w znacznie szybszym czasie. Zastanawiał się, dlaczego zdecydowała się na granit.

- Czy zamówiłeś już wszystko? - zapytał Oliver, przeszywając Judda wzrokiem.

- Oczywiście - powiedział Judd. Zadowolony wyciągnął się na krześle i opuścił rękę, żeby podrapać Bucka z uchem. Przez całe lata ciężko pracował nad Oliverem, żeby ten kupił nowy sprzęt. Przez całe lata namawiał go do zbudowania hal, gdzie kamień byłby

cięty i polerowany. Przez całe lata przekonywał go, żeby skomputeryzował biuro. Ale Oliver był nieprawdopodobnym wprost dusigroszem i o niczym takim nie chciał słyszeć. Nagle wszystko dokładnie się odwróciło i okazało się, że dusigrosz potrafi być rozrzutny za cudze pieniądze. Judd nie czekał. Kupował, skoro wreszcie trafiła mu się szansa.

W gruncie rzeczy było w tym coś ekscytującego. Jaki mężczyzna nie marzył o zbudowaniu przedsiębiorstwa? W przypadku Plum Granite właściwym określeniem byłaby przebudowa, ale Judd był z tego tak samo dumny. Przywracało to sens jego dyplomowi uniwersyteckiemu i dziesięciu latom w Pittsburghu, kiedy to pracował całymi dniami. Doskonale się wyszkolił. Teraz wreszcie mógł właściwie wykorzystać to, czego się nauczył.

- Russ i jego załoga zaczynają jutro w Moss - powiedział Oliverowi. Moss Ridge został wyznaczony na zakład przetwórczy. To był największy z czynnych kamieniołomów Pluma i zawierał zapasy granitu wystarczające na co najmniej trzydzieści lat. - Zakłada, że możemy mieć coś gotowego, gdzie będzie można zacząć pracę pod koniec sierpnia.

- A dlaczego nie lipca? - zapytał Oliver. - To tylko szopa.

- Szopa wielkości połowy boiska do koszykówki z podporami i wentylacją przystosowaną do ciężkiego sprzętu, z całą ścianą, która może być przesunięta, i z ogrzewaniem, które pozwoli na pracę przez całą zimę. To wszystko, nie wspominając o wyposażeniu. Każde urządzenie na specjalne zamówienie.

- Musimy zawsze ją wyprzedzać.

- I będziemy.

Oliver chrząknął. Kiedy przez otwarte okno dobiegł odległy warkot motocykla Huntera, poszukał wzrokiem spojrzenia Judda. - Czy u niego wszystko w porządku?

Oliver był twardym człowiekiem. Jego twarz ogromnie rzadko wyrażała cokolwiek poza brakiem zainteresowa-

nia, zniecierpliwieniem lub naganą. Kiedy Judd dostrzegli w niej wrażliwość, zawsze go to zaskakiwało.

- Powiedz mi - zażądał Oliver, nagle rozzłoszczony. - Nie pilnujesz go za darmo. Jesteś moimi uszami i oczami. Masz z nim rozmawiać.

- Nie jest zbyt rozmowny.

- Być może, ale ty go znasz lepiej niż ktokolwiek. Ostatnio stał się jeszcze bardziej opryskliwy. Co się wydarzyło?

Judd nie był zachwycony rolą szpicla. Przez większość czasu Hunter był trudny do zniesienia, ale chwilami łagodniał. Wówczas Juddowi robiło się go żal. Oczywiście, dzięki Oliverowi miał dużo łatwiejsze życie pod względem materialnym. Mimo że czasami sprawiał kłopoty, Oliver trzymał go jako złotą rączkę i Judd zawsze był gotów przyznać, że doskonale zna się na tym, co w kamieniołomach należy do jego obowiązków. Potrafił się obchodzić z każdym urządzeniem, z każdym materiałem wybuchowym, z każdym narzędziem, tak jak uczył go Oliver. Ale w głowie miał ogromny emocjonalny zamęt. Judd dopiero teraz zaczął się domyślać jego najgłębszych myśli, mimo że Hunter wypuszczał trochę pary tylko wtedy, kiedy był lekko pijany.

Judd nie przestawał drapać Bucka. - Nie podoba mu się ta transakcja.

- Dlaczego? Nie będzie miała na niego żadnego wpływu.

- Myśli, że to nieprawda. On widzi to w ten sposób, że jest nad nim jeszcze jedna osoba. Ma dostatecznie dużo problemów, żeby wykonywać twoje polecenia. Nie podoba mu się myśl, że miałby wykonywać jeszcze jej polecenia.

Oliver spojrzął spode łba w kierunku okna, skąd dobiegał coraz głośniejszy warkot motocykla. - Czy coś mu się w niej nie podoba?

- W każdej kobiecie coś mu się nie podoba. - I nie miało to nic wspólnego z jego orientacją seksualną. Hunter był zdecydowanie heteroseksualny i cały sznur kobiet mógł o tym zaświadczyć. Po prostu żadnej z nich

specjalnie nie lubił. Był typem faceta, który zdobywał i zaraz potem uciekał.

- Nigdy nie mogłem tego zrozumieć - wymamrotał Oliver. - Jest przecież dostatecznie przystojny.

- Jest, ale ma w sobie gniew - powiedział Judd. Nie był psychiatrą, ale to była najbardziej oczywista rzecz pod słońcem. Wystarczyło rzucić jedno spojrzenie na twarz Huntera i wszystko było wiadomo, zanim zdążył otworzyć usta.

- A niby dlaczego i o co ma się gniewać? Wziąłem go z ulicy, znalazłem mu dobry dom, wysłałem do szkoły, kupowałem ubranie i dałem mu pracę. Zawsze wyciągałem go z tarapatów. Nie ma najmniejszego powodu, żeby być gniewny.

Judd wzruszył ramionami. Analizowanie gniewu Huntera Love nie wchodziło w zakres jego obowiązków, a tym bardziej osądzanie go - a nawet gdyby wchodziło, nikt nie znał całej prawdy o przeszłości Huntera. Jego nieprawe pochodzenie było tylko jedną z pogłosek. Były jeszcze inne. Nie przypominano ich zbyt często, a przynajmniej nie w zasięgu słuchu Judda. Jednak nie tylko język Huntera rozluźniał się u Crockersa. Przez lata do uszu Judda doszło dostatecznie dużo, że nawet jeżeli tylko niektóre z tych pogłosek były prawdziwe, to Hunter miał dostatecznie dużo powodów do gniewu. Motocykl z wyciem wjechał na podjazd i nagle ucichł. W tym samym momencie podjechał samochód i zaparkował przy ulicy.

Buck podniósł głowę.

- Jeździ luksusową gablotą - utyskiwał Oliver, zezując przez okno. - Czy ma chociaż trochę oleju w głowie?

Hunter wszedł frontowymi drzwiami, przeszedł przez sekretariat i bez słowa wszedł do gabinetu Olivera. Nie zaszczycając spojrzeniem obecnych, ulokował swoją ubraną w czerń sylwetkę przy oknie, stając plecami do pokoju.

Wejście Chelsea było dużo cichsze. Zatrzymała się na chwilę, żeby zamienić kilka słów z Fern, która pracowała u Olivera od trzydziestu lat i była prawie

tak samo zdenerwowana przyjsciem Chelsea jak Hunter. Fern kazdego roku stawala sie coraz wolniejsza, ale tum gdzie szybkość jej szwankowala, nadrabiala lojalnoscia. Judd zapewnil ja, ze nie musi sie martwic o te posade. Mial nadzieje, ze wlasnie teraz Chelsea

Dowiedziala jej to samo. Przynajmniej tak postapilaby byla zona Judda, Janine.

Byla stworzeniem politycznym. Byla przemiła dla kazdego, kogo oceniala jako przydatnego dla siebie. Kiedy tylko orientowala sie, ze moze byc inaczej, ton jej glosu zmienial sie w szybkim tempie. Potem Chelsea podeszla do drzwi gabinetu Olivera, a Judd poczul w srodku taki sam szok, jak trzy miesiace temu. Nie wiedzial co takiego - czy zamglone zielone oczy, czy lagodna linia warg z lekko uniesionymi do gory kancikami, czy elegancja jej nog, czy burza kasztanowych lokow - ale niewatpliwie budzila w nim ządze.

Buck wstal ze swojego miejsca i podszedl do niej, a Oliver z miejsca wsiadl na nia. - Czy pani wie, co mysla ludzie w tym miasteczku, kiedy widza kogos w takim samochodzie jak ten? Mysla, ze kierowca jest aroganckim sukinsynem, ktory chce wszystkim pokazac, ile tez ma szmalu. Czy to jest pani zamiarem?

Lagodnie uniesione kanciki ust, ktore tak sie Juddowi podobaly, opadly, ale wcale nie w oburzeniu. Janine bylaby oburzona. To uznalby za normalne. Lecz Chelsea wydawala sie zaskoczona, jak gdyby spodziewala sie uprzejmego, moze nawet przyjacielskiego powitania i rozczarowala sie. W gruncie rzeczy zrobilo mu sie jej zal.

Marszczac brwi, powiedziala: - Wcale nie bylo to moja intencja. - Bezmyslnie dotknela glowy Bucka.

- Co pania opetalo, zeby przyjechać tu takim samochodem?

- To jedyny samochód, jaki mam.

- No, to lepiej niech pani sobie kupi inny. Ten sie tutaj nie nadaje.

Zamrugła oszołomiona. - A co się nadaje?

- Półciężarówka.

Judd nie widział jej w półciężarówce.

- Ale - powiedziała - z jakiegoś powodu nie widzę siebie w półciężarówce.

- Więc jeep - powiedział Oliver i ze zniecierpliwieniem machnął ręką w powietrzu. - Niech pani popatrzy, czym jeżdżą inni. To zawsze jest dobrą wskazówką.

Buck trzymał głowę tak, że mógł czuć dotyk opuszków palców Chelsea, a półzamkniętymi oczami wpatrywał się w Olivera. Buck był zabawny w swojej bezczelności.

- Dobrze - powiedziała Chelsea, zdecydowana nie kłócić się dalej. Bardzo rozsądnie, pomyślał Judd. Jaguar nie był szczególnie istotną sprawą, ale Oliver miał fioła na punkcie tradycji i kontroli. Miał potrzebę sprawowania dyktatorskich rządów. Każda próba konfrontacji z nim była tylko wstępem do większej i głośniejszej scysji.

Chelsea skrzyżowała ramiona i spojrzała na Huntera. Kiedy nie odwrócił się ani nie dał znaku, że zauważył jej obecność, przerzuciła spojrzenie na Judda. On sam właśnie przeżywał lekki szok, a potem następny, kiedy wyobraził sobie, że widzi wahanie. Zdawało mu się, że jej oczy uciekły na bok na ułamek sekundy, a potem wpatrzyły się w niego, tak jakby nie chciała na niego patrzeć, ale jakby coś pociągało ją tak mocno, że nie mogła się oprzeć.

Miał żywą wyobraźnię.

Jednak nie wyobraził sobie kolorów na jej policzkach. Bez wątpienia zarumieniła się na skutek ciepła. Ciepło również dodało skrętu włosom i urody cerze.

Mówiąc sobie, że powinien ją traktować tak jakby była mężczyzną, cicho wstał i podał rękę, tak jak zrobiłby to w stosunku do każdego biznesmena, który zjawiłby się w mieście.

- Witamy.

Uścisk jej dłoni zadziwił go. Nie miażdżył kości jak uścisk Janinę. Janinę uważała, że od razu powinna dać ludziom do zrozumienia, że nie jest rozkoszną blond

laleczką. Uścisk dłoni Chelsea był silny, ale jednocześnie łagodny i nieprawdopodobnie miękki. Jej usta, bez śladu szminki, miały kolor stłumionego różu, a kąciaki unosiły się w górę w nieśmiałym uśmiechu.

Nieśmiałym? Istotnie miał żywą wyobraźnię. Nie mógł uwierzyć, że coś takiego pomyślał.

- Dziękuję - odpowiedziała na jego powitanie. Cofnęła dłoń i znów skrzyżowała ramiona. Zrzedliwy głos Olivera oderwał jej oczy od niego.

- Dlaczego pani tutaj jest?

- Podpisałam dokumenty tworzące naszą spółkę. Mój prawnik wysłał je wczoraj do pana kurierem.

Czy pan ich nie otrzymał?

- Otrzymałem. Ale nie mówił, że pani ma zamiar przyjechać.

- Oczywiście, że przyjechałam. W jaki inny sposób moglibyśmy współpracować?

- Za pomocą telefonu. I poczty. Bardzo wolno pokręciła głową.

Oliver wyprostował się na krześle. Twarz miał surową.

- Pani praca to wyłożenie pieniędzy i sprawdzanie rachunkowości.

- Dlatego tu przyjechałam - powiedziała uprzejmie.

- Włożyłam w to kupę pieniędzy. I chciałabym zobaczyć, jak one są wykorzystywane. A jeżeli chodzi o rachunkowość, to kiedy dokładnie będę wiedziała, ile wydaliśmy pieniędzy, stanę się skuteczniejszym handlowcem, bardziej przebojowym.

- Przebojową - poprawił Hunter.

- Ooo, dzień dobry - powiedziała Chelsea. Hunter odwrócił głowę, posłał jej ostrzegawcze spojrzenie i znów wpatrzył się w okno.

Judd obserwował jej reakcje. Wydawało mu się, że skomentuje, najprawdopodobniej w sposób niezwykle uprzejmy, grubiaństwo Huntera i przez chwilę miał wrażenie, że zaraz to zrobi. Uniosła w górę brodę. Jednak, zanim wydała z siebie choć jedno słowo, znów ją opuściła.

Zastanawiał się, czy uważa Huntera za atrakcyjnego mężczyznę. Wiele kobiet tak sądziło. Jego brak zainteresowania czynił go intrygującym. Zastanawiał się, czy Hunter uznał ją za atrakcyjną.

- Jak długo zamierza pani zostać? - burknął Oliver.

Przez minutę zastanawiała się, a potem skoncentrowała na nim uwagę. - Co najmniej przez weekend. Potem muszę wrócić na kilka dni do domu, żeby popracować, a potem przyjadę tutaj na tydzień lub dwa. Będę dzielić mój czas pomiędzy dwa miejsca. Chociaż, kiedy teraz się nad tym przez moment zastanowiłam, może nawet będę tutaj spędzała więcej czasu. Myślę oczywiście o lecie. W mieście jest upał nie do zniesienia.

Judd miał nieodparte wrażenie, że ona improwizuje, że w gruncie rzeczy jeszcze nie zna swoich planów, co go ogromnie zdziwiło. Janinę zawsze miała przy sobie kalendarz, a w nim zapisane wszystkie spotkania i plany. Zakładał, że ta tutaj też ma.

Oliver przemawiał zrzędlwym tonem: - Powinna pani jakoś dać znać. Nie braliśmy pod uwagę pani pobytu tutaj.

- Nie widzę problemu.

- Oczywiście, że pani nie widzi - burknął. - Pani nie wie nic, co się tutaj dzieje.

- I właśnie dlatego tu przyjechałam.

- Na początek, nie wiem, gdzie pani będzie pracować. Rozejrzała się wokół. - Oczywiście nie tutaj, chyba że

pakujecie rzeczy, żeby zrobić więcej miejsca. Po co są te wszystkie kartony? Wiosenne porządki?

- Wyprowadzamy się.

- Wyprowadzamy się? Dokąd?

- Do centrum.

Jedno spojrzenie na drgnienie w kąciku ust i Judd wiedział, o czym myśli. Myślała, że rynek Norwich Notch trudno jest nazwać centrum, nie tak kojarzyło jej się to słowo. Myślała, że centrum w Norwich Notch jest zaledwie dwie przecznice dalej. Myślała, że ktoś już robi użytek z jej pieniędzy.

- Od lat chciałem to zrobić - wygłosił Oliver ze spojrzeniem, które ostrzegało, aby nie ważyła się protestować. - W Cechu Kołdrzarek jest do wynajęcia część powierzchni pierwszego piętra. Cały budynek jest własnością tych pań. Poszukują lokatora, żeby pieniądze uzyskane z czynszu móc oddać na darmowe obiady dla biednych. Nikt nie może zaprzeczyć, że to szlachetny cel.
 - Jego żona jest starszą cechu - powiedział Hunter. Oliver zawiesił spojrzenie na jego plecach. - A co to niby ma znaczyć?
 - Bez znaczenia. Po prostu stwierdzenie faktu.
 - Nie było to potrzebne. Prawdą jest, że ze sprzedaży tego domu będziemy mieć dosyć pieniędzy, żeby przez dziesięć lat płacić za czynsz. Nie żądają wiele. Ten układ będzie dobry dla obu stron. Będziemy w samym środku wydarzeń. - Znów odwrócił się w stronę Chelsea. - Tam jest jeden pokój na mój gabinet, drugi na sekretariat dla Fern i trzeci dla Huntera i Judda. Nie wiem, gdzie pani miałyby tam pracować. Chelsea nie wyglądała na zniechęconą. - Czy jest tam jeszcze jedno piętro?
 - Stary niedokończony strych. - To mi odpowiada.
 - Strych, powiedziałem.
 - Jestem architektem. Cały czas projektuję strychy.
 - Niedokończony strych.
 - Trzeba zrobić izolację, schody, wykuć jakieś okna w dachu, i podwoi pan powierzchnię biurową za ten sam czynsz. - Oczy jej zabłyśły. - Niech pan tylko pomyśli o powierzchni magazynowej, którą pan zyska. Będzie pan mógł usunąć te wszystkie graty z pokoju Fern i ta nieszczęsna kobieta nareszcie będzie mogła oddychać.
 - Fern się nie uskarża - powiedział Oliver.
 - Prawdopodobnie nie wie, jak to się robi. Z czasem ją tego nauczę.
- Judd musiał przyznać, że nie brakowało jej tupetu. Albo nie rozumiała, jak nieprawdopodobnie konwencjonalne jest Norwich Notch.

- Niech pani tylko spróbuje - ostrzegł ją Oliver, kładąc na biurku dłonie zwinięte w pięści - a wygnamy panią z miasta. Proszę posłuchać, panienko. To, że pani włożyła pieniądze w tę firmę, wcale nie oznacza, że ma pani prawo usiłować tu cokolwiek zmienić. Niech pani zostawi Fern w spokoju. Chelsea uśmiechnęła się szeroko. Twarz Olivera zaczerwieniła się jak burak. - A ta mina co ma znaczyć?

- Znaczy, że podoba mi się myśl, że będę miała biuro na strychu. Jeżeli uda mi się dobrze je oświetlić, będę mogła tam ustawić rajzbret i pracować. Mam nadzieję, że będzie pan instalować dużo linii telefonicznych. Będę potrzebowała dwie. A co z faksem?

Oliver wpatrzył się tępo w Judda. Wszystkie sprawy dotyczące sprzętu biurowego były w jego gestii.

- Zamówiłem faks - powiedział - i komputery, po jednym do każdego pokoju, włączając w to biura w kamieniołomach. Będą połączone w sieć, więc nie trzeba będzie już przekazywać danych i informacji przez gońca.

- Komputery były jego dodatkową specjalizacją i zarazem hobby. Zafascynował się nimi na uniwersytecie, a pracując w Pittsburgu rozwijał to zainteresowanie. W Norwich Notch wieczorami robił programy dla drobnych przedsiębiorstw, które sprzedawał za duże pieniądze. Robiąc to, uczył się na bieżąco nowych programów i technologii, więc skomputeryzowanie Plum Granite było dla niego banalnie proste.

Skłoniła głowę. - Jestem pod wrażeniem.

- Przedwcześnie. Nie mówimy o niczym szczególnie nowoczesnym. W tej chwili nie ma takiej potrzeby.

- Jeszcze nie - powiedziała. - Być może wkrótce.

- Miała w oczach jakieś ciepło. - Czy powierzchnia na drugim piętrze wymaga jakichś przeróbek?

- Trochę tak.

- Zaczęliście już?

Judd potrząsnął głową. - Dopiero co podpisaliśmy umowę najmu.

- Mogłabym się tam rozejrzeć?

- Kiedy tylko pani zechce.

Kiwnęła głową, jakby o czymś rozmyślała. W tym czasie przypatrzył się sukience, wokół której George robił tyle zamieszania. Owszem, była raczej krótka, ule wyglądało to dobrze, bo miała fantastyczne nogi. Nie była jednak obcisła, tylko luźna i przy każdym ruchu kołysała się. Zastanawiał się, jakie ma piersi. Nie był w stanie wiele zauważyć, poza ponętym zarysem.

Myślał, że ma idealny wzrost dla niego, jest dostatecznie wysoka, żeby nie dostawał skurczu karku przy całowaniu jej i dostatecznie niska, żeby nie miał wrażenia, że całuje Amazonkę, i wtedy zapytała:

- Kto będzie wykonywał prace?

Prace. W nowym biurze. Judd wziął swoje myśli w rzy. - Russell Ives. Jest miejscowym przedsiębiorcą budowlanym.

- Czy jest dobry?

- Nie zatrudniłbym go, gdyby nie był.

- Nawet gdyby był pana kuzynem i pilnie potrzebował pracy?

Głos Olivera wtrącił ostro: - Co to za pytanie? Każdy jest tu jakoś spokrewniony z każdym i masa ludzi pilnie potrzebuje pracy. Czy pani wyobraża sobie, że Judd zatrudniłby kogoś, kto by spartolił robotę? Niech pani się zastanowi, panienko. My nie zarządzamy Plum Granite w taki sposób.

- Cieszę się, że to słyszę - natychmiast zripostowała Chelsea - dlatego, że potrzebuję jakiejś pierwszorzędnej firmy do mojego domu.

- Jakiego domu? - zapytał Oliver, ale jego oczy znów powędrowały do Judda.

- Ilu ludzi zatrudnia Russell Ives?

- Dostatecznie wielu, żeby wykonać prawie każdą pracę.

- Jakiego domu? - powtórzył Oliver.

- Tego, który właśnie kupiłam - oznajmiła Oliverowi

i zwróciła się do Judda. - Dostatecznie wielu, żeby wykonywać pana roboty i moje w tym samym czasie?

- Tak, na to wystarczy.

- Jakiego domu? - Oliver domagał się odpowiedzi.

- Boulderbrook!

Zapanowała grobowa cisza, zakłócona jedynie dźwiękiem wentylatora w sekretariacie Fern i odgłosem łap Bucka, który potulnie wrócił do boku Judda. Chelsea przenosiła wzrok z twarzy na twarz. Hunter odwrócił się.

Oliver zerwał się na równe nogi, szurając krzesłem po starej podłodze z desek. - Pani kupiła Boulderbrook?

- zapytał, cedząc słowa.

Judd był zawsze dumny z tego, że potrafił czytać w myślach Olivera, lecz tym razem czuł się ogłupiały. Nie był w stanie ocenić, czy ten człowiek jest zaskoczony, przerażony czy wściekły.

Chelsea musiała być podobnie zbита z tropu, gdyż wyprostowała się, jak gdyby czekając na atak całej trójki. Ostrożnie zapytała: - Czy jest tu jakiś problem? - Dlaczego kupiła pani Boulderbrook?

- Dlatego, że chciałam mieć ten dom - powiedziała, jak gdyby było to dostatecznym powodem, a Judd podejrzewał, że w istocie tak było. Miała więcej pieniędzy niż większość mieszkańców Notch była w stanie sobie wyobrazić, a o posiadaniu takiej ilości pieniędzy nawet im się nie śniło. On sam miał więcej niż większość ludzi, ale tu czuł się zupełnie poza konkurencją.

- Zapłaciła pani duże pieniądze - Oliver sondował z niedowierzaniem - za dom, w którym będzie pani mieszkać tylko tydzień lub dwa?

- Kiedy już urządzę sobie pracownię, będzie tego dużo więcej. To znaczy, że będę spędzać tutaj więcej czasu niż w Baltimore. Nie ma sensu zatrzymywać się każdorazowo w gospodzie. Chcę być elastyczna, więc kupno wydawało mi się najoczywistszym rozwiązaniem.

- Juddowi udało się odkryć ślad rozbawienia tym, co

mówiła. - Oczywiście, chyba że zaoferuje mi pan pokój w pańskim domu.

- Nie mam zamiaru niczego pani oferować - oświadczył Oliver, a potem zapytał: - Kto pokazał pani Boulderbrook?

- Rosie Hacker.

- Tak się domyślałem - powiedział jadowicie. - Bezczelna baba, bierze się za robotę, z którą tu mężczyźni od zawsze doskonale sobie radzili. - Zrządził. - Boulderbrook. Nie mieszka tu dostatecznie długo, żeby się orientować.

Chelsea wyglądała na osłupiałą. - A jaki jest problem z Boulderbrook? - zapytała.

- To ruina.

- Ale ja zawsze chciałam mieszkać na starej wiejskiej farmie.

- Tam wszędzie jest pełno szczurów.

- Owszem, wymaga pracy - zgodziła się.

Judd wiedział, że to niedopowiedzenie. Poza wszystkim innym w Boulderbrook była potrzebna nowa instalacja elektryczna i kanalizacja, nowy dach, ganek, łazienki i kuchnia. Trzeba było zedrzeć warstwy starej farby z podłóg i gzymsów, wyszorować i zaszpachlować ściany, przebudować kominek.

A ta ocena zakresu prac opierała się na rzucie okiem sprzed ośmiu lat. Zmiany mogły być tylko na gorsze, spowodowane czasem, żywiołami i przyrodą.

- Wymaga czegoś więcej niż pracy! - ryknął Oliver. - Wymaga spalenia, tak żeby nie został po nim ani ślad.

- Jest zrobiony z polnego kamienia - zwróciła mu uwagę. - Nie będzie się palić.

Im bardziej ona była spokojna, tym bardziej on gotował się ze złości. - Niech pani nie próbuje być taka przemądrzała, panienko. Kupuje pani dom, o którym nie ma pani zielonego pojęcia. Gdyby pani miała chociaż trochę rozumu, posłuchałaby pani kogoś, kto wszystko o nim wie.

- Nie boję się pracy.
- Boulderbrook potrzebuje czegoś więcej niż pracy! - warknął. - Potrzebuje egzorcysty albo pogromcy duchów! Jest nawiedzony. Czy Rosie Hacker pani o tym nie mówiła?
- Chelsea wzniosła oczy do nieba. - Och, proszę.
- Niech pani nie mówi „och, proszę”. Jest nawiedzony. Czy to nieprawda, Hunter?
- Hunter, ze skrzyżowanymi rękami, wyglądał na zaniepokojonego. - Jest nawiedzony.
- Słyszała pani? - Oliver powiedział do Chelsea -I niech pani mu uwierzy. On sam tam słyszał głosy.
- Jakie głosy? - zapytała Chelsea.
- Głosy małych dzieci - powiedział jej Oliver. - One tam mieszkają w ścianach.
- Och, proszę. - Zwróciła się do Huntera. - Tak w gruncie rzeczy, to nie słyszałeś głosów, prawda?
- Hunter nie odpowiadał.
- Słyszałeś je? - zapytała z niedowierzaniem. Wpatrywał się w nią, jak gdyby oczekiwał, że zacznie się z niego śmiać. Nie zaczęła. Zaciekawilo ją to. Juddowi rzuciło się w oczy, że ciekawość jest częścią jej charakteru.
- Czy stodoła też jest nawiedzona? Hunter potrząsnął głową.
- Tylko dom. Musi być z nim związana jakaś historia.
- Oczywiście, że jest - wtrącił Oliver. - Wszystko ma swoją historię.
- Historię, która spowodowała, że dom stał się nawiedzony?
- Pewnie tak, skoro są tam jednak duchy.
- Uniosła w górę brwi w oczekiwaniu na dalsze wyjaśnienia. Kiedy milczał, zwróciła się do Huntera: - Czy ty znasz tę historię?
- Nikt jej nie zna.
- Czy w rzeczywistości mieszkały tam kiedyś dzieci?
- Dawno temu.
- Przez całe lata stał pusty - powiedział Oliver. - Normalni ludzie trzymali się z dala od niego.

- Ale nadal słycać tam glosy? - Chelsea zapytała Huntera.
 - Nie zbliżam się tam. Ostatni raz tam byłem, kiedy miałem pięć lat.
 - A to było ile lat temu?
 - Trzydzieści dwa.
 - Aha. - Wykonała ręką lekceważący gest. - Proszę bardzo. Trzydzieści dwa lata temu. To historia starożytna.
- Lecz Hunter potrząsnął głową. - Ludzie nadal je słyszą.
- A co te glosy mówią? Milczał.
 - Czy kiedykolwiek ci groziły?
- Judd czekał na odpowiedź. Głosy wiązały się z pogłoskami na temat Huntera, gdyż to on pierwszy o nich opowiedział. Owszem, w następnych latach inni ludzie również twierdzili, że je słyszeli, ale były to przede wszystkim dzieci, zakładające się ze sobą o to, które ośmieli się wbiec do domu w najciemniejszą bezksiężycową noc. Istniały różne teorie co do charakteru tych głosów. Żadna z nich nie została udowodniona, ale mieszkańcy generalnie trzymali się od domu z daleka.
- One nigdy nikomu nie groziły - powiedział Hunter. Chelsea uśmiechnęła się. - Są więc niegroźne i nie ma się czym przejmować. - Nadal uśmiechnięta, zwróciła się do Judda. - Chcę mieć ten dom na farmie. Czy ten pana człowiek, Russell, wykona dla mnie te roboty?
- Judd podejrzewał, że jeżeli uśmiechnie się do Russa w taki sam sposób jak do niego, przedsiębiorca zrobi niemal wszystko, czego będzie sobie życzyć. Janinę też miała taki uśmiech w swoim repertuarze. - Przypuszczam, że tak.
- Ona nie może kupić tego domu - zaprotestował Oliver.
 - Kiedy będzie mógł rozpocząć? - zapytała Chelsea Judda.
 - Jak tylko sprecyzuje pani, co ma tam być zrobione.

- Ludzie nie zechcą tam pracować - przekonywał Oliver. - To nawiedzone miejsce. Powiedz jej, że jest nawiedzone, Judd. Ale Judd nie był pewien, czy to prawda, a poza tym wiedział, jak bardzo Russ i jego ludzie potrzebują pracy.

- Zapłacę dobrą stawkę - powiedziała Chelsea, jeszcze osładzając ofertę. - Czy porozmawia pan z nim w moim imieniu? Umówi go ze mną w ten weekend? Będzie mógł zacząć prace, kiedy będę w Baltimore, a szczegółowe plany zrobię, gdy wrócę. Im szybciej tam zaczniemy, tym lepiej. - Zwróciła się do Olivera, jak gdyby on nigdy nie był w stosunku do niej nieprzyjemny:

- Byłoby mi ogromnie miło, gdyby pan i pańska żona zechcieli być moimi gośćmi na kolacji dziś wieczór w gospodzie.

Oliver spojrzał na nią, jakby była pomyłona. - A niby po co?

- Żeby uczcić naszą spółkę.

- A niby po co?

- Dlatego, że chciałabym poznać pana żonę. Czy ona nie jest mnie ciekawa?

- Nie. Pani jest częścią interesów. Ona nie wtrąca się w moje interesy.

- To niedobrze.

- Wcale nie - zripostował Oliver. - Tak tu już jest. Pani i moja żona nie miałybyście o czym rozmawiać.

- Nie wiem - powiedziała Chelsea z zamyśleniem.

- Mogłaby odkryć przede mną perspektywę miasteczka z kobiecego punktu widzenia.

- Strata czasu. Za rok już tu pani nie będzie.

- Ma pan taką nadzieję.

- Ja wiem. Judd ma pięćdziesięciu ludzi, którzy czekają w kolejce, żeby ich zatrudnić, jeżeli tylko pojawi się robota. - Jego wzrok stał się jeszcze ostrzejszy. - A pani dobrze robi, jeżeli przemyśli pani jeszcze raz sprawę kupna Boulderbrook. To najgłupszy z pomysłów, jakie pani miała do tej pory. Tylko idiota zechciałby tam mieszkać.

- A mnie się wydaje, że tylko idiota wierzy w duchy - powiedziała. Zwracając się do Huntera, zapytała drwiąco: - Tak naprawdę to ty nie wierzysz w duchy, prawda?

Judd wiedział, o czym myślała. Myślała, że Oliver jest Starszy i bardziej przesądny, ale Hunter jest wykształconym człowiekiem z jej pokolenia. Janinę tak by myślała. Ona potrafiła prawie wszystko zracjonalizować, dzięki czemu była znakomitym adwokatem od spraw rozwodowych. Przez to była też kiepską żoną, gdyż racjonalizacja oznaczała, że zawsze liczyło się „ja”, a nie „my”.

Hunter nie odezwał się słowem, ale jego szczęki były mocno zaciśnięte.

Oliver rozdarł się na Chelsea: - Więc jednak zdecydowała się pani go kupić?!

- Tak.

Wyciągnął w jej kierunku sztywny palec. - Tylko później niech pani nie mówi, że ja nie ostrzegałem.

Jeżeli cokolwiek się tam pani przydarzy, to nie będzie moja wina. Rozumie pani?

Tego wieczoru Judd wpadł do gospody. Rzadko to robił, ale robotnicy z kamieniołomów wydawali przyjęcie na cześć nowego barmana, który jeszcze niedawno był jednym z nich.

Z hallu zobaczył Chelsea. Była w restauracji, siedziała sama przy narożnym stole i jedząc czytała książkę. Na nosie miała duże okrągłe okulary. Wyglądała zachwycająco.

Gdyby wypił jednego czy dwa drinki, być może by do niej podszedł. Mimo wszystko była sama w nieznanym mieście. Nie miała tu przyjaciół ani rodziny. To było naprawdę smutne.

Był jednak śmiertelnie trzeźwy i świadomy dwóch spraw. Po pierwsze, Chelsea Kane nie jest bezbronna. Jeżeli jest sama, to tylko z własnego wyboru. Po drugie, symbolizowała niebezpieczeństwo przez duże N. A i bez tego miał dość własnych zmartwień.

ROZDZIAŁ 9

Niedziela minęła Chelsea na jeździe do Baltimore. Przyjechała zbyt późno, żeby do kogokolwiek zadzwonić, i było to w jakimś stopniu celowe.

W poniedziałek rano, kiedy tylko przekroczyła próg biura, zadzwonił Kevin. Na dźwięk jego głosu, serce podeszło jej do gardła.

- Cześć tato - powiedziała lekko. - Jak się masz?

- Nie byłeś na ślubie Carla.

Poczuła znów kołatanie serca. Już nieco mniej lekkim tonem potwierdziła. - Wiem.

- Byłaś zaproszona. Sissy powiedziała mi, że zadzwoniła do ciebie.

- To prawda, ale nie mogłam być. - Nie byłaby w stanie tam po prostu siedzieć i obserwować, jak Carl bierze ślub z Hailey. - Byłoby to dla mnie za trudne.

- A czy było dla ciebie za trudne, żeby powiedzieć mi o was wcześniej? Nie byłem przygotowany na telefon Sissy.

- Próbowałam cię przygotować. I to nieraz.

- Nigdy nie wspominałaś o innej kobiecie.

- Bo sama o tym nie wiedziałam aż do zeszłego tygodnia.

- Ale ty i Carl byliście ze sobą tak blisko.

Tak blisko. Chelsea prawie roześmiała się na ironię tych słów. Nosila dziecko Carla, a on właśnie ożenił się z inną.

- Co się stało? - zapytał Kevin. - Jak to się, do diabła, stało, że Carl ożenił się z nią, a nie z tobą?

Wówczas Chelsea się roześmiała, ale śmiech miał w sobie nutę hysterii. - Zakochał się w niej.

- Ale on kocha ciebie.

- Ale w zupełnie inny sposób.

- I ty nie jesteś przygnębiona z tego powodu? Wzięła oddech, żeby się uspokoić. - Jak mogę być przygnębiona, jeżeli Carl jest szczęśliwy? Zawsze był, jednym z moich najbliższych przyjaciół. Życzę mu wszys-
kicgo najlepszego.

W słuchawce przez minutę zapanowała cisza. A potem Kevin powiedział cichym, pełnym potępienia głosem: - Zawaliłaś sprawę, Chelsea. Był twoją ostatnią szansą. Przez te wszystkie lata stał przy tobie. Znosił wszystkie twoje fanaberie, ale ta afera z New Hampshire już dopełniła miary.

Chelsea poczuła się dotknięta. - Czy on to powiedział?

- Nie musiał tego mówić. To oczywiste. Gdybyś siedziała na miejscu i skoncentrowała na nim, nie zwróciłby się ku innej kobiecie.

Była już tak zmęczona tymi samymi starymi argumentami. Kevin po prostu nie chciał zrozumieć. - Tato, on nic kocha mnie w taki sam sposób, w jaki kocha ją

- powiedziała błagalnie. - My nigdy nie mieliśmy szans na udane małżeństwo. Mój pobyt w New Hampshire nie miał z tym nic wspólnego.

Milczenie Kevina oznaczało, że jej nie wierzy.

- Uwierz mi, tato. Tak będzie najlepiej.

- Naprawdę bardzo chciałem, żebyś wyszła za Carla. - Wiem.

- Naprawdę bardzo chciałem mieć wnuki. Wygląda na to, że nigdy nie będę ich miał, prawda?

Powiedz mu, odezwało się sumienie Chelsea. Nie mogła jednak. Nie teraz, kiedy Carl ożenił się z inną kobietą.

- Będziesz miał wnuki - powiedziała. - Ja chcę zostać matką.

- Słucham?

- Powiedziałam - powtórzyła cierpliwie - że chcę zostać matką.

- To coś nowego. Wydawało mi się, że najpierw chciałaś siebie odnaleźć.

- Właśnie to robię.

Znów zapadło milczenie, a potem, jak gdyby kurtyna zapadła, rozległo się lakoniczne: - Tak. Więc rób to dalej.

Miała ochotę się rozplakać. - Wszystko będzie w porządku, tato. Dowiem się, czego mam się dowiedzieć, i to naprawdę dobrze mi zrobi.

Nie odzywał się.

- Naprawdę. Nadal milczał.

Westchnęła, zamknęła oczy i położyła dłoń na brzuchu. Znów zrobiło jej się niedobrze. Wczesne ranki były najgorsze, ale uczucie mdłości było stale obecne, także o innych porach dnia, szczególnie gdy się zdenerwowała.

- Powinniśmy naprawdę ze sobą porozmawiać, tato. Może Czwartego. Pomyślałam, że kiedy przyjedziemy do Newport i będziemy mieli czas dla siebie ...

- Nie wybieram się do Newport.

Otworzyła oczy. - Ale zawsze spędzaliśmy Czwartego Lipca w Newport. - Nie wyobrażała sobie, że Czwartego mogłaby spędzić gdziekolwiek indziej.

- Założyłem, że będziesz z Carlem, więc postanowiłem pojechać na wyspę Mackinac. Kolega zapraszał mnie od lat.

- Ale ja liczyłam na...

- Będziemy musieli to zaplanować w jakimś innym terminie.

- Och, w porządku. - Łzy napłynęły jej do oczu. - Może skontaktujemy się znów pod koniec tygodnia.

- Dobrze.

- Okay. Całuję cię, tato.

- Cześć, Chelsea.

Odłożyła słuchawkę i próbowała się pozbierać, ale czuła, że to przegrana sprawa. Zawód, którego doznała, poczucie porzucenia, samotności, przygniatały ją. Zamknęła drzwi gabinetu, oparła się o nie, zakryła twarz dłońmi i rozplakała się.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - zapytał Judd. Nie podniósł głosu. Wcale nie musiał. Russell Ives doskonale wiedział, że jest zły.

Stali przy cichej wiejskiej drodze, w miejscu gdzie kończyły się drzewa i zaczynały pola uprawne. Przed nimi były różne ciężarówki, materiały i ludzie. Przed Ciężarówkami, materiałami i ludźmi stał wiejski dom Chelsea Kane.

- Nie będą tu pracować - powiedział Russ. - Próbowałem ich namówić przez całe rano, ale nie podejda ani kroku bliżej. Nie będą ryzykować z duchami.

Duchy. Judd nie mógł w to uwierzyć. - Ci wielcy faceci boją się duchów? Chyba żartujesz. - Ale Russ nie Żartował. A wielcy faceci nie ruszyli się ani o cal. - Sądysz, że Buck biegałby po całym domu, gdyby były tam duchy? - Seter przemierzał susami przestrzenie od okna do drzwi i znów do okna, wężąc przy tym.

- Tu są głosy.

- Żaden dorosły nigdy nie słyszał żadnych głosów. Tylko dzieci.

- Jeżeli tylko dzieci je słyszą, to wcale nie znaczy, że ich tu nie ma.

- Nie ma ich tu - upierał się Judd.

Ross wskazał głową na mężczyzn. - Więc powiedz to im.

Judd potarł ręką napięte mięśnie karku. Tego ranka w kamieniołomach zdarzył się wypadek, nie poważnego, noga złamana przy upadku, ale był tym zdenerwowany. Gdy on był na posterunku, nie lubił, kiedy ludziom działo się coś złego. Wszystkie wypadki traktował jak sprawę osobistą. Wiele rzeczy traktował osobiście. Na przykład to zlecenie.

- To ty jesteś ich szefem - powiedział. - To ty masz im powiedzieć. Za to ci płacę, Russ. Na Boga, nie mogę sam wszystkiego robić. - Przypatrzył się grupie mężczyzn, usiłując znaleźć znajome twarze.

Było kilka, ale nie za wiele. - Kim są ci faceci?

- Znalazłem ich tu i tam.

- Głównie tam - powiedział Judd przez zaciśnięte zęby. Był wtorek. Życzył sobie, żeby prace w domu Chelsea rozpoczęły się w poniedziałek. Nie wiedział, kiedy Chelsea wraca, i chciał, żeby robota wrzała, kiedy tu się pojawi. Była to sprawa jego dumy. Kiedy coś robił, zawsze robił to dobrze.

Wściekły na Russa, że sprawił mu zawód, na siebie, że wszystkie sprawy zawodowe traktuje tak poważnie, i na Chelsea Kane, że upierała się, że ma być to zrobione w pierwszym rzędzie, przeszedł przez drogę w kierunku stojących tam mężczyzn. - Panowie, czy macie jakiś problem z rozpoczęciem tej pracy?

- No - powiedział jeden z nich. - Nie mówił nam, że to tu.

Tylko wariat mógłby tu pracować - powiedział drugi.

A trzeci powiedział: - Wydawało mu się, że bezpieczniej będzie znaleźć chłopaków z innego miasta, ale my nie jesteśmy ani głupi, ani głusi. Słyszeliśmy o tym miejscu. Cholera, jeżeli on nie wejdzie do środka, to dlaczego my mielibyśmy to zrobić?

Judd pomyślał o tym przez chwilę, zanim wrócił do Russa. Odwrócił się tyłem do mężczyzn i zniżając głos, powiedział: - Twierdzą, że ty się boisz wejść do środka. Czy to prawda?

Twarz Rossa poczerwieniała pod opalenizną. - Nie ma potrzeby, żebym ja wchodził do środka. To oni robią te prace.

- Ross, nie kombinuj.

- Powiedziałem im, żeby zaczęli od dachu. To nie jest przecież w środku.

- A oni są za bardzo przerażeni, żeby to zrobić. - Judd był przejęty zgrozą. - Tacy twardziele, a są przerażeni opowieściami dzieciaków. Ty mógłbyś dać im przykład. Wejść do środka, potem wyjść i pokazać im wszystkim, że jeszcze żyjesz.

- To ty wejdź do środka.

- Wszedłem. Wczoraj. Z tobą.

- Tak, a mnie przez całą noc coś trzęsło - zaprotestował Ross. - Drugi raz tego nie zrobię. - Podniósł rękę. - Kiedy powiedziałeś mi o tej robocie, obiecałem ci, że spróbuję i zrobiłem to. Chcesz mnie zwolnić z pozostałych robót, w porządku, ale jeżeli to zrobisz, to zabieram ze sobą moich ludzi. I gdzie wtedy zostaniesz?

Judd wiedział, że na kupie gnoju. Dokumenty spółki zostały podpisane, a zegar zaczął już odmierzać czas. Szopa na Moss Ridge musiała być skończona przed dostawą wyposażenia, podobnie jak biuro w centrum, jeżeli nie chcieli mieć opóźnienia w stosunku do harmonogramu. Były oczywiście inne firmy budowlane, które potrzebowały pracy jeszcze bardziej niż Ross i jego ludzie, ale Ross był dobry. Po doświadczeniach tylu lat nawalił po raz pierwszy.

Judd spojrzał na miejsce, gdzie stał Hunter, oparty obok jednej z ciężarówek Plum Granite. Podeszedł do niego, wciskając dłonie z tyłu za pas spodni. - i co o tym myślisz? - zapytał na tyle cicho, by nie mógł być usłyszany poza miejscem, gdzie się znajdowali.

- Myślę, że masz problem.

- Ja? A dlaczego nie my? Ona chce, żeby ten dom był przerobiony!

- To ciebie poprosiła, żebyś to załatwił - powiedział Hunter. - Mnie to nie dotyczy.

- Oczywiście, że dotyczy. To ty zacząłeś z tymi głosami. Ale nie jesteś tępakiem ani wiejskim głupkiem. Duchy nie istnieją i doskonale o tym wiesz.

Twarz Huntera napięła się. - Chcesz powiedzieć, że wymyśliłem całą tę sprawę?

- Nie - odpowiedział Judd. Musiał uważać. Czasem drobiazg mógł wywołać u Huntera wybuch złości, a wtedy potrafił zniknąć na kilka dni. A tym razem Judd potrzebował jego pomocy. - Mówię tylko, że kiedy słyszałeś te głosy, byłeś małym chłopcem. Nikt przedtem o nich nie słyszał i wątpliwe, czy ktoś naprawdę słyszał je od tego czasu.

Wargi Huntera ułożyły się w taką samą wąską linię, jak często u Olivera, i bardzo łatwo było uwierzyć w te wszystkie plotki, że są ojcem i synem.

- Więc?

- Więc - powiedział Judd - ty byłeś pierwszy, który zakomunikował o głosach, możesz też być pierwszym, który powie, że gdzieś się wyniosły.

- Ale ja nie wiem, czy się wyniosły. Musiałbym wejść do środka, żeby to sprawdzić, a nie mam zamiaru tego zrobić.

- Boisz się?

- Nie. Jestem tylko rozsądny.

- Sam powiedziałeś, że głosy nie zrobiły nikomu żadnej krzywdy.

- Dlatego, że ludzie uciekają, jak tylko je usłyszą.

- Kiedy wydaje im się, że je słyszą.

Hunter w obraźliwy sposób wzruszył ramionami. -Dlaczego kusić los?

- Dlatego, że to twoja specjalność. Całe życie igrasz z losem. W szkole nigdy nie uczyłeś się do ostatniego dnia przed egzaminami. Wydajesz do końca pieniądze na tydzień przed wypłatą. Jeździsz na tym swoim motocyklu, jakbyś chciał się zabić. Nawet wtedy, kiedy umarła twoja matka, a ty wylazłeś z szopy i szedłeś w kierunku głównej drogi - większość pięciolatków siedziałaby kamieniem na miejscu, dopóki ktoś by nie przyszedł.

- Nikt by tam nie przyszedł. Nigdy wcześniej nikogo tam nie było.

Judd usłyszał gorycz w jego głosie, ale chciał coś udowodnić. - Wyszedłeś z szopy. Nigdy przedtem nie byłeś w mieście. Nigdy przedtem nie byłeś w towarzystwie innych ludzi. Ale coś cię zmusiło, żebyś powędrował tą drogą. Jesteś odważnym człowiekiem, Hunter. Czasami może z ciebie za duży ryzykant i facet uparty jak osioł, ale odważny. Kusiłeś los, kiedy opuściłeś tę szopę i za każdym razem kusisz los, kiedy w twoim szalonym tempie jeździsz Seben Road, to czy w tym wypadku to naprawdę będzie kuszenie losu? Wejdiesz ze mną do tego domu, czy nie?

Twarz Huntera pozostała kamienna. - Nie musiała kupować tego miejsca.

- Ale kupiła. Klepnęła transakcję. Chce tu mieszkać i oczekuje, że my to jej umożliwimy. To bardzo prosta Umowa. Nie będzie wyglądało dobrze, jeżeli okaże się, że nie potrafimy tego zrobić.

- To Russ jest osobą, która tego nie potrafi zrobić.

- Ale my nadzorujemy te roboty. - Podjął kolejną próbę. - Chciałeś większej odpowiedzialności. Oto twoja •zansa. Przejmij obowiązki Russa. Bądź wykonawcą generalnym tego projektu.

Hunter zrobił małą minę. - Zwariowałeś?

- Nie, nie zwariowałem. To ma sens. - Im dłużej o tym myślał, tym większy sens w tym widział. - Doskonale wiesz, co powinno być zrobione. Przez trzynaście lat mieszkałeś z Hibbie Maycockiem i jego synami, a oni robili całą masę rzeczy poza pracą w kamieniołomach. Hibbie był najlepszym stolarzem w okolicy. Więc znasz się na stolarce i dekarstwie. I nie powiesz mi, że nie robiłeś fuch jako elektryk, żeby mieć pieniądze na trawę - nawet jeżeli Oliver załatwił, że wycofano ten zarzut - bo ja i tak ci nie uwierzę. Jesteś najlepszym technikiem w kamieniołomach, najlepiej znasz się na mechanicznych urządzeniach i dobrze sobie radzisz z pracownikami. Mógłbyś pokierować nimi równie dobrze jak Russ.

- Świetnie - powiedział Hunter. - To przekaż mi tę szopę, gdzie będzie cięty kamień.

Judd krótko potrząsnął głową. - Potrzebujemy cię tutaj. - Przerwał i po chwili dodał: - Spójrz, nikt z nas nie chce, żeby się tu kręciła. Nikt z nas nie chce, żeby była właścicielką części firmy, ale faktycznie nią jest i nic nie możemy w tej sprawie zrobić, oprócz urobienia sobie rąk po łokcie i zrobienia wszystkiego lepiej niż ona. Pomożesz nam?

- Ten dom nie jest częścią umowy.

- Nie, ale zrobiłbyś na niej wrażenie, gdybyś go doprowadził do porządku.

- A dlaczego, u diabła, miałbym chcieć zrobić na niej wrażenie? - zapytał z taką pogardą, że Judd odczuł gwałtowną ulgę. Nie wiedział dlaczego. Z pewnością nie chciał mieć nic wspólnego z Chelsea Kane i nie wydawało mu się, żeby Hunter chciał, ale taka możliwość, choć bardzo mglista, musiała mu zapaść gdzieś głęboko w podświadomość. W tej chwili odsunął na bok te rozważania i skoncentrował się na sprawach praktycznych.

- Dlatego, że to dobry kontakt. Pomyśl o tym, Hunter. Jest architektem. Wie wszystko o bieżących projektach. Wykaż, że jesteś zdolnym pracownikiem, a zapamięta cię. Może stać się twoim biletem na wyjazd stąd.

- A kto powiedział, że ja chciałbym stąd wyjechać? Judd nie odpowiedział. Wydawało mu się, że każdy mieszkaniowiec Norwich Notch w jakimś momencie swojego życia poszukiwał możliwości wyjazdu z miasteczka, tak małego i tak prowincjonalnego. Uniwersytet był takim biletem dla Judda, podobnie jak dla Huntera. Ale obaj tu wrócili i każdy z nich do swojego prywatnego piekła. Judd nie był w stanie uwierzyć, że Hunter nie marzy o lepszych czasach.

- Boisz się, że nie dasz sobie rady? - prowokował go. Jeżeli nic już nie działało, zawsze pozostawała prowokacja.

- Dam sobie radę - powiedział Hunter, ale jego wzrok ominął Judda i skoncentrował się na domu na farmie.

Judd wyobraził sobie, że zobaczył błysk lęku. Twarz Huntera miała podobny wyraz jak wtedy, kiedy Chelsea powiedziała po raz pierwszy, że kupuje ten dom. Zastanawiał się, czy Hunter naprawdę słyszał głosy i, jeżeli tak, to jaka była tego przyczyna. Judd ani przez chwilę nie wierzył, że mogłyby być prawdziwe, ale Hunter mógł.

Odchrząknął, spojrzął w ziemię i powiedział jeszcze ciszej: - Wejdę z tobą, jeżeli chcesz. Byłem tam wczoraj.

Jest pusty, Hunter. W środku jest cicho jak makiem iittsiał. - Podniósł głowę. - Więc?

- Mogę wejść sam - powiedział Hunter. Judd nigdy nie widział jego oczu tak wyzywających i tak dzikich. - Ale jeżeli to zrobię, będzie to moja i tylko moja sprawa. Stary nie będzie mógł mi tego odebrać. Stoi?

Judd już sobie wyobrażał głos Olivera, jak mówi spanikowany: „Zgodziłeś się? Dlaczego, u diabła, się Egodziłeś? Nie potrafi wykonać tej roboty. Nigdy czegoś takiego nie robił. Gdybym mu kazał coś naprawić, to woda w ubikacji spuszczałaby się za każdym razem, jak zapalałoby się światło.” Jeżeli ktokolwiek był w stanie coś takiego zrobić, to był to Hunter. Ale Judd wiedział też, że był w stanie utrzymać porządek wśród załogi i wykonać wszystkie prace dobrze, sprawnie i na czas. Wydawało mu się, że należy mu się ta szansa.

- Stoi - powiedział i gdyby to nie był Hunter, wyciągnąłby rękę, żeby przybić na zgodę. Ale Hunter nie lubił być w żaden sposób dotykany. Całą swoją postawą przekazywał informację „ręce przy sobie”.

Judd i wszyscy inni w miasteczku dostosowali się do tego. - Więc kiedy zaczniesz?

Hunter powiedział zuchwale: - Teraz.

- W jaki sposób skłonisz ludzi, żeby weszli do środka? Hunter wpatrywał się w niego przez jakąś minutę

wzrokiem jeszcze bardziej dzikim niż przed chwilą. Potem ruszył pewnym, marszowym krokiem w kierunku domu. Nie zatrzymał się, kiedy zbliżył się do mężczyzn i ciężarówek, tylko zwyczajnie wydał polecenie: - Zaczniście rozładunek - i poszedł dalej, zostawiając za sobą Judda rozmyślającego, czy postąpił słusznie.

W piątek rano, dokładnie o szóstej trzydzieści, w podziemiach kościoła zaczynał się aerobik. Donna zajęła już swoje zwykłe miejsce w tylnym rzędzie, wraz z innymi rozgrzewając się w takt wolnej muzyki, kiedy w drzwiach

pojawiła się Chelsea. Natychmiast wyprostowała się, uśmiechnęła i pomachała do niej. Chelsea rozluźniła się, kiedy ją zobaczyła, położyła pod ścianą małą płócienną torbę i stanęła obok niej. - Jak się masz? - zapytała.

Donna wykonała gest oznaczający, że w porządku i powiedziała bezgłośnie: - Kiedy wróciłaś? - Wczoraj wieczorem. Późno. Nie byłam pewna, czy uda mi się wstać tak wcześnie, ale bardzo potrzebuję ruchu.

Donna pomyślała, że wygląda na zmęczoną. Była blada, chociaż Donna nigdy nie widziała jej bez makijażu, nie mogła więc wiedzieć, czy nie jest to przypadkiem jej naturalna karnacja. Jeżeli tak, to nie była korzystna. Wyglądała na bardziej kruchą i podatną na zranienie niż poprzednio. Włosy, które miała ściągnięte w koński ogon na czubku głowy, odkrywały jej twarz i jeszcze potęgowały to wrażenie. Ten obraz Chelsea Kane był zupełnie inny od widzianego poprzednio.

Niestety, pozostałe uczestniczki zajęć nie widziały przedtem żadnego obrazu Chelsea Kane, więc przerwały rozgrzewkę, rzucając zaciekawione spojrzenia w jej kierunku. Pamiętając, jak Chelsea była niepewna, czy da sobie radę, pokazała gestem, żeby ćwiczyły dalej. Kiedy powróciła do ćwiczeń rozciągających, Chelsea przyłączyła się do niej.

Rozciąganie poszło dobrze, Chelsea była giętka, ale nie było to zaskoczeniem. Zanim Donna zobaczyła, jak ćwiczy, mogła to odgadnąć patrząc na jej figurę. Była szczupła i gibka, ubrana w czerni i neonowy róż - leginsy i krótką koszulkę. Gdyby miała choć odrobinę tłuszczu czy obwisłej skóry, pod takim kostiumem nie dałoby się tego ukryć.

Nic dziwnego, pomyślała Donna, że inne w sali myślą pewnie to samo, niektóre z podziwem, a inne z zawiścią. Dziewięć pozostałych było w wieku od dwudziestu siedmiu lat do sześćdziesięciu ośmiu. Niektóre były szczupłe,

u inne nie, ale żadna nie wyglądała tak oszłamiająco jak Chelsea. Niewątpliwie żadna nie miała tak oszłamiającego stroju jak ona. Większość była ubrana w luźne koszulki i szorty w kolorach o wiele bardziej stonowanych niż strój Chelsea. Donna nie była przekonana, czy ona sama czułaby się dobrze ubrana w równie śmiały kostium. Nie była pewna, czy miałaby odwagę.

Rytm nabrał tempa, a grupa rozpoczęła pierwszy zestaw ćwiczeń. Chelsea wypadła z rytmu i potknęła się, potem znów złapała rytm, i znowu potknęła się i złapała rytm. Donna nie chciała wpatrywać się w nią i wywoływać w niej uczucia jeszcze większego zażenowania, więc całą uwagę skupiła na instruktorce, która, ze względu na Chelsea, z wyprzedzeniem i bardziej szczegółowo niż zwykle wykrzykiwała polecenia.

Chelsea jakoś wykonała pierwsze ćwiczenie, potem drugie. Kiedy rozpoczęło się trzecie, Donna zauważyła, że wyraźnie zaczyna się rozluźniać. Co prawda, nie udawało jej się trzymać w rytmie ani trochę lepiej, ale wyglądała, jak gdyby uznała, że podoba jej się to, bo w końcu liczy się tylko ruch. Pod koniec ćwiczeń Chelsea robiła wrażenie równie rozgrzanej jak pozostałe. Gdy tylko muzyka przestała grać, wyciągnęła z torby ręcznik i wytarła twarz, szyję i kark.

Donna zrobiła to samo rogiem koszulki, podobnie jak inne kobiety. Potem zauważyła na sobie wzrok Chelsea. - W porządku? - zapytała.

Chelsea wyszczerzyła zęby. - Świetna zabawa. - Wzięła głęboki oddech, wyprostowała się jeszcze bardziej i położyła rękę na brzuchu. - Znakomite ćwiczenia.

Donna wzięła ją pod rękę i zaprowadziła do miejsca, gdzie instruktorka właśnie wyłączała magnetofon z kontaktu. Ginny Biden była żoną profesora uniwersytetu, który uczył w Manchester. Miała trochę powyżej trzydziestki, a w domu małe dziecko. Zajęcia tak wcześnie rano były dla niej idealne, dlatego że jej mąż mógł się zajmować dzieckiem w czasie, kiedy ona miała zajęcia,

a potem ona mogła mogła się zajmować dzieckiem, kiedy on uczył. Mimo że daleko jej było do figury instruktorek aerobiku, pokazywanych w telewizji, w porównaniu z żonami z Norwich Notch była szczupła i pełna życia. To był jeden z powodów, dla których Donna najpierw do niej zaprowadziła Chelsea.

Chelsea wyciągnęła rękę. - Chelsea Kane. Cześć. Świetne zajęcia.

- Witamy - powiedziała Ginny. - Czy było może za dużo albo za szybko?

- Troszeczkę. Ale w porządku. Postaram się dorównać.

- Jesteś nowa w mieście, prawda?

- Aha.

- Tylko w odwiedziny? - zapytała, zerkając na Donnę pytająco.

Gdy Chelsea powiedziała: - Będę tu przez jakiś czas mieszkać. Pracuję w Plum Granite - Donna zaczęła nerwowo potrząsać głową.

Oczy Ginny gwałtownie się rozszerzyły. - Chelsea Kane. To pani jest Chelsea Kane? Ojej, przepraszam. Nie pomyślałam. Pewnie jeszcze nie do końca się obudziłam. - Donna zauważyła, że Gina nerwowo rozejrzała się wokół. - Czy pani poznała już pozostałe panie?

Wszystkie kobiety wpatrywały się w Chelsea; niektóre już doszły do siebie, inne jeszcze walczyły z szokiem. Już usłyszały, jak się nazywa. Wiedzą, kim jest. Prawie spoglądały na nią podejrzliwie.

Licząc, że podejrzliwość osłabnie, kiedy wszyscy zobaczą, że ona zaakceptowała Chelsea, Donna znów wzięła Chelsea pod rękę i podchodziła z nią kolejno do wszystkich kobiet. Nie było uścisków dłoni, tylko wymiana imion i nazwisk i skinięcie głową. Skinięciom głowy Chelsea towarzyszył uśmiech, jednak twarze kobiet pozostały kamienne. Najbardziej niewzruszoną twarz miała ostatnia z nich. Była najstarsza w grupie, z siwymi włosami, najdrobniejsza i choć pilnie brała udział we wszystkich zajęciach, była tu najbardziej krucha.

Donna bardzo starannie usiłowała arykułować właściwie słowa i modulować ton głosu, kiedy mówiła:

- To moja matka, Margaret Plum. Mamo, to Chelsea Kane.

Chelsea była wyraźnie przestraszona. Jednak szybko **się** pozbierała i wyciągnęła rękę. - Jest mi ogromnie miło panią poznać, pani Plum. Nie miałam pojęcia, że pani tutaj będzie.

- Ani ja nie spodziewałam się pani - powiedziała Margaret. Zawsze demonstrowała nienaganne maniery, ujęła więc rękę Chelsea, mimo że nawet Donna zdawała sobie sprawę, że robi to niechętnie. Wydawało się, że jej ręka jest bezwładna. A do tego twarz miała spopieliałą.

- Dobrze się czujesz? - zapytała Donna językiem migowym, ale Margaret nie odrywała oczu od Chelsea.

- Często pani tu przychodzi? - spytała Chelsea.

- Tak - odpowiedziała Margaret.

- To cudownie.

- Lubię przebywać w kościele. - Opadająca w dół ręka Margaret trzęsła się.

Donna, zaniepokojona, dotknęła jej ramienia i znów zapytała na migi: - Dobrze się czujesz? -

Wiedziała, że Margaret nie jest zadowolona z umowy spółki i żałowała, że nie zdążyła jej przygotować na przyjście Chelsea. Co prawda, Donna sama nie wiedziała, że Chelsea ma zamiar przyjść, dopóki ta nie pojawiła się na progu.

- Jestem zmęczona - powiedziała Margaret, nie odrywając wzroku od Chelsea. - Chyba już czas na śniadanie. - Odprowadzić cię do domu? - zmigała Donna, ale w trakcie pytania Margaret odwróciła się i ruszyła przed siebie.

Chelsea spojrzała za nią. - Czy jest chora?

Donna wzruszyła ramionami i kiedy Chelsea odwróciła **się** do niej, znów powtórzyła ten gest. Ale wydawało **się**, że Chelsea zapomniała o Margaret.

- Znakomicie mówisz - powiedziała. Kiedy Donna potrząsnęła głową, obstawała przy swoim: - Ależ tak.

Nie zdawałam sobie sprawy, że to potrafisz. Nauka na pewno sprawiła ci wiele trudu.

Donna pokręciła głową, a potem przykryła dłonią ucho i pokiwała głową na tak.

- Kiedyś słyszałaś? Co się stało?

Machnęła ręką, pokazując, że nic istotnego, a przynajmniej nic, o czym chciałyby rozmawiać, i zerknęła na zegarek. Było już piętnaście po siódmej. Matthew będzie wściekły, jeżeli o wpół do ósmej nie będzie stała przy kuchni i gotowała śniadania. Rzuciła Chelsea przeprasające spojrzenie.

- Leć - powiedziała Chelsea. - Będziesz później w sklepie?

Donna przytaknęła.

- Mogę wpaść?

Donna przytaknęła z wielkim entuzjazmem, uścisnęła ramię Chelsea i machając ręką, pospieszyła do drzwi.

Niecałe piętnaście minut później postawiła duży kubek mocnej czarnej kawy przed swoim mężem i stanęła przy blacie kuchennym, żeby odgadywać jego życzenia i usługiwać mu. Wrócił do domu dobrze po północy, a jego kroki na schodach były cięższe niż zazwyczaj. Rano jedno spojrzenie w jego oczy wyjaśniło jej wszystko. Miał kaca.

Kiedy podnosił kubek, ręka lekko mu drżała. Wypił łyk, odstawił kubek, pochylił się i dłonią podparł czoło. Siedział tak przez pełne pięć minut, a w tym czasie Donna nie poruszyła się. Patrzyła cały czas na jego twarz. Chciała widzieć jego wargi na wypadek, gdyby zechciał coś powiedzieć. Jeżeli nie była dostatecznie uważna i umknęło jej jakieś jego słowo, wpadał w złość. A złość Matthew nie należała do przyjemności.

Podniósł lekko głowę i odsunął rękę. Znowu upił łyk kawy i spojrzał na Donnę. - Smakuje jak błoto.

- Jest po prostu mocna - powiedziała.

Wykrzywił twarz. - Nie wrzeszcz.

Mocno spłotła dłonie. Głośne mówienie zawsze było jej problemem, a szczególnie z Matthew. Większość ludzi rozumiała, że skoro jest głucha, to nie słyszy też własnego głosu. Matthew nie. Chciał, żeby mówiła tak, jak gdyby nie miała żadnych problemów ze słuchem.

Gdyby miał w sobie choć trochę współczucia, może nauczyłyby się czytać z ruchu warg lub rozumieć język migowy. Kiedy się do niej zalecał, próbował i jednego, i drugiego, ale gdy tylko wsunął jej obrączkę na palec, całkowicie tego zaprzestał. Nie miała już wyboru, mogła albo wskazywać na coś i gestykulować, albo mówić. Żadne z tych rozwiązań nie było idealne, ale kiedy jest się głuchym, nie ma idealnych rozwiązań.

- Gdzie gazeta? - zapytał z ponurą twarzą. Gazeta leżała na stole, tuż koło niego. Przysunęła ją jeszcze bliżej. Rozłożył ją, zerknął na pierwszą stronę i odsunął od siebie. - Idziesz do sklepu?

- Wkrótce - odpowiedziała, usilnie starając się, aby jej głos miał właściwe napięcie. - Teraz jest tam Monti. - Monti był starszym bratem Matthew. Odkąd Emery został poczmistrzem, prowadzenie domu towarowego na co dzień spadło na jego dwóch synów.

Matthew obrzucił ją złym spojrzeniem. - Nie życzę sobie, żeby Monti otwierał sklep. Ile razy mam ci to powtarzać? Monti jest idiotą, który nie wie, co robi. Chcę, żebyś tam była natychmiast.

Zdażyła zaledwie wziąć szybki prysznic i narzucić szlafrok, więc dopiero za jakieś dziesięć minut mogłaby być gotowa do wyjścia z domu. Jednak przytaknęła i zaczęła rozwiązywać fartuch. Właśnie zdejmowała go przez głowę, kiedy dłoń Matthew uderzyła ją w biodro. Jej wzrok natychmiast skierował się na jego usta.

- Usmaż mi jajka. I żeby nie były zbyt ścięte. Ostatnio były za twarde. I trochę biszkoptów. I sok. Ponownie nałożyła fartuch, podeszła do lodówki, ale ledwo zdażyła wyjąć jajka i postawić patelnię na gazie, kiedy znów poczuła uderzenie Matthew.

- Dziś ma przyjść facet, który dostarcza filmy wideo. Powiększ zamówienie na nowości. Ludzie chcą je oglądać, a my nie mamy dostatecznie dużego wyboru.

Przytaknęła.

- I pozbądź się tych drewnianych grzybów na wystawie. Wyglądają okropnie. - Znów przysunął gazetę.

Donnie podobały się drewniane grzyby. Były częścią większej ekspozycji owoców i warzyw z drewna, które sprzedawano jako kuchenne dekoracje. Matka Matthew kupiła je na targach rzemiosła w jednym z sąsiednich miasteczek i choć Lucy była sztywna i pozbawiona wyobraźni, tym razem Donna zgodziła się z jej wyborem. A jeżeli duże obroty świadczyły o czymkolwiek, to ten wybór zaakceptowało wiele innych osób. Donna jednak nie miała zamiaru tłumaczyć tego Matthew. Bez wątplenia doprowadziłoby to do kłótni. Wiedziała, że o wiele lepiej będzie pozostawić grzyby na wystawie, a potem, jeżeli znów zacznie utyskiwać, porozmawiać z Lucy.

Odwróciła się i wbiła trzy duże jajka na patelnię, napełniła wysoką szklanę sokiem żurawinowym i włożyła dwa biszkopty do tosterów. Wyjęła sztućce i serwetkę z szuflady i nakryła do stołu.

Matthew trącił ją w ramię. Usta miał zaciśnięte ze złości. - Znów zmieniałś proszek do prania, prawda?

Przerzuciła się na markę zawierającą środki zmiękczające, co znacznie ułatwiało prasowanie.

Strzepnął palcami po kołnierzyku koszuli. - Ta koszula ma kwiatowy zapach. Jak mogę chodzić do pracy i pachnieć kwiatami? Ludzie pomyślą, że jestem pedałem.

- Nie - powiedziała bezgłośnie, marszcząc nos i potrząsając głową. - Nie ma zapachu.

- Mówię ci, że ja go czuję. Jest jeszcze gorszy niż to świństwo, którym się ostatnio skrapiasz. Co to w ogóle jest?

To była woda toaletowa z serii kosmetyków, które właśnie sprowadzili do sklepu. Miały lekko egzotyczny kwiatowy zapach. Donna przypomniała sobie, co Chelsea powiedziała o noszeniu opaski jako formie reklamy.

Spróbowała zastosować się do jej rady w przypadku wody toaletowej i okazało się, że to działa. W zeszłym tygodniu sprzedała trzy flakony kobietom, które wyczuły ją na niej i którym spodobał się jej zapach. Jej samej też się podobał. Dzięki niemu przenosiła się w różne miejsca, wyczarowywała w wyobraźni obrazy znakomitych restauracji, luksusowych apartamentów w mieście, limuzyn. Kojarzył jej się z Chelsea.

- Dobrze się sprzedaje - powiedziała.

Skrzywił twarz. - Ani trochę mnie to nie wzrusza. Nie używaj tego.

- Klientom się podoba.

- Pachniesz jak ktoś, kim wcale nie jesteś. Pachniała jak ktoś, kim chciałyby być. Miała prawo do marzeń. - Ale mnie się podoba!

- Nie wrzeszcz! - ryknął i odwrócił się, demonstrując obrzydzenie.

Z kołaczącym sercem Donna podeszła do piecyka. Nałożyła jajka i biszkopty na talerz, który razem z sokiem postawiła przed nim na stole. Potem podeszła do zlewu, żeby umyć patelnię. Kiedy poczuła rękę na ramieniu, podskoczyła.

To był Joshie, który wydawał się zmartwiony. Nic dziwnego, skoro słyszał ryk swojego ojca. Serce w niej zamarło.

- Wszystko w porządku? - zapytał językiem migowym.

- Wszystko w porządku - odpowiedziała w ten sam sposób i uśmiechnęła się.

- Tata jest znów w złym nastroju?

- Źle spał.

- Gdzie był wczoraj w nocy?

- Grał w karty z Juniorem i Calem - równie dobrze mogła wymyślić cokolwiek innego. Już dawno temu nauczyła się, że nie należy pytać Matthew, dokąd idzie ani gdzie był. Cenił sobie wolność, o czym poinformował ją tuż po ślubie. Próbowwała go zrozumieć, zaakceptować, usprawiedliwiając tym, że tak długo był kawalerem.

Czasami było to trudne, jak wtedy, gdy miała urodzić Joshiego i miała już bóle porodowe, a Matthew nigdzie nie można było znaleźć. Czasami było to wręcz upokarzające, kiedy przyjaciele poszukiwali go w domu towarowym, a ona musiała wymyślać jakieś kłamstewka, żeby go kryć, ale też ukrywać własną niewiedzę.

W istocie, od czasu do czasu grywał w karty z Juniorem i Calem. Junior Jamieson był synem George'a i od lat najlepszym przyjacielem Matthew. Calvin Ball był drugim wieloletnim przyjacielem, prowadził księgowość domu towarowego i był bratem szwagra Donny. Co prawda rzadko grywali do północy, szczególnie w dni powszednie. Poza tym Donnie zdarzyło się dostatecznie często przyłapać w nocy Juniora i Cala bez Matthew, żeby zdawać sobie sprawę, że Matthew robił jeszcze inne rzeczy. Nie była pewna, czy chce wiedzieć, co takiego.

- Podobają mi się te perfumy - powiedział Joshie na migi. - Nie wiem, czym tata się tak zdenerwował. Ładnie pachniesz.

Donna objęła Joshiego i uściśnięła go. Nie wiedziała, czym zasłużyła sobie na tak wspaniałego syna, ale każdego dnia odmawiała za to dziękczynną modlitwę. Nawet teraz, kiedy czubkiem głowy sięgał na wysokość jej kości policzkowej i wiedziała, że czasy uścisków wkrótce się skończą. Miał już dwanaście lat i zbliżał się do okresu dojrzewania. Wkrótce i on zażąda wolności. Żałowała tylko, że Matthew nie stanowi dla niego lepszego przykładu. Myśl o tym, że Joshie zacznie bywać poza domem do nie wiadomo której godziny, przyprawiała ją o dreszcz.

Lekko się od niego odsunęła i zamigała. - Tata jest wrażliwy na zapachy. Może z czasem przyzwyczai się i zaakceptuje te perfumy.

- Są inne. To fajnie być czasem innym. Szkoda, że tata czasem nie jest inny.

Donna posłała mężowi spojrzenie. Miał na sobie spodnie i bawełnianą koszulę, które wyprasowała mu zeszłego wieczoru. To był jego mundur. Od lat nie widziała go w garniturze i bardzo tego żałowała.

Nawet przy kilku dodatkowych kilogramach, które umiejscowiły mu się wokół pasa od czasu ich ślubu, nadal był przystojnym mężczyzną. Miał gładkie, bardzo jasne włosy i klasyczne rysy twarzy. Jeżeli chciał kogoś oczarować, wystarczyło, że się uśmiechnął.

Joshie miał kolor włosów Farrów, ale rysy jego twarzy miały w sobie surowość Plumów i nosił okulary. Donnie podobał się jego wygląd, nawet okulary, i choć wątpiła czy kiedykolwiek będzie przystojny w klasyczny sposób tak jak Matthew, nie miało to znaczenia. Tam, gdzie nie dostawało mu urody, nadrabiał przemiłym usposobieniem.

- Jak było na aerobiku? - zamigał

- Dobrze. Zgadnij, kto tam był? - Kiedy wzruszył ramionami, przeliterowała alfabetem migowym: - Chelsea Kane.

Oczy zrobiły mu się okrągłe. - Przyjechała jaguarem?

- Przyszła z gospody. Nie widziałam żadnego samochodu.

- Jest śliczny. Ona zresztą też. Wszyscy chłopcy w szkole tak uważają, a połowa z nich nigdy jej nie widziała na oczy, ale Tom i Ethan widzieli i wszystko nam opowiedzieli. Mówią, że był już najwyższy czas, żeby ktoś taki się tu zjawiał. Ich mamy twierdzą, że jest snobką.

Donna miała na końcu języka, że Chelsea nie jest ani trochę snobką, kiedy oczy Joshiego powędrowały ku ojcu, który wyglądał na rozwścieczonego. Jej samej udało się zobaczyć usta Matthew dopiero w połowie zdania. - ... robić mi coś takiego! Jeżeli macie coś do powiedzenia, mówcie to na głos. Rozmawiacie rękami, żebym ja nie mógł zrozumieć. Nie zgadzam się na to. Nie będę wykluczany z rozmów w moim własnym domu. Czy wydaje wam się, że to jest zamknięte przyjęcie dla dwóch osób?

- Proszę, Matthew - powiedziała szybko Donna. - Joshie miga, żeby mi było łatwiej. Nie mówiliśmy niczego, co chcielibyśmy przed tobą ukryć.

- On nie jest głuchy. Potrafi doskonale mówić. - Zwracając się do Joshiego, powiedział: - Jeżeli masz coś do powiedzenia, to mów głośno. Rozumiesz, chłopcze?

Joshie przytaknął.

Donna dotknęła głowy chłopca. - Już teraz leć. Będą na ciebie czekać. - Patrzyła za nim, jak biegnie. Matthew urwał kawałek biszkopta, położył na nim żółtko jajka i wepchnął wszystko do ust. Jeszcze przeżuwał, kiedy oderwał następny kęs. - Dlaczego on, do diabła, robi jakieś prace dla miasta, zamiast pracować dla nas?

- To na placu zabaw. - Miasto każdego lata miało program zajęć dla dzieci, który praktycznie sprowadzał się do półkolonii. - Joshie jest drużynowym. Świetnie zajmuje się małymi dziećmi.

- Potrafiłby równie świetnie zająć się miotłą, gdyby od czasu do czasu poćwiczył tę dyscyplinę. -

Zebrał biszkoptem żółtko z talerza. - Przydałaby się nam pomoc. Mógłby układać towar na półkach, wnosić śmieci i odkurzać regały. Mamy ciężkie czasy. Wszyscy musimy ciężiej pracować. -

Wepchnął rozmoczony kawałek biszkoptu do ust z jednej strony, a drugą nie przestawał mówić. - Nie możemy sobie pozwolić na to, żeby zanudzać ludzi idiotycznymi drewnianymi grzybami lub przyprawiać o mdłości jakimiś perfumami.

Donna odczuła nagły przypływ irytacji. Zdumiewało ją, że Matthew ma czelność krytykować ją za używanie wody toaletowej, a sam siedzi tu i wpycha jedzenie do ust jak świnia.

Odsunął talerz i dokończył kawę. Potem wstał i stanął przed nią. Nabiegłymi krwią oczami wpatrywał się prosto w nią. - Chelsea Kane wczoraj wieczorem wynajęła pokój w gospodzie. Mówi się, że zatrzyma się tu przez jakiś czas. Wiesz, co to znaczy?

Przede wszystkim oznaczało to, że wczoraj wieczorem Matthew kręcił się w pobliżu gospody. I to późnym wieczorem. Poza tym jeszcze, że rozmawiał z kimś, kto

miał wgląd w księgę gości, najprawdopodobniej z Sukie Blake, która po godzinach pracowała w recepcji. Donnę to zaniepokoiło. Sukie Blake nie kręciłaby z Matthew - była zaręczona z Joeyem Doddem - ale miała przyjaciółki, które chętnie by się z nim zabawiły.

- To znaczy - mówił Matthew - że będzie jeździć tam i z powrotem, dokładnie tak, jak powiedziała Oliemu. Będzie się u nas zaopatrywać, jeżeli zorientuje się, że mamy to, czego potrzebuje. Musimy jej pomóc, żeby się zorientowała, że tak jest. Jej interesy tutaj są całkiem duże. Teraz ma połowę firmy twojego ojca. Musimy się jej pokazać z dobrej strony, zrobić na niej wrażenie, a to oznacza, że koniec z tanimi perfumami. Zrozumiałaś, co powiedziałem, Donna?

Woda toaletowa, która stanowiła przedmiot tej dyskusji, bynajmniej tania nie była, o czym Matthew doskonale by wiedział, gdyby zachciało mu się zajrzeć do ksiąg firmy, ale Donna nie miała ochoty mu o tym mówić. Nie miała też ochoty mówić mu, że Monti doskonale o tym wiedział, bo zaglądał do ksiąg, ani nawet tego, że kobiety lubią dobre perfumy. Matthew nie umiał przyjmować krytyki, a Donna nie miała ochoty narażać się na jego atak wściekłości. Gdyby to dotyczyło tylko jej, machnęłaby ręką, ale musiała chronić Joshiego. Ciężko przeżywał każdy wybuch ojca i była gotowa zrobić prawie wszystko, żeby do tego nie doprowadzić.

ROZDZIAŁ 10

Chelsea stała na strychu. Właśnie odsunęła z czoła wilgotne loki i rozejrzała się wokół z zadowoleniem. Przestrzeń zaczęła nabierać kształtu. Kiedy tu pierwszy raz przyszła, strych był ciemny, zaśmiecony papierami, starymi książkami i ścinkami materiałów. Przypominał jej strych w domu jej rodziców w Baltimore, którym zawsze chciała się zająć, ale nigdy nie miała czasu. Założyła, że weźmie się za niego kiedyś, tego lata, ale ta myśl jej wcale nie cieszyła. Związane z nim wspomnienia były szczęśliwe, ale konieczność spakowania ich do pudełek smutna.

Rozmyślała o tym, gdy ludzie Olivera porządkowali strych, a ona nalegała, żeby rzeczy były spakowane i poukładane w piwnicy, a nie wyrzucone. Historii nie wolno lekceważyć. Była przekonana, że pojawi się ktoś, dla kogo zawartość tych skrzyń będzie miała znaczenie.

Po oczyszczeniu z gruzu strych wydał się znacznie większy. Potem zajęto się starymi krokwiemi - zostały wzmocnione, zaizolowane, pokryte wyrównującym podkładem i zaszpachlowane.

Cztery nowe okna w dachu wpuściły do środka słońce, a pełnowymiarowe okna zastąpiły miniaturowe lukarny.

Niestety, o ile sprawa światła została rozwiązana ku jej zadowoleniu, to cyrkulacja powietrza nadal pozostawała problemem. Mimo że okna były szeroko otwarte, powietrze prawie stało w miejscu.

Usłyszała, że ktoś idzie po krętych schodach i odwróciła się. Na nowo zbudowanej klatce schodowej pojawiła się ciemna głowa Judda, a za nią cała reszta. Chelsea przez minutę była w stanie tylko na niego patrzeć. Nie wiedziała, co w nim takiego jest - znała przecież mężczyzn o wiele przystojniejszych, lepiej wy-

kształconych i bardziej obytych - ale Judd Streeter miał w sobie coś szczególnego. Wystarczyło, że zobaczyła go tylko przez moment i, nieważne jak daleko od niej był, puls zaczynał bić w przyspieszonym tempie. Tak właśnie było w tej chwili, a co gorsza, zupełnie oniemiała.

Więc po prostu uśmiechnęła się, a potem oderwała od niego wzrok i rozejrzała się po pokoju.

- Wszystko w porządku? - zapytał. Głos miał z natury niski, podobnie jak on sam był z natury męski.

Skinęła głową. - Wygląda nieźle. - Przyjrzała się badawczo oknom w płaszczyźnie dachu. Nadal miały nalepkę producenta. - Zdziwiające, ile można zrobić w ciągu dwóch tygodni. - Otarła wilgotne dłonie

o T-shirt, ręcznie malowany, długi i znakomicie wyglądający z leginsami o długości korsarek. -

Wystarczy pomalować, położyć wykładzinę, wstawić kilka mebli

i mogę pracować. - Wtedy ośmieliła się na niego spojrzeć.

Stał z rękami na biodrach - niezbyt szczupłych, ale wąskich w porównaniu z jego ramionami - i przypatrywał się świeżo zaszpachlowanym ścianom i sufitowi. Twarz miał poważną, a profil równie mocny jak sylwetkę.

- Gorąco tu jak w piekle - powiedział. - Trzeba będzie zainstalować wentylator pod sufitem.

Widziała, że jest mu gorąco. Na jego twarzy, szyi, karku i przedramionach połyskiwał pot. Resztę jego ciała okrywała robocza koszula z plamami potu i dżinsy. To był zwykły dzień pracy w kamieniołomach.

Powiedz coś, upomniała siebie. Powiedz coś błyskotliwego. Ale nie była w stanie wymyślić nawet jednego błyskotliwego słowa. Zdesperowana, zaczęła mówić o pogodzie. - Wyobrażałam sobie, że w New Hampshire będzie chłodniej niż w Baltimore. Czy to skutki ocieplenia klimatu?

Spojrzał na nią. - To lato.

Przełknęła ślinę. - Czy twoi ludzie są w stanie pracować w upały?

Kiedy przypominał sobie o jej transakcji z OHverem, jego twarz przybrała surowy wyraz. Wolno pokiwał głową.

- To dobrze - powiedziała. Chcąc się na chwilę uwolnić od jego intensywnego spojrzenia, podeszła do okna i wspierając się na dłoniach, spojrzała w dół na dachówki i pokryte bluszczem ściany małego budyneczku, który był pocztą w Norwich Notch. Za nim widziała galeryjkę nad Stowarzyszeniem Historycznym, a jeszcze dalej rząd pokrytych gęstymi liśćmi dębów. Miateczko było śliczne.

Żałowała tylko, że nie jest o parę stopni chłodniejsze.

- Jak się spisuje samochód? - zapytał.

- Świetnie - powiedziała, nie odwracając się od okna. Zostawiła jaguara w Baltimore i kupiła jeepa pathfin-

dera. Judd zawiózł ją po odbiór. Blazerem, który, jak się okazało, należał do niego. Również wielokrotnie woził ją po mieście, przewożąc z biura do kamieniołomów, do Boulderbrook i z powrotem. Myślała, że przyzwyczai się do jego wyglądu, że jego rysy i sylwetka z czasem się jej opatrzą, ale wcale się na to nie zanosilo. Nie rozumiała, w jaki sposób może być w szóstym tygodniu ciąży, bez przerwy odczuwać mdłości i nadal uważać mężczyznę za atrakcyjnego. Mówiła sobie, że to niewłaściwe. Mówiła sobie, że to niezdrowe. Mówiła sobie, że to niedorzeczne, zważywszy, w jakim celu przyjechała do Norwich Notch. Mimo wszystko krew zaczynała jej szybciej krążyć w żyłach, gdy on zjawiał się w pobliżu.

Usiłowała go ignorować, ale było to trudne. Miał ciemne oczy, które nigdy nie umykały na boki.

Czuła w tej chwili jego wzrok na swoich plecach. Nigdy do tej pory nie była nieśmiała ani zakłopotana, a teraz w jego obecności zawsze była zakłopotana. Była pewna, że potrafi czytać w jej myślach, szczególnie w tych lubieżnych. Robiła co mogła, żeby się nie zarumienić.

- Kiedy nadejdą komputery? - udało jej się zapytać.

- Lada dzień.

- Świetnie. - Prosiła go, żeby dla niej też zamówił komputer. - Bardzo by mi się przydał. Napisałam

wszystkie listy ręcznie, ale kolejne chciałabym już napisać na komputerze. I oczywiście wydrukować adresy **na** kopertach. - Odwróciła się od okna i wskazała **na** miejsce pod jednym z okien w dachu. - Tu chciałabym ustawić rajzbret. Dostarczą go dziś po południu. Czy sądzisz, że któryś z twoich ludzi mógłby go zmontować? Muszę być w Manchester przez całe popołudnie, ale **w** trakcie weekendu chciałabym już móc z niego korzystać.

- Będzie zmontowany - powiedział.

Chelsea przeklinała nieprzewyciężony pociąg, jaki czuła do Judda, ale cieszyła się i doceniała jego kompetencje. Miała na głowie tyle spraw - zdobywanie zamówień dla Plum Granite, pracę dla Harper, Kane, Koo i własne projekty, nadzorowanie prac w Boulderbrook; każdego ranka ćwiczyła, a co wieczór padała na łóżko bez sił i gdzieś tam pomiędzy rozmyślaniami o Ke-vinie i tęsknotą za Abby, martwiła się dzieckiem i zastanawiała się, kto chciał przekazać jej srebrny klucz do pozytywki - więc dobrze było wiedzieć, że może poprosić Judda Streetera o zrobienie czegoś i mieć pewność, że będzie to zrobione.

- Wyglądasz na zmęczoną - powiedział. Przeniosła wzrok na jego twarz. Czuła się złapana w pułapkę - jego wzrok niemal ją parzył - i znów przełknęła ślinę. - Czuję się dobrze.

- Może za ciężko pracujesz.

Pomyślała o transakcji. - Czy tego byś sobie życzył? - Wytarła czoło ręką podkoszulka. Było naprawdę gorąco. Miał rację z tym wentylatorem. - Przykro mi, jeżeli się rozczarowałeś, ale czuję się znakomicie. Odrobina ciepła nigdy nikomu nie zaszkodziła.

Jego oczy nie przestawały się w nią wpatrywać. -W mieście jest wszędzie klimatyzacja. Czy ci jej nie brakuje?

- Nie. Noce tu są zimne.

- Zainstalowanie klimatyzatorów w tym domu kosztowałoby fortunę.

- Nikt nie powiedział, że mamy je instalować.

- Może zmienisz zdanie, jak popracujesz tu przez tydzień.

- Przyzwyczaję się - powiedziała, ale miała trudności z oddychaniem i to nie tylko za sprawą Judda. Wydawało jej się, że płuca ma wypełnione gorącym powietrzem i gipsowym pyłem. Żeby poczuć ulgę, podeszła do schodów i zaczęła schodzić na drugie piętro. Tam wrzała praca, mężczyźni malowali ściany, a zapach farby przenikał wszystko.

Przeszła przez przyszły sekretariat Fern i skierowała się dalej, do schodów frontowych. Zeszła nimi w dół i dopiero na kamiennych schodkach na zewnątrz mogła zaczerpnąć nieco świeżego powietrza.

Przeszła przez główną alejkę ogrodu, raz za razem głęboko oddychając. Kiedy była przy chodniku, oparła się o niski filar parkanu.

Poczuła, jak Judd podchodzi i staje za nią. Wprawdzie włosy nie stanęły jej dęba, ale wzdłuż kręgosłupa przeszło jej dziwne mrowienie. Nie odwróciła się. Nie miała śmiałości. Świadomość, że on tam jest, była dostatecznie niepokojąca.

Wskazała na kobiety na miejskim skwerze. Wszystkie miały na głowie kapelusze z szerokim rondem, w rękach łopaty, a na ziemi, tuż przy ich kolanach, stał płaski koszyk z niecierpkami. - Dzisiaj wyległy grupowo.

- To klub ogrodniczy - powiedział. - Przygotowują się do Czwartego Lipca.

Pomyślała o Kevinie i Abby, i o wszystkich świętach Czwartego Lipca w Newport. Z bólem pomyślała, że Kevin nie chce zachować tradycji. Nawet Carl miał tego roku inne plany.

Jeszcze raz głęboko odetchnęła powietrzem Norwich Notch. - Widzę, że tutaj idziecie na całość w przygotowaniach do Czwartego Lipca.

- Owszem. Śniadanie z naleśnikami w kościele, piknikowy lunch w szkole i barbecue na miejskim skwerze na kolację.

Mogła przysiąc, że w jego głosie usłyszała ironię, więc podniosła na niego wzrok. - Nie lubisz tego? Jego twarz nie wyrażała niczego. - Da się znieść. Ale ty byś się zanudziła.

- Zanudziła? Kiedy bez przerwy coś się dzieje?

Wszędzie w mieście wisiały zawiadomienia o wydarzeniach zaplanowanych na ten dzień.

Obejmowały one paradę, konkurs piękności, wyprzedaż staroci, wystawę sztuki, mecz baseballowy i zabawę taneczną. Nie rozumiała, jak ktokolwiek mógłby się nudzić. - Dla kogoś, kto tu świeżo przyjechał, to niezwykle podniecające.

Popatrzył na nią dziwnie. - Chyba nie zamierzasz zostać tutaj na Czwartego Lipca.

- Ależ tak. A dlaczego nie? - Wydawało mi się, że gdzieś wyruszysz.

- Nie.

- Musisz mieć jakieś miejsce, gdzie ci będzie lepiej.

- Tak naprawdę, to nie mam.

- Żadnej rodziny?

Poczuła jak skręca się w środku. - Nie w tym roku.

- Żadnego narzeczonego z domem na Nantucket? - Nie było już wątpliwości, że tu brzmiała ironia.

Potrząsnęła głową.

- Żadnych ekskluzywnych prywatek w mieście? Ironię była w stanie tolerować, ale pogardy już nie.

Ośmielona złością spojrzała mu prosto w oczy. - Nie w tym roku. Ani kiedykolwiek. Nigdy nie byłam typem dziewczyny, która chadza na ekskluzywne prywatki. Dlaczego chcesz mi przypiąć etykietkę kogoś, kim nie jestem? Jego oczy nawet nie drgnęły. - Dlatego, że jesteś ładna i dlatego, że jesteś wyrafinowana. Obracałaś się tu i tam o wiele więcej niż przeciętni ludzie.

- Obracałam się? - zapytała. Źle jej się to słowo kojarzyło.

- Mieszkałaś.

- Jeżeli chcesz powiedzieć „podróżowałaś”, to w porządku. Jeżeli myślisz o czymkolwiek innym, to się grubo mylisz.

Przez minutę wpatrywał się w nią, a potem przeniósł spojrzenie na miejski skwer.

- Wierzysz mi? - zapytała. Chciała, żeby wierzył.

- Wiem, że pochodzę z innego środowiska i że moje doświadczenia życiowe są zupełnie inne, ale to nie ja wyciągam wszystkie różnice i nie wymachuję nimi niczym czerwoną płachtą przed bykiem.

Jego wzrok opadł na jej piersi, a potem powędrował w górę. - I właśnie dlatego biegłaś dziś rano wzdłuż Old River Road, nie mając na sobie nic, oprócz kusych szortów i króciutkiej koszulki odsłaniającej brzuch?

Jej serce zgubiło rytm. Zastanawiała się, gdzie mógł ją zobaczyć. Potulnym tonem powiedziała: - To standardowy strój do biegania.

- Nie, tutaj coś takiego nie jest standardowe. Faceci nie są przyzwyczajeni do kobiet pokazujących wszystkie wdzięki.

- Nie pokazywałam swoich wdzięków. Biegałam.

- Byłaś głównym tematem rozmów przy śniadaniu u Crockera. Nie zauważyłaś, jak koło ciebie zwalnają półciązarówki? Na ogół jeżdżą nimi robotnicy z kamieniołomów. Nie zostawiłaś wiele ich wyobraźni.

Nie wiedziała, co ma powiedzieć. Nie przyszło jej do głowy, że mogła wywołać sensację. Zupełnie zwyczajnie biegała. Judd wyglądał na rozzłoszczonego, a ona nie rozumiała dlaczego.

- Wydawało mi się, że ćwiczysz aerobik w kościele

- powiedział.

- Tak. Ćwiczyłam. Nadal ćwiczę. Ale brakuje mi biegania, więc pomyślałam sobie, że mogę biegać na zmianę z aerobikiem.

- Czy nie mogłabyś zakładać czegoś bardziej konserwatywnego?

- To jest standardowy strój do biegania - powtórzyła zdezorientowana Chelsea.

- Tak, ale tutaj nie pasuje. Noś go dalej, a w tym domu na farmie usłyszysz wieczorami coś więcej niż głosy małych dzieci. Usłyszysz, jak połowa mężczyzn

z Notch stoi pod twoimi drzwiami i głośno dyszy. - Żyłka pulsowała mu w skroni. - Może tego właśnie chcesz.

Odebrała jego sugestię niczym policzek. - Wcale tego nie chcę! - zawołała. W ogóle nie życzę sobie czegoś takiego. Ale mam prawo biegać i mam prawo ubierać się w to, co mi się podoba.

Nonszalancko wzruszył ramionami. - Więc przygotuj się na ponoszenie konsekwencji.

Chelsea poczuła, jak wzbiera w niej złość. Poczowała, że Judd sprawił jej zawód, miasto sprawiło jej zawód, Kevin i Carl sprawili jej zawód. Nagle opanowała ją wola walki. - Nie mam najmniejszego zamiaru - powiedziała prostując się. - Może już czas najwyższy, żeby Norwich Notch wyszło ze średniowiecza. W dzisiejszych czasach kobiety biegają, a kiedy jest gorąco na zewnątrz, wkładają jak najłżejsze ubranie. Kobiety teraz jeżdżą jaguarami, są właścicielkami przedsiębiorstw i być może nie uwierzysz, ale istnieją miejsca, gdzie pełnią funkcje publiczne. Dobry Boże, cóż to za przedpotopową mentalność, o której mówisz?

Judd podniósł się na pełną wysokość. Był znacznie wyższy od niej. Jego oczy były ciemniejsze niż zwykle i pełne pasji. - Ja mówię o Norwich Notch. Ty nazywasz je zacofanym, a ja konserwatywnym. Nieważne, które określenie jest właściwe, ale nic nie zmieni się tylko z tego powodu, że ty się tu pojawiłaś.

- Wcale nie oczekuję, że coś się zmieni. Ogromnie mnie cieszy, że tu wszystko idzie własnym torem, ale z drugiej strony, spodziewam się, że mieszkańcy Notch pozwolą mi robić swoje.

- Czy to wszystko? Nie chce mi się wierzyć. Rzuciła mu zdziwione spojrzenie. - A to co ma oznaczać?

- To znaczy - powiedział - że twój pobyt tutaj jest dziwny. Nie jest ani trochę uzasadniony. Oliver miał rację. Mogłaś wykonywać swoją część pracy w Baltimore. Byłoby ci o wiele łatwiej tam pracować niż na

miniaturowym sekretarzyku w twoim pokou w gospodzie. - Skrzywił usta. - Skąd wiem, że tak robisz? - zapytał, dokładnie w chwili, kiedy się nad tym zastanawiała. - Pokojówka, która sprząta twój pokój, jest młodszą siostrą jednego z naszych pracowników, a ona opowiada mu o pomiętym żółtym papierze kalkowym, który każdego ranka znajduje w koszu. Wiem więc, że usiłujesz pracować, i wiem też, że byłoby ci o wiele lepiej w pracowni, i nie przestaję zadawać sobie pytania, dlaczego zdecydowałaś się cierpieć tyle niewygód. Zostałaś wygnana z Baltimore? Chelsea poczuła się odsłonięta. - Nie.

- Kłopoty męsko-damskie?

- Nie!

- Więc co? Co utalentowana, piękna, odnosząca sukcesy kobieta może robić w takim miejscu? Utalentowana, piękna, odnosząca sukcesy. Pochlebił jej. Słyszała już te słowa wcześniej, ale nigdy z taką dozą niechęci jak w ustach Judda. W ten sposób zyskiwały na znaczeniu. Czują, że jest mu coś winna w rewanżu za to, że je powiedział.

- W ciągu ostatnich pięciu miesięcy - powiedziała po prostu - w taki czy inny sposób straciłam trzy najważniejsze osoby w moim życiu. Nic nie trzyma mnie już w Baltimore.

- Więc uciekasz.

- Nie. Wybrałam pobyt tutaj.

- Na jak długo?

- Na tak długo, jak długo zechcę. - Ryk motocykla za rogiem zapowiedział przyjazd Huntera Love. Oderwała oczy od Judda. - On nie jest konserwatywny. Robi to, na co ma ochotę.

- To szczególny przypadek.

- Załóż, że ja też - powiedziała i przeszła przez chodnik do ławki wśród zieleni, gdzie zaparkował Hunter. - Jak leci?

Zdjął kask i ręką otarł twarz. - Jest problem i jesteś tam potrzebna.

- Dobrze, już biorę samochód. - Ledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, kiedy do głowy przyszedł jej lepszy pomysł. Kiedyś zaproponował jej przejażdżkę na motocyklu i wówczas ona odmówiła. Teraz przyszedł czas na demonstrację.

Spojrzała na zapasowy kask, przymocowany za siodełkiem, a potem na Huntera. - Nie masz nic przeciwko temu?

Wzruszył ramionami. - To twoje życie.

Było jeszcze coś więcej - życie jej dziecka, ale Chelsea czuła się do tego stopnia buntownikiem, że zdecydowała się zaryzykować. Nie zastanawiając się ani chwili dłużej, wsiadła na motocykl za Hunterem, włożyła kask na głowę i obdarzyła Judda ostatnim wyzywającym spojrzeniem.

Sądząc po jego zaciśniętej szczęce, był wściekły. To jedynie jako drobny rewanż za to, że prześladowuje mnie po nocach, powiedziała sobie i opuściła wizjer. Złapała rękami za pasek Huntera i pewnie usadowiła się za nim, kiedy on już podkręcał obroty silnika i wystartował. Okrążyli miejski skwer, jeszcze raz mijając Judda z takim impetem, aż wszystkie głowy członków klubu ogrodniczego podniosły się w górę, a potem Hunter skierował motocykl za miasto.

Pierwsze parę minut było dobrą zabawą. Chelsea od lat nie siedziała na motocyklu, a motocykl Huntera był dobrej marki. Pędził równym tempem, znakomicie trzymał się drogi i jazda przywoływała wspomnienie dawnej uciechy wywołanej pędem i wolnością. Ruch powietrza chłodził jej ciało, które wraz z Hunterem i motocyklem przemieszczało się od jednego zakrętu do drugiego.

Nagle zakrętów zaczęło być coraz więcej. Droga skręcała w prawo, potem w lewo, w prawo i znów w lewo. Chelsea zorientowała się, że nie rozpoznaje drogi do Boulderbrook. W ogóle nie rozpoznawała drogi i już. Poczowała się nieswojo.

- Hunter?

Nie słyszał. Zaczęła się zastanawiać, czy nie była zbyt lekkomyślna powierzając mu swoje życie. Ale on był człowiekiem Olivera, człowiekiem do wszystkiego. Był trzeci w hierarchii, po Oliverze i Juddzie. I jeszcze znakomicie wykonywał swoje zadania w Boulderbrook, co oznaczało, że jest odpowiedzialny, czyż nie?

- Hunter? - zawołała głośniejszym głosem. Odwrócił lekko głowę.

- Gdzie jesteśmy?

- Seben Road. Za Acatuk. Tu są piękne krajobrazy. Droga stała się jeszcze węższa, a zakręty jeszcze ostrzejsze. Chelsea wyobrażała sobie, że ścinając zakręt zderzą się czołowo z samochodem nadjeżdżającym z przeciwka, ale jeżeli nawet Hunter był świadomy tego niebezpieczeństwa, to je ignorował. Za to jeszcze mocniej przyciskał gaz.

Chwyciła go jeszcze mocniej i obserwowała drogę. Wspinała się do góry, potem gwałtownie spadała w dół i znów zaczynała się wiać. Kiedy zaczęło jej się kręcić w głowie, zawołała: - Czy mógłbyś trochę zwolnić?

Motocykl podskoczył na wyboju. Hunter zredukował bieg i znów popędził w górę.

Zawrót głowy przerodził się w mdłości. Chelsea ciągnęła Huntera za pasek. - Zatrzymaj się na chwilę, Hunter!

Jechał dalej.

Oparła głowę o jego plecy i zamknęła oczy w nadziei, że jeżeli nie będzie widziała trasy, mdłości miną, ale w ciągu niecałej minuty poczuła się znacznie gorzej.

- Hunter, ja zaraz zwymiotuję! - krzyknęła i coraz mocniej ciągnęła go za ubranie. - Natychmiast zatrzymaj!

Nie wiedziała, co i jak w końcu do niego dotarło, czy był to oszalały ton jej głosu, czy gwałtowne ciągnięcie za ubranie. Zwolnił, zjechał na pobocze drogi i zatrzymał się zaledwie parę sekund wcześniej, zanim było za późno. Ledwo co miała czas dobiec do zarośli po jednej stronie drogi, po drodze odrzucając kask, zanim opanowały ją niepowstrzymane torsje.

Nienawidziła torsji. Lekarz powiedział, że mdłości są dobrym objawem i oznaczają, że jej organizm znakomicie przystosowuje się do ciąży. Ale to nie lekarz wisiał nad sedesem, lub w tym wypadku podierał się drżącymi ramionami nad splachetkiem mchu. I to nie lekarz był sam. To było najgorsze ze wszystkiego. Byłoby tak dobrze, gdyby ktoś przy niej był, tylko po to, by dać jej moralne wsparcie. Ale była sama. Oprócz lekarza i Cyd-ry nikt nie wiedział o dziecku.

Przykucnęła na piętach i odgarnęła ramieniem kosmyki włosów z policzka. Poskoczyła, kiedy usłyszała głos Huntera. Był cichy i ani trochę szyderczy czy ironiczny.

- Tam jest strumyk.

Wymioty się skończyły i usłyszała szmer wody. Idąc za tym odgłosem, przedzierała się przez niskie krzewy, aż doszła na miejsce. Tam usiadła na płaskim kamieniu na brzegu i opłukała twarz.

O tak, nienawidziła torsji, ale miały też zaletę - mijały. Oczywiście, wiedziała, że powrócą jeszcze przed końcem dnia, ale teraz, oprócz trzęsących się lekko kolan, wszystko było w porządku. Parę herbatników dobrze by jej zrobiło, ale ponieważ nie miała nic takiego, ograniczyła się do wypłukania ust, zanim wróciła do motocykla.

Hunter opierał się o motocykl. Jego kask był na kierownicy, jej na siodełku. Przypatrywał się jej z niepokojem, niepewny tego, co za chwilę powie, ale ona sama nie wiedziała, co ma mówić. To, co się wydarzyło, nie było tylko jego winą. Gdyby nie była w ciąży, znakomicie zniosłaby taką jazdę.

Splotła ręce, spojrzała na niego, a potem mrużąc oczy, na wyboistą drogę. - Co za jazda!

Tym samym cichym głosem, którym poinformował ją o strumieniu, zapytał: - Dobrze się czujesz?

Przytaknęła i wpatrzyła się w horyzont. - Dlaczego to zrobiłeś? - Kiedy nie odpowiadał, powiedziała:

- To nie było całkiem w porządku.

- Mówiłaś, że masz doświadczenie w jeździe na motocyklach.

- I mam. - Wskazała na swój nos. - Widzisz? Był operowany dwa razy, kiedy nie zrósł się jak należy po wypadku motocyklowym. Wypadek był z mojej winy. Jechałam za szybko. Miałam wówczas siedemnaście lat i byłam lekkomyślną wariatką. A ty masz jakieś wytłumaczenie?

Hunter skrzyżował ramiona. - Niedobre geny. Roześmiała się.

- Czy myślisz, że to jest śmieszne? - zapytał i wyglądał na urażonego.

- Jest. Naprawdę jest. Ja zostałam adoptowana. Nie mam pojęcia, kim są moi biologiczni rodzice, ale przenigdy nie zwałam żadnego głupstwa, które kiedykolwiek zrobiłam, na niedobre geny. - Ani, dzięki Bogu, jej rodzice. - Usprawiedliwianie jakiegoś zachowania złymi genami jest ucieczką od odpowiedzialności. To, kim jesteś, zależy od tego, jak ukształtujesz swoje życie.

- Nie tutaj. Tutaj to, kim jesteś, zależy od nazwiska, jakie nosisz.

- Nie wydaje mi się, żeby nazwisko Love w czymkolwiek ci do tej pory przeszkodziło. - Miał solidną pozycję w Plum Granite i był generalnym wykonawcą remontu jej domu - właściwie kimś więcej niż generalnym wykonawcą. Czasami wieczorami czy w wolne dni widziała, jak sam wykonuje prace. W takich chwilach zastanawiała się nad jego życiem prywatnym. Judd powiedział tylko, że ma własne mieszkanie i że jest kawalerem i samotnikiem.

Interesowało ją to tylko z czystej ciekawości. Hunter Love był przystojnym mężczyzną, ale nic w nim nie robiło na niej takiego wrażenia jak Judd Streeter.

Była wdzięczna losowi, że nie dostała torsji przy Juddzie. Byłoby to dla niej upokarzające.

- A więc - zapytał Hunter - czy jeszcze mam pracę?

- Oczywiście, że jeszcze masz pracę. - Zastanowiła się przez chwilę. - Ale chcę się wprowadzić trzeciego lipca.

- To już za dziesięć dni!

- Nie musi być gotowy cały dom, wystarczy sypialnia i łazienka. Przez jakiś czas obejdę się bez kuchni, ale mam już dość mieszkania w gospodzie.
- Chciałaś ponadwymiarową wannę w łazience. W żaden sposób nie uda mi się jej sprowadzić w tym terminie.
- Zadzwoń do dostawcy. Twoja głowa, jak to załatwisz.
- Hunter potrząsnął głową. - Potrzebny mi jeszcze miesiąc.
- Nie, to nieprawda. Jeżeli się na tym całkowicie skoncentrujesz, będzie gotowe w tydzień. - Dodała to dlatego, że celowo chciał ją wystraszyć jazdą na motocyklu. - Chyba że ciche głosiki zwolnią ci tempo. Twarz mu pociemniała. - Nie żartowałbym z tego.
- Czy słyszałeś je, odkąd rozpocząłeś prace?
- Hałas je odstrasza.
- Nie mówisz poważnie, Hunter - zadrwiła. Była przekonana, że fakt, iż zdecydował się pracować w tym domu, oznaczał, że głosy były oszustwem. Doszła do wniosku, że cała sprawa była tylko jego niezbyt mądrym dowcipem.
- Poczekaj. Kiedy zamieszkasz tam sama, usłyszysz je. Pochodzą z tajnego przejścia.
- Zrobiła się czujna. - Z jakiego tajnego przejścia?
- Tego za kominkiem. To w tej sprawie chciałem się / tobą zobaczyć.
- Tajne przejście? - powtórzyła Chelsea podniecona. Usiłowała je sobie wyobrazić. - Dokąd prowadzi? - Na piętro.
- Niewiarygodne. - Umysł jej zaczął pracować. - Sądzisz, że tam są jeszcze inne przejścia?
- Pewnie, ze szkieletami w środku. Mówię ci, że to miejsce jest nawiedzone. Chcesz zmienić zdanie i poszukać innego mieszkania?
- Nie ma mowy! - powiedziała. - Uwielbiam tajne przejścia! - Zgodnie z jej wiedzą, odkrycie takiego przejścia nieprawdopodobnie podnosiło wartość domu. - A co, jeżeli ten dom na farmie był przystankiem na

Podziemnym Szlaku? Pomyśl, ile historii widziały te ściany.

Hunter wyglądał na znużonego. - Historia nigdy mnie nie obchodziła. Powiedz mi lepiej, co mam zrobić z tymi drzwiami. Czy chcesz, żebym je zagipsował...

- Nie!

- Tajne przejścia mogą być niebezpieczne.

- Ani trochę bardziej niż przejażdżka, którą mi zafundowałeś. - Spojrzała na motocykl. Nie była zachwycona myślą, że ma znów usiąść za Hunterem, który będzie prowadzić. - A może puściłbyś mnie za kierownicę? Pokręcił głową i sięgnął po kask.

- Jeżeli będziesz tak samo prowadził z powrotem, znów dostanę torsji.

Podał jej drugi kask. Zawahała się, zanim go włożyła. - Hunter?

- Będziesz bezpieczna.

- Bezpieczeństwo to jedna sprawa, a torsje druga. Wszystko razem nie było szczególnie miłym przeżyciem.

- Twoje nogi też to odczują w nocy. Po drodze do strumyka przedzierałaś się przez trujący bluszcz. Spojrzała na nogi, gołe od połowy łydek do kostek.

- Żartujesz?

- Nie.

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś?

- Dlatego, że miałaś pilniejsze sprawy na głowie. A poza tym powinnaś rozróżniać trujący bluszcz.

- A niby skąd? - zapytała poirytowana. - Nigdy przedtem nie mieszkałam w lesie. - Znów spojrzała na swoje nogi. - Czy mogę coś z tym zrobić? - Tak, modlić się, żebyś nie była uczulona na to świństwo.

- Świetnie - wyszeptała i obserwowała go, jak wsiada na motocykl.

- Wsiadasz? - zapytał, włączając silnik. Spojrzała na drogę. - Jaką mam szansę, że ktoś inny będzie tutaj przejeżdżał i mnie zabierze?

- Niewielką.

- Ile zabrałaby mi droga piechotą?

- To cały czas w górę i w dół, sporo się w ten sposób nadrabia. Powiedziałbym, że kilka ładnych godzin.

Chelsea bywała uparta. Od czasu do czasu buntowała się i działała impulsywnie. Nie była jednak tępą. Dawno temu już nauczyła się, że nie warto sobie odmrażać uszu na złość mamie. Jeżeli nie miała ochoty spędzić większej części dnia na wędrówce po nieznanymi drogach, musiała wsiąść na maszynę Huntera.

Podeszła do niego z kaskiem w rękę. - W porządku, jadę z tobą. Ale jeżeli znów zrobi mi się niedobrze, to tym razem nic nie powiem. Usłyszałeś?

Wyraz oczu Huntera, zanim opuścił wizjer, świadczył o tym, że tak.

W domu Chelsea były trzy tajne przejścia. Jedno zaczynało się przy kominku i prowadziło wąskimi schodami do schowka na piętrze. Drugie było tylko trochę większym schowkiem, ukrytym za spiżarnią. Trzecie zaczynało się przy klapie do piwnicy i prowadziło parę metrów podziemnym tunelem, zanim nie zakończyło się ślepią ścianą z ziemi.

Chelsea była pewna, że tajne przejścia zbudowano kiedyś celowo. Umierała z ciekawości, jakież to był cel, ale nie miała czasu, żeby się dowiedzieć. Hunter przyspieszył prace nad Boulderbrook, musiała więc do listy spraw do załatwienia dołączyć zakup podstawowych mebli. Jeżeli nie robiła zakupów w Concord czy Manchesterze, wisiła na telefonie, najpierw w gospodzie, a potem, kiedy zainstalowano już linie, w biurze nad Cechem Kołdrzarek. Jej osobiści klienci, którzy zostali w Baltimore, potrzebowali zapewnień, że nie zaniedbuje ich zleceń. Coraz częściej przychodziły odpowiedzi na wysłane przez nią listy i dostawała coraz więcej zapytań od potencjalnych odbiorców granitu. Na domiar wszystkiego, Hunt Omni rzeczywiście został sprzedany i miał być przerobiony na mieszkania, więc każde wolne kilka minut spędzała na projektowaniu.

Chociaż tyle mówiła o tym, że rajzbret powinien być bezpośrednio pod oknem na strychu, nigdy nie udawało się jej rozpocząć projektowania przed zachodem słońca, ale to jej nie przeszkadzało.

Włączała cicho małe radio na stację z muzyką klasyczną, ustawiała lampy, po jednej z każdej strony, żeby nic nie rzucało cienia, przypinała papier i rozpoczynała pracę. W pobliżu miała zawsze termos z herbatą przyniesiony z gospody i mały pled na kolana, który kupiła w Cechu. Wieczory w Norwich Notch były chłodne, więc często robiła użytek i z jednego, i z drugiego.

Pierwszego lipca wróciła na kilka dni do Baltimore, żeby nadrobić trochę pracy dla Harper, Kane, Koo. Carl był na miejscu. Czowała się niezręcznie w jego obecności i po raz pierwszy zaczęła się zastanawiać, czy po tych wszystkich wydarzeniach firma przetrwa.

Kiedy wspomniała o tym Cydrze, ta się zirytowała.

- Nie możecie się zwinąć - protestowała w trakcie biegu.

- Firma odniosła za dużo sukcesów. To twoja zasługa. To twoja firma. Norwich Notch to coś na krótki dystans. - To prawda. Ale jeżeli już w tej chwili między mną i Carlem istnieje takie napięcie, pomyśl tylko, co będzie później. - Nie potrafiła sobie wyobrazić Carla patrzącego w dzień na jej rosnący brzuch, a wieczorami na rosnący brzuch Hailey. Cała sytuacja była absurdalna.

- Kiedy mu powiesz? - zapytała Cydra.

- Nie wiem. Mówię sobie, że powinnam to zrobić. A za chwilę zastanawiam się, czy w ogóle powinnam.

- To jego dziecko.

- Ale on jest mężem Hailey. Jeżeli dowiedzą się, że jestem w ciąży, w ich związku mogą się pojawić problemy i co dobrego może z tego wyniknąć? Nic od niego nie chcę. Mogę sama mieć to dziecko. - Schyliła się i biegnąc pacnęła się w tył nogi.

- A twój tata?

To był dla niej o wiele poważniejszy problem niż Carl.

- To ciągle jeszcze nie zamknięta kwestia. Pojechał na święto do Michigan.

- Musisz mu powiedzieć.

- Chciałam to zrobić Czwartego. - Nadal czuła rozczarowanie, że nie będą razem. Czwarty Lipca zawsze był dniem spędzonym z rodziną i przyjaciółmi. Bardzo to sobie ceniła.

Złapała Cydrę za ramię i nagle obie zatrzymały się na ulicy. - Pojedź tam ze mną, Cydro. Czwarty Lipca w Notch to niczym przygoda. Gwarantuję to. Pojedź ze mną. Chcę, żebyś zobaczyła to miejsce.

- Potarła butem o łydkę z tyłu.

Cydra wyglądała na rozdartą. - Bardzo bym chciała, ale mój brat czeka na mnie na wybrzeżu Jersey. To pierwsze lato od jego separacji z Ginger. Ma ze sobą dzieci. Obiecałam im, że przyjadę.

Chelsea mogła się domyślić, że Cydra ma już jakieś plany, jednak chciała spróbować. Nie sądziła, co prawda, że będzie się nudzić. Chciała brać udział we wszystkich imprezach z okazji święta od początku do końca, ale byłoby miło dzielić je z przyjaciółką.

Znów zaczęły biec. Po kilku minutach Cydra zapytała:

- Podoba ci się tam?

- Chyba tak. Byłam tak bardzo zajęta organizowaniem wszystkiego, że prawie nie miałam czasu na odrobinę relaksu. Mam nadzieję, że w tym tygodniu mi się uda.

- Ludzie są przyjaźni?

- Niektórzy. Inni wyraźnie demonstrują niechęć.

- Czy ci to w jakiś sposób przeszkadza?

- Oczywiście, że tak. Zawsze miałam wokół siebie tylu przyjaciół. Brakuje mi tego. Brakuje mi naszego wspólnego biegania. - Próbowала przekonać Donnę, żeby biegała razem z nią, ale jak dotąd bez rezultatu. Wydawało jej się, że Donna ma ochotę, ale coś ją hamuje.

- A może jednak nie powinnaś się tam przeprowadzać

- powiedziała Cydra. - Teraz, kiedy jesteś w ciąży, powinnaś być z ludźmi, których znasz. Gdyby coś się stało i gdybyś potrzebowała pomocy, w jaki sposób mogłabyś ją uzyskać?

- Dzwoniąc pod 911. Daj spokój, Cydro. Norwich Notch nie leży na końcu świata. - Podrapała się w łydkę. Tym razem Cydra złapała ją za ramię i zatrzymała. - Co to za wysypka? - zapytała, spoglądając na nogi Chelsea. - Jakaś pokrzywka?

- Trujący bluszcz. Przypadkiem weszłam w zarośla. To już końcówka. Powinnaś była to zobaczyć w zeszłym tygodniu.

- I dzięki Bogu, że nie widziałam. - Schyliła się, żeby lepiej przypatrzeć się wysypce, a potem wyprostowała się ze zmartwioną twarzą. - To nie jest dobry znak.

Chelsea wzniosła oczy do nieba.

- Nie rozumiesz, co to znaczy?

- Nic - powiedziała stanowczo Chelsea i znów zaczęła biec.

Cydra dogoniła ją w mgnieniu oka.

- Zrobiłaś już coś w sprawie srebrnego kluczyka?

- Jeszcze nie.

- Na co czekasz?

Chelsea nie była pewna. - Codziennie go wyjmuję i wpatruję się w niego. Przypatruję się twarzom ludzi w całym miasteczku. Nawet czytam nazwiska na nagrobkach, kiedy przechodzę obok kościoła. Ale do tej pory byłam zbyt zajęta, żeby zrobić coś więcej. Kiedy już sprawy się trochę ułożą, zacznę się rozpytywać. - Biegając nie przestawała o tym myśleć. - Chociaż nie wiem, czy się czegoś dowiem. Ci ludzie są dokładną ilustracją słowa „lakoniczny”.

- Nie mówią zbyt wiele?

- Nie mówią wiele. Jestem obca, są więc bardzo ostrożni. Może kiedy wprowadzę się już do własnego domu, wszystko przybierze inny obrót.

Chelsea wprowadziła się do Boulderbrook trzeciego lipca. Sypialnia i łazienka były ukończone. Z kranów płynęła woda, elektryczność działała. Nawet telefon był czynny. Fakt, że kiedy wyszła poza sypialnię, nadal widziała ślady trwającego remontu, był mało ważny

w porównaniu z tym, że mogła się wreszcie wyprowadzić z gospody i zamieszkać we własnym domu. Dom na farmie był inny od jakiegokolwiek mieszkania, które kiedykolwiek zajmowała. Miał w sobie coś intymnego i cały należał do niej. Mimo że był niedokończony, mimo że był tylko przejściowy, uwielbiała go.

Sypialnię urządziła w rdzawych kolorach - ściany, wykładziny, nawet żaluzje. Kupiła wielkie łóżko z jasnego dębu z nowoczesnym podgłówkiem i znalazła prześcieradła i narzutę wykonaną z patchworku, który łączył w sobie taki sam odcień rdzy z kawałeczkami fioletu, butelkowej zieleni i beżu. Na przeciwległej ścianie wisiało lustro, a pod nim stała długa niska komoda. Po obu stronach łóżka były stoliki nocne w takim samym stylu, a na każdym lampa z abażurem w kolorze cynamonu. Obok jednej z lamp, zapalanej teraz i dającej łagodne światło, stało radio z zegarem. Oprócz tego był jeszcze telefon.

Kiedy zadzwonił po raz pierwszy, ucieszyła się. Dzwonek telefonu oznaczał, że świat funkcjonuje bez zaburzeń. Zadowolona z siebie, z domu na farmie i z Norwich Notch, odłożyła ubrania, które układała w komodzie, i podeszła, żeby podnieść słuchawkę.

- Halo? - Zastanawiała się, czy to Kevin dzwoni z wyspy Mackinac. Zostawiła numer na jego automatycznej sekretarce, wiedząc, że będzie sprawdzał nagrane informacje. - Halo? - Z pewnością był to Kevin. Bardzo złe połączenie i to wszystko. - Tato? Słyszysz mnie?

Po minucie, kiedy nie usłyszała ani słowa, odłożyła słuchawkę. Była pewna, że zadzwoni za chwilę, tym razem za pośrednictwem telefonistki.

Czekała, aż telefon znów zacznie dzwonić. Kiedy minęło kilkanaście minut i nadal panowała cisza, znów podeszła do komody. Skończyła rozpakowywać jedną walizkę, potem drugą, potem kilka kartonów, wypełniając szuflady komody i rozwieszając rzeczy w garderobie. Na komodzie rozstawiła ulubione zdjęcia - Kevina i Abby w dniu ich ślubu, swoje jako niemowlaka,

i całej trójki na uroczystości z okazji ukończenia przez nią szkoły średniej oraz zdjęcie trójki Kane'ow, trójki Harperów i jeszcze sześciorga innych bliskich przyjaciół, stłoczonych i śmiejących się z pokładu łódki w zatoce Narragansett.

Patrzyła na fotografię, oddając się wspomnieniom, kiedy znów zadzwonił telefon. W jednej sekundzie przemierzyła pokój. - Halo?

W słuchawce znów panowała cisza.

- Halo?

Zastanawiała się, czy może linia jest uszkodzona. Nacisnęła widełki i wykręciła numer gospody.

Mieszkała tam dostatecznie długo, żeby wiedzieć, że dziś w recepcji będzie Sukie Blake, rozglądająca się za dowolnym sposobem na rozproszenie nudy.

Sukie była chętna do pomocy. Chelsea podała jej numer telefonu i odłożyła słuchawkę, poczekała aż telefon na nowo zacznie dzwonić i odpowiedziała. Usłyszała wyraźnie głos Sukie, co oznaczało, że jeżeli to Kevin dzwonił, to on miał problemy z aparatem.

Chelsea weszła do łazienki i zaczęła układać nowe ręczniki - niektóre rdzawe, inne kremowe, najpierw na wieszakach, potem na półkach. Kiedy telefon znów zadzwonił, tym razem podeszła do niego znacznie wolniej.

- Halo? Milczenie.

Czując zniecierpliwienie, bo tak bardzo chciała opowiedzieć komuś o swoim nowym domu, powiedziała głośnie: - Halo!

Kiedy znów nie usłyszała odpowiedzi, głośno odłożyła słuchawkę. Zastanawiała się, czy to może dzwonił Carl, który bał się odezwać i chciał tylko usłyszeć dźwięk jej głosu. Jeżeli to nie był Carl, to może Hunter, który usiłował ją nastraszyć. Ale nie tak łatwo było ją nastraszyć. Nie wierzyła w duchy.

Dom na farmie był cichy i spokojny.

Skończyła się rozpakowywać, wzięła długą kąpiel w ponadwymiarowej wannie, na którą Hunter tak bar-

dzo narzekał, i weszła do łóżka. Była tam, w otchłani pomiędzy jawą i snem, kiedy telefon znów zadzwonił, więc nie zwróciła nawet uwagi na zakłócenia w słuchawce. Zwyczajnie odłożyła ją, odwróciła się i zasnęła.

Dopiero następnego ranka zidentyfikowała zakłócenia jako odległy gwar dziecięcych głosów.

ROZDZIAŁ 11

Judd nie był na śniadaniu w kościele, gdyż chciał zjeść śniadanie w domu z ojcem. Leo Streeter mógł nie zdawać sobie sprawy, że on tam jest, ale Judd wiedział, i to było dla niego ważne.

Nie zawsze tak było. Kiedy wrócił z Pittsburgha, robił co mógł, by sprawić Leo przyjemność.

Wydobywając z pamięci wszystko, co jego ojciec lubił, wyciskał świeży sok z pomarańczy, smażył steki aż były niemal zwęglone, przycinał żywopłot na skos i zostawiał drzwi sypialni szeroko otwarte. Był pewien, że rutyna tych wszystkich czynności w jakiś sposób wzmocni więzy Leo z rzeczywistością.

Tak się nie stało. Kiedy mijały najpierw miesiące, a potem lata, świat Leo w jakiś sposób kurczył się coraz bardziej i teraz obejmował tylko najkrótsze przestrzenie czasowe. Wątpliwe, czy zdawał sobie sprawę, że sok z pomarańczy był świeży, a nawet że to w ogóle był sok pomarańczowy. Zapominał już, że lubił steki mocno spieczone, żywopłoty przycięte na skos i szeroko otwarte drzwi do sypialni. Często zapominał nawet, że ma syna i patrzył na Judda zupełnie go nie rozpoznając.

Te chwile były najgorsze. Przez lata Judd przeszedł od fazy zaprzeczania istnienia choroby, poprzez fazę walki

z nią, do żalu nad sobą i wreszcie nienawiści do choroby, ale największy ból przeżywał, kiedy kucał przy krześle ojca i musiał mu tłumaczyć, kim jest.

Wreszcie, po wizytach z Leo u wielu lekarzy w poszukiwaniu kuracji, która jeszcze nie istniała, pogodził się z faktami. Przerobił stary dom, żeby stworzyć bezpieczne otoczenie dla sześćdziesięcioletniego mężczyzny z umysłem dziecka. Zatrudniał miejscowe kobiety, żeby były przy nim, kiedy on nie mógł. Kupił wygodne meble ogrodowe, które ustawił na ganku, żeby Leo mógł siedzieć na powietrzu, na podwórku ustawił ławki i zainstalował antenę satelitarną, żeby Leo mógł oglądać mecze, kiedy grali Red Sox.

Leo był zagorzałym kibicem Red Sox. Jednym z ważniejszych wspomnień Judda z dzieciństwa były popołudnia, które razem z Leo spędzali przy radiu. Po jakimś czasie radio zastąpił telewizor. Teraz, kiedy Sports Channel transmitował wszystkie mecze, Judd był pewien, że Leo będzie przyklejony do ekranu. Lecz Leo siedział przed ekranem z obojętną miną, często zapadając w drzemkę, a przy sygnale oznaczającym przerwę meczu, podrywał się, żeby otworzyć drzwi. Nie znał już graczy, nie wiedział co to za drużyna, nie pamiętał o co chodzi w tej grze. Kiedy Judd reagował na przebieg gry, Leo wydawał się przestraszony i choć zawsze odpowiadał twierdząco, kiedy Judd pytał, czy podoba mu się mecz, nigdy nie był do końca tego pewny. W momencie, kiedy wyłączał telewizor, Leo natychmiast zapominał o meczu.

Jednak kiedy grano kolejny mecz, Judd znów włączał telewizor. To także był rytuał, uświadomił sobie - rytuał ważniejszy dla niego niż dla Leo. Długo po tym, kiedy zdał sobie sprawę, że nie ma to żadnego znaczenia, nadal wyciskał świeży sok z pomarańczy, przycinał żywopłot na skos i bardzo mocno przysmażał steki. Robił to, bo tego potrzebował, jako wyrazu miłości dla człowieka, który tak ciężko pracował, żeby umożliwić synowi osiągnięcie lepszej pozycji.

Czy Judd naprawdę osiągnął lepszą pozycję? Zadał sobie to pytanie, kiedy szedł ulicą w kierunku centrum z Buckiem przy nodze.

Czy osiągnął lepszą pozycję? Chyba tak. Czyż nie miał na sobie nowej sportowej koszulki i szortów? Czyż nie miał na sobie nowych adidasów? Jeżeli miarą człowieka był jego sposób ubierania się, to niewątpliwie osiągnął lepszą pozycję.

Dorastał w Norwich Notch jako syn murarza pracującego w kamieniu i znał tylko dwa rodzaje odzieży. Były ubrania robocze, które były trwałe, praktyczne i rzadko czyste, i niedzielne ubrania, noszone do kościoła, które były trwałe, praktyczne i zawsze czyste. Kiedy widać było najmniejsze oznaki, że Judd wyrasta z ubrań niedzielnych, stawały się one ubraniami roboczymi, a to znaczyło, że zawsze miał na sobie coś zbyt ciasnego. Dlatego, bardziej z wygody niż z próżności, Judd ucieszył się, kiedy wreszcie przestał rosnać.

Jednak jego wzrost miał pewną zaletę. Dawał mu przewagę przy grze w koszykówkę, a gra w koszykówkę stała się jego biletem na studia. Ze stypendium, które pokrywało chesne, i z żalonymi oszczędnościami Leo na wypadek nagłej konieczności, Judd zapisał się do Stanowego Uniwersytetu w Pensylwanii. Kiedy już tam był, odkrył jak bardzo był źle wyposażony, i to pod wieloma względami, z których garderoba wcale nie była najmniej ważnym. Pracował jako kucharz w miejscowym barze serwującym kanapki, żeby zarobić trochę dodatkowych pieniędzy, a za nie kupił marynarkę i spodnie, które mógł wkładać na oficjalne wyjścia i zebrania towarzyskie, płaszcz do noszenia na uczelni w zimie i koszule, żeby wkładać je do džinsów na wykłady. Potem było jeszcze wiele innych marynarek i spodni, lepszych koszul i krawatów, kiedy rozpoczął pracę w Pittsburghu. Po kilku latach tam spędzonych kupił nawet smoking.

Teraz smoking, nie używany, wisiał w szafie. Podobnie jak marynarki, spodnie i krawaty. Norwich Notch nie

było miejscem, gdzie mężczyzna miał potrzebę wkładania tego typu odzieży.

Więc osiągnął lepszą pozycję, czy nie?

Nadal rozważał tę kwestię, kiedy przed oczami pojawił mu się miejski skwer. Wyglądał tak samo jak każdego Czwartego Lipca, odkąd był dzieckiem, takie same wiązki czerwonych, białych i niebieskich balonów przywiązane do palików płotów, takie same chorągiewki zdobiące podium dla orkiestry, takie same amerykańskie flagi, powiewające na słupach ustawionych co dziesięć metrów wokół całego skweru. Takie same tłumy przelewające się przez skwer, trzymające się oddzielnie rodziny miejscowych notabli i inteligencji, rodziny rzemieślnicze i robotnicy z kamieniołomów. Timothy McKeague, ubrany w tradycyjny szkocki strój wygrywał *Yankee Doodle Dandy* na swojej kobzie. Niektóre rzeczy nigdy się nie zmieniały.

A czy Judd się zmienił? Mieszkał w tym samym miejscu, gdzie mieszkał jako dziecko, i pracował dla tej samej firmy. Oczywiście, zmodernizował dom, był drugim człowiekiem w firmie, podległym tylko właścicielowi. Oczywiście, jego umiejętności i dryg do programowania przyniosły mu dodatkowe pieniądze ulokowane na koncie bankowym. Ale, do diabła, konto było w banku Jamiesona, tak jak zawsze tu było od lat. Czasami obawiał się, że tak już zostanie do końca jego życia.

Chciał dla siebie czegoś lepszego niż to, co miał Leo. Chciał czegoś innego. Mimo wszystko był tutaj, wystrojony okazji Czwartego Lipca, tak jak wszyscy mieszkańcy Notch, oczekując na początek parady.

Z przyzwyczajenia skierował się w stronę piekarni. Razem z ojcem zawsze obserwowali paradę, stojąc na chodniku w cieniu brzoź. Tak samo jak Stebbensowie, Ridgethornowie, Hewittowie i Frickowie. Były też rodziny, które zawsze siadały przy poczcie lub przed Stowarzyszeniem Historycznym, czy przed bankiem.

Tradycja nie poddawała się nawet w tak niewinnych drobiazgach, jak miejsce skąd obserwowano paradę.

Farrowie, Jamiesonowie i Plumowie, których domy stały w rzędzie równolegle do krótszego boku skweru, zawsze obserwowali obchody ze swoich zacienionych frontowych trawników. Ci, którzy nie brali udziału w paradzie, już tam byli - kobiety ze starszego pokolenia, grupa rówieśników Judda różnej płci i gromada wnuków w różnym wieku, z których część grzecznie siedziała na krzesłach ogrodowych, a część biegała po trawnikach. Małżeństwa w dużym stopniu zniosły ostre linie podziału pomiędzy trzema rodzinami, co znajdowało odbicie w tym, jak dość przypadkowo się pogrupowali. Rodzeństwo Farrów mieszało się ze szwagrami Plumów, którzy z kolei stali obok siostrzenic, bratanków i kuzynów Jamiesonów.

Była tylko jedna dwójka, która przez cały czas trzymała się razem, matka i córka, Margaret Plum i Donna Farr.

Oliver, mąż Margaret, brał udział w paradzie, a mąż Donny, Matthew, stał na drugim końcu grupy obok brata i szwagierki.

Judd nie lubił Matthew. Znał Donnę od czasów szkoły podstawowej i pamiętał, kiedy straciła słuch. Jego zdaniem ten powód był wystarczający, żeby skojarzyć ją z kimś łagodniejszym i bardziej wyrozumiałym. Zdziwiło go, że Oliver mógł być ślepy do tego stopnia, żeby popychać tych dwoje ku sobie, ale z drugiej strony Oliver nie znał współczucia, gdy chodziło o jego córki. Chciał synów. Skoro to mu się nie udało, zawział się, żeby wydać jedną ze swoich córek za Jamiesona albo Farra. Nazwisko znaczyło dla niego równie wiele co tradycja.

Poczuł nagle pokusę, żeby obu rodzinom zagrać na nosie, lecz zamiast tego kiwał głową, witając znajomych usadowionych pod brzożami koło piekarni. Buck podbiegał do nich i witał się z każdym, obwąchując go, polityk na czterech łapach z ogonem - natomiast Judd minął swoje zwykłe miejsce i poszedł dalej. Przeszedł przez skwer, wspiął się na stopnie biblioteki i oparł się o balustradę tarasu. Oceniał, że widok stąd był lepszy. Potrzebował zmiany.

Parada rozpoczynała się dźwiękiem trąbek i bębnow, który sygnalizował tradycyjny przemarsz szkolnej orkiestry. Za nią, również tradycyjnie, pojawili się trzej radni Norwich Notch, oparci na wysokich poduszkach na tylnym siedzeniu oldsa z odkrytym dachem z 1961 roku, własności Emery'ego Farra. Radni machali. Mieszkańcy wydawali okrzyki i również machali.

Ze swojego nowego punktu obserwacyjnego Judd patrzył na mieszkańców miasteczka świeżym okiem. Wielu z nich znał przez całe życie. Niektórzy przetrwali mijające lata lepiej niż inni, zarówno jeżeli chodzi o stan fizyczny, jak i majątkowy, ale nikt nie robił wrażenia zaniedbanego. Wszyscy byli świeżo wyszorowani, mimo że z upływem dnia to miało się trochę zmienić. Była dopiero dziewiąta rano. W południe, kiedy słońce będzie wysoko i mocno przygrzeje, koszule zostaną wypuszczone na wierzch spodni, buty zdjęte, pojawią się plamy po musztardzie, wąsy po soku winogronowym i piegi na nosie.

Przypuszczał, że jest w tym coś czarującego. Coś zdrowego moralnie. Coś normalnego. Jakaś konsekwencja i ciągłość.

Było też coś ograniczającego. Coś, co powodowało, że od czasu do czasu miał ochotę odchylić głowę do tyłu i wrzeszczeć z głębokiej frustracji. „Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy czekają” - mawiał zawsze Leo, ale Judd nigdy nie był pewien, czy powinien mu wierzyć. Jego życie utknęło w martwym punkcie. Chciał, żeby coś się znowu zaczęło dziać. Chciał wiedzieć, że za dwadzieścia lat nie będzie znów stał w tym samym miejscu, patrzył na tę samą paradę i zastanawiał się, czy na tym polega życie.

Nie wszystko w Notch utknęło w martwym punkcie. Od ostatniego Czwartego Lipca niemowlęta nauczyły się chodzić, małe dzieci stały się przedszkolakami, a niektóre przedszkolaki poszły do szkoły. Niektórzy ze starszych uczniów weszli do wyróżniającego się zespołu Małej Ligi, który właśnie w tej chwili maszerował z szerokimi uśmie-

chami na twarzy, wielkimi kawałami gumy do żucia w ustach i zadzierzystymi spojrzeniami. Judd, kiedy był w ich wieku, też był taki zadzierzysty. Był członkiem zwycięskiego zespołu Małej Ligi. Pewnego razu właśnie on jednym uderzeniem kija zdobył punkt, który wprowadził tamtego roku drużynę do rozgrywek finałowych. Leo wpadł w ekstazę. Wówczas był potężnie zbudowany i silny. Podniósł Judda i posadził sobie na ramionach, a potem paradował z nim po boisku, otoczony przez wiwatujących kolegów z drużyny.

To były piękne czasy, kiedy punkt zdobyty jednym uderzeniem kija baseballowego oznaczał szczęście. Tak bardzo pragnął, żeby wszystko teraz było znów takie proste.

Zagwizdał głośno na Bucka, który przeszkadzał, biegając pomiędzy udekorowanymi rowerami i wózkami dla lalek, w tej chwili prowadzonymi w stronę szkoły, gdzie Czekająca komisja, która miała je oceniać. Niektóre z nich, pomysłowe i znakomicie wykonane, wyraźnie były bardziej dziełem rodziców niż dzieci, ale Judd nie miał im tego za złe. W miasteczkach takich jak Norwich Notch przy braku wielu rozrywek wszelkie konkursy były wielkim wydarzeniem. Istniały przecież matki, które żyły od jednego kostiumu na święto Halloween do drugiego.

On sam nie miał żadnych osobistych doświadczeń w tym zakresie. Jego matka odeszła, kiedy miał cztery lata. To Leo kilka razy przebierał go na Halloween i choć włożył w to dużo serca, kostiumy nie były szczególnie udane. Już w wieku ośmiu lat Judd odkrył, że w Halloween "można robić i inne rzeczy.

Buck podbiegł do niego na taras biblioteki dokładnie na czas, żeby móc zobaczyć uczestniczki konkursu piękności Miss Norwich Notch, siedzące na wozie strażackim, śliczne jak zwykle. Wyglądały jednak młodziej niż zwykle, chociaż Judd uznał, że to wynika z faktu, iż to jemu przybywało lat.

Wygra córka Juniora Jamiesona. Zawsze wygrywała któraś z Jamiesonówien. Nawet teraz cała rodzin klaskała, kiedy wóz przetoczył się obok nich.

W tym momencie w oczy rzuciła mu się plama koloru, daleko, po przeciwnej stronie skweru. Chelsea Kane, ubrana na czerwono, opierała się o poręcz na ganku gospody. Trzymała w ręku słomiany kapelusz, bardzo podobny do tych, jakie sprzedawano u Farra. W jej ręku wyglądał znakomicie, podkreślając styl jej stroju.

Judd zastanawiał się, dlaczego nie obserwowwała uroczystości wśród Farrów, Jamiesonów i Plumów.

Według wszelkich kryteriów była jednym z VIP-ów miasteczka. Była jednak sama.

Zastanawiał się, co myśli o paradzie. Janinę uznałaby ją za infantylną i kiczowatą. Nie patrzyłaby na nią dłużej niż przez chwilę. Ale Chelsea nie sprawiała wrażenia osoby, która chce za chwilę odejść.

Obejmowała ręką podpore, jakby był to jej najdroższy przyjaciel. Być może był. Powiedziała mu, że ostatnio poniosła osobiste straty. Judd zastanawiał się nad nimi. Usiłował zobaczyć wyraz jej twarzy, ale stała zbyt daleko. Widział tylko, że jest sama i że jest piękną kobietą. Janinę też była piękna, ale u niej było to wypracowane. Chelsea była piękna jakby od niechcienia, w ogóle nie zwracając na to uwagi, co czyniło ją tym bardziej pociągającą.

Biedna Sara. Kilka dni temu dzwoniła z Adams Fali, żeby zapytać, dlaczego tak długo go nie było.

Tłumaczył się nawałem pracy, ale prawdą było, że odkąd zobaczył Chelsea Kane, myśl o słodkiej Sarze pozostawiała go zimnym.

Myśl o Chelsea Kane szybko wywoływała w nim podniecenie. Nieważne, jak często mówił sobie, że ona mogła przynieść tylko same kłopoty; wystarczyło, że wyobraził sobie jak ją dotyka, a krew zaczynała mu wrzeć w żyłach. Nie byłoby tak źle, gdyby ona pozostała chłodna. Ale i ona czuła coś podobnego. Widział to w jej oczach, słyszał w jej głosie, w drobnym zatrzymaniu

oddechu, kiedy byli razem. Między nimi niewątpliwie istniało fizyczne zauroczenie.

Popatrzyła na niego ze swojego miejsca na ganku i serce zaczęło mu walić. O tak, z pewnością zauważyła go i podobnie jak on nie odwracała wzroku. Nieważne, że zespół tańca z Norwich Notch ruszył w wesołe pląsy na platformie przyczepy, ani że grupa chłopców-skautów przepychała się z grupą dziewcząt-skautów o to, kto ma stać na przodzie, albo Że rolnik o nazwisku Galante robił z siebie widowisko goniąc przestraszone stado owiec po ulicy. Chelsea była o wiele bardziej interesującym widokiem do podziwiania.

To jej pieniądze pozwoliły mu w końcu rozwinąć Plum Granite, jednak podejrzewał, że ona ostatecznie spowoduje upadek tej firmy.

Donna wręczyła jeszcze jedno pudełko z lunchem, wydała resztę z kolejnego banknotu pięciodolarowego i żałowała, że kiedykolwiek zaoferowała Margaret swoją pomoc. Żałowała tego co roku, jednak co roku jej pomagała. Czwarty Lipca nie byłby Czwartym Lipca bez pikniku i sprzedawania lunchu w pudełkach na terenie szkoły, a Margaret, która go corocznie organizowała, potrzebowała jej pomocy.

Nie mogła już uskarżać się na usytuowanie. Dawniej sprzedawała lunch na parkingu, często pod prążącymi promieniami słońca. Potem Komitet Upiększenia Norwich Notch podjął się uprzątnięcia cienistej łąki za szkołą. Usunięto pnie martwych drzew i przycięto gałęzie żywych, z polnych kwiatów utworzono rabatki na brzegach łąki, żeby pozostawić jak najwięcej otwartej przestrzeni. Zrobiono tam małe boisko z trybunami dla hord rodziców, którzy przychodzili popatrzeć na mecze i było jeszcze Małe Miasteczko, plac zabaw cały wykonany z drewna - z wieżami, tunelami, mostami i innymi urządzeniami do wspinania się i czołgania. Nawet w tej chwili roilo się tam od dzieci.

Donna uśmiechnęła się do kilku znajomych, podała im pudełka z lunchem i wzięła od nich pieniądze. Margaret obok niej robiła to samo, podobnie jak jeszcze cztery inne panie stojące w rzędzie. Wszystkie były przyjaciółkami Margaret i członkiniami Stowarzyszenia Historycznego w Norwich Notch, które stanowiło kolejną pasję jej matki. Stowarzyszenie Historyczne, Cech Kołodrzarek, kościół - Donna często zastanawiała się, skąd Margaret czerpie energię i czas, żeby to wszystko robić. Przed laty nie robiła niczego innego, tylko siedziała w domu i rozpamiętywała. Z wiekiem stawała się coraz bardziej ruchliwa.

Oczywiście, nie pracowała tak jak Donna i nie miała już w domu dzieci. Donna podejrzewała, że jej działalność była głównie ucieczką od Olivera. Coraz bardziej się starzał, robił powolniejszy i przekazywał coraz więcej codziennych obowiązków związanych z prowadzeniem Plum Granite Juddowi. Kiedy Chelsea przejęła swoją część, Oliverowi pozostało jeszcze mniej do roboty. Im więcej czasu spędzał w domu, tym częściej Margaret wychodziła.

To smutne, pomyślała Donna. Pomimo nazwiska, pozycji i władzy, był starym, samotnym człowiekiem.

Nie mogła jednak winić Margaret. Oliver traktował ją uprzejmie, czasem nawet w aksamitnych rękawiczkach, ale przez lata jego ostry język ranił ją nieraz boleśnie. Margaret nagromadziła w sobie tyle złości, że wystarczy jej, by przeżyć.

Donna zastanawiała się, czy i ona tak skończy. Mieli z Matthew tak mało wspólnego. Jeżeli nawet kiedyś między nimi była miłość, to dawno już przeminęła. Ale w rodzinach ojców miasta rozwód był czymś niedopuszczalnym. No i jeszcze był Joshie.

Zobaczyła właśnie jego blond głowę, jak się zbliżał. Za nim ciągnęła trójka przyjaciół, a wśród nich Amy Summers. Jej ojciec, Neil, był miejscowym lekarzem. Donna kilka razy miała u niego wizytę. Był miły i rozsądny. Był też rozwiedziony, co oznaczało, że Amy spędzała więk-

szą część roku z matką w Waszyngtonie i w wieku dwunastu lat miała w sobie dojrzałość, której brakowało dzieciom z Norwich Notch. Z jednej strony Donna trochę się niepokoiła z tego powodu. Joshie był jej małym synkiem i nie chciała, żeby dorastał. Z drugiej strony chciała, żeby poznał więcej świata niż ona sama. Amy była tego dobrym początkiem. Wyraźnie Joshie też tak sądził, sądząc po rumieńcach na policzkach i buńczucznym kroku.

- Hej, mamó - zamigał - czy możemy dostać lunch?

Wyciągnęła dłoń i czekała ze znaczącym uśmiechem na twarzy. Joshie miał pieniądze, wsunęła mu dziś rano. Przestrzegała zasady, że sam rządził swoim kieszonkowym i nie dostawał ani grosza więcej. Połowa ceny każdego lunchu była przeznaczona na letnie koncerty na skwerze, a Donna nie miała nic przeciwko temu, żeby jej syn tak wydawał swoje pieniądze.

Zaczął wydawać błagalne dźwięki w imieniu swoich przyjaciół, ale w ciągu kilku minut cała czwórka zebrała wystarczającą ilość gotówki, a Donna nie miała poczucia winy. Wszystkie dzieci pochodziły z zamożnych domów. Wśród kupujących lunch zdarzały się dzieci, które nie miały tyle szczęścia. Parę razy wydawała więcej reszty niż powinna, wciskając złożone banknoty do kieszeni dziecka, kiedy nikt nie patrzył.

Miała prawo to robić. Było to przestępstwo, za które Nolan nigdy by jej nie upomniał. Ukradkiem rzuciła mu spojrzenie. Od pół godziny stał kilkanaście metrów od niej, opierając się o kosz na śmieci. Jak zwykle był na służbie i jak zwykle wyglądał korzystnie, pomyślała. Żałowała, że nie ma na sobie szortów, jak większość mężczyzn. Miał ładne nogi.

Kiedy puścił do niej oko, zaczerwieniła się i poświęciła całą uwagę spóźnialskiej rodzinie, która właśnie pojawiła się przy stole. Zajęła się nimi, a potem znów napotkała wzrok Nolana. Nie ruszył się i mimo że dokonywał przeglądu sytuacji na łące dostatecznie często, żeby nikt nie mógł mu zarzucić lekceważenia obowiązków, przez

większość czasu wpatrywał się w nią. Nie przeszkadzało jej to. Matthew nie było w pobliżu. Miło było wiedzieć, że komuś na niej zależy.

Pokazała na niego i wyciągnęła rękę z jednym z ostatnich pozostałych lunchów, ale potrząsnął głową.

- Później - powiedział i dodał po cichu: - Ślicznie wyglądasz.

- Dziękuję - powiedziała bezgłośnie.

- Podoba mi się twoja fryzura.

Zebrała włosy za uchem, w bardzo podobny sposób, jak Chelsea pierwszego dnia tutaj. Matthew rzucił jej spojrzenie, kiedy przechodził przez kuchnię i kazał upiąć włosy, bo inaczej jeszcze bardziej się skręca i będzie jej za gorąco. Poszła do góry i wzięła do ręki szczotkę, ale kiedy obejrzała się w lustrze, nie ruszyła ani włosa, nie wiedziała, czy dlatego, że była zadowolona z tego, co zobaczyła, czy ze złości na Matthew. Teraz była zadowolona. Nawet jeżeli było więcej loków i trochę bardziej gorąco, uznanie Nolana wynagradzało jej każdy dodatkowy stopień ciepła.

Omijając wzrokiem Donnę, Nolan skłonił głowę w kierunku Margaret. - Świetną pracę panie tu wykonały, pani Plum. Wygląda na to, że wszyscy się najedli. Czy mogłaby pani na chwilę zwolnić Donnę? Na chwilę potrzebna mi będzie jej pomoc.

Donna spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Dotykając lekko jej łokcia, zaczął nią kierować tak, żeby odeszła od stołu, jednak na chwilę się zatrzymał, sięgnął do kieszeni po pieniądze i położył na stole równowartość lunchu. Znów ujął ją za łokieć i przeprowadził przez łąkę, na drugą stronę boiska. Tam, pod drzewem, w miejscu gdzie Donna niczego by nie zauważyła, siedziała Chelsea. Mimo czerwonego stroju, który się strasznie Donnie spodobał, wyglądała na zamyśloną, nawet smutną, kiedy patrzyła na grające dzieci.

Kiedy podeszli, przestraszyła się, jak gdyby myślami była o mile stąd, ale bardzo szybko się do nich uśmiechnęła.

Nolan rozłożył lunch przed nią na ziemi. - Jeszcze nic nie jadłaś - skarcił Donnę, wskazując na nią podbródkiem. - Zresztą ona też nie. Wziąłbym dwa pudełka, ale ludzie mogliby pomyśleć, że to dla Donny i dla mnie. Jeżeli tego typu pogłoski raz zaczną krążyć, mogą wręcz zabić. - Z przemiłym wyrazem twarzy zwrócił się do Donny: - Zasłużyłaś sobie na przerwę. Jedz, proszę.

Donna nie wiedziała, czy ma być rozczarowana, że Nolan nie je razem z nią, czy ucieszona, że przyprowadził ją do Chelsea. Chelsea nie wiedziała tego, co Donna wiedziała już od jakiegoś czasu - że Nolan jest kimś szczególnym.

Odpowiadając na jego pytanie, wzrokiem poszukała Chelsea, która sprawnie odsunęła w bok słomkowy kapelusz i powiedziała: - Proszę. Ogromnie się cieszę z waszego towarzystwa. - Wydawało się, że mówi całkowicie szczerze.

- Dziękuję - mignęła Donna do Nolana.

- Bardzo proszę - odpowiedział również językiem migowym, a potem zwrócił się do Chelsea: - Zostawię was tutaj, żebyście ucięły sobie pogawędkę. - Zasalutował jej, lekko dotknął pleców Donny i zostawił je.

- Jaki miły człowiek - powiedziała Chelsea, klepiąc ziemię obok siebie. Poczekała, aż Donna się usadowi twarzą do niej, i powiedziała: - Bardzo podoba mi się twoja fryzura. Powinnaś taką nosić przez cały czas. Wyglądasz w niej o wiele młodziej.

- Dziękuję - mignęła Donna.

- Proszę bardzo - odpowiedziała na migi Chelsea, wyglądając na tak bardzo zadowoloną z siebie, że Donna wzniosła oczy do nieba.

- Będę umiała więcej, jeżeli mnie więcej nauczysz - droczyła się z nią Chelsea. - Sama przyznaj. Bardzo szybko się uczę.

- Przyznaję - mignęła Donna, kiwając przy tym głową, żeby Chelsea zrozumiała znaczenie znaku. Za każdym razem, kiedy rozmawiały, Chelsea pytała o nowe

znaki i choć daleko jej było do biegłości, sam fakt, że próbowała, znaczył dla Donny nieskończenie wiele.

Mignęła znak lunchu i wskazała palcem pudełko. Otworzyła je, odwinęła kanapkę ze środka i dała pół Chelsea. - Sałatka z kurczaka - mignęła i potem przeliterate-rowała alfabetem migowym. - W porządku? - W porządku - mignęła Chelsea, ale zaledwie skubnęła swoją kanapkę.

Donna zastanawiała się, czy u niej jest wszystko w porządku. W czerwonym stroju wyglądała radośnie, ale kiedy siedziała tu sama, jej twarz nie była ani trochę radosna.

- Nie wygląda na to, żeby udzielił ci się nastrój uroczystości - zamigała Donna zatroskana, nie myśląc o tym, że to może okazać się za trudne dla Chelsea. - Czy coś nie w porządku?

- Zgubiłam się - powiedziała Chelsea z uśmiechem.

- Powiedz to na głos.

Donna poczuła znajomą frustrację. Nienawidziła swojego głosu. Był płaski, bardzo nosowy i albo zbyt głośny, albo zbyt cichy. Wykonała gest oznaczający zgrzytanie tuż obok ucha. /

- Wcale nie brzmi okropnie - zaprotestowała Chelsea.

- Jestem w stanie zrozumieć każde słowo, które mówisz. Donna dotknęła policzków i zrobiła minę.

- Nie ma najmniejszego powodu, żebyś się czuła zakłopotana. Nie ze mną. Dalej, Donna. Powiedz mi, o czym myślałaś.

Donna poddała się, w równym stopniu dlatego, że chciała uwierzyć w słowa Chelsea, jak i dlatego, że była zatroskana.

- Myślałam o tym, że kiedy tu się zjawiłam, wyglądałaś na bardzo smutną. Zastanawiałam się dlaczego.

Chelsea robiła wrażenie zakłopotanej. Po chwili powiedziała: - Przypuszczam, że to dlatego, że czuję się bardzo samotna. Czasami im więcej ludzi jest naokoło, tym bardziej to odczuwam. - Oparła tył głowy o drzewo.

- To rezultat wolnego czasu. Za lenistwo człowiek płaci

litowaniem się nad sobą. - Wskazała na dużą grupę stojącą w pobliżu. - Chciałabym być członkiem takiej wielkiej rodziny jak ta, która tam stoi.

Donna potrząsnęła głową. - Nie, nie chciałabyś. To Stokey French. On ma trzy żony.

Chelsea roześmiała się. - Nie może mieć trzech żon. Pewnie masz na myśli kochanki.

- Kochanki, które z nim mieszkają - mignęła Donna, wiedząc, że Chelsea zrozumie.

- Trzy? Naprawdę? A ile ma dzieci? Donna podniosła dziewięć palców.

- No, no. Płodny gość. I wszystkie te trzy kobiety z nim mieszkają? Co to jest, rodzaj komuny?

- Bardziej jaskinia rozpusty - powiedziała Donna i Chelsea znów się roześmiała, spoglądając na grupę.

- On przypomina pawia, kiedy tak dumnie kroczy w kółko. Widziałam go w kamieniołomach. Kiedy teraz się nad tym zastanowię, próbował mnie poderwać pierwszego razu, kiedy tam byłam, tylko wtedy zupełnie nie przypuszczałam, że to może być próba podrywania mnie. Ale z niego uwodziciel, prawda?

Donna wzniosła oczy do nieba.

- W jaki sposób udaje mu się mieszkać z trzema kochankami naraz w tak konserwatywnym miejscu jak Notch?

- On mieszka w Corner. Tam sprawy mają się inaczej.

- Masz na myśli normy? - zapytała Chelsea i potem nagle zerknęła w górę i powiedziała: - Dzień dobry, Margaret.

Donna nie zdziwiła się, że widzi swoją matkę. Czasami Margaret zachowywała się niczym cień. Tym razem niosła dwa lunchy i przez chwilę Donna zastanawiała się, czy przyszła tu jako przyzwoitka dla niej i Nolana. Chociaż nie wydawała się zaskoczona widokiem Chelsea.

- Czy mogę się do was przyśiąść? - zapytała.

- Oczywiście - powiedziała Chelsea prostując się. - Właśnie rozmawialiśmy o Stokeyu Frenchu.

Gdyby to zależało od niej, Donna nigdy nie poruszyłaby tego tematu przy matce. Margaret miała jednoznaczną opinię na temat niektórych spraw i mimo że czasami miała pewne trudności z doбором słów, potrafiła być niezmiernie ekspresyjna.

- Obłeśny człowiek - powiedziała, siadając na ziemi. Położyła jedno z pudełek tuż obok rozpoczętego lunchu i otworzyła je. - To nieprzyzwoite. To, jak on żyje, jak oni wszyscy żyją w tamtym domu. -

Odwinęła kanapkę, podniosła górną kromkę i dokładnie obejrzała nadzienie.

- Nie zawsze tak było.

- A jak było przedtem? - zapytała Chelsea.

- Bezpieczniej. Wszyscy byli posłuszni. Przestrzegali naszych zasad i w kamieniołomie, i w domu. Mężczyzna żył z kobietą, która mu urodziła dzieci. Jeżeli urodziła dziecko kogoś innego, była surowo karana.

- Karana? - zapytała Chelsea, marszcząc brwi. Margaret odłożyła górną kromkę na miejsce, odwróciła kanapkę i tym razem zdjęła dolną kromkę.

- Wydalona. Skazana na wygnanie. Wywieziona z miasta.

- Ależ to okropne - powiedziała Chelsea, Donna wstrzymała oddech, ale Margaret pozostała spokojna.

- Chociaż ostatni raz to było całkiem ludzkie - powiedziała Margaret, odkładając na miejsce dolną kromkę. - Zamiast odesłać ją bez grosza, pozwolono jej tu zostać.

- Ale jej życie musiało być od tej pory żalosne.

- Tak, ale służyła za przykład dla innych, żeby wiedziały, czego nie należy robić.

Chelsea wyglądała na wstrząśniętą. Odwróciła się do Donny i spytała: - Czy to rzeczywiście miało miejsce? Donna zawahała się, a potem przytaknęła.

- Pamiętasz to?

Donna przez chwilę zastanawiała się, w jaki sposób zmienić temat, kiedy Margaret powiedziała: - Kiedy to się wydarzyło, Donna była bardzo młoda. Ta kobieta była żoną jednego z naszych ludzi. Dwanaście miesięcy

po tym, jak ją opuścił, urodziła syna z nieprawego łoża. Znasz go. To Hunter Love.

Donna poczuła, jak żołądek jej się zaciska.

Chelsea ze zdziwienia opadła szczęką. - Hunter? To nieprawdopodobne.

- To była zwykła ulicznica - powiedziała Margaret.

- Jego matka?

- W końcu, będąc sama, oszalała.

- Zanim go urodziła?

- Zrobiła coś, czego nie powinna była robić, i zapłaciła za to cenę. A potem chłopiec ją zabił.

Donna w myślach omal nie umarła.

- Zabił ją? Hunter? - zapytała Chelsea.

- Uderzył ją w głowę

Donna ugryzła się w język, żeby nie zacząć krzyczeć. Chelsea wyglądała na wstrząśniętą. - Ile miał wtedy lat?

- Pięć. I tyle samo trzymała go schowanego w tej swojej starej szopie. Chciał uciec i uderzył ją w głowę polanem, a potem wyszedł. Znaleźli go na drodze. Nie chciał rozmawiać.

Miał dopiero pięć lat, chciało się krzyczeć Donnie, nie tak dawno wyrósł z niemowlęstwa. Przez całe życie był zamknięty. Na pewno wywołało to jakieś zaburzenia. Ale nie powiedziała ani słowa. Nigdy nie rozmawiała o Hunterze. Dostała już w życiu ogromną nauczkę.

Z pudełka na lunch wyjęła małą słomkę z solą i skoncentrowała się na tym, żeby przypadkiem nie zrozumieć, o czym one rozmawiają. To był jedyny pożytek z głuchoty, mogła zablokować dopływ informacji, po prostu patrząc w inną stronę. Ale ta sytuacja była dla niej zbyt trudna. Chciała wiedzieć, co Margaret powie Chelsea o Hunterze, aby móc to sprostować.

Chelsea wyglądała tak, jakby miała trudności z uwierzeniem w historię Margaret. Już tylko za to Donna ją uwielbiała.

- Ona zmarła na skutek uderzenia w głowę - powiedziała Margaret - a tylko on z nią przebywał.
- Mogła upaść - argumentowała Chelsea.
- Została uderzona.
- Czy zostało to kiedykolwiek udowodnione?
- Nie w sądzie.
- Czy kiedykolwiek coś mu zrobili?
- On wtedy był tylko dzieckiem. Co mogli mu zrobić?
- Gdyby uznali, że jest niebezpieczny, mógł zostać skierowany do ośrodka zamkniętego.

Margaret wyprostowała się. Oszczędnymi ruchami ułożyła kanapkę w papierze, odłożyła z powrotem do pudełka i zamknęła tekturową pokrywę. - Nie zrobili tego, bo mój mąż powiedział, że nie można winić chłopca za całe zło, jakie spowodowała jego matka. Mój mąż dopilnował, że został umieszczony u rodziny w Corner i że opiekowano się nim do chwili, gdy dorósł i sam mógł zacząć zarabiać na życie. A potem mój mąż zadbał o to, żeby znalazł pracę. I dba o to do dnia dzisiejszego. Oliver Plum jest niezmiernie miłosiernym człowiekiem.

Donna, widząc, co Margaret mówi, była na pograniczu hysterii.

Nawet Chelsea, która nie usłyszała nawet połowy tej historii, była blada. - Można powiedzieć „miłosierny”, a można też powiedzieć „mądry”. Jak zauważyłam do tej pory, Hunter dobrze wykonuje swoją pracę. - Jest chuliganem - powiedziała z pogardą Margaret.

- Bardzo dobrze wykonał prace w moim domu na farmie.

Margaret sztywno podniosła się na równe nogi. - Czy ty go bronisz?

- Nie - powiedziała Chelsea. - Usiłuję zobaczyć to wszystko z jego punktu widzenia i przechylić szalę na jego korzyść.

- Nie zasłużył na to. Ona była zwyczajną dziwką, matką mordercy. W Stowarzyszeniu Historycznym mam gazety z tego okresu. Tam są informacje o wszystkim. Jeżeli chciałabyś na nie zerknąć, to możesz tam wpaść.

- Być może to zrobię.

- Jest otwarte w poniedziałki, środy i piątki od dziesiątej od drugiej, a we wtorki i czwartki od drugiej do trzeciej trzydzieści.

Chelsea potwierdziła skinieniem głowy. - Zapamiętam.

Margaret odwróciła się i odeszła. Donna patrzyła za nią i czekała, aż znajdzie się dostatecznie daleko. Potem odwróciła się do Chelsea, a z jej ust popłynął taki potok słów, jak nigdy od czasu, kiedy ogłuchła.

- Ona się myli, całkiem się myli, nie słuchaj tego, co 0 nim mówi, Katie Love upadła, a sekcja zwłok to potwierdziła.

Chelsea wzięła ją za rękę. - Ciii. Mów powoli.

Donna rozejrzała się wokół, żeby się upewnić, że nie ma nikogo więcej w pobliżu. Mimo wszystko starała się mówić jak najciszej. - To jemu zdawało się, że ją zabił. Dlatego z początku w ogóle nie mówił. No i bał się ludzi. W życiu nie widział nikogo oprócz Katie. Na początku miał koszmary senne i budził się z płaczem. Dzieci Maycocka śmiały się z niego, więc starał się czuwać w nocy. W rezultacie zasypiał w szkole, gdzieś w kącie podwórka. Pamiętam, jak go tam widywałam, takiego skulonego. Cała ta historia jest taka smutna. - Zawsze uważała, że jest smutna, ale szczególnie po urodzeniu Joshiego. Patrzyła na niego, jak bawi się z dziećmi i usiłowała sobie wyobrazić, jak by się czuł nawiedzany nocnymi koszmarami, zbyt zalekniony, żeby spać, przezywany, wykluczany z zabawy, całkiem sam. To by się nie zdarzyło, bo nosił nazwisko Farr, ale Hunter nie miał tego przywileju. Hunter w ogóle nie miał żadnych przywilejów.

- A kto był jego ojcem? - zapytała Chelsea. Donna wzruszyła ramionami.

- Czy ktokolwiek wie?

Donna znów wzruszyła ramionami.

- Czy sam Hunter wie?

Donna podejrzewała, że tak. Podejrzewała również, że został przekupiony, żeby trzymał język za zębami, a ona nie winiła go za to, że brał każdego centa, którego mu oferowano. Nie miał łatwego życia. Pieniądze nie mogły nawet w najmniejszym stopniu zrekompensować mu tego, co utracił. Jednak nie mogła powiedzieć Chelsea tego wszystkiego. Niczego nie była pewna. Czasami jej myśli gmatwały się i w uszach jej dzwoniło.

Chelsea znów podniosła wzrok, a Donna została wybawiona od odpowiedzi.

- No, no - powiedział Matthew z protekcyjnym uśmiechem - kogo ja tu widzę? To najweselszy zakątek boiska. Wygląda pani patriotycznie, panno Chelsea.

- Aaa, dziękuję - odrzekła Chelsea

- Przydałoby nam się tu w miasteczku jeszcze parę ładnych kobiet, takich jak pani. Tworzy pani bardzo malowniczy widok. - Wyciągnął do niej pudełko z lunchem. - Przyszedłem, żeby się upewnić, że ma pani lunch. Wygląda na to, że ktoś był szybszy. Cały czas im mówię, że powinny zrobić coś innego, na przykład pieczonego kurczaka na zimno, ale panie upierają się, że to powinna być sałatka z kurczaka. Ktoś taki jak pani musi tym być trochę zakłopotany.

- Zakłopotany? - zapytała Chelsea i podniosła brwi w kierunku Donny.

- Mam na myśli - powiedział z niesmakiem - sałatkę z kurczaka.

- Ja lubię sałatkę z kurczaka - powiedziała. Ugryzła wielki kęs, jak gdyby usiłowała to udowodnić.

Matthew rozpromienił się. - Więc mimo wszystko robimy rzeczy jak należy. To dobrze. Wybiera się pani po południu na mecz koszykówki?

- Pewnie - powiedziała Chelsea. - Ty też pójdziesz? - spytała Donnę.

Donna chciała powiedzieć, że zjawi się tam tylko na chwilę, bo musi pomóc w przygotowaniu barbecue na skwerze. Nie chciała jednak rozmawiać z Chelsea przy

Matthew. Nie omieszkałby powiedzieć czegoś okrutnego o jej głosie. Milczała więc, a oczy Chelsea znów powędrowały do Matthew.

- Z przyjemnością będę pani służył za przewodnika - powiedział. - Widziałem, jak pani samotnie obserwowała paradę. Mogła pani przyłączyć się do nas. Niektórzy członkowie trzech rodzin nie życzą sobie pani obecności, ale gdyby pani była ze mną, wszystko byłoby w porządku. Przydałby się pani jakiś barwny komentarz na temat graczy. Pani dopiero niedawno się tu pojawiła. Muszą się pani jeszcze mylić twarze. Mogę pani powiedzieć, kto gra z kim, opowiedzieć kilka świństw... Rozumie pani, o co chodzi.

Donna wiedziała, o co chodzi. Matthew był typem, który miał zwyczaj oczerniać każdego, kto w jakikolwiek sposób i w czymkolwiek był od niego lepszy. W przypadku koszykówki, która ani go nie interesowała, ani nie przejawiała najmniejszych zdolności w tym kierunku, był pełen jadu.

Chelsea odrzuciła jego ofertę. - Tak myślę, że chyba pochodzę sobie tu i tam. Chcę zobaczyć targi sztuki i kołder, więc będę przychodzić i odchodzić. Nie będę siedzieć długo w jednym miejscu.

- Dobrze - powiedział Matthew i z przyzwoleniem kiwnął głową. - Rozumiem. W naszym mieście Czwartego Lipca jest wiele do zobaczenia. Ale proszę mnie odszukać, jeżeli będzie pani miała jakieś pytania. - Odszedł, salutując w stronę Chelsea i puszczając do niej oczko, a Donnę traktując jak powietrze.

ROZDZIAŁ 12

Chelsea przechodziła od stoiska do stoiska na skwerze. Wystawiane rękodzieła były miejscowego wyrobu i niektóre sprawiały wrażenie całkowicie amatorskich, ale inne były całkiem niezłe. Były również wyroby rzemieślnicze na sprzedaż, interesujące rzeźby z drewna, dekoracyjne świece, tkane gobeliny. Jednak największe wrażenie robiły kołdry wykonane przez członkinie Cechu. Prezentowano olbrzymią kołdrę ze wstawkami, z których każdą robiła inna kobieta, przed/wysłaniem jej do Waszyngtonu na wystawę „Powrót do amerykańskich podstaw”. Mniejsze kołdry, o niepowtarzalnych wzorach, były na sprzedaż. Chelsea zachwyciła się najmniejszymi kołderkami do kołyski, ale czuła się zbyt niezręcznie, żeby już jakąś kupić. W zamian kupiła dwie większe kołdry, które chciała zawiesić na ścianie salonu w domu na farmie. Biło od nich ciepło. Chciała, żeby taki był jej dom. Zostawiła kołdry do późniejszego odbioru i poszła dalej. W ciągu czterech tygodni pobytu tutaj, poznała już, osobiście bądź z widzenia, wielu mieszkańców. Z tymi pierwszymi zamieniała kilka zdań, do drugich się uśmiechała. Od czasu do czasu odwzajemniano jej uśmiech. Wolałaby, żeby to się zdarzało częściej.

Nie sądziła, że uczucie samotności będzie ją tak potwornie męczyć, że będzie się budzić w środku nocy zziębnięta i przestraszona, czując gwałtowną potrzebę, by ją ktoś przytulił. Wiedziała, że w dużym stopniu przyczyną takiego stanu jest ciąża. Była teraz nadwrażliwa i przeżywała huśtawkę nastrojów. Nigdy przedtem nie była matką, i kiedy opadła początkowa fala entuzjazmu, do jej myśli wkradł się mglisty niepokój. Żałowała, że nie ma z kim rozmawiać, ale tylko Cydra o tym wiedziała, a one nigdy nie wisiły na telefonie i nie

wałkowały osobistych spraw. Poza tym Cydra nigdy nie była w ciąży.

Donna tak. Jej syn, Joshie, był przemiłym chłopcem | robił wrażenie dobrego dziecka, co było niewątpliwie zasługą Donny, zważywszy, jaki jej się trafił mąż. Matthew Farr był niemożliwy - albo ignorował Donnę, albo ją obrażał. Niepomierne wyprowadzał Chelsea z równowagi, kiedy tylko go widziała.

Judd Streeter też ją wyprowadzał z równowagi, ale zupełnie inaczej, i nad tym nie mogła zapanować. Łomotanie serca na jego widok jakoś nie przechodziło z czasem. Co gorsza, on zaczynał zdawać sobie z tego sprawę. Wpatrywał się w nią. Wyraźnie dawał jej do zrozumienia, że mu się podoba - że wcale tego nie chce, bo nie akceptuje tego, kim i jaka jest, jednak mu się podoba.

Znajdowała w tym pewną satysfakcję.

Z westchnieniem poprawiła rondo kapelusza, tak żeby chronił ją przed popołudniowym słońcem, i powędrowała dalej. Zatrzymała się przy stoisku sprzedającym wyroby z owczych skór i wzięła do ręki parę bamboszy. Natychmiast jej się spodobały. Poznała już chłód letnich wieczorów w Notch i dreszcz ją ogarniał na samą myśl, jakie będą zimowe wieczory. - Sam je zrobiłeś? - zapytała nastoletniego chłopca za ladą.

- Nie, proszę pani - odpowiedział zdenerwowany. - To mój tata.

Chelsea przypomniała sobie stado owiec na porannej paradzie. Uśmiechnęła się łagodnie, żeby uspokoić chłopca, i zapytała: - Czy twój tata to rolnik Galante?

- Tak, proszę pani.

- Czy one są zrobione ze skóry waszych owiec?

- Tak, proszę pani.

- Wezmę więc tę parę - postanowiła, chcąc zrobić przyjemność chłopcu i sobie. Podobał jej się pomysł noszenia lokalnych wyrobów, szczególnie jeżeli były one tak praktyczne jak te bambosze.

Właśnie płaciła chłopcu, kiedy zobaczyła Huntera. Siedział na metalowej barierce na końcu skweru,

niedaleko od niej. Nogi miał skrzyżowane w kostkach, ramiona też skrzyżowane, a dłonie wciśnięte pod pachy, i wpatrywał się w nią. Przynajmniej tak jej się zdawało. Głowę miał zwróconą w jej kierunku, ale nie było widać, w którą stronę patrzy, bo oczy miał ukryte za lustrzanymi okularami przeciwsłonecznymi.

Przypomniała jej się historia opowiedziana przez Margaret. Zastanawiała się, ile w tym było prawdy. Nawet jeśli tylko okrucieństwo, to Hunter miał koszmarnie dzieciństwo. Wprost nie potrafiła sobie wyobrazić, przez co przeszedł i jakie trwające do dziś skutki -mogły z tego wyniknąć.

Kiedy na niego patrzyła, poczuła z nim dziwną więź. Przecież, gdyby nie Bóg i ta kobieta, która postanowiła wyrzec się swego dziecka, Chelsea łatwo mogła się znaleźć w jego skórze.

Z uśmiechem wzięła od chłopca torbę i skierowała kroki w kierunku barierki. - Cześć - powiedziała. - Nie widziałam cię dzisiaj ani razu. Cała zabawa przeszła ci koło nosa.

- Jaka zabawa? - zapytał Hunter spokojnym głosem.

- Śniadanie z naleśnikami w kościele. Parada. Licytacja niespodzianek w pudełkach.

- Ach - powiedział z sarkazmem, który Chelsea bardzo u niego lubiła - chodzi ci o tę zabawę.

- Lunch był dobry.

- Nie mów. Sałatka z kurczaka.

Uśmiechnęła się. Pod tym uśmiechem zastanawiała się, jak spędzał święta, jeżeli nie był tutaj, i czy miał kogokolwiek na świecie, kto dałby mu choć trochę ciepła. Dzień był idealny dla par, ale on był sam. Nie rozumiała dlaczego. Był przystojnym mężczyzną, dobrze zbudowanym, słusznego wzrostu. Tradycyjnie ubrany był w czerń, tym razem T-shirt i dżinsy, ale na tym tle dobrze wyglądały jego włosy w odcieniu orzecha, a nawet złoty kolczyk. Z doświadczenia Chelsea wynikało, że mężczyźni, którzy mieli wygląd Huntera i zachowywali się z dystansem tak jak on, zazwyczaj nie mogli opędzić

nic od kobiet. Wytwarzali wokół siebie aurę tajemnicy. Im mniej byli zainteresowani, tym dłuższa była kolejka kobiet.

Hunter nie pociągał Chelsea w taki sposób, ale była go Ciekawa. Motocykl i kolczyk to były oznaki buntownika. W jakiś sposób identyfikowała się z nim w tym względzie. W jakiś sposób podziwiała pracę, jaką wykonywał w Boulderbrook. W jakiś sposób chciała, aby odniósł sukces w Plum Granite. Zawsze trzymała stronę wyrzutków społeczeństwa, a Hunter niewątpliwie nim był. Po tym jak usłyszała, co Margaret o nim mówi, nie miała nic przeciwko temu, by zostać jego przyjaciółką.

- Więc przeżyłaś cało noc w Boulderbrook - zauważył.

- Aha. Oprócz kilku dziwnych telefonów, wszystko było w porządku.

- Dziwnych? - Miał kamienną twarz. - Jakich?

- Cisza. Potem głosy. Dziecięce głosy. - Delikatnie, żeby go nie obrazić, droczyła się z nim. - Nie wiesz przypadkiem czegoś o tym?

- Nigdy w życiu - stwierdził.

- A masz pojęcie, kto mógłby wiedzieć?

- Ktoś, kto chce, żebyś się przestraszyła.

- Kto to może być?

- Połowa miasteczka. Jesteś bogata, inteligentna i miastowa. Przyjechałaś tutaj i pokazujesz wszystkim, że oni nie są, a teraz wprowadziłaś się do ich nawiedzonego domu. Chcieliby zobaczyć, jak przerazisz się tak bardzo, że podkulisz ogon pod siebie i uciekniesz.

Chelsea mogła liczyć na Huntera, że powie całą prawdę bez ogródek.

Nie widziała jego oczu i nie mogła stwierdzić, czy jest w nich wyzwanie. - A ty chciałbyś? - zapytała.

- Zobaczyć, jak uciekasz? - Przez chwilę się zastanowił. - Nie wiem. - Jeszcze przez chwilę pomyślał.

- Kiedy pojawiłaś się tu po raz pierwszy, chciałem. Teraz nie jestem pewien. Ty możesz nieźle potrząść tą firmą. Najwyższy czas, żeby ktoś to zrobił.

Chelsea odebrała to jako ustępstwo na jej korzyść, a może nawet komplement. Zadowolona, wzięła go pod rękę i zapytała: - Odprowadzisz mnie na mecz?

Odsunął jej rękę. Poczuli się urażona, bo z jej strony był to przyjacielski gest. Właśnie miała mu to powiedzieć, kiedy zeskoczył z barierki, wepchnął ręce do kieszeni i podrzucił głową, co miało być zaproszeniem.

Ona lubiła dotykać i być dotykana. On nie. Mogła to zaakceptować. /

Szli w milczeniu obok siebie w odległości mniej więcej pół metra, przeszli przez skwer i weszli na wąską ścieżkę, prowadzącą do budynku straży pożarnej, za którym było boisko do koszykówki.

Kiedy przeszli już połowę drogi, Chelsea obojętnym tonem zapytała: - Więc jaki jest twój udział w przedsiębiorstwie? - Nadal usiłowała określić jego rolę, nie tyle na co dzień, ile na dłuższą metę.

Wyraźnie było to związane z jego układem z OHverem.

Po krótkim milczeniu odpowiedział: - Nie mam udziału.

- Jesteś trzeci w hierarchii. Prychnął. - Tak to wygląda, prawda?

- A nie jest tak?

- Nie.

Szli dalej. Kiedy już prawie byli przy budynku straży pożarnej, powiedział: - Nie mam żadnej władzy.

- Masz ważną funkcję w firmie. Robisz właściwie wszystko, co musi być zrobione.

- Judd też to robi.

- Nie może być w dwóch miejscach naraz. Kiedy nadejdą komputery, będzie więcej czasu spędzał w biurze. Kiedy będziemy mieli próbki pociętego i wyszlifowanego kamienia, może będzie podróżować. Potrzebujemy ciebie, żebyś kierował pracami w kamieniołomach.

Hunter rzucił jej spojrzenie zza szkieł. - Wspomniałaś już o tym staremu?

- Nie. Ale to ma sens. Dlaczego byłeś przez cały czas prawą ręką Judda, jeżeli nie po to, żeby przejąć jego obowiązki, kiedy on sam zajmie się innymi sprawami?

- To przechodzi moje pojęcie - powiedział Hunter i poszedł dalej.

Mecz koszykówki już się rozpoczął. Boisko było utwardzonym prostokątem ze startymi liniami.

Ludzie po obu stronach siedzieli na krzesłach ogrodowych, niektórzy stali. Wszyscy wpatrywali się w przebieg akcji na boisku.

- Czy to jest coroczna impreza? - zapytała Chelsea. Pomiedzy widzami rozpoznała Jeremiasza Whipa z rodziną i Fern.

- Tak, ten mecz rozpoczyna letnią ligę. Te drużyny zajęły pierwsze i drugie miejsce w zeszłym roku. Wzrok Chelsea zatrzymał się na jednym z zawodników - znakomitej klasy zawodniku, uznała zanim spostrzegła, że to Judd. Nie wiedziała, że będzie grał, chociaż powinna się była domyślić. Był wysoki i świetnie zbudowany. Samo się nasuwało, że jeżeli uprawia jakiś sport, to musi to być koszykówka.

- Drużyna Judda wygrywała pięć lat z rzędu - powiedział Hunter.

- Ten mecz czy letnią ligę?

- I jedno, i drugie. Znakomicie dobiera ludzi do drużyny. Wie, co robi.

To nie były kąśliwe uwagi, ale nie słuchała zbyt uważnie. Widok Judda rozpraszał ją. Jeżeli wyglądał świetnie w ubraniu roboczym, a wspaniale w szortach i koszulce polo, które miał na sobie dzisiaj przed meczem, to teraz był oszałamiający - czysty dynamit. Miał na sobie szare koszykarskie spodenki i granatową koszulkę bez rękawów z wielkim numerem 1 na przodzie. Pozostali zawodnicy z drużyny nosili na sobie takie same koszulki, ale na żadnym z nich nie leżała tak dobrze. Judd miał szeroką klatkę piersiową, proporcjonalne ramiona i szczupłą talię. Na jego nogach przepięknie odznaczały się mięśnie, widoczne przy każdym wyskoku.

Nie był najwyższym ani najpotężniejszym mężczyzną na boisku, ale w jego ruchach było coś, co go wyróżniało. Była w nich harmonia i rytm. Patrzenie na niego zapierało dech w piersiach.

- Faktem jest - powiedział Hunter - że stary nie ma pojęcia, co ze mną zrobić.

Dopiero po jakiejś minucie Chelsea zorientowała się, o czym mówi, a potem odczuła nagłą skruchę.

Wątpiła, by Hunter często otwierał się przed ludźmi, i pochlebiało jej, że otworzył się przed nią.

Wyrzucając Judda z myśli, zapytała: - A co chciałbyś, żeby zrobił?

- Żeby mi pozwolił odejść.

- Żeby cię wyrzucił z pracy?

- Tak.

Spodziewała się, że usłyszy o awansie albo przynajmniej o oficjalnym stanowisku, ale zwolnienie z pracy było czymś zupełnie innym. Mogło mieć bardzo negatywne skutki i utrudnić zdobycie innej pracy. - Ale dlaczego?

Hunter pozostał nieruchomy. W jego okularach odbijała się akcja meczu. Drużyna Judda wygrywała dwadzieścia pięć do dziewiętnastu, według ręcznie wypisywanych kartek, trzymanyh za boczną linią boiska. Drużyna przeciwników, której pomarańczowe koszulki miały na przodzie wypisany numer 2, co chwila usiłowała trafić piłką do kosza. Za każdym razem, kiedy piłka prawie wpadała do kosza, a potem odbijała się od obręczy, kibice drużyny wydawali jęk, a potem zagrzewali zawodników do walki.

Chelsea obserwowała Judda, jak krył jednego z przeciwników cały czas klucząc wokół niego.

Wyskoczył wysoko i złapał odbitą piłkę. Opadł na obie stopy, pewnie trzymając piłkę oburącz, przez sekundę upewniał się, czy jego cel jest tam, gdzie się spodziewał, a potem rzucił piłkę na drugi koniec boiska. Jeden z kolegów z drużyny już czekał, złapał ją, bez trudności wrzucił do kosza i zdobył punkt.

Widzowie zaczęli wykrzykiwać z zachwytem.

Chelsea wyraziła własną radość zadowolonym westchnieniem, a potem spojrzała na Huntera.

- Dlaczego, na Boga, chcesz być wyrzucony z pracy?

- To jedyny sposób, żeby kiedykolwiek stał się wolny.

Przypomniała sobie pierwszą wizytę w Norwich Notch i krótką rozmowę w deszczu, którą z nim przeprowadziła. Całkiem dokładnie zacytował opinię Olivera o sobie. I mówił o poczuciu winy. Jak Chelsea rozumiała, jeżeli w grę wchodziła wina, to Hunter powinien mieć przewagę w stosunkach z Oliverem, co oznaczało, że po prostu mógł wybrać wolność.

- Dlaczego zwyczajnie nie odejdziesz? - zapytała. Judd został sfaulowany i zdobył punkty w dwóch rzutach osobistych. Trochę się już spocił, a był to całkiem atrakcyjny widok.

- Nie mogę - powiedział Hunter.

- Dlaczego nie?

Usłyszała kolejny gwizd, tym razem rzuty osobiste wykonał zawodnik drużyny numer dwa.

- Bo ma wobec mnie dług.

Mówił to już przedtem, a Chelsea nie była głupia. Biorąc pod uwagę, że był dzieckiem z nieprawego łoża, że Oliver zajął się nim po śmierci matki, że dał Hunterowi pracę w firmie - co przy opinii Olivera na jego temat było całkiem pozbawione podstaw - wydawało się, że jest tylko jedna odpowiedź.

- Czy on jest twoim ojcem? - zapytała. Tym razem, mimo słonecznych okularów Huntera, nie miała wątpliwości, że spojrzał jej w oczy. - Zadałaś mi pytanie stulecia - powiedział bezbarwnym głosem. - Powiem ci coś. Jeżeli poznasz odpowiedź, to daj mi znać, okay? - Odwrócił się i odszedł tą samą drogą, którą tutaj przyszli.

Otworzyła usta, żeby za nim zawołać i zamknęła je nie wypowiedziawszy ani jednego słowa. Chciała mu powiedzieć, że dokładnie rozumie, że sama szuka odpowiedzi, że mają pod tym względem wiele wspólnego. Chciała też dotknąć jego ramienia i dać mu do zrozumienia, że nie jest aż taki samotny, jak mu się wydaje, ale przedtem nie spodobało mu się, kiedy go dotknęła, a zresztą już odszedł, 'v
Następnym razem, pomyślała. Z pewnością.

Kiedy słońce schowało się niżej za górą Acatuk, a niebo przybierało coraz ciemniejszy odcień niebieskiego, gazowe latarnie specjalnie z tej okazji zamontowane na podium dla orkiestry zaczęły rzucać bursztynowy blask na skwer. Muzycy z Notch, w różnym wieku, sami dobrze się bawili. Podobnie jak uśmiechnięte pary, które tańczyły, zmieniały partnerów i znów ruszały w tany.

Chelsea wystarczało patrzeć. Nie była tancerką,

o czym każda koleżanka z zajęć aerobiku mogłaby zaświadczyć, ale ludzie na trawniku tak dobrze się bawili, że obserwowanie ich było przyjemnością.

Tańce rozpoczęły się po barbecue. Olbrzymie grille na końcu skweru produkowały nie kończąca się rzekę hamburgerów i hot dogów, a na długich stołach leżały bułeczki, chipsy, zestaw sałatek i sosów, jakich Chelsea nigdy w życiu nie widziała, i parujące kolby kukurydzy.

Wydawało się, że całe miasto tam jest. Barbecue

i tańce były wielkim finałem uroczystości, a nastrój zrobił się jeszcze bardziej świąteczny. Ludzie wystroili się stosownie na tę okazję.

Chelsea długo głowiła się, jak się powinna ubrać. Chciała zrobić wrażenie, co oznaczało, że nie mogła być ubrana zbyt skromnie, ale i niezbyt wyszukanie. Postanowiła być raczej skromna i wybrała granatową sukienkę na ramiączkach, dobrane kolorystycznie płaskie baletki, włosy spięła z jednej strony ozdobną spinką, włożyła złote kreolskie kolczyki, szeroką złotą bransoletkę na rękę, a na palec pierścionek z rubinem po matce.

Pierścionek z rubinem trudno było nazwać skromnym, ale strasznie go lubiła. W jej oczach nie był ani odrobinę krzykliwy, szczególnie że na palcach nie miała innej biżuterii. Niektórzy mogli pomyśleć, że chwali się swoim bogactwem, ale prawda była taka, że potrzebowała jakiegoś ogniwa łączącego ją z Abby. Pierścionek choć trochę łagodził samotność, która tak jej dokuczała przez cały dzień.

Dotknęła go teraz kciukiem, rozkoszując się ciepłem obrączki. W tym samym czasie poprzez tańczące pary spojrzała na podium dla orkiestry. Był tam Judd. Miała wrażenie, że ciągle znajduje się na linii jej wzroku, być może robiąc to celowo. Jak magnes przyciągał jej wzrok nawet przez najmniejsze luki w tłumie. Wiedziała, że ją widzi, bo patrzył na nią przez te same maleńkie luki. Nie podeszła do niego. Jeżeli jego męskość wzbudzała jej niepokój w pracy, to przy zabawie całkiem ją onieśmiałała.

Unikając jego spojrzenia, wędrowała wzrokiem od twarzy do twarzy, jak robiła już tyle razy przedtem, szukając rysów, które byłyby podobne do jej własnych. Nikt się nie wyróżniał. Nie poczuła przyływu uczuć rodzinnych. Również nikt nie wpatrywał się w nią zaszokowany. Owszem, ludzie wpatrywali się, ale z ciekawością. Kobiety przypatrywały się jej sukience lub włosom. Mężczyźni, sukience lub nogom. Dzieci, o ironio, wpatrywały się w pierścionek - i to z zazdrością. Podejrzewała, że sądzą, iż wygrała go wcześniej na loterii fantowej. To jej sprawiało lekką przykrość.

Nagle muzyka zmieniła się. Nie wiadomo skąd pojawili się skrzypkowie. Rozległ się dźwięk gwizdka, a ludzie odpowiedzieli okrzykami zadowolenia. Jakiś człowiek podszedł do mikrofonu i wyśpiewywał instrukcje, podczas gdy tancerze formowali rzędy - mężczyźni z jednej strony, kobiety z drugiej.

- Dlaczego się do nich nie przyłączysz? - usłyszała głęboki głos dochodzący z cienia.

Poczuła, jak zapiera jej dech w piersiach. Patrząc na tancerzy, odpowiedziała: - Broń Boże. Nie wiedziałabym, co mam robić. Ostatni raz tańczyłam te tradycyjne tańce, kiedy byłam w piątej klasie, a i tak to było żalosne.

- Tu nie tańczymy ich w typowy sposób, są jeszcze bardziej skomplikowane - powiedział Judd.

- To interesujące.

Chelsea pomyślała, że tańce są nie tylko skomplikowane, ale na dodatek bardzo szybkie i nie sposób się w nich

połapać. Po bardziej zorganizowanym początku tancerze opuszczali swoje rzędy, zamieniali się miejscami, łapali partnerki za ręce, a potem wirowali w orgii kolorów, zmieniali partnerki i znów wirowali. Wodzirej nimi dyrygował, ale dla Chelsea instrukcje były niezrozumiałe. >

- Często tak tańczą? - zapytała, lekkofoszołomiona.

- W co drugi piątkowy wieczór od września do maja w podziemiach kościoła. Przez jakiś czas to było zakazane. Radni stwierdzili, że to robi za dużo rabanu. Ale znów się rozpoczęło. Oczywiście, na trawie zabawa nawet w połowie nie jest tak dobra. Nie słysząc tupania.

- Czy ty też tak tańczysz?

- Kiedyś tańczyłem - odpowiedział po chwili.

- Więc dlaczego teraz cię tam nie ma? - Z rozkoszą popatrzyłaby, jak tańczy. Jeżeli na parkiecie poruszał się choć w połowie tak dobrze jak na boisku koszykówki, to w tańcu musiał stanowić prawdziwą przyjemność dla oka.

- Nie mam partnerki - odpowiedział, a Chelsea znów poczuła, jak zapiera jej dech. Gdyby potrafiła tańczyć, w tej minucie zostałaby jego partnerką. Ale nie w takim tańcu, pomyślała. Partnerzy nie zostawali ze sobą na długo. Każda kobieta tańczyła ze wszystkimi mężczyznami. Nie tak chciała. Poza tym, w tego typu tańcu partnerzy prawie się nie dotykali.

Jednak patrzyła z przyjemnością. Pierwszy taniec się skończył, a rozpoczął następny, tym razem o nieco wolniejszym rytmie. Zazdrościła tancerzom dobrej zabawy, ale nie ruszyłaby się, żeby się do nich przyłączyć, nawet gdyby znała kroki. Było tak miło stać i rozmawiać z Juddem. W ciemności mogła udawać, że on jest jej partnerem i opiekunem, gotowym objąć ją ramieniem przy najmniejszej prowokacji.

To idiotyzm, Chelsea napomniała siebie. Prawdziwy idiotyzm. Wszystko jedno, i tak jej było z nim dobrze. I on też nie odchodził.

- Ale pierścionek - powiedział.

Nie wiedziała, czy miał to być komplement, czy nie. - Należał do mojej matki.

- Nie żyje?

- Tak, zmarła w styczniu.

- Była stara?

- Miała sześćdziesiąt trzy lata.

- Nie była stara. - Milczał przez chwilę. - Umarła nagle?

- Dawno temu zachorowała na polio. Zawsze była iłabego zdrowia, szczególnie pod koniec.

Znów przez chwilę się nie odzywał. - To się stało w domu?

- Tak. Pielęgniarki dyżurowały przy niej przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

Wydobył się z niego dźwięk, jakby się głośno otrząsnął i chrząknął, i kiedy tym razem zapadła cisza, Chelsea wyczuła, że ta rozmowa się skończyła. Nie żałowała niczego, co powiedziała. Nie przeszkadzało jej, że Judd czegoś się o niej dowiedział. Żałowała tylko, że sama nie wie o nim więcej. Dokładniej mówiąc, zaczęła się zastanawiać nad jego życiem miłosnym. Musiało jakieś być, była tego pewna. Facet, z którego do tego stopnia emanowała męskość, nie mógł być długo samotny. Chelsea nigdy go z nikim nie widziała, ale to nic nie znaczyło. Był skrytym człowiekiem. Niezmiernie skrytym człowiekiem. Tak skrytym, że poza informacją, że mieszkał przy jednej z małych uliczek na wschód od skweru, nie wiedziała o nim nic, oprócz tego, co napisał w swoim życiorysie, który był w aktach w Plum Granite.

Mogłaby zapytać o niego Donnę, ale nie chciała, żeby to zostało odczytane, że się nim „interesuje”, bo to nie była prawda. Po prostu uważała go tylko za wprost nieprawdopodobnie pociągającego mężczyznę.

Tańce trwały dalej. Judd przyniósł dwie szklaneczki ponczu. Ciemny granat nieba zmienił się w czerń, rozjaśnioną tylko półksiężycem zawieszonym nad sosnami. Rodziny z małymi dziećmi zaczęły się udawać do domu.

Muzyka stopniowo zwalniała rytm, najpierw zagrano spokojniejszego kontredansa, potem polkę, potem swobodnego rock and rolla, a potem walca.

- Spróbujemy to zatańczyć? - zapytał Judd.

Nie miała odwagi. Z nieśmiałym uśmiechem potrząsnęła głową.

- Dlaczego nie?

Z nonszalancją wzruszyła ramionami. - Nie umiem tańczyć.

- Żartujesz. Potrząsnęła głową.

Musiał się nad tym zastanawiać, dopóki melodia się nie skończyła, bo już na samym początku kolejnej, tym razem czaczy, powiedział: - W jaki sposób bogata dziewczynka może stać się bogatą damą i nie nauczyć się tańczyć?

Nie potraktowała tego jako obrazy. Jego ton wskazywał, że nie chciał jej tym urazić. - Och, uczyłam się. Po prostu nie umiem tego robić dobrze.

Patrząc na ludzi, którzy robili to dobrze, powiedział: - Trudno mi w to uwierzyć. Biegasz. Jesteś wysportowana. Jak to możliwe, że nie potrafisz tańczyć?

- Tak samo, jak nie potrafię śpiewać. Zupełnie nie mam słuchu muzycznego.

Wtedy spojrzał na nią. - Ale to rytm jest ważny.

- To samo powiedziała mi Donna, kiedy przekonywała mnie, żebym spróbowała aerobiku. Uwierz albo nie, ona słyszy rytm lepiej niż ja.

Po czaczy zagrano wolniejszy kawałek. Ludzie połączyli się w pary. Chelsea patrzyła na to z uczuciem bliskim tęsknocie.

- Kiedy tańczysz, czujesz się nieswojo - wysnuł przypuszczenie Judd.

- Trafiłeś w dziesiątkę.

Zanim zorientowała się, co się dzieje, wziął ją za rękę i wyprowadził z cienia.

- Co robisz? - zapytała zaniepokojonym szeptem, próbując wyrwać dłoń, ale nie rozluźniał uścisku.

- Nigdy nie tańczyłaś z właściwym mężczyzną i to wszystko.

- Judd - błagała, próbując go powstrzymać, ale szybko uświadomiła sobie, że jeżeli nie wywoła kosmicznej awantury, to inaczej nic nie wskóra. Z taką gracją, na jaką mogła się zdobyć, zważywszy, że była zakłopotana i jeszcze przerażona, pozwoliła się wziąć w ramiona.

- Rozluźnij się - szepnął jej wprost do ucha. Wiedziała, że z tym będą problemy. Policzki miała rozpalone, a żar powoli ogarniał resztę ciała. - Naprawdę nie robię tego dobrze.

- Daj się prowadzić. Poruszaj się tak jak ja.

- Łatwo mówić.

- Nie. Nie musisz nawet słuchać muzyki. Po prostu rozluźnij się przy mnie... Ooo, tak. Chelsea miała ochotę umrzeć, jeżeli nie ze wstydu, to Z przyjemności. Rozluźnij się przy mnie. Tak, jakby w tej sprawie jej wola miała coś do powiedzenia. Oparła się o niego, a on przycisnął ją do siebie tak, że kiedy się kołysał, ona kołysała się razem z nim, a kiedy się nachylał, i ona się nachylała. Jego dotyk był tak rozkoszny, a w jego ramionach czuła się jak w niebie. Była pewna, że jej serce bije dostatecznie głośno, żeby obudzić zmarłych na cmentarzu w Norwich Notch, ale nawet jeżeli Judd to spostrzegł, nie skomentował ani słowem. Prowadził ją tylko na małym skrawku trawnika z taką łatwością, że kiedy muzyka się skończyła, zachciało jej się płakać.

- No i co - spytał, wolno puszczając jej rękę - było aż tak źle?

Była zadowolona, że gazowe latarnie dawały tak nikłe światło. W innym wypadku mógłby zauważyć pragnienie, które nagle pojawiło się na jej twarzy. Musiała się przynajmniej postarać, żeby jej głos brzmiał naturalnie. Wielkie wyzwanie, skoro do tego stopnia brakowało jej tchu.

Odchrząknęła. - Nie było tak źle. - Po chwili powiedziała: - Dziękuję - a potem poczuła się jak skończona

idiotka. Zachowując się w ten sposób, równie dobrze mogła mieć dziesięć lat i na szkolnej zabawie dygać przed chłopcem, który właśnie poprowadził ją niezręcznym tanecznym krokiem. Jeszcze trochę, a Judd pomyśli, że jest kretynką.

Stał, po prostu na nią patrząc. Nie miała pojęcia,

o czym myśli. Kiedy muzyka rozbrzmiała na nowo, tym razem stłumionymi dźwiękami puzonu w melodii *Summer Place*, wiedziała, że nie może już dłużej czekać, żeby się dowiedzieć.

- Robi się późno - powiedziała. - Chyba pojedę już do domu. - Obdarzyła go niepewnym uśmiechem, podniosła dłoń w pożegnalnym geście i ruszyła w ciemność.

- Chelsea?

Udawiała, że nie słyszy. Taniec z nim sprawiał, że było jej zbyt dobrze. Gdyby tylko traktował ją z góry. Gdyby tylko naśmiewał się z jej tańca. Gdyby tylko go było czuć skarpetkami. Ale on był delikatny, nie wyrażał sądów i bił od niego czysty zapach, cytrusowy i męski.

Złapał ją za rękę. - Nie idź - poprosił cicho.

- Muszę.

- Jeszcze jeden taniec.

Wahała się o kilkanaście sekund za długo. W ciemności przycisnął ją do siebie i zaczął się poruszać w takt muzyki niosącej się po skwerze. Trzymał ją tak samo jak przedtem, jak gdyby pragnął jej bliskości. Dla niej było to niczym uczucie słonecznego ciepła po bardzo długiej zimowej nocy.

Kołysała się razem z nim, zamykając oczy, jak gdyby chciała zaprzeczyć temu, co robi, ale efekt był wręcz odwrotny. Nie widząc, wszystko czuła spotęgowane, od twardości jego ciała, poprzez płynność ruchów, do gorąca, które wzbierało w każdym miejscu, gdzie ich ciała się zetknęły. Westchnęła, a wraz z oddechem wypłynęły z niej resztki oporu. Jej ramię otoczyło jego szyję, a druga ręka znalazła się na udzie. Jego szczeka opierała się o jej skroń, ciepły oddech muskał czoło, palce delikatnie gładziły plecy, silne nogi przylegały do jej nóg.

Nie chciała, żeby tak się działo, ale w tej chwili już nie mogła się od niego oderwać. Było to równie nieprawdopodobne, jak to, żeby przed całym miasteczkiem wykrzyczała prawdę o swoim urodzeniu. Poruszając się w takt muzyki, przytulił ją do siebie, najpierw tak subtelnie, że podniecona całą sytuacją niemal tego nie odczuła, a z czasem, skoro nie odczuwał jej oporu, przytulał ją coraz mocniej. Czowała jego ciepło i siłę, a po chwili jego podniecenie i choć głos rozsądku cichutko jej mówił: „Odepchnij go, na miłość boską!” W tym samym czasie odzywał się głosik pragnienia: „Ach, jak dobrze go czuć przy sobie”.

Jak na mężczyznę, który całymi dniami pracował przy obróbce kamienia, Judd Streeter był niezwykle zmysłowy. Chelsea, prowadzona przez niego, również stała się zmysłowa. Rozluźniła się. Napięcie puściło. Nigdy w życiu nie doświadczyła czegoś równie erotycznego jak taniec z Juddem.

Kiedy tym razem oderwała się od niego, brak tchu nie był jej jedynym problemem. W którymś momencie tańca w jej brzuchu odezwało się pożądanie, którego nie powinno być. Była w ciąży. Ciężarne kobiety nie odczuwały takiego pociągu, jak ona w tej chwili. Coś było nie w porządku, tego była pewna. Cały układ hormonalny jej się rozregulował.

- Muszę już iść - wyszeptała i uciekła w ciemność. W jakiś sposób musiał wyczuć zamęt panujący w jej głowie, bo tym razem nie pobiegł za nią. Odnalazła Samochód i pojechała do domu, a zanim tam dotarła, pragnienie w jej brzuchu trochę zelżało. Nie zniknęło - wystarczyło, że pomyślała o Juddzie i znów się pojawiało - ale przynajmniej mogła mieć taką nadzieję.

Spędziła wiele czasu pod prysznicem, pozwalając wodzie płynąć strumieniem po włosach i ciele, gasić żar, który ją trawił. Wytarła się i owinęła krótkim bawełnianym szlafrokiem, włączyła lampkę w sypialni, włożyła okulary do czytania i weszła do łóżka ze srebrnym kluczykiem i czasopiśmie „Jankes”, które miała zamiar

przejrzeć. Wydawało jej się idealne do zamieszczenia ogłoszenia w sprawie kluczyka. Był już najwyższy czas. Chciała wiedzieć, kim jest. Już naprawdę nadszedł czas.

Sfrustrowana odłożyła magazyn, kluczyk i okulary na nocny stolik. Nie mogąc spać, wyszła z łóżka. Frustrację wywoływała ciągła niepewność, kim jest. Bezsensowność wywoływał Judd.

Na bosaka cicho spacerowała po domu. Wszystko pachniało trocinami i świeżym drewnem - wszystko zmieniło się o sto osiemdziesiąt stopni od czasu, kiedy zobaczyła ten dom po raz pierwszy, a wtedy nie był niczym innym jak kompletną ruiną. Pozostałe pokoje dopiero za miesiąc będą w takim stanie, że będzie mogła je umeblować, ale to jej nie przeszkadzało. Z przyjemnością obserwowała postęp robót w swoim domu. Podobało jej się, że są w nim ludzie, nawet jeżeli byli to robotnicy, którzy mieli taką samą skłonność do odpowiadania jednym słowem na jej dziesięć pytań z rzędu, jak i do wzruszania ramionami.

Usiadła na schodach prowadzących do wejściowego hallu, rękami objęła kolana i siedziała tak w ciemności. Próbowła myśleć, co wydarzy się w ciągu nadchodzącego roku, o dziecku, które w niej rosło, o projektach, którymi miała się zająć, o zapytaniach ofertowych na granit, które miały nadejść, ale żaden z tych tematów nie zajął dostatecznie długo jej uwagi.

Jej myśli co chwila wracały do Judda i do tego, jak cudownie było w jego ramionach. Czowała w środku jakieś drżenie i nie było to dziecko. Była przerażona.

Spróbowała więc teraz pomyśleć o Kevinie i zastanawiała się, czy dobrze bawi się w Michigan.

Próbowała wyobrazić sobie, co robią jej przyjaciele w Baltimore. Nawet próbowała myśleć o Mahlerach i o tym, jacy byliby wściekli, gdyby się dowiedzieli, że nosi ten pierścionek.

I znów jej myśli powróciły do Judda. Kiedy pierwszy raz tańczyli, trzymał w dłoni jej rękę. Potem obejmował ją całą. Nie pamiętała, kiedy ostatnio tak tańczyła. Nie

była pewna, czy kiedykolwiek. To było prawie tak samo jakby się kochała.

Wciągnęła powietrze i właśnie miała je wypuścić, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Zamarła.

Pukanie rozległo lię znowu. Bezszelestnie wstała ze schodów, podeszła do drzwi i położyła płaską dłoń na świeżym drewnie.

Pamiętała głosy, które zeszłej nocy słyszała przez telefon, i zastanawiała się, czy powinna się bać. Jej serce sądziło, że tak. Zaczęło bić raptownym rytmem.

- Tak? - zawołała.

- To ja. - Głos był głęboki. Rozpoznała go natychmiast, tak samo jak w ciemnościach na skwerze.

Przyłożyła czoło do drzwi. Jej serce dalej biło szalonym rytmem, ale teraz z innego powodu.

Wiedziała, że **ma** przed sobą alternatywę. Mogła uciec, schować się i mieć nadzieję, że sobie pójdzie, albo otworzyć drzwi i wpuścić go do środka.

- Chelsea?

Wydała z siebie cichy dźwięk, w którym odezwała się jej samotność, pragnienie, pożądanie.

Zapukał ponownie, tym razem wolno i cicho, jak gdyby dokładnie wiedział, gdzie ona stoi.

Trzęsącą się ręką otworzyła drzwi. Nie odezwała się iłowem. Cofnęła się, niemal się schowała, kiedy wchodził do środka. Zamykając drzwi, stanęła z ręką na klamce, odwrócona do niego tyłem, z opuszczoną głową.

Czekała, żeby przemówił, ale on milczał. Milczenie było potwierdzeniem, po co przyszedł. Jej serce biło jeszcze szybciej, a w środku wzbierało coraz silniejsze podniecenie.

Dotknął jej włosów tak lekko, że w ogóle by tego nie poczuła, gdyby jej zmysły nie były nastrojone na najwyższy poziom. Podeszedł jeszcze bliżej, odgarnął włosy i dotknął łuku jej ucha.

Omiał nie umarła.

Ciągle próbowała złapać oddech, kiedy ją odwrócił. Wziął jej twarz w obie dłonie i uniósł do góry. W ciemności widziała tylko pałające oczy, ale czuła jego żar, tak

samo jak wtedy, gdy tańczyli. Dwie godziny, które minęły, mogły w ogóle nie istnieć. Wtedy pocałował ją, pozbawiając resztek tchu. Jego usta były równie mocne jak ciało, równie zmysłowe, płynne, męskie, a ich smak przypadł jej do gustu tak samo, jak wcześniej zapach Judda. Kolana się pod nią ugięły. Chwyciła się jego koszuli, żeby nie upaść. Kiedy w końcu uniósł głowę, była oszołomiona.

- Jeżeli cię jeszcze raz pocałuję - ostrzegł ją schrypniętym głosem - nie poprzestanę na tym. - Obserwował ją i czekał.

Chelsea wiedziała, że są dziesiątki powodów, dla których powinna mu powiedzieć, żeby odszedł, ale nie mogła sobie w tej chwili żadnego przypomnieć. Chciała, żeby ją obejmował, kochał się z nią i robił te wszystkie rzeczy, które sobie wyobrażała od pierwszego razu, gdy go tylko zobaczyła - i jeżeli było w tym coś złego, to znaczy, że życie jest tylko okrutnym żartem, a wówczas i tak jej egoizm byłby mało istotny.

- Pocałuj mnie jeszcze raz - wyszeptała.

Zaledwie zdążyła wypowiedzieć te słowa, opuścił głowę. Pocałował ją raz, potem drugi raz, inaczej, a potem trzeci raz, głębiej. Zsunął dłonie po jej plecach, zatrzymując na pośladkach, przygarnął ją jeszcze bliżej i zanurzył twarz w jej włosach.

- Co jest pod tym? - zapytał ochryple.

- Niewiele - odpowiedziała.

Jak zwykle bezceremonialny, wsunął ręce pod szlafrok i przejechał od szyi do bioder, dopóki pasek się nie rozwiązał, a szlafrok nie rozchylił. Równie bezceremonialnie spojrział na nią i w tym momencie Chelsea poczuła cień wątpliwości. Chciała, żeby Judd uznał, że jest piękna, ale jej ciało było dalekie od doskonałości. Szczególnie teraz. Nie było jeszcze oznak ciąży widocznych w talii czy na brzuchu, ale jej piersi stały się większe i zaczęła zauważać ślady cienkich niebieskich żyłek.

Jeżeli nawet on je zauważył, nie przeszkadzały mu, bo bez słowa opuścił głowę i kładąc rozpostarte dłonie na jej

nagich plecach, żeby przysunąć ją jeszcze bliżej, wziął jedną pierś do ust. Piersi miała teraz tak wrażliwe, więc zagryzła wargę, ale za nic w świecie nie odsunęłaby się od niego. Ssał je, drażnił brodawkę językiem, potem podniósł obie rękami i przeniósł usta na drugą.

Wtedy wykrzyknęła. Nie mogła się już powstrzymać. **To**, co robił, paliło jej wewnątrz. Wszystko w środku jej drżało, podobnie jak kolana. Trzymała się jego pleców, **bo** nadal była pewna, że za chwilę upadnie.

Wówczas uniósł ją w górę i, znając drogę, zaniósł po ichodach do sypialni. Mimo że światło było przyćmione, przez chwilę poczuła się zakłopotana, kiedy kładł ją na łóżku. Potem zaczął się rozbierać i błogosławiła światło. Miał niewiarygodne ciało. Ciemne włosy rozlewały mu się na klatce piersiowej, potem zwążyły i znów się rozszerzały. Miał przepięknie rzeźbione uda. Pomiedzy nimi był ciężki i twardy.

Załoczył prezerwatywę. Chciała mu powiedzieć, że ciąża nie jest problemem i że wierzy, że nie ma żadnej choroby. Ale zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, już był na łóżku obok niej i rozsuwał jej nogi.

Rozchylił szlafrok jeszcze szerzej, przeciągnął dłonią po piersiach, brzuchu, po pulsującym punkcie między nogami. Kiedy ją tam dotknął, zabrakło jej tchu, potem znowu, kiedy dotyk stał się mocniejszy, i znowu, kiedy odsunął rękę, napiął mięśnie i wszedł w nią.

Wystąpiła z brzegów. Tylko tak mogła opisać tę pełnię, która ją ogarnęła, kiedy on był w niej. Nigdy przedtem nie czuła się tak pełna, tak rozgrzana, tak oszołomiona. Jedno pchnięcie i prawie eksplodowała. Drugie - i tak się stało. Jej ciało stało się nieskończoną kaskadą rozkoszy. Jej umysł stał się białą plamą. Słyszała nieokreślony gardłowy dźwięk, ale nie wiedziała, co to takiego, aż fale się uspokoiły i uświadomiła sobie, że Judd oddycha równie gwałtownie jak ona.

Jednoczesny orgazm. Nie mogła w to uwierzyć. Orgazm, kropka. Była oszołomiona. Nie była oziębła, ale

do tej pory musiała zawsze tak ciężko pracować, żeby cokolwiek odczuć.

Judd przycisnął biodra do jej bioder, rozkoszując się jeszcze przyjemnością, ale kiedy zrobił ruch, żeby z niej wyjść, ścisnęła nogi. - Poczekaj - wydobyła z siebie. Nawet jego ostatni ruch dotknął czegoś ciepłego i nadal wrażliwego. Nie chciała, żeby to się kończyło.

Potem zdała sobie sprawę, że prawdopodobnie on nie będzie odczuwał tego co ona, rozluźniła więc nogi i wyszeptała: - Przepraszam.

Leżał na niej jeszcze przez minutę, a mięśnie jego ramion nadal lekko drżały. Myślała, że może i on nie chce jej opuścić, kiedy odsunął się, zszedł z łóżka i wszedł do łazienki.

Chelsea naciągnęła kołdrę. Nie chciała rozmyślać, zamartwiać się ani przewidywać. Skupiła się cała na pełnym zadowolenia spokoju, który ogarnął jej ciało, i nie spuszczała wzroku z drzwi do łazienki.

Po minucie wyłonił się stamtąd i szedł ku niej wolnym krokiem. Inny tak męski facet mógłby być arogancki, ale nie Judd. Nie był też zakłopotany. Akceptował swoje ciało, swoją zmysłowość i najwyraźniej także to, co przed chwilą zrobili.

Stanął po jej stronie łóżka. Ciemne oczy patrzyły na nią. Usłyszała jego niski głos.

- Mam iść?

Potrząsnęła głową. Chciała go znów dotykać, rozpaczliwie tego chciała.

Odsunął poduszkę i wszedł do łóżka. Wstrzymywała oddech, dopóki nie wyprostował ramienia. To wystarczyło, było zaproszeniem, żeby się do niego przytulić. Jej policzek spoczął na jego piersi, jej udo pomiędzy jego udami. Wdychała jego zapach, wydając zadowolone westchnienia.

- W porządku? - zapytał.

Kiwnęła głową. To było coś więcej niż „w porządku”. Była w siódmym niebie.

Przesunęła lekko ręką po jego skórze, po włosach na piersi, po twardej brodawce, która tam się kryła.

Nie

była w stanie dalej się opierać, przesuwała więc rękę niżej, po gładziej skórze wokół talii i na biodrze, patrząc z fascynacją na wszystko, czego dotykała. Nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek widziała równie dobrze zbudowanego mężczyznę. Co prawda nie widziała tabunów nagich mężczyzn, ale ci, których widziała, nie dorastali Juddowi do pięt.

Objął ją mocniej. Spojrzała na niego. W słabym świetle zobaczyła w jego oczach to samo, co przed chwilą. Widziała między jego udami. Była oczarowana jego ciepłem, jego siłą i tym, jak na nią działa. Leciutko naciskając dłonią, przysunął ją dostatecznie blisko, żeby ją mógł pocałować. Badał jej usta pocałunkami, głęboko, ale niespiesznie. Potem zmienił pozycję tak, że leżeli twarzą w twarz, i dotykał jej ciała, patrząc na nie w taki sam sposób, jak przed chwilą robiła to ona.

Tym razem połączyli się bardziej leniwie, ale nie mniej namiętnie. Czas, który poświęcili na budowanie napięcia, leniwy dotyk, głębsze pieszczoty - wszystko to sprawiło, że orgazm był jeszcze potężniejszy. Tym razem Judd nie wyszedł z łóżka tak szybko. Obejmował ją jeszcze przez chwilę, a to było cudowne. Nie wiedział o tym, bo jej dobrze nie znał, ale dla Chelsea przytulanie się było prawie tak samo przyjemne jak seks. Chciała mu

o tym powiedzieć. Chciała mu powiedzieć o wielu rzeczach. Chciała go zapytać o wiele rzeczy. Ale on nie przejawiał skłonności do rozmowy, więc była cicho.

W pewnej chwili zdrzemnęła się i obudziła, czując, że jego ręce znów ją pieszczą. Wydawał się zafascynowany jej ciałem, co, jak Chelsea uznała, było sprawiedliwe, bo i ona odczuwała to samo. Miała orgazm, kiedy pieścił ją ręką między nogami, potem znów, kiedy wspiał się na nią, zgiął plecy i zaczął wykonywać mocne ruchy. Podobnie jak wtedy, kiedy tańczyli, znajdował idealny rytm. Być prowadzoną przez niego było dla Chelsea równie naturalne jak oddychanie.

Tuż przed świtem wstał i się ubrał. Pochylił się nad nią, w niemym pożegnaniu dotknął palcem jej ust i wyszedł.

Wstała z łóżka, włożyła szlafrok, nieprawdopodobnie pognieciony, ale przesiąknięty zapachem ich namiętności, i zeszła na dół. Stała w oknie salonu i patrzyła, jak tylne światła blazera znikają w mroku.

Przez jakiś czas stała tam, zastanawiając się nad tym, co zrobiła i jakie to będzie miało znaczenie. Ani przez minutę nie żałowała przyjemności. Jej ciało nadal było rozluźnione, jej wnętrze pełne. Żałowała tego, że nie była całkiem szczerą - powinna była powiedzieć Juddowi, że jest w ciąży - ale to było do naprawienia. Kiedyś mu o tym powie. Jeżeli jeszcze kiedyś będą razem, z pewnością mu o tym powie. Podobnie jak Kevinowi. I Carlowi.

Właśnie miała odwrócić się i odejść od okna, kiedy rzuciło jej się w oczy migoczące światełko. Było tylko nieco mocniejsze niż refleksy pierwszych promieni wschodzącego słońca, pojawiało się i znikało, kiedy powiew kołysał drzewami na pagórku powyżej jej domu. Wpatrzyła się w nie, czekając, aż znów się pojawi. Gdy je znów zobaczyła, poczuła niepokój. Na wzgórzu był motocykl Huntera Love.

Kiedy patrzyła, wsiadł na motocykl i zjechał po spadzistej drodze, zyskując na tyle dużą szybkość, że nie musiał zapalać silnika aż do chwili, kiedy niemal zniknął z jej pola widzenia. Dźwięk był na tyle nikły, że gdyby się nie wsłuchiwała, mogłaby go w ogóle nie usłyszeć. Wpatrywała się w pojedyncze światełko, dopóki nie zniknęło, ale nadal stała przy oknie, usiłując uporządkować myśli, a potem zadumana, wolno, weszła na schody.

ROZDZIAŁ 13

Nie tylko Chelsea dumiała.

Dwie godziny później, tuż przed siódmą rano, Judd siedział nad kubkiem mętnej, gorącej kawy w swoim Itałym boksie u Crockera. Miejsce miało zapach bekonu i słodkich bułek i było napakowane robotnikami z kamieniołomów, których rozmowy zlewały się w jedno niewyraźne dudnienie, przerywane dzwonieniem widelców i noży. Niezmiennność tego miejsca przyniosła Juddowi ulgę po ostatniej nocy.

Wahadłowe drzwi otworzyły się i znów zamknęły. Hunter pojawił się w przejściu i wsunął się do jego boks. Usadowił się w kącie, pomiędzy przepierzeniem a ścianą, zdjął okulary przeciwsłoneczne i rzucił je na stół. Rozejrzał się wokoło i popatrzył na innych mężczyzn, spojrzał na Debbie Pepper, która przyniosła mu kawę, zagapił się na kawę, od czasu do czasu wypijając łyk, aż do czasu kiedy Debbie wróciła z jajecznicą. Zjadł połowę porcji, a potem głosem, którego nie można było usłyszeć poza boksem, powiedział: - Muszę ci to przyznać. Szybki jesteś.

Judd wiedział, że coś go nurtuje, ale nie przypuszczał, że to było właśnie to. Wykorzystując nikłą szansę, że się myli, zapytał: - Mógłbyś powiedzieć o tym szerzej?

Hunter zjadł jeszcze trochę jajecznicy i powiedział:

- Spędziłeś noc z Chelsea Kane.

Judd wypił łyk kawy. Nie był jeszcze gotów, żeby omówić tę noc z sobą samym, a co dopiero z kimś innym.

- Kto ci o tym powiedział?

- Nikt. Widziałem.

- Widziałeś?

- Siedziałem na wzgórzu.

Judd zastanawiał się, jak wiele widział. W oknach Chelsea nie było firanek, a przez większą część nocy

palilo się światło, co oznaczało, że byli widoczni jak rybki w akwarium. Ogarnęła go wściekłość, uczucie, że jego intymność została naruszona, ale nie podnosił głosu.

- Więc to w taki sposób szukasz rozrywek. Bawisz się w podglądacza?

- Nic nie widziałem. Tylko światło w oknie sypialni i blazera, który przez całą noc stał przed domem.

- Dźgnął widelcem jajko. - Dobra była?

- To nie twój cholerny interes - wymamrotał Judd i zacisnął palce wokół kubka z kawą. Czy była dobra? Była niewiarygodnie dobra i wściekło go to prawie tak samo jak wścibstwo Huntera.

- Zazwyczaj nie zostajesz z nimi przez całą noc - powiedział Hunter.

- Na miłość boską, co to za komentarz? Hunter wzruszył ramionami.

- Przedtem też za mną chodziłeś?

- Tym razem też nie chodziłem za tobą. Po prostu pojechałem tam i zobaczyłem blazera.

- Więc zostałeś, żeby się pogapić.

Znowu wzruszył ramionami. - To była ładna noc. Nie miałem nic lepszego do roboty. - Dłubał w jajecznicy.

- Nie sądziłem, że będzie taka łatwa.

Judd wiedział, że to nie miało nic wspólnego z tym, czy była łatwa, czy nie. Wola i świadomość nic tu nie miały do powiedzenia. Może gdyby z nią nie tańczył, gdyby nie przytulał jej tak mocno, nie dotykał jej skóry i nie wachał włosów, może byłby w stanie jeszcze trochę poczekać. Jednak reakcja chemiczna już trwała. Była to tylko kwestia czasu.

- Czego ona chce? - zapytał Hunter, wyraźnie teraz poważniejszy.

- A niby skąd, do diabła, ja mam wiedzieć - warknął Judd i wpatrzył się w swoją kawę. Wydawało mu się, że zna Chelsea, wydawało mu się, że jest typową kobietą z miasta, wydawało mu się, że jest taka sama jak Janinę. Lecz w jego ramionach nie była ani trochę taka jak Janinę. Była szczera, otwarta i spragniona. Janinę pod-

nosiła się w momencie, kiedy było skończone, zapalała papierosa, wychodziła z łóżka, żeby zatelefonować, napisać notatkę czy umyć włosy. Chelsea nie. Chelsea przytulała się do niego, jak gdyby bliskość była jedyną istotną rzeczą na świecie.

Nigdy by się tego nie spodziewał. Ale cóż on mógł wiedzieć? Chelsea była tajemnicą. Wiedział o niej bardzo mało - poza tym, że była ostatnią kobietą, z którą chciałby mieć romans.

- Ona na coś leci - powiedział Hunter, marszcząc brwi.

Judd był otwarty na sugestie.

- Na przykład na co?

- Nie wiem. Ale coś jest. Z jakiego innego powodu by tu była? Mogłaby robić dokładnie to samo u siebie, w Baltimore.

Kiedy Judd z nią zaczął, wspomniała, że straciła troje bliskich. Jedną z nich była matka. Zastanawiał, kim było pozostałych dwoje.

- Jak długo tu zostanie? - zapytał Hunter.

- Skąd ja, do diabła, mam wiedzieć?

- Bo to ty ją pieprzysz.

To słowo zazgrzytało w mózgu Judda, zabrzmiało ordynarnie i niesmacznie. To nie znaczyło, że między Chelsea a nim istniało coś więcej niż pociąg fizyczny, ale mimo wszystko to było niewłaściwe słowo. Chelsea Kane miała klasę. Nie było w niej nic ordynarnego ani nieokrzesanego. Kochała się z nim jak delikatna, ciepła kobieta, która miała wiele do ofiarowania - albo była doskonałą aktorką.

Chciałby wiedzieć, co jest prawdą.

Rozdarty, poirytowany, ze ściśniętym żołądkiem, ze świeżym wspomnieniem ciała Chelsea pod sobą, Judd popatrzył ostro na Huntera. Ręce zacisnął na kubku. Wydobył się z niego ochryply szept. - Coś ci powiem, koleś, i chcę, żebyś słuchał mnie uważnie. Nie raz i nie dwa z twojego powodu nadstawiałem karku i nie dlatego, że ktoś mi kazał. Gdybym słuchał starego, to byłbyś operatorem wózka widłowego. Ale

ja myślałem, że zasługujesz na coś lepszego. Kryłem cię przez całe lata, kiedy ty robiłeś głupoty, tak żeby nic do starego nie dotarło. I teraz ja nie chcę, żeby do starego, lub do kogokolwiek innego, dotarło cokolwiek o tym, co widziałeś na tym wzgórzu zeszłej nocy. To nie czyjkol-wiek cholerny interes. To, co ja robię w moim wolnym czasie, to moja sprawa. To, co ona robi w swoim wolnym czasie, to jej sprawa. - Nadal ściskając kubek, wyprostował ostrzegawczo palec w stronę Huntera. - Otwórz tylko gębę, a zobaczysz. Będziesz ty i stary, i nikt pomiędzy wami.

Hunter przeciągnął się w kącie boksu, wyglądając na rozdrażnionego.

- Dobrze - powiedział Judd. Wypił resztkę kawy.

- Masz zamiar dalej się z nią spotykać?

Judd z trzaskiem odstawił kubek. Sam nie wiedział. Chciało mu się wrzeszczeć. - A co ciebie to obchodzi? Hunter wzruszył ramionami.

- Czy mimo wszystko ona cię interesuje? - zapytał Judd. Gdyby odpowiedź byłaby twierdząca, Judd był gotów walczyć. Był pierwszy. Zresztą nie był w stanie sobie wyobrazić, że między Chelsea i Hunterem mogło istnieć takie samo zauroczenie. Co prawda, coś istniało. Przypomniawszy sobie, jak tych dwoje wyglądało, kiedy przelatywali z hukiem na motocyklu, jak pasowali do siebie, niczym dwa ziarenka grochu w strączku. Nie było w tym jednak nic seksualnego.

- Nie w ten sposób - Hunter był dostatecznie szczery, żeby to przyznać.

- Więc w jaki sposób?

Hunter spojrzał z roztargnieniem na mężczyzn siedzących przy barze. Obserwował B.J., potem obserwował Debbie, jak przechodzi między boksami roznosząc kawę. Im dłużej zwlekał z odpowiedzią i z im większym roztargnieniem obserwował otoczenie, tym bardziej Judd chciał wiedzieć, w jaki sposób Huntera interesuje Chelsea.

- W jaki sposób? - powtórzył.

- Sam chciałbym wiedzieć - powiedział Hunter. Judd zaklął z bezsilności.

- Co chcesz, żebym ci powiedział? - zapytał poirytowany Hunter. - Coś w niej jest. Nie wiem co, ale coś jest. Chciałbym, żeby była nieprzyjemna, ale nie jest. Jest taka miła... - Przerwał, a słowo „miła” zawisło w powietrzu niczym coś złowieszczonego.

Tak jak przedtem, Judd pomyślał o syrenie, która wabiła mężczyzn ku zniszczeniu. Janinę prawie go zniszczyła. Nie miał zamiaru pozwolić, żeby to się znów zdarzyło. Najpraktyczniejszym rozwiązaniem byłoby pozbycie się Chelsea Kane z miasta, tak szybko jak tylko możliwe.

Mając to na uwadze, zapytał: - Ile jeszcze czasu potrzeba na wykończenie jej domu?

- Cztery, może pięć tygodni.

- W tym czasie w szopie już będzie można ciąć kamień. Zatrudniłem trzech mężczyzn do obróbki, ale potrzebujemy jeszcze sześciu. Myślałem o ustawieniu Boggsa i Deagana na piłach. Mają dobre oczy i dobre ręce i potrzebują stałego dochodu. - Obaj mężczyźni mieli duże rodziny, a to pozwalało przypuszczać, że można będzie na nich polegać, że będą dobrze pracować. Obróbka kamienia będzie dla nich awansem. Cieszyło to Judda. - Na mojej liście jest jeszcze dziesięciu innych mężczyzn. Paru z nich to drobni kamieniarze - coś w rodzaju artystów - są jednak bardzo ważnym ogniwem w tej operacji. Chcę, żebyś z nimi odbył rozmowy w tym tygodniu. Wiesz, kogo mi potrzeba.

- Jestem zajęty w Boulderbrook.

- Zrób tak, żebyś znalazł czas.

- Próbujesz mnie od niej odciągnąć? - zapytał Hunter.

- Nie - powiedział wolno i wyraźnie Judd. - Chcę ^ w naszej części zatrudnić dobrych ludzi, żebyśmy mogli wygrać z nią zakład i pozbyć się jej w diabły z Norwich Notch. Możesz mi oszczędzić czasu, robiąc wstępny odsiew. Zrobisz to czy nie?

Chelsea najbardziej dręczył Carl - nie to, że mógłby się dowiedzieć, że była z Juddem albo że nosiła jego dziecko, kiedy była z Juddem, ale to, że Carl był dla niej symbolem tego, w jaki sposób ludzi powinien połączyć seks. Kobieta powinna najpierw poznać mężczyznę, a potem, jeżeli miała na to ochotę, mogła z nim pójść do łóżka. Tak było z paroma innymi mężczyznami, z którymi w ciągu tych wszystkich lat była, a już szczególnie z Carlem.

Nigdy nie trafiła do łóżka mężczyzny, którego ledwie знаła. Nawet w najbardziej szalonych okresach życia. Nie, dopóki nie pojawił się Judd. I było to takie dobre. Takie dobre.

Istniało pytanie, co dalej z tym robić. Prześladowało ją, kiedy pracowała tego dnia w biurze na strychu, mimo że wyłoniło się wiele spraw, które mogły odwrócić jej myśli. Nadchodziły pierwsze odpowiedzi od architektów, z którymi się skontaktowała, ale żaden z nich nie zwrócił się z dużą inwestycją, na którą liczyła. Co prawda wiedziała, że jest jeszcze wcześnie. Wiedziała, że nie może liczyć na dużą sprzedaż, dopóki nie będzie miała towaru do zaprezentowania, a było to niemożliwe, dopóki na dobre nie rozpocznie się obróbka kamienia. Jednak chciała, żeby ludzie kupowali choćby małe ilości i w ten sposób zapoznawali się z jej ofertą. Chciała też sama mieć do zaprojektowania jakąś dużą inwestycję, żeby w pełni móc sprawdzić wartość granitu. Wykonywała więc jeszcze więcej telefonów, co było działalnością zgoła bezsensowną, gdyż wkrótce zrozumiała, że wszyscy najwyraźniej przedłużyli sobie święto. Zabrała się więc do pisania nowych listów, a między jednym a drugim wykańczała wstępny projekt letniego domku wielkości pałacyku dla klienta z Nan-tucket. Powinna więc być całkowicie zagłębiona w pracy, jednak za każdym razem kiedy słyszała kroki na schodach, wstrzymywała oddech. Tak samo, kiedy szła z czymś do Fern, albo kiedy szła ulicą, żeby pogadać

z Donna w domu towarowym, albo kiedy zatrzymała się W piekarni po świeży rogalik. Miała nadzieję, że zobaczy Judda. Myślała, że przyjdzie. Ale nie było go nigdzie w pobliżu.

Był Hunter. Wpadł wczesnym popołudniem i przez chwilę przechadzał się po pokoju, przyglądając się ilustracjom projektów, które wykonała, dyplomom i świadectwom nagród w ramkach. W końcu przysiadł na rogu jej biurka pod komputer i leniwie otaksował ją od stóp do głów.

Wiedziała, o czym myśli. Ubiegła go i zapytała: - Może zechciałbyś mi wyjawić, co też robiłeś na moim wzgórzu zeszłej nocy?

Jeżeli nawet był zdziwiony, że wie, nie okazał tego. Nonszalancko wzruszył ramionami. - Jeździłem sobie na motocyklu, aż wylądowałem właśnie tam. Muszę powiedzieć, że byłem zaskoczony, kiedy o drugiej nad ranem zobaczyłem tam blazera.

Nie dała się sprowokować do wyjaśnień, ale pytała dalej: - Dlaczego jeździłeś sobie o tej godzinie?

- Nie sypiam dobrze. Jazda mnie odpręża.

- Ludziom w mieście musi się to szalenie podobać. Posłał jej krzywy uśmiech. - No.

- Dziwi mnie, co prawda, że podjechałeś pod mój dom, pełen strachów, które mówią w nocy „buu” i takich tam rzeczy.

Jego uśmiech zbladł. - To ty byłaś w domu. Ja byłem na wzgórzu.

- Więc co sobie pomyślałeś, kiedy zobaczyłeś blazera Judda?

- Że już dawno temu wyjechałaś z miasta i potrzebowałaś, żeby cię ktoś szybko przeleciał. Tylko to nie było tak szybko, prawda?

Pomyślała, ile razy kochali się z Juddem, i poczuła na twarzy falę ciepła. - To, co powiedziałaś, nie było specjalnie taktowne z twojej strony, Hunter.

Wzruszył ramionami i odwrócił wzrok. - Sama o to pytałaś.

Prawdopodobnie miał rację. Sama prosiła się o tego typu komentarz - prawdopodobnie dlatego, że chciała wiedzieć, co by było, gdyby reszta miasta się o tym dowiedziała. - Mimo wszystko się mylisz. Nie muszę być przelatywana, jak ci się to wydaje. Stało się, co się stało. Nie mam zwyczaju zabawiać się z mężczyznami, których prawie nie znam. - Nie wiedziała, dlaczego usprawiedliwia się przed Hunterem, ale robiąc to poczuła się lepiej. Z tego samego powodu powiedziała: - Czujemy do siebie silny pociąg. - A potem: - Czy tobie nigdy coś takiego się nie zdarzyło?

- Ja jestem mężczyzną - powiedział potwierdzając.

- To seksistowska uwaga - napomniała go. - Pociąg fizyczny może być równie silny bądź niespodziewany u kobiety jak u mężczyzny.

- Ale mężczyzna odczuwa satysfakcję, kiedy po prostu ma to z głowy. Kobieta potrzebuje czegoś więcej.

- Czasami - powiedziała Chelsea. Zastanowiła się przez sekundę i przyznała: - Zazwyczaj tak. Ale nie zawsze.

Wtedy przypatrzył się jej, spoglądając bardziej w nią, niż na nią. - Co czujesz w stosunku do Judda?

- Nie znam go dostatecznie dobrze, żebym cokolwiek mogła powiedzieć.

- Ja go znam. Powiem ci, co będziesz chciała wiedzieć.

Poszukiwała na jego twarzy szyderstwa, obłudy czy perfidii, ale na próżno. Wyglądało na to, że jego oferta była szczerą. Co więcej, wyglądało to tak, jakby naprawdę chciał jej powiedzieć. Przypomniało jej się, jak zachowywał się wczoraj po południu, mówiąc jej o rzeczach, o których wątpiła czy rozmawiał z innymi ludźmi. Wyobrażała sobie, że szczerze chciał się jej zwierzyć.

Zadowolona z tego powodu, spojrzała mu w oczy i powiedziała: - Chcę wiedzieć, czym się zajmuje w wolnym czasie i dlaczego się nie ożenił?

- Był kiedyś żonaty.

- Coś ją ścisnęło w żołądku. - Kiedy?

- Kiedy był w Pittsburghu. Chodzili ze sobą na uniwersytecie i pobrali się, kiedy ona zrobiła dyplom. Przeprowadził ją potem przez studia prawnicze. Ona przeprowadziła go przez piekło.

Chelsea pomyślała o Hailey, prawnicze, która wydawała się całkowicie uszczęśliwiać Carla. - Co masz na myśli?

- Ona go wykorzystywała. Kiwnęła na niego palcem, kiedy potrzebowała towarzystwa, żeby gdzieś iść, albo wymówki, żeby nie iść gdzie indziej. Pojawiała się, kiedy miała ochotę, co, jak on twierdzi, nie zdarzało się zbyt często. Na początku utrzymywała, że chce dzieci, a potem wmieszała się w lokalną politykę. Kiedy stary Leo zachorował i Judd tu wrócił, poszła inną drogą.

- Leo?

- Leo Streeter. Ojciec Judda.

- Judd się nim opiekował?

- Nadal się opiekuje.

Chelsea zmarszczyła brwi. - Czy on jeszcze żyje?

- Teoretycznie. Ma chorobę Alzheimera. Westchnęła. Nie wyobrażała sobie Judda z ojcem, a tym bardziej z ojcem tragicznie chorym.

- To dlatego Judd wrócił. Przypuszczam, że jak tylko stary Leo umrze, wyniesie się stąd. Judd ma zbyt dużo napędu, żeby spędzić resztę życia w takim miejscu jak Norwich Notch.

Chelsea nie była jeszcze gotowa przejść do tego tematu. - Choroba Alzheimera. To okropne. - Nawet nie potrafiła sobie wyobrazić rozpacz z tym związanej. Sytuacja Abby była inna. Chelsea nie była pewna, co jest gorsze - widok szwankującego ciała, gdy umysł jest w pełni sprawny, czy odwrotnie. - On jest teraz w domu?

Hunter przytaknął. - Judd zatrudnia ludzi, żeby go pilnowali. On wędruje.

- Wędruje?

- Spaceruje o dowolnej porze dnia lub nocy. Po prostu wychodzi za drzwi. Nigdy nie wie, dokąd idzie, nigdy nie wie, czy w ogóle idzie i nigdy nie wie, jak daleko

zajdzie, zanim zostanie znaleziony, ale Judd się boi. Jest przywiązany do staruszka.

Chelsea przypomniała sobie pytania, które zadawał Judd, kiedy opowiadała mu o Abby. Powinna była zgadnąć, że za nimi kryje się coś więcej niż pusta ciekawość. Odeszła od rajzbretu i zbliżyła się do okna. To było pochmurne popołudnie, zamglony i szary widok nie miał nic z krystalicznej czystości. I ona się czuła tak samo. Formowała sobie jakieś wyobrażenia, okazało się, że bezpodstawnie. -

Założyłam, że jego matka też nie żyje. To prawda?

- Tak. Ale on jej prawie nie znal. Odeszła od nich, kiedy miał cztery lata.

Chelsea odwróciła się, przelękając ślinę. - Tak zwyczajnie... odeszła?

- Nie mogła znieść tego miasteczka. Pochodziła z rodziny, która tu zawsze przyjeżdżała na wakacje. Pobyty w lecie to zupełnie co innego niż mieszkanie tutaj przez okrągły rok. Zakochała się w Leo, wyszła za niego, urodziła mu dziecko, a potem zaczęła wariować.

- Ale jak mogła opuścić swoje dziecko? - Chelsea nie była w stanie tego pojąć. Oddanie dziecka tuż po urodzeniu, tak jak to zrobiła jej matka, to jedna sprawa, natomiast porzucenie czterolatka, który miał imię, zarysowaną osobowość, z którym się czuło więź, to coś zupełnie innego.

Hunter nie odpowiedział. Wbił oczy w podłogę, zmarszczył czoło, a dłonie schował pod pachami.

Chelsea przypomniała sobie, co Margaret mówiła o jego matce, i zastanawiała się, o czym on teraz myśli. Właśnie próbowała podjąć decyzję, czy powinna go zapytać, czy nie, kiedy powrócił ze świata marzeń.

- Co jeszcze?

Podeszła do niego i właśnie miała przysiąc na skraju biurka, kiedy przypomniała sobie, że on nie lubi być dotykany. Przesiadła się trochę dalej. - Czy Judd ma rodzeństwo?

Hunter potrząsnął głową.

- Co się stało z jego żoną?
 - Oskarżyła go, że ją porzucił i rozwiodła się z nim.
 - Czy on ją nadal kocha?
 - Nie. Według niego sprawa z Janiną to błąd w ocenie. Drugi raz takiego błędu nie popełni.
- Coś w spojrzeniu Huntera spowodowało, że Chelsea dziwnie się poczuła. - Czy to ma być ostrzeżenie? Wzruszył ramionami.
- Jedna wspólna noc nie daje podstawy do takiego ostrzeżenia, Hunter.
 - To ty zadajesz pytania. Coś ci chodzi po głowie.
 - Nic szczególnego - zapewniła go. - Z całą pewnością nic szczególnego. - W nadchodzących miesiącach spodziewała się dostatecznie wielu zajęć, nawet bez intensywnego romansu.
 - Założę się, że chciałabyś wiedzieć, z kim jeszcze się spotyka.
- Pewnie, że chciała wiedzieć, ale nie miała najmniejszego zamiaru dawać tego Hunterowi do zrozumienia. - W gruncie rzeczy - powiedziała i ośmieliła się przysunąć odrobinę bliżej do rogu biurka - chcę wiedzieć, z kim ty się spotykasz. Dlaczego jeszcze się nie ożeniłeś? Dlaczego nie masz dzieci?
- Ja?
 - Tak, ty. Osiągnąłeś już odpowiedni wiek. Wszyscy wokół mają rodziny. Dlaczego ty nie?
 - Nie wiedziałbym, co mam robić z dziećmi.
 - Nauczyłbyś się.
- Poszedł w kierunku schodów. - Nie chcę się uczyć.
- Do diabła, dlaczego odchodzisz?
 - Dlatego, że nie mam już nic do powiedzenia. Przebiegła pokój w pogoni za nim. - Ale ja lubię rozmawiać. - I była zmęczona, taka zmęczona samo* tnością.
 - Więc rozmawiaj - powiedział, kiedy zaczął schodzić ze schodów.
 - Z kim? - zawołała za nim. - Tu nikt nie rozmawia. Całe miasto to zimne ostrygi.

- Więc wracaj do Baltimore - powiedział i zniknął piętro niżej, a ona chwyciła poręcz i patrzyła za nim w dół.

Coś w niej pękło. Po całych tygodniach, kiedy to wszyscy się na nią gapili, wszyscy o niej mówili, ale i wszyscy ją ignorowali, odejście Huntera odebrała jako jeden afront za wiele.

Odwróciła się i obrzuciła pokój sfrustrowanym spojrzeniem. - Duży błąd - wymamrotała, podchodząc z powrotem do rajzbretu. - Nigdy nie powinnam była tu przyjeżdżać. - Zgasiła światła po obu stronach. - Jestem towarzyska. Potrzebuję kontaktów z ludźmi. Potrzebuję więzi, porozumienia i ciepła. Potrzebuję rozmowy. - Złapała aktówkę i zbiegła po schodach.

- Wychodzę - powiedziała do Fern, nie przejmując się tym, że była bardziej szorstka niż zazwyczaj. Wszyscy w tym mieście byli szorstcy, więc ona też mogła.

Pathfinder był zaparkowany na podjeździe obok Cechu Kołdrzarek. Wrzuciła aktówkę na siedzenie, zawróciła i odjechała. Cały czas trzymała nogę na gazie, dopóki nie dojechała do domu. Kręciło się tam kilku robotników, kładąc przewody elektryczne w kuchni i układając różową warstwę izolacji pomiędzy kołkami w ścianie salonu. Minęła ich bez słowa, poszła prosto do sypialni, gdzie zrzuciła ubranie, włożyła koszulkę, szorty i adidas, a potem minęła robotników zbiegając na dół i wybiegła z domu.

Powietrze było wilgotne i gęste. Przedzierała się przez nie, przyspieszając i utrzymując szybkie tempo. Wyczerpanie było dla niej lekarstwem. Po dziesięciu minutach była cała zlaną potem, ale czuła się tak dobrze, że zignorowała odległe dudnienie grzmotu i biegła dalej. Trzymała się głównej drogi za miasto, dopóki nie zobaczyła znajomego odgałęzienia. To tam zabrał ją Hunter na motocyklu.

Skreśliła tam, a kiedy nogi zaczęły jej omdlewać z wysiłku spowodowanego wspinaczką, skreśliła w kolejną boczną dróżkę, tym razem płaską. Kiedy znów wróciła na główną drogę, była dalej od miasta niż się spodziewała.

Zmęczona, zawróciła. Niebo stawało się coraz ciemniejsze od gromadzących się deszczowych chmur. Raz zatrzymała się na odpoczynek. Usiadła na skale przy drodze z twarzą schowaną w dłoniach.

Samochody i furgonetki przejeżdżały obok. Niektóre zwalniały. Nie spoglądała na drogę, dopóki nie była gotowa do dalszego biegu, ale jej krok był już mozolny. Czuła się zniechęcona, przygnębiona zastanawianiem się, co też lukiego robi w Norwich Notch. Część rozważań obracała się wokół Judda Streetera.

Deszcz zaczął padać wielkimi chłodnymi kroplami, ule grzmoty były nadal odległe. Przemykały obok niej reflektory samochodów, oświetlały ją, a potem się od-iluwały.

Dobiegła już prawie do dróżki skręcającej do Boulder-brook, kiedy jakiś samochód zwolnił i nie wyprzedził jej. Pokazała gestem, żeby ją minął. Kiedy mimo to jechał za nią, spojrzała w tył. To był blazer, a w nim Judd. Z tym większą determinacją machała, żeby przejechał. Jeżeli nie miał dosyć odwagi, by stanąć z nią twarzą w twarz w biurze, to i teraz nie chciała go widzieć.

Minął ją, zatrzymał się i wrzasnął przez otwarte okno: - Wskakuj!

Mimo że deszcz padał coraz mocniej, zignorowała go. Nie zareagowała też, kiedy nacisnął klakson. Skreśliła na drogę do Boulderbrook, potem zwiększyła tempo, a on też. skreślił. Do domu zostało jej jeszcze kilkaset metrów. Pomyślała, że będzie musiała naprawdę się starać, żeby dobiec tam w cztery minuty, biorąc pod uwagę stopień jej zmęczenia. Chciała tylko gorącej kąpieli, kieliszka wina i chciała móc sobie popłakać.

Judd miał inne plany. Przyspieszył, ustawił blazera w poprzek drogi, wysiadł i podszedł do niej w deszczu. Próbowwała go w biegu ominąć, ale on sięgnął po jej ramię i wykorzystując jej własny impet, obrócił ją i przytrzymał przy sobie.

- Co ty, u diabła, robisz? - zapytał.

Szamotała się, żeby się uwolnić. - Puść mnie.

- Leje jak z cebra.

Próbowała się wyrwać, ale z mokrymi liśćmi pod stopami nie czuła się pewnie. - Zawsze biegam w deszczu.

- Idzie burza.

- Puść mnie, Judd.

Jego chwyt zacieśnił się. - Co się z tobą dzieje?

- Nie chcę cię widzieć! - zawołała. - Chcę pobiec do domu. - Znow próbowała się wyrwać, ale bez rezultatu. Jej kolana były jak z gumy, ale nie miało to nic wspólnego z bieganiem, za to miało wszystko wspólne z Juddem. Nawet w tej chwili, kiedy wbrew jej woli trzymał ją w deszczu, w środku stawała się miękka i ciepła. Usiłował doprowadzić ją do blazera, ale ona się nie dawała. - Cholera, Judd, pozwól mi iść! Znow przyciągnął ją bliżej i właśnie miał podnieść do góry, kiedy wysliznęła się. Złapał ją z powrotem w ciągu kilku sekund. - Nie mówiłaś tego zeszłej nocy - zarzucił jej, obejmując ją ramionami. Odepchnęła jego klatkę piersiową. - Zeszłej nocy mnie nie zmuszałeś.

- Teraz też cię nie zmuszam - zazgrzytał, kiedy ona znow prawie się wysliznęła. - Próbuję cię tylko wydostać z tej przeklętej burzy.

- Troska? - zawołała. Nagle ogarnęła ją fala tłumionych miesiącami emocji, które potrzebowały ujścia. -Czyżbym w twoim głosie słyszała troskę? Niemożliwe. Coś mi się chyba poplątało. W tym przeklętym miejscu nikt się o nikogo nie troszczy. Nikt nie mówi, nikt nie myśli, nikt nie czuje. Nie wiem, dlaczego wyobrażałam sobie kiedykolwiek, że będzie inaczej. Mój ojciec miał rację. Nie powinnam była tu przyjeżdżać. Wtedy nikt mnie tu nie chciał. I nadal nikt mnie tu nie chce.

Judd oparł ją o drzewo.

- O czym ty mówisz?

- Nie powinnam była tu przyjeżdżać.

- Prawda. Ale to zrobiłaś. - Rzucił przekleństwo. W następnej chwili ustami nakrył jej usta. Próbowała odwrócić głowę. Kiedy jej na to nie pozwalał, próbo-

wała zacisnąć usta, ale złamał jej upór lekkimi ukąszeniami pełnymi pożądania, aż z krzykiem porażki poddała się.

To, co się potem wydarzyło, było niczym błyskawica, która powinna była nadejść wraz z burzą.

Poczuła oślepiające uderzenie, intensywne pragnienie, a potem ciepło ogarniające całe jej ciało.

Zanim zdążyła się zorientować, co się dzieje, Judd ściągnął jej Borty i rozpiął swoje dzinsy. Uniósł ją z ziemi i wbił lię w nią.

Wykrzyknęła jego imię, trzymając się go z całych sił. Nie rozumiała, jak może go aż tak pragnąć, ale pragnienie wypełniało ją całą.

Głos miał chropowaty jak żużel. - Owiń nogi wokół mojego pasa, kotku... tak... tak... - Opierając ją o drzewo, wbijał się w nią raz za razem, aż z ostrym krzykiem osiągnęła orgazm. Po kilku sekundach potężnie w niej pulsował. Kiedy pulsowanie zanikło, jego całe ciało zaczęło się trząść.

- Jezu - odetchnął, a później powtórzył to samo Z drżącym westchnieniem.

Schwyciła go mocno za szyję, skłonna tak pozostać na zawsze. Deszcz padał na nich, ale nie mógł ugasić pełnego zadowolenia ciepła, które czuła w całym ciele.

- Chelsea?

Przyciskała twarz do boku jego szyi. - Hmmm?

- Nie używałem niczego. Czy to problem? Dopiero po minucie zrozumiała, o co mu chodzi. - Nie ma problemu - szepnęła miękko.

Minęło jeszcze kilka minut i pomógł jej włożyć szorty. Kiedy zapiął już dzinsy, poprowadził ją do blazera. Tym razem nie oponowała. Podczas krótkiej jazdy do domu na farmie przytuliła się do niego, a kiedy szli do środka, schroniła pod jego ramieniem. Poprowadził ją na górę do łazienki, gdzie najpierw rozebrał ją, a potem siebie. Kiedy już byli pod prysznicem, namydlił ją, splukał, delikatnie dzieląc włosy na pasma. W końcu wytarł ją do sucha ręcznikiem.

Była wyczerpana. Jeszcze nie było szóstej, ale kiedy ułożył ją obok siebie w łóżku, szybko zapadła w sen.

Judd nie spał, ale patrzył na śpiącą Chelsea. Intrygowały go szczegóły jej twarzy - delikatne jak papier powieki, łagodny łuk jej rozluźnionych ust, rumieniec na policzkach. Kiedy dotykał jej włosów, okręcały się wokół jego palca, jakby żyły własnym życiem. Kiedy przejechał ręką po jej barku, przerzuciła ramię przez jego klatkę piersiową, jak gdyby chciała go objąć jeszcze mocniej.

Jej potrzeba bliskości powinna go przytłaczać - był przekonany, że z czasem tak się stanie - ale w tej chwili nie miał nic przeciwko temu. Było to coś nowego. Nigdy tak nie przedłużał pobytu w łóżku z żadną kobietą, zazwyczaj kiedy tylko skończył się kochać, już go nie było. Zawsze niecierpliwił się, żeby już wyjść i móc odesłać do domu osobę, która pilnowała Leo.

W tej chwili się nie spieszył. Dobrze mu było z Chelsea przytuloną do niego. Jej ciało było ciepłe i miękkie, prężne jak u sportowców, ale kobiece. Przypuszczał, że częściowo za sprawą jej piersi. Były większe niż sobie wyobrażał. Nie z tych największych, ale było co dotykać.

Podobało mu się także jej łóżko. I jej pokój. Śmieszne, ale sądząc po tym, co zrobiła ze strychem w biurze, wyobrażał ją sobie jako białą damę - białe łóżko, biała pościel, białe ściany. Tam udało jej się stworzyć wrażenie otwartości. Tutaj stworzyła coś w rodzaju rdzawej kuli - i całkiem przeciwne wrażenie. I w dodatku pokój nie wywoływał klaustrofobii. Był przytulny. Zastanawiał się, czy taki był jej cel, czy właśnie tutaj znajdowała bezpieczne miejsce, kiedy ta jej ukryta przed innymi częścią potrzebowała ciepła.

Chelsea poruszyła się. Przeciągnęła się tuż obok niego, przytuliła się policzkiem do jego piersi i przyłożyła sobie pięść do oczu gestem, który tyle razy widział u dzieci. Potem otworzyła jedno oko. Kiedy uświadomiła sobie, gdzie jest, na chwilę zamarła, a potem odrzuciła głowę w tył i spojrzała mu w oczy.

- Która godzina? - wyszeptała.

- Koło ósmej.

- Nie miałam zamiaru zasnąć.

- Byłaś wykończona. - Nadal wygląda na zmęczoną, pomyślał. Brak makijażu ujawniał delikatne cienie pod Oczami. Zastanawiał się, czy zbyt ciężko pracuje, czy po prostu jest bardziej wrażliwa na napięcia niż sądził.

Przeciągnęła się, ziewnęła i znieruchomiła ze wzrokiem wbitym w jego klatkę piersiową. -

Przepraszam za to, co się stało. Przestałam się kontrolować. To nie zdarza mi się często.

Tak też mu się wydawało. - A czym to było spowodowane?

Przez chwilę nie odpowiadała. Widział drobną zmarszczkę pomiędzy jej oczami, powyżej gładkiej, prostej linii nosa. - Nie wiem. - Pomyślała chwilę i powiedziała: - Wpadł Hunter i rozmawialiśmy ze sobą, i musiałam trafić w jakiś jego czuły punkt, więc po prostu wyszedł. Wtedy uderzyło mnie, że ludzie w tym miasteczku robią to bardzo często i bardzo mnie to zezłościło.

Judd lubił jej głos. Był w nim i rytm, i melodia, a ona upierała się, że nie ma za grosz słuchu muzycznego.

- Lubię być otoczona ludźmi - wyjaśniła tak, że nie wymagało to odpowiedzi. - Lubiłam to od dzieciństwa. Byłam jedynaczką, więc może chodziło o bezpieczeństwo związane z przynależnością do grupy przyjaciół. Nie oznacza to, że kiedy zostawałam sama w domu, automatycznie byłam nieszczęśliwa. To znaczy, ja nigdy nie byłam całkiem sama w domu, zawsze była gosposia albo niania, albo ktoś taki, ale i tak wołałam spotykać się z przyjaciółmi.

Judd też był jedynakiem, lecz nie miał tyle szczęścia. Kiedy był mały, przez większość dni po szkole był w domu sam, ale oznaczało to, że rzeczywiście był sam, dopóki ojciec nie wrócił z pracy. Dopiero kiedy zaczął grać w koszykówkę, miał miejsce, dokąd mógł pójść. To tłało mu też poczucie przynależności. Rozumiał więc, co Chelsea ma na myśli.

- Lubię rozmawiać. Zamyśliła się na chwilę, a potem się roześmiała, jakby kpiąc sama z siebie, i wzburzyła mu przy tym włosy na piersi. - Oczywiście, moja matka taka była. Nie mój ojciec. Pracował ciężko w szpitalu i tam się tyle nagadał, że kiedy przychodził do domu, nie bardzo mu się chciało rozmawiać. Był na każde zawołanie matki, ale wydaje mi się, że głównie słuchał. - Znow zaśmiała się cicho, tym razem czule. - Biedny człowiek. Kiedy się z mamą rozgadałyśmy nie udałoby mu się wtrącić ani jednego słowa.

- Czy on jeszcze żyje?

- Uhm.

- W Baltimore?

- Czasami. Ostatnio nie całkiem. Właśnie przeszedł na emeryturę. Dużo podróżuje.

Judd czuł, jak wzbiera w niej jakieś ledwie wyczuwalne napięcie. Znow zmieniła pozycję, jak gdyby chciała stłumić jakiś ból.

- Brakuje mi go - powiedziała.

Więc jej ojciec był jednym z trojga, o których wspominała. - Mówił ci, żebyś tutaj nie przyjeżdżała? - Dawała do zrozumienia coś takiego, kiedy wygłaszała tę swoją tyradę w deszczu.

- Uważał, że powinnam była zostać w Baltimore.

- A kto tutaj ciebie nie chce? - Coś takiego też powiedziała.

- Wszyscy. Nikt. Nie wiem. - Zamilkła. Czekał, aż mu dokładniej wyjaśni, ale wyglądało na to, że cisza oznacza koniec rozważań na ten temat. Po namyśle zmieniła zdanie.

- Jest tyle rzeczy, których nie wiem. Na przykład nie wiem, co to ma być to coś, co istnieje między tobą a mną.

Sam nie wiedział, byli więc kwita.

- Nie robię zbyt często takich rzeczy, jak ostatniej nocy lub dziś - znow usłyszał śpiewny szept i tym razem słowa były bardziej konkretne, a tuż za nimi przyszła korekta. - Nigdy ich nie robię. Nie spodziewałam się tego. To nie dlatego jestem tutaj.

Znalazł pewne pocieszenie w tym, że i ona była bezradna i miała mieszane uczucia wobec tego ich Ztt uroczenia.

Spiesznie wyrzuciła z siebie kolejne słowa: - Byłam zła, że dziś rano nie wstąpiłeś do biura.

Wydawało mi się, że będziesz chciał coś powiedzieć albo upewnić się, że U mnie wszystko w porządku, albo porozmawiać, czy to miało jakiegokolwiek znaczenie i czy się jeszcze kiedykolwiek wydarzy. Miałam kompletny chaos w głowie, więc może i byłam nadwrażliwa. W dodatku Hunter mnie zirytował, więc wyszłam z biura, a potem poszłam pobiegać i zapuściłam się zbyt daleko, a potem ty przyszedłeś.

W uroczy sposób zabrakło jej tchu, ale tylko na chwilę. - Nie chcę się tak czuć. Nie chcę, żeby ktokolwiek pociągał mnie w ten sposób. Naprawdę nie chcę. Zbyt wiele dzieje się w moim życiu.

- Wydawało mi się, że powiedziałaś, że lubisz mieć przyjaciół.

- Tak. Ale my nie jesteśmy przyjaciółmi. Jesteśmy...

- Kochankami.

- Kochankami. A ja chcę przyjaciół. Chcę rozmawiać, bawić się, jeść z nimi kolację. Byłam przekonana, że przyjadę tu i poznam wielu ludzi, i tak się stało, ale poza Donną wszyscy trzymają się ode mnie z daleka. Co oni mają przeciwko mnie, oprócz tego, że jestem z dużego miasta i mam pieniądze, i że kupiłam udziały w Plum Ciranite?

Omam się nie roześmiał. W swoich słowach zawarła prawie wszystko. - W dodatku jesteś piękna. To ich irytuje.

Odrzuciła głowę w tył i zaoponowała: - Nie jestem piękna. Po prostu staram się jak najwięcej wydobyć z tego, co mam.

- To jedno i to samo.

- Więc co ich denerwuje?

- To, że ty masz więcej niż oni. Nawet gdyby kobiety tutaj miały tyle dobrego smaku, żeby osiągnąć takie

efekty, mężczyźni nie zarabiają dostatecznie wiele, by im zapewnić na to środki. Więc sytuacja jest patowa i trzymają się od ciebie z daleka.

Podniosła głowę. Jej głos był cichy i lekko urażony. - I zawsze już tak będzie?

Judd nie miał na to odpowiedzi. Odkąd pamiętał, Notch było zamkniętą społecznością. Sytuacja Chelsea była o tyle niezwykła, że ona kupiła sobie władzę. To mogło okazać się dobre lub złe.

- Czy dla ciebie ma to aż takie znaczenie?

- Umrę, jeżeli będę musiała spędzić następny rok mojego życia w samotności.

Chciał jej przypomnieć, że wcale nie musi tutaj zostać, że może w każdej chwili wracać do Baltimore. Nie zrobił tego. Nie był pewien, czy naprawdę chce, żeby tak szybko stąd wyjechała. Lubił ją trzymać w objęciach. W tej chwili to lubił.

- Nie musisz spędzać roku w samotności - powiedział.

- Ale nikt nie chce ze mną rozmawiać.

- Ja będę z tobą rozmawiał. Spojrzała na niego. - Naprawdę?

Drugi raz w ciągu ostatnich kilku minut wyglądała tak słodko, że omal się nie roześmiał. - W granicach rozsądku. Mój limit to trzy zdania pod rząd.

- Ach - westchnęła. Znów spuściła głowę i powiedziała jeszcze ciszej: - A co z resztą?

- Z jaką resztą?

- Z seksem.

Wtedy się roześmiał. Ten dźwięk go zaskoczył, bo od tak dawna nie słyszał go u siebie. Po prostu wyrwał mu się śmiech.

- Co w tym jest takie śmieszne?

- Sposób, w jaki wymawiasz to słowo. Jak gdyby to był obcy język.

- Dla mnie jest. Ta sytuacja też. Powiedziałam ci, Judd, nigdy przedtem nic takiego nie robiłam.

- Nigdy nie spałaś z podległym ci pracownikiem?

- Nigdy nie spałam z kimś, kogo dobrze nie znałam.

- Oparła się o jego klatkę piersiową. - Przed dzisiejszym dniem nie zamieniliśmy dwóch słów na krzyż. - To nieprawda.

- Nie o rzeczach istotnych.

- Czy praca jest nieistotna?

- Nie mam na myśli pracy. Mam na myśli sprawy osobiste. Takie jak, na przykład, twój ojciec.

Śmiech w nim zamarł. - Nie ma tu o czym mówić. Jest chory. To wszystko.

- Kto jest teraz z nim?

- Millie Malone.

- Czy ona zostaje z nim przez całą noc?

- Czasami.

- On ją lubi?

- Dlaczego o to pytasz?

- Dlatego, że nie chcę zabierać mu ciebie, jeżeli go to unieszczęśliwia.

Judd głęboko wciągnął powietrze. Zamknął oczy i przebiegł w pamięci te wszystkie lata, kiedy zastanawiał się, co Leo wie, czuje i myśli. - Nie jest nieszczęśliwy - powiedział w końcu, wiedząc, że to prawda. Leo nie rozpoznawał już, kto go karmi ani kto go myje, ani kto go kładzie do łóżka. W tym układzie to Judd był nieszczęśliwy. Odrzucił kołdrę i usiadł na brzegu łóżka. - Może nie powinniśmy w ogóle mówić. Mówienie jest czasem zbyt bolesne. - Ból nie znika, gdy go ignorujemy.

- Chwilami tak. - Spojrzał przez ramię i zobaczył ją siedzącą, odkrytą od bioder w górę, z burzą loków na głowie. - Chcesz wiedzieć, co to - omiół wzrokiem łóżko

- dla mnie znaczy? To znaczy kilka godzin z dala od bólu. Jeżeli potrafisz to zaakceptować, w porządku. Jeżeli nie, powiedz mi teraz i damy sobie spokój.

Zobaczył, jak przetyka ślinę, z wdziękiem zginając szyję. Obserwował jej oczy, jak przesuwają się po jego twarzy i przechodzą niżej, na szyję i barki. Zobaczył małą pulsującą żyłkę powyżej jej piersi; wtedy zwilżyła wargi

i znów podniosła oczy. - Potrafię to zaakceptować - wyszeptała.

Wierzchem dłoni potarł brodawkę jej piersi, wydobywając z jej gardła cichy jęk. Oczy jej się zamknęły, a oddech stał się szybszy. Odsunął rękę i czekał, aż wróci do siebie. Po minucie otworzyła oczy. Nie zmieszana, uklękła i przysunęła się do niego. Dotknęła jego klatki piersiowej, rysując duże koła, spiralnie schodzące w dół. Ręka minęła talię, i zatrzymała się na jego brzuchu.

Ujął jej rękę i poprowadził niżej. - Jestem za stary, żeby prowadzić jakieś gierki. A może za uczciwy. - Zacisnął jej dłoń na swoim członku i ugasił ogień, który trawił jego wnętrzności. - Mogę ci dać to. Tu ci mogę zapewnić satysfakcję. Niczego więcej nie mogę. - Zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, schwycił ustami jej usta i ssąc rozchylił je. Potem wypełnił je swoim językiem, bo lubił prostotę takiego sposobu całowania. Jeżeli jej to nie odpowiadało, niech lepiej powie mu teraz.

Oddała mu pocałunek. W ten sam sposób. Potem usiadła na nim i wzięła w siebie każdy cal największej erekcji, jaka mu się w życiu zdarzyła, i w ciągu kilku minut doprowadziła ich do orgazmu. A to udowodniło, że przemawiając niczym macho, w stylu „tylko to ci mogę ofiarować”, zachował się jak kompletny debil. I kiedy wracał w deszczu do domu, tym razem to nie Leo zaprzętał jego myśli.

ROZDZIAŁ 14

Stowarzyszenie Historyczne w Norwich Notch mieściło się w budynku w stylu federalnym, urządzonej jak prywatny dom.

Kiedy Chelsea się tam zjawiała, Margaret i dwie inne kobiety już siedziały przy ciemnym mahoniowym stole, zasypianym makulaturą, która wyglądała dziwnie znajomo.

- To z Cechu Kołodrzarek - zwróciła się do niej uprzejmie Margaret. - Bardzo rozsądne z pani strony, że kazała pani spakować i przechować rzeczy ze strychu. Znajdujemy tu skarby. - Zanim Chelsea zdołała dopatrzeć się tych skarbów, Margaret już ją przedstawiła swoim dwóm towarzyszkom, wprowadziła do salonu, a sama zniknęła w kuchni, idąc po świeżą herbatę. Wróciła z porcelanowym imbrykiem, podała Chelsea filiżankę i znów zniknęła. Tym razem pojawiła się z segregatorem napęczniałym od pożółkłych gazet.

- Również wtedy „Gazeta Miejska Norwich Notch” była wydawana co tydzień - wyjaśniła. - Te gazety są z czasów śmierci Katie Love. Zakładam, że po to pani przyszła.

Tak było, ale Chelsea chciała jeszcze pogrzebać w gazetach z czasów mniej więcej jej urodzin. Były w bibliotece, ale w bibliotece nie było Margaret, która wydawała się Chelsea dobrym źródłem informacji. Wymyśliła sobie, że skoro Hunter jest mniej więcej w jej wieku, pod pretekstem poszukiwania informacji o nim może się czegoś dowiedzieć o sobie.

Margaret usiadła w fotelu bujanym z segregatorem na kolanach. - No, dobrze - powiedziała i, jakby to miało wystarczyć, zamilkła.

Chelsea poznała już tę kobietę na tyle, żeby nie dać się zwieść jej zewnętrznej kruchości. Margaret Plum miała żelazną wolę. Zawzięcie uczęszczała na aerobik, sprawnie dyrygowała charytatywnymi kolacjami i kiermaszami oraz zajadle nie cierpiała Huntera Love. To ostatnie nie podobało się Chelsea, bo lubiła Huntera, ale przecież i Abby nie zawsze lubiła lekarzy, których Kevin brał pod swoje skrzydła. Gdyby jeden z tych lekarzy okazał się nieślubnym dzieckiem Kevina, Abby byłaby zdruzgotana. Zresztą Chelsea nie była pewna, że Hunter jest

nieślubnym synem Olivera. Jednak taka możliwość istniała.

Uniosła filiżankę do ust i trzymała ją tak chwilę, by nasycić się aromatem. - Mango? - zapytała, jeszcze raz wciągając powietrze.

- Morela.

- Jest znakomita. - Zawsze lubiła herbatę, a polubiła ją nawet bardziej, od kiedy zaczęły ją prześladować poranne mdłości. Herbata łagodziła jej kłopoty żołądkowe, niosła ze sobą uspokojenie. Teraz, kiedy pierwszy trymestr ciąży miała już za sobą, ataki mdłości prawie przestały się pojawiać. Niemniej nadal ceniła łagodne ukojenie, które znajdowała w herbacie.

- My tu lubimy herbatę - powiedziała Margaret, krzyżując kostki. Miała na sobie śliwkową bawełnianą sukienkę ze stójką pod szyją, z długimi rękawami i dopasowaną talią, która wyglądała odpowiednio staroświecko, szczególnie w zestawieniu z szeroką bawełnianą tuniką Chelsea i jej legginsami. - Szczególnie zimą. Donna opowiedziała pani o naszych herbatkach, prawda?

- Aha. - Odbywały się w bibliotece w każde środowe popołudnie między październikiem a majem. Była to lokalna wersja solidnego podwieczorku, podawano więc kanapki z ogórkiem, krakersy z serem i kawałki marchewki. W teorii wszyscy byli mile widziani, jednak w praktyce kobieta z robotniczej rodziny nie odważyłaby się tam przyjść, co czyniło środowe popołudnia domeną elit Norwich Notch.

- Katie Love przychodziła na nasze herbatki - powiedziała zadowolona z siebie Margaret. Przyglądała się Chelsea uważnie, wyraźnie uradowana jej zdziwieniem.

- Ale Katie była żoną robotnika z kamieniołomów.

- Ale była i artystką. Kołdrzarką. To ona wykonała nasze najlepsze wzory, więc odkąd zaczęła z nami pracować, uczestniczyła w naszych herbatkach. - Ton głosu Margaret się zmienił. - Oczywiście to było przedtem. Potem nie miałyśmy sobie zbyt wiele do powiedzenia.

Chelsea sączyła herbatę i czekała, aż Margaret się uspokoi. To, w jaki sposób potraktowano Katie Love, budziło w niej lekką odrazę i zastanawiała się, czy i jej biologiczna matka doświadczyła tego samego. Chelsea wydawało się okrutne, że to wyłącznie kobieta była karana za coś, w czym mężczyzna brał dokładnie taki sam udział. Przemawiała przez nią feministka, kobieta, która planowała urodzić pozamążelnskie dziecko i nie miała najmniejszego zamiaru ponieść takich konsekwencji. - Kto był ojcem jej dziecka? - Chelsea skierowała pytanie do Margaret.

- Diabeł.

Chelsea zignorowała tę informację. - Był robotnikiem z kamieniołomów?

- Był diabłem.

- Czy był to ktoś znaczący w mieście, ktoś, kto już miał żonę i dzieci?

Margaret wpatrywała się w nią z zaciśniętymi ustami i oczami, które mówiły: Już ci mówiłam, kto to był.

Chelsea nie wierzyła w diabła, ale nie miała zamiaru spierać się z Margaret, skoro chciała zapytać o jeszcze tyle rzeczy. - W tym czasie, kiedy Hunter był z Katie, przez te pierwsze pięć lat, kiedy trzymała go w ukryciu, nikt się nie zastanawiał, co się z nim dzieje?

- Nie. Miał być oddany.

Chelsea poczuła, jak przebiega przez nią dreszcz. - Oddany?

- Do adopcji - oświadczyła Margaret. - Powiedziała, że wszystko załatwiła. Wygląda na to, że kłamała.

Dreszcz się wzmógł. - Czy był taki zwyczaj, że kiedy kobiety zachodziły w ciążę poza małżeństwem, oddawały dzieci do adopcji?

- Nie. Hołota je trzymała, niezależnie czy były ślubne, czy nie. Katie Love była w środku.

- Co to znaczy? - zapytała Chelsea.

- Starsza. Nie miała innych dzieci. Uważano, że jest bezpłodna. - Jej wzrok ominął Chelsea i zatrzymał się

przy wejściu do salonu. Chelsea odwróciła się, ale nikogo tam nie było. - A poza tym - kontynuowała Margaret

- ona była koldrzarką. Wydawało nam się, że jest trochę ponad inne. - I niemal od razu zapytała: - A pani skąd pochodzi?

Chelsea wpatrzyła się w segregator na kolanach Margaret. Chciała wiedzieć, co przydarzyło się mężowi Katie Love i dlaczego ludzie w Corner nie przyszli jej z pomocą, i czy były inne kobiety, które w tym samym czasie chciały oddać dzieci do adopcji. Chciała przejrzeć te gazety, a nie mówić o sobie - a poza tym nie mogła uwierzyć, że Margaret nie wie, skąd ona jest.

Dla dobra sprawy powiedziała: - Jestem z Baltimore.

- Tam urodzona?

- Nie w samym Baltimore, ale tam jest mój dom rodzinny. - Był, pomyślała z bólem. W Dniu Pracy miała się tam wprowadzić nowa rodzina. Chelsea pojechała tam na kilka dni w zeszłym tygodniu, żeby posortować stopy rzeczy w piwnicy, gromadzone od wielu lat, i będzie jeszcze musiała wrócić raz albo i dwa, zanim skończy. Spotkała Kevina. Trochę ze sobą rozmawiali, ale ogólnie atmosfera była niezręczna. Nie ośmieliła się powiedzieć mu o dziecku.

Nie ośmieliła się również powiedzieć Juddowi, co było jeszcze bardziej absurdalne. Przychodził do jej łóżka kilka razy w tygodniu. Robili ze sobą rzeczy, które

- kiedy je sobie przypominała - nawet teraz przyspieszały jej puls. Znał każdy szczegół jej ciała lepiej niż ktokolwiek inny. Wkrótce drobne zmiany, których mógł nie zauważyć z dnia na dzień, przestaną być drobne. Musi mu powiedzieć. Bała się jednak, że Judd przestanie przychodzić, a lubiła, kiedy przychodził. - Kim są pani rodzice? - zapytała Margaret.

Chelsea wzięła głęboki oddech i poczuła jak się uspokaja, powoli wydychając powietrze. - Kevin i Abby Kane. Moja matka zmarła w zeszłym roku. Mój ojciec jest neurochirurgiem i właśnie przeszedł na emeryturę.

- Do kogo jest pani podobna?

Chelsea uśmiechnęła się, słysząc to pytanie. Pamiętała, jak chodziła w różne miejsca z rodzicami i zadawano jej to pytanie w trakcie niewinnych towarzyskich rozmów. Zawsze brała przykład z Kevina, który odpowiadał bez mrugnięcia okiem: „Ma upór ojca i ciekawość matki”. Powiedziała tak i teraz.

- Ale do kogo jest pani podobna?

Nadal się uśmiechając, Chelsea wzruszyła ramionami.

- Zawsze byłem o wiele bardziej niekonwencjonalna niż moi rodzice - inny styl ubioru, inne fryzury, inne pokolenie. Przyjeliśmy, że jestem po prostu podobna do siebie.

- Donna jest podobna do ojca. Czy pani widzi podobieństwo?

- Śmieszne, ale powiedziałabym, że wrodziła się w panią. - Zauważała to w kształcie twarzy i ust.

Margaret uśmiechnęła się. - Jest cudowną córką. Zawsze taka łagodna i delikatna. - Zmarszczyła brwi.

- To była wielka tragedia, olbrzymia tragedia, kiedy straciła słuch. Opowiedziała pani o tym?

- Nie - odparła Chelsea. - Nie chciałam pytać.

- Zachorowała. To była jakaś infekcja, którą złapała z nienałą. Straszny pech, mówili wszyscy lekarze. Byliśmy z nią u bardzo wielu, ale nie potrafili jej pomóc. Zupełnie nie potrafili jej pomóc. -

Jeszcze przez chwilę marszczyła brwi, a potem, lekko potrząsając głową, powiedziała z nagłym ożywieniem: - Zawsze byłem z nią bliżej niż z pozostałymi. Donna i ja podobnie myślimy.

Chelsea wcale nie odniosła takiego wrażenia - najbardziej oczywistym przykładem było to, że Donna miała odmienne zdanie na temat Huntera Love niż jej matka. Donna miała w sobie łagodność, otwartość i wrażliwość, które były Chelsea bardzo bliskie. Margaret nie miała żadnego z tych przymiotów. Kłębły się w niej sprzeczne emocje. Była dziwaczną kobietą i Chelsea nie mogła zrozumieć jej osobowości.

- Więc - powiedziała Margaret, przyciskając do piersi brązowy segregator jak tarczę - proszę mi powiedzieć, po co pani przyjechała do Norwich Notch.

- Pani już musiała się o tym dowiedzieć - powiedziała karcącym tonem Chelsea, którą zaczynała już męczyć bezsensowna wymiana zdań.
 - Po co pani naprawdę przyjechała?
 - Przyjechałam naprawdę po to, żeby zmodernizować Plum Granite i wyciągnąć jak największe zyski z mojej inwestycji.
 - Ach - powiedziała Margaret, kiwając głową. - Sądzą tu, że pani jest czarownicą. Chelsea cofnęła się lekko. - Czarownicą?
 - Dlatego, że mieszka pani w Boulderbrook. Myślą, że pani obcuje z tamtejszymi duchami.
 - Tam nie ma duchów - powiedziała Chelsea z całkowitym przekonaniem. Po pierwszej nocy nie zdarzały się już więcej głuche telefony, więc tamto najwyraźniej było głupim kawałem.
 - Czy nie zważyła pani, jak wszyscy mieszkańcy trzymają się od pani z daleka?
 - Pomyślałam, że to dlatego, że jestem tu obca.
 - To też - Margaret podniosła podbródek, co mogło oznaczać wyzwanie. - Pani wie, że nigdy pani tu nie wygra.
- Chelsea znów przestała nadążać za jej myślami. - Nie wygram czego?
- Plum Granite. Słyszałam o tej transakcji. Oczywiście, nie Oliver mi o niej powiedział. On nie lubi zwracać mi głowy interesami, ale inni nie są równie ostrożni. - Posłała zaniepokojone spojrzenie w kierunku wejścia. Chelsea również zerknęła w tym kierunku, ale jak i poprzednim razem, nikogo tam nie było, a Margaret mówiła dalej: - Kamieniołomy od pokoleń należą do rodziny Plumów. Nikt nie pozwoli, żeby pani je miała.
- Na ułamek sekundy Chelsea znalazła się w gabinecie swojego ojca z Mahlerami, którzy mówili, że nie jest jedną z Mahlerów i nie powinna dostać pierścionka z rubinem. Po sekundzie to wrażenie minęło i znów zobaczyła Margaret, która czuła się tak bardzo zagrożona zmianą.
- To może się nigdy nie wydarzyć - powiedziała. To Judd prowadził cały interes i był w tym dobry, co

oznaczało, że kamieniarze wykonają każde zamówienie, jakie Chelsea przyniesie. Z jej punktu widzenia było to dobre, bo rok to wszystko, czego potrzebowała. Do tego czasu urodzi dziecko i zdobędzie informacje, które są jej potrzebne, by mogła wyznaczyć kierunek swego dalszego życia. Chelsea chciała rozproszyć niepokój Margaret - i może jeszcze spowodować rozluźnienie jej ramion, z całej siły przyciskających segregator, więc powiedziała: - Proszę mi uwierzyć, nie mam ambicji przejęcia przedsiębiorstwa. Mam wziętą praktykę architektoniczną w Baltimore. Będę bardzo zadowolona, kiedy zarobię pieniądze i zostawię całe przedsiębiorstwo Plumom.

- Pani nie jest jedyną osobą, która ma chrapkę na firmę - powiedziała Margaret, jak gdyby w ogóle nie słyszała tego, co powiedziała Chelsea. - Hunter Love też się na nią łaszczy. Po tym wszystkim, co mój mąż dla niego zrobił, chce mieć jeszcze więcej. Jest złym człowiekiem.

- Nie jest zły.

- Jest podpalaczem. Wiedziała pani o tym?

- Podpalaczem?

Margaret pokiwała znacząco głową.

- Co podпалиł? - zapytała Chelsea takim tonem, jak gdyby prowadziła niewinną pogawędkę.

- Kilka najładniejszych domów w mieście.

- I spłonęły?

- Nie. Ale garaże i szopy na drewno zostały zniszczone.

- Niedawno?

- Kilka lat temu. Widziałam panią z nim, Chelsea. Na pani miejscu uważałabym. Nie poznała pani jeszcze jego ciemnej strony.

Chelsea zdążyła już poznać zmienne nastroje Huntera, ale ani razu nie czuła się zagrożona. Tego dnia na motocyklu mógł jej zrobić krzywdę. Tak, prowadził zbyt brawurowo, ale kiedy poczuła się źle, złagodniał i zachowywał się bardzo taktownie, co w rozumieniu Chelsea oznaczało skrucę, a nie zło.

- Czy był kiedykolwiek sądzony za podpalenie?
 - zapytała.
 - Nie. Jest bardzo sprytny. Niczego mu nigdy nie udowodniono. Podobnie jak ze śmiercią jego matki.
 - Więc jak można mu przypisywać te pożary?
 - Bo to oczywiste, że on je wznieca.
 - Czy Oliver też w to wierzy?
 - Tak.
 - Ale nadal trzyma Huntera w firmie. To nie ma sensu. - Oczywiście, chyba że Hunter jest synem Olivera, co również uzasadniałoby antagonizm Margaret. Sama Chelsea nie wierzyła, że Hunter jest podpalaczem, a tym bardziej, że jest mordercą.
 - W życiu jest wiele rzeczy, które nie mają sensu
 - powiedziała Margaret z twarzą cierpiętnicy. Jej głos nagle stał się piskliwy. Jeszcze mocniej schwyciła segregator. - Nie ma sensu to, że ja miałam tylko córki. Gdybym miała syna, nic takiego by się nie zdarzyło. Mój syn przejąłby przedsiębiorstwo i nikt więcej nie mieszałby się do niego. Tak właśnie powinno być. - Ciszej powtórzyła: - Tak właśnie powinno być.
 - Margaret, kochanie - od drzwi rozległo się wołanie, a zaraz potem weszła kobieta, którą Margaret nazywała Dots. Podeszła prosto do krzesła Margaret, objęła ją ramieniem i powiedziała łagodnie: - Potrzebujemy cię teraz, Margaret. Powiedziałaś, że nie zajmie ci to dużo czasu. - Dotknęła segregatora. - Możesz przecież dać to pannie Kane, żeby sama sobie przejrzała. Niestety, bez ciebie zupełnie nie możemy sobie poradzić. Margaret początkowo wpatrywała się w nią zupełnie bezmyślnie. Powoli na jej twarz wróciło zrozumienie, a potem pojawił się lekko karcący uśmiech. - Ale mówiłam wam tyle razy, co macie robić.
 - Więc jeszcze jeden raz, dobrze? - Dots wzięła od niej segregator i wręczyła go Chelsea, przy czym dokładała wysiłków, by nie spojrzeć jej w oczy.
- Margaret wstała. Wyszła z pokoju z Dots u boku, nie odzywając się słowem do Chelsea.

* * *

Historia, podobnie jak kołdra z patchworku, składa się z nitki i fragmentów gałganków. W przypadku Chelsea oznaczało to pocztówki i fotografie, niebieskie wstążki, odznaki z okazji wygranych w różnych konkursach i zawodach, suszone kwiaty, zużyte bilety i drukowane programy, począwszy od pokazu talentów w szkole podstawowej, skończywszy na wręczeniu dyplomów w szkole średniej. Oznaczało to również kartony wypełnione książkami, pozostałości czterech lat spędzonych w akademikach, a później w kilku wynajmowanych mieszkaniach, plakaty, sprzęt sportowy i ubrania. Chelsea zawsze miała coś w rodzaju osobowości chomika, jak gdyby sądziła, że im więcej zgromadzi, tym więcej stworzy sobie własnej historii i w rezultacie tożsamości. Miała bardzo dużo do posegregowania.

Była połowa sierpnia i razem z Juddem przyjechali do Baltimore w interesach. Granit był już cięty na miejscu i Judd przywiózł małe próbki kamienia z każdego z pięciu funkcjonujących kamieniołomów, pocięte, wyszlifowane i wytrawione, do zaprezentowania potencjalnym klientom. Biura Harper, Kane i Koo służyły im jako baza, cały dzień upłynął na kolejno następujących po sobie spotkaniach. Wieczór spędzili w domu.

Piwnica miała zapach starości i wilgoci. Większą jej część zajmował wielki piec centralnego ogrzewania, pociemniały od lat użytkowania. Po przeciwnej stronie była pralnia - pralka, suszarka, umywalka i deska do prasowania. Obok stała dodatkowa lodówka i zamrażarka, które w dawnych czasach byłyby wypełnione zapasami na świąteczne przyjęcia, ale teraz stały puste, z otwartymi drzwiami i wyłączone z kontaktów. Pod pozostałymi ścianami stały wysokie metalowe regały, na których leżały szmaciane torby z odzieżą, jakieś drobne urządzenia i pudełka z pamiątkami. Było już kilka stosów zaklejonych kartonów, część Kevina i część Chelsea,

a obok porozrzucane na nierównych stertach rzeczy, które pozostały do posortowania i zapakowania.

- Mistrzyni klubu pływackiego? - zapytał Judd. Siedział obok Chelsea na odwróconym do góry dnem kartonie, trzymając w ręku wstążeczkę, którą wyciągnął z przepelnionego pudełka do butów.

- To działo się w moim konformistycznym okresie. Wkrótce potem oświadczyłam, że inne dzieci w drużynie są kompletnymi idiotami i zrezygnowałam. - Z pudełka wyciągnęła stos fotografii. - To ja - spojrzała na odwrotną stronę zdjęcia - w wieku ośmiu lat, zgodnie z notatkami taty.

Judd przyjrzał się fotografii. - Wyglądasz jak chłopiec. Chelsea zgodziła się. Sięgnęła po następne zdjęcie.

- Mama nigdy nie opuszczała moich zawodów pływackich. Sama dużo pływała, traktowała to jako część rehabilitacji.

Sięgnął po zdjęcie. - Była bardzo atrakcyjną kobietą.

- Była pełna życia. Tętniła energią. Do samego końca była aktywna umysłowo, skoro nie mogła inaczej. Uwielbiała uroczystości. Zawsze były uroczyste kolacje i przyjęcia urodzinowe, i wakacyjne pikniki. Bardzo by się jej podobał koloryt i emocje Czwartego Lipca w Notch.

- Zakładając, że zaakceptowałyby sam pomysł wyjazdu w to miejsce, pomyślała Chelsea.

Odebrała mu zdjęcie i przerzuciła jeszcze kilka. - To mój ojciec - powiedziała niepotrzebnie. Judd widział zdjęcia jej rodziców w sypialni w Boulderbrook.

- Dostojny jak zawsze.

- Owszem, jest dostojny - nie mogła się powstrzymać się od wypowiedzenia tych słów, tak bardzo czuła się zraniona. - Uparty jak osioł, też. Miałam taką nadzieję, że dzisiaj przyjedzie z Newport, żeby się z nami zobaczyć.

- Będzie tu jutro.

- Wiem, ale tak rzadko go widuję. Byłoby miło, gdyby choć trochę się postarał.

Judd wiedział, że jest adoptowanym dzieckiem. Nie wiedział jeszcze, że urodziła się w Norwich Notch.

Chciała mu to powiedzieć, tak samo jak chciała mu powiedzieć, że jest w ciąży, ale coś ją powstrzymywało. Trochę się bała, jak to przyjmie. Odpowiadał jej panujący pomiędzy nimi układ i nie była gotowa go zmienić.

Uderzyło ją, że tak samo było z Norwich Notch. W Stowarzyszeniu Historycznym nie dowiedziała się niczego, oprócz tego, że marzec tego roku, kiedy się urodziła, był niezwykle łagodny. Nie podjęła żadnych kroków, żeby zamieścić ogłoszenie o srebrnym kluczyku, nie rozpoczęła poszukiwań położnej, która kiedyś została przekupiona. Jedna jej połowa miała ochotę pojawić się na kościelnej ambonie, ogłosić gdzie i kiedy się urodziła i zaofiarować nagrodę w zamian za informacje umożliwiające jej zidentyfikowanie rodziców. Druga połowa nie chciała robić niczego, co mogłoby zakłócić jej tymczasowe życie w Notch. Miasteczko miało pewne zalety, które ceniła. Chciała tam urodzić własne dziecko.

- Może to ciężko przeżywać - powiedział Judd, obejmując spojrzeniem zawartość piwnicy.

Chelsea westchnęła. - To on chciał sprzedać ten dom.

- To była decyzja podyktowana względami praktycznymi. Nie znaczy wcale, że była łatwa. Czasami rzeczy, które są najbardziej sensowne, są najtrudniejsze do zrobienia.

Usłyszała smutek w jego słowach i wiedziała, że myśli o Leo, którego jeszcze nie poznała. Judd rzadko o nim wspominał, a ona się nie dopytywała. Uważała, że nie ma prawa, sama tak wiele przed nim ukrywając. Jednak często wpadał w zamyślenie, a na jego twarzy widoczna była udreka.

- Twój tata?

- Niektórzy uważają, że powinienem go oddać do zakładu.

Westchnęła. - Nie rób tego. - Potem poprawiła się: - To ty musisz zdecydować, co jest najlepsze dla ciebie

i dla niego.

Judd był ubrany w spodnie z kantem i siedział w rozkroku. W tej chwili pochylił się, położył łokcie na

kolanach i pozwolił opaść bezwładnie dłoniom. - Trudno powiedzieć, co jest najlepsze. On potrzebuje bezustannej opieki. Miałby ją w jakimś zakładzie dla przewlekle chorych, może nawet lepszą niż teraz. Wczoraj po południu, kiedy Millie się zdrzemnęła, poszedł na spacer. Uszedł prawie milę, zanim Buck go odnalazł. Dobry stary Buck.

Chelsea wiedziała, iż myśli, że następnym razem może się nie udać.

- Problem polega na tym - kontynuował Judd - że są momenty, kiedy zdaje sobie sprawę, kim jestem. Nie zniósłbym tego, gdyby taki moment nadszedł, a on byłby w jakimś zakładzie, pytałby o mnie i czułby się porzucony.

- Czy ten wyjazd skomplikował ci jakoś sprawy?

- Nie. Sara Hewitt jest z nim. I Buck. Jest więc wśród przyjaciół. Jeżeli o mnie zapyta, Sara powie mu, gdzie jestem i kiedy wrócę. - Przerwał i przez chwilę myślał. - Sara jest dobra. Wie, na co ma zwracać uwagę. On odkręca gaz i zapomina, że chciał coś ugotować. Kiedy nalewa sobie wody, zapomina zakręcić kurek. Gdyby przez cały czas ktoś nad nim nie czuwał, mielibyśmy powódź w całym domu. Któregoś dnia mógłby sięgnąć do wyłącznika światła, stojąc po kostki w wodzie. - Wyprostował palce, obrócił ręce i wpatrzył się w swoje dłonie.

Chelsea objęła go, bo tylko w ten sposób umiała go pocieszyć. Nie miała odpowiedzi. Judd na pewno rozważył każdą z możliwości. Tak samo jak w przypadku Abby, kiedy jej choroba tak bardzo się zaostrzyła, nie było dobrych wyborów, tylko wybory minimalizujące cierpienie.

- Więc - powiedział, nadal wpatrując się w dłonie - uważasz, że nie powinienem go oddawać do zakładu.

- Nie.

- Nawet biorąc pod uwagę niebezpieczeństwo?

- Nawet. Trzymaj go w domu.

- Może przyjąć czas, kiedy już nie będę mógł.

- To wtedy zajmiesz się tym problemem. Odwrócił głowę i popatrzył najpierw na jej usta, u potem na oczy. - Czy wy to zrobiliście?

- Mama stopniowo stawała się coraz słabsza. Dostała zapalenia płuc i musiała pójść do szpitala, a potem trzeba było wybrać - czy pozostawić ją w szpitalu, gdzie mogłaby być przez cały czas monitorowana, czy przywieźć ją do domu. Wiedzieliśmy, że w domu jest bardziej ryzykownie. Ale tu spędziła całe swoje małżeńskie życie. Kochała ten dom. Ja uważam, że dom to najważniejsza uprawa, niezależnie od tego, co wszyscy mówią. - Chelsea westchnęła ze smutkiem i rozejrzała się wokół.

- Może masz rację. Jeżeli wyrzucenie tego wszystkiego jest tak trudne dla mnie, to musi być jeszcze trudniejsze dla mojego ojca. To zamyka dużą część jego życia.

Judd wziął od niej plik fotografii i przeglądał je.

- Kto to jest?

- To siostra matki, Anne.

- Wygląda na zirytowaną.

- Była. Tego roku mieliśmy spędzić Boże Narodzenie w Anglii, ale dwa tygodnie wcześniej mama upadła i złamała rękę, więc wszyscy musieli przyjechać tutaj.

Judd patrzył przez chwilę na fotografię i potem sięgnął po następną.

- To ja i dwie moje najlepsze przyjaciółki - powiedziała Chelsea i spojrzała na tył zdjęcia. - Miałyśmy po dwanaście lat.

Oglądał dalej. - A ten facet? Co chwila się pojawia. Rozpromieniła się. - To Carl.

- Ach. To ten wspólnik-widmo.

Carl pojechał na jeden dzień do Nowego Jorku, więc Judd nie miał okazji go poznać. Spojrzał na odwrotną stronę. - Tu mieliście po dziewięć lat. - Znalazł jeszcze jedno zdjęcie, gdzie byli razem, i tu Chelsea była wyższa od Carla. - A tu po czternaście. - Wreszcie wyciągnął najnowsze zdjęcie. - A tu po trzydzieści parę. Zdziwiający.

- Że od tak dawna jesteśmy przyjaciółmi?

- Że nigdy nie przerodziło się to w coś więcej. Zdjęcie, które miał w ręku, zostało zrobione zeszłego lata w Newport. To była kolorowa fotografia, która ukazywała podobne białe uśmiechy, podobne kasztanowe włosy i podobne, dobrane kolorystycznie koszulki i szorty, odpowiednie na pokładzie luksusowego jachtu Harperów. Tego lata Abby była już chora. Wszyscy rozumieli, że w przyszłym roku może już jej nie być wśród nich, a Chelsea z ogromnym trudem się z tym godziła. Carl był wtedy dla niej wielkim pocieszeniem.

Od jakiegoś czasu w ogóle o tym nie myślała. Kiedy ostatnio myślała o Carlu, kojarzył jej się z Hailey i dzieckiem, którego się spodziewała, i z urazą, i zdradą. Po raz pierwszy teraz, jak gdyby rana spowodowana odkryciem go w dwuznacznej sytuacji zaczęła się goić, poczuła, że jednak odrobinę go lubi.

- A może jednak? - zapytał Judd. Skierowała na niego pytający wzrok.

- Czy byliście kiedykolwiek parą? Zażartowała. - Zawsze byliśmy parą.

- Czy byliście kiedykolwiek kochankami? - zapytał.

- To bardzo osobiste pytanie.

- Tak - zgodził się i czekał na odpowiedź, przeszywając Chelsea wzrokiem.

Miała ochotę zaprzeczyć. Jednak nigdy przedtem mu nie skłamała. Może nie mówiła wszystkiego, co powinna, ale nigdy nie kłamała.

- Raz - powiedziała cicho, kładąc rękę na kolanach. - Nie wyszło.

- Z czyjej winy, z jego, czy twojej?

- Obojga. Postanowiliśmy pozostać tylko współnikami i przyjaciółmi.

- I udaje się wam, po tym, kiedy byliście kochankami?

- Jak dotąd - ale Judd w jej głosie musiał usłyszeć jakiś cień wątpliwości, bo spojrzał na nią pytająco.

- Lubisz jego żonę?

- Hailey? Pewnie, że tak.

- Od jak dawna są po ślubie?

- Od niedawna.

- Od jak dawna, Chelsea?

Wypuściła powietrze i powiedziała: - Od czerwca - i natychmiast zauważyła, jak porównuje daty.

- Mniej więcej w tym czasie ty przyjechałaś do Notch, więc on jest tą trzecią osobą, którą straciłaś. Kochałaś go?

- Nie. Dlatego nam nie wyszło.

Judd przez minutę się zastanawiał. - Czy on postanowił ożenić się z Hailey przed, czy po twojej decyzji przeniesienia się do Notch?

- Carl i ja powzięliśmy niezależne decyzje, które przypadkiem zbiegły się w czasie.

Znów zamilkł. Chelsea powiedziała tyle, ile chciała. Włożyła zdjęcia do pudełka po butach, włożyła pudełko do kartonu i podeszła do pieca, żeby wziąć jeszcze kilka pudełek z półki, wiszącej tuż obok. Kiedy odwróciła się, wpadła na Judda. Wziął je od niej i odłożył z powrotem na półkę.

- Cieszę się - powiedział, chwytając jej obie dłonie. Jego głos był głębszy niż przed chwilą.

- Z czego się cieszysz? - zapytała, ale jej uwagę przykuwały jego usta. Miał cudowne usta. Mocne i pełne, ale męskie. Zawsze uwielbiała obserwować ich ruch.

- Że nie lubiłaś robić tego z nim tak samo, jak lubisz to ze mną. - Przyciągnął ją bliżej do siebie. Nie całował jej, tylko trzymał blisko, coraz bliżej, dopóki ich całe ciała nie zetknęły się, a biodra nie przywarły do siebie.

Jej oddech stał się szybszy.

- Uwielbiam ten dźwięk - wyszeptał. Uśmiechnęła się. - Tutaj, Judd?

W odpowiedzi uniósł w górę jej sukienkę - było to łatwe, bo miała na sobie kolejną luźną sukienkę o linii trapezu, w których tak dobrze się czuła - aż dolny obrąbek znalazł się przy biodrach. Kilka sekund później jego ręce były w jej majteczkach, trzymając za pośladki i przyciskając jeszcze mocniej. Nie mogła nie zauważyć jego erekcji.

Objęła go za szyję i wyszeptała jego imię.

- Czy to znaczy „tak” czy „nie”? - zapytał. Wydała z siebie bezbronny pomruk przyjemności, kiedy poczuła jego palce głębiej.

- Tak czy nie? - powtórzył.

- Na górze jest gosposia.

- Tak czy nie?

- Tak.

- To zdejmij wszystko - wyszeptał ochryple i pomógł jej to zrobić. Po chwili sukienka była ponad jej głową, biustonosz rozpięty i rzucony na bok, a majteczki ściągnięte. Ledwo zdążyła się wyprostować, kiedy Judd znów jej dotknął, tym razem od przodu. Sięgnęła do jego spodni, ale powstrzymał ją.

- Proszę - zawołała cicho. - Jeszcze nie.

- Nie mogę stać. Kolana nie chcą mnie utrzymać. Jego palce głaskały ją w środku, przywodząc ją coraz bliżej rozkoszy, a on popatrzył na drugi koniec piwnicy.

Chelsea nie była jeszcze tak nieprzytomna, żeby nie wiedzieć na co patrzy. - Nie na stole pingpongowym.

- Czy masz lepszy pomysł? - zapytał, znów zaczynając ją pieścić.

- Stół pingpongowy nie wytrzyma. - Roześmiała się bezgłośnie. - Pralka. Chodźmy na pralkę. Jest bliżej. Była tam, zanim zdążyła jeszcze cokolwiek powiedzieć. Posadził ją i z jej pomocą rozpiął spodnie. Ledwie zdążyła rozchylić nogi, kiedy jednym potężnym pchnięciem wszedł w nią, a ona całkiem się zatraciła. Kiedy w nią wchodził, zawsze było tak samo - podobnie jak wtedy, kiedy wchodził w nią coraz głębiej, zawsze się odnajdywała. Było to takie oszałamiająco proste i logiczne, zawsze takie samo.

Biura Harper, Kane, Koo zrobiły na Juddzie wrażenie. On sam może wolałby nieco mniej chromu, ale rozumiał, że klientom to imponuje. Wszystko, na czym zawiesił wzrok, oznajmiało o sukcesie. Był jeszcze bardziej zdi-

wiony, że Chelsea poświęca rok na zabawę z Plum Granite.

Nie widział w tym sensu. Nawet wiedząc, że w ciągu roku utraciła matkę, która zmarła, ojca, który przeszedł na emeryturę, i przyjaciela, partnera w interesach i jednorazowego kochanka, który się ożenił, nadal nie rozumiał tego wszystkiego. Odnosiła zbyt wiele sukcesów w mieście, żeby stąd uciekać.

Widać też było, że jest bardzo lubiana. Wszyscy w biurze się nią zajmowali. Wyraźnie byli zadowoleni, że jest wśród nich, nawet jeżeli była to tylko krótka wizyta. Melissa Koo była równie ekscentryczna, jak Chelsea ją opisała. Carl Harper okazał się niespodzianką.

Tego drugiego ranka pojawił się, nie punktualnie o dziewiątej, jak Judd mógłby przypuszczać po zasłyszanej od Chelsea charakterystyce Carla, w której punktualność była jednym z ważniejszych elementów, a około dziesiątej. Miał na sobie wzorzysty krawat, który nie był ani odrobinę konserwatywny. Nawet Chelsea wydawała się zdziwiona.

- Robota Hailey - zażartowała z niego.

Carl popatrzył na krawat, dziwnie się zarumienił i wzruszył ramionami.

- W porządku - powiedziała Chelsea. - Mnie się podoba. - Przerwała na chwilę. - Jak ona się ma?

- Hailey? Dobrze. Tylko jest coraz grubsza. Szybko przybywa jej na wadze. Lekarz sądzi, że to mogą być bliźniaki.

Więc świeżo upieczona żona Carla jest w ciąży, pomyślał Judd. Chelsea nie wydawała się zdziwiona tą wiadomością, co znaczyło, że wiedziała, ale wygodnie zapomniała mu o tym powiedzieć. Jeżeli Carl i Hailey pobrali się w czerwcu, a Hailey już stawała się „coraz grubsza”, nie trzeba było geniusza, żeby obliczyć, że zaszła w ciążę przed ślubem. Oznaczało to, że Chelsea dowiedziała się o ciąży tuż przed przyjazdem do Notch. Kolejny szok. Ale czy dostatecznie wielki, żeby miał ją wypędzić z miasta? Judd miał wątpliwości.

Na jego oko, uśmiech Chelsea był wymuszony.

- Bliźniaki? To świetnie. Przekaż jej moje najlepsze życzenia.

- Oczywiście - powiedział Carl i zwrócił się do Judda.

- Więc to pan pracuje z Chelsea?

- Można tak powiedzieć - powiedział Judd. Carl mu się nie podobał. Coś musiało być nie w porządku z nim jako mężczyzną, jeżeli nie uznał Chelsea za niezwykle pociągającą kobietę. Zastanawiał się, jak wygląda ciężarna Hailey. - Ja zajmuję się granitem. To ja mam zapewnić dostatecznie wielu ludzi, żeby wykonać wszystkie zamówienia, które ona wniesie. Czy to pan pomaga jej je zdobywać?

Carl skłonił głowę w kierunku Chelsea, która powiedziała: - Nie. Carl nie wszedł w to ze mną. Judd odebrał to jako kolejną zdradę.

- Dlaczego nie? - zapytał Carla. - Chelsea powiedziała, że jesteście partnerami w innych spółkach.

Carl wyglądał na skrepowanego. - Ta pojawiła się w złym okresie dla mnie.

- Nie jest pan więc równie śmiały jak pański krawat?

- zapytał Judd. - To niedobrze. Można z tego wyciągnąć niezłe pieniądze. Pomyślałbym, że się panu przydadzą, kiedy właśnie się pan ożenił i dziecko jest w drodze.

- To od początku był projekt Chelsea. To ona lubi granit.

- Aha - powiedział Judd i wyprostował się na całą długość. - Więc to mój zysk. - Popatrzył na Chelsea.

- O dziesiątej trzydzieści mam spotkanie. Muszę już iść.

- Uchylił wymaginowanego kapelusza przed Carlem i odwrócił się.

Chelsea odprowadziła go do windy. Kiedy minęli już część recepcyjną, zapytała: - O co tu właściwie chodzi?

- Nie podoba mi się.

- Nie znasz go.

- Nie mogę uwierzyć, że poszłaś z nim do łóżka.

- Gryzło go to. Nie wiedział dlaczego. To, co robiła, zanim zostali kochankami, było tylko jej sprawą.

Milczała. W końcu spojrzała na niego i powiedziała: - Carl jest moim dobrym przyjacielem.

- Carl jest mięczakiem.

- Jest dobrym, lojalnym przyjacielem. Gdybym go potrzebowała, zawsze by mi pomógł.

Judd potrząsnął głową. - W tej chwili pierwszeństwo u niego mają żona i dziecko.

Wyglądało na to, że ta myśl ją zaniepokoiła. Sprawilo to zadowolenie tej jego części, która miała jej za złe, że ciągle jest wierna Carlowi. Ale kiedy wchodził do windy, sam się zaniepokoił, bo doskonale wiedział, że nie powinien jej mieć za złe jakichkolwiek więzi. Był jej kochankiem i to wszystko.

W gruncie rzeczy to nie było wszystko. Tego wieczoru, w trakcie kolacji, Kevin Kane był zdecydowany określić parametry układu istniejącego między Chelsea i Juddem. Pytał o przeszłość Judda, o jego stanowisko w Plum Granite, o jego rolę u boku Chelsea.

- Więc to pan jest ogniwem między nią a częścią produkcyjną przedsiębiorstwa - wywnioskował.

- Można tak powiedzieć.

- Martwię się o nią, kiedy wyobrażam sobie, jak wędruje po kamieniołomach.

- Wszystko jest w porządku, tato.

- Ona tam nie wędruje - powiedział mu Judd. - Nikt tam tak sobie po prostu nie wędruje. Jeżeli ona idzie do kamieniołomów, to idzie ze mną. - To nie był przepis, ale w ciągu paru tygodni ustaliła się taka zasada. Judd nie życzył sobie, żeby ześliznęła się z półki skalnej, tak samo jak nie życzył sobie, żeby robotnicy gapili się na nią pożądlive, gwizdali czy podrywali.

- A co z jej domem? - kontynuował Kevin. - Powiedziała mi, że jest stary.

- Był przystankiem Podziemnego Szlaku - wtrąciła Chelsea. - Sprawdziłam to w Stowarzyszeniu Historycznym. Zbiegli niewolnicy byli ukrywani w jego tajnych przejściach w drodze do Kanady.

Kevin nie wydawał się równie zachwycony, co wcale nie oznaczało - jak uznał Judd - że był zwolennikiem niewolnictwa, tylko po prostu sam pomysł zamieszkania w takim domu mu się nie podobał.

- Czy jest bezpieczny? - zapytał go Kevin. - Zakładam, że kazała sprawdzić wszystkie główne systemy, zanim się tam wprowadziła.

- Jest bezpieczny - powiedział Judd. - Sam bym tam zamieszkał.

- A mieszka pan?

- Tato!

- Nie - powiedział Judd. Musiał oddać Kevinowi, że widział coś, czego wcale nie musiał zobaczyć. - Mieszkam w mieście z moim ojcem.

- A czym on się zajmuje?

- Teraz niczym. - Judd wyjaśnił sytuację. Przez jakiś czas temat zajął Kevina, i to w sposób bardzo przydatny dla Judda. Kevin był na bieżąco z ostatnimi osiągnięciami medycyny dotyczącymi choroby Alzheimera i przekazał wszystko w języku zrozumiałym dla laika. Nie oferował żadnych rozwiązań, czy cudownych kuracji, ale pod koniec rozmowy Judd lepiej rozumiał fizjologię choroby.

Kiedy podziękował za to Kevinowi, ten powiedział: - To niedobrze, że pan tam mieszka. Lekarze w małych miasteczkach nie są na bieżąco z nowościami.

Judd nigdy nie miał zwyczaju sypać nazwiskami, ale kiedy usłyszał ten komentarz, zrobiło mu się nieprzyjemnie, więc powiedział: - Szczerze mówiąc, lekarzem prowadzącym jest Duncan Hartigan.

Na Kevinie zrobiło to wrażenie. - W Bostonie? Jest znakomitym lekarzem.

- Podobnie jak Neil Summers. Jest szefem miejscowego szpitala. Specjalizował się w Johns Hopkins.

- To świetny szpital - przyznał Kevin i dalej mówił o różnych szpitalach, które odwiedził w ostatnich miesiącach.

Judd słuchał tylko na tyle, by móc zadawać inteligentne pytania - i od czasu do czasu rzucić jakieś nazwisko,

żeby Kevin nie myślał, że jest prowincjuszem - i przez cały czas zastanawiał się nad dystansem istniejącym pomiędzy Kevinem a Chelsea. Bił w oczy, chociaż mogło się wydawać, że po śmierci Abby będą bardzo blisko. Coś takiego zdarzyło się pomiędzy ojcem a nim. Kiedy jego matka odeszła, Leo był wszystkim, co mu zostało i odwrotnie. Oczywiście, wówczas był małym dzieckiem i w następnych latach zdarzały im się ostre nieporozumienia, ale to uczucie pomiędzy nimi nigdy nie przestało istnieć. I między innymi właśnie dlatego choroba Leo była dla Judda taka przykra. Nie był jeszcze gotów pogodzić się z faktem, że jego ojciec jest śmiertelny.

Zastanawiał się, czy Chelsea o tym myślała. Wyobrażał sobie, że tak. Dokładała wysiłków, żeby sprawić przyjemność Kevinowi, zamawiając dla niego jego tradycyjnego drinka, uśmiechając się tam, gdzie powinna, ani nie skarżąc się, kiedy Kevin zwracał się głównie do Judda, a nie do niej.

Zachowywała się niczym idealne stworzenie towarzyskie. Tylko Judd wyczuwał w niej napięcie, widział udrękę w oczach, kiedy Kevin opowiadał o swoich podróżach, i lęk, kiedy rozmowa zeszła na Norwich Notch.

- Ciągłe planujesz zostać tam przez cały rok?

- Aha - powiedziała z ostrożnym skinięciem głowy.

- Nie nudzisz się tam?

Roześmiała się. - Chciałabym tylko, żeby doba miała więcej godzin, żebym nadażała ze wszystkim.

Ciągle brakuje mi czasu na wszystko, co chciałabym zdziałać. - Znów zrobiła się ostrożna. - Bardzo bym chciała, żebyś przyjechał mnie odwiedzić. Pod koniec miesiąca pokój gościnny będzie gotowy.

Przyjedziesz na Święto Pracy?

- Nie mogę. Zaprosiłem grupę przyjaciół do Newport. Judd zobaczył na twarzy Chelsea rozczarowanie, ale

po chwili było już niewidoczne. Na jego miejscu pojawił się wystudiowany entuzjazm. - Ooo? Kogo?

- Wescottów, Charliego i Lii DuShayne, Rodenhiserów.

- Powinno być bardzo miło - powiedziała bez złości i głęboko odetchnęła. - A w połowie września? Rozważam ogłoszenie dnia otwartego i zaproszenie potencjalnych nabywców, żeby zobaczyli granit na miejscu. W tym samym czasie przyjaciele mogliby przyjechać i zobaczyć dom na farmie. Cały weekend byłby świąteczny i wesoły. Myślę, że dobrze byś się czuł.

Judd pierwszy raz usłyszał o dniu otwartym. Zastanawiał się, czy znów improwizuje.

- Muszę sprawdzić kalendarz - powiedział Kevin.

Judd miał ochotę nim potrząsnąć. Nawet ślepiec zauważyłby, że Chelsea rozpaczliwie pragnie, żeby ją odwiedził.

A potem Kevin powiedział coś, co Judda ogromnie zdziwiło.

- Dowiedziałas się, czego chciałaś? Szybkim ruchem potrząsnęła głową.

- Nie wyciągasz z tego żadnych wniosków?

- Tylko taki, że jeszcze się urządzam.

Nagle zrobił się zły. - To tylko pogoń za mirażami, Chelsea. Nie ma sensu, żebyś tam była. Przełknęła ślinę.

Wskazał głową Judda. - A co on myśli? Chelsea znów przełknęła ślinę. Judd wyglądał na zaniepokojonego.

- Nie wie? - zgadł Kevin.

Judd odezwał się: - Czego nie wiem?

- Że ona urodziła się w Norwich Notch - powiedział z niechęcią Kevin. - To właśnie przyciągnęło ją do tego miejsca. Próbuje się dowiedzieć, kim byli jej biologiczni rodzice. Nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że skoro jej wówczas nie chcieli i teraz nie będą jej chcieli. Nie rozumie, że każdy dzień, który tam spędza, jest dla mnie niczym policzek.

Chelsea zbladła. - Nie powinieneś tego tak traktować.

- Więc ty mi powiedz, jak byś się czuła, gdybyś dała komuś swoje nazwisko, swoje pieniądze i swoją miłość, i gdyby okazało się, że to nie wystarcza? - zapytał.

- Porównujesz dwie zupełnie różne rzeczy - argumentowała błagalnym tonem. - Ja mam rodziców - ciebie i mamę. Nie szukam kogoś, kto miałby was zastąpić. Chcę zwyczajnie wiedzieć, kto był odpowiedzialny za to, że zaistniałam fizycznie. To nie jest nic niezwykłego, ani nic strasznego. Kevin prychnął.

- Obawiasz się, że mnie stracisz - mówiła dalej - ale to ty mnie od siebie odsuwasz. Nigdy nie chcesz się ze mną spotkać.

- Zawsze jesteś tam.

- Przyjechałabym do ciebie do Newport na Czwartego Lipca.

- Powinnaś była mi o tym powiedzieć, zanim zaplanowałam coś innego.

- Gdybym się nie bała odmowy, zrobiłabym tak.

W patowej sytuacji pozostali wpatrzeni siebie. W końcu ona westchnęła i zwróciła przeproszający wzrok w kierunku Judda. - Przepraszam - szepnęła. - Nie myślałam, że tak będzie.

- Oczywiście - powiedział Judd. Nadal starał się przetrwać fakt, że ona urodziła się w Notch. To właśnie było brakujące ogniwo. Jednak był wściekły na myśl, że musiał się o tym dowiedzieć od Kevina, a nie od Chelsea.

- Jesteś zły - powiedziała później. Była wstrząśnięta. Nie tylko kolacja z Kevinem skończyła się nieprzyjemnym zgrzytem, ale jeszcze droga z Juddem do jej mieszkania przebiegła w całkowitym milczeniu. Czuła się tak, jak gdyby wszystko, czego się bała i próbowała uniknąć, miało się w tym momencie spełnić.

Rzucił marynarkę na krzesło. - Pewnie, że jestem zły. Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Bo nie sądziłam, że ma to znaczenie.

- Tak myślałaś. - Położył ręce na biodrach i patrzył na nią z niedowierzaniem. - Właśnie to sprowadziło cię do Notch.

- Sprowadziło mnie Plum Granite.
- Nie dowiedziałybyś się o Plum Granite, jeżeli nie szperałybyś wokół Notch, a nie szperałybyś wokół Notch, gdybyś się tam nie urodziła. Czy cokolwiek może mieć większe znaczenie? Miał rację, miał całkowitą rację, ale to była tylko część całej historii. Starając się zachować spokój, powiedziała: - Nie sądziłam, że to ma jakiegokolwiek znaczenie dla naszego układu. Moje biologiczne pochodzenie, to moja prywatna sprawa.
- A to, co robimy, to nie prywatna sprawa? - Wyprostował się, wręcz wygiął w tył, jak gdyby większa odległość mogłaby mu pomóc w bardziej obiektywnym widzeniu spraw. - Spędzasz ze mną noce, całkowicie naga, całkowicie otwarta, całkowicie szczerą w swojej seksualności - i taka jesteś, Chelsea. To jedna z rzeczy, która mnie w tobie tak podnieca. Więc czy czegoś mi tu nie brakuje? Czy to wszystko jest tylko zwierzęcą reakcją na hormony i feromony? Myślałem, że przeszliśmy już ten etap, Chelsea. Myślałem, że jesteśmy przyjaciółmi.
- Jesteśmy! - wykrzyknęła. Kiedy słyszała, jak tak mówi o ich związku, że to coś więcej niż seks, narastała w niej ta potrzeba. Musiała mu wytłumaczyć. - Ale to nie zaczęło się w ten sposób. Na początku było to czysto fizyczne. W którymś miejscu zaczęło się zmieniać. Nie wiem kiedy, ale się zmieniło. Nagle staliśmy się przyjaciółmi i ty nie wiedziałeś o mnie czegoś podstawowego, a ja nie wiedziałam, jak mam ci powiedzieć.
- Ha! Jesteś równie wygadana, jak wszystkie kobiety, które w życiu spotkałem.
- Ale to było coś innego! - tłumaczyła. - Gdybym ci to powiedziała, byłoby to równoważne z powiedzeniem ci, że nie byłam całkiem uczciwa, i nie wiedziałam, jak na to zareagujesz. Bałam się, że będziesz zły. Wygląda na to, że miałam rację.
- Nie jestem zły. Czuję się urażony. Myślałem, że masz do mnie zaufanie.

- Mam.

- Ale nie na tyle, żeby powiedzieć mi coś bardzo (ulotnego o sobie).

- Ale mam - powiedziała ciszej i poczuła, jak skręcają W środku. - Mam do ciebie zaufanie. -

Wstrzymała oddech i po chwili głośno wypuściła powietrze. - Tylko nie chciałam, żeby sprawy między nami się zmieniły.

- Dlaczego to, że urodziłaś się w Notch, miałoby Cokolwiek między nami zmienić? - Jego oczy pociemniały, były pełne żalu. - Na pewno nie ugasi to pragnienia, które czuję wewnątrz za każdym razem, kiedy na ciebie spoglądam.

- Ale coś innego może - wyszeptała. Przełknęła ślinę, uplotła ręce, a potem z trudem wypowiadała słowa, tylko dlatego, że była mu je winna. - Jestem w ciąży, Judd. Nie upodziwiałam się tego. To stało się na początku maja, tego jedyne go razu, kiedy kochałam się z Carlem. Kiedy byłam już tego pewna i poszłam, żeby mu o tym powiedzieć, oznajmił mi, że bierze ślub z Hailey. Ona była już w ciąży.

- W ciąży? - Te słowa odbijały się echem w jego głowie. - Jesteś w ciąży? - Otepiały wpatrywał się w jej brzuch.

Poczuła, jak zaczyna ją ogarniać histeria.

- Nie planowałam tego układu między nami. W ogóle nic spodziewałam się czegoś takiego. Nie wyobrażałam *obie, że ciężarne kobiety są w stanie odczuwać rzeczy, które dzięki tobie odczuwałam. Spojrzał jej w oczy. - Jesteś w ciąży?

Poczuła, jak coś zacisnęło się w jej gardle. Próbowała rozluźnić mięśnie, ale nie udawało się. Więc po prostu kiwnęła głową.

- Więc i to ukrywałaś przede mną? - Jego głęboki głos był pełen niedowierzania. - Wydawało ci się, że to też nie ma znaczenia? Wydawało ci się, że ciąża pewnego dnia /niknie?

Przedstawił to w tak absurdalny sposób, aż było jej Jeszcze bardziej głupio, że nie powiedziała mu wcześniej.

- Nie spodziewałam się, że to pomiędzy nami potrwa. Wydawało mi się, że to czysto fizyczna sprawa. Kiedy to się przerodziło w coś więcej, czułam się jak oszustka. Chciałam ci powiedzieć. Cały czas przypominałam sobie, że muszę ci powiedzieć. - Jej głos stał się cichy. - Wkrótce bym ci powiedziała. Nie miałabym już wyboru.

Nadal osłupiały, wpatrywał się w jej piersi, a potem w talię. Potem przeciągnął ręką po włosach i spojrzał w bok. - Cholera.

- To nie dotknie cię w żaden sposób, Judd - powiedziała szybko. - Jeżeli ktokolwiek będzie myślał, że dziecko jest twoje, ja wszystko wyjaśnię.

Podszedł do okna i patrzył na port.

Podniosła głos, tak żeby był słyszalny na końcu pokoju. - Carl nic nie wie. Nie wiem, jak mu powiedzieć, nie wbijając klina między niego a Hailey. Mój ojciec też nie wie. Chciał, żebym wyszła za Carla. Będzie rozczarowany. A potem powie Carlowi i jego rodzicom. Porobią się straszne kłopoty. I Nie miała zamiaru tego wszystkiego mówić. Judd nie potrafiłby nic jej odpowiedzieć. Praktycznie nie znał ludzi, których ta sprawa dotyczyła, a poza tym nie był to jego problem. Ale nie wiedziała, co ma zrobić. Potrzebowała pomocy.

On cały czas stał przy oknie z rękami na biodrach, j odwrócony do niej plecami. Widziała, jak bardzo napięte są jego ramiona i zachciało jej się płakać.

Po raz ostatni spróbowała do niego dotrzeć.

- Wydawało mi się, że najlepiej będzie, jeżeli wyjadę z Baltimore, a Norwich Notch tylko czekało.

Wszystko idealnie zbiegło się w czasie. Jestem pewna, że nie był to czysty przypadek. Więc spakowałam się i przeprowadziłam. Nikt mnie tam nie znał. Wydawało mi się, że znalazłam cichą przystań. Znalazłam dom na farmie i kupiłam pathfindera. Poznałam ciebie i Donnę, i Huntera.

Wymyśliłam, że tam mogę urodzić swoje dziecko i dowiedzieć się, kim byli moi biologiczni rodzice, a potem zdecydować, co robić i dokąd pójść, kiedy minie rok. - Jej głos zaczął się łamać i zanikać. - Nigdy nie chciałam cię oszukać. Nie powiedziałam ci za pierwszym razem dlatego, że tak bardzo cię

pragnęłam. Może nie miałam racji. Ale nie żałuję. Jest mi przykro, że cię zraniłam, ale nie żałuję ani minuty, którą spędziliśmy razem. Zrobiłabym to jeszcze raz, Judd, w każdej chwili, jeżeli by to był jedyny sposób, żeby jeszcze raz to wszystko przeżyć. To było takie piękne.

Głos się jej załamał. Bała się, że zaraz zacznie płakać, więc zostawiła go w salonie, gdzie samotnie spędził noc. Nie odzywał się przez całą drogę powrotną do Norwich Notch, wyrzucił ją w Boulderbrook i pojechał do domu. A przynajmniej założyła, że pojechał do domu. Nie była tego pewna. Nie przyszedł do niej tej nocy ani następnej, nie zajrzał też do biura. Potem nadszedł weekend. Był nieskończenie samotny. W poniedziałek rano zaczęła żałować, że kiedykolwiek spojrzała na Judda.

ROZDZIAŁ 15

Chelsea dobrze znała jego kroki. Słyszała je dostatecznie często w ciemności nocy, kiedy po podłodze I desek szedł do jej łóżka, żeby móc rozpoznać ich dźwięk na schodach. Bądź spokojna, powiedziała sobie. Mimo to wszystkie jej zmysły się ożywiły.

- Aha - powiedziała do słuchawki telefonicznej. - Ma pan rację. To biały granit najwyższej jakości i możemy dostarczyć ilość, której pan potrzebuje.

Najpierw wynurzyła się ciemna głowa Judda, potem szerokie ramiona okryte bawełnianą kurtką, szczupły tors, biodra i nogi w dżinsach.

- A może mógłby pan do nas przyjechać i sam zobaczyć. Mamy dzień otwarty w weekend piętnastego września, ale kamieniołomy pracują przez sześć dni w tygodniu. Serdecznie zapraszamy. Proszę przyjechać, kiedy tylko będzie panu wygodnie.

Kiedy zobaczyła Judda, podniosła palec. Jej oczy błędziły po wysp-kj sylwetce, gdy podchodził do najdalszego okna.

- Jeżeli interesują pana szczegóły, poproszę naszego kierownika robót, żeby do pana zadzwonił.

Proszę o numer telefonu. - Napisała go na karteczce, nad nim napisała „Judd” i podkreśliła dwa razy. -

Alex Lappin jest doskonały w tej branży. Jest mi ogromnie miło, że mnie zarekomendował.

Judd wsadził dłonie za pasek dżinsów z tyłu. Nie była pewna, co to miało oznaczać.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Jej dłonie były wilgotne. - Będę czekać.

Odłożyła słuchawkę, oparła rozprostowane dłonie na biurku i oparła się wygodnie na krześle. Kiedy Judd nie odwracał się, powiedziała: - To był człowiek, który nazywa się Phillip Bundy. Jest architektem z Hartford. Dostał zlecenie na projekt pierwszego z serii megabanków, które powstają z fuzji kilkunastu małych banków na skraju bankructwa. Jest zainteresowany białym granitem z Haskins Peak. Będzie do ciebie dzwonił.

Judd zwiesił głowę. Też nie była pewna, co to ma znaczyć.

Zależało jej na tym, żeby dać mu do zrozumienia, że nie jest na niego zła, że doskonale rozumie, jeżeli nie będzie chciał jej już nigdy dotknąć, że to, co pomiędzy nimi było, nie będzie miało wpływu na interesy. Powiedziała na tyle radośnie, na ile ją było stać: - Odezwał się też przedstawiciel Roskins Group. Chcą znać ceny dla ośrodka, który właśnie budują w Cape Elizabeth.

- Ośrodek wypoczynkowy przy takim stanie gospodarki? - spytał Judd obojętnym głosem, który słyszała

u niego, kiedy tylko się poznali. To oznaczało, że ich układ znów wrócił do punktu wyjścia.

Wiedziała, że sama na to zasłużyła. Mimo wszystko coś ukłuło ją w sercu.

Tym razem musiała włożyć jeszcze więcej wysiłku, żeby wyprodukować równie radosny głos. -

Ludzie nadal chcą podróżować, tyle że nie tak daleko jak

przedtem. Cape Elizabeth spełnia te warunki. Budynek jest tak zaprojektowany, że może być również wykorzystywany do organizacji kongresów. To, że jest tak blisko, w tym wypadku jest również zaletą.

- Kim jest Alex Lappin?

- Kolegą. Pracowałam w jego firmie, kiedy skończyłam studia. Kiedy zrozumiałam, że chcę projektować, zaproponował mi do firmy architektonicznej i pracowałam tam jako kreślarka, zanim zaczęłam studiować architekturę na podyplomowych studiach.

Czekała, żeby powiedział coś więcej. Pragnęła, żeby on ukierunkował rozmowę, w jakiś sposób dał do zrozumienia, o czym myśli.

- Jak myślisz - zapytała - czy dzień otwarty przyniesie nam dużo zamówień?

Milczał. Potem odezwał się: - Nigdy tu nie robiono czegoś takiego.

- Ale sądzisz, że przyniesie efekty?

Znów milczał. Po chwili: - To zależy od tego, kto przyjedzie.

Westchnęła, potem, nie mogąc się powstrzymać, powiedziała: - Aha. Weszliśmy w tryb rozmowy właściwy dla Norwich Notch. Wiesz, rozumiem teraz, dlaczego tradycja jest tu tak ważną rzeczą.

Wypowiedzenie słów, które miałyby wyrażać coś nowego, wymagałoby tyle wysiłku, że zanim wyszłyby z ust, nowa myśl stałaby się już przestarzała. - Ciszej dodała: - Rozmawiaj ze mną, Judd.

Wydał zduszony dźwięk i potrząsnął głową. Już miała przyjąć to za odmowę, kiedy wymamrotał jakby w zamroczeniu: - Dlaczego tego nie widziałem? Masz pełne piersi. I talie.

- Wiele kobiet ma pełne piersi i niezbyt wąską talię. Nie znałeś mnie przedtem i nie miałeś podstawy do porównań.

Znów potrząsnął głową. - Powinienem był to zauważyć.

- Byłeś zbyt blisko.

- Nigdy nie -miałaś okresu. Powinienem był o to zapytać.

- Nie spędzaliśmy ze sobą każdej nocy. Ostatnim razem, kiedy byłam w Baltimore, spędziłam tam trzy noce. Mogłam przecież tam mieć miesiączkę.

Wtedy się odwrócił - imponująca sylwetka zarysowała się na tle okna - i przez ściśnięte gardło powiedział: - Czy miałaś zamiar mi powiedzieć, że to dziecko Carla?

- Oczywiście! Problem polegał na tym, żeby powiedzieć ci, że w ogóle jestem w ciąży, a nie, że to dziecko Carla. Nie wstydzę się tego, co zrobiłam z Carlem. Próbowaliśmy do czegoś doprowadzić, mając najlepsze intencje. Jeżeli wziąć wszystko pod uwagę, bycie z Carlem było dla mnie o wiele rozsądniejsze niż bycie z tobą.

Jego spojrzenie pozostało nieubłagane, a oczy były twarde niczym kamienie. - Mogłabyś mi przecież wmówić, że to moje.

- Zbyt szybko bym utyla. Poród jest spodziewany z początkiem lutego. Wiedziałbyś, że to nie twoje.

- Rodzą się przecież wcześniaki.

Zrozumiała tok jego myślenia i wzburzona potrząsnęła głową. - Nigdy bym ci czegoś takiego nie wmówiła. Nie szukam ojca dla mojego dziecka. Nie chcę go. Nie potrzebuję go. Mam czas i środki, żeby wychować dziecko. I jeszcze w dodatku bardzo tego chcę. - Zaśmiała się krótko i natychmiast wróciła do wspomnień. - Myślę, że to właśnie było dla mnie największą niespodzianką. Przez te wszystkie lata nie chciałam mieć dzieci. A potem lekarz powiedział, że jestem w ciąży i nagle, kiedy zrozumiałam, że będę mieć coś żywego, z mojego własnego ciała i krwi, tak bardzo... dodało mi to otuchy... że wiedziałam, że nawet jeżeli dziecko

przyjdzie na świat z różnymi wadami wrodzonymi, to nadal będę je chciała.

- Co otwiera nam puszkę Pandory - oznajmił Judd i podszedł do niej, gotując się ze złości. - Kto dał ci prawo, żeby tutaj przyjeżdżać i oznajmiać, że jesteś kimś, kiedy naprawdę jesteś kimś innym. Po co te gierki? Czy oszukiwanie nas to dla ciebie rozrywka? Czy dlatego wydaje ci się, że jesteś sprytniejsza od nas? Albo lepsza?

Wytrzymała jego spojrzenie. - Nie. Wszystko, co mi Kie wydaje, to to, że chcę wiedzieć, kim jestem i skąd pochodzę, ale nie wiem, jak mam się zabrać do zdobywania informacji.

- Dlaczego po prostu nie zapytasz?

- Kogo? Urodziłam się trzydzieści siedem lat temu i natychmiast zostałam oddana do adopcji. To nie jest łatwa rzecz dla matki. - Położyła otwartą dłoń na brzuchu. - Jeszcze nie czuję ruchów dziecka, ale jeżeli miałabym je donosić, urodzić i potem nigdy nie zobaczyć, byłabym unieszczęśliwiona. - Na samą myśl o tym łzy napłynęły jej do oczu. - Ludzie nie oddają ciała z ich ciała tylko dlatego, że tak im się chce. Robią tak, bo muszą, i prawie zawsze jest w tym cierpienie.

- Skąd wiesz? - zapytał

- Wiem, bo przeczytałam prawie wszystko, co zostało na ten temat napisane - powiedziała, nagle czując się silniejsza. Nikt nie mógł jej zarzucić, że nie odrobiła lekcji lub że jest niedouczoną orędowniczką sprawy. - Nie wiem, dlaczego moja biologiczna matka mnie oddała, ani jak głęboki ból wówczas cierpiała. Nie wiem, czy była samotna, czy zamężna, młoda czy stara, bogata czy biedna. Nie wiem, czy urodziła dziecko gdzieś w Corner, w ukryciu, a potem oddała je, tak że nikt się nie dowiedział - albo czy była obtoczona w smole i pierzu i zdegradowana do roli pariasa jak matka Huntera, albo może była jedną z Farrów, Jamiesonów czy Plumów, która poczęła pozamałżeńskie dziecko, spędziła ciążę w jednej z sypialni wychodzących na skwer, a potem

szybko się mnie pozbyto, bo byłam tylko kłopotem dla rodziny.

Zrobiła przerwę tak krótką, żeby tylko wziąć oddech.

- I co sugerujesz? - zapytała. - Gdzie powinnam zacząć pytać? Ludzie nie dzieta się z tobą prywatnymi informacjami, jeżeli ci nie ufają, a mieszkańcy Notch niełatwo obdarzają kogokolwiek zaufaniem. Nie ma żadnej metryki ani innych dokumentów, świadczących o tym, że się tu urodziłam. Mój ojciec tego dopilnował. Miejscowy prawnik, który przeprowadzał adopcję, nie żyje, a położnej dobrze zapłacono za milczenie. Wszystko, co wiem

- powiedziała, skandując słowa, tak bardzo była sfrustrowana - to że urodziłam się w Norwich Notch. Jediną materialną rzeczą, którą mam po moich rodzicach, jest srebrny klucz, który wiele lat temu został przysłany mojej matce. Nie dołączono do niego żadnego listu ani wiadomości, i był to jedyny kontakt. Co chciałbyś, żebym zrobiła - powiesiła klucz na sznurku na szyi i czekała, aż ktoś zgłosi do niego roszczenia?

- W takim tempie, jak ty się posuwasz - powiedział Judd, krzyżując ramiona na piersi - mogłabyś powiesić królewskie klejnoty na szyi na sznurku i nikt by ich nie zauważył. Jedyne, co zauważą, to twój brzuch, kiedy się zacznie powiększać. Czy w ogóle wyobrażasz sobie, co to znaczy być samotną matką w Norwich Notch? Byłoby inaczej, gdybyś pochodziła z Corner. Ludzie niejako oczekują, że dziewczęta stamtąd wpadają w kłopoty. Ale tu, wokół skweru? Niebywałe.

Chelsea powoli wstała i stanęła z nim twarzą w twarz. Jeżeli nie był w stanie zrozumieć, nie różnił się ani trochę od miejscowych. Była gotowa z nimi walczyć, ze wszystkimi, gdyby to było konieczne.

- No i co mi zrobią? - zapytała. - Ukamienują mnie? Postawią mnie na pregiery w centrum miasta ze szkarłatną literą na piersi? Nie mogą tego zrobić. Być może urodziłam się tu jako nikt i mnie po prostu oddano, ale nie wracam tu jako nikt. To miasto mnie teraz potrzebuje. Jego los jest związany z Plum Granite, a los

Plum Granite zależy ode mnie. Jeżeli z powodu ciąży będę traktowana niewłaściwie, obrócę się na pięcie i wyjadę.

- I pogodzisz się z tym, że twoja inwestycja przyniesie ci ogromne straty - odciął się Judd, śmiejąc się bez odrobiny humoru. - Nie żartuj.

- Ty w ogóle mnie nie rozumiesz, prawda? - zapytała rozczarowana, ale nie zaskoczona. Mimo że byli tak blisko fizycznie, nigdy nie dzielili marzeń, uczuć, nadziei i porażek. - Moją siłą napędową w życiu nie jest robienie pieniędzy. Gdyby tak było, poświęciłabym cały czas na obracanie papierami wartościowymi i udziałami, a nie spędzałabym nie kończących się godzin przy rajzbracie. Rysuję, bo kocham rysować. Lubię wyzwanie związane z tworzeniem nowego budynku. Kiedy robię inwestycje finansowe, również jest to dla wyzwania, dla dreszczyku, który za tym idzie. Nie potrzebuję pieniędzy. Nigdy nie potrzebowałam. Możesz to określić jako arogancję, jeżeli chcesz. Możesz to określić jako marnotrawstwo lub dekadencję. Ale gdybym miała się dzisiaj odwrócić plecami do Notch i stracić każdego centa, którego włożyłam w to przedsięwzięcie, bez problemu pogodzę się z tą stratą. Czy można to samo powiedzieć o ludziach, którzy tu mieszkają?

- Oni nie prosili o twoje pieniądze.

- Nie, ale bez nich, bez Plum Granite, znaleźliby się w niezłych tarapatach.

- Więc ty jesteś miejscowym zbawcą?

- Nie. Po prostu to ja mam pieniądze. To daje mi pewną ilość władzy. - Złapała trochę powietrza i wyszeptała: - Boże, jak ja nienawidzę tego słowa - i mówiła dalej: - I dodatkowo to daje mi tytuł do robienia rzeczy, których inni ludzie nie mogą. Oliver, Emery i George każdego ranka monopolizują zakład fryzjerski i nikt im złego słowa nie powie. Hunter rozbija się na swoim kawasaki i nie dostaje mandatu za naruszanie spokoju. Dziewczyny Jamiesonów co roku wygrywają konkurs na Miss Norwich Notch, chociaż inne, które biorą w nim

udział, mogą być ładniejsze lub bardziej utalentowane. Więc Chelsea Kane jest w ciąży. Ma prawo. Każdy, kto będzie próbował w jakiś sposób ją za to ukarać, musi być przygotowany na poniesienie konsekwencji.

Przez dłuższy czas się w nią wpatrywał. Odwzajemniła spojrzenie, ale nie widziała, żeby zmiękł.

- Czy masz zamiar wygłosić to w kościele? - w końcu zapytał bezbarwnym, nabrzmiałym ironią głosem.

Wyprostowała się. - Jeżeli to będzie konieczne.

- Naprawdę zdobędziesz ich sobie tą strategią.

- Wcale nie mam zamiaru kogokolwiek pozyskiwać. Przyjechałam tutaj, żeby się dowiedzieć, kim jestem, żeby doprowadzić do czegoś Plum Granite i spokojnie urodzić dziecko.

- Nie możesz kupić ludzkiej miłości.

- Czy ktokolwiek coś wspominał o kupowaniu czyjejs miłości?

- W głębi duszy tego chcesz. Chcesz się tu wkupić, postawić się w sytuacji miejscowego bohatera uwielbianego przez ludzi, a potem powiedzieć wszystkim, żeby się pocałowali w dupę - tylko dlatego, że przed wielu laty jakaś anonimowa kobieta zdecydowała oddać cię do adopcji.

- Wcale tego nie chcę.

Wydał pogardliwy dźwięk, odwrócił się na pięcie i wyszedł, a Chelsea zastanawiała się, czy to ona zraniła go tak bardzo, że tak źle o niej myślał, czy też to, co o niej powiedział, jest prawdą.

Donna wiedziała, że coś jest nie w porządku. Od tygodnia wyczuwała to w Chelsea. W te dni, kiedy nie widziały się na aerobiku, Chelsea wpadała późnym rankiem do sklepu, żeby się z nią przywitać.

Oficjalnie przychodziła po butelkę soku, ale zawsze znalazła czas, żeby porozmawiać. Donna lubiła te rozmowy. Czowała się zaszczycona, że jest przyjaciółką Chelsea.

Przyjaźń jednak wiązała się z odpowiedzialnością za drugą osobę, a Donna czuła, że uchyla się od swojej części.

Coś musiało się wydarzyć w Baltimore, bo odkąd wróciła, Chelsea nie była już tak radosna, a Donna nie mogła uwierzyć, że ma to coś wspólnego z zaplanowanym na wrzesień dniem otwartym. Pod koniec tygodnia więc, kiedy Chelsea nie stała się ani trochę bardziej rozmowna, a wyglądała na równie przytłoczoną jak zawsze, Donna sama zaczęła ten temat.

- Coś cię gnębi - wystukała na komputerze, kiedy gestem poprosiła Chelsea do kantorku. Matthew był w części sklepowej i nie byłby zadowolony, ale Matthew nigdy nie był zadowolony z tego, co robiła, nie miała więc zbyt wiele do stracenia. - Co takiego?

- Nie mogę się zdecydować - pieczone małże czy barbecue - odpisała Chelsea. - Nie wiem, co mam zrobić.

Donna machnęła ręką. - Tu chodzi o coś innego - napisała. - Czy to twój ojciec? Chelsea potrząsnęła głową.

- Przyjedzie we wrześniu?

- Prawdopodobnie nie.

Donna przypatrzyła się badawczo jej twarzy, kiedy marszczyła się nad ekranem komputerowym.

Kevin był jej problemem od miesięcy. Ale tak zatroskana twarz była czymś nowym. - A więc to Judd - ośmieliła się napisać.

Wzrok Chelsea pofrunął do jej oczu. Przez minutę wyglądała na niezdecydowaną, jak gdyby nie była pewna, czy ma się do czegośkolwiek przyznawać. Potem cicho spytała: - Skąd wiesz o Juddzie?

Donna ze smutnym uśmiechem wystukała na klawiaturze: - Norwich Notch to małe miasteczko.

Ludzie zauważają samochody jeżdżące w nocy. Plotka się rozchodzi.

- To musiał być Hunter. Hunter rozgadał.

Jednak Donna potrząsnęła głową. - Hunter nie jest plotkarzem, ale wielu innych tak. Ktoś musiał zobaczyć Judda, jak skręca późno w nocy do Boulderbrook wtedy, kiedy zapłacił opiekunce, żeby siedziała z Leo do rana. - Widząc zmartwienie Chelsea, napisała: - To

nic takiego strasznego. Jiiid jest wolny. Ty też. Tworzycie piękną parę.

Na twarzy Chelsea pojawiło się nagle takie przerażenie, że Donna wręcz poczuła fizyczny ból. - O co chodzi? - zapytała, nie przejmując się tym razem brzmieniem swojego głosu.

Przerażenie na twarzy pozostało. Po minucie Chelsea odwróciła się do klawiatury i zaczęła pisać.

Kiedy skończyła, okazało się, że trzykrotnie zapełniła ekran komputera.

Donna spojrzała na brzuch Chelsea. Nie była w stanie wyobrazić sobie tam dziecka. Chelsea była taka szczupła, ale może to jej ubranie nic nie zdradzało. Nosiła zawsze luźne sukienki albo duże bluzy na leginsy lub szorty.

Poza tym była jeszcze ta druga sprawa, dla niej o wiele bardziej zagadkowa. - Urodziłaś się tutaj? - Tego też nie była w stanie sobie wyobrazić. Chelsea wydawała się zbyt wyrafinowana, żeby pochodzić z miejscowej rasy.

- Trzydzieści siedem lat temu - powiedziała Chelsea, przestraszona i całkowicie odsłonięta - ale wszystkie dokumenty zostały zniszczone. Nie wiem, w jaki sposób mam rozpocząć poszukiwania. Norwich Notch jest małym miasteczkiem. Nie mogło się tu urodzić zbyt wiele dzieci, które potem zostały oddane do adopcji, ale oczywiście to może być drażliwy temat. - Przerwała, wyglądając na jeszcze bardziej niepewną. - Czy ty czegoś nie pamiętasz?

Donna potrząsnęła głową. Jej ręce sprawnie poruszały się po klawiszach. - Kiedy ty się urodziłaś, byłam zbyt mała. Musiałabyś porozmawiać z kimś starszym. - Na ekranie zrobiła długi rząd myślników, żeby oddzielić to, co zostało już napisane, od tego, co dopiero miało się pojawić.

- Czy Judd był naprawdę zły?

Patrzyła na wargi Chelsea, gdy ta odpowiadała: - Wściekły. Wydaje mu się, że go oszukałam i że oszukuję całe miasteczko. Czuje się obrażony. Uważa, że cierpię na przerost ambicji i manipuluję otoczeniem. Przyznaję, że nie

podjęłam najśluszniejszych decyzji, ale ostatnie miesiące były dla mnie takie trudne. Moje życie w Baltimore rozpadło się, potem mój związek z Juddem, którego wcale nie planowałam, potem usiłowałam pogodzić pracę w dwóch oddzielnych biurach, kończyłam Boulderbrook i jeszcze te telefony... - Machnęła ręką w powietrzu i spojrzała w bok. - Za wiele tego wszystkiego.

Donna dotknęła jej ramienia, a potem klawiatury. - Co za telefony?

- Dzwonią późno w nocy. Dwa albo trzy pod rząd. Najpierw cisza, potem stłumiony dźwięk dziecięcych głosów, tak jak gdyby ktoś postawił magnetofon przed Stołówką szkolną podczas lunchu.

- Jak często? - zapytała na głos Donna.

- Kilka razy w tygodniu. Usiłuję je zignorować, ale powtarzają się. Ktoś usiłuje mnie wystraszyć, i na dodatek jest to ktoś niezwykle uparty. O dziwo, to przez ten Upór czuję się jeszcze bardziej nieswojo.

Donna była w stanie to zrozumieć. - Czy Nolan wie

o tym? - zapytała.

Chelsea zrobiła minę. - To tylko telefony. Nie chciałabym rozdmuchiwać całej sprawy. Jestem pewna, że tego właśnie życzyłby sobie tajemniczy rozmówca.

- Nolan powinien być poinformowany.

- One nie są niebezpieczne. Po prostu mnie denerwują.

Donny to nie przekonało. Odwróciła się do komputera

i napisała: - Nolan jest dobrym fachowcem. Jest zdolny i dyskretny. Często wpada tu na chwilę. Masz coś przeciwko temu, żebym mu o tym wspomniała?

- Ale co on może zrobić?

- Może mieć oko na Boulderbrook. Może usłyszy o kimś, kto ma ci za złe to, że tam zamieszkałaś.

Chelsea smutno wpatrzyła się w sufit. - Połowa Norwich Notch ma mi za złe to, że tu jestem.

Donna objęła ją ramieniem. - To nieprawda - powiedziała to tak, że nawet sama słyszała przekonanie

w swoim głosie. - Oni ci zazdroszczą. - Znów spojrzała na brzuch Chelsea. - Ja też. Uwielbiałam być w ciąży.

Chelsea rozpromieniła się na dźwięk tych słów. - Czy lekko przechodziłaś ciążę?

Donna skinęła głową i odwróciła się do komputera. - Joshie był cudowny od chwili, kiedy się tylko urodził. Miałabym więcej dzieci, gdyby sprawy potoczyły się inaczej.

- Twój słuch?

- Mój mąż. - Natychmiast wymazała ostatnie zdanie z ekranu i zapisała: - Planujesz urodzić dziecko tutaj?

- Tak. W domu. Z pomocą położnej. - Chelsea wyglądała na równie przestraszoną własnymi słowami jak Donna. Nagle roześmiała się. - Nie myślałam o tym wcześniej, ale tego właśnie chcę.

- Nie boisz się?

- Jestem przerażona, ale pomyśl tylko, jakie to będzie cudowne!

Kiedy Chelsea mówiła takie rzeczy, w Donnie zawsze budziło się lekkie przerażenie. Ona miała w sobie pęd ku przygodzie, śmiałość. Częściowo wynikało to z jej pewności siebie, a częściowo z obycia i wykształcenia. Teraz Donna zrozumiała, że jest to również wynikiem braku korzeni. Chelsea nie wiedziała, do kogo i gdzie należy, czuła się więc wolna i pozbawiona wszelkich pęt.

Donna wiedziała doskonale, kim jest. Nosila nazwisko Farr, a przedtem Plum, i miała już dosyć mówienia sobie, jakie to jest cudowne. Chciała mieć choć cząstkę wolności, którą miała Chelsea - nie po to, żeby wyjechać z Notch, bo przecież tu był Joshie, a on był światłem jej życia, ale czasami chciała pójść do restauracji na lunch, chciała pojechać do Bostonu czy do Portland. Chciała móc zaprosić przyjaciół do domu, nie musząc znosić upokarzających wymówek z tego powodu. Chciała ufarbować posiwiałe pasma włosów i nie słyszeć, że powinna być dumna ze swojego wieku. Chciała biegać z Chelsea.

Najbardziej ze wszystkiego chciała móc położyć się wieczorem do łóżka i nie być brutalnie do niczego zmuszana.

Żałowała, że nie jest choć w połowie tak odważna jak Chelsea. Chociaż z drugiej strony, może i dobrze. Mając odwagę i odrobinę skłonności do ryzykanctwa, mogłaby zrobić coś, co zaszokowałoby Notch w dużo większym stopniu niż ciąża Chelsea Kane.

Ta myśl kołatała się w jej głowie jeszcze długo po tym, jak Chelsea wyszła. Donna nie chciała nikogo szokować, ale uderzyło ją, że w tej chwili trafia jej się znakomita okazja. Chelsea była jej przyjaciółką i potrzebowała jej pomocy. Oznaczało to, że Donna powinna ściśle współpracować z policją lub biegać z Chelsea, żeby ta nie była sama na drodze, wystawiona na niebezpieczeństwo.

Z odwagą wcale nie jest tak, że albo ją człowiek ma, albo nie ma w ogóle. Donna miała tylko trochę odwagi, więc wykorzystując to - oraz piętnaście minut, które Matthew dawał jej na zjedzenie lunchu - kiedy rozdzwoniły się dzwony na kościelnej dzwonnicy, pomaszerowała ulicą, żeby spotkać się z Nolanem.

Tydzień później Oliver i Emery stali przy oknie w zakładzie Zee. Trzymali filiżanki napelnione kawą, która zdążyła już ostygnąć, ale żaden z nich tego nie zauważył. Patrzyli na dwie kobiety, które pogrążone w rozmowie stały na ganku przed wejściem do domu towarowego Farra, po przekątnej skweru.

- Nie podoba mi się to, co robi Donna - Emery ostrzegł Olivera niskim głosem. - Mojemu chłopakowi też nie. Odkąd przyjechała ta kobieta, Donna się zmieniła. Matt mówi, że teraz co rano biega po ulicy. Musisz jej powiedzieć, żeby przestała.

- Nie mam zamiaru niczego jej mówić - powiedział Oliver.

- Jesteś jej ojcem.

- A on jest jej mężem. Niech on jej powie. Mnie jej bieganie nie przeszkadza.

- Ona nie jest twoją żoną.
 - Dokładnie to samo powiedziałem.
 - Faktem jest - usłyszeli głośne słowa z fotela fryzjerskiego - że nie ma znaczenia, czyją jest żoną. Spędza zbyt wiele czasu z Chelsea Kane. Nic dobrego z tego nie wyniknie, mówię wam. Ta "kobieta szerzy zepsucie w mieście.
- Oliver przeszył chłodnym spojrzeniem pochyloną sylwetkę, obsługiwaną przez Zee. - Nie słyszałem, żebyś uskarżał się na jej pieniądze, George.
- Nie. Jej pieniądze są dobre. I to wszystko, co w niej dobrego.
 - Nie, to nie wszystko - oponował Oliver. - Daje nam pracę. Już musieliśmy zatrudnić więcej ludzi. Czy nie tak, Judd?
- Judd, który opierał się o ścianę, trzymając oburącz filiżankę letniej kawy, mruknął: - Aha.
- Więcej pracowników to więcej pieniędzy w twoim banku - Oliver zwrócił się do George'a - i więcej pieniędzy wydanych w twoim sklepie - przypomniał Emery'emu - więc lepiej zamknijcie te swoje jadaczki.
- Emery chrząknął. - Zrobiliśmy to i zobacz, do czego nas doprowadziła. To przez nią nasze kobiety noszą rozpuszczone kręcone włosy i ubierają się w letnie sukienki zamiast spodni i w obcisłe ubrania do ćwiczeń, w tak krzykliwych kolorach, że można oślepnąć, żeby już nie wspominać o Święcie Pracy. Słyszałeś, co ona zrobiła ze Świętem Pracy?
- Całkiem wszystko popsuła! - krzyknął George.
- Emery poprawił okulary, mamrocząc: - Dzień otwarty. Komu potrzebny jest dzień otwarty? Dałeś jej pozwolenie na dzień otwarty, Ollie?
- Nie potrzebuje mojego pozwolenia. To ona go organizuje.
 - No, to musimy uchwalić poprawkę do Kodeksu Procedur Społecznych - oświadczył Emery. - Nikomu nie wolno ogłaszać dnia otwartego bez uzyskania zgody radnych. Czy wiecie, że ośmieliła się zatrudnić Bibi, żeby

przygotowała jej kurczęta na barbecue i szarlotkę na deser, więc teraz Bibi nie będzie mogła upiec szarlotki z okazji Święta Pracy. Zawsze w Święto Pracy na deser jedliśmy jej szarlotkę.

- Jej indiański pudding jest lepszy - wtrącił Judd. Gdyby Chelsea go spytała, powiedziałby jej to samo. Ale go nie pytała. Nie miała okazji. Od tamtego poniedziałkowego ranka, unikał jej jak mógł. Jeżeli ich ścieżki przecięły się w biurze, to się przecięły. Nie starał się jej zobaczyć i z pewnością nie miał zamiaru odwiedzić jej w nocy. Był na nią zbyt wściekły, żeby mogła w nim budzić pożądanie.

- Powiedz mu o gospodzie! - stłumiony krzyk George'a doszedł spod wilgotnego ręcznika, którym Zee okrył mu twarz.

Emery powiedział: - Zarezerwowała wszystkie pokoje w gospodzie i jeszcze kilka w Stotterville. Nie wiem, co zrobimy, jeżeli do nas przyjadą jacyś goście w ten weekend. Nic już nie zostało. Mówię ci, Ollie, ona nas wyprze z naszego własnego miasta.

Judd skorygował to, co przed chwilą pomyślał. Nadal jej pragnął. Wystarczyło, że o niej pomyślał i już pojawiała się pożądanie, co go tym bardziej rozwścieczało. Czuł, że przyniesie mu kłopoty.

Powinien był słuchać swojego wewnętrznego głosu.

- Powiedz mu o straży pożarnej - George zwrócił się do Emery'ego.

Emery powiedział: - Powiedziała Hunterowi, że przed dniem otwartym musi mieć uprzątnięte podwórko, więc zatrudnił facetów, którzy mieli pomalować budynek straży pożarnej. Oto nasza tania siła robocza - strzelił palcami - frrr, poleciała. To tak, jak gdyby ona reżyserowała film, tylko że w tym filmie nie ma dla nas żadnych ról.

Nie zdradzony, myślał Judd. Odsunięty. Ona i jej dziecko mieli swoją tajemnicę, i postanowili go do niej nie dopuścić. Nie był jej częścią. Był z niej wyłączony. Może to było irracjonalne, ale tak właśnie się czuł.

- Nie podoba mi się to, Ollie - ciągnął dalej Emery.
- Musisz się jej pozbyć.
- Robię co mogę. Na razie to ja ją wyprzedzam. W czerwcu już jej tu nie będzie.
- Czerwiec, to za długo. Pozbądź się jej teraz. Głos Olivera podskoczył o oktawę. - A niby jak mam to zrobić?
- Stara skóra zaskrzypiała, kiedy George podnosił się z fryzjerskiego fotela. - Otwórz usta i jej powiedz.
- Co jej mam powiedzieć?
- Otarł twarz i przyłączył się do pozostałych przy oknie.
- Powiedz jej, żeby stąd wyjechała.
- Nie mogę tego zrobić. Jest moją współpracowniczką. Zmrużył oczy tak, że jego czoło wydawało się jeszcze dłuższe, a sterczące szare włosy sterczały jeszcze bardziej.
- Lubisz ją.
- Wcale jej nie lubię - warknął Oliver - ale robi to, co obiecała. Przynosi pracę.
- Może to robić z Baltimore. Ona tu nie pasuje. Popatrz tylko na nią. - Popatrzył nieco lubieżnie, jak ocenił to Judd, w kierunku domu towarowego. - Cały czas nosi takie sukienki, że nawet nie dochodzą jej do kolan. Wiecie, co mówią w barze w gospodzie? Że obrabiają więcej niż jeden facet, i ja w to wierzę. Każda kobieta, która tak się wystawia na pokaz publiczny, nie jest warta, żeby podać jej rękę.
- To luźna sukienka - powiedział Judd, bo uważał, że nie można pozwalać starym rozpustnikom na niekwestionowane wyrażanie opinii. - Wszystko, co nosi, jest luźne. Więc co wystawia na pokaz publiczny?
- Nogi - powiedział George. - Ma gołe nogi. Oliver chrząknął. - Połowa miasta ma gołe nogi o tej porze roku.
- Ale to nie do ich nóg stary Buck się tak łąsi
- zripostował George. - Mówię wam, ten pies ma dobry gust. - Przechylił głowę, ciągle wyglądając na zewnątrz. - Oczywiście, gdyby się trochę posunął, miałbym lepszy widok.

- Na miłość boską, George! - uskarżał się Emery, potrząsając świeżą chusteczką do nosa. - Z każdym dniem stajesz się gorszy. Kiedy się ciebie słucha, można by pomyśleć, że nie widziałeś kobiety od tygodni, ale przypadkiem wiem, że ta nowa sekretarka, którą zatrudniłeś...

- Jestem wdowcem - odszczeknął George. - Mogę robić, co mi się podoba.

- Wiem o tym - powiedział Emery, całkowicie spokojny, z rumianymi policzkami, i zdjął okulary, żeby wyczyścić szkła. - Nie rozumiem tylko, co ona widzi w takim starym przyku jak ty. - Pokazał głową na Chelsea. - Ta tutaj jakoś wcale nie wydaje się za tobą biegać. Może to ci przeszkadza.

Judd zastanawiał się, czy to prawda, ale George nie odpowiedział, tylko spojrzał na niego wyzywająco. - Powiedziałem ci, co mówią w gospodzie. A wiesz, co mówią U Crockera?

- Judd skończył kawę, zgniótł papierowy kubek i wrzucił do kosza na śmieci. Skrzyżował ramiona na piersi.

- Co mówią u Crockera? - Jak gdyby sam nie wiedział. Bywał tam przynajmniej raz dziennie. Nikt nie powiedział mu tego w twarz, ale nie był przecież głupi. W jego interesie leżało, żeby wiedzieć.

- Mówią, że ją posuwasz. Czy to prawda?

- Nie - powiedział Judd.

- Niech mnie diabli, jeżeli to nieprawda - wymamrotał Emery.

Oliver wysunął dolną szczękę i wpatrywał się w Farra, podczas gdy Emery przeprowadzał swój dowód.

- Całe miasto wie, dokąd jeździsz w te noce, kiedy Millie Malone nocuje u was. - Wybuchnął rubasznym Śmiechem. - Przecież to jasne, że nie robisz tego z Millie.

George wsunął kciuki pod szelki i obdarzył Judda zaciekawionym spojrzeniem. Zwracając się do Emery'ego, powiedział półgębkiem: - Rozumiem, dlaczego zdecydowała się na niego. Właściwy rozmiar. Właściwy wiek. Mówiłem już przedtem, że powinien mieć ją na

oku. Wygląda na to, że zrobił dużo więcej. - Do Judda powiedział: - Igrasz z ogniem. Już sparzyłeś się na jednej kobiecie z miasta. Chcesz się sparzyć na następnej?

- Zmądrzałem - powiedział Judd.

- Leo też, i zobacz, co się *t* nim stało. Też go wrobiła kobieta z miasta. Nigdy nie pogodził się z tym, że twoja matka od niego odeszła. Jestem pewien, że to właśnie przez to ma teraz kłopoty z rozumem.

Judd oderwał się od ściany i wyprostował się na pełną wysokość. - Leo i ja radzimy sobie doskonale.

- No i dobrze - powiedział George - ale jeżeli jesteś tak sprytny, jak ci się wydaje, przestaniesz zabawiać się z Chelsea Kane i pokażesz jej, gdzie jest jej miejsce. Jeżeli chce zdobyć pracę dla kamieniołomów, to w porządku. Jeżeli chce wyrzucić całe miasto do góry nogami, to nie w porządku. I jeżeli ty jej tego nie powiesz, to znajdzie się wielu, którzy to zrobią. Pamiętaj o tym, Judd.

Z zegara wiszącego na ścianie wyszły dwie figurki doboszy, pięciokrotnie uderzyły w bębny i schowały się do swoich domków po obu stronach zegara.

Judd popatrzył na Olivera. - Jest wpół do jedenastej. Muszę wracać do kamieniołomów. Jeżeli chcesz, żebym cię tam zawiózł, musisz wyjść teraz ze mną.

- Słyszałeś, Judd? - George domagał się odpowiedzi. O tak, Judd słyszał. Myślał też, że kiedy dwa dni temu

jadł śniadanie u Crockera, do jego boks przysiadł się Nolan McCoy i zaczął mówić. Ktoś wykonywał dziwne telefony do Chelsea - niech ją diabli wezmą, że o tym też mu nie powiedziała. Zastanawiał się, czy George wie coś o tym, bo to, co przed chwilą powiedział, brzmiało podejrzenie, niczym groźba. Judd nie chciał mieć już nic wspólnego z Chelsea, ale jeżeli telefony będą się powtarzały albo ktoś odważy się jej zrobić krzywdę, żeby ją wystraszyć z miasta, to będzie miał z nim do czynienia. Nie dopuści do tego, żeby miało ucierpieć bezbronne nie narodzone dziecko.

Święto Pracy w Notch było wariacją na temat Czwartego Lipca. Twarze były teraz bardziej opalone, nogi bardziej leniwe. Nie było parady, ale wyścig rowerowy przez miasto, który miał na celu zebranie pieniędzy na fundusz walki z dystrofią mięśniową, targ, którego główną atrakcją był konkurs na największą cukinię, wyścig w kucki, karuzela na skwerze, rozgrywki letniej ligi i deser Święta Pracy, gdzie każdy mógł zajadać się do woli darmowymi ciastkami, puddingiem i plackiem z owocami. Chelsea była zadowolona z siebie. Udało jej się przetrwać i nie popaść w depresję, co wcale nie oznaczało, że była szalenie szczęśliwa, tyle tylko, że odzyskała jakoś równowagę. Czuła się samotna. Ciężko jej było oglądać bawiące się razem rodziny i mimo że obserwując zastanawiała się, do jakiej grupy mogłaby się przyłączyć, przez cały czas pozostawała na zewnątrz. Najtrudniejsze dla niej było oglądanie Judda, kiedy grał w koszykówkę i wygrał, a ona nie mogła go z tej okazji uściskać, ale i z tym sobie poradziła. Nigdy nie zebrała o uczucia mężczyzn. Jej związek z Juddem był niespodziewany i okazał się krótkotrwały. Przeżyje i to.

Z drugiej strony, dzień otwarty był triumfem od początku do końca. W ciągu weekendu przyjechało do Notch co najmniej dwustu przyjaciół, kolegów po fachu i potencjalnych kupców. Niektórzy przyjechali tylko na jeden dzień, a inni, oczarowani cudowną jesienią na wzgórzach Nowej Anglii, skorzystali z okazji, żeby pospacerować i zbierać kolorowe liście. Najpiękniejsze kolory miały się pojawić dopiero za miesiąc, ale już klony na bagnach zaczerwieniły się, a niektóre brzozy zażółciły. Jednak wszyscy, którzy pojawili się na dniu otwartym, bez względu na to, czy zbierali liście, czy nie, bawili się znakomicie, jeżeli jakimś wskaźnikiem mogły być sumy wydawane u Farra, poziom śmiechu przy barze w gospodzie oraz stosy kurcząt i szarlotki skonsumowane w Boulderbrook. Ukoronowaniem weekendu było dwanaście dużych zamówień na granit.

Oliver studiował je z wielce zadowoloną miną.

Judd zatrudnił pięciu dodatkowych mężczyzn.

O świcie pięknego wrześniowego dnia Chelsea biegła z Donna. Powietrze było świeże i chłodne, tak że z ust wydobywały im się małe obłoczki pary. Krajobraz mienił się kolorami w promieniach wschodzącego słońca, ale ziemia była niemal sztywna od pierwszego niewielkiego przymrozku.

Ubrane w bluzy od dresów, które zdejmowały pod koniec biegu, i legginsy z lycry, biegły z animuszem, pobudzone rześkim powietrzem.

Był to jeden z tych poranków, które tchnęły optymizmem, kiedy Chelsea wydawało się, że w końcu zaczyna jej się wszystko układać w Norwich Notch. Boulderbrook był już skończony, cały śliczny, urządzone w ciepłym, przytulnym stylu, z dywanikami i kołdrami z patchworku, ozdobnymi poduszkami z makramy i reprodukcjami, których nigdy nie odważyłaby się powiesić w Baltimore, ale tu pasowały. Żmudne czerwcowe i lipcowe godziny spędzone na rozmowach telefonicznych i pisaniu listów przyniosły rezultaty w postaci stałej aktywności w kamieniołomach i pełnego wykorzystania nowego obiektu, gdzie cięto i polerowano kamień. Oczywiście, Kevin nadal odmawiał odwiedzin, ale stale do niego dzwoniła. Nie była gotowa się poddać. Wcześniej czy później Kevin uświadomi sobie, że ona kocha go tak samo jak zawsze.

Była już w czwartym miesiącu ciąży i czuła się świetnie, chociaż nie była równie żywa i ruchliwa jak przedtem. Przytyła prawie cztery kilo - nadal ukryte pod luźnymi ubraniami - i odczuwała każdy nowy kilogram, więc biegła nieco wolniej i nie tak daleko. Dlatego tak bardzo odpowiadało jej bieganie z Donna. Cydra, która przyjechała do Boulderbrook na dzień otwarty, wyśmiewała się z niej dobrotliwie, kiedy zostawała z tyłu. Donna zadowalała się wolniejszym tempem, bynajmniej nie dlatego, że była niesprawną. Ona i Chelsea były zbudowane zaskakująco podobnie, ale ona nie miała wprawy w bieganiu ani konsekwencji i wytrzymałości Chelsea.

Tego ranka biegły obok siebie jak cienie. Biegły prawą stroną szosy, bo o tak wczesnej porze niemal nie było ruchu. Ponieważ Chelsea słyszała, biegła po lewej stronie Donny i przesuwała ją głębiej na pobocze, kiedy z tyłu dochodził szum samochodu.

Tym razem też tak zrobiła. Po dźwięku silnika zorientowała się, że nadjeżdżający pojazd jest ciężarówką, jak zresztą większość samochodów o tej godzinie. Dźwięk przybliżał się. Chelsea zaniepokoiła się i zerknęła nerwowo przez ramię. Przestraszona, że ciężarówka jedzie tak blisko, gestem wskazała, żeby je ominęła. Miała przecież całą drogę wolną.

Ciężarówka nie robiła spodziewanego manewru, żeby je ominąć, lecz wyraźnie kierowała się na pobocze.

W ciągu kilku sekund, których brakowało, żeby zostały potrącone, Chelsea rzuciła się na Donnę i razem przekoziółkowały w krzaki rosnące na skraju drogi. Zdyszane i rozdygotane, wygramoliły się na kolanach i wpatrzyły się w znikającą ciężarówkę. Potem spojrzały na siebie. Nie musiały się porozumiewać. Oszłomienie na twarzy Donny oznaczało, że wiedziała to samo, co Chelsea. Biały napis na tylnej burcie brudnej szarej ciężarówki nie pozostawił żadnych wątpliwości.

ROZDZIAŁ 16

— Czy jesteś pewna, że była to jedna z naszych ciężarówek? - zapytał Judd.

- To była ciężarówka Plum Granite - potwierdziła Chelsea.

Nolan siedział za biurkiem, robiąc notatki na swoich formularzach. Gabinet umeblowany metalowymi sprzę-

tami sprawiałby wrażenie chłodu, gdyby nie Nolan. Był wielkim mężczyzną w niebieskim mundurze, o siwiejących włosach, byczym karku i ciepłym sposobie bycia, który za każdym razem był dla Chelsea miłym zaskoczeniem. - Widziałaś kierowcę? - zapytał teraz.

- To było niemożliwe. Ciężarówkę oświetlało z tyłu wschodzące słońce, więc kabina była całkiem ocieniona. A zresztą spodziewałam się, że nas ominie, jak zawsze to robią. Kiedy się odwróciłam i zobaczyłam, że jest tak blisko, jedyne, o czym myślałam, to żeby udało nam się uciec. Kiedy zaczęłam się zastanawiać, kto mógł prowadzić, ciężarówka była już daleko.

- Na pewno nic ci się nie stało? - zapytał Judd. Patrzył jej w oczy, dając do zrozumienia, co jest przedmiotem jego troski. Wyobraziła sobie, że gdyby nie obecność pozostałych, patrzyłby na jej brzuch. Mimo że czasem brakowało mu łagodności, był jednak dyskretny.

- Wszystko w porządku - powiedziała cicho. Spojrzała na Donnę. - U ciebie też?
Donna skinęła twierdząco głową.

- Nie jesteście posiniaczone? - zapytał Nolan. On także patrzył na Donnę. Jego oczy wypełniała łagodność, której brakowało Juddowi, i przez chwilę Chelsea poczuła, jak ogarniają zazdrość. Po chwili zdała sobie sprawę z własnej niesprawiedliwości. Nie chciałyby się zamienić z Donną. Donna nie dość, że była ułomna fizycznie w sposób, który nie pozwalał jej na usłyszenie głosu własnego syna, to jeszcze miała męża, który traktował ją niczym śmieć. Aż nadto zasługiwała na odrobinę ciepła i troski.

Donna potrząsnęła głową w odpowiedzi na pytanie Nolana. Odwróciła się w kierunku Judda i bezgłośnie zapytała: - Kto?

- Mamy cztery ciężarówki tego typu - powiedział Judd. - Każdej nocy trzy są zaparkowane w Moss Ridge. Czwartą jeździ Oliver.

- Czy widziałaś rejestrację? - zapytał Nolan Chelsea. Potrząsnęła głową. - Kiedy zobaczyłam napis z tyłu, byłam zbyt zaszokowana, żeby się przypatrywać. - Rzu-

ciła Donnie pełne wahania spojrzenie i zapytała Judda: - Czy możemy założyć, że to była jedna z tych trzech zaparkowanych w Moss Ridge?

Judd spojrzał jej w oczy. - Oliver może być gburem, ale nie jest złym człowiekiem. Ani głupcem.

Interes znów ruszył. Zaszkodzenie ci oznaczałoby dla niego narażanie własnego dobrobytu.

Zaszkodzenie Donnie byłoby samobójstwem. Ponadto - powiedział ciszej - on jeździ ciężarówką tylko do domu i z powrotem, i tylko w ciągu dnia. Bałby się innej trasy i innych warunków. Nie ma już refleksu. Kiedyś widziałem za kierownicą Margaret. Zazwyczaj to ja go wożę.

- Artretyzm - powiedziała Donna. Powiedziała to za głośno, ale nikomu to nie przeszkadzało. Widać było, jak bardzo jest wstrząśnięta.

- To też - potwierdził Judd - ale nikt nie może o tym wiedzieć. Chce ochraniać swój dawny wizerunek. Chelsea nie powinna być zdziwiona, że Judd chroni Olivera. Opiekował się własnym ojcem o wiele troskliwiej niż wymagałby tego obowiązek. Było więc oczywiste, że rozciągał swoją opiekuńczość na słabość Olivera. Po prostu był takim człowiekiem.

Nie rozumiała tylko, dlaczego - skoro okazywał tyle zrozumienia chamowi takiemu jak Oliver - nie okazał go choć trochę jej. Przypuszczała, że dlatego, iż traktował ją jak intruza. Nie było wspólnej przeszłości, lojalności czy poczucia obowiązku. Byli krótko kochankami, natomiast nigdy nie byli przyjaciółmi, którzy wspólnie prze-szliby przez życiowe próby.

- Zastanówmy się nad pozostałymi trzema ciężarówkami - powiedział Nolan. - Gdzie są ich kluczyki?

- Przypuszczam, że w stacyjkach - odpowiedział Judd.

- Nie są zamykane na noc? - zapytała Chelsea.

- Nie.

- Dlaczego nie?

- Bo to nie jest wielkie miasto - powiedział bez skrepowania. Patrzył jej prosto w oczy, jak gdyby

usiłował ją sprowokować, żeby powiedziała lub zrobiła coś, czym zdradziłaby, co kiedyś było między nimi. - Nie zamykamy wszystkiego, jak wy tam robicie.

Zignorowała „wy tam”, ale nie prowokację, bo ignorowanie prowokacji nie leżało w jej naturze. - To znaczy - wywnioskowała, patrząc mu prosto w oczy - że każdy, nawet nie mający nic wspólnego z przedsiębiorstwem, mógł prowadzić tę ciężarówkę.

- Tylko gdyby chciał staranować bramę - powiedział. - Jest zamykana na noc.

- Kto ma klucz od bramy? - zapytał Nolan.

- Ja mam komplet. Oliver ma komplet. Każdy z brygadzystów z kamieniołomów ma komplet.

Brygadzysta z obiektu ma komplet. Problem polega na tym, że nie jest to Fort Knox. Zamki nie są zbyt skomplikowane. Każdy, kto wie, jak posługiwać się wytrychem, potrafiłby się tam włamać.

- Miałam więc rację - powiedziała Chelsea. Tym razem nie patrzyła Juddowi w oczy. Była już zmęczona tą grą. Faktem było, że albo na drodze był kiepski kierowca, albo ktoś miał zamiar ją przejechać. - To mógł być ktokolwiek.

Nolan zerknął na zegarek. - Chcę zacząć się rozglądać. Jest już prawie wpół do ósmej, Judd. Czy twoi ludzie już tam są? - Kiedy Judd przytaknął, sięgnął po kapelusz i wstał. - Odprowadzę was.

Ale Judd już ujął Chelsea pod ramię. - Najpierw zabiorę ją do domu. Dojadę tam do was.

Chelsea pobiegłaby do domu, gdyby czuła więcej siły w nogach. Ale nie chciała się forsować, nie teraz, kiedy miała w sobie dziecko. Obiecała Donnie, że wpadnie do niej w drodze do biura i poszła z Juddem. Nie odezwał się słowem, dopóki nie minęli skweru.

- Naprawdę dobrze się czujesz?

Nie odrywał oczu od drogi. Nie potrafiła ocenić, czy są choć odrobinę zatroskane.

- Jestem zmartwiona, to wszystko.

- Wyglądasz blado.

- Nie mam makijażu.
 - Widywałem cię przedtem bez makijażu. - To była prawda. - I tak wyglądasz blado.
- Wzruszyła ramionami i odwróciła się do okna. W rzeczywistości czuła się roztrzęsiona i przestraszona, i tak strasznie chciała przysunąć się do niego na siedzeniu, i żeby choć na chwilę ją objął. W zamian mocno skrzyżowała ramiona. Zauważył ten gest i zahamował. - Może Neil Summers powinien cię zbadać. - Czuję się dobrze - upierała się i machnęła ręką. Niechętnie, jak jej się wydawało, nacisnął na gaz. - Czy widziałaś się z nim w sprawie dziecka?
- Jeszcze nie.
 - To na co czekasz?
 - Mam lekarza w Baltimore.
 - Wielka korzyść z tego, że on tam jest. Czy nie wydaje ci się, że powinnaś pójść do kogoś na miejscu.
 - Pójdę.
 - Kiedy?
 - Wkrótce.
 - Kiedy oznajmisz o tym publicznie?
 - Kiedy to się stanie widoczne.
 - Już jest widoczne.
 - Tylko kiedy wiadomo, na co patrzeć.
 - Jest widoczne.
- Więc on patrzył. Ta świadomość wywołała w niej falę ciepła, którą celowo zignorowała. - Po co pośpiech? Milczał, miał zaciśnięte szczęki i zmarszczone brwi. - Ktoś tak bardzo chce, żebyś wyniosła się z tego miasta, że wydzwania do ciebie w nocy, a kiedy ty nadal się nie boisz, próbuje cię przejechać. Jeżeli ten ktoś będzie wiedział, że jesteś w ciąży, to się dobrze zastanowi. Wyrządzenie ci krzywdy to jedno, ale zamordowanie twojego dziecka, to coś całkiem innego.
- Dobry Boże, Judd - zatrzęsła się, bo już samo słowo „zamordowanie” wywołało w niej dreszcze.

- Mam udawać, że taka możliwość nie istnieje? Czy ty się nie przejmujesz?
 - Oczywiście, że się przejmuję. Jak ci się wydaje, dlaczego teraz siedzę w twoim samochodzie? Twarz miał nadal zaciętą. - Może dlatego, że chcesz być szybciej w domu i nie spóźnić się do pracy. Wiesz, nie zaszkodziłoby ci, gdybyś trochę zwolniła tempo. Gdyby to się nie zdarzyło, prawdopodobnie biegałabyś do momentu, kiedy poronisz dziecko.
 - Mam zamiar biegać tylko jeszcze przez miesiąc. Nawet mniej, jeżeli zacznę się gorzej czuć. Nie jestem nieodpowiedzialna, Judd. Posłał jej niedowierzające spojrzenie. - Czy po tym, co się dzisiaj stało, nadal chcesz biegać? - Oczywiście. - Cydra mogłaby to uznać za znak, że grozi jej niebezpieczeństwo, ale co tam Cydra wiedziała.
 - Zwariowałaś?
 - Nie. Bieganie mnie relaksuje.
 - Zwariowałaś.
 - Nie zwariowałam - powiedziała spokojnie. - Lubię sport. Cenię sobie też wolność wyboru - gdzie chodzę i co robię. Nie zgadzam się, żeby szalenciec w ciężarówce mnie wystraszył.
 - Bardzo rozsądne.
- Jego ironia zabolą ją. Próbowwała nie zwracać na to uwagi. - Donna i ja wybierałyśmy za każdym razem tę samą trasę. Od następnego razu będziemy ją zmieniać.
- Chytre.
 - Jeżeli ona dalej będzie chciała biegać. Jeżeli nie, będę biegać sama.
 - Sprytne.
- Obróciła się do niego. - A może ten, kto prowadził ciężarówkę, chciał dopaść właśnie ją. Nie pomyślałaś o tym?
- Prawdę mówiąc, nie. To ty nieproszona wtargnęłaś do tego miasta. To ty zagrażasz istniejącemu stanowi. To ty jesteś winna, że Bibi nie upiekła szarlotki na deser z okazji Święta Pracy i - chociaż dla mnie i dla ciebie to

może być głupstwo - całej masie mieszkańców bardzo to się nie podobało. Z Donna jest całkiem odmienna sprawa. Ona należy i do Plumów, i do Farrów. Mieszka tu przez całe życie. Nie ma tu nikogo, kto by jej nie znał i nie lubił. Chelsea nie była tego całkiem pewna.

Nolan również. - Chcę cię o coś zapytać - powiedział.

Donna została w jego gabinecie, gdy Judd i Chelsea wyszli. Powinna była wrócić do domu, bo zrobiło się już późno, ale nie mogła sobie odmówić wykorzystania podarunku, który los jej zesłał.

Przykucnął obok jej krzesła i głaskał jej rękę. Jego dotyk zawsze ją zaskakiwał. Był zadziwiająco delikatny jak na takiego dużego mężczyznę.

- Myślisz, że Matthew mógł mieć z tym cokolwiek wspólnego? - zapytał.

Matthew. Ta możliwość całkiem ją zaskoczyła. Szybko potrząsnęła głową.

- Ma powody - ciągnął dalej Nolan. - Nie podoba mu się, że biegasz. Może wydawało mu się, że jeżeli was przestraszy, to skończysz z tym.

Ponownie potrząsnęła głową. Nie dlatego, że sądziła, iż Matthew jest niezdolny do przemocy.

Wiedziała, że jest brutalny. Ale bicie żony było zupełnie czymś innym niż przejechanie osoby, od której zależała prosperity miasteczka. Rozżalona, szybko przekazała na migi swoje przemyślenia.

Nolan poczekał, aż skończy, potem ujął obie jej dłonie i zapytał łagodnie, nawet ze smutkiem: - Gdzie był zeszłej nocy?

Jak zwykle Matthew nie było w domu. Jak zwykle nie miała pojęcia, gdzie był. Przekazała to Nolanowi wzrokiem.

- O której wrócił do domu?

- O pierwszej - powiedziała ruchem warg.

- Był pijany?

- Tak mi się wydaje. - Nie wiedziała tego na pewno, ale istniało duże prawdopodobieństwo, że tak.

Kiedy był

pijany, padał na łóżko w swoim gabinecie. Ponieważ nie przyszedł do jej łóżka - za co odmówiła modlitwę dziękczynną - założyła, że spał tam.

- Widziałas go, zanim poszłaś biegać z Chelsea? Potrząsnęła głową.

- Czy jego samochód stał na podjeździe?

Nie patrzyła. Ale rozumiała, do czego zmierza Nolan.

Popatrzył na jej ręce, przesunął kciukami po kostkach i podniósł oczy, żeby popatrzeć na wykrój koszulki, którą miała na sobie. - Możliwe, że przyszedł do domu

0 pierwszej i znów wyszedł, zanim wstałaś. Albo wyszedł tuż po twoim wyjściu, pojechał do Moss Ridge, włamał się do środka i tak dalej.

- Wkrótce się o tym dowiem - powiedziała głośno Donna, ponieważ jej umysł pracował za szybko na miganie. Jeżeli Matthew wrócił pijany i zasnął nieprzytomny na kanapie, podczas śniadania będzie wyraźnie skacowany. Wystarczy jedno spojrzenie, żeby stwierdzić, czy dziś rano wstał wcześniej i jeździł samochodem.

Ściskając dłoń Nolana, wyszeptała: - Już muszę iść. Jeżeli będę za późno, będzie wściekły. Nolan nie puścił jej ręk. - Uderzy cię? Szybko potrząsnęła głową.

- Ale robił to już przedtem.

- Nie - powiedziała błagalnie. Nie była w stanie mówić o tym, co Matthew jej robił. Nolan o tym wiedział. Jego oczy widziały siniaki, urazy, których nie zauważali inni ludzie, szczególnie te głębokie, wewnątrz niej, które aż prosiły o ukojenie. Ale on, nie pogarszając jeszcze sytuacji, niewiele mógł zrobić.

- Chciałbym, żebyś od niego odeszła. Potrząsnęła głową.

- Z powodu Joshiego? - zapytał z taką troską na twarzy, że przywiodło to łzy do jej oczu. Otarł je i pozostawił dłonie na jej twarzy. - Zaopiekuję się nim.

Łzy powróciły. Objęła rękami jego nadgarstki i usiłowała potrząsnąć głową, ale czyniąc to tylko potarła policzkiem o jego dłonie.

- Chcę ci pomóc, Donno. - Na jego twarzy widziała udrapkę. - Pozwól sobie pomóc.

Zanim zdołała zaprotestować, pochylił się i pocałował ją, leciutko i tak delikatnie, jak jeszcze nigdy w życiu jej się nie przytrafiło. Omal nie odeszła od zmysłów, kiedy cofnął się i powiedział z zadziwiająco nieśmiałym uśmiechem. - Od dawna chciałem to zrobić.

Dotknęła jego twarzy opuszkami palców, ale kiedy wziął jeden z nich do ust, zaszokowana, szybko je cofnęła. Rękę zwiniętą w pięść przycisnęła do serca.

- Za daleko? - zapytał.

Zmusiła się, żeby wstać z krzesła. Im dłużej tu była, tym bardziej bała się, że ulegnie. Nolan wziąłby ją do łóżka, gdyby ona tego chciała. Wiedziała o tym od dawna. On pokazałby jej, jak to jest naprawdę się kochać. Marzyła o tym od dawna.

Istniał jednak problem moralny. Była żoną Matthew. Nie mogła sypiać z Nolanem.

Ale gdzie w tym schemacie była sprawiedliwość? Matthew ją maltretował. Miała pełne prawo szukać pocieszenia w ramionach innego mężczyzny.

Gdyby tylko miała odwagę. Bieganie z Chelsea było tylko niewielkim gestem oporu. Bycie z Nolanem byłoby znacznie, znacznie poważniejszym.

- Czy to ty zrobiłeś? - Oliver zapytał Huntera, kiedy ten w końcu pokazał się w kamieniołomach późnym rankiem.

Hunter podszedł do poręczy, gdzie stali Oliver z Juddem. Włożył dłonie pod pachy i spojrzał w głąbie kamieniołomu, gdzie pracowali mężczyźni wielkości karaluchów. Wiertła wkręcały się w skałę, dźwigi zgrzytały, liny piszczały, młoty huczały, a te wszystkie dźwięki dochodziły stłumione przez odległość i wiatr.

- A sądzisz, że to ja? - zripostował Hunter.

- To ja tu zadaję pytania. Zrobiłeś to czy nie?

- Nie.

- Czy to prawda?

Kamienna twarz Huntera oznajmiała, że nie ma zamiaru odpowiadać - co, jak Judd odkrył już dawno temu, było najskuteczniejszą bronią przeciwko Oliverowi. Owszem, sprzeczali się. Hunter miał dostatecznie cięty język, żeby odpowiadać Oliverowi słowo za słowo, ale milczenie było o wiele bardziej efektywne. Mężczyznę, który kochał rządzić, ignorowanie go doprowadzało do szału.

Hunter właśnie teraz to robił. Ominął wzrokiem groźnie patrzącego Olivera, spojrzał na Judda i spytał:

- Więc Nolan jeszcze nie rozwikłał tej sprawy?

- Nie, nie rozwikłał - warknął Oliver. Jesienny wiatr rozwiewał kosmyki jego siwych włosów, ale poza tym był sztywny jakby kij połknął.

- Mówiłem do Judda - powiedział Hunter, a potem odwrócił się do Judda. - Nie ma jeszcze żadnych podejrzeń?

Judd nie odzywał się przez chwilę, dając szansę Oliverowi. Kiedy ten milczał, powiedział: - Jeszcze nie. Nie było śladów włamania.

- Musiał to zrobić ktoś od nas - wymamrotał Oliver. Hunter przeszył go spojrzeniem. - Gdzie byłeś o wschodzie słońca?

- We własnym łóżku, czego ty prawdopodobnie nie możesz powiedzieć o sobie. Czy ty musisz jeździć na tej piekielnej maszynie o piątej rano? Przedwczoraj Haskell Rhodes uskarżał się na hałas. To ohydny dźwięk na pobudkę.

Hunter uśmiechnął się sucho. - Ale z pewnością świadczy o tym, co robię. Gdybym jechał o piątej rano, żeby pożyczyć ciężarówkę, całe miasto by o tym wiedziało. - Znów ominął wzrokiem Olivera i spojrzał na Judda. - U niej wszystko w porządku?

Judd nie musiał pytać, co Hunter ma na myśli. Zastanawiał się, czy on też wie o dziecku. - Mówi, że tak.

- Moja córka też tam była - wtrącił Oliver. Hunter odpowiedział, zanim Judd zdążył otworzyć usta. - Nikt nie chciałby skrzywdzić Donny. Oprócz

Matthew, wszyscy w mieście lubią Donnę, a on jest zbyt tchórzliwy, żeby cokolwiek jej zrobić publicznie.

Oliver nachmurzył się. - A co to niby ma znaczyć?

Hunter wsunął dłonie jeszcze głębiej pod pachy. - Zgadnij.

- Masz coś przeciwko Matthew?

- Ja nie, ale ty powinieneś. Nie jest dobry dla twojej córki.

- Jeżeli nie jest dla niej dobry, to dlatego, że ona robi rzeczy, których nie powinna.

- Na przykład?

- Na przykład bieganie z Chelsea Kane.

- A co w tym złego?

- To nie uchodzi.

- Nie uchodzi? - Hunter przedrzeźnił go. - Tylko dlatego, że robi coś, co nie uchodzi, to jej mężowi wolno ją bić?

- On jej nie bije - powiedział kpiącym tonem Oliver, usiłując zbagatelizować sprawę, ale Hunter nie dał się zbyć i tym razem Judd go popierał.

- Gdzie ty masz oczy, starcze? Całe miasto wie, że spuszcza jej niezłe manto, kiedy przyjdzie mu na to ochota. - On jej nie bije.

- Mów sobie tak dalej i może w to w końcu uwierzysz. Otwórz oczy i ujrzyj prawdę. - Podmucha wiatru, rozwiewając mu włosy, ujawnił złoty kolczyk i, jak pomyślał Judd, niezwykłą u niego troskę.

- Każe jej pracować w tym sklepie jak psu. Pomiata nią. Obraża ją przed klientami. Pozwala jej tylko na trzy nędzne piętnastominutowe przerwy dziennie. Tego życzysz swojej córce?

- Co ty o tym wiesz? - Wiem. Cały czas słucham twoich głupot i może jestem, a może nie jestem twoim dzieckiem. Ale ona jest z całą pewnością. Czy ona cię nie obchodzi?

- Nie muszę odpowiadać na twoje pytania.

- To może ktoś inny powinien ci je zadać? Obudź się, starcze. On ją bije.

Długie ciało Olivera było sztywne. - On nic takiego nie robi. Matthew jest dobrym człowiekiem. On jest synem Emery'ego. Emery nie tknąłby swojej żony nawet palcem.

Hunter wydobył z siebie pogardliwy śmiech. - Syn Emery'ego? Nie dość, że syn Emery'ego tyka swoją żonę nie tylko palcem, ale tak nisko ją ceni, że każdej nocy wychodzi, żeby przelecieć żonę własnego brata.

Oliver zmiażdżył go ostrzegawczym spojrzeniem, które on całkowicie zignorował.

- Oczywiście, trwa to już tak długo, aż dziw bierze, że nie umarło ze starości. Jak myślisz, dlaczego Matthew nie ożenił się wcześniej? Był zakochany w Joanie Pickwick od czasu szkoły średniej, tylko Monti go ubiegł.

- Zamknij się, chłopcze.

- Zdobycie Joanie wcale nie zabrało mu wiele czasu. Wiesz, co robi teraz? Nigdy go nie ma w domu w nocy. Jeżeli nie pieprzy Joanie, to jeździ w kółko, żałując, że tego nie robi, a jeżeli i tego nie robi, to pije jak świnia. To cud, że jeszcze nie znaleźliśmy go martwego na dnie jakiejś przepaści.

Judd słuchał, z obiema rękami na poręczy i wzrokiem wbitym w wyrobisko, kiedy zobaczył coś, co nim poruszyło.

- Jezu! - wrzasnął, a potem jeszcze głośniej: - Z drogi, Mason! - Gestami pokazywał, żeby mężczyzna odsunął się z drogi przesuwanej skały. - Do cholery, ruszcie go, albo straci rękę pod tą płytą! - wykrzykiwał i ruszył w stronę windy, żeby zjechać na dół. Frankie Mason był jednym z nowych ludzi, których ostatnio zatrudnił i właśnie w stosunku do niego miał wątpliwości. Frankie był drobnym mężczyzną, z zawodu elektrykiem i znakomicie sobie radził z cienkimi drucikami. Praca z wielkimi płytami kamienia i ciężkimi maszynami była czymś innym. Trzeba było mieć szeroki kąt widzenia. Potrzebne było ogólne zrozumienie procesu i szósty zmysł ostrzegający przed tym, co się może zdarzyć. Frankie tego nie miał.

Nasunął kask i wskoczył do prymitywnej windy, tylko trochę większej niż duża skrzynka na owoce, i nacisnął guzik, żeby wprawić ją w ruch. Hunter wskoczył w momencie, kiedy winda ruszała.

- To był błąd, że zatrudniłeś Frankiego Masona
- powiedział.

Judd mówił sobie to samo. Ale były powody, dla których go zatrudnił, a one się nie zmieniły. - On ma dzieci. Potrzebuje pracy.

- Przesuń go na obróbkę - powiedział Hunter, kołysząc nie, kiedy winda podskakiwała. - Albo nie. Przeszkol go w liternictwie. Niektóre z tych nowych zamówień wymagają napisów. Gaitor i Hal nie poradzą sobie sami. To była wartościowa sugestia, mimo że nieprędko zatrudnienie Masona zaczęłoby przynosić korzyści. Frankie nie był artystą, ale jeżeli potrafił łączyć cienkie druciki, poradziłby sobie z przyrządem do wytrawiania.

- To nie jest zły pomysł - powiedział Judd Hunterowi.

- Czasami takie mi przychodzą do głowy - powiedział Hunter, nie odrywając wzroku od mężczyzny poniżej.

- A czy możesz coś wymyślić, żeby ci faceci patrzyli na to, co robią? Nie wiem, co się tu ostatnio dzieje. W przypadku Frankiego to brak doświadczenia, ale to tylko jedna z wielu okoliczności, kiedy ledwo uniknęliśmy wypadku. Mają kiepską koncentrację. Któregoś dnia coś się tu komuś stanie. Hej, Murphy! - zawołał głosem, który byłby słyszalny wśród syku kompresora napędzającego wiertarki. Winda dotarła na dno kamieniołomu. - Przyrowadź tu Springera. Chcę, żeby pracował z Masonem. - Do siebie mruknął po nosie. - Okay, zrobimy jeszcze jedną próbę.

Dwa tygodnie później znowu mruczał pod nosem. Chelsea nie słyszała dokładnie, co mówi - dobiegało do niej tylko mamrotanie - ale widziała niezadowolenie na jego twarzy. Byli na Kanakmaug, wzgórzu z litego granitu, jednego z nowszych miejsc wydobywania. Przyjechała, żeby zobaczyć kamień w kolorze lawendy, usiany drobinami miki, która odbijała światło zachmurzonego nieba.

Październik przyniósł lekkie przymrozki, wczesnym rankiem pokrywające szronem trawę i ognistą paletę czerwieni, pomarańczy i żółci, która ubarwiła wzgórze. Mimo że powietrze rozgrzewało się, zanim wybiło południe, Chelsea rzadko wychodziła z Boulderbrook bez swetra czy zakietu.

Tego dnia miała na sobie elastyczne dżinsy, adidas, długi sweter z wycięciem w serek i luźny zakiet.

- Na czym polega problem? - zapytała Judda.

- Do haka przyczepiany jest kabel, który wchodzi w otwór wywiercony w skale. Założyli zbyt wiele haków. Całość jest nieskompensowana. - Zaczął schodzić po drabinie, prowadzącej na półkę poniżej. Była to pierwsza z całego rzędu drabin, które łączyły ze sobą kolejne półki skalne i wyglądały jak sceneria z filmu o Indianach.

Chelsea spojrzała na Huntera. - Ja też schodzę.

- Nie będzie zadowolony - ostrzegł ją Hunter. Chciała jednak znaleźć się niżej.

Wzięła mu z ręki kask, włożyła na głowę i ruszyła w kierunku drabiny. Judd zdążył już zniknąć jej z oczu.

Drabina była szeroka i solidna. Stała na pierwszy szczebel i zatrzymała się, kiedy Hunter złapał ją za nadgarstek. Spojrzała w zdumieniu, nie tyle dlatego, że ją zatrzymywał, ale dlatego, że przy tym ją dotknął.

- Tam na dole nie jest bezpiecznie.

- Chcę widzieć, co się dzieje. - W istocie chciała być bliżej Judda. Ostatnio coraz częściej tego chciała. Jego pewność i kompetencja wywoływała w niej poczucie bezpieczeństwa. Nie brakowało jej żadnego z tych przymiotów, ale po prostu on miał je w większym stopniu. Od kiedy dowiedział się, że jest w ciąży, nie dotknął jej ani razu, i była w stanie to zaakceptować. W jej obecnym pragnieniu nie było nic seksualnego. Chciała tylko wiedzieć, co robi i jak to robi.

Szczebel po szczeblu schodziła po drabinie. Wiatr wciskał jej się pod zakiet i marzła coraz bardziej, ale nie zatrzymywała się. Kiedy doszła do pierwszej półki, przeszła na drabinę prowadzącą do następnej. Była już

w połowie drogi, kiedy znów zerwał się powiew, a gdy skuliła się z zimna, usłyszała krzyk jednego z mężczyzn, a potem nastąpił grzmiący huk i ziemia się poruszyła. Maszyny się zatrzymały. Przez ułamek sekundy panowała kompletna cisza. A potem usłyszała hałas podnieconych głosów.

Odwróciła się i zobaczyła, jak wszyscy biegną do miejsca, gdzie spadł olbrzymi głaz, który urwał Mię z unoszących go lin.

Usiłowała dojrzeć Judda w tłumie mężczyzn, ale nie mogła odróżnić jego kasku od pozostałych.

Przerażona, szybko pokonała ostatnie szczeble. Była już w połowie drogi, kiedy dogonił ją Hunter.

Tym razem schwycił ją za łokieć.

- Stój tutaj - wydał polecenie i pobiegł naprzód.

Pobiegła tuż za nim. Kiedy torował sobie drogę pośród mężczyzn, szła za nim. Zatrzymała się nagle u jego boku, kiedy zobaczyła dwóch mężczyzn leżących na ziemi. Jednym z nich był Judd. Drugim był mężczyzna, który wiercił otwory do haków. Judd poruszał się. Westchnęła z ulgą, ale westchnienie zamarło jej w gardle, kiedy zauważyła, że noga drugiego mężczyzny jest uwięziona pod skałą.

Judd wykrzykiwał polecenia. Widać było, jak bardzo zbladł pod opalenizną... Ten drugi był równie blady. Jakiś człowiek podpierał rannego mężczyznę, inny biegł w kierunku dźwigu. Hunter odszedł od Chelsea i wspinał się po drabinie z wiertarką. Ktoś przytrzymał drabinę. Kolejnych dwóch mężczyzn weszło na drabinę, umacniając haki w poprzednio wywierconych otworach. Co chwila rozlegał się pisk wiertarki Huntera. Naciskał ją brzuchem, pochylając się to w jedną, to w drugą stronę, żeby maksymalnie poszerzyć otwór. Chwycił hak, umocował go w środku i zszedł z drabiny. Operator dźwigu wrzucił bieg. Liny zazgrzytały i napięły się. Głaz podniósł się na tyle, żeby Judd i jeszcze kilku innych mogło wyciągnąć spod niego mężczyznę.

Jego podudzie było zmiążdżone. Ułożyli go troskliwie na ziemi, ale krzyki bólu przewiercały Chelsea na wskroś. Nikt nie dotykał jego buta; jego noga była jedną krwawą masą. Stała tam, nie będąc w stanie oderwać od niej oczu, podczas gdy wokół panował gorączkowy ruch. Nie był to ruch chaotyczny, ale określona seria przemyślanych działań mężczyzn, którym wypadki nie były obce. Przemysł wydobywania kamienia był drugi co do ilości wypadków w kraju i pracownicy od czasu do czasu żartowali sobie z tego. W tej chwili Chelsea nie słyszała żartów.

Ich głosy były spokojne, nasycone troską.

- Smittie podprowadza ciężarówkę na dno...
- ...potrzebna karetka...
- ...najbliższa jest dwa miasta dalej...
- ...na deskę, przełóż go, ostrożnie, ostrożnie...
- ...moja noga...
- Okay, Wendell, wszystko w porządku...

Po trzech z każdej strony i po jednym w nogach i głowie, mężczyźni podnieśli deskę i zaczęli wolno przemieszczać się po zboczu wzgórza. Judd był pomiędzy nimi, tak samo Hunter. Chelsea szła za nimi, wśród pozostałych robotników. Wendell jęczał. Mężczyźni dodawali mu otuchy. Opadłe liście i gałązki szeleściły pod ich butami, a wśród szelestu słychać było stłumione głosy.

- Te cholerne haki nie były skompensowane... - Za szybko dano sygnał dźwigowi...
- ...haki się wyśliznęły...
- Gdzie, do diabła, jest Smittie?
- A co ona tu robi?

W końcu spojrzenie Chelsea pobiegło do Judda, który dopiero w tej chwili ją zobaczył. W jego oczach widniała wściekłość. Wskazał głową na szczyt kamieniołomu. Ale ona potrząsnęła, że nie. Nie miała zamiaru stąd pójść. Powtórzył ten gest. Mimo to nie ruszyła się.

- Hunter! - ryknął, choć Hunter był tuż obok niego. - Weź ją stąd!

Stłumiony rozgwar głosów trwał dalej.

- Ostatnie, czego tu potrzebujemy, to kobieta...

- ...nie zna swojego miejsca...

- ...widać, że z brzuchem...

Hunter znalazł się nagle przed nią; mocne ciało zablokowało jej drogę.

- Idę z nimi - wyszeptała. Ale on potrząsnął głową.

Przesunęła się w prawo, potem w lewo i udało jej się umknąć. Pobieгла w nadziei, że dogoni pozostałych.

Zeszli już do stóp wzgórza, kiedy ciężarówka wpadła i ostro zawróciła. Chelsea przesunęła się na bok, żeby obserwować, jak podnosili i wkładali na skrzynię szeroką deskę, na której leżał Wendell. Całą nogę pokrytą miał krwią. Potrzebowała zapewnienia, że wszystko będzie w porządku, poszukała więc wzrokiem Judda, ale na jego twarzy nie było takiego zapewnienia. Był szary, twarz miał ściągniętą. Jego lewa strona od barku do pasa była przesiąknięta krwią. Myślała, że to krew Wendella, dopóki się nie zatoczył, kiedy próbował wspiąć się na ciężarówkę.

- O Boże! - wydała z siebie jęk i rzuciła się naprzód, ale Hunter powstrzymał ją...

- Wszystko będzie dobrze, obaj z tego wyjdą. Usiłowała wyrwać rękę. - Chcę pojechać tą ciężarówką.

- Zawiozę cię.

- Chcę...

- Będziemy tam przed nimi, Chelsea. - Wystartował w kierunku zbocza, nadal mocno trzymając jej rękę. W momencie kiedy usłyszała wycie silnika odjeżdżającej ciężarówki i przestała się szamotać, puścił ją.

Biegła teraz przed nim, usiłując go skłonić do szybszego biegu. - Co się stało Juddowi?

- Został przejechany hakiem. Doktor Summers go zszyje.

- Był taki zakrwawiony.

- Hak wchodzi głęboko.

- Myślisz, że uszkodził jakiś ważny organ? Hunter spojrzał na jej twarz, a potem na brzuch. - Nie martw się! - krzyknął, kiedy biegli, i wszystko, o czym zapomniała na widok krwi Judda, powróciło do niej. Widzieli, że jest w ciąży. Przyczyną był podmuch wiatru.

- To nie Judda - powiedziała Hunterowi, bo w tej chwili to wydawało jej się najważniejsze.

- Nie?

- Nie.

- Termin się zgadza. Robiliście to od lipca.

- To już skończone. A ciąża przytrafiła mi się, zanim wyjechałam z Baltimore.

- Niezła z ciebie sztuka.

- Jeden mężczyzna. Jeden raz. Hunter, co będzie z Wendellem?

- Zależy. Może stracić nogę.

Hunter teraz biegł z przodu. Czują, jak zaczynają opuszczać ją siły i musiała wkładać dużo wysiłku, żeby biec równo z nim. - Czy to jeden z nowych ludzi?

- Nie, jest z nami od piętnastu lat. - Dobiegli do drabiny na dolnej półce. - Idź pierwsza - powiedział i zaczął, dopóki nie zrobiła pierwszego kroku.

Na szczycie kamieniołomu wyciągnął dłoń. - Daj mi kluczyki.

Wręczyła je, kiedy biegli do pathfindera, a potem usiadła na siedzeniu pasażera. - Czy miejscowy szpital jest dobry? - zapytała.

Hunter zapalił samochód. - Jeżeli nie jest dostatecznie dobry, doktor Summers o tym poinformuje. -

Zawrócił i zjechał w dół zboczem Kankamaug. - Jest uczciwym lekarzem.

- Jaką ma specjalizację?

- Nie ma specjalizacji. Jeżeli jest się jedynym lekarzem w mieście, robi się wszystko od szycia ran, poprzez nastawianie złamanych kości, do asystowania przy porodach. - Oderwał oczy od drogi na dostatecznie długo, żeby dobrze przyjrzeć się jej brzuchowi. - To pyszne. - Zachichotał. - Ale to im się wszystkim spodoba.

- Komu?
- Wszystkim w mieście. - Znow zachichotał. - Mówimy o skandalu przez duże S.
- Daj spokój, Hunter. Nie będzie skandalu. To lata dziewięćdziesiąte.
- To nie ma znaczenia. To Norwich Notch.
- Kobiety zachodzą w ciążę cały czas.
- Nie te, które są niezamężne i mają jakieś znaczenie W mieście. - Rzucił jej szybkie, niepewne spojrzenie. - Ty nie jesteś mężatką?
- Czy byłabym z Juddem, gdyby tak było?
- Nie wiem. Ty mi powiedz.
- Nie.

Hunter wjechał na główną drogę i przyspieszył. Jechali przez chwilę w milczeniu. Chelsea miała przed oczyma Judda, krew na jego koszuli, wyobrażała sobie pod nią poharatane ciało. - Czy ktoś wpadnie na to, żeby zatamować krew? - zapytała.

- Takie rzeczy zdarzają się tu cały czas.

Nie było to dla niej zbyt wielkim pocieszeniem. Widziała blizny Judda - jedną niewielką na przedramieniu i większą, bardziej poszarpaną na łydce. Ale to były stare, dawno zagojone blizny, a zobaczenie otwartej rany było czymś zupełnie innym.

- Więc kto jest ojcem twojego dzieciaka? - zapytał Hunter.

Stłumiła mdłości, które zaczynała odczuwać, ale one nie miały nic wspólnego z Carlem. - Facet z Baltimore. - Nie chce się z tobą ożenić?

- Ja nie chcę wyjść za niego. Albo nie chciałabym, nawet gdyby on tego chciał. Poza tym, to bezprzedmiotowe. Teraz już się ożenił z kimś innym. - Tak szybko?

Odwróciła się do okna w chwili, kiedy Hunter zbliżył się do furgonetki. Zatrąbił i wyminął ją w momencie, kiedy auto zjechało na prawo. - Jak długo jeszcze? - zapytała.

- Sześć minut.

- Dlaczego nie ma karetki?

- Miasta na nią nie stać.

Jej dłonie były zimne jak lód. Zacisnęła je w fałdach swetra.

- Więc będziesz miała dziecko samotnie?

- Aha.

- A co mu powiesz, kiedy zapyta o ojca?

- Powiem mu, kim jest. - Całe życie spędziła zastanawiając się, kim byli jej rodzice, więc nie ukrywałaby czegoś takiego przed dzieckiem. Carl będzie wiedział o dziecku długo wcześniej, zanim ono zapyta o ojca. On i Hailey będą musieli sobie jakoś z tym poradzić.

- To dobrze - powiedział Hunter. Przez minutę myślała, że skończył temat. Potem powiedział: - Moja matka nigdy nie chciała mi powiedzieć. Pytałem ją o to przez cały czas. To nie jest w porządku, żeby dziecko nie wiedziało. - Zgadzam się.

Posłał jej jeszcze jedno szybkie spojrzenie. - Czy ty się nie zastanawiasz?

- Przez cały czas.

- Robiłaś kiedykolwiek poszukiwania?

- Jestem w trakcie. - Nie wyjaśniała dalej. Uważała, że jedna rewelacja na dzień w zupełności wystarczy. Ile jeszcze czasu?

- Cztery minuty.

- Nie możesz jechać szybciej?

Dodał gazu. - Jesteś pierwszą osobą, która mnie o to poprosiła. Zresztą, kiedy się zastanowiłem, odkryłem, że jesteś pierwszą osobą, która dobrowolnie pozwoliła mi prowadzić swój samochód.

- W tym momencie ufam ci bardziej niż sobie samej. - Chelsea zerknęła na zegarek. - Jak sądzisz, gdzie oni są?

- Za następnym zakrętem - powiedział Hunter i rzeczywiście, kiedy przejechali zakręt, zobaczyli ciężarówkę tuż przed sobą.

Chelsea usiłowała zerknąć, co się tam dzieje, ale tylna burta była uniesiona. Kiedy ją mijali, widziała głowy, ale nie było wśród nich głowy Judda. - Może zemdłał.

- Najprawdopodobniej po prostu leży. - Poczekał, aż przejedzie samochód z przeciwka i wyminął ciężarówkę. - Zjawimy się pierwsi w szpitalu i poinformujemy, że jada. - Po chwileczce, jakby coś mu zaświtało, powiedział: - To dlatego wymiotowałaś tego dnia na motocyklu.

- Aha.

- W którym miesiącu jesteś?

- W piątym.

- Nie pomyślałbym. Jesteś za szczupłą.

Ale Chelsea wcale nie uważała siebie za szczupłą. Już nie. - Tylko tak się ubieram. Maskuję to.

- Wszyscy w mieście pomyślą, że to mniej zaawansowana ciąża. Pomyślą, że to Judda, a jeżeli nie jego, to kogoś miejscowego. Notch wytyka palcami. Możesz się tego spodziewać.

- A kogo wytykali, kiedy twoja matka zaszła w ciążę?

- Nie wiem. Ale kiedy zmarła, wytykali mnie. Przez bardzo długi czas wydawało mi się, że na to zasługuję. Chore, co?

Chelsea przypatrywała się jego twarzy, szukając pod słowami śladów emocji, ale albo ich nie zauważyła, albo była zbyt skoncentrowana na Juddzie, żeby je zobaczyć. - Naprawdę w to wierzyłeś?

- zapytała cicho.

Przytaknął. - Myślałem, że ją zabiłem. Myślałem, że jestem zdolny do naj ohydniej szych rzeczy i nikt mi nie pozwolił podnieść czoła, dopóki nie pojawił się Judd.

Tym razem zobaczyła emocje. Było to zmartwienie, takie samo jak jej, które pojawiło się i zniknęło tak szybko, że mogła sobie tylko wyobrażać, że je dostrzegła, gdyby nie słowa: „Nikt mi nie pozwolił podnieść czoła, dopóki nie pojawił Judd”. Było w nich uznanie i wdzięczność i wywołały w głowie Chelsea setki pytań, które aż cisnęły jej się na usta. Ale pathfinder minął już centrum miasta. Jadąc ze wschodu na zachód, pędził przez mały,

zabudowany mostek i zbliżał się do wielkiego, starego, pomalowanego na biało, wiktoriańskiego budynku, który mieścił szpital. Odłożyła pytania na później.

Kiedy dotarła ciężarówka z rannymi, Neil Summers i cztery pielęgniarki, które stanowiły jego personel, stali w drzwiach, żeby ich przyjąć. Po jednym spojrzeniu Neil wiedział, że rekonstrukcja nogi Wendella będzie wymagała specjalisty. Kazał przenieść Wendella na nosze i wnieść do środka, gdzie rozciął mu but i zrobił co mógł, żeby zatrzymać krwotok i maksymalnie znieczulić, dopóki nie przyjedzie karetka z Adams Falls, żeby przewieźć go do Concord.

Potem zajął się Juddem.

Chelsea i Hunter byli z nim w pokoju, trzymając się z boku, żeby nie przeszkadzać; ona z dłońmi pod pachami, żeby się ogrzać, i spojrzeniem przylepionym do jego klatki piersiowej. Judd leżał wyciągnięty na kozetce - samo to ją przygnębiło, przecież był tak aktywnym mężczyzną - z zamkniętymi oczami, zgiętymi kolanami i szczęką zaciśniętą z bólu. Jedna z pielęgniarek rozcięła mu koszulę i umyła go na tyle, by było widać ranę, zlokalizowaną w obrębie barku, ale zaschnięta krew pokrywała całą klatkę piersiową.

Chelsea zrobiło się słabo. Kiedy Judd otworzył oczy i zobaczył to, powiedział: - Wszystko będzie w porządku

- ale ona nie była przekonana. Wiedziała, że mięśnie zostały w znacznym stopniu uszkodzone i jeżeli nie będą właściwie zszyte, może przez resztę życia być niesprawny.

Neil zerknął na bark i zagwizdał. - Tym razem dobrze cię trafiło, kolego, - powiedział i sięgnął po strzykawkę.

- Co pan robi? - zapytała Chelsea.

- Mam zamiar mu wstrzyknąć końską dawkę znieczulenia, a potem zszyć. - Posłał jej wesołe spojrzenie.

- Czy to pani odpowiada?

- Czy może pan zrobić tak, żeby jego ramię było całkowicie sprawne?

- Nie bardziej niż poprzednio. - Kiedy nie wyglądała na przekonaną, uśmiechnął się i powiedział: - Nie zrobiłbym niczego, żeby zaryzykować przyszłość gwiazdy mojej drużyny koszykówki. Jestem jej menedżerem. Założę się, że pani o tym nie wiedziała, prawda?

- Hej, kolego! - zawołał ochryple Judd. - Przestań konwersować z damą i zrób coś z tym cholernym ramieniem. Boli jak wszyscy diabli.

- Będzie jeszcze bardziej boleć, zanim skończymy - Neil ostrzegł go pogodnie i przygotował zastrzyk. To był jeden z wielu zastrzyków. Za każdym razem Judd krzywił się z bólu, nawet kilka razy zaklął, a zanim lekarz zaczął nakładać szwy, jego ciało było mokre od potu.

Chelsea nie mogła znieść bezczynności, wzięła więc go za wolną rękę i mocno trzymała. Niestety, w tej pozycji miała lepsze pole obserwacji tego, co Neil robił.

Nigdy nie uważała się za osobę przewrażliwioną, ale jej skóra zrobiła się wilgotna w tym samym czasie, kiedy w pokoju pojaśniało. Kiedy Judd spojrzał na nią i odezwał się, jego głos wydawał się bardzo odległy.

- Ona mdleje, Hunter. Łap ją.

Nie dowiedziała się, czy Hunterowi udało się ją złapać. Całkowicie straciła kontakt ze światem.

- Nie chciałam tego zrobić - powiedziała krótką chwilę później.

Hunter prychnął drwiąco, co potrafił robić doskonale. Pielęgniarka wycierała jej czoło chłodnym, wilgotnym kompresem. - Niektórzy ludzie źle znoszą widok krwi.

- Ja zazwyczaj nie. Ale było jej tak dużo. Przysięgam, że widziałam kość. - Jej głos się załamał. Z trudem przełknęła. Kiedy pomyślała, na co patrzyła, znów poczuła zawrót głowy. Przycisnęła ręką kompres i kilka razy głęboko wciągnęła powietrze.

- Jak się czuje? - zapytał Neil, przechodząc obok zasłony, która oddzielała jej boks od boksu Judda.

- Dobrze - powiedziała Chelsea.

- Jest w ciąży - powiedział Hunter lekarzowi.

- Wiem. Mam do ciebie prośbę. - Wyganiał go gestami z boksu. - Przypilnuj, żeby ten wielki facet nie uciekł. Jeszcze z nim nie skończyłem.

Chelsea próbowała wstać, ale Neil przytrzymał ją i ułożył z powrotem. - Proszę najpierw zająć się Juddem - apelowała. - Ja czuję się dobrze, naprawdę.

- Szszsz. - Położył rękę na jej nadgarstku, badając puls. Kiedy skończył, Chelsea czuła się zupełnie głupio. - Czuję się dobrze - nalegała.

- Jest pani w ciąży - powiedział, ale ze śladem uśmiechu. Położył rękę na jej brzuchu. - Który to miesiąc?

- Piąty.

- Chcę posłuchać - powiedział.

- My czujemy się dobrze, doktorze. Judd bardziej pana potrzebuje.

Ale Neil włożył już stetoskop do uszu. W sekundzie odsłonił jej brzuch i zaczął ją osłuchiwać. Chelsea wstrzymała oddech.

- Silne dziecko - powiedział w końcu.

- Ja też chcę posłuchać - nie mogła się powstrzymać, żeby nie poprosić.

Podał jej stetoskop. Dźwięk przywiódł jej do oczu łzy. Niechętnie oddała mu instrument i poprawiła ubranie. Neil pomógł jej usiąść. Spokojnym głosem zapytał: - Czy pani ma zamiar rodzić tu czy w Baltimore? - Tu. W Boulderbrook.

- Więc powinna pani poznać naszą położną. Pomaga przy porodach, odkąd miała szesnaście lat, a od tego czasu minęło prawie czterdzieści. Jest niezrównana.

Gdyby w tym momencie Neil badał jej puls, Chelsea trudno by było wyjaśnić to nagłe przyspieszenie. W istocie, chciała poznać położną. Bardzo tego chciała. Miała masę pytań, które chciałyby jej zadać, a nie wszystkie dotyczyłyby narodzin jej dziecka.

Co prawda w tej chwili chciała tylko jednego - żeby Judd został zszyty.

ROZDZIAŁ 17

Chelsea poznała Leo Streetera, kiedy tego samego dnia przywiozła Judda ze szpitala do domu. Sądząc po wzroście Judda, spodziewała się wyższego mężczyzny, chociaż w kwiecie wieku mógł taki być. W tej chwili miał nie więcej niż metr siedemdziesiąt dwa i robił wrażenie kruchego. Nigdy w życiu nie widziała mężczyzny o delikatniejszej twarzy. Choć okolona bardziej siwymi niż brązowymi włosami, była to twarz dziecka, niewinna i pozbawiona jakiegokolwiek złośliwości.

Mieszkali razem z Juddem w domu, który Chelsea wielokrotnie mijala, ale nigdy nie była w środku. Był to mały domek z muru pruskiego przy końcu ulicy usianej samymi małymi domkami z muru pruskiego, w gorszej części miasta. Mimo że niektóre z domków były w me najlepszym stanie, dom Streeterów był w stanie idealnym. Niedawno jego deski szalunkowe zostały pomalowane, dach pokryty dachówką, okiennice odnowione i wstawione nowe żaluzje. Był otoczony niskim kamiennym murem, który został przed laty starannie ułożony przez samego Leo.

Kiedy przyjechali, siedział na krześle na ganku, opatulony kurtką Red Sox, z nogami okrytymi kocem i Buckiem siedzącym obok. Jego opiekunka, która nazywała się Gretchen Swiller, podskoczyła z widocznym zaniepokojeniem, kiedy Judd ze sztucznym ożywieniem gramolił się sztywno z siedzenia pasażera pathfindera.

Zapewnił ją, że czuje się dobrze, przykucnął obok ojca i przywołał na twarz uśmiech, który mówił, że cierpi nie więcej niż z powodu zadrażnienia. - Jak się masz, tato?

Leo patrzył na niego pytająco.

- To ja, Judd - powiedział łagodnie Judd, a Buck trącał go nosem w bok.

- Judd - powtórzył Leo. Oczy mu się odrobinę rozświeciły. Położył rękę na ramieniu Judda. Chelsea wstrzymała oddech. To było zranione ramię co prawda grubo zabandażowane, ale jeżeli nawet odczuł ból, nie dał po sobie poznać. - Miło spędziłeś dzień? - zapytał.

Leo podniósł zdziwiony wzrok na Gretchen. Potem przeniósł go na Chelsea. Kiedy znów skierował swoją uwagę na Judda, wydawał się bardziej zdziwiony niż poprzednio. Wyglądało na to, że w trakcie procesu znajdowania odpowiedzi na pytanie Judda zapomniał jakie to było pytanie.

- Czy miło spędziłeś dzień? - powtórzył Judd równie łagodnie jak poprzednio.

Leo się wtedy uśmiechnął. - Byłem na spacerze w lesie.

- Z Gretchen? To dobrze. Zawsze lubiłeś spacerować po lesie z Gretchen - powiedział Judd, ale równie dobrze mógłby sobie darować. W połowie zdania Leo o nim zapomniał. Patrzył wyczekująco na Chelsea.

- Emma?

- Nie, tato. To Chelsea. - Ruchem głowy wskazał jej że ma do niego podejść. Był to jedyny sposób, w jaki mógł to zrobić, bo jego lewe ramie było unieruchomione w starym kardiganie Neila, a wolną ręką obejmował poręcz krzesła.

Chelsea pomyślała, że wygląda, jakby go opuszczały siły i skwapliwie podeszła do niego. Pochyliła się i uściśnęła jedną ze spoczywających na kolanach dłoni Leo - Miło mi pana poznać, panie Streeter.

- Czy Emma przyjdzie? - zapytał znów wyczekującym tonem Leo.

- Nie dzisiaj - powiedział Judd.

Leo wydawał się zbity z tropu. - To kto to jest?

- Chelsea jest moją przyjaciółką. Pamiętasz, mówiłem ci o niej. Mieszka w Boulderbrook.

- Boulderbrook - powtórzył Leo, a potem rozjaśnił się. - A kiedy przyjdzie Emma?

Źródło siły, które do tej pory podtrzymywało Judda,

wydawało się wyczerpywać. - Będzie tu innym razem, tato. - Zdrową ręką poklepał ojca po ramieniu.

- Wejdę na chwilę do środka.

Chelsea miała ochotę pomóc mu wstać, ale nie była pewna, czy zechce przyjąć jej pomoc. Wiedziała, że jeżeli nie powie jej wprost, żeby sobie poszła, to przez jakiś czas zostanie tutaj. Neil pracował nad nim ponad godzinę, wyłączając z tego czas jej poświęcony. Musiał nałożyć kilka warstw szwów, bo cięcie było bardzo głębokie. Z pewnością Judd teraz bardzo cierpiał. Chciała być blisko niego, gdyby czegoś potrzebował.

Wszedł do domu z Buckiem przy nodze, przeszedł . przez mały salon, korytarz i zniknął w jednej z dwóch sypialni. Chelsea w milczeniu podążała za nim, ale zatrzymała się w drzwiach. Pokój był spartański, z jasno-żółtymi ścianami, bez żadnych ozdób, z umeblowaniem ograniczonym do wysokiej szafy, starego skórzanego fotela i łóżka. Łóżko dominowało w pokoju ze względów praktycznych; duży mężczyzna potrzebował dużego łóżka, a pokój był mały.

Judd z jękiem wyciągnął się na pikowanej narzucie i zakrył oczy zdrową ręką. Stała i patrzyła, co będzie robił dalej. Tak samo Buck, który podszedł do niej i wsadzał jej pysk w dłoń, kiedy zrozumiał, że Judd nie żartuje. Kiedy przez kilkanaście minut nie poruszył się, podeszła do niego i dotknęła jego ramienia. - Judd? - spytała cicho.

Podniósł ramię i wzdrygnąwszy się otworzył oczy. Kiedy zobaczył, że to ona, opuścił ramię wzdłuż ciała. - Podać ci coś?

- Nie, dziękuję.

- Może coś do jedzenia?

- Później.

- Proszek przeciwbólowy?

- Później.

Chelsea sądziła, że miejscowe znieczulenie już przestaje działać. Na jego miejscu próbowałaby uciec przed bólem. Ale to nie była ona. To był Judd. A Judd

wyraźnie potraktował godzinne szycie tak, jakby to była normalna rzecz w jego dniu pracy.

- A może przynajmniej chcesz zdjąć buty? Próbował usiąść, ale lekkim naciskiem położyła go z powrotem. Rozsznurowała ciężkie robocze buty i ułożyła obok siebie na podłodze przy łóżku. Nie miał na sobie żadnej kurtki - zastanawiała się, czy kurtka mogłaby zmniejszyć impet haka - i jako że jego koszula została całkiem pocięta, miał na sobie tylko rozpinany sweter Neila. Był niezbyt duży i równocześnie służył za prowizoryczny temblak. Wyobrażała sobie, że musi go gryźć. - Czy chcesz to zdjąć? - Nie teraz. Pozwól mi odpocząć.

Stała nad nim kilka minut i w tym czasie ani razu się nie poruszył. Podeszła więc do starego skózanego fotela, przesunęła go w kąt i usiadła na nim, podwijając nogi. Buck zwinął się w kłębek tuż obok.

Założyła, że Judd usnął, a jeżeli nie, to zapomniał o jej obecności, kiedy nagle odezwał się cicho: - Nie masz nic lepszego do roboty?

- Nie.

- Jak długo masz tu zamiar siedzieć?

- Dopóki nie znajdę nic lepszego do roboty.

- Możesz się znudzić.

- Nie. Mam dużo do myślenia, kiedy tak siedzę. Przez jakiś czas milczał, a potem zapytał: - Na przykład o czym?

Na przykład o tym, jakie było dzieciństwo Judda w tym domu. Na przykład, kim był Leo. Na przykład, co się stało z Emmą, czy Chelsea wyglądała podobnie do niej, czy to miało jakiś wpływ na to, że Judd tak bardzo opierał się Chelsea.

Westchnęła. - Na przykład, czy u Wendella wszystko w porządku?

- Możesz pojechać do Concord i sama się dowiedzieć.

- Hunter tam pojechał. Wpadnie tu później, żeby mi powiedzieć.

Znów pomiędzy nimi zapanowało milczenie. Chelsea

wpatrywała się w grubo tkany chodnik na podłodze. Był już spłowiały. Zastanawiała się, od jak dawna go ma, czy ma dla niego znaczenie sentymalne, podobnie jak dla niej niektóre rzeczy. Po ostatniej wizycie w Baltimore, kiedy zorganizowała przeniesienie pudełek do swego mieszkania, wróciła do Norwich Notch z kilkoma małymi wschodnimi dywanami, które tak bardzo lubiła, kiedy dorastała. Położyła je w honorowych miejscach w Boulderbrook

- jeden w salonie przed kominkiem, jeden w sypialni i jeszcze jeden w pokoju, gdzie urządziła sobie gabinet. Kiedy była otoczona starymi, znanymi rzeczami, dawało jej to poczucie bezpieczeństwa. Był to kolejny przejaw zapuszczania korzeni tam, gdzie poprzednio w ogóle tych korzeni nie miała.

- O czym jeszcze myślisz? - zapytał Judd. Spojrzał jej w oczy. W jego głosie było coś dobrze znanego. Nie wiedziała dlaczego - ani dlaczego nadal go pożąda, ale tak było. Kolejne noce leżała w łóżku, wmawiając sobie, że ma dosyć do roboty bez Judda, ale nadal za nim tęskniła. Tęskniła za jego mocnym ciałem, za jego ciężarem, za jego ciepłem, za jego zapachem.

Odwróciła wzrok. - Myślę o tym wypadku. To było okropne widzieć was tak rozciągniętych na ziemi.

- Nie powinnaś była za mną schodzić.

- Chciałam widzieć, co się dzieje. Tak bardzo czuję się od tego wszystkiego odsunięta. Judd - zapytała, zanim zabrakło jej odwagi - czy ja w jakiś sposób mogłam być przyczyną tego wypadku?

- Otwory pod haki nie były zrobione prawidłowo.

- Czy może mogłam odwrócić czyjąś uwagę? Może kiedy schodziłam po drabinie, ktoś na mnie spojrzał, a nie powinien był odrywać uwagi od tego, co robi.

- Takie myśli ją prześladowały.

- Otwory były zbyt blisko siebie. Gdyby tak nie było, haki by nie wypadły.

- Więc to nie moja wina?

- Wypadki się zdarzają. Wydobywanie kamienia jest niebezpieczne.

- Jak on się ma? - rozległ się głos w drzwiach. Chelsea natychmiast się wyprostowała. Właścicielem głosu okazał się Murphy, który nadzorował prace w Moss Ridge, kiedy nie było tam ani Judda, ani Huntera.

- Przeżyję - powiedział Judd.

- Doktor dobrze cię zszył?

- Można tak powiedzieć. Słyszałeś coś o Wendellu?

- Jeszcze nie. Kiedy znów będziesz mógł grać? Chelsea, której się wydawało, że najważniejszą sprawą dla Murphy'ego jest praca, wybuchnęła niedowierzającym śmiechem.

Judd obrócił głowę na poduszce i spojrzał na nią. - To jest ważne.

- Wiem, wiem.

Murphy'emu Judd powiedział: - Może za miesiąc albo dwa.

- Powiem kumplom - powiedział Murphy i podnosząc rękę w salucie, wyszedł równie zniechęcony, jak się pojawił.

Judd znów obrócił głowę na poduszce, opierając rękę na czole, kiedy tym razem spojrzał na Chelsea. - Powie też wszystkim kumplom, że tu byłaś. Do rana całe miasto będzie myśleć, że to moje dziecko. Nie była w stanie ocenić, czy jest zły. Jego twarz była równie beznamiętna, jak głos. Żeby osłonić się przed chłodem i gniewem, który mógł się pod tym czaić, przystąpiła do ataku.

- Nie całe miasto. Donna wie, że nie jest twoje. Hunter też, a ja powiem wszystkim, z którymi będę rozmawiać. Nie będą ci go długo przypisywać.

Leżał i patrzył na nią. Nie chciała odwrócić wzroku, bo miała zamiar zrobić to, co powiedziała. Nie miała zamiaru przypisywać dziecka Juddowi.

- W gruncie rzeczy to niezwykle pochlebne - powiedział. Usłyszała to od mężczyzny, który kiedyś w furii zapytał, czy zamierzała mu powiedzieć, że dziecko nie jest jego. - Słucham?

- Być uważanym za tak niezwykle męskiego, że mogłem cię uwieść i zapłodnić w kilka dni po tym, jak się tu wprowadziłaś.

Nie była w stanie zaprzeczyć części dotyczącej męskości. Była uderzająca nawet w tej chwili - zarost na podbródku, ciemne włosy w wycięciu swetra, muskularny korpus, kształt dzinsów w rejonie rozporka. Pierwsze wrażenie, które na niej wywarł, nie zmieniło się ani na jotę. Nadal był najatrakcyjniejszą mężczyzną, jakiego w życiu widziała.

Jej reakcje na niego również wiele się nie zmieniły. Oczywiście, próbowała je zignorować, apelując do poczucia własnej wartości, bo wiedziała, że nie będzie już dalszego ciągu. Ale nadal był taki sam ucisk w gardle, takie samo drżenie w brzuchu, takie samo ciepło pomiędzy nogami - a teraz wiedziała, że nie ma w tym nic nienormalnego. Ginekolog w Baltimore jej to wyjaśnił, podobnie jak książki, które teraz przeczytała. Niektóre kobiety doświadczały wyżyn aktywności seksualnej podczas ciąży. Ona miała nieszczęście być jedną z nich.

Wyobraziła sobie, że Judd jest zadowolony z siebie. - Nie zapłodniłeś mnie - powiedziała.

- Spałem z tobą.

Policzki jej się zarumieniły. - No, tak.

Posłał jej chłodne spojrzenie, zanim zamknął oczy, pozostawiając ją pogrążoną we wspomnieniach, jak to z nią sypiał, od pierwszego razu do ostatniego, jak było jej dobrze. Kiedy tęsknota stała się zbyt ciężka do zniesienia, przycisnęła twarz do kolan. Sama była swoim najgorszym wrogiem. Musiała odzyskać kontrolę nad sobą.

- Jak się czujesz? - zapytał Judd.

- Dobrze - wydusiła z siebie, mimo że głos miała stłumiony.

- Dlaczego zemdlałaś?

- Krew.

- Dlaczego patrzyłaś?

- Nie mogłam się powstrzymać.
- Nie musiałaś tam stać i patrzeć.
- Nie mogłam tam nie stać.
- Nie musiałaś mnie trzymać za rękę. Jestem już dużym chłopcem.
- Trzymałam ją dla siebie - powiedziała i biorąc głęboki oddech podniosła głowę. - To nic takiego. Czuję się dobrze.
- A w ogóle wszystko u ciebie w porządku? Wiedziała, że ma na myśli dziecko i poczuła rozrzewnienie. - Jak najbardziej.
- Zmęczona?
- Nieszczególnie.

Wpatrzył się w jej brzuch i przez minutę skoncentrował się tylko na tym. Potem powiedział: - Pozwól mi spojrzeć. Poczula, jak coś w środku ją ściska, ale zignorowała to. Spełniła jego prośbę w sposób tak niewinny, jak tylko była w stanie, rozprostowała nogi i wygładziła sweter na brzuchu. - Nie ma zbyt wiele do zobaczenia. - Czy to są specjalne spodnie?

- Jeszcze nie. Wkrótce.

Po kolejnej pauzie, podczas której jego oczy nie odrywały się od brzucha, zapytał: - Czy ono się porusza?

- Minimalnie. - Był to bardziej trzepot niż ruch, ale pojawiał się dostatecznie często, żeby była spokojna o dziecko. Chelsea wyobrażała sobie, że dziecko łaskocze ją od środka, żeby dać jej znać o swojej obecności. Uśmiechnęła się na tę myśl. Cały czas uśmiechała się, kiedy napotkała spojrzenie Judda. - To było po prostu niewiarygodne, kiedy usłyszałam, jak bije mu serce - powiedziała, bo tak bardzo chciała podzielić się z nim swoimi emocjami. - To coś takiego, że twój umysł wie, że jesteś w ciąży. Nawet twoje ciało o tym wie, bo pojawiają się drobne zmiany i przez cały czas masz mdłości. Potem mdłości mijają, zaczynasz przyzwyczajać się do zmian w ciele i trudno jest uwierzyć, że cokolwiek dzieje się wewnątrz. Potem - złapała oddech - słyszysz szybki,

cichutki stukot - ba-bump-ba-bump-ba-bump-ba-bump-ba-bump - i zdajesz sobie sprawę, że wewnątrz ciebie rośnie prawdziwa żywa ludzka istota.

Oczy Judda pociemniały. - Mówisz tak, jakbyś lubiła być w ciąży.

- Bardzo lubię. Powiedziałam ci to w sierpniu. Po raz pierwszy w życiu mam coś z mojej kości i krwi i nie mogę się doczekać, aż się urodzi.

- Czy twój ojciec już wie?

Coś ścisnęło ją w żołądku. Zastanawiała się, czy dziecko czuje jej zdenerwowanie i pogłaskała je uspokajająco. - Jeszcze nie.

- Kiedy masz zamiar mu powiedzieć?

Jej głos stał się głosem małej dziewczynki, bo tak właśnie się czuła, kiedy pomyślała o Kevinie. - Nie wiem.

- Była dorosła. Była przyszłą matką. Była silną, niezależną kobietą. - Mam problem z moim ojcem.

Nie wiem dlaczego. Z innymi ludźmi porozumiewam się bez trudu.

Po krótkiej przerwie Judd powiedział: - Jest twoim ojcem. Tu obowiązują odmienne reguły.

Dobrze to ujął, pomyślała. - Dużo o nim myślę. Mieszka już w nowym mieszkaniu. Dzwonię do niego parę razy w tygodniu. Zazwyczaj nie ma go w domu, więc zostawiam wiadomość na sekretarce.

Zastanawiam się, co by było, gdybym naprawdę znalazła się w pilnej potrzebie. Myślę, że spisał mnie już na straty. - Gdyby tak zrobił, nie miałby ci tak bardzo za złe, że mieszkasz tutaj.

Uśmiechnęła się smutno. - Długo sobie tak mówiłam. Trochę mnie to pocieszało. Ale upłynęło tyle czasu bez żadnego porozumienia między nami, że już nie jestem w stanie się pocieszać. Kiedy przestanie mieć mi za złe? Kiedy znów nawiążemy ze sobą kontakt? Co mogłoby przełamać lody? Coś tragicznego?

Judd wziął głęboki oddech i skrzywił się z bólu.

- Może. - Znów przykrył oczy ramieniem. - Tata w pełni popierał to, żebym poszedł na studia. Chciał, żebym osiągnął w życiu więcej niż on. Miałem fioła na punkcie

koszykówki, więc każdego sobotniego ranka był ze mną w szkolnej sali gimnastycznej, rzucając piłkę, do kosza. Dostałem stypendium i pojechałem na studia, a kiedy skończyłem, nagle chciał, żebym wrócił do domu. Nie wiedziałem dlaczego. Miałem już magisterium i dostateczne kwalifikacje, żeby coś w życiu osiągnąć, a on chciał, żebym wracał do domu. Kłóciliśmy się o to i o Janinę. Nienawidził Janinę. A ona nienawidziła jego.

Gdzieś pomiędzy szkolną salą gimnastyczną a uniwersytetem, Chelsea opuściła skórzany fotel i usiadła obok Judda na łóżku.

- Jak mogła go nienawidzić? Wydaje się taki miły i delikatny. Czy to z powodu jego choroby?

- Nie. Zawsze był miły i delikatny. Ale miał coś w rodzaju szóstego zmysłu i tym zmysłem nienawidził Janinę. Mówił o niej, jak gdyby była wcielonym diabłem.

- Byłeś już wtedy żonaty?

- Zaręczony. Tata powiedział, żebym się nie spieszył. „Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy czekają”. To było jego ulubione powiedzenie. - Kąciki ust wygięły mu się w dół. - Tata widział w Janinę moją matkę.

- Były do siebie podobne?

- Nieszczególnie.

- Czy ja jestem podobna do twojej matki? Odsunął ramię. Głos miał zmęczony. - Nieszczególnie.

Ale jesteś piękna i masz swój styl, a moja matka też była taka. Podobnie jak Janinę. Tata wiedział, że jest dziewczyną z miasta, a moja matka też nią była, więc musiało to przynieść kłopoty. Musiały odezwać się stłumione emocje. Wychował mnie nie mówiąc ani jednego złego słowa o matce, ale nagle wprost emanował złością. Nie byłem naiwny, jeżeli chodzi o Emmę. Wszyscy tu plotkują, więc wiedziałem, że ona opuściła tatę. - Powiedział to ze smutkiem. - Bóg jeden wie, jak ciężko mi było bez niej dorastać. Nie rozumiałem jednak, w jaki sposób ma mnie to dotyczyć, skoro miałem dwadzieścia dwa lata i byłem pełen optymizmu. W moim rozumieniu, robiłem wszystko to, co tata chciał, żebym robił w życiu, a jeżeli

nagle zmienił zdanie, to był to jego problem. - Jego głos był przepełniony jeszcze głębszym smutkiem. -
Dopiero dużo później zrozumiałem, że przerażała go myśl o samotności.

- I dlatego wróciłeś?

- Nie. Wróciłem dlatego, że zachorował i nie było nikogo, kto mógłby się nim zaopiekować. I dlatego, że moje małżeństwo było już w stanie rozkładu. I dlatego, że frustrowała mnie praca, którą miałem. I dlatego, że tęskniłem za grą w koszykówkę z facetami, którzy potrafią się śmiać nawet wtedy, kiedy przegrywają.

- Czy Leo był zadowolony, że wróciłeś?

- Tak. W tym czasie nie pamiętał już kłótni, jakie między nami były. Wiedział, że przez jakiś czas mnie tu nie było, ale skoro nie było ze mną Janinę, to jak gdyby ona nigdy nie istniała.

Chelsea nie wiedziała, kiedy Judd znów będzie w nastroju do rozmowy, dociekała więc dalej. -

Dlaczego twoje małżeństwo się rozpadło?

- Wypaliło się. Tata miał rację co do Janinę. Ona nie nadawała się do długiego związku, podobnie jak moja matka. - Kochałeś ją?

- Namiętnie, ale krótko.

Co z fizycznego punktu widzenia było opisem ich romansu, uświadomiła sobie Chelsea. Zastanawiała się, czy z Juddem zawsze tak jest. Miał w sobie zdolność troszczenia się - opieka nad ojcem była tego dowodem, jak również sposób, w jaki dbał o pracowników w kamieniołomach. Nie miał tylko szczęścia z kobietami.

Podniósł ramię. - Przydałaby mi się teraz aspiryna.

Znalazła opakowanie w łazience i wróciła ze szklanką wody. Kiedy połknął tabletkę, powiedziała: -

Zobaczę, co z kolacją.

- Gretchen coś ugotuje.

- Ja mogę coś ugotować.

- Płaczę Gretchen, żeby gotowała.

- Płacisz jej, żeby opiekowała się Leo. Pozwól, żebym ja ugotowała.
- Już kiedyś jadłem to, co ugotowałaś.
- To było śniadanie. Śniadania nie są moją najmocniejszą stroną. Nigdy nie jadłem kolacji, którą zrobiłam. Niedługo wrócę - powiedziała i wyszła, czując, że to, co robi, ma więcej sensu niż cokolwiek, co robiła od miesiący - wprost niewiarygodne, zważywszy co w tym czasie zrobiła, niemniej jednak prawdziwe.

Najpierw wydała fortunę najedzenie u Farra, a potem w piekarni. Wiedziała, że trochę przesadziła, ale była w zbyt dobrym nastroju, żeby się przejmować. Spora część jej zakupów była przeznaczona dla rodziny Wendella.

Cutters Corner był położony piętnaście minut drogi za szpitalem i był zupełnie innym światem niż centrum. Drogi były brukowane kamieniami, a domy przypominały szopy - odrapane i nadające się do remontu. Większość miała ganki od frontu, ale w niczym nie przypominały ganków w mieście. Na niektórych stały wystrzępione leżaki, niektóre były prymitywnie zabudowane, żeby powiększyć powierzchnię mieszkalną, a jeszcze inne wykrzywione ze starości. Zamiast żywopłotów rosły krzaki, dzikie i dostatecznie odporne, żeby przeżyć na podwórkach zawalonych wrakami samochodów, starymi oponami, zardzewiałymi rowerami i porzucanymi zabawkami. Jeśli gdzieś rosła trawa, wypaliło ją letnie słońce i już nie odżyła.

Mimo to miejsce tchnęło życiem i ciepłem. Kiedy Chelsea mijala lepsze ulice w mieście i widziała domy ze świeżo pomalowanymi fotelami bujanymi na gankach, z drogimi rowerami górskimi na podjazdach, z symetrycznie rozwieszonymi sznurami do bielizny i z poukładanym w schludne stosy drewnem kominkowym na podwórkach, wokół przeważnie panowała pustka. Tu byli ludzie. Dzieci bawiły się wśród gratów na podwórkach, podczas gdy ich matki wieszały pranie na przypadkowych sznurkach rozwieszonych między hakiem wbi-

tym w ścianę budynku a drzewem. Niektóre z matek wyglądały na zbyt młode, żeby mieć dzieci. Inne wyglądały na zbyt stare. Jeszcze inne były znów w ciąży.

Chelsea poczuła dziwną więź z tym miejscem; może dlatego, że też była w ciąży, a może dlatego, że istniały duże szanse, że jedno lub oboje jej rodzice pochodzili z Corner. Mogła stanąć twarzą w twarz z George'em Jamiesonem, Emerym Farrem lub Oliverem Plumem, nawet nie mrugnawszy powieką, ale kiedy dojeżdżała do domu Wendella, miała wilgotne dłonie.

Chelsea zgadła, że dziewczynka, która otworzyła drzwi na jej pukanie, miała nie więcej niż dziesięć lat. Była ładnym dzieckiem, czystym i skromnie ubranym. Zza jej nóg wychylała się ciekawie dwójka młodszych dzieci, czarnych, kędzierzawych i zadziwiająco podobnych do siebie.

- Cześć. Jestem Chelsea Kane. Czy mama jest w domu?

Dziewczynka potrząsnęła głową. Miała wielkie oczy, równie ciemne jak włosy. Wyglądała na przestraszona.

- Jest w szpitalu. Mój tata jest ranny.

- Wiem - powiedziała łagodnie Chelsea, chociaż nie spodziewała się, że dzieci będą pozostawione same. - Dlatego jestem tutaj.

Oczy dziewczynki rozszerzyły się. - Czy on umrze?

- Nie, skąd. Wkrótce wyzdrowieje. Ale pomyślałam sobie, że skoro wasza mama jest zajęta opieką nad nim, może przyda wam się trochę dodatkowego jedzenia w domu. - Spojrzała na klamkę. - Czy mogę wejść?

- Co jest w tych torbach? - zapytała jedna z młodszych.

- Dobre rzeczy - powiedziała Chelsea - jak pieczony kurczak i lasagna, i owoce.

- To nie są dobre rzeczy - oświadczyła druga mała.

- I babeczki - mówiła dalej Chelsea - i rożki, i ludki z piernika, i ciasteczka z dyniowymi buziami.

- Dynie? - zapytała pierwsza mała z zainteresowaniem.

- Ciasteczka z dyni - wtrąciła starsza dziewczynka.

Druga mała była na tyle skuszona, że opuściła schronienie za nogami siostry i popchnęła drzwi. Chelsea przytrzymała je łokciem i wśliznęła się do środka. Z łatwością znalazła drogę do kuchni, ale stół był zawalony resztkami po lunchu, położyła więc torby na krześle. Sięgnęła do jednej z nich i wyciągnęła trzy dyniowe ciasteczka. Obie małe dziewczynki natychmiast wyciągnęły po nie rączki, ale starsza potrząsnęła głową. Chelsea rozejrzała się. Zrozumiała, dlaczego stół nie został sprzątnięty. Zlew był już przepelniony naczyniami. Delikatnie położyła dłoń na ramieniu starszej dziewczynki i powiedziała: - Mama będzie zmęczona, kiedy wróci do domu. Może wspólnie trochę tu posprzątam, żeby już nie musiała sama się tym zajmować. - Chelsea położyła łokieć na poręcz krzesła, podwinęła rękawy swetra i podeszła do zlewu. Dziewczynka stała z boku. Dopiero kiedy suszarka była pełna, sięgnęła po ścierkę i zaczęła wycierać umyte naczynia.

- Ile lat mają twoje siostry? - zapytała Chelsea. - Cztery.

- Są bliźniaczkami?

- Tak.

- To musi być fajnie mieć zawsze kogoś do zabawy.

- Chyba tak.

Robiła wrażenie zakłopotanej. Chelsea nie wiedziała, jak mogłaby ją ośmielić, więc spróbowała: - Jak ci na imię?

- Caroline.

- A twoim siostram?

- Charlotte i Claire.

- Charlotte. To poważne imię dla małej dziewczynki. - Charlie.

Chelsea uśmiechnęła się. Charlie brzmiało lepiej. Popatrzyła na małe dziewczynki. Stały obok krzesła, na którym leżały torby z zakupami, i buzie miały umazane czekoladą. Dobrały się już do babeczek. - Hej, wy tam. To już dość na teraz.

- Cem rożek - powiedziała jedna.

- Ja cem dynię - powiedziała jej bliźniaczka.

- Musicie najpierw pomóc pozmywać - powiedziała Chelsea. - Chcę, żebyście mi podawały wszystkie naczynia ze stołu, żebym mogła je pozmywać. Czy potraficie to zrobić? Bardzo ostrożnie, po jednym?

- Wymyśliła, że to je na jakiś czas zajmie.

Kiedy skończyła zmywanie, wytarła blaty i otworzyła lodówkę, spodziewając się i tam znaleźć bałagan.

Nie było źle, głównie dlatego, że w środku nie było wiele.

Poukladała to, co tam było, wytarła największe plamy i włożyła zakupy. Kiedy to robiła, bliźniaczkom stojącym obok ani przez chwilę nie zamykały się buzie, natomiast Caroline trzymała się z boku.

- Co to? - A co to?

- Gdzie mieszkasz?

- Nie lubię szynki.

- Claire pobrudziła twój żakiet.

- Nieprawda.

- W Halloween będę myszką.

- Mama ma takie same spodnie.

- Czy mogę dostać jeszcze jedno ciasteczko?

Nie wiedząc, jak sobie ze wszystkim poradzić, Chelsea potraktowała Caroline jak dorosłą. - Jest sok pomarańczowy i wieloowocowy - cicho wyjaśniała. - Kurczak jest już upieczony. Możecie go zjeść na zimno albo trochę podgrzać. Przyniosłam chleb arabski i żytni, więc możecie zrobić sobie kanapki. O, możemy umyć te owoce. Jeżeli później zgłodniejecie, to już będą gotowe. Lubicie truskawki?

Dziewczynka ponuro kiwnęła głową.

- Dobrze. To znajdź jakąś miskę. Ja je przepłuczę. Caroline stanęła na palcach, wyjęła wyszczerbioną miskę z kredensu, podała Chelsea i znów się cofnęła.

- Ja nie lubię truskawek - poskarżyła się jedna z bliźniaczek.

- A co to? - zapytała druga, wynurzając z torby ręce z miniaturowymi krążkami sera.

- Spójrz do torby, Caroline - powiedziała Chelsea. - Tam jest kilka pudełek krakersów. Jeżeli złapie was głód, a mamy nie będzie w domu, możecie posmarować serem krakersy...

- Będą przyzwoicie nakarmione - od drzwi rozległ się głos.

Chelsea odwróciła się i ujrzała potężną kobietę, do której bliźniaczki natychmiast doskoczyły.

- Ona przyniosła babeczki...

- I dynie...

- I rożki...

- I szynkę.

- Nie cierpię szynki.

Chelsea wytarła ręce i wyciągnęła do niej dłoń. - Jestem Chelsea Kane.

- Wiem - powiedziała kobieta. Miała na sobie dzinsy i kurtkę,* a jej rzadkie, proste włosy były związane w koński ogon. Pochyliła się nad bliźniaczkami, co pozwoliło jej zignorować dłoń Chelsea.

- To Glady Beamis - powiedziała Caroline z drugiego końca kuchni.

Chelsea posłała jej pełen wdzięczności uśmiech. Zwracając się do Glady, powiedziała: - Czy pani mieszka w pobliżu?

Kobieta wyprostowała się. - Obok.

- Aha. To dobrze. Ja tylko chciałam być pewna, że mają dość do jedzenia.

- My byśmy już o to zadbali.

- Jestem o tym przekonana. Po prostu chciałam zrobić coś, żeby być pomocna.

Glady spojrzała na brzuch Chelsea. - To Judda?

Nic nie stało się widoczne bardziej niż tego ranka, a tu w domu nie było wiatru, co mogło oznaczać tylko to, że mężczyźni zaczęli już mówić. Westchnęła. - Nie. Zaszłam w ciążę przed przyjazdem tutaj.

Będę rodzić pod koniec stycznia. - Tak naprawdę poród był spodziewany na początku lutego, ale w ten sposób dawała do zrozumienia, że Judd nie może być ojcem.

- Styczeń to zły okres, żeby tutaj rodzić dziecko. Tu nie ma nic poza śniegiem i lodem.

Chelsea zaśmiała się. - Trochę za późno, żeby mi o tym mówić.

Każda z bliźniaczek chwyciła Glady za rękę i znów zaczęły terkotać.

- Ja lubię śnieg.

- Najbardziej robienie aniołów.

- Najbardziej robienie kul ze śniegu.

- Glady, kiedy ja się urodziłam?

- Ucho mnie boli.

- Kiedy będzie kolacja?

- Kiedy wróci mamusia?

- Czy ona może dzwoniła z wiadomościami? - zapytała Chelsea.

- Operacja jest w trakcie. Próbują zrekonstruować nogę.

- Och, to dobrze. - Próba rekonstrukcji była o wiele lepsza niż amputacja.

- Maryjo nie wie, kiedy wróci. Zabieram dziewczynki do siebie na kolację i potem na noc.

Bliźniaczkom bardzo się spodobał pomysł.

- Muszę wziąć kocyk - powiedziała jedna i błyskawicznie zniknęła.

Druga szybko podążyła za nią, wrzeszcząc: - Grover!

- Potrzebujesz czegoś, Caro? - zapytała Glady. Chelsea nagle zdała sobie sprawę, że dziewczynka przysuwa się do niej coraz bliżej.

- Czy mogę jeszcze trochę zostać? - zapytała nieśmiało. - Mamusi będzie łatwiej, jeżeli tu wszystko będzie czyste.

Chelsea natychmiast podchwyciła jej propozycję i zwróciła się do Glady. - Właśnie mi pokazywała, gdzie trzeba pochować naczynia i inne rzeczy. To zajmie jeszcze kilka minut.

Odprowadzę ją, kiedy skończymy.

Glady nie wydawała się zachwycona tym pomysłem.

- To niedaleko - powiedziała nieśmiało Caroline, dając jednak wyraźnie do zrozumienia, czego chce.

Po chwili Glady wzruszyła ramionami. - Myślę, że to nic złego. Pospieszcie się tylko. Będzie pizza. - Zawołała bliźniaczki, odwróciła się i wyszła.

Kiedy Caroline ustawiała wszystkie zakupy, Chelsea w tym czasie skończyła mycie truskawek. Po chwili Caroline sięgnęła po ciasteczko z dyni i odgryzła mały kawałek. Cichutkim głosem zapytała:

- Czy pani naprawdę będzie miała dziecko?

- Aha.

- W styczniu?

- Mniej więcej.

Caroline odgryzła jeszcze kawałek. Potem spojrzała na nią i powiedziała niespodziewanie rzeczowym tonem: - Niech pani nie słucha Glady. Myli się co do stycznia. Ja się urodziłam w styczniu. To wcale nie jest zły miesiąc.

Chelsea uśmiechnęła się na ten przejaw subtelności u dziecka. Dotknęła jej długich ciemnych włosów, a potem ją uścisnęła. Gdyby nie kolacja, którą nadal chciała przygotować, wzięłaby dziewczynkę ze sobą do domu. Ale Judd czekał. Nie wiedział o tym. Ale czekał.

Chelsea zrobiła chińską potrawę z kurczaka z ryżem

- było to coś, co potrafiła zrobić najlepiej w najkrótszym czasie. Przygotowała cztery porcje - dla Judda, Leo, Sary, która zmieniła Gretchen, i dla siebie. Widziała, że Judd cierpi. Miał poszarzałą twarz i poruszał się sztywno. Zjadł połowę porcji i wymamrotał: - Muszę się położyć. - Podziękował, wstał od stołu i wyszedł.

Chelsea podniosła się chcąc iść za nim, ale Sara złapała ją za rękę. - Zostaw go na chwilę. Trudno mu pokazywać przed kimś słabość. - Trzasnęły jakieś drzwi. - Jest w łazience. Da sobie radę.

Chelsea nie była tego pewna, ale z powrotem usiadła. Podobnie jak Gretchen, Sara była w wieku bardziej zbliżonym do Leo niż do Judda, więc prawdopodobnie знаła Judda niemal przez całe jego życie. Miała rację, że silni mężczyźni mają problemy z okazywaniem słabości. Judd też z pewnością taki był.

- Jest dobrym człowiekiem - powiedziała Sara.

- Wiem.

- Czy to jego dziecko?

Chelsea spojrzała na Leo, ale on teraz głaskał Bucka. - Nie.

- A chciałabyś, żeby było? - zapytała Sara.

Przez minutę Chelsea czuła ucisk w gardle. Odetchnęła i wpatrzyła się zakłopotanym wzrokiem w sufit. Dziecko Judda. O tak. To była zupełnie świeża myśl, ale nie była niemiła jej sercu. Nie powinno być żadnego powodu, dla którego chciałaby mieć dziecko Judda. Jednak myśl o tym kołatała się w jej głowie. - Byłoby to miłe - wyszeptała i spuściła głowę.

- Kochasz go?

Kochać go? Prawie go nie знаła. Ale było coś, co powodowało, że chciałaby przez cały czas być obok niego, że z nim czuła się bezpiecznie, że go pożądała. Ale kochać go? - Nie wiem.

- On potrzebuje szczególnej kobiety, ten nasz Judd

- powiedziała Sara w miły, uprzejmy sposób, który nie był ani odrobinę obraźliwy czy agresywny.

Chelsea uświadomiła sobie, że Sara, podobnie jak Gretchen, jest taką szczególną kobietą. Powinna była domyślić się, że dla Leo Judd zatrudnia tylko najlepsze, najłagodniejsze kobiety. - Potrzebuje kobiety, która da mu dużo, dużo miłości. To nieważne, czy to będzie tu, czy gdzieś indziej - ale potrzebuje kogoś, kto będzie tylko z nim i dla niego.

- Moja Emma jest szczególną kobietą - powiedział Leo, podnosząc wzrok z pełnym nadziei uśmiechem. - Czy ona się tu wkrótce pojawi?

- Wkrótce, kochany - powiedziała Sara. - Ale spójrz, jest jeszcze trochę kurczaka. Taki smaczny kurczak. - Nabiła kawałek na widelec Leo i potem obserwowała go, żeby nie zapomniał włożyć kurczaka do ust, pogryźć i połknąć.

Chelsea usiłowała wyobrazić sobie Kevina zredukowanego do takiego stanu. Jego widok tak zdegradowanego

byłby dla niej katastrofą. Usiłowała sobie wyobrazić, co odczuwał Judd.

Z hallu dobiegł ją dźwięk. Spojrzała pytająco na Sarę.

- Pysznic. - powiedziała ostrożnie Sara.

Kiedy tym razem Chelsea podniosła się od stołu, Sara nie usiłowała jej zatrzymać. - Judd? - zawołała stojąc przed drzwiami łazienki. Zapukała. - Judd. - Poruszyła klamką, ale drzwi były zamknięte od wewnątrz. Nie słyszał albo nie odpowiadał. Szarpała za klamkę. - Judd!

W końcu była zmuszona wycofać się i czekać, opierając się o ścianę obok łazienki, zastanawiając się, czy jeszcze żyje, czy może upadł na podłogę i utopił się, aż w końcu woda przestała lecieć. - Judd, otwieraj!

Uchylił drzwi i powiedział: - O co chodzi? - ale jego głos brzmiał równie blado, jak wyglądała twarz.

Wśliznęła się do środka. - Miałeś nie moczyć tego ramienia.

- Nie zmoczyłem.

Sprawdziła bandaż. Wydawały się suche. Musiał je jakoś zakryć. Poza tym cały był mokry.

- W drugiej szufladzie szafy są czyste spodnie od dresu. Przyniesiesz je?

Chciała mu pomóc się wytrzeć, ale pamiętając ostrzeżenie Sary, poszła po spodnie. Zabrało jej to minutę. Kiedy wróciła, Judd był już z grubsza wytarty. Opierał się o umywalkę, ściskając ręcznik, którym był owinięty w pasie.

Uklękła i przytrzymała spodnie tak, żeby mógł włożyć nogę.

- Sam sobie poradzę - powiedział.

- Pozwól mi.

- Chelsea.

- Judd, nie przesadzaj. Widziałam cię przedtem. Tracisz czas.

Opierał się jeszcze przez minutę, po czym uznała, że jego opór maleje. Szybko włożyła mu spodnie na nogi i biodra, ale on, choć sądziła, że wróci z powrotem do łóżka, dalej stał w miejscu, oparty o umywalkę.

- Pokaż mi brzuch - powiedział cicho.

Jej puls gwałtownie przyspieszył. - Już to zrobiłam. Potrząsnął głową.

Przełknęła. - Powinieneś się położyć.

- Pokaż.

Drzwi były tuż za nią. Mogła się odwrócić i wyjść. Nie zrobiła tego. Wygładziła sweter na brzuchu.

- Podnieś go - powiedział. Podniosła go tuż poniżej biustu.

- Chcę zobaczyć gołą skórę.

Puls jeszcze bardziej przyspieszył, a potem zaczął galopować. Niepewnie opuściła elastyczne spodnie i pojawił się lekko zaokrąglony brzuch.

Wpatrywał się w niego przez długi czas, po prostu się wpatrywał, a potem, zanim Chelsea zdołała go powstrzymać, położył na nim rękę.

Zacząła szybciej oddychać, żeby stłumić palący ją wewnątrz żar.

Odwrócił dłoń i wierzchem przejechał po skórze brzucha. - Jezu - wyszeptał i przykrył go znów dłonią.

Chciała więcej, jeszcze więcej, a ból w niej stał się jeszcze bardziej intensywny. Chciała, żeby dotykał ją obiema dłońmi. Chciała zbliżyć się do niego, chciała, żeby objął ją ramionami i trzymał mocno.

Umierała z pragnienia. Aż do tej chwili nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo.

Nie była w stanie tego wszystkiego znieść, więc złapała go za rękę i przytrzymała ją. - Nie rób tego.

- Czego? - Miał zachrypnięty głos.

- Nie rozdrażniaj mnie.

- To ty mnie rozdrażniasz - powiedział. Uwalniając rękę, wyminął ją i wyszedł z łazienki.

Minęła minuta, zanim wróciła jej jasność umysłu i zdołała poprawić ubranie, i pójść za nim, ale kiedy zobaczyła go rozciągniętego na łóżku, znów zakręciło jej się w głowie. Miał wilgotne, rozczochrane włosy, gołą i wilgotną pierś, szczupłe nogi i biodra, a członek odznaczał się wyraźnie. Z trudem powstrzymywała się, żeby go nie dotknąć.

- Jak ja cię mogę rozdrażniać? - zapytała, wkładając dłonie pod pachy, żeby je unieruchomić. - To ty powiedziałeś, że chcesz zobaczyć dziecko.

Nie ruszał się.

- Powiedz mi, Judd.

Nie odzywał się. Po długiej chwili wróciła na fotel. Stopniowo jego członek stawał się mniej widoczny.

- Idź do domu - wydusił z siebie w końcu, nieco bełkotliwie.

- Później.

- Potrzebujesz snu.

- Później.

Nie odzywał się więcej. Zapadł w lekki sen, który stopniowo stawał się coraz głębszy. Kiedy w końcu otuliła go kołdrą, spał twardo.

W tym czasie Sara posprzątała kuchnię i dopilnowała, żeby Leo się wykąpał i ubrał w piżamę, i siedziała z nim w salonie przed wielkim telewizorem. Chelsea zatrzymała się tylko na moment, żeby powiedzieć im ciche „do widzenia” i pożegnać się z Buckiem, po czym wsiadła do pathfindera i pojechała do domu.

Kiedy skręciła na drogę do Boulderbrook, wiedziała, że coś jest nie w porządku. Nawet przy zasuniętych oknach, mogła wyczuć swąd dymu, innego niż dym wychodzący z komina. Był to złowieszczy zapach jak wtedy, kiedy coś wielkiego stoi w płomieniach.

Z sercem w gardle jechała dalej. Boulderbrook był zbudowany głównie z kamienia, ale i tak miało co się tam palić. Był dach. Było wnętrze, tak pieczołowicie wyremontowane i urządzone.

Drzewa przerzedziły się i dom na farmie był już widoczny. Był cały otulony dymem, ale blask płomieni dochodził spoza niego, gdzie w bezpiecznej odległości stała stara nie używana stodoła, która w tej chwili już całkowicie uległa i z jękiem, w gradzie iskier, zwała się na ziemię.

ROZDZIAŁ 18

Judd czuł się tak, jakby przez bark przejechała mu ciężarówka, ale nie powstrzymało go to następnego ranka od zawiezienia Olivera do fryzjera, ani od zabierania głosu, kiedy radni Norwich Notch omawiali pożar stodoły Chelsea. Był tak bardzo zły, że nie mógł się powstrzymać, żeby nie dać im tego do zrozumienia.

Począł, aż pierwszy z nich znajdzie się na fotelu Zee, aż pozostali naleją sobie kawy i zajmą swoje stałe pozycje przy oknie wychodzącym na skwer, aż dobosze wyjdą ze swoich domków po obu stronach zegara i uderzą trzykrotnie w bębny, i schowają się. Potem przemówił.

- W tym mieście dzieje się coś złego. Chcę wiedzieć, co to takiego.

Dwaj przy oknie - Oliver i George - popatrzyli ze zdumieniem najpierw na niego, a potem na siebie nawzajem.

- Co on tu robi? - zapytał George.

- Jest ze mną - wymamrotał Oliver. - Tyle że ma się nie odzywać.

- Najwyższy czas, żeby ktoś się odezwał - powiedział Judd. - Chelsea Kane przyjechała tu w dobrej wierze. Zawarła formalną umowę i wywiązuje się ze swoich zobowiązań. Ale ktoś próbuje jej zrobić krzywdę albo wystraszyć ją z miasta. Chcę wiedzieć kto.

- On mówi o pożarze - oznajmił George. Oliver prychnął. - Ja nic nie wiem o pożarze.

- A o ciężarówce, która omal jej nie przejechała? - zapytał Judd, zwracając się do George'a i Emery'ego, bo już przedtem omówił to dokładnie z Oliverem. - A o telefonach, które ją prześladowają? Czy któryś z was czegoś o tym nie wie?

- A skąd, do diabła, mamy wiedzieć? - warknął z fotela Emery.
- Wszyscy chcecie, żeby stąd wyjechała. Może macie w tym swój udział?
- Oskarżasz nas? - zapytał George.

Judd był gotowy przyjąć wyzwanie. - Jeżeli bucik pasuje...

George prychnął i powiedział półgębkiem do Olivera:

- On się w niej kocha. A nie mówiłem? - Judda zapytał: - Czy to dziecko to twoje?
- Nie moje. Ale jest czyjeś. I nie chcę, żeby mu się cokolwiek stało.
- Skąd wiesz, że to nie twoje? - zawołał Emery.
- Bo zaszła w ciążę, zanim jeszcze tu przyjechała.
- Skąd wiesz?
- Bo jest w piątym miesiącu ciąży.
- Skąd wiesz?
- Bo mi powiedziała.
- I wierzysz jej na słowo?
- Tak, do cholery - powiedział Judd. - Jeszcze nigdy jej słowo nie okazało się fałszywe. Zawsze mówi prawdę. - Niekoniecznie całą prawdę. Judd wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale nie kłamała, nigdy nie kłamała.
- Kocha się w niej, mówię wam - wymamrotał znów George. - Pewnie go boli, że to nie jego dzieciak. Judd przejechał ręką po karku. Bolały go mięśnie, niewątpliwie z powodu rany w barku, a poranne napięcie nie przyczyniało się do łagodzenia bólu. „Pewnie go boli, że to nie jego dzieciak.” Miał cholernie dużo racji, bo była to ostatnia myśl, z którą wczoraj zasypiał, i pierwsza, z którą dziś rano się zbudził, ale nie powie tego George'owi.
- Spójrzcie - powiedział znużonym głosem - wy trzej szczycicie się, że rządzą tym miastem. Kiepsko wykonujecie swoją robotę, jeżeli nie potraficie odnaleźć tego, kto próbuje ją skrzywdzić, i nie potraficie skończyć z tym.

- To należy do Nolana! - zawołał Emery. Istotnie należało, ale tylko do pewnego stopnia. - To wy jesteście radnymi. Wy tworzycie przepisy. Wy możecie wydać przepis, że nic jej się nie może stać. Oliver nachmurzony wpatrywał się w skwer. - Mówiłem jej, żeby nie kupowała tego domu. Mówiłem jej, że jest nawiedzony.
- Mówiłeś jej też, że powinien być ze szczętem spalony
- przypomniał mu Judd.
- Twierdzisz, że ja to zrobiłem?
- Twierdzę, że możesz wiedzieć, kto to zrobił.
- Jeżeli chcesz wiedzieć, kto to zrobił - wtrącił George
- idź i zapytaj Huntera Love. On się zna na podpalaniu. Judd nie był głupi. Kiedy tylko Gretchen przyniosła mu rano wiadomość, od razu sprawdził Huntera.
- Hunter wczoraj wieczorem był w szpitalu w Concord, dopóki nie skończyła się operacja Wendella.
- Kto to powiedział? - Hunter.
- I ty mu wierzysz? Prawda jest taka, że od dnia, kiedy go znaleziono wędrującego drogą, sprawia nam tylko kłopoty. Powinno się mu było pozwolić powędrować dalej, żeby minął Norwich Notch i przynosił kłopoty komu innemu, i tak by było, gdyby nie sprawa Olivera i Katie Love.
- Zamknij się, George. - Do diabła, Ollie - wyjęczał George - przecież wszyscy wiedzą.
- Zamknij się.
- To wcale nie o to chodzi! - wrzasnął Emery z fotela fryzjerskiego. - Problem nie polega na Katie Love i jej chłopaku. Problem polega na Chelsea Kane. Nie powinna była tu przyjeżdżać. Mówiliśmy to przez cały czas. Nie powinna była przyjeżdżać. Juddowi kończyła się cierpliwość. - Ale ona ratuje to przeklęte miasteczko!
- Ona nie ratuje miasteczka - spierał się George.
- Miasto jest solidne jak skała. Zawsze było i zawsze będzie.

- Wierzcie w to dalej - powiedział Judd - a pójdziecie na dno z całą resztą, jeżeli Chelsea Kane cokolwiek się stanie. - Ruszył w stronę drzwi. - I obiecuję to wam.

- Koniec - Matthew Farr powiedział Donnie w momencie, kiedy klienci wyszli ze sklepu. Trzasnął z całej siły szufladą kasy. - Nigdy więcej nie chcę cię z nią widzieć.

Donna zmarszczyła brwi w kierunku kobiety, która ledwie co wyszła, ale Matthew schwycił ją za podbródek i odwrócił szybko jej twarz. - Nie Mary Lee. Chelsea Kane. Nie było tu dziś rano ani jednej osoby, która o niej nie mówiła. Pożar w stodole? Kogo obchodzi pożar w stodole. Wiedziałaś, że ona jest w ciąży?

Donna rozważyła, czy nie skłamać, ale coś w środku jej nie pozwoliło. Chelsea była w stosunku do niej od początku dobra. Teraz były dobrymi przyjaciółkami. Winna jej było coś więcej niż tchórzeństwo przed Matthew.

- Wiedziałaś - syknął zjadliwie Matthew. - Ty dziwko! - Odepchnął jej twarz.

Potarła podbródek, pilnując się, żeby nie spuszczać z niego oka.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? - zapytał i pokazał kciukiem na klatkę piersiową. - Mam prawo wiedzieć. Wałęsa się po moim sklepie i spędza czas z moją żoną, i nikt mi nie mówi, że jest w ciąży? Mówią, że to nawet nie jest Judda. - Splunął. - Kurwa. Raz tylko na nią spojrzałem i wiedziałem, kto to taki. Mówię ci, wyczułem to z miejsca. Aleja na to nie poleciałem. Nie ja. Mnie nie można oszukać niewinnym spojrzeniem. Ty! Ona od razu cię omotała. Znalazła sobie naiwną. Kazała ci się wprowadzić na ten twój aerobik, a potem ze sobą biegać i omal nie zostałaś zabita. Dalej się jej trzymaj, a znów się to zdarzy. Ta kobieta nam wszystkim zagraża. Nie życzę sobie, żebyś się z nią jeszcze kiedyś spotkała.

Donna z całą pewnością miała się zamiar spotkać z Chelsea. Prawdę mówiąc, czekała tylko, aż będzie miała przerwę na kawę, żeby pobiec i upewnić się, że

u Chelsea wszystko w porządku. Pożar w stodole musiał ją przestraszyć, a jeszcze w dodatku tuż po tym wypadku w Kankamaug. Donna miała nadzieję, że Chelsea spędziła noc w domu Judda. Byłoby to dla niej dobre.

- Słyszysz mnie, Donna? - powiedział Matthew, na tyle przesadnie poruszając ustami, że przerodziło się to w obelgę. - Nie życzę sobie, żebyś się z nią znów spotykała.

- Ona jest moją przyjaciółką.

- Mów tak, żebym mógł cię zrozumieć.

- Ona jest moją przyjaciółką.

- Ona jest hańbą dla tego miasta. Odkąd do nas przyjechała, nic już nie jest tak jak było. A teraz jeszcze to. W ciąży. Na miłość boską, ona nawet nie jest mężatką.

- I co z tego? - zawołała Donna, a potem zatoczyła się, kiedy uderzył ją w twarz. Złapała się rogu kasy, odzyskała równowagę i zebrała odwagę, żeby stawić mu czoło. Ale on nagle spojrzał na drzwi i przywołał na twarz czarujący uśmiech.

- Dzień dobry, Ruth. Świetnie dzisiaj wyglądasz. - Odsunął Donnę na bok i poszedł naprzeciw klientce.

Donna ułożyła płasko dłonie na spódnicy, wyprostowała plecy i wzięła głęboki oddech, ale pozorne, zewnętrzne opanowanie ani trochę nie zmniejszyło zamętu, który miała w głowie. Nie wiedziała, dlaczego ją uderzył. I bez tego życie z nim było wystarczająco przykre. Nie wiedziała, dlaczego nie może wnieść przeciwko niemu oskarżenia. Nie wiedziała, dlaczego nie może się z nim rozwieść. Joshie wiedział, że między nimi nie jest w porządku. Podobnie zresztą, jak połowa miasteczka. Co z tego, że będą plotkować? Co z tego, że jej rodzice się zamartwią? Co z tego, że Matthew będzie rozgłaszał okrutne historie?

Bardzo chciała być niewidoczna przynajmniej przez minutę albo dwie, więc przebiegła wzdłuż przejścia między regałami do kantorku. Tam, bez świadomej intencji,

otworzyła dolną szufladę biurka, wyjęła mały rewolwer i przycisnęła go do piersi.

Mogła przecież powiedzieć, że to był wypadek, że Matthew uczył ją używania broni, a rewolwer sam wypalił i zabił go. Mogła powiedzieć, że wzięła go za złodzieja. Mogła nawet powiedzieć, że zrobiła to w samoobronie, a Nolan i Neil Summers zaświadczą, że wcześniej widzieli siniaki. To byłby interesujący proces. Farr contra Plum. Dałoby to z pewnością ludziom z Norwich Notch coś więcej do rozważania niż ciąża Chelsea Kane.

Usłyszała kroki i spojrzała przestraszona w momencie, kiedy Nolan wchodził tylnymi drzwiami. Na jej twarzy musiało się odbijać cierpienie, bo nagle znalazł się w środku i zamknął drzwi.

Dotknął jej policzka. - Czerwony. Uderzył cię, prawda?

Zastanawiała się, co jest w niektórych mężczyznach, że są wrażliwi i dobrzy, a inni są podli.

Zastanawiała się, dlaczego niektórzy są uczciwi, a inni bez przerwy kręcą, żeby osiągnąć swoje cele.

Zastanawiała się, dlaczego Nolan nie przyjechał do miasta kilka lat wcześniej, zanim wyszła za Matthew. Zastanawiała się, jak to jest budzić się i widzieć uśmiechniętą twarz, i być witaną pocałunkiem.

- Donna - powiedział, patrząc błagalnie. Wziął jej twarz w obie dłonie i trzymał delikatnie. - Dlaczego mu na to pozwalasz? Nie zasługujesz na coś takiego. - Delikatnie pocałował ją w czoło, a potem w czubek nosa. Kiedy odsunął się, na jego twarzy nadal było nieme błaganie. - Wcale nie musisz tego znosić. Mówiłem ci już przedtem, a teraz cię błagam. Mamy tutaj co najmniej dziesięć razy przemoc fizyczną. Ale nawet nie musimy tego robić. Gdybyś wystąpiła o rozwód, groźba, że powiesz o wszystkim publicznie, mogłaby go powstrzymać.

Potrząsnęła głową. Wcale nie.

- Moglibyśmy uzyskać nakaz sądowy - argumentował Nolan. - Nie miałby już wyboru. Musiałby się

trzymać z dala od ciebie i od Joshiego. - Spojrzał na jej ręce i dopiero teraz zauważył, co w nich ścisła.

- Skąd to masz?

Wskazała wzrokiem szufladę.

- Dobry Boże, chyba nie masz zamiaru tego użyć.

- Zabrał jej rewolwer i właśnie miał go włożyć do kieszeni, kiedy złapała go za ramię. - Należy do Matthew? Nie obchodzi mnie to. Nie widzę potrzeby, żeby tutaj był.

- Jeżeli zniknie, Matthew będzie wściekły - powiedziała, modląc się, by jej głos brzmiał na tyle cicho, żeby Matthew nie usłyszał. Nerwowo spojrzała na drzwi.

Nolan wsunął pistolet z powrotem do szuflady biurka i zamknął ją. Potem przyciągnął Donnę do siebie, trzymając jej ręce w swoich, przy piersi, tam, gdzie był rewolwer. - Obiecuj mi - powiedział. - Obiecuj mi, że nigdy go nie użyjesz, chyba że on pierwszy wyciągnie broń. Jeżeli zdarzy się cokolwiek innego, po prostu do mnie zadzwoń. Obiecujesz?

Nie chciała mu nic takiego obiecywać. Zdarzały się chwile, kiedy była przepełniona nienawiścią do tego stopnia, że jedynym rozwiązaniem wydawał się rewolwer. Było jeszcze inne, kiedy jej rozpacz była tak ogromna, że myślała o wymierzeniu go w siebie. Ale był Joshie. I Nolan. I nawet Chelsea. Chelsea nie odebrałaby sobie życia z rozpacz. Ona by walczyła.

Donna pracowała nad sobą. Pracowała z całych sił.

Nolan pocałował ją. Potarł kostkami palców o bok jej piersi; był to najbardziej intymny dotyk, na jaki do tej pory się odważył.

- Kocham cię - powiedział.

Wydała z siebie westchnienie, nie wiedząc, czy powstał przy tym jakiś dźwięk i nie dbała już o to. To było cudowne, tak się opierać o Nolana. Podobnie jak to, że pozwoliła mu się dotykać. Sprawił, że czuła się kompletna i godna pożądania, i tak bardzo kobieca. Ona go też kochała.

Uniósł lekko jej podbródek. Kiedy popatrzyła na jego usta, powiedział: - Któregoś dnia będziesz moja.

Nie

obchodzi mnie, jak długo będę musiał czekać. Ale będziesz moja. Obiecuję ci to, Donno.

Chciała w to uwierzyć, tak bardzo chciała.

- Będziesz - powtórzył i bardzo łagodnie odsunął ją od siebie.

Te słowa dodały jej sił, żeby zebrać się w garść i wrócić do sklepu.

Hunter Love mieszkał w zachodniej części miasta, za szpitalem, w dzielnicy przyległej do Cutters Corner.

Chelsea musiała przejeżdżać obok jego domu przez cztery kolejne wieczory, aż w końcu ujrzała znaki jego obecności. Wjechała na żuźlowy podjazd, zaparkowała obok kawasaki i podeszła do drzwi.

Minęła chwila, zanim odpowiedział na dzwonek i nawet wtedy kontrolował wyraz swojej twarzy.

- Cześć - powiedziała. - Jak leci?

Wyjrzał i zobaczył pathfindera, potem jeszcze dokładnie obejrzał podwórko, jakby się spodziewał, że ma eskortę. Kiedy uświadomił sobie, że jest sama, stał się jeszcze bardziej ostrożny. - Po co tu przyjechałaś?

- Chcę porozmawiać.

- O czym?

- Między innymi o pracy. Świetnie sobie radzisz w kamieniołomach, odkąd Judd został ranny.

Chciałam ci za to podziękować.

- On wie, że jesteś tutaj?

- Judd? Nie.

- Myślałem, że jesteś tam cały czas.

Potrząsnęła głową. - Nie ma ku temu żadnego powodu. Chyba już się czuje lepiej. - W gruncie rzeczy, od czasu wypadku wpadała do jego domu każdego dnia. Czasami spotykała się z Juddem, a czasami nie. - Nie jest w stanie robić teraz tego, co przedtem. Nie odzyskał jeszcze pełnej sprawności barku i przez jakiś czas tak będzie, ale, broń Boże, się do tego nie przyzna. - Spędziła więcej czasu niż powinna na stanowisku obserwacyjnym, patrząc jak kieruje z góry ludźmi. - Jeżeli widzi coś, co

wymaga zrobienia, usiłuje to zrobić. Nie widział zbyt wiele. Zawsze zdążyłeś go uprzedzić. Jestem ci za to wdzięczna.

Na Hunterze nie zrobiło to wrażenia. Wygiął kącik ust i przytrzymał ręką drzwi. Przyszło jej na myśl, że może nie jest sam.

Próbowała zerknąć obok niego, ale jego barczysta, ciemna sylwetka zasłaniała widok. - Czy tam ktoś jest?

- Nie.

- Mogę wejść?

- To nie byłoby rozsądne.

- Dlaczego?

- Ludzie zauważą, że twój samochód jest tutaj. Masz dostatecznie złą reputację beze mnie.

Chelsea nie obchodziła jej reputacja. Spojrzenie, którym go obdarzyła sekundę przedtem, zanim ominęła go wchodząc do domu, dokładnie mu to wyjaśniło. - Zamknij drzwi. Na zewnątrz jest zimno.

Usłyszała, jak drzwi zamykają się za nią, ale jej uwagę przykuł widok, który zobaczyła. - Rany - powiedziała - ale niespodzianka! - Z zewnątrz budynek wyglądał tak samo, jak wszystkie inne na tej ulicy, ale chociaż nie widziała wewnątrz tych innych, wątpiła, czy były podobne do tego, co zastała tutaj.

Tam, gdzie powinien być natłok małych pokojków wielkości chustki do nosa, była jedna otwarta przestrzeń, aż pod dach, z ceglanym kominkiem, który miło żarzył się pośrodku. - Sam to zrobiłeś? -

Wyczuwała jego robotę w wykończeniu ścian, belkach, skośnych deskach na podłodze.

- Tylko ja jestem dostatecznie zwariowany, żeby coś takiego zrobić.

- To nie jest zwariowane. To jest znakomite.

- Nie zrobiłem tego dlatego, że jest znakomite. Zrobiłem to dlatego, że byłem zamykany w ciasnych pomieszczeniach, kiedy byłem dzieckiem. Nie mogę znieść ograniczenia przestrzeni.

Spojrzała na niego. Podobnie jak poprzednim razem, była zaszokowana tym, co powiedział, jak i faktem, że

w ogóle to powiedział. Otworzył się przed nią. Nie rozumiała dlaczego, ani nie rozumiała dlaczego się z nim utożsamia. Ale tak było i prawdopodobnie to był powód, dla którego przyszła.

- Nie mogę też znieść, kiedy mnie ktoś dotyka

- ostrzegł ją - więc jeżeli jesteś tutaj dlatego, że Judd cię nie chce, a ty potrzebujesz kogoś, to zapomnij o tym. Nie jestem zainteresowany.

Rozzłościła się. - Daj spokój, Hunter. Nie po to tu przyszłam i dobrze o tym wiesz. Gdyby istniała między nami jakaś fascynacja erotyczna, to zrobilibyśmy z tym coś dużo wcześniej, ale niczego takiego nie ma. Z żadnej strony.

Nie zaprzeczył.

Rzuciła kurtkę na krzesło i dalej przypatrywała się pokojowi. Była tam minimalna ilość nowoczesnych mebli

- o ironio! - podobnych do tych, które zostawiła w Baltimore, lecz z polakierowanej na jasno sosny. W lewym tylnym rogu była kuchnia, a w prawym dominowało duże łóżko na podeście. Pozostała część była pusta, z wyjątkiem długiej kanapy - poduszki ułożone na prostej sosnowej ramie - i skomplikowanego systemu stereo. Słuchawki wisiały na poręczy kanapy, wydając nikłe dźwięki, co wyjaśniało, dlaczego początkowo nie słyszał jej dzwonka. System był najnowocześniejszy, a obok stała kolekcja kompaktów, składająca się głównie z klasyki. Chciałaby tu spędzić dzień, przesłuchując płyty. Znowu spojrzała na pokój. - Sam zrobiłeś wszystkie meble, prawda?

Trzymał dłonie wciśnięte pod pachy. - Dało mi to jakieś zajęcie.

- Są piękne. Masz wielki talent. Mógłbyś robić to zawodowo i jeszcze osiągnąć sukces. - Schyliła się, żeby dotknąć jednej z poduszek. - A kto to robił?

- Kobieta.

- Ktoś z Notch?

Po przerwie powiedział: - Mieszka około czterdziestu mil stąd. Poderwałem ją w barze, przespałem się z nią

i potem zobaczyłem jej robotę. Szyje lepiej niż się pieprzy.

- Może ona mówi to samo o tobie - powiedziała Chelsea i usiadła na kanapie. Skrzyżowała nogi, złożyła ręce na podołku i posłała mu uprzejmy uśmiech.

Wpatrzył się w nią, spojrzął za siebie z zaciekawieniem i znów na nią. - Czy mieliśmy umówione spotkanie? - Czy musimy się umawiać? Widziałeś, jak wymiotuję. Widziałeś, jak mdleję. Nie martw się. Nie urodzę dziecka na twojej kanapie. Chcę tylko porozmawiać.

- O stodołę? - Na początek, tak.

- Co to ma znaczyć, na początek? O czym jeszcze mamy rozmawiać?

- Zawsze oboje znajdowaliśmy jakiś temat.

- Tak, i zawsze jedno z nas odchodziło wściekłe.

- Ty. Dlatego tu przyjechałam. Nie możesz wyjść z własnego domu.

- Chcesz się założyć?

- Daj spokój, Hunter. Czuję się samotna. Chcę porozmawiać. Proszę, usiądź.

Spojrzał na słuchawki zwisające z poręczy kanapy. Po minucie podszedł do odbiornika stereo, wyłączył go, a potem poszedł do kuchni. Otworzył lodówkę.

- Chcesz piwo?

- Za cztery miesiące. Masz herbatę?

- Albo piwo, albo sok pomarańczowy.

- Poproszę sok pomarańczowy.

Przyniósł jej wysoką szklanke, potem wziął swoją butelkę za szyjkę, przykucnął przy kominku i pogrzebaczem przerzucił polana. - Nie podpaliłem twojej stodoły

- powiedział rzeczowym tonem. - Nadal uważam, że tam byłaby świetna pracownia.

Sprzeczali się o to podczas remontu Boulderbrook, ale Chelsea uparła się, żeby przeznaczyć na pracownię jedną z sypialni. Chciała móc pracować w środku nocy bez konieczności wychodzenia na zewnątrz. Hunter zaś miał zupełnie inną wizję. Teraz, słysząc jego komentarz, że był

zamykany w małych pomieszczeniach, rozumiała dlaczego.

- Jak sądzisz, kto to zrobił?

- Pojęcia nie mam - powiedział, dalej przekładając polana.

- Czy możliwe, że pożar powstał bez udziału człowieka?

- Tylko gdyby było gorąco jak w piekle i sucho jak na Saharze, a takie warunki tu się nie zdarzają, ale nawet wtedy trzeba by było uderzenia błyskawicy, żeby powstał pożar.

Chelsea westchnęła. Judd powiedział mniej więcej to samo. - Nolan tam był, szukając śladów umyślnego podpalenia, ale nic nie znalazł.

Hunter ułożył już tłące się polana, sięgnął po świeże do stojącego obok koszyka i zręcznie ułożył je na wierzchu. - Wystarczy trochę benzyny i zapalka. Stodoła wtedy zapali się jak hubka. - Wokół polana, które położył w kominku, natychmiast pojawił się dym.

- Ludzie w mieście uważają, że ty to zrobiłeś.

- To możliwe.

- Z powodu innych pożarów?

Spuścił głowę. Nie widziała, co robi. Potem wstał, wypił łyk piwa z butelki i położył rękę na biodrze. Wpatrywał się w tańczące płomienie w kominku. Cicho, nie odwracając się, powiedział: - Nie z tego powodu. Nie miałem nic wspólnego z innymi pożarami. Ale kiedyś coś podpaliłem. To było dawno temu. - Nadal wpatrywał się w płonące polana, dopóki jedno z nich głośno nie trzasnęło i nie posypał się z niego rój iskier. Potem opadł na fotel po przeciwnej stronie kanapy, wypił jeszcze jeden łyk i popatrzył prosto na Chelsea.

- Miałem wtedy dziewięć lat i dręczyły mnie koszmary senne. Pomyślałem, że jeżeli to spalę, to się skończą.

Przełknęła ślinę. - Spalisz co?

- Szopę, gdzie się urodziłem. - Jego wzrok nadal był skierowany na nią, ale teraz stał się odległy. -

Spędziłem tam pierwszych pięć lat życia. Kiedy wychodziła, zamy-

kała mnie w komórce. Mówiła mi, że jeżeli będę cicho, to potwory mnie nie dostaną, ale jeżeli zacznę hałasować, zanim wróci i otworzy drzwi, to zjedzą mnie żywcem.

- Mój Boże! - zawołała Chelsea. Pamiętała, że kiedyś przestraszyła się filmu rysunkowego i bała się, że jakiś olbrzym ją zje, ale była Abby, która czuwała przy niej, dopóki nie usnęła. - Dlaczego to robiła?

- Chciała mieć pewność, że jeżeli ktoś przyjdzie w czasie jej nieobecności, nie odezwę się słowem. Byłem tajemnicą. Nikt nie wiedział o moim istnieniu. Chciała, żeby tak było.

- Ale dlaczego?

- Żeby mnie jej nie odebrali. Byłem wszystkim, co miała. Byłem całym jej światem. Poza tym, była dumna, że udało jej się oszukać miasteczko. Wszyscy sądzili, że oddała mnie przy urodzeniu. Więc ona go zamykała. Chelsea sama nie byłaby w stanie sobie wyobrazić czegoś równie ohydneho. Na jej twarzy musiało być widoczne przerażenie, bo Hunter szybko powiedział: - Nie czułem do niej nienawiści. Nie zrozum mnie źle. Nigdy mnie nie uderzyła. Nigdy na mnie nie krzyczała. W tym bardzo ograniczonym świecie dawała mi, co tylko mogła. Gotowała mi jedzenie i szyła ubranie. Przynosiła do domu książki z biblioteki i nauczyła mnie czytać. Kupowała mi ciastka w piekarni. Kupiła puchaty materiał w sklepie i uszyła mi z niego kurtkę. Tylko nie pozwoliła mi nigdzie w niej pójść.

- Czy chciałeś gdzieś pójść? - zapytała Chelsea, bo brała pod uwagę, że może nie wiedział o otaczającym go świecie i za nim nie tęsknił.

- Nieustannie chciałem. Książki opowiadały o tym, jak dzieci bawią się z dziećmi. Chciałem być taki jak one. Chciałem zobaczyć mężczyznę. Chciałem nawet chodzić do szkoły. Prosiłem ją o to przez cały czas. Błagałem ją. W odpowiedzi próbowała robić dla mnie jeszcze więcej - być towarzyszem zabaw, ojcem, nauczycielką. - Wciągnął głęboko powietrze. Zacisnął usta. Oczy miał pełne powracającego cierpienia, aż napięcie przebrało miarę

i zaczął wyrzucać z siebie słowa. - Przez cały czas mnie przytulała i mówiła mi, że wszystko będzie dobrze i że będę szczęśliwy i że nigdy mnie nie opuści, a ja miałem ochotę wyskoczyć ze skóry. - Wziął jeszcze jeden głęboki oddech, jak gdyby usiłował odseparować się od przeszłości, ale nie był w stanie. - Czasami uciekałem.

- Dokąd chodziłeś? - zapytała łagodnie Chelsea. Spojrzał na swoje dłonie, potem na butelkę piwa, a potem na nią. - Do Boulderbrook.

- Do domu na farmie? - zapytała zdziwiona.

- Był opuszczony. Bawiłem się tam.

- Czy wtedy po raz pierwszy usłyszałeś głosy?

- To byli moi przyjaciele.

Chelsea wstrzymała oddech. Jego przyjaciele. Jego wyimaginowani przyjaciele. Chciało jej się płakać. Hunter w zadumie wpatrywał się w ogień. - Kiedy mnie tam znajdowała, była wściekła. Zamykała mnie wtedy w komórce i zostawiała na długo. Byłem przerażony.

- Och, Hunter. - Z trudem powstrzymywała się, żeby do niego nie podejść.

Obrócił się do niej. - Nie chcę twojej litości. Nie po to ci to mówię. Chcę tylko, żebyś zrozumiała, dlaczego podpaliłem tę szopę. Ona symbolizowała wszystko, co złego zrobiła mi moja matka.

Myślałem, że jeżeli przestanie istnieć, moja przeszłość też przestanie istnieć, a ja stanę się taki jak wszyscy.

Wtedy uderzyło Chelsea, że oprócz czystych, prostych form mebli, w tym pomieszczeniu nie było niczego osobistego. Nie było żadnych fotografii, żadnych pamiątek. Zastanawiała się, czy też je spalił, czy po prostu nigdy ich nie było.

- Czy to było twoje największe marzenie - być taki jak wszyscy?

- Przez jakiś czas. Dlatego, że czułem się tak odmienny od innych. Kiedy byłem nastolatkiem, to nie miało już znaczenia. Chciałem mieć własną osobowość, więc wybrałem własną drogę. - Cichym głosem dodał: - Ta szopa, którą spaliłem, była na terenie Boulderbrook.

- Na terenie Boulderbrook? Myślałam, że Katie Love mieszkała w Cutters Corner.
 - Kiedy jeszcze była z mężem, tak. A potem on wyjechał do miasta w poszukiwaniu łatwiejszego życia.
 - Dlaczego nie wyjechała z nim?
 - Nie lubiła go.
 - Powiedziała ci o tym? - Co małe dziecko mogło zrozumieć z problemów serca, nie mówiąc już o problemach ciała.
 - Nie mówiła mi. Chodziła po szopie tam i z powrotem, majacząc i wygłaszając tyrady do nie wiadomo kogo. Dopiero po latach zrozumiałem, o czym wtedy mówiła.
- Pogrążył się w milczeniu. Odstawił piwo, podszedł do kominka i znów przerzucił polana. Kiedy skończył, usiadł na podłodze odwrócony do niej tyłem. - Wtedy zapragnęła wydostać się z Corner. Była inna od tamtejszych kobiet. Chciała coś osiągnąć w świecie. Była kołdrzarką.
- Margaret mi o tym mówiła.
- Rozprostował jedno ramię. Kiedy skończył, jego całe plecy wydawały się bardziej sztywne. - Czy Margaret ci powiedziała, co jej zrobiły?
- Niewiele.
 - Dobrze, więc ja ci powiem więcej - powiedział i odwrócił się na tyle, żeby móc widzieć Chelsea. - Moja matka była artystką. Była naprawdę utalentowana. Utrzymywała nas, robiąc szyldy dla miejscowych sklepikarzy, ale nie w tym była najlepsza. Miała instynktowne wyczucie kolorów i wzorów, w o wiele większym stopniu niż jakakolwiek inna kobieta w mieście. Nauczyła się robić kołdry, kupując je i prując na kawałki. Chodziła do sklepu fabrycznego w mieście, kupowała za grosze resztki i z nich robiła przepiękne rzeczy. Miejskowe panie uznały, że może się im przydać, więc poprosiły ją, żeby się do nich przyłączyła. Wykorzystywały jej projekty do wykonywania najlepszych kołder, jakie kiedykolwiek zrobiły. Ona nie całkiem była jedną z nich, ale pozwalały jej tak uważać. Więc kiedy jej

mąż odszedł, wyprowadziła się z Corner. Nie miała zbyt wiele pieniędzy, ale szopa była tania i co więcej, była na terenie Boulderbrook. Wydawało jej się, że to jest prawie tak samo, jak mieszkać na farmie. Podniósł się na równe nogi, podszedł do okna, oparł łokieć o framugę i stał tak przez chwilę, a potem wrócił przed kominek i wpatrywał się w płomienie. - Kiedy zaszła w ciążę, paniusie wpadły w szał. Obwinały swoich mężów. Obwinały swoich braci. Obwinały przejezdnych komiwojażerów. Ale Katie Love nie mówiła, kto jest ojcem, więc w końcu zaczęły obwinać ją. - Znów podszedł do okna i wpatrywał się w ciemność. - Stała się pariaską. Wyproszono ją z herbatek, wyproszono ją z lunchów w bibliotece, wyproszono z Cechu Kołdrzarek. Nie sprzedawano jej placka orzechowego na kiermaszach kościelnych. Nie odzywano się do niej. Spaliła za sobą mosty w Corner, a w mieście była traktowana jak trędowata, więc cały czas spędzała sama. Popadła w szaleństwo. Oto, co jej zrobiły. Chelsea nie mogła już trzymać się na odległość. Wstała z kanapy i podeszła do niego. Nie dotknęła go, tylko stała blisko. - One nie miały racji.

- To, czy ktoś ma rację, czy nie, w tym mieście nie ma znaczenia - powiedział z charakterystyczną dla siebie goryczą. - Tu robią, co chcą. Dlatego jeszcze raz przemyśl, czy chcesz tutaj urodzić dziecko.

Zatrują ci życie. - Nie pozwolę im na to.

- Mówię ci, tak zrobią.

- Będę walczyć.

Zerknął na nią przez ramię. - A dlaczego miałabyś zadawać sobie tyle trudu? Możesz żyć gdzie indziej. Twoja rodzina jest gdzie indziej.

- Ale tu mi się podoba. Chcę tu urodzić dziecko.

- Jesteś taką samą wariatką jak ona - zakpił i odszedł od niej. Podniósł butelkę piwa z podłogi i przyłożył ją do ust. Przechylił ją i pociągnął raz, drugi, trzeci.

- Myślisz, że to był Oliver?

Nie udawał, że nie wie o co jej chodzi. - Tak, myślę, że to był Oliver. Myślę, że tak sądzi większość ludzi z mias-

ta. To musiał być ktoś potężny. W innym wypadku, dlaczego miałoby ich to obchodzić? - Obrócił się do niej z irytacją na twarzy. - Kupił mi ten dom. Dał mi go, kiedy zrobiłem dyplom na uniwersytecie, na który on mnie wysłał. Dlaczego robiłby coś takiego, gdyby nie był moim ojcem?

Chelsea chciałaby uwierzyć, że był tak miłosiernym człowiekiem, przy czym uparcie obstawała Margaret, ale w głębi duszy nie była ani trochę o tym przekonana. Nie sądziła też, żeby sama Margaret wierzyła w to w głębi duszy. W jej słowach było zbyt dużo jadu.

Hunter odrzucił głowę w tył i przypatrywał się więźbie dachowej, a potem odwrócił się do Chelsea. - Chcę, żeby przyznał, że jest moim ojcem. Czy to zbyt wiele? Ale on tego nie zrobi. Jest dumny ze swojej pozycji w mieście. I jest jeszcze jego rodzina. Protestowałiby wniebogłosy. Wszyscy z wyjątkiem Donny. Myślę, że Donna o tym wie.

- Nigdy mi nic nie mówiła.

- Z powodu Margaret. To ona jest najsłabsza z rodziny.

- Margaret? Słaba?

- Przeszła załamanie nerwowe, kiedy Donna straciła słuch. Od tej pory Oliver nie zrobi nic, co mogłoby jej sprawić przykrość. Powiedzenie światu, że jestem jego synem, sprawiłoby jej przykrość.

- Dlaczego musi mówić światu? Dlaczego nie może tego powiedzieć po prostu tobie?

- Sama go o to zapytaj. A kiedy tam będziesz, zapytaj go, dlaczego zrobił to, co zrobił mojej matce.

Był jej winien o wiele więcej niż dał. Tkwią tu niczym cień w jego boku, żeby mu o tym przypominać.

- Ale jak możesz żyć z takim gniewem?

- Żyłem z nim tak długo, że teraz powstaje pytanie, czy potrafię żyć bez niego.

- To smutne, Hunter - powiedziała Chelsea.

- Wcale nie smutne. Radzę sobie dobrze. Moje życie nie było wyłącznie tragiczne. Było trochę jasnych stron, kiedy byłem mały.

- Na przykład?

Podrzucał w dłoni pustą butelkę po piwie. Po minucie wszedł do kuchni, wstawił butelkę do zlewu, a Chelsea przez cały czas na niego patrzyła, usiłując zgadnąć, co miał na myśli. Podeszedł do skrzyni u stóp łóżka. Była z takiej samej lakierowanej sosny i miała równie proste linie jak reszta mebli. Podniósł wieko, przerzucił jakieś rzeczy w środku i wyciągnął niewielki pakuneczek. Przyniósł go Chelsea.

- Mówiłem ci, że była utalentowana. Bawiliśmy się w taką grę, wymyślaliśmy nasze własne historie. Robiła szkice budynków w mieście, najpierw kościoła, potem poczty, potem biblioteki, potem domu towarowego. Potem wymyślaliśmy ludzi - głównie dzieci - i wymyślaliśmy ich różne przygody.

Podał jej pakunek. Była to kolekcja rysunków, związana cienką niebieską wstążeczką, która mogła pochodzić z jednej z kołder Katie Love. Chelsea wzięła paczkę w rękę. Popatrzyła na Huntera.

- Czy jesteś pewien, że chcesz, żebym je obejrzała? - Wydawały jej się ogromnie osobiste, szczególnie po tym, co jej powiedział, bo prawdopodobnie były jedną z bardzo niewielu materialnych pamiątek, które posiadał.

- Była dobra. Chcę, żebyś je obejrzała - powiedział, ale Chelsea w tym momencie zrozumiała coś innego. Hunter kochał swoją matkę. Mimo krzywdy, którą mu wyrządziła, mimo wszystkich krzywd, których potem doznał od miasta z jej powodu, Hunter był dumny z jej prac.

Wzięła ze sobą pakunek i usiadła na kanapie, położyła go na kolanach i starannie odwiązała wstążeczkę. Była gotowa wydawać okrzyki zachwytu bez względu na to, co zobaczy. Chciała coś ofiarować Hunterowi. Ponieważ nie pozwoliłby, żeby go przytuliła, musiał wystarczyć zachwyt dla prac jego matki.

Nie była przygotowana na widok niezwykle delikatnych rysunków, wykonanych w różnych odcieniach tu-

szu i w dodatku - Chelsea była gotowa przysiąc, że tak - gęsim piórem. Nie była przygotowana na migawki z Norwich Notch, ale właśnie to narysowała Katie z niezwykłą wprost dokładnością. Każdy rysunek był na osobnej kartce białego papieru wielkości kartki pocztowej, każdy przedstawiał pojedynczy budynek i każdy był wykonany tylko jednym kolorem tuszu. Szczegółowość tych prac była zadziwiająca. W oknach biblioteki było szesnaście maleńkich szklanych tafli, na podeście dla orkiestry na skwerze były rzeźbione w drewnie esy-floresy, a na płytach nagrobkowych na cmentarzu przed kościołem były widoczne inicjały. Najbardziej niezwykle było jednak przesłanie tych rysunków. Mimo tego, co Norwich Notch uczyniło Katie, miasteczko było jej domem.

Chelsea przeglądała wolno rysunki, ciesząc oczy każdym z nich z osobna, zanim przeszła do następnego. Przejrzała je ponownie, szukając szczegółów, które za pierwszym razem mogły jej umknąć i czuła, jak ogarnia ją wzruszenie. Nie wiedziała, skąd się wzięło, czy było to piękno rysunków, czy związana z nimi historia, czy po prostu fakt, że Hunter jej je pokazał, ale kiedy skończyła, była w łzawym nastroju.

Trzymając plik na kolanach, spojrzała na niego. - Są przepiękne - powiedziała. - To prawdziwy skarb. Wyciągnął po nie rękę. Starannie zawiązała wstążeczkę, ale nie oddała mu ich natychmiast. Dotknęła ich lekko, rysunku na wierzchu, na spodzie, wstążeczki. W końcu, czując się, jakby istotnie wypuszczała z rąk skarb, przekazała mu je.

O dziwo, nadal miała w oczach łzy. Wytarła dolną powiekę, ale natychmiast na miejsce otartych łez pojawiły się nowe.

Hunter włożył rysunki z powrotem do skrzyni i stał po przeciwnej stronie kanapy.

- One nie miały cię zasmucić.

- Wiem. - Podeszła do krzesła, gdzie zostawiła kurtkę, i wyjęła z kieszeni chusteczkę. - Nie przejmuj się mną.

Zaraz dojdę do siebie. - Otarła oczy. - Już pójdę. - Włożyła kurtkę. Przypomniała sobie o soku pomarańczowym, którego prawie nie tknęła, podniosła szklanke i ruszyła w kierunku kuchni. Podszedł do niej w połowie drogi i wziął od niej szklanke. Unikała jego wzroku i ruszyła w kierunku drzwi.

Kiedy trzymała już rękę na klamce, zawołał ostrym tonem: - Czego ty, u diabła, chcesz? Nie odwróciła się. - Co masz na myśli?

- Ze mną. Ode mnie, czego chcesz? Zatrzymała się. - Przyjaźni.

- Ale dlaczego ode mnie?

Wtedy odwróciła się. - Bo cię lubię. Jesteś tak samo zagubiony i samotny, jak ja się czuję przez większość czasu.

- Ty? Zagubiona i samotna?

- Urodziłam się tutaj, Hunter, trzydzieści siedem lat temu, w marcu. Nie mam innych informacji oprócz tego. Nie wiem, kim są moi biologiczni rodzice i czy mam siostry i braci. Wiem tylko, że ktoś tutaj mnie nie chciał. - Wzdrygnęła się. - Tak że istotnie często czuję się zagubiona i samotna. Dziś wieczorem był jeden z tych razów.

Robił wrażenie oszołomionego tą informacją.

Tym razem otarła oczy rękawem kurtki. Pociągając nosem, powiedziała: - W każdym razie, zawsze identyfikowałam się z odmieńcami, a ty nim jesteś. Lubię cię, Hunter. Gdybyś był inny, objęłabym cię i pocałowała na „do widzenia”. W policzek. Platonicznie. - Przerwała. Z odrobiną nadziei dodała: - Może innym razem?

Kiedy nie odpowiadał, tylko stał patrząc na nią ogłupiały, smutno pomachała mu ręką i wyszła.

Następnego dnia w kamieniołomach Chelsea poszukiwała Huntera, żeby się upewnić, że jej wizyta nie sprawiła mu zbyt przykrości, ale kiedy przyjechała do Moss Ridge, nie było go tam, ani w Kankamaug, ani w Has-

kins Peak. Żaden z mężczyzn go nie widział. Nikt też nie wydawał się tym specjalnie przejęty. Wyraźnie Hunter miał zwyczaj znikać od czasu do czasu. Chelsea jednak martwiło, że zniknął w związku z czymś, co powiedziała albo zrobiła.

Tym razem przejeżdżała obok jego domu przez trzy kolejne wieczory, zanim zauważyła kawasaki na podjeździe. Zatrzymała się na dostatecznie długi czas, żeby zobaczyć, jak chodzi po pokoju - żywy i w najwyraźniej dobrym stanie. Rozważała, czy nie zapukać do drzwi, ale w końcu, szanując jego prawo do prywatności, wrzuciła bieg i pojechała do domu.

ROZDZIAŁ 19

Pierwsza popołudniowa herbatka tego sezonu, jak zwykle w środę, wypadła tydzień po tym, jak Norwich Notch dowiedziało się, że Chelsea jest w ciąży, a ona za nic nie darowałaby sobie obecności na niej. Zamierzała zrobić tak, jak mówiła Hunterowi. Nie pozwoli się wykluczyć poza nawias jak Katie Love. Gdyby ktokolwiek usiłował tak z nią postąpić, będzie walczyć.

Po raz pierwszy miała na sobie ciążowe ubranie - eleganckie spodnie, które można było poszerzać w pasie i długi sweter - i musiała przyznać, że z wyjątkiem lekko wystającego brzuszka wyglądała tak jak zawsze. Chociaż równie dobrze mogłaby nosić piętno na czole, bo kiedy tylko przekroczyła drzwi biblioteki, wszystkie panie przerwały swoje pogaduszki i wpatrzyły się w nią.

- Dzień dobry - powiedziała z promiennym uśmiechem. Z dwudziestu siedmiu twarzy w pokoju, rozpoznawała prawie wszystkie, co było świadectwem tego, jak

bardzo już się tu zadomowiła. Fakt, że nikt do niej nie podszedł, był również świadectwem tego, ile musiała jeszcze zrobić, żeby naprawdę się tu zadomowić. - Słyszałam o tych herbatkach od czerwca - powiedziała.

- To coś szczególnego. - Nadal uśmiechnięta, przeszła w kierunku stołu, na którym stał pięknie ułożony duży srebrny serwis do herbaty. - Jak się masz, Maido?

- zapytała. Maida Bali była najstarszą kobietą z rodu księgowych Ballów. Właśnie nalewała herbatę, razem z żoną agenta nieruchomości i matką prawnika, Stellą Whip.

Maida skinęła ponuro głową. - Dobrze.

- Stello, słyszałam, że twój wnuk właśnie dostał się do Princeton. Studiowałam tam architekturę. Na pewno mu się tam spodoba.

- Jego ojciec tam studiował - powiedziała Stella lakonicznie.

- Aha. Przekaż mu, że życzę mu wiele szczęścia.

- Chelsea minęła srebrne tace, gdzie były ułożone kanapki. - Masz śliczną bluzkę, Nancy - powiedziała do stojącej tam bibliotekarki. - Kupiłaś ją w Bostonie?

- Kilka tygodni temu, kiedy Chelsea wpadła do biblioteki szukając książek na temat ptaków i karmników dla ptaków, Nancy długo opowiadała o nadchodzącym kongresie bibliotekarzy w tym mieście. - To L.L.Bean - powiedziała teraz.

- Och. Jest bardzo interesująca. I jest ci bardzo do twarzy w różowym. - Kiedy Nancy nie przejawiała ochoty do dalszej rozmowy, Chelsea odezwała się do jej towarzyszk: - Miło mi panią widzieć, pani Willis. Nadal słyszę pochwały dla pani od ludzi, którzy byli tu w zeszłym miesiącu na dniu otwartym. Byli zachwyceni gospodą. Czy wszystko dalej idzie dobrze? - Tak.

- Ma pani teraz mniej gości?

- Ani trochę.

- O! Jakim sposobem?

- Zwiedzający.

- Rozumiem. - Chelsea zapomniała. Teraz sezon na zbieranie jesiennych liści osiągnął szczyt i co chwila w mieście pojawiał się autobus z turystami. - To świetnie dla interesów. - Przerwała, uśmiechnęła się i powiedziała: - Do zobaczenia wkrótce - i podeszła do następnej grupy kobiet. Składała się z Margaret Plum, Lucy Farr i synowej Lucy, Joanie. - Jak się czuje Oliver, Margaret? - zapytała. Nie przyszedł do kamieniołomów. Wieść niosła, że ma gripę. Z niewinną miną i takim samym głosem Margaret powiedziała: - Czuje się już lepiej. Jutro przyjdzie do biura. Wiesz, naprawdę nie powinnaś tu przychodzić, Chelsea. Chelsea nie spodziewała się tak szybkiego i bezceremonialnego postawienia sprawy. - Myślałam, że herbatki są otwarte.

- Owszem. Ale w twoim stanie odrobina rozwagi byłaby na miejscu. - Cmoknęła. - A Judd nawet nie jest ojcem. Wiesz, kto nim jest?

- Oczywiście, że tak. To ktoś w moim mieście.

- Masz zamiar za niego wyjść? - zapytała Lucy.

- On jest już żonaty - powiedziała Chelsea, zanim zorientowała się, że stwarza zupełnie błędne wrażenie. Otworzyła usta, żeby to wyjaśnić, ale potem, podpuszczona przez złośliwy głos, który rozległ się w jej głowie, nie odezwała się.

Lucy wyglądała na zakłopotaną. Joanie wyglądała na znudzoną. Tym razem Margaret powiedziała mniej niewinnie: - Tu nie lubimy takich rzeczy.

- Moja ciąża - Chelsea znów skorzystała z podpowiedzi złośliwego głosu, żeby na głos wypowiedzieć to słowo - nie powinna was w ogóle dotyczyć.

- Ale tak nie jest. Kiedy twoje nazwisko jest kojarzone z Norwich Notch, to, co robisz, dotyczy każdego mieszkańca.

- Margaret - Chelsea usiłowała słabo zaprotestować. Wzrok Margaret powędrował w dal. - Ojej, jest już Rachel, wróciła od lekarza. - Podniosła rękę, żeby do

niej pomachać i przypadkowo strąciła filiżankę Chelsea. Jej zawartość wylała się ze spodeczka na podłogę, zanim Chelsea zdołała ją pochwycić.

Margaret zaczęła przeproszać. - O mój Boże, przepraszam, nie chciałam tego zrobić. Lucy, podaj proszę serwetki. Joan, zostań tutaj i porozmawiaj z Chelsea, kiedy ja będę to sprzątać. - Wyjęła z ręki Chelsea filiżankę i spodeczek, zanim ta zorientowała się, co ma zamiar zrobić.

- Nie, nie, ja...

- Zaraz wrócę - powiedziała Margaret i oddaliła się. Kiedy Joanie została z Chelsea sama, nie bawiła się w konwenanse. - Jesteś na językach całego miasta.

Chelsea wzruszyła ramionami. Nigdy nie wiedziała, co ma sądzić o Joanie Farr. Ciemnowłosa i elegancka na miarę Norwich Notch, miała w sobie jakąś zalotność, co sprawiało, że podobała się wszystkim mężczyznom, ale to zupełnie nie przeszkadzało Chelsea. Przeszkadzała jej natomiast jakaś nieprzejrzystość Joanie. Chelsea zupełnie nie potrafiła określić jej charakteru. Była atrakcyjną fasadą, która kryła nie wiadomo co.

- Planowałaś tę ciążę? - zapytała ironicznie tonem, który mówił wszystko. Jej dezaprobata była aż nadto widoczna. Chelsea westchnęła. - To nie takie proste - a poza tym to nie sprawa Joanie, pomyślała. - Naprawdę, ogromnie się cieszę z dziecka.

- Nie spodziewaj się tu pomocy.

- Nie będę jej zbyt wiele potrzebować.

- Możesz, później. Zimy są tu długie. Można się poczuć odizolowanym. Lepiej by ci było w Baltimore.

W tym momencie pojawiła się Lucy z rolką papierowych ręczników. - Pozwól mi to zrobić - powiedziała Chelsea, ale starsza pani w okamgnieniu wytarła kałużę.

- Już gotowe - powiedziała i zniknęła.

Joanie podjęła rozmowę tam, gdzie ją przerwała. - Donnie też byłoby lepiej, gdybyś była w Baltimore. Przyczyniasz się do konfliktów pomiędzy nią a Matthew.

- Ja?
 - Zaczyna mu pyskować. Nigdy przedtem tego nie robiła.
 - Może ma powód.
 - Nie jest nim Matthew. Matthew jest cudowny. Chelsea zastanawiała się, czy mówią o tym samym mężczyźnie.
 - Trzymaj się od nich z daleka - ostrzegła Joanie.
 - Ma z nią już dostatecznie dużo kłopotów i więcej ich nie potrzebuje.
- Chelsea właśnie miała się zapytać, jakież to kłopoty mogła sprawiać łagodna, o dobrym sercu Donna, kiedy pojawiła się Margaret z filiżanką świeżej herbaty. - Proszę - powiedziała. Wręczyła Chelsea filiżankę i wzięła Joanie pod rękę. - Rachel czegoś od nas chce.
- Chelsea patrzyła, jak odchodzą, a potem odwróciła się, żeby spojrzeć na pozostałe kobiety. Stały w małych grupkach, w pełni świadome jej obecności, ale rozmawiające o własnych sprawach. Sączyła herbatę. Zastanawiała się, kiedy pojawi się Donna. Robiła wszystko, żeby w tej idiotycznej sytuacji sprawiać wrażenie rozluźnionej.
- Zastanawiała się właśnie, do której z grup powinna podejść, kiedy zbliżyła się do niej kobieta w mniej więcej jej wieku. Miała na sobie mundurek Notch dla kobiet
- prostą wełnianą spódnicę i bluzkę - i taki sam niewinny wyraz twarzy jak Margaret. Chelsea przygotowała się na następny atak.
 - Jestem Sandra Morgan - powiedziała kobieta tonem, który oznajmiał, że nie ma zamiaru jej atakować. Miała cichy głos. Jakby nieśmiały. - Mój mąż kieruje wydziałem kredytów w banku. Moja siostra jest żoną Wendella Hoveya. Byłaś dla nich bardzo miła. Chciałam ci za to podziękować.
- Uśmiech Chelsea przestał już być tak napięty. - Nie ma za co dziękować. Było mi bardzo przykro z powodu tego wypadku. Bardzo się cieszę, że Wendell nie stracił nogi.

- Caroline jest twoją największą wielbicielką. Chelsea już to wyczuła podczas kolejnych wizyt. - Jest uroczą dziewczynką. Z początku była taka przerażona. Chciałam ją wtedy wziąć do domu, ale to przestraszyłoby ją jeszcze bardziej.

- Chyba tak - powiedziała Sandra i spuściła oczy. Szeptem, który nie mógłby być usłyszany przez osoby wokół nich, powiedziała: - To grupa, która rządzi się własną sprawiedliwością.

Chelsea zachichotała. - Powiedz mi więcej.

Nadal wpatrując się w podłogę, Sandra powiedziała: - Nie jestem plotkarką. Ale to, co robią, nie jest w porządku. Żadna z nich nie jest doskonała. Stella Whip ma takiego fioła na punkcie porządku, że każe rodzinie chodzić po domu w butach owiniętych plastikowymi torebkami. Joanie Farr sypia z Matthew, kiedy tylko nadarzy się okazja. A Margaret... To Margaret Donna zawdzięcza swoją głuchotę. Założę się, że o tym nie wiedziałaś.

- Co? - wyszeptała Chelsea.

Sandra podniosła oczy. - Masz pełne prawo urodzić swoje dziecko. Chciałam ci powiedzieć, że jeżeli będziesz potrzebowała pomocy, zawsze możesz się do mnie zwrócić. Albo do mojego męża. On się zawsze cieszy, kiedy do naszego miasta wprowadzają się nowi ludzie. Podobnie jak wielu innych, ale nie mówią tego głośno.

- Dziękuję - wydusiła z siebie Chelsea. - Joanie i Matthew?

Sandra pokręciła głową. - Nie powinnam była ci tego mówić. To nie moja sprawa. - Spojrzała w innym kierunku. - O, jest Donna. Nie mów jej o tym. - Uśmiechnęła się. - Cześć, Donna...

Judd nie śledził ruchów Chelsea. To nie było jego sprawą. Zaszła w ciążę na własną rękę, potem przeprowadziła się do Norwich Notch na własną rękę, była kompetentną, niezależną, samowystarczalną kobietą. Nie potrzebowała go, a on nie miał zwyczaju tracić czasu

tam, gdzie nie był potrzebny. W jego życiu było wiele innych spraw, gdzie był niezbędny. Dlatego, kiedy Fern zadzwoniła do niego do Moss Ridge, żeby zapytać, czy ją widział, rozżłościł się.

- Nie

- warknął.

- Dziwne - powiedziała Fern. - Miała się zjawić na konferencję telefoniczną o wpół do jedenastej, a ona zawsze jest punktualna. Jest już wpół do dwunastej a jeszcze się nie pokazała. Nikt jej nie widział od wczorajszego popołudnia.

Judd też ją wtedy widział. Przed wieczorem wpadła do nich z szarlotką, lekko przypaloną na brzegach. Leo ogromnie smakowała. Nie pamiętał już, że brzegi nie powinny być przypalone.

Od tej pory Judd jej nie widział. - Dzwoniłaś do niej do domu?

- Nie odpowiada - powiedziała Fern.

- Zadzwonź do Donny. Sprawdź, czy była na aerobiku. - Nie mieściło mu się w głowie, że Chelsea nadal ćwiczy, ale ona twierdziła, że aerobik jest dobry dla jej serca i dla dziecka też.

- Nie było jej tam - powiedziała Donna. - Donna pomyślała, że może postanowiła nagle odwiedzić ojca, ale zapominanie o sprawach służbowych jest do niej niepodobne.

Judd zgodził się. Chelsea była wprost niesłychanie rzetelna. Przeciągnął ręką po włosach. - Wstąpię do niej, kiedy będę wracał do miasta.

Postanowił się nie spieszyć - nie był przecież, do diabła, jej stróżem - skończył, co miał do zrobienia w Moss Ridge, zatrzymał się na krótko w Peaquad Peak -jednym z nowych kamieniołomów, gdzie wydobywano pierwszorzędny zielony granit, najlepszy od lat w okolicy

- i dopiero wtedy pojechał do Boulderbrook. Ze zdziwieniem stwierdził, że pathfinder stoi przed domem. Nie wiedział, dlaczego Chelsea nie odpowiada na telefony.

Zapukał do drzwi. Kiedy nie usłyszał odpowiedzi, wyciągnął klucz, którego jej do tej pory nie zwrócił

i otworzył drzwi. - Chelsea? - Przeszedł przez^ salon do kuchni. Leżała tam jej torebka, otwarta, z widocznym portfelem i wszystkimi rzeczami, które z pewnością wzięłaby ze sobą, gdyby wyjechała. Poczłł lekki niepokój i wszedł po schodach na góre, do jej sypialni.

Na łózzku leżała nie tylko kołdra stanowiąca komplet z prześcieradłem, ale jeszcze jedna, dodatkowa, i stos nieporządnie ponarzucanych koców. Październikowe noce były chłodne, ale nie aż tak bardzo.

- Chelsea?

Stos poruszył się. Spod niego wy dostał się cichy dźwięk, a potem znów coś się pod nim poruszyło.

Podszedł do łózzka i zaczął po kolei zdejmować poszczególne warstwy. Kiedy odnalazł głowę, Chelsea miała już otwarte jedno oko.

- Judd - odezwała się zachrypniętym, nieswoim głosem. - Co ty tu robisz?

- Nie wiesz, która godzina? - zapytał szorstko. Nie chciał okazywać troski.

Wzdrygnęła się na dźwięk jego głosu, zamknęła oczy i podciągnęła kołdrę pod brodę.

- Jest już prawie wpół do pierwszej. Fern próbowała się do ciebie dodzwonić.

- Nie, wcale nie próbowała - wymamrotała.

- Dlaczego nie podnosiłaś słuchawki?

- Telefon nie dzwonił.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał rozdrażniony. Postępowała wbrew regułom. Reguły mówiły, że powinna wykonywać swoją pracę zgodnie z umową, być obecna tam gdzie powinna i urodzić dziecko nie prosząc nikogo o pomoc.

- Wpół do pierwszej? - jęknęła.

- Jesteś chora?

- Byłam przez całą noc. Zasnęłam dopiero o świcie. Odsunął na bok kołdrę, potem szopę włosów, tak, żeby móc zobaczyć jej twarz. Wyglądała bardzo blado. Nie widział jej takiej od samego początku, kiedy miała poranne mdłości. Oczywiście wtedy nie wiedział, że to

poranne mdłości, ani że jest w ciąży, ale były poranki, kiedy wyglądała jakby miała ciężką noc. Tak samo wyglądała teraz.

Zapytał łagodniej: - Co się stało?

Nadal nie otwierała oczu i leżała na boku, skulona pod kołdrami. - Nie wiem. Czułam się dobrze do dziewiątej, czy dziesiątej, a potem zaczęłam mieć kłopoty z żołądkiem. To było coś straszego. Nigdy w życiu nie byłam równie chora.

Dotknął jej skóry. Była dosyć chłodna i miękka niczym masło. - Gorączka?

- Już przeszła.

Jej włosy też były miękkie. Odsunął kosmyki z jej ucha. Miała śliczne uszy, delikatne. W jednym z nich zobaczył dwa maleńkie złote kółeczka. Też były delikatne. Podobnie jak jej koszula nocna.

Flanelowa, bez dekoltu, w deseń w małe kwiatki. Przedziwne, ale nie było w niej nic wyrafinowanego.

- Miałam też dreszcze - wyjaśniła.

Nie zastanawiając się, wsunął rękę pod kołdrę i dotknął jej ręki. Wydawała się dostatecznie ciepła.

Przesunął rękę na brzuch.

- Czy dziecko w porządku?

- Kopie jak wściekłe. Wydaje mi się, że też mu nie smakowało to, co zjadłam.

Cofnął dłoń, ale świadomość tego, co dotknął, nie mijała. Miała twarde brzuch. Mały, ale twarde.

Zdawał sobie sprawę, że wewnątrz jest dziecko, ale co innego wiedzieć, a co innego to poczuć.

Ostatnim razem, kiedy dotknął jej brzucha, odczuwał ból. Ból, który czuł tym razem, był zupełnie inny.

- Co jadłaś? - zapytał znów szorstko, bo był wściekły, że odczuwa ściskanie w podbrzuszu.

- Nic takiego - powiedziała takim samym zachrypniętym głosem. - Jabłka. Dużo jabłek. Może w którymś z nich był robak.

- Gdzie kupiłaś jabłka? - Niektórzy z miejscowych sadowników używali środków chemicznych. On nie

zachorował po zjedzeniu szarlotki, a zjadł o wiele więcej niż powinien. Leo też nie był chory. Ale jabłka na szarlotkę zostały obrane i uduszone. Jeżeli ona zjadła je na surowo, mogły jej zaszkodzić.

- Od rolnika Galante - powiedziała, czytając jego myśli. - On nie pryska, a poza tym i tak wszystkie najpierw umyłam. - Zakopła się znów w stosie kołder.

- Nie przyszedł na konferencję telefoniczną. - Pomyślał, że tylko to zdoła ją skłonić do wstania. Nie drgnęła. - Poczekają.

Zmartwiony wbrew sobie, stał obok jej łóżka przez jeszcze kilka minut i w tym czasie w ogóle się nie ruszyła. Potem wyszedł z pokoju, wszedł do kuchni i podniósł słuchawkę telefonu.

Nie było sygnału. Uderzył kilkakrotnie w widełki. Telefon nadal był głuchy. Wrócił do sypialni i podniósł słuchawkę tam. Też był głuchy.

- Telefony u ciebie nie działają - powiedział. Chelsea nie odpowiedziała.

Popatrzył na górę przykryć. Miała zamknięte oczy. Kołdra poruszała się rytmicznie - nieznacznie, ale się poruszała - w rytm jej oddechu. Stał przez chwilę i patrzył, zafascynowany blaskiem jej skóry.

Potem, zły na siebie z powodu idiotycznego zachowania, wyszedł z pokoju i z domu.

Szpital był oddalony o dziesięć minut jazdy samochodem. Poszedł prosto do gabinetu Neila, wyjaśnił, co przydarzyło się Chelsea, zadzwonił ze szpitala do urzędu telefonicznego i do Fern, a potem pojechał prosto do Boulderbrook.

Odkąd wyszedł, Chelsea nie poruszyła się nawet o milimetr. Znów wpatrywał się, jak oddycha, równie rytmicznie jak poprzednio. Opadł na fotel w nogach łóżka, wygodnie opierając bark, który znów zaczął boleć, i nie spuszczał z niej oka, dopóki nie usłyszał pukania do drzwi wejściowych.

- Długo ci to zabrało - mruknął, wpuszczając Neila do środka.

Neil zrzucił płaszcz. - Dwadzieścia minut. Uspokój się, Judd.

- Nie chcę mieć na sumieniu dwóch śmierci.

- Nie umrą. - Pokazał gestem. - Prowadź.

Na oko Judda, Chelsea dalej nie zmieniała pozycji. Neil odsunął kołdrę poniżej jej bioder, sięgnął po nadgarstek i zmierzył puls. - Śpi jak suseł - stwierdził.

- Jest chora.

- Widywałem ją w lepszym stanie, muszę ci to przyznać. - Otworzył torbę, wyjął stetoskop i przyłożył do jej pleców. - Tu wydaje się wszystko w porządku. - Położył rękę na brzuchu, zostawił przez chwilę, podniósł, znów położył i podniósł.

- Co czujesz? - zapytał Judd.

- Albo pół worka jabłek, albo dziecko.

Chelsea drgnęła. Zmieniła pozycję nóg i położyła rękę na dłoni Neila. A potem obudziła się przerażona.

- Neil - powiedziała z przestraszeniem. - Co tu robisz?

- Poszukała wzrokiem Judda. - Ty go tu wezwałeś? Ale już czuję się dobrze.

- Nosisz dziecko. Jeżeli cokolwiek mu się stanie, nie chcę go mieć na swoim sumieniu.

Neil wzniosł oczy do nieba. Zwrócił się do Chelsea:

- Opowiedz mi wszystko, co mówiłaś już Juddowi.

- Czuję się dobrze.

- Powiedz mu - nakazał Judd.

Kiedy był już pewien, że to zrobi, wyszedł z pokoju i stanął na ganku. Chłodne powietrze dobrze mu robiło. Kiedy tam stał, podjechała ciężarówka z biura napraw telefonicznych.

- Nie możemy zlokalizować niczego w centrali - powiedział monter. - Musimy sprawdzić tutaj.

Judd pokazał gestem, żeby się zabrał do roboty. Za chwilę Neil dołączył do niego na ganku. Wkładał płaszcz.

- Już jest w porządku. Dziecko też. Oboje są silni. Cokolwiek to było, to już całkiem musiało przejść.

I nie mów mi, że to dobrze i że nie chcesz mieć nic na sumieniu, bo opowiadasz banialuki, Judd.

Przejrzyj na

oczy. To ona jest dla ciebie ogromnie ważna i dlatego się martwisz.

Judd postanowił się nie sprzeczać. Neil i tak wiedział swoje. - Ona jest uparta jak osioł. Czy wiesz, że nadal ćwiczy aerobik?

- Robi to ostrożnie. Judd, ciąża nie jest chorobą. Kobięce ciało jest całkowicie do niej przystosowane.

Judd miał już na końcu języka dosadny komentarz, kiedy monter wyszedł z zadowoloną miną zza rogu domu. Zachował więc dosadny komentarz na inną okazję i zwrócił się do montera: - Szybko poszło.

- Zlokalizowanie przeciętych drutów nie trwa długo.

- Przeciętych? - Judd poczuł wewnątrz nagły chłód.

- Ciachniętych na dwoje - powiedział mężczyzna i idąc w kierunku ciężarówki, zawołał: - Nie ma sprawy! Zaraz będą działać.

Judd spojrział na Neila, który tym razem wyglądał na zatroskanego. - Przecięte druty są celowym działaniem.

- Tak samo jak tajemnicze telefony. Może nawet jak spalona stodoła. Dzieje się tu coś dziwnego, Judd. Po drodze do szpitala wpadnę do Nolana i powiem mu, żeby tu przyjechał.

- Dzięki - powiedział Judd, ale kiedy Neil pojechał, miał w myślach zamęt. Nie podobało mu się, że ktoś prześladowuje Chelsea. Nie podobało mu się, że mieszka sama w Boulderbrook. Chciał, żeby pojechała do Baltimore w czasie, kiedy Nolan będzie prowadził dochodzenie, ale wątpił, czy to zrobi. Jej ojciec nadal nie wiedział, że jest w ciąży.

Nagle uderzyło go, że to idiotyczna sytuacja. Bez najmniejszych wyrzutów sumienia wrócił do kuchni, otworzył jej torebkę, sięgnął po jej notes. Miała tam zapisany nowy adres Kevina. Podniósł słuchawkę, przypomniał sobie, że telefony nie działają, więc odłożył ją z trzaskiem. Obiecując sobie, że do tego wróci, poszedł do sypialni.

Już nie spała, leżała na boku, a kołdry były ułożone schludniej niż poprzednio. Patrzyła, jak się zbliża.

- Neil mówi, że już jesteś zdrowa.
- Wiem.
- Zapomniałem go zapytać, czy powinnaś przestrzegać jakiejś diety?
- Mam jeść to, na co mam ochotę.
- A na co masz ochotę?
- Na nic.

Chciał jej przypomnieć, że nawet jeżeli jej nie chciało się jeść, to może dziecku się chciało. Nie powiedział tego. Przypuszczał, że jej żołądek jest jeszcze bardzo wrażliwy.

Powiedział jednak: - Linie telefoniczne zostały przecięte.

Jej oczy rozszerzyły się.

- Neil przyśle tu Nolana. Może znajdzie jakieś ślady stóp.

Musiał jej oddać, że wyglądała na zaszokowaną.

- Przecięte?

- Ktoś chce cię stąd wystraszyć, Chelsea. To przestało już być zabawne. Myślę, że może powinnaś na jakiś czas stąd wyjechać.

- Wyjechać stąd? Nie ma mowy.

- Może tylko na weekend. Tylko żeby odpocząć. Spotkaj się z ojcem. Już dawno powinnaś była to zrobić. Zobaczył, jak jej oczy wypełniają się smutkiem. - Nie mogę - wyszeptała. - Jeszcze nie.

- Jeżeli nie teraz, to kiedy? W Dniu Dziękczynienia? W Boże Narodzenie? Jak się urodzi dziecko?

Odwróciła się na brzuch. - Hej, czy jest tam ktoś? - dobiegło wołanie z dołu.

- Telefony są już naprawione!

Kiedy Chelsea nie odpowiadała, Judd poszedł do kuchni, żeby zadzwonić. Monter już odjechał, a na jego miejscu był Hunter. Stał obok telefonu, a w rękę trzymał portfel Chelsea.

- Co robisz? - zapytał Judd. Był nadal zły na Huntera, że zniknął. Oliver nie dawał mu o to spokoju. A poza tym jego bark nie był jeszcze zagojony; przydałaby mu się pomoc.

Hunter podniósł w górę prawo jazdy. - Patrzyłem na zdjęcie. Jest ohydne. - Wsunął prawo jazdy z powrotem do portfela tak nonszalancko, że w Juddzie aż się zagotowało.

- Czy ty przeciąłeś linię telefoniczną? Hunter spojrzał na niego twardo.

- To co tu robisz?

- Dowiedziałem się, że jest chora.

- Już czuje się lepiej.

- To niedobrze - powiedział. Podniósł kołnierz skórzanej kurtki, sięgnął po leżące na blacie rękawiczki i ruszył w kierunku drzwi. - Przystaliśmy ją wyprzedzać. Najwyższy czas, żeby coś jej się przydarzyło.

- Zniknął w hallu.

Judd ruszył za nim. - Co to, u diabła, ma znaczyć? Hunter już przeszedł przez drzwi.

- Czy ty przeciąłeś te linie?

Hunter przystanął, spojrzał w ziemię, a potem przez ramię na Judda. - Nie. Ktoś mnie ubiegł. - Poszedł dalej.

Judd pozwolił mu odejść. Był w stanie rozpoznać, kiedy coś było tylko na pokaz. Hunter lubił Chelsea. Nie zrobiłby niczego, żeby ją skrzywdzić. Owszem, coś go gryzło i Judd wkrótce się dowie co takiego. Zajmie się tym później, bo ma w tej chwili pilniejsze rzeczy na głowie.

Wrócił do kuchni, wykręcił numer Kevina. Nie mógł mu powiedzieć, że jego córka jest w ciąży, bo to należało do Chelsea. Ale mógł go poinformować, że grozi jej niebezpieczeństwo. Kevin był jej ojcem, a ona go uwielbiała. Jeżeli ktokolwiek był w stanie przemówić jej do rozumu, to tylko on.

Telefon nie odpowiadał. Wrócił do sypialni i zobaczył Chelsea siedzącą na brzegu łóżka, ze spuszczoną głową i twarzą ukrytą w dłoniach.

Bardziej niż kiedykolwiek czuł, że jest mu bliska, ale twardo trzymał się z daleka. - Dobrze się czujesz?

Kiwnęła głową. - Kto mógłby przeciąć moją linię telefoniczną?

- Wielu ludzi.

- Był tu Hunter, prawda? - zapytała jeszcze ciszej.

- Wpadł na chwilę.

- Jest na mnie zły. Nie jestem pewna za co, ale jestem pewna, że dlatego tak szybko zniknął. On by tego nie zrobił, prawda?

- Potrafiłby, gdyby chciał, bo zna się na elektryczności, ale wątpię, czy to zrobił.

Wzięła głęboki oddech. Z wysiłkiem stanęła na nogi. Jej koszula, choć wymięta po nocy, poruszała się wdzięcznie przy ruchach ciała, kiedy Chelsea szła do garderoby. Wyszła stamtąd z niewielką torbą.

Położyła ją na łóżku, odgarnęła włosy z twarzy i spojrzała na Judda.

- Pojadę do Newport. Tata nie jeździ tam o tej porze roku, więc będę miała cały dom dla siebie. Tylko na weekend. Potem wracam.

Judd miał ochotę ją przytulić, wdzięczny, że wykazała rozsądek, ale bał się ujawnić swoje uczucia.

Wiedział, co go w niej pociąga - była bardzo seksowna, w ciąży czy nie - ale wcale nie było mu łatwiej nad tym zapanować. Po raz setny żałował, że nie jest równie zimna, wyrachowana i ambitna jak

Janinę. Wtedy mógłby nią pogardzić. Ale kiedy tak stała, z burzą długich włosów okalających jej bladą twarz, ze smukłym ciałem w staroświeckiej koszuli nocnej, ani trochę nie przypominała Janinę.

Wydawała się taka wrażliwa. A Judd tak łatwo dawał się łąpać na wrażliwość.

Więc dlaczego z tym walczyć? - zadał sobie pytanie i nasunęła mu się cała lista powodów. Po pierwsze, była w ciąży z innym mężczyzną. Po drugie, celowo trzymała to przed nim w tajemnicy. Po trzecie,

przyjechała do Notch pod fałszywymi pozorami, bo o wiele bardziej niż zdobyć Plum Granite, chciała się dowiedzieć o swoim pochodzeniu. Po czwarte, najważniejsze, nie była dla niego odpowiednią

kobietą. Chciał kogoś ciepłego, słodkiego, całkowicie mu oddanego. Chciał kogoś, kto zajmowałaby się przede wszystkim nim, a nie budowaniem domów czy negocjowaniem warunków rozwodu.

W tej chwili był uwiązany w Notch, bo był tu Leo, ale przecież Leo nie jest wieczny. Kiedy przyjdzie na to czas, Judd będzie chciał zdecydować, dokąd wyjechać i co robić, i chciał być pewien, że jego kobieta pójdzie za nim.

Staroświeckie. Owszem, był staroświecki i był z tego dumny. A ponieważ był staroświecki, był też szlachetny do tego stopnia, że czasem decydował się na ogromne wyrzeczenia. A przynajmniej tak sobie to tłumaczył godzinę później, kiedy jechał z Chelsea autostradą. Bycie z nią było dla niego torturą, ale nie mógł pozwolić, żeby pojechała sama.

- To naprawdę niepotrzebne - powiedziała i powtarzała to przez pół godziny, ale im dłużej to mówiła, tym bardziej on stawał się uparty. - Mogę sama poprowadzić.

Chrząknął z powątpiewaniem. - Wyglądasz tak, jakby lekki wiaterek miał cię zaraz przewrócić. - W dzinsach, swetrze i za dużej parce, bez makijażu wyglądała na szesnaście lat. Nie mógł uwierzyć, że ma trzydzieści siedem i wkrótce będzie matką.

- Jesteś bardziej potrzebny Leo - powiedziała.

- Leo ma opiekunkę. Ty potrzebujesz kierowcy.

- Ale ciebie jeszcze boli ramię.

- Ale nie wtedy, kiedy prowadzę.

- Zabolało cię, kiedy wsadzałeś moją torbę do bagażnika. Widziałam, jak się skrzywiłeś, więc musiało cię zabolec.

- Dopiero co zdjęto mi szwy, więc jest sztywne. To wszystko.

- Nie możesz nim ruszać. Nawet nie możesz go podnieść.

Posłał jej złe spojrzenie i miał satysfakcję widząc, jak na jej policzkach pojawia się rumieniec.

- Wiesz, co mam na myśli - wyszeptała i owinęła się parką. Nie widział jej twarzy, ale patrząc, jak rozluźniły jej się ręce i nogi, wiedział, że zasnęła. Obudziła się na czas, żeby pokazać mu drogę do domu i wprowadziła go do środka. Potem weszła do sypialni, otuliła się grubą chustą i znów zasnęła.

Judd obejrzał dom. Był wielki, stary i zadziwiająco prosty, z gankiem i wychodzącym na wodę tarasem. Na chwilę usiadł na końcu tarasu, wdychając morskie powietrze, rozmyślając o tym, że wybrzeże nie byłoby złym miejscem, żeby tu się kiedyś osiedlić. W głębi łądu zawsze czuł się trochę zamknięty. Tu doznał uczucia swobody.

Idąc za falą tej swobody, wrócił do samochodu i przejechał się wokół. Dawno temu był już kiedyś w Newport. Nic się od tego czasu nie zmieniło, nawet lokalizacja supermarketu. Ponieważ nie zjadł lunchu, a dzień miał się już ku końcowi, gdy tymczasem lodówka Kane'ów była pusta, wstąpił, żeby kupić coś do jedzenia. Kiedy wrócił, Chelsea siedziała na ganku w bujanym fotelu, owinięta swoją chustą, wpatrując się w ciemniejące morze. Przysiadł na końcu grubej drewnianej poręczy, opierając się o słupek. - Jak się czujesz?

- Lepiej.

O ile mógł zobaczyć w fałdach chusty, jej cera nabrała kolorów. Wpatrywała się w wodę, całkowicie rozbudzona.

- Zawsze uwielbiałam tu przyjeżdżać - powiedziała z tęsknotą w głosie. - Było tu więcej luzu niż w mieście. Znakomicie się bawiliśmy. Każdego lata przyjeżdżało tu wiele rodzin. Wszystkie dzieci bawiły się razem.

- Co robiliście całymi dniami? - zapytał Judd. Nie był w stanie sobie wyobrazić, jak można całymi tygodniami nic nie robić. Nigdy nie zaznał takiego luksusu, a gdyby przypadkiem mu się to przytrafiło, nie wiedziałby, co ma robić.

- Oczywiście, żeglowaliśmy - powiedziała z zakłopotanym uśmiechem. - Opalaliśmy się rozkosznie na słońcu, nie przejmując się rakiem skóry. Pływaliśmy i graliśmy w tenisa w klubie. Kiedy już trochę dorośliśmy, rozbijaliśmy się na drogach. To były proste rozrywki.

- Rodzina Carla też tu przyjeżdżała?

- Aha. - Owinęła się ciasniej chustą. Wiatr od morza się wzmaczał i coraz bardziej ochładzał powietrze. Judd zastanawiał się, czy jest jej dostatecznie ciepło.

- Dużo o nim myślisz? - zapytał.
- O Carlu? - Wzruszyła ramionami. - Staram się nie myśleć.
- Tęsknisz za nim?
- Tylko jak za przyjacielem. W żaden inny sposób. Chociaż czasem wydaje mi się to takie dziwne. To znaczy, że to jego dziecko, a on ożenił się z Hailey. Kiedy rozsądnie o tym pomyślę, to wszystko ma sens - w jaki sposób do tego doszło i tak dalej. Ale kiedy do głosu dojdą emocje, tak jak teraz, to czuję się podle.
- Jeżeli ktoś powinien czuć się podle, to tylko on. To on grał na dwie strony. Zmarszczyła brwi, dając mu do zrozumienia, że nie ma zamiaru się o to sprzeczać. Potem spojrzała mu w oczy.
- Judd, czy to prawda, że Matthew Farr ma romans ze swoją szwagierką?
- Gdzie o tym usłyszałaś?
- Wczoraj po południu na herbatce w bibliotece. Czy to prawda?
- Prawdopodobnie. Matthew nie należy do ludzi, którzy miewają skrupuły. Od lat kochał się w Joanie. Chelsea zmarszczyła czoło. - Więc dlaczego ożenił się z Donna?
- Bo Joanie nie była już wolna. I dlatego, że jego rodzice żądali, żeby się ożenił. Skończył już trzydziestkę i ciągle był kawalerem. Ludzie zaczęli mówić, że jest pedałem.
- Nie mówią tego o tobie.
- Nie - powiedział i nie mógł się powstrzymać od złośliwego uśmiešku. - Nie mówią. - Ponieważ zabrzmiało to chępliwie, dodał: - Ja byłem żonaty. Poza tym, ja należę do innego kręgu niż Matthew. Zasady, według których żyją Farrowie, nie odnoszą się do Streeterów. Ja robię, co mi się podoba. - Najlepszym dowodem był ten weekend. Będzie gadanie, jeżeli nie pojawi się rano w kamieniołomach, ale w ogóle się nie przejmował.
- A co ze słuchem Donny? - zapytała Chelsea. - Jak to się stało, że ogłuchła?
- Nie jestem pewien - odpowiedział szczerze Judd.

- Margaret powiedziała, że to spowodowała nagła choroba. Kobieta, z którą później rozmawiałam, powiedziała, że to spowodowała Margaret.

Słyszał plotki na ten temat. Brzmiały prawdopodobnie, jeżeli się wzięło pod uwagę załamanie nerwowe Margaret, które nastąpiło tuż po tym, i jej późniejszą nadopiekuńczość w stosunku do Donny. Poczucie winy często wywoływało u ludzi nadopiekuńczość.

- Nie ma na to żadnego dowodu.

- Co mogła zrobić Margaret?

- Nie wiem. Kiedy to się stało, byłem dzieckiem.

- Czy Donna była w szpitalu?

- Przez jakiś czas. Potem została wysłana do specjalnej szkoły. Kiedy wróciła, nie zadawano żadnych pytań.

- Żał mi jej - powiedziała Chelsea. Wyglądała na wstrząśniętą. - Matthew traktuje ją okropnie. Jak Oliver może stać obok i tylko się przypatrywać?

- Oliver widzi, co chce widzieć, i nie widzi tego, co mogłoby być dla niego niemiłe.

- Czy Hunter jest jego synem?

- Prawdopodobnie tak.

- Czy on go kiedykolwiek uzna?

- Nie, dopóki żyje Margaret. Czułaby się zraniona i upokorzona.

- Podobnie jak Hunter przez te wszystkie lata - powiedziała Chelsea.

- Nie powiedziałem, że to jest w porządku. Powiedziałem, że tak jest.

- Dlaczego Hunter bardziej o to nie walczy? Ma naturę buntownika. Mógłby przycisnąć Olivera. Gdybym była na jego miejscu, doprowadzałoby mnie do szału to, że nie jestem pewna, czy facet jest moim ojcem. - To doprowadza Huntera do szału. - Więc dlaczego nie zrobi czegoś w tej sprawie?

- A dlaczego ty nie zrobisz? - zripostował Judd. To pytanie go prześladowało.

- Co masz na myśli?

- Jesteś w Notch od czterech miesięcy, a znacznie dłużej wiesz, że tu się urodziłaś. Dlaczego nie zrobiłaś więcej, żeby dowiedzieć się, kim są twoi rodzice?

Zmarszczyła brwi. Jej wzrok powędrował w kierunku oceanu i tam zawisł. W końcu powiedziała: - To jest trudne. Jakaś część siebie chcę znać całą prawdę. Druga część jest usatysfakcjonowana pobytem w Notch.

- A co z kluczykiem? - Wspomniała o nim, kiedy sprzeciali się w sierpniu. Od tego czasu o nim myślał.

- Co on otwiera?

- Nie wiem.

Nie mógł wprost uwierzyć, że nie próbowała go zidentyfikować. - Może jest do jakiegoś sejfu?

- Nie. To nie ten rodzaj kluczyka. To jest kluczyk do pozytywki.

W głowie Judda powstał pewien obraz. Przez minutę się nad nim zastanawiał. Potem potrząsnął głową. - Co? - zapytała.

- U Zee jest zegar. Kiedy małe dzieci boją się obcinania włosów, Zee przekupuje je, obiecując potem nakręcić zegar. - Chelsea wyprostowała się w fotelu, więc szybko powiedział: - Nie możesz być córką Zee. Był w ruchu oporu przeciwko Niemcom, został ranny i nie może mieć dzieci.

Chelsea nadal pozostała czujna. - Jesteś pewien?

- Mówił to mojemu ojcu niejedną raz. Kiedy tata był załamany, że nie ma już żony, Zee mawiał, że powinien być szczęśliwy, że przynajmniej ma dziecko, bo on nigdy nie będzie mógł mieć dzieci.

Chelsea znów usadowiła się wygodnie w fotelu.

- Więc co masz zamiar zrobić w sprawie kluczyka?

- zapytał Judd. Widział to tak: jeżeli Chelsea zdoła wyjaśnić tajemnicę kluczyka, zdoła też wyjaśnić tajemnicę swego pochodzenia, a jeżeli to zrobi, będzie mogła swobodnie wyjechać z Norwich Notch. Twierdziła, że podoba jej się to miejsce. Byłoby interesujące zobaczyć, jak długo tu jeszcze wytrzyma, kiedy nie będzie już miała konkretnego powodu.

- Nie wiem - powiedziała cicho.

- Chcesz, żebym ja też prowadził poszukiwania? -Można to było nazwać pomocą, można to było nazwać nadaniem sprawie impetu, wszystko jedno. - Chętnie to zrobię.

Najpierw się zdziwiła, a potem zamyśliła.

Złagodził trochę. - Nie musiałbym mówić, że to twój.

- Robiłbyś to dyskretnie?

- Bardzo.

Pomyślała o tym jeszcze przez chwilę.

- Co masz do stracenia? - zapytał.

- To moja sprawa.

- Ale nic w tym kierunku nie robiłaś. - Zeskoczył z poręczy. - Na dobrą sprawę osoba, która wysłała kluczyk twojej matce, może dziś jeszcze żyć, a jutro już nie. Czy tego chcesz?

- Nie.

Idąc do tylnych drzwi, powiedział: - Ja zawałem sprawę z moim ojcem. Kiedy wróciłem, było już za późno na sensowne porozumienie. Nie zrób tego samego błędu, Chelsea. - Otworzył drzwi. - Zrobię coś do jedzenia. Jeżeli jesteś głodna, to chodź ze mną.

Przez resztę dnia Chelsea nie zastanawiała się już zbytnio. Była wyczerpana chorobą poprzedniej nocy i nie miała głowy, żeby rozmyślać nad poważnymi sprawami. Obudziła się jednak następnego ranka, zastanawiając się nad tym, co powiedział Judd, i wiedziała, że ma rację. Nie powinna już dłużej zwlekać. Życie niesie z sobą różne zakręty i zasadzki. Im dłużej będzie odkładać wytropienie pochodzenia kluczyka, tym bardziej grząska może stać się ścieżka prowadząca do jej celu.

Dopiero później tego popołudnia ujrzała napomnienia Judda w innym świetle. Spędzili kilka godzin siedząc na tarasie i obserwując śmigające po zatoce łódki, a potem robili sobie w kuchni gorącą czekoladę, kiedy nagle otworzyły się drzwi i wszedł Kevin.

Na twarzach Chelsea i Kevina pojawiły się uśmiechy zaskoczenia i przez minutę zaświtała w niej głęboka nadzieja, że wszystko się ułoży. Potem on spojrzał na jej brzuch. Jego twarz przez moment była pozbawiona jakiegokolwiek wyrazu, a potem pojawiło się na niej zmieszanie. Powoli jego oczy rozszerzyły się. Uśmiech znikł całkowicie i na twarz wystąpił mu gniew.

Nadciągała burza. To był właśnie jeden z tych zakrętów i zasadzek życia, i tym razem nie mogła uciec. Zrezygnowana, chociaż z pewną ulgą, Chelsea podniosła brodę i spojrzała Kevinowi w oczy.

ROZDZIAŁ 20

— Termin jest w lutym - powiedziała Chelsea i czekała na reakcję Kevina. Chciała, żeby się uśmiechnął. Chciała, żeby był równie uradowany jak ona. On był jej ojcem, a to było jej dziecko. Chciała, żeby pomiędzy nimi zaistniała harmonia.

Nadal jednak wyglądał na zmieszanego, rozgniewanego, oszołomionego. Był człowiekiem zorganizowanym, więc próbował wyliczyć, kiedy zaszła w ciążę, przypomnieć sobie, gdzie wtedy była i z kim, i jeszcze wyjść z szoku, wszystko jednocześnie.

Próbowała ułożyć sobie w głowie to, co miała mu do powiedzenia, kiedy za jej plecami pojawił się Judd. Nie dotknął jej, po prostu stanął przy niej, jak gdyby chciał ją wesprzeć. - To stało się bardzo szybko - powiedział.

- Zawsze tak jest - zadrwił Kevin. Patrzył w oczy Chelsea. - Luty. Teraz mamy październik. To jest już druga połowa ciąży. Dlaczego nie dowiedziałem się o tym wcześniej?

To pytanie odbijało się echem w jej głowie; wydawało jej się, że tak często słyszała je już przedtem. Ale robiła, co mogła. Podejmowała decyzje, które w danym momencie uważała za słuszne. - Chciałam ci powiedzieć. Zrobiłabym to Czwartego Lipca, ale wtedy nie chciałeś się ze mną zobaczyć.

Zrobiłabym to na Święto Pracy, ale ty miałeś inne plany i nie chciałeś przyjechać na mój dzień otwarty do Notch. Chciałam ci to powiedzieć osobiście, a nie przez telefon.

- Skąd wiedziałaś, że będę tu w ten weekend?

- Nie wiedzieliśmy - wtrącił Judd, zanim zdołała się odezwać. - Tak przypuszczaliśmy. Pana telefon w Baltimore nie odpowiadał, a Chelsea nic nie wiedziała o pana innych planach.

Chelsea posłała Juddowi zdziwione spojrzenie. Kevin też zaczął zwracać się do niego. - Czy ta ciąża była zamierzona? - zapytał.

- Początkowo nie - odpowiedział Judd.

Kevin nachmurzył się, jak się tego spodziewała. Był człowiekiem, który wszystko widział w czarno-białych barwach. - Albo była, albo nie była.

- Nie była. Ale dziecko jest chciane.

Zwracając się do Chelsea, Kevin powiedział: - Mówiłaś mi, że nie chcesz mieć dzieci, dopóki nie dowiesz się, kim jesteś. Czy nagle się dowiedziałaś?

- Nie.

- Mimo to zaszłaś w ciążę. - Patrzył na nią z obrzydzeniem. - Nie widzę obrączki. - Zmierzył wzrokiem Judda. - Czy dziecko będzie nieślubne?

- Nie, jeżeli Chelsea nie będzie tego chciała. Chelsea popatrzyła na Judda z jeszcze większym zdziwieniem. Nie mogła wyjść za Carla, a on o tym wiedział.

- Ona nie zawsze wie, co jest dla niej najlepsze - mówił Kevin.

- Owszem, wiem - zaprotestowała.

Napadł na nią ze złością. - Spodziewałem się tego, kiedy miałaś siedemnaście lat i obracałaś się wśród hippisów, a nie teraz. Teraz powinnaś już być dorosła.

Powinnaś być osobą odpowiedzialną. Czy odpowiedzialne jest urodzenie pozamałżeńskiego dziecka?
Czy tak czcisz pamięć twojej matki?

Chelsea poczuła się, jak gdyby uderzył ją w twarz, ale Kevin dalej zalewał ją potokiem słów.

- Abby chciała mieć wnuki równie mocno jak ja i miałaś wiele okazji, żeby zrobić to jak należy.

Zamiast tego czekałaś nie wiadomo na co. Czy to dlatego, że poczułaś, że czas gra na twoją niekorzyść? Czy to cię niepokoiło? A może straciłaś już rozeznanie, co jest dobre, a co złe? Czy niczego cię nie nauczyliśmy? Na miłość boską, Chelsea, co się z tobą dzieje?

Cała się trzęsła w środku. Tak, on jest tradycjonalistą, wiedziała o tym przez całe życie. Chociaż teraz chodziło o dziecko. - Nie cieszysz się ani trochę?

- Jak mogę się cieszyć? Zamieszkałaś w ostatnim miejscu na ziemi, gdzie chciałbym cię widzieć, a teraz jesteś w ciąży. Straciłem cię.

- Nie, nie straciłeś. Będę przyjeżdżać tak często jak poprzednio. W czerwcu przyszłego roku mogę wrócić do Baltimore na dobre.

- I pan by na to pozwolił? - Kevin zapytał Judda.

- Jeżeli tego będzie chciała, to jakoś to zorganizujemy.

Chelsea zrobiła minę w kierunku Judda. - O czym ty w ogóle mówisz?

- Czy ona nie zgadza się za pana wyjść? - zapytał Kevin.

- Jeszcze o tym dyskutujemy - odpowiedział Judd. Nagle ją oświeciło.

- Hola - powiedziała i odsunęła się od obu mężczyzn.

- Hola - powiedziała głośniejszym głosem i wpatrzyła się w Judda. - Co ty sobie myślisz?

Wyciągnął do niej rękę. - Chelsea...

Cofnęła się jeszcze o krok i podniosła rękę. - Nie.

- Tak będzie najlepiej.

- Nie. - Stała twarzą w twarz z ojcem. - Zaszło nieporozumienie na skutek twojej ograniczoności i nieu-

dolnych prób Judda, żebyś się nie czuł zraniony. To nie jego dziecko. To Carla.

- Carla?

Przestała się trząść wewnątrz. Poczowała dziwny przypływ sił. - Byliśmy ze sobą tylko raz. Na samym końcu, to była ostatnia próba, żeby stworzyć jakiś związek. Kiedy zorientowałam się, że jestem w ciąży, Carl nie tylko już był z Hailey, ale ona też była w ciąży. Dlatego tak szybko wzięli ślub. I dlatego ja na tym ślubie nie byłam.

Kevin wyglądał jak ogłupiały. - Carla?

- Nie żałuję, że on ożenił się z Hailey. Będzie dla niego o wiele lepsza, niż ja bym kiedykolwiek była.

- Popatrzyła ponuro na Judda. - Ostatnią rzeczą, jakiej kiedykolwiek bym chciała, to wyjść za mąż tylko z powodu ciąży. - Do Kevina powiedziała: - Nie powiedziałam Carlowi o dziecku, bo nie widziałam sensu. Któregoś dnia się dowie, któregoś dnia powiedzenie mu tego nie będzie tak ryzykowne. Zawsze uwielbiałam Carla jako przyjaciela. Teraz obdarował mnie czymś bardzo pięknym, a przynajmniej dla mnie jest to piękne. Nie będzie to piękne dla niego, bo zrani Hailey i skomplikuje ich wspólne życie, jeżeli o tym powiem. Nie mogę tego zrobić. - Siły zaczęły ją opuszczać. - To jeden z powodów, dla których przeprowadziłam się do Norwich Notch. Nie mogłabym się codziennie spotykać z Carlem. Nie chciałabym, żeby widział, co się ze mną dzieje. - On by się z nią rozwiódł - oponował Kevin. - Tom i Sissy nalegaliby na to. Ożeniłby się z tobą. - Ale ja tego nie chcę! - wykrzyknęła poirytowana.

- Tato, posłuchaj mnie. Nie kochamy się z Carlem w taki sposób. Usiłowałam ci to powiedzieć od miesięcy, a ty nie chciałeś mnie słuchać. Byliśmy kiepskimi kochankami. Brakowało między nami iskry. Gdybyśmy wzięli ślub, nie upłynęłoby wiele czasu, a zniechęciłibyśmy siebie nawzajem i małżeństwo, i dziecko. Tak jest o wiele lepiej. I jestem o wiele szczęśliwsza.

Kevin stał przed nią, nadal w płaszczu, z opuszczonymi ramionami, z rękami zwieszonymi bezradnie wzdłuż boków i oszołomionym wyrazem twarzy.

- Naprawdę jestem szczęśliwsza - powiedziała i przywołała na twarz blady uśmiech. - I naprawdę cieszę się, że będę miała dziecko. I cieszyłabym się jeszcze bardziej, gdybym czuła, że ty też się cieszysz. - Wiedząc, że powiedziała już wszystko, co było ważne, i że gdyby tu została, to rozpłakałaby się, szepnęła: - Jestem zmęczona - i wyszła z pokoju.

Kiedy wróciła, zapadła już noc. Nie słyszała żadnych głosów, w salonie paliła się tylko pojedyncza lampa, która odbijała się w wielkich oknach wychodzących na ocean. Judd siedział przygarbiony na rogu kanapy. Kiedy zobaczył jej odbicie w szkle, podniósł głowę.

- Gdzie on jest? - zapytała miękko.

- Wyjechał.

Bała się, że tak się stanie, ale leżąc w ciemności sypialni nie wiedziała, jak mogłaby go zatrzymać. Przeszła przez salon i podeszła do okna, przytknęła czoło do szkła. Wypełniła ją wielka pustka. Ona i dziecko były tylko maleńkimi punkcikami w tej otchłani.

Kiedy objęły ją ramiona Judda, nie walczyła z nim. Zbyt mocno potrzebowała pocieszenia, żeby zastanawiać się, co o niej myśli. Obróciła się w jego ramionach, ukryła twarz na jego barku i zaczęła płakać. Nie chciała tego, ale łzy po prostu napłynęły jej do oczu i nie potrafiła ich zatrzymać. Pełnymi garściami chwyciła jego sweter i trzymała go, jakby od tego zależało jej życie, bo było to jedyne źródło pocieszenia, które w tym momencie istniało w jej świecie.

Nie odzywał się. Prawie nie ruszał ramionami. Trzymał ją tylko mocno, kiedy płakała.

Za jakiś czas łzy przestały płynąć tak szybko, jak zaczęły. Jej oddech przestał być tak płytki i tylko od czasu do czasu załkała. Możesz go teraz puścić, powiedziała sobie, ale nie ruszyła się. Krąg jego ramion był

laksusem, którego nie była jeszcze gotowa od siebie odepchnąć.

- Przepraszam - szepnęła, przytykając policzek do jego klatki piersiowej. - On mnie tak bardzo rani.
- To właśnie mu powiedziałem. Powiedziałem mu też inne rzeczy, których może nie powinienem był mówić. Mogłem go odstraszyć.
- Nie. Odjechał z mojego powodu. - Coś ścisnęło ją w gardle. Minęła minuta, zanim była w stanie znów przemówić. - Było prawie tak samo przez cały czas, odkąd umarła mama. Wydaje mi się, że patrzy na mnie i wspomina ją. Wydaje mi się, że byłby szczęśliwy, gdybyśmy się zamieniły miejscami.
- Nie - powiedział Judd, wygładzając kosmyki włosów na jej skroniach.
- Myślę, że mnie już nie kocha. Może nigdy mnie nie kochał. Nigdy nie popierał pomysłu adoptowania dziecka. To Abby chciała. Ponieważ nie mogli mieć własnych, on byłby zadowolony przechodząc przez życie bezdziejny.
- On cię kochał, Chelsea.
- Nie dostatecznie mocno.
- Dostatecznie mocno, żeby przetrwać, kiedy byłaś nastolatką.
- Wtedy żyła mama. Ona była buforem. Kiedy mama od nas odeszła, to jakby nic już między nami nie pozostało.
- Nie. To tylko Norwich Notch. I dziecko. On potrzebuje czasu, żeby się przystosować. Chelsea chciałaby w to uwierzyć. Chciała uwierzyć, że Kevin kiedyś do niej wróci. - Chciałabym, żeby on był na pierwszych urodzinach dziecka i na drugich urodzinach, i na trzecich, ale wątpię czy mnie odwiedzi nawet wtedy, kiedy dziecko się urodzi.
- Potrzebuje czasu.
- Ale ja już nie mam czasu! - zawołała. - Jestem w ciąży, do diabła, a dziecko rośnie. Nie poczeka, żeby się urodzić, do czasu, aż tata zmądrzeje. Co się z nim dzieje?

Judd wydawał kojące dźwięki. Pewnie odgarniał jej włosy z czoła. Drugą ręką obejmował ją mocno. Wypuściła powietrze. Przy wdechu wciągnęła w nozdrza jego zapach. Strasznie go lubiła. Pachniał świeżością, trochę cytrynami, powietrzem, męskością. Brakowało jej tego zapachu.

- Więc co mam robić? Dalej próbować? Zaprosić na Święto Dziękczynienia? Albo wycofać się z jego życia i pozwolić mu zapomnieć, że kiedykolwiek adoptował córkę?

- To nigdy - oświadczył Judd.

- Może właśnie tego chce.

- Nie mówiłabyś tego, gdybyś tu była przedtem. Był zdenerwowany. Ludzie, których nic nie obchodzi, nie denerwują się. Teraz, kiedy zmarła twoja matka, potrzebuje cię bardziej niż kiedykolwiek, ale chce cię na własnych warunkach. Chce, żebyś postępowała zgodnie z jego zasadami.

- Nigdy mi się to nie udawało. Więc co mi pozostaje? Chcę mieć rodzinę. Święta są przeznaczone dla rodzin, a zbliżamy się do sezonu świątecznego. Nie chcę być sama.

- Nie będziesz. Jeżeli nie spędzisz ich z Kevinem, możesz spędzić święta z Leo i ze mną.

Chelsea podniosła głowę. Nie zapomniała, co powiedział Kevinowi, jak był gotów przyjąć odpowiedzialność za jej dziecko, jak sugerował, że ożeni się z nią, jeżeli ona tylko zechce. Nie wierzyła, że gotów byłby pójść tak daleko - to była dosyć głupia sugestia - jednak jego gest wzruszył ją głęboko. Ostrożnie więc zapytała: - To jesteśmy przyjaciółmi?

Judd nie uśmiechał się często, dlatego ten maleńki ruch kącików jego ust był dla niej tak cenny. - Jesteśmy przyjaciółmi.

- Jesteś jeszcze na mnie zły, że jestem w ciąży?

- Tak, ale dajmy temu spokój. I tak możemy być przyjaciółmi. Jak nadejdzie Święto Dziękczynienia i nie będziesz miała innych planów, spędzisz je z nami. Tacie strasznie smakowała twoja szarlotka z chrupiącą kruszonką i w ogóle. Spróbuj zrobić ciasto z dynią, a nawet jeżeli już nie zapamięta niczego innego ze swojego życia, będzie cię zawsze kochał.

Pomimo sceny z Kevinem, weekend w Newport był dokładnie tym, czego Chelsea potrzebowała. Spała całymi godzinami, kiedy już zaczęła jeść, to jadła straszne ilości i znalazła w Juddzie dobrego towarzysza. Nie była tak naiwna, żeby sądzić, że kiedy wrócą do Notch, wszystko między nimi ułoży się tak jak przedtem. Były to jednak świetne wakacje. Nie wypoczywała tak od miesięcy.

Bardzo dobrze, że tam się zrelaksowała, bo kiedy znalazła się w Boulderbrook, już po pięciu minutach wiedziała, że coś jest nie w porządku. Weszła do sypialni i natychmiast zobaczyła, że rzeczy zostały poprzestawiane. - Ktoś tu był - powiedziała i zawołała Judda, który z kolei zadzonił do Nolana, a ten wkrótce zjawił się w domu na farmie.

Chelsea wprowadziła ich obu do sypialni. - Ktoś tu był podczas mojej nieobecności. Ktoś ruszał moje rzeczy. Widzicie te zdjęcia na komodzie? Ustawiam je w pewien sposób. Mam taki nawyk. Teraz są poprzestawiane. Podobnie z książkami na nocnym stoliku. Zawsze tę, którą czytam, kładę na wierzchu, ale teraz jest pod spodem. I moja teczka na projekty. Zawsze stawiam ją monogramem na zewnątrz. Teraz stoi odwrotnie.

- Czy kiedy wróciliście do domu, drzwi były zamknięte na klucz?

- Zamknięte na klucz - odpowiedział Judd. - Nie było śladu włamania.

- Ale ktoś tu był - upierała się Chelsea. Czula to, czula obcy zapach. To było okropne.

- Czy coś zginęło? - zapytał Nolan, przechodząc po domu, notując, co zostało poprzestawiane, sprawdzając okna, czy klamki gdzieś nie zostały wyłamane, podłogę, czy coś nie zostało upuszczone.

- Jedyna rzecz o znacznej wartości nie została ruszona - powiedziała mu Chelsea. Był to pierścienek Abby,

który trzymała w małym zamkniętym pudełku w szufladzie ze swetrami. Sprawdziła, czy tam jest, kiedy tylko weszła. Jak tylko stwierdziła, że nie został ukradziony, nie sprawdzała już niczego więcej. Postanowiła to zrobić teraz.

Judd zaczął rozmawiać z Nolanem. - Trafiłeś na jakiś ślad, kto mógł przeciąć linię telefoniczną? Chelsea otworzyła stojącą na komodzie szkatułkę, w której trzymała biżuterię noszoną na co dzień. Niczego nie brakowało.

- Znaleźliśmy odcisk stopy - powiedział Nolan. - Męski but roboczy, rozmiar dwunasty wąski. Co najmniej stu facetów w mieście nosi buty robocze rozmiar dwunasty wąski. Przeszedłem się po Corner i pytałem. Wszyscy byli zaniepokojeni, ale nie potrafili mi pomóc. Chelsea zrobiła na nich wrażenie. Podoba im się to, co zrobiła dla Hoveyów. Przypisują jej uratowanie Plum Granite.

Chelsea otworzyła małe żaluzjowe biurko, które kupiła na wyprzedazy. Sprawdziła jego szuflady. Paszport, karta Neiman Marcus, różne dokumenty - nic nie było ruszone.

- Sprawdziłem znanych łobuzów i awanturników - mówił Nolan, oglądając nocny stolik - ale oni wszyscy mają alibi. - Podrapał się w tył głowy. - Jest w tym coś dziwnego. Mamy tu tajemnicze nocne telefony, ciężarówkę jadącą o świcie po poboczu, przecięte linie telefoniczne, pożar stodoły i teraz włamanie, gdzie nic nie zginęło.

- Coś zginęło - powiedziała Chelsea. Z bijącym sercem przerzucała rzeczy w szufladzie, ale bez rezultatu. Załamana spojrzała na Judda. - Mój kluczyk. Zginął kluczyk.

Judd chciał, żeby Chelsea przeniosła się do jego domu, ale nie zgodziła się. Uwielbiała Boulderbrook. Chciała tam mieszkać. Nie chciała pozwolić się wygnać z własnego domu. Poza tym, Judd musiał się skoncentrować na Leo.

Zgodziła się, żeby przez jakiś czas był u niej Buck. Zaalarmowałyby ją, gdyby ktoś się kręcił w pobliżu. Zgodziła się też zrobić dla Nolana rysunek srebrnego kluczyka.

Strata kluczyka bardzo ją przygnębiła, podobnie jak trwające milczenie Kevina. Po ich konfrontacji w Newport ciągle miała nadzieję, że się uspokoi i jeszcze raz przemyśli to, co jej powiedział, ale nie zadzwonił. Tak samo nie dzwonił już ktoś, kto puszczał jej przez telefon taśmę z dziecięcymi głosami, co z kolei nie było jej na rękę, bo urząd telekomunikacyjny założył podsłuch w jej aparacie. To musiał być ktoś sprytny. Albo to, albo zmęczył się starymi dowcipami i teraz zabawiał się wymyślaniem nowych. Zastanawiała się, co ją jeszcze spotka.

Judd też się zastanawiał, a to było jedyną miłą rzeczą przy jej dylematach. Pilnował jej i choć zdarzały się chwile, że kopanie w brzuchu nie potrafiło odwrócić jej myśli od bardziej intymnego, gorącego miejsca głęboko w niej, związana z tym frustracja była niską ceną, którą musiała zapłacić za to, że był jej przyjacielem.

Donna miała plany na Święto Dziękczynienia. Zrobiła je już w okresie Święta Pracy, a po przeżyciach, które Chelsea miała w Newport z Kevinem, jeszcze bardziej zależało jej na ich realizacji. Wiedziała, że czekają walka. U Farrów niełatwo następowały zmiany. Ale byli jej coś winni. Byli jej winni wiele za to, co musiała znosić ze strony Matthew. Nie prosiła o rozwód, miała tylko drobną prośbę i nie obchodziło jej, że święta Farrów są nienaruszalne. Zapłaciła własną krwią za prawo zaproszenia czworga ludzi na kolację.

Musiała się z tym zwrócić do Lucy Farr. Ta sztywna kobieta, zupełnie pozbawiona poczucia humoru, podobnie jak Donna spędziła najlepsze lata swojego życia pomagając mężowi w sklepie. Nie była urodzonym przywódcą, ale znakomitym podwładnym i była w stanie

dobrze wykonać każdą wyznaczoną jej pracę. Tak było każdego listopada, kiedy wyznaczano jej zaplanowanie, wykonanie i podanie kolacji na Święto Dziękczynienia.

Między nią a Donną panował dziwny układ. Nie były przyjaciółkami i nie szukały swojego towarzystwa, ale czuły do siebie szacunek. Donna wyobrażała sobie, że Lucy współczuje jej z powodu ciężkiej pracy, którą musi wykonywać, a która tak długo spoczywała na jej barkach. Donna wyobrażała sobie również, że Lucy współczuje jej tego, co musi znieść ze strony Matthew, chociaż starsza kobieta nigdy nie powiedziała ani słowa, a Donna rozumiała dlaczego. Lucy była matką Matthew. Łączyły ich więzy krwi i dlatego musiała być lojalna w stosunku do niego, bez względu na to, jakie miała na ten temat zdanie.

Donna wiedziała, że tylko dwie rzeczy w życiu sprawiają Lucy przyjemność - wnuki i zakupy rękodzieła dla domu towarowego. Z tego powodu Donna zdecydowała się poprosić ją w dniu, kiedy wróciła z naręczem wełnianych szali, utkanych ręcznie przez tkacza w Peterborough. Szale były prześliczne, a Lucy bardzo zadowolona.

- Koniecznie na wystawę - powiedziała Donnie. - Dopilnujesz tego?

Donnie też podobały się szale i potrafiła sobie wyobrazić wystawę. - Jutro rano - na pół zamigłała, a na pół powiedziała, co było ich zwykłym sposobem komunikacji, wynikającym z niechęci Lucy do migania, a Donny do mówienia. Ten sposób działał.

- Będą dobre jako podarunki gwiazdkowe. Lucy? Czy zaczęłaś już przygotowania do kolacji na Święto Dziękczynienia?

- Jeszcze nie - powiedziała Lucy. - To dopiero za miesiąc.

- Ilu będziemy mieli gości? - Zgodnie z wyliczeniami Donny, miało być około trzydziestu.

Lucy potwierdziła to. Podniosła wzrok znad szali.

- Dlaczego pytasz?

- Zastanawiałam się, czy nie mogłabym zaprosić kilku przyjaciół.

Lucy zmarszczyła brwi. - Przyjaciół? - Zapytała nie dlatego, że nie wiedziała, co to znaczy „przyjaciel”, tylko dlatego, że osoby, które wżeniły się w ich rodzinę, zazwyczaj nie prosiły o pozwolenie przyrowadzenia kogokolwiek na uroczystości Farrów.

Donna nalegała, posługując się zarówno rękami, jak i głosem. - Chelsea Kane jest sama. Jest ważna dla Notch. Powinniśmy ją zaprosić.

- Chelsea Kane jest w ciąży - powiedziała Lucy z surowym wyrazem twarzy.

- Jest to dodatkowy powód, żeby u nas była. Jest w ciąży i nie ma tu rodziny. - Donna mówiła pospiesznie, obawiając się, że w którymś momencie straci odwagę i nie zdąży wszystkiego powiedzieć. - Chciałabym też zaprosić Judda i Leo. I Nolana.

Lucy patrzyła na nią w pełnym dezaprobaty milczeniu.

- Jeszcze kogoś? - zapytała w końcu. Donna zamigała, że nie.

Lucy sięgnęła po następny szal ze stosu i sprawdziła jego splot. - Wiesz, że tego nie mogę zrobić.

- Dlaczego?

- Dlatego, że nie mamy zwyczaju zapraszać połowy miasta.

- Czworo ludzi - zamigała Donna i powiedziała:

- Wszyscy są szczególni.

Lucy znów na nią spojrzała. - Co szczególnego jest w Juddzie Streeterze?

- Kieruje przedsiębiorstwem mojego ojca.

- A Nolan McCoy?

- Ochronia Chelsea. Ostatnio przydarzały jej się nieprzyjemne rzeczy.

- Nieprzyjemne rzeczy nie przydarzałyby się jej, gdyby została tam, gdzie należy.

Donna miała argumenty na końcu języka, ale wykorzystała je już wcześniej. Przez lata Donna nauczyła się nie męczyć się mówieniem, tam gdzie nie było to

konieczne. Miała trudności z wypowiedzianiem słów. Zawsze więc przechodziła wprost do sedna, a w tym wypadku oznaczało to przekonanie Lucy do swojej prośby. - Zaproszenie Chelsea byłoby dobre dla Farrów

- powiedziała gestykulując wyraźnie.

Lucy wysunęła podbródek. - W jaki sposób?

- Ona ma pieniądze. Odgrywa tu ważną rolę. Niedługo wszyscy będą ją chcieli zapraszać na kolację. Powinniśmy być pierwsi. - Widziała, że Lucy jej słucha.

- Ludzie z Corner lubią ją. Gdybyśmy zaprosili ją na kolację, lubiliby nas bardziej i chętniej robiliby zakupy w naszym sklepie.

Ten argument trafił do Lucy. Donna mogła poznać to po jej wyrazie twarzy - do momentu, kiedy nagle potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło. - Emery nigdy się na to nie zgodzi. Oliver i George nie pochwaliliby tego.

Donna pokazała na migi, że jest zdenerwowana; było to czytelne, gdyż przypominało sposób wyrażania irytacji wśród słyszających. - Niech Emery ich zawstydzi

- powiedziała, tym razem używając głosu. - Niech podejmie decyzję, dzięki której Farrowie znajdą się w czołówce. Chelsea powinna była być zaproszona na kolację już dawno temu.

Widać było, że Lucy jest w rozterce. - Ale jest w ciąży i nie ma męża.

- To dobry powód, żeby również zaprosić Judda. Jest dla niej jak mąż.

- Ona twierdzi, że nie jest ojcem.

- Czy to ma znaczenie?

- W Notch ma.

- Może kiedyś miało. Czasy się zmieniają. Farrowie też się muszą zmienić albo zostaną z tyłu. Chcesz, żeby inni nas wyprzedzili?

Lucy wyglądała na tak rozdartą, że Donnie wręcz zrobiło się jej żal - ale nie na tyle, by mogła ustąpić.

Wykorzystując przewagę, jaką w tej chwili miała, zami-gała: - Czy mogę ich zaprosić?

- Nie. Nie. Jeszcze nie. Dopóki nie porozmawiam z Emerym.

Donna uniosła jeden z szali i dotykając sprawdziła splot. Jego kolorystyka była odważniejsza niż pozostałych - mieszanka wełny w kolorach głębokiego fioletu, lawendy i zielonej cytryny.

Zastanawiała się, czy nie kupić go dla siebie.

Gestem wdzięczności dotknęła ramienia Lucy i powiedziała: - Na pewno przedstawiś to tak, że Emery'emu spodoba się ten pomysł. Będzie dumny, że to ty zaproponowałaś.

Zgodnie z idealnym scenariuszem, Lucy miała poruszyć ten temat, kiedy zobaczy Emery'ego wieczorem; miała przedstawić argumenty, które Donna jej podała i uzyskać jego zgodę. Ponieważ Donna już dawno przestała wierzyć w idealne scenariusze, nie zdziwiła się, kiedy ani następnego, ani kolejnego dnia Lucy nic nie mówiła. Gdy w końcu zebrała odwagę, żeby zapytać, Lucy powiedziała, że Emery nadal to rozważa, co ku niezadowoleniu Donny było tak odległe od idealnego scenariusza, jak tylko można sobie było wyobrazić. „Rozważa to”, czyli omawia z George'em i Oliverem.

Donna zastanawiała się, czy nie zwrócić się do własnego ojca pod jakimś pretekstem, ale porzuciła ten pomysł. Oliver nigdy nie stwarzał pozorów, że lubi Chelsea. Czuł się dotknięty, że to ona ratuje przedsięwzięcie. Zresztą nie posłuchałby Donny. Donna była nikim.

Trwała więc w milczeniu i liczyła na lepszy obrót spraw.

A potem była awantura z Matthew. Zaczęła się przy kolacji, cztery dni po pierwszej rozmowie z Lucy. Donna wcześniej wyszła ze sklepu, żeby pójść z Joshiem do dentysty, chociaż nie obyło się bez przykrych słów ze strony Matthew, który uważał, że chłopiec powinien iść sam. Chcąc mu wynagrodzić, że go rozgniewała, postanowiła przyrządzić coś specjalnego na kolację.

W chwili, gdy wszedł do jadalni i skrzywił się, już wiedziała, że znalazła się w tarapatach.

- Co to za zapach?

Nie wiedziała, o jaki zapach mu chodzi - celowo wybrała krewetki, bo zawsze je zamawiał, kiedy jedli w restauracji - i spojrzała na niego pytająco.

- Czy to jest jakiś cholerny parmezan? Potrząsnęła głową, postawiła na stole dzbanek z wodą i pospieszyła do kuchni, modląc się w duchu, żeby chociaż spodobał mu się wygląd dania na tyle' żeby zrekompensować zapach, który mu się nie podobał. Wróciła do stołu z półmiskiem w momencie, kiedy wszedł Joshie.

Oczy mu się rozszerzyły i, jak zawsze kochany, zawołał: - Wygląda wspaniale!

Matthew zmarszczył nos. - Wygląda odrażająco Co to jest?

- Krewetki w curry, bakłażan i cukinia, i ryż.

- Kjeleki w kaji. Co to jest kjeleki w kaji?

- Kre-wet-ki w cur-ry - powtórzyła powoli i wróciła do kuchni po surówkę.

Nie spodobała mu się ani trochę bardziej. Potrząsał warzywami, jak gdyby spodziewał się, że same się odwrócą, żeby mógł je dokładnie obejrzeć. Kiedy tego nie zrobiły, podniósł pytający wzrok na Donnę.

- Cykoria - powiedziała.

- Wiem, że to cykoria. Sprzedaję cykorię. Chcę wiedzieć tylko, co ona robi na tym półmisku.

- To surówka z cykorii. Wydał wargi i kiwał głową.

- Surówka z cykorii, krewetki w curry, jakaś paciają z jarzyn i ryż - co złego jest w dobrym starym steku, ziemniakach i groszku?

- Ciągłe uskarżałeś się, że gotuję w kółko to samo. Lubisz krewetki. Pomyślałam, że spróbuję czegoś nowego.

- To interesujące, tato - powiedział Joshie. Matthew wpatrzył się w Donnę. - A sałata? Wydaje mi się, że mamy dosyć sałaty w sklepie. I ogórków, i pomi-

dorów. Czy coś nie w porządku z tradycyjną surówką z sosem winegret?

Donna poświęciła tyle wysiłku, żeby obrać i oczyścić krewetki, przyrządzić warzywa, ugotować na parze ryż, dobrać właściwe proporcje truskawkowego sosu do cykorii, że nie wiedziała, czy najpierw powinna się czuć urażona, a potem wściekła, czy odwrotnie. Nie podnosząc wzroku - nie chciała widzieć, co oni mówią, a szczególnie Matthew - usiadła na swoim miejscu za stołem i zaczęła nakładać z półmiska na talerze.

Właśnie stawiała talerz przed Joshiem i spojrzała na jego usta, dzięki czemu zrozumiała koniec wypowiedzianego przez niego zdania. - ...ich mamy nie gotują równie dobrze jak moja.

Teraz spojrzała na Matthew. - Więc możesz zaprosić twoich kolegów, żeby przyszli tutaj i to zjedli, bo ja tego jeść nie będę. - Patrząc na nią, podniósł półmisek z surówką i odwrócił go, wyrzucając zawartość na biały lniany obrus.

- Matthew! - zawołała.

- Naprawdę się spodziewałaś, że będę jadł te świństwa? - Jego wzrok powędrował na Joshiego. Donna też na niego spojrzała.

W głosie Joshiego była złość. - To obrzydliwe, tato. Zawsze mi mówisz, że nie powinienem niczego rozlewać. Nawet nie spróbowałeś surówki.

- Nie spróbowałem i tego też nie spróbuję. - Jeden ruch ręki i talerz wylądował na dębowej podłodze. Trzęsąc się, Donna wstała. - Dlaczego to zrobiłeś? - Zobaczyła, że Joshie też wstał, i modliła się bezgłośnie, żeby nie pogorszył sprawy.

Matthew siedział rozparty na krześle, z palcami założonymi za pasek od spodni i uśmiechał się. - To żarcie nie zasługiwało na nic innego. Posprzątaj tu i zrób coś innego. Jestem głodny.

Donna spojrzała na bałagan na podłodze i pomyślała o pracy, jaką włożyła w przygotowanie posiłku. Miała najlepsze intencje, ale Matthew nie wiedział, co to

znaczy. Równie mocny ból sprawiał jej słowami, co pięścią.

- Posprzątaj to! - wrzasnął tak głośno, że poczuła wibracje jego słów. - Jestem głodny. I tym też się zajmij. - W tym momencie zrzucił i półmisek na podłogę.

Joshie rzucił się do przodu. Donna powstrzymała go.

- Nie może tego robić - zamigał wściekły.

- Jest w złym nastroju - zamigała szybko.

Jego ręce poruszały się gwałtownie. - Poświęciłaś dużo czasu na zrobienie kolacji. Jeżeli mu nie smakowało to, co ugotowałaś, mógł wyjść i zjeść na mieście. I tak później wyjdzie. Dlaczego się na to zgadzasz, mammo? Jak możesz mieszkać z nim pod jednym dachem?

Zęby widelca uderzyły Donnę w obojczyk, przebijając sweter, który miała na sobie, i skórę. Kiedy cofnęła się, widelec spadł na podłogę.

Joshie rzucił się na Matthew.

Popędziła za nim i złapała go w pasie, krzycząc: - Nie, Joshie! Nie, zrób to dla mnie! Weź podręczniki i idź do Pete'a! Idź już! - Joshie wyrywał się jej jeszcze przez chwilę, zanim zrezygnował. Wysunęła się przed niego, stając pomiędzy ojcem i synem. Z mniejszym naciskiem powiedziała: - Proszę, Joshie. - Nie mam zamiaru stąd wyjść.

- Dam sobie radę.

Joshie spojrzał na ojca. Po chwili odpowiedział: - Ona nie zawsze daje sobie radę. Ty ją bijesz.

Widziałem to i słyszałem.

- Idź, Joshie - błagała Donna. Każdego dnia stawał się większy, przechodził przez okres dojrzewania i fizycznie był nieomal mężczyzną. Ale nadal miał tylko trzynaście lat. Nie wiedziała, jak trzynastolatek mógłby poradzić sobie z irracjonalnym okrucieństwem. Ona, jako dziecko, radziła sobie zamykając oczy. W pewnym stopniu nadal to robiła. Ale nie chciała, żeby Joshie tak postępował. Bardziej niż czegokolwiek na świecie pragnęła, aby miał ciepły, bezpieczny dom, którego jej brakowało.

- Idź - prosiła i w końcu musiało to do niego dotrzeć, bo posłał ojcu ostatnie pełne nienawiści spojrzenie i odwrócił się.

Przy drzwiach podniósł kurtkę i szkolną teczkę, które rzucił tam wchodząc do domu, i wyszedł. Donna natychmiast podniosła półmisek, uklękła na podłodze i nie zwracając uwagi na ból w obojczyku, zebrała ile mogła w gołe dłonie. Obraz jej się zamazywał. Poprzez łyzy widziała zabrudzoną podłogę. Kolacja była zmarnowana.

Przerwała, kiedy na podłogę zaczął się lać cienki strumień wody, i zobaczyła jak Matthew wolno, z rozmysłem opróżnia dzbanek. Zakreśliło jej się w głowie. Nie wiedziała, co go naprawdę rozwścieczyło, nie wiedziała, co zrobi za chwilę. Czuła się przerażona, upokorzona, wściekła. Wstała i cofnęła się. Wytarła ręce o spódnice, a kałuża na podłodze stawała się coraz większa. - Dlaczego to robisz? - zapytała.

- Robię to - powiedział Matthew, przedrzeźniając jej sposób poruszania ustami - dlatego, że na nic lepszego nie zasługujesz. Nadajesz się tylko do mycia podłogi, do niczego innego. - Wyraz twarzy nagle mu się zmienił, oczy zrobiły się niczym sople lodu. - Co cię opętało, żeby prosić moją matkę, by zaprosiła Chelsea Kane na kolację w Święto Dziękczynienia?

Więc o to chodziło. Powinna była się domyślić, powinna była przewidzieć, że tak będzie. Lucy powiedziała Emery'emu, który z kolei powiedział George'owi i Olive'owi. Jeden z trzech musiał powiedzieć Matthew, a ona musiała za to zapłacić. Ale do diabła, nie miała zamiaru przeproszać. - Pomyślałam, że byłoby to miłe - powiedziała tak spokojnie, jak tylko mogła się na to zdobyć. Spojrzenie Matthew stało się jeszcze twardsze.

- Nienawidzę tej kobiety. Wiesz o tym. Nienawidzę Judda Streetera i tego debila, jego ojca. A najbardziej nienawidzę Nolana McCoya. - Skierował na nią palec wskazujący. - Widzę, jak ten facet na ciebie patrzy. Jesteś

moją żoną! Nie może cię dotknąć! A ty nie możesz dotknąć jego! Dobrze o tym pamiętaj, bo znajdziesz się w o wiele większych tarapatach niż z okazji tej śmierdzącej kolacji. - Ledwo skończył mówić, kiedy w ataku furii zrzucił najpierw talerz Donny, a potem talerz Joshiego na podłogę. Porcelana pękła na kawałki, a za chwilę posypały się jeszcze odłamki szkła, bo zaczął rzucać szklankami, które świstały obok niej i rozbijały się o ścianę.

Osloniła głowę rękami. Brutalnie rozprostował jej rękę.

- Posprzątaj to! - wydarł się. - A kiedy skończysz, idź do sklepu i posprzątaj biuro, i pamiętaj, że następnym razem, kiedy bachor będzie miał wizytę, to ma iść sam. Daję ci dach nad głową, żarcie i ubranie, a to nie przychodzi za darmo. Nic za nic, szczególnie kiedy się jest upośledzoną, skretyniałą babą, która nie potrafi dobrze mówić i jeszcze nie słyszy, kiedy ja, cholera, do niej mówię. - Wykrzywiając wargi w pogardzie, potracając ją, wyszedł z pokoju. Po chwili usłyszała trzaśnięcie drzwi wejściowych.

Kiedy jej nieokrzesany, ordynarny mąż znalazł się za drzwiami, wpatrzyła się w potworny nieład na podłodze i zaczęła się trząść. Oparła się o ścianę, przycisnęła łokcie do boków i próbowała powstrzymać drżenie, ale bez rezultatu. Opanowało całe jej ciało, a stan jej umysłu nie był lepszy. Urywki myśli pływały w pustce, jaką miała w głowie - nienawiść, oszołomienie, uraza, lęk. Była sparaliżowana, niezdolna opaść na podłogę, mimo że kolana pod nią drżały, niezdolna oderwać się od ściany, mimo że stała na potłuczonym szkłe, niezdolna krzyczeć, mimo że nikt by nie usłyszał. Bałagan na podłodze, resztki jedzenia, kawałki szkła i porcelany tworzyły surrealistyczne dzieło, które wywołało w niej przerażenie tak wielkie, że mocno zacisnęła powieki. Jak gdyby zamknięcie jednych drzwi otworzyło następne, bo wewnątrz niej zaczęły narastać spazmy bólu. Czuła, jak się nasilają. Całe jej ciało pulsowało bólem. Głową i dłońmi przywarła do ściany i stała tak, całkowicie owładnięta przez ciemne siły bojaźni.

Straciła poczucie czasu.

Po dwóch, a może po dziesięciu minutach poczuła, jak wraca jej świadomość. Łkanie ucichło i drzenie się uspokoiło. Po tym, co przeszła, czuła się wyczerpana, wyciszona do całkowitej utraty sił.

Wytarła ręką nos i przeszła po rumowisku. W kuchni zdjęła każdą część odzieży, którą miała na sobie, położyła na blacie i umyła najpierw ręce, a potem twarz. Przejechała włosy wilgotnymi palcami, rozpuszczając kok i nadal przeczesywała je, idąc schodami w górę.

Zaraz potem, ubrana w dżinsy i sweter pod wytartą zimową kurtką, wyszła z domu. Szła ulicą w kierunku skweru, stanęła tyłem do kościoła i przez długi czas wpatrywała się w trzy solidne domy z cegły. Ich uroda kłuła w oczy, podobnie jak buta ich właścicieli. Przeklinała dzień, kiedy urodziła się jako córka Plumów, przeklinała dzień, kiedy poślubiła Farra. Przeklinała wieży, które łączyły ją z Norwich Notch, bo wiedziała, że nie może stąd odejść.

Z suchymi oczami, z rękami głęboko w kieszeniach, poszła dalej. Szła stroną skweru, po której znajdował się dom towarowy, a potem tą stroną, gdzie była gospoda, skręciła w jedną z bocznych uliczek, a potem w następną. Światła w oknach były zapalone, gdzieś stał już lampion z dyni, a we wnętrzach ludzie czytali lub oglądali telewizję. Nie patrzyła. Nie chciała widzieć, co robią inni.

Nie czuła chłodu, nie czuła ciemności. Jej ciało i umysł były odrętwiałe.

Minęła budynek straży pożarnej, szkołę, przeszła skrótem przez łąkę, potem zawróciła i weszła na drogę wiodącą z miasta. Chciało jej się iść i iść, i nigdy nie wrócić, rozpocząć nowe życie w mieście bardziej uczciwym i litościwym niż Notch. Była to rozkoszna myśl, która wywołała na jej twarzy smutny uśmiech, dopóki nie pomyślała o Joshim.

Po pewnym czasie zawróciła, ale nogi znów przywiodły ją do centrum miasta. Przeszła przez skwer i weszła w wąską ścieżkę, która nie zasługiwała na miano ulicy,

prowadzącą pomiędzy zakładem fryzjerskim i piekarnią. Na jej końcu był posterunek policji w Norwich Notch. Zaraz za nim stał mały domek, który należał do szefa policji. Spokojnym, pewnym krokiem podeszła do jego drzwi i cicho zapukała. Nolan otworzył. Na jej widok znieruchomiał. Wiedział, że coś się stało, wyczuwał nieme sygnały, które mu posyłała. Zatraskany, popatrzył przez sekundę na jej twarz, wziął ją za rękę i wciągnął do środka. On był troskliwy. Ze wszystkich rzeczy, za które Donna go kochała, najważniejsze było to, że był troskliwy. Dlatego nie zatrzymała się na progu, ale wpadła mu w ramiona. Dlatego uniosła twarz do pocałunku i oddała mu pocałunek, dlatego pozwoliła mu zdjąć wytartą kurtkę, dlatego przeszła z nim przez mały salonik do sypialni. Był troskliwy. Uważał, że zasługuje na jego troskę. Traktował ją, jak gdyby była cenna i bardzo, bardzo kobieca. Dlatego pozwoliła mu się rozebrać, dlatego patrzyła, jak on się rozbiera, dlatego przyjęła ciężar jego nagiego ciała, rozchyliła nogi i przyjęła go w siebie. Był troskliwy i za to go kochała.

ROZDZIAŁ 21

- Unikasz mnie - powiedziała Chelsea w chłodny wieczór na początku listopada, kiedy Hunter otworzył przed nią drzwi. Wsunęła zmarznięte ręce do rękawów płaszcza i podniosła głos, żeby przekrzyczeć *Dziwiątą Symfonię* Czajkowskiego. - Kiedy ja jestem w kamieniołomach, to ty znikasz. Kiedy jestem w biurze, to ciebie

nigdy tam nie ma. Kiedy jestem w kościele, to ciebie też tam nie ma.

- Nigdy nie bywam w kościele. - Spojrzał na jej brzuch, który wyraźnie odznaczał się między połami płaszcza. - Dziwne, że ciebie tam wpuszczają.

Chelsea zachichotała. - Nie mają wyboru. Ofiarowałam nowe organy. Ksiądz nalega, żebym siedziała w pierwszym rzędzie i tam zasiadam, razem z dzieckiem. - Wydawało się, że dziecko w ciągu ostatniego miesiąca podwoiło swoje rozmiary, jak gdyby korzystając z miejsca, które zapewniły mu ubrania ciążowe. Kiedy Chelsea przechodziła główną nawą kościoła, widać było, że z całą pewnością jest w ciąży.

- Założę się, że pierwsze damy miasteczka są zachwycone.

Jej uśmiech poszerzył się. - Dobrze myślisz. Hunter prychnął i spojrzał w bok, ale przedtem na jego wargach pojawił się złośliwy półuśmiech.

- Mogę wejść? - zapytała kuląc ramiona. - Tu jest lodowato.

- Znowu chcesz przeprowadzić rozmowę pod tytułem jestem samotna, Hunter, tak bardzo chcę pogadać"?

- Nie. Nie jestem samotna. Buck jest świetnym towarzystwem. - Biegał teraz po podwórku. - Ale martwię się. - O co?

- O ciebie.

Położyła obie ręce na jego klatce piersiowej, słusznie przypuszczając, że się cofnie, by uniknąć jej dotyku. Kiedy weszła do pokoju, właśnie rozległo się crescendo. Spojrzała za siebie. Stał przy zamkniętych drzwiach.

- Możesz to ściszyć?! - krzyknęła.

- Ja tak lubię! - odkrzyknął.

- Ale ja nie słyszę własnych myśli.

- Jeżeli chcesz pomyśleć, to wracaj do domu. Posyłając mu rozzłoszczone spojrzenie, sama podeszła do stereo i przyciszyła, a potem westchnęła z ulgą. - Twój sąsiedzi muszą to uwielbiać.

- I dlatego to robię.

Irytowanie sąsiadów mogło być korzyścią uboczną, ale przypuszczała, że dla Huntera ważna była sama muzyka. Sądząc po wielkości i rodzaju jego kolekcji, Hunter był koneserem. - Nigdy nie powiedziałaś mi, dlaczego lubisz muzykę klasyczną.

- Nie.

Czekała na odpowiedź.

Po chwili odpowiedział: - Kiedy byłem dzieckiem, w każdą sobotę chodziłem do filharmonii.

- Hunter.

- Dlaczego się dopytujesz?

- Jestem ciekawa.

- Moja matka lubiła muzykę klasyczną. Wystarczy?

Chelsea uznała to za interesujące; jeszcze jeden element jego przeszłości, który wyjaśniał, dlaczego jest taki, a nie inny, i jeszcze jedno, co ich łączyło. - Wystarczy. Dlaczego robisz z tego taką sprawę?

- Sprawa polega na tym, że to nie twój interes.

- I to właśnie mnie martwi. - Włożyła ręce do kieszeni płaszcza i stanęła po przeciwnej stronie pokoju, patrząc na Huntera. - Wydawało mi się, że jesteśmy na drodze, żeby stać się przyjaciółmi.

Wsunął dłonie pod pachy i milczał.

- Czy zrobiłam coś nie tak? - zapytała. Lekceważąco wzruszył ramionami.

- Czy ktoś w mieście powiedział o mnie coś, co sprawiło ci przykrość? - Mogły chodzić plotki o jej dziecku albo o tym, skąd pochodziła, albo co zamierzała zrobić z Notch, kiedy minie rok.

Pokręcił głową. Kiedy nadal milczał, wyjęła rysunek srebrnego kluczyka i podeszła z nim do niego. - Czy słyszałeś o tym?

Rzucił okiem na rysunek. - Nolan mi go pokazywał. Skąd go miałas?

Opowiedziała mu historię kluczyka i powiedziała: - Chciałabym, żebyś pomógł mi się dowiedzieć, skąd pochodził i gdzie jest teraz.

- Ja? - zapytał. - Dlaczego ja?

- Dlatego, że cię lubię.

Zrobił się ostrożny. - Ja nie daję się lubić.

- Kto ci to powiedział?

- To informacja, którą mi przekazywano przez całe życie.

- To błędnie odczytujesz informacje. Judd cię lubi. Ludzie w pracy cię lubią. Wydaje mi się, postanowiłeś sobie, że nie chcesz być lubiany i kiedy jest inaczej, odwracasz się i odchodzisz, i wmawiasz sobie, że tak było i tym razem.

- Dziękuję, doktorze Freud.

Chelsea zachichotała. - Szkoda, że nie ma tu Cydry.

- Tęskniła za nią. Często rozmawiały przez telefon, ale to nie było to samo, co wspólny wysiłek na trasie. Tamto było rodzajem terapii, składającej się z wysiłku fizycznego i rozmowy. - Pamiętasz Cydrę z dnia otwartego? - Pamiętam ją. - Była zaintrygowana twoim wyglądem.

- Jak większość kobiet.

- Gdyby tu przyjechała na tydzień, zaprosiłbyś ją gdzieś?

- Nigdy nie zapraszam kobiet - powiedział Hunter.

- Załatwiam sprawę i idę.

Załatwiam sprawę. Chelsea posłała mu błaznowate spojrzenie. Zachęcająco powiedziała: - Cydra jest świetną dziewczyną.

Posłał jej obojętne spojrzenie.

- W porządku, jeżeli tego nie chcesz zrobić, to czy pomożesz mi odszukać kluczyk?

Położył ręce na biodrach. Kiedy na jego twarzy ukazała się złość, wyglądał całkiem jak Oliver. - Co ja, u diabła, mogę zrobić? - Rozpytywać się. - Nolan już to robił.

- Ale ty jesteś bliżej wielu spraw - nalegała. Był już najwyższy czas, żeby rozpoczęła aktywne poszukiwania,

ale nie mogła tego zrobić sama. - Znasz Corner dużo lepiej niż Nolan. Ludzie mogą ci powiedzieć o rzeczach, których nie powiedzą jemu. Ktoś musi wiedzieć, gdzie jest kluczyk.

- Do czego on służy? - zapytał, znów przybierając wyzywający ton. Brzmiało to tak, jak gdyby ją sprawdzał, i doszła do wniosku, że ma prawo. Prosiła go, żeby coś dla niej zrobił. Miał prawo wiedzieć po co.

- Powiedziano mi, że to kluczyk do pozytywki.

- Ale jej nie masz. Więc dlaczego chcesz mieć kluczyk?

- Bo jest mój - tym razem ona podjęła wyzwanie.

- Nie mam niczego, co pochodziłoby od moich biologicznych rodziców, oprócz tego. Chcę go z powrotem. A jeżeli nie będę go mogła dostać z powrotem, chcę wiedzieć, kto przekazał go prawnikowi, który z kolei wysłał go do mojej matki.

- Kim był prawnik?

- Nie wiem. W Baltimore adopcja została przeprowadzona przez przyjaciela moich rodziców, ale on już nie żyje i nie pozostawił żadnych akt, które dotyczą tej sprawy. Urodziłam się w domu, więc nie ma żadnej historii choroby w szpitalu. Pytałam Neila, licząc, że może moja matka miała jakieś problemy w ciąży i zgłosiła się na wizytę do szpitala, ale w owym czasie jedyną wizytę, która pasowałaby do tych kryteriów, miała twoja matka. Pomyślałam, że może dowiem się czegoś od położnej. - Rozmawiałaś z nią?

- O tak - Chelsea dokładnie pamiętała to spotkanie.

- Twierdziła, że wtedy była zbyt młoda, żeby asystować przy porodach i że jej matka na pewno by wiedziała, ale już nie żyje. - Chelsea wyczuła, że kobieta wie więcej. Błagała. Proponowała pieniądze. Doprowadzona do ostateczności, zagroziła jej nawet, że poda sprawę do sądu, mimo że byłaby to kompletna strata czasu i pieniędzy. Kobieta się zaparła i nie powiedziała ani słowa.

Chelsea na pewno stwierdziła jedną rzecz. Nie chciała, żeby ta kobieta odbierała poród jej dziecka. Porody domowe miały być intymne, ciepłe, pozostawiające po

sobie dobre wspomnienia. Mając wybór pomiędzy mniej intymnym porodem szpitalnym a porodem domowym, gdzie miałyby jej pomagać położna, która nie pojmowała uzasadnionych ludzkich potrzeb, Chelsea w każdej chwili była gotowa wybrać szpital.

- Ona mi w niczym nie pomogła, więc kluczyczek jest moim jedynym punktem wyjścia. Pomożesz mi go odszukać?

Myślał chwilę nad odpowiedzią, a potem powiedział niezbyt grzecznie: - Przypuszczam, że tak.

- Twoje przypuszczenia mnie nie zadowolają. Albo to zrobisz, albo nie. - I wcale nie dbała o to, że mówi jak Kevin, bowiem ta sprawa była dla niej niezwykle istotna.

- Chcesz, żebym się o niego rozpytywał?

- Wyznaczyłam nagrodę. Tysiąc dolarów za informację prowadzącą do odzyskania kluczyczka.

Gwizdnął ironicznie. - Tylko na tyle cię stać?

- Na początek. To może się zmienić. A więc? Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w nią, wziął w końcu papier, złożył go i wsunął do kieszeni dżinsów.

- Dziękuję - powiedziała z przesadnym westchnieniem ulgi i w myślach skreśliła tę sprawę z listy spraw do załatwienia. - Jeszcze jedno.

Nachmurzył się. - Co jeszcze?

- Święto Dziękczynienia. Robimy wspólną kolację z Juddem i Leo. Przyjdiesz do nas?

- Wydawało mi się, że wybierasz się do Farrów.

Po pięciu miesiącach pobytu w Notch Chelsea nadal bywała zdziwiona, jak sprawnie tu działa poczta pantoflowa. - Co o tym wiesz?

- Wiem, że przez to Donna znalazła się w niezłym bagnie. Matthew złorzeczył i wydzierał się na ten temat w barze w gospodzie. Więc zdecydowali się ciebie nie zaprosić?

- Och, zaprosili mnie - chociaż żałowała, że Donna poprosiła o to Lucy - ale nie chcieli, żeby przyszedł ani Judd, ani Leo, ani Nolan.

- Powinnaś tam pójść i włożyć najbardziej obcisłe ciuchy, jakie masz.
- Wstydź się, Hunter.
- Mimo wszystko, skoro znalazłaś się na liście numer jeden, powinnaś tam pójść.
- Coś ci powiem - powiedziała tonem zwykłej rozmowy towarzyskiej. - Przez większą część życia byłam na liście numer jeden i nie wywarło to na mnie żadnego wrażenia. Ludzie na liście numer jeden zwykle zajmują się tym, jak się na niej znaleźć albo jak na niej pozostać, więc nie mają zbyt wiele czasu na cokolwiek innego i są przy tym niesłychanie nudni. Zawsze wybiorę kolację z ludźmi z listy numer dwa lub numer trzy. Więc przyjdiesz na naszą kolację?

Znow wsunął dłonie pod pachy. - Nie wiem.

- Tak czy nie?
- Chyba mnie nie będzie.
- Dokąd jedziesz?
- W czasie świąt zwykle wyjeżdżam z miasta.
- Dlatego, że wywołują u ciebie depresję - zgadła.
- No, to ja daję ci szansę pozostania tutaj bez wpadania w depresję. Przyjdź.
- Zobaczę. - Chcę, żebyś się zadeklarował.
- Dlaczego? - zapytał w nagłym nawrocie złości.
- Dlaczego się mnie uczepiłaś? I nie mów mi, że mnie lubisz, bo to brednie i nie mów mi, że mnie pragniesz, bo oboje wiemy, że pragniesz Judda. Więc co chcesz osiągnąć?

Sama chciałyby to wiedzieć. Od początku pociągało ją dwóch mężczyzn w Norwich Noteh, Hunter i Judd. Rozumiała swój pociąg do Judda, był bardzo konkretny. Jej pociąg do Huntera był zupełnie innej natury. Czowała z nim jakieś powinowactwo, nie wiedziała z jakiego powodu, ani do czego mogło doprowadzić, tylko tyle, że istniało. Chciała się z nim zaprzyjaźnić - ale mówiła mu to już wcześniej. Powiedziała więc z westchnieniem:

- Chcę móc się porozumiewać z kimś, kto ma podobne doświadczenia jak ja.

- Podobne doświadczenia?! - wykrzyknął Hunter. - Kotku, mówimy o czarnym i białym, o nocy i dniu, o złu i dobru.

Potrząsnęła głową. - Urodziliśmy się w tym samym mieście, w tym samym roku, z kobiet, które nas poczęły, mimo że nie powinny były tego robić. Oboje nie mamy żadnych naturalnych krewnych, którzy by nas uznali. Obydwoje lubimy klasyczną muzykę, mimo że nie mamy słuchu, oboje lubimy motocykle i oboje nosimy kolczyki. Można przypuszczać - kontynuowała odważnie - że Oliver jest również moim ojcem, ale kobieta, która mnie urodziła, natychmiast oddała mnie do adopcji, zamiast ukrywać przez pięć lat. Jak ci się wydaje? Może jesteśmy przyrodnim rodzeństwem?

- Nie wydaje mi się! - wrzasnął Hunter.

- W porządku. Nie ma sprawy. Potrafię zrozumieć, dlaczego nie chciałbyś być ze mną spokrewniony. Mam ostry język, jestem obrzydliwie bogata i w ciąży. - Głos jej złagodniał, kiedy wymawiała ostatnią prośbę. - Ale naprawdę chciałabym z tobą spędzić święto. Proszę, przemyśl to jeszcze. Hunter nigdy nie dał jej odpowiedzi. Jak gdyby była to próba kontrolowania go, nie dawał się przyprzeć do muru. Niemniej w popołudnie Święta Dziękczynienia, wśród śnieżnej zawieruchy, zjawił się u drzwi Judda. Był tam jeszcze Nolan, Millie Malone, która nie miała rodziny w mieście, i zawsze wierny Buck.

To Święto Dziękczynienia było tak inne od sztywnych uroczystości z wynajętymi stołami i krzesłami, pełną obsadą kelnerską i dziesiątkami gości. Chelsea nie tęskniła za pompą tamtych dni, tęskniła za Kevinem i Abby. Z tego powodu była zadowolona, że ma tyle pracy przy przygotowaniu posiłku. Judd spędzał w kuchni tyle czasu co i ona, dzięki czemu praca była przyjemnością. Hunter przez cały czas zachowywał się nienagannie, a kiedy udawało się go włączyć w rozmowę, był wręcz zabawny. Leo, gdy już przestał dopytywać się, kiedy przyjdzie

Emma, był nieobecny w swój niewinny sposób, a Millie, choć poświęcała mu dużo uwagi, przez cały czas chichotała, pijąc o wiele więcej wina, które nalewał Judd, niż miała w zwyczaju. Jedynie Nolan robił wrażenie zatroskanego.

Chelsea nie udało się go dopaść samego aż do końca kolacji. Parzyła w kuchni kawę i układała na tacy desery, podczas gdy pozostali oglądali w telewizji mecz futbolu amerykańskiego. Nolan zaoferował pomoc, co oznaczało, że i on ma ochotę porozmawiać.

- Martwisz się o Donnę? - domyśliła się. Wiedziała, że ich związek w ostatnim czasie zacieśnił się i wiedziała dlaczego. Donna jej wszystko wyznała, kiedy poruszyła temat Święta Dziękczynienia.

Nolan oparł się o blat kuchenny z rozpaczą na twarzy.

- Matthew jest trudnym człowiekiem.

- Dzisiaj nie powinno się nic dziać - argumentowała Chelsea, ale i ona martwiła się, kiedy myślała, jak Donna przeżyje ten dzień. Żałowała, że jej tam nie ma, chociażby po to, żeby wystąpić w roli jej obrońcy. Ale jej obecność rozdrażniłaby Matthew i między innymi dlatego zdecydowała się nie przyjąć zaproszenia. Mówiła rozsądnie: - Dom będzie pełen gości. Wśród tylu osób będzie bezpieczna.

- Nie z Matthew. Jest w stosunku do niej podwójnie złośliwy, kiedy są w otoczeniu rodziny, bo on sam jest wtedy szczególnie sfrustrowany. Jego szwagierka jest obok, a on nie może jej dotknąć.

- Czy Donna wie o Joanie? - Donna nie dała jej żadnych przesłanek ku temu, a ona nie była na tyle gruboskórna, żeby zapytać wprost.

Nolan pociągnął nosem. - Wie, że jest jakaś kobieta, ale sama jest zbyt uczciwa, żeby zgadnąć, kto to jest. - Wpatrywał się w swoje dłonie. - Ciągle mówię jej, żeby się z nim rozwiodła. Zaopiekuję się nią. Ale ona nie chce.

Donna również i o tym powiedziała Chelsea. - Boi się o Joshiego i nie chce zhańbić nazwiska. To godne podziwu, jak mi się wydaje.

- To głupie.

- To też - powiedziała Chelsea w zadumie, bo Donna tak bardzo cierpiała.

Nolan przejechał dłonią po włosach koloru cętkowa-nego szarego granitu z Moss Ridge. Nie był ani trochę przystojny, ale Chelsea rozumiała, dlaczego Donna go kocha. Trudno byłoby znaleźć lepszego, łagodniejszego człowieka.

- Przeraza mnie - powiedział - że stanie się coś naprawdę złego, zanim w końcu zdecyduje się od niego odejść. Bije ją. Rzuca w nią różnymi rzeczami. - Ból w jego oczach był już dostatecznie wyraźny, ale dodał kolejny przykład. - Rzucił w nią widelcem. Musiał cisnąć nim jak nożem, bo miała rany klute w miejscu, gdzie ją trafił, i bardzo długo się goiły. To napaść z bronią w ręku. Mogłaby go za to podać do sądu, ale ona tego nie robi. - Jego nozdrza wydeły się. - Jestem cholernym przedstawicielem prawa, a ten sukinsyn jeszcze nieraz złamie prawo i może naprawdę ją zranić, a ja nie mogę zrobić niczego, żeby temu zapobiec.

- Porozmawiaj z nim, Nolan. Powiedz mu, co wiesz i co możesz zrobić.

- A wiesz, co on wtedy robi? Weźmie odwet na niej. Być może już jej nie uderzy, ale istnieją inne metody. Może wyjąć z kasy wszystkie drobne monety, porozrzucić je po sklepie i zmusić Donnę, żeby zbierała, dopóki kasa nie będzie się zgadzała co do centa. Jak mógłbym jej coś takiego zrobić? - zapytał, a potem przeklął. - Nigdy w życiu nie czułem się równie pogwałcony. Przysięgam, że momentami mam ochotę wrzucić odznakę do szuflady i wyjść na miasto z bronią w ręku.

- Ale nie zrobisz tego - przestrzegła go Chelsea.

- Byłoby to bezcelowe, bo co prawda pozbyłbym się tego sukinsyna, ale zamknęliby mnie z dala od Donny. A poza tym, jeżeli dać temu facetowi trochę czasu, to sam się załatwi. Wiesz, co robi trzy albo cztery razy w tygodniu? Siada w barze w gospodzie i pije, dopóki nie urznie się w trupa, a potem jeździ w kółko, dopóki nie dojdzie do wniosku, że już zmęczył się na tyle, żeby pójść

spać. Ten facet ma skłonności do autodestrukcji. Nie mam żadnych wątpliwości, że tak jest.

- Nie możesz go przyłapać, jak jeździ pijany?

- Już to robiłem. Kilka razy. I za każdym razem odwiedza mnie Emery, który mi przypomina, że to radni oceniają sposób, w jaki wykonuję obowiązki, i mogą, albo i nie, przedłużyć mi kontrakt. Mogę zachować posadę pozwalając Matthew rozbijać się po pijanemu w środku nocy, albo dać mu mandat i zostać wylanym. Jeżeli stracę pracę, będę musiał wyjechać z miasta, bo pilnowanie porządku publicznego to jedyna rzecz, jaką potrafię, a jeżeli wyjadę z miasta, nie będę mógł widywać Donny. Cokolwiek bym zrobił, to zawsze jest źle. Życie bywa czasami okropne.

Przygnębiony spojrział jej w oczy. - Może mimo wszystko powinienem zrezygnować. Nie potrafiłem znaleźć sprawcy twoich kłopotów. Nie mam żadnych podejrzeń, kto mógł do ciebie dzwonić, żadnych podejrzeń, kto spalił twoją stodołę, przeciął twoją linię telefoniczną, albo włamał się do twojego domu. Do czego więc, u diabła, się nadaje?

Chelsea odstawiła dzbanek z kawą i mocno schwyciła go za ramię. - Jesteś wysłannikiem niebios. Bez ciebie Donna byłaby zupełnie pozbawiona nadziei, że kiedykolwiek w życiu będzie szczęśliwa. A jeżeli chodzi o moje sprawy, to nie wydaje mi się, żeby ktoś chciał zrobić mi krzywdę. Chce mnie tylko wystraszyć. Nie sądzę, aby w tej chwili istniało zagrożenie. Nic nie wydarzyło się od czasu kradzieży kluczyka, więc może o to tylko chodziło.

Nolan podtrzymał ten temat. - No tak, a jeżeli zadamy sobie pytanie dlaczego, to możemy odpowiedzieć, że osoba, która ukradła kluczyk, dokładnie wie, kim jesteś. Oznacza to, że jeżeli uda mi się odnaleźć złodzieja, to prawdopodobnie uda mi się zdobyć odpowiedź na wszystkie twoje pytania. Skoro nie udało mi się tego zrobić, oznacza to, że cię zawiodłem.

Lekko potrząsnęła jego ręką. - Miałam kluczyk od wielu miesięcy i przez ten cały czas nie udało mi się

zrobić żadnych postępów w zdobywaniu informacji. Niektórzy ludzie potrafią znakomicie kryć swoje ślady. Mój ojciec zrobił to we wszystkim, co dotyczyło moich narodzin. Ten, kto ukradł klucz, też to zrobił. I ten, kto przeciął linie telefoniczne. Kiedy istnieją dziesiątki potencjalnych podejrzanych - dziesiątki mężczyzn, którzy noszą buty robocze o tym samym rozmiarze albo potrafią prowadzić ciężarówkę przedsiębiorstwa, albo są w stanie przeciąć linię telefoniczną, albo wzniecić pożar, albo dostać się do budynku nie wyłamując przy tym drzwi ani okien - to niemożliwe jest zawężenie ich kręgu. Nie winię cię za to w najmniejszym stopniu. Mamy do czynienia z kimś ogromnie sprytnym. Posłał jej żartobliwe spojrzenie. - To powinno zawęzić krąg podejrzanych. W Notch nie ma dziesiątek sprytnych ludzi.

Cmoknęła. - Powinieneś się wstydzić.

- Tak. Z bardzo wielu powodów.

Zadzwoił telefon. Wiedziała, że Judd podniesie słuchawkę w innym pokoju, westchnęła i pogłaskała rękę Nolana, zanim znów podniosła kawę. - Rozchmurz się. Wszystko się w końcu ułoży.

- A w tym czasie Donna jest maltretowana, a ty terroryzowana.

- Nie jestem terroryzowana. Na to bym sobie nie pozwoliła. Zainstalowałam w domu system alarmowy - Judd uparł się, żeby to zrobiła - i Buck jest u mnie. Owszem, martwię się o Donnę, ale nie możemy wiele zrobić, oprócz trzymania ręki na pulsie. Nie możemy zmusić jej, żeby odeszła od Matthew. Ona sama musi podjąć tę decyzję. Kiedyś osiągnie punkt, kiedy uzna, że jedyne, co jej pozostało, to porzucenie go.

Nolan nie robił wrażenia przekonanego. - Kobiety, które są bite, nie zawsze odchodzą. Pozostają w małżeństwie z jakichś powodów, które uznają za istotne.

- To prawda, ale one nie mają gdzie pójść. Donna ma. Jeżeli nie będzie miała ochoty schronić się u rodziny,

zawsze może zamieszkać u ciebie albo u mnie. Już wkrótce Matthew pośliznie się nogą. Wtedy wszystko się odwróci i skrupi na nim.

Jakby to był cud, dokładnie w chwili, kiedy to mówiła, w drzwiach kuchni pojawił się Judd z wiadomością, która potwierdziła każde jej słowo.

- Jest problem, Nolan. Dzwoniła najstarsza córka Montiego Farra. Wygląda na to, że Monti przyłapał Matthew na obmacywaniu Joanie, złapał za nóż i wbił w niego. Matthew będzie żył, ale Monti gdzieś uciekł. Przy takiej pogodzie może się to źle skończyć. Organizują poszukiwania i potrzebują ciebie, żebyś nimi kierował.

Dom Judda był oddalony od miejskiego skweru, ale jazda do Farrów kosztowała wszystkich sporo nerwów. Drogi były zdradziecko śliskie, widoczność bliska zeru. Śnieg zasypywał przednią szybę blazera natychmiast, jak tylko wycieraczki zdołały odgarnąć poprzednią warstwę, więc odbłask koguta migającego na dachu samochodu policyjnego Nolana, jadącego tuż przed nimi, został zredukowany do rozmiarów ledwie widocznej psychodelicznej plamki. Poza zasięgiem tego odbłasku i przednich świateł blazera panowała kompletna ciemność.

Przy tej pogodzie i całym zamieszaniu Judd wolałby, żeby Chelsea została w domu. Ani zawieja śnieżna, ani dom, gdzie przed chwilą ugodzono kogoś nożem, nie były odpowiednimi miejscami dla ciężarnej kobiety. Ale ona uparła się, żeby jechać, a ponieważ Millie została na miejscu, żeby pilnować Leo, stracił jedyny argument, który miał szanse powodzenia.

Judd miał nadzieję że przynajmniej nie jest jej zimno. Mimo że otulała się absurdalnie wielką parką i tak zawsze udawało jej się zmarznąć. Kiedy pracowała, zawsze była owinięta kocami, a on widząc ją zawsze miał ochotę ją ogrzać. Głupie. Niepraktyczne. Niepokojące. Jednak prawdziwe.

- To niesamowite - mówiła teraz. - Właśnie rozmawialiśmy z Nolanem, że wkrótce Matthew się pośliznie. Nie sądziłam, że stanie się to tak szybko.

Judd był poirytowany tym, że pragnie Chelsea, więc wpadł w cyniczny nastrój. - Niczego to nie zmieni. Matthew nie zacznie się trzymać z dala od Joanie, a Monti nie zostanie oskarżony o napaść z bronią w ręku.

- Ale teraz całe miasto pozna prawdę.

- Całe miasto już ją zna, z wyjątkiem Donny. Więc teraz i ona się dowie. A to, co się stanie potem, to sprawa wewnętrzna Farrów. Oni chcą tylko naszej pomocy w poszukiwaniach Montiego. Musi robić w portki ze strachu, żeby uciekać w taką burzę śnieżną. - Odważył się na sekundę oderwać oczy od drogi, ale to wystarczyło, żeby zobaczył zmartwioną twarz Chelsea. -Chcesz, żeby z tego wynikło coś dobrego dla Donny i ja też, ale nie miej zbyt wielkiej nadziei. Gdyby Notch było miastem, gdzie się piętnuje zło, Matthew już dawno byłby tu skończony. Donna nie jest pierwszą kobietą, którą źle traktuje. Chciał zdobyć Joanie już w szkole średniej, a że mu się to nie udawało, wyżywał się na innych kobietach. Kiedy się ożenił, po prostu skoncentrował się na Donnie.

Blazer wpadł w lekki poślizg, zanim Juddowi znów udało się złapać przyczepność. - Leżeć, Buck - powiedział Judd do tylnego lusterka. - Możesz się tu okazać najważniejszy. - Monti uciekł na piechotę, co znaczyło, że pozostawił za sobą ślady, chyba że wiatr się wzmógł i je zasypał albo Monti zdecydował się biec po śladach opon na jezdni. W każdym wypadku Buck będzie pomocny. Nie był psem gończym, ale miał w sobie odpowiedni instynkt.

Wszystkie trzy domy przy miejskim skwerze jarzyły się światłami. Wszędzie były zaparkowane samochody terenowe, należące do ludzi, którzy przerwali świąteczną kolację, żeby pomóc w poszukiwaniach.

Wystarczyło jedno spojrzenie na scenę rozgrywającą się w domu Farrów i Judd był wdzięczny, że mimo

wszystko Chelsea przyjechała. Wśród panującego zgiełku Donna siedziała prawie opuszczona w odległym kącie salonu. W pobliżu była tylko jej matka, jej siostra Janet i Joshie.

Lucy była w szpitalu z Matthew. Emery wydawał rozkazy Nolanowi. Joanie łkała w chusteczkę, otoczona przez licznych członków elity Norwich Notch.

Kiedy zobaczył, że Chelsea jest bezpiecznie usadowiona obok Donny, Judd przyłączył się do Nolana, Emery'ego i innych mężczyzn, którzy zebrali się, żeby wszcząć poszukiwania. Pomędzy nimi znajdował się Oliver, podobnie jak George i cała kolekcja krewnych i przyjaciół domu.

Nolan podzielił mężczyzn na grupy i każdej grupie przydzielił teren poszukiwań instruując, że dopóki będą widoczne ślady stóp, to mają iść za nimi, a kiedy ślady zanikną, to od tego punktu mają rozejść się w obrębie koła. Jego zastępca miał zostać na posterunku, gdzie miano przekazywać wszystkie informacje. Dźwięk syreny na dachu straży pożarnej miał zwoływać wszystkich na skwer.

Siady Montiego prowadziły z ogrodu za domem Farrów poprzez przysypany śniegiem żywopłot i podwórze Calvina Balia na ulicę, gdzie po przejeździe pługa śnieżnego zniknęły wszelkie ślady.

Poszukiwacze więc rozdzielili się niczym piasty koła.

Judd, Nolan i trzech inni mężczyźni, uzbrojeni w latarki i radiotelefon nastawiony na posterunek policji, szli za Buckiem w kierunku lasu odległego o pół mili od centrum miasta. Nie było żadnych śladów, ale był to bardzo prawdopodobny kierunek ucieczki. Po drodze stały opuszczone szopy i szałaszy zrobione przez dzieci, idealne miejsca, żeby zatrzymać się na chwilę i opamiętać. Monti nie był głupim człowiekiem - być może żył we własnym świecie, ale nie był głupi i nie miał skłonności samobójczych, jak twierdzili wszyscy, którzy go znali. Nie był szczególnie odważny, bo inaczej już dużo wcześniej zareagowałby na romans swojej żony i swojego

brata. Teraz wpadł w panikę i zwał, ale nie był typem, który uciekłby daleko.

Mozolnie posuwali się naprzód, wykrzykującego imię i sprawdzając każde możliwe schronienie. Śnieg nie przestawał padać, a las był tak piękny, że w innych okolicznościach Judd przyszedłby tu z własnej woli. Tu noc była spokojna, bezgłośnie, czysta. Niestety, okoliczności uczyniły ją również zimną, ciemną i groźną.

Mijały godziny. Przeczესali cały las bez rezultatu, potem przeszli przez południową część miasta. Wieść o poszukiwaniach dotarła już do domów, które się tam znajdowały. Na gankach paliły się światła. Osoby nie biorące udziału w poszukiwaniach stały w drzwiach, pytając o postępy i proponując coś ciepłego do zjedzenia i do picia.

Śnieg ustał o trzeciej nad ranem, pozostawiając na ziemi trzydziestocentymetrową pokrywę. Zastępca poinformował, że rana Matthew została już zszyta i że czuje się on dobrze, na co Nolan pokręcił głową z obrzydzeniem.

Poszukiwania trwały nadal.

Judd najbardziej odczuwał chłód w barku, nawet bardziej niż w rękach i stopach, choć i tam marzył coraz bardziej. Temperatura ciągle spadała, co dla poszukiwaczy nie było korzystne, ale lodowate powietrze mogło skłonić Montiego do szybszego powrotu do domu.

Zaczęło świtać, cały krajobraz lśnił niebiesko, kiedy przez zakłócenia w radiotelefonie Nolana przebił się głos jego zastępcy. - Czy Judd jest z tobą, szefie?

- Jest tutaj.

- Muszę z nim porozmawiać.

- O co chodzi, Donny? - zapytał Judd, ale zanim usłyszał słowa zastępcy, zrobiło mu się jeszcze bardziej zimno. Ledwie zdążył pomyśleć coś o szóstym zmyśle, kiedy doszły do niego słowa.

- Millie Mallone właśnie zadzwoniła w napadzie hysterii. Wrzeszczała coś o winie i o jedzeniu, że ją uśpiły. Obudziła się przed chwilą i odkryła, że nie ma Leo.

Chelsea była jeszcze u Farrów, czekając wraz z Donną na informację o Montim, kiedy doszła do niej wiadomość o zniknięciu Leo. Ubrała się i właśnie szła po podjeździe, kiedy zobaczyła Judda pędzącego ulicą i wsiadła do blazera w sekundę po Bucku.

Śnieg pokrywał grubą skorupą czapkę, kurtkę, rękawice i buty Judda. Jego twarz była spopieliała, a wargi sine. Wśliznął się do samochodu, rzucił czapkę i rękawice na siedzenie, przekręcił kluczyk w stacyjce i tarł ręce, starając się je rozgrzać. Podała mu kubek gorącej kawy. Chwycił go w obie dłonie, wypił duży łyk, oddał go jej i wrzucił bieg.

- Czego się dowiedziałeś? - zapytała.

Zawrócił, wpadł w poślizg, wyprostował samochód i dodał gazu. - Niewiele. Nie wie, kiedy wyszedł. Mogła być ósma wieczorem, dziesiąta, dwunasta albo druga nad ranem. Przez cały czas spała.

- W co jest ubrany?

- Sądzi, że w to samo, w co był ubrany, kiedy wyszliśmy.

- Ma na sobie jakąś kurtkę?

- Tylko kurtkę baseballową.

Chelsea skuliła się. Kurtka baseballowa była dobra na chłodny letni wieczór, ale nic ponadto.

Implikacje tego, że Leo miał na sobie tylko tę kurtkę, były tak oczywiste jak strach na twarzy Judda.

Znów podała mu kawę i zabrała kubek, kiedy wypił kolejny łyk. - Dokąd on zwykle chodzi na spacer?

- Do lasu. - Judd przeklął. - To może być jego pieprzony pech. Mógł być wzięty za jednego z poszukiwaczy albo mógł zupełnie się zgubić. Można sobie darować szukanie śladów. Nikt nie będzie w stanie ich odróżnić od innych. - Znów przeklął.

- Znajdziemy go, Judd - powiedziała.

- Na pewno nie ty - podniósł głos. - Ty zostaniesz w domu. Bez tego mam się o co martwić.

Nie sprzeczała się. Zależało jej na tym, żeby jak najwięcej pomóc, a gdyby go zdenerwowała, nie mogłaby

tego zrobić. Był wyczerpany i przemarznięty, i w nie najlepszym stanie do rozpoczęcia kolejnych poszukiwań w zaśnieżonym lesie. Potrzebował snu, suchego ubrania i jedzenia. Nie wiedziała, czy zdecyduje się na którąkolwiek z tych rzeczy.

Poza tym nie była w odpowiedniej kondycji, żeby chodzić po lesie. Wiedziała, że'o wiele lepiej będzie, jeżeli zostanie w domu trzymając na podorędziu dzbanek z gorącą kawą, garnek zupy na piecu i ciepły ogień dla tych, którzy mogą przyjść i tego potrzebować.

Judd zajechał przed dom i błyskawicznie wyskoczył z samochodu. Zdecydował się włożyć suche ubranie i to wszystko. Natychmiast wyruszył do lasu w towarzystwie Nolana, Huntera i większości załogi Plum Granite, jak oceniała Chelsea, patrząc na zgromadzony tłum. Nie mogła się oprzeć satysfakcji, że sprawiedliwości stało się zadość i na poszukiwania Leo Streetera wyruszyło dwa razy tyle ludzi co na pościg za Montim Farrem. Ci mężczyźni przyszli, bo lubili i szanowali Judda. To było wzruszające.

Mijały kolejne godziny poranka. Chelsea nie spała tej nocy, zdrzemnęła się więc na fotelu w salonie. Zanim minęło południe, zjawiała się Donna, która odmówiła wszelkich rozmów na temat Matthew. Wkrótce potem zadzwonił zastępca Nolana i powiedział, że znaleziono Montiego w warsztacie na końcu miasta, że jest załamany nerwowo, ale poza tym w porządku. Chelsea modliła się, żeby Leo też miał tyle szczęścia.

W miarę jak mijało popołudnie, zaczęły przychodzić kobiety. Większość z nich była z Corner, chociaż było parę z centrum miasta, jak Ginny Biden i Sandra Morgan. Wszystkie przyniosły jedzenie i było to bardzo pomocne, bo co pewien czas wpadali poszukiwacze, na wpół zamarznięci, głodni i pesymistycznie nastawieni. Bali się, że Leo mógł się zgubić, położyć się i zamarznąć na śmierć, w którym to przypadku mogły minąć dni, nawet tygodnie, zanim znajdą jego ciało pod śniegiem.

W miarę jak mijały godziny, narastał również strach Chelsea. Słupek rtęci na termometrze ciągle spadał. Piękno rzeźbionego w śniegu krajobrazu wydawało się okrutną igraszka. Bez końca stała przy oknie wypatrując Judda, choć wiedziała, że nie wróci, dopóki nie odnajdzie Leo albo sam nie padnie na drodze. Żałowała, że nie może nic zrobić, nic, tylko czekać i zamartwiać się myśląc, co by było, gdyby została tu, zamiast jechać do Farrów albo gdyby przynajmniej Buck został, albo gdyby Millie tyle nie wypła, albo gdyby był czas, żeby wypić kawę, albo gdyby Leo był w zakładzie dla przewlekle chorych. Wiedziała, że w którymś momencie Judd też będzie rozmyślał o tych wszystkich rzeczach i pozostała jej tylko modlitwa, żeby odnaleziono Leo żywego.

Zmrok zapadł szybko, jak to pod koniec listopada. Chelsea zapaliła wszystkie światła w domu w nadziei, że jeżeli Leo jakimś cudem przeżył zawieję i uniknął poszukiwaczy, może go zwabić coś znajomego. Podgrzała wielki garnek gulaszu przyniesiony przez jedną z kobiet, garnek zupy przyniesiony przez inną, podgrzała w piekarniku chleb i zaparzyła dzbanek kawy. Co chwilę dokładała drewno do kominka. Donna już poszła do domu, żeby nie zostawiać Joshiego samego, bo ciężko przeżywał dramat rodzinny, który rozegrał się w Święto Dziękczynienia.

Potem, tuż po ósmej wieczorem, coś się zaczęło dziać. Otworzyła drzwi i zobaczyła nadchodzących z lasu mężczyzn. Wydawało jej się, że wśród nich widzi Judda, Nolana i jakiś tobół pomiędzy nimi, ale ruszali się zbyt szybko i noc była zbyt ciemna. Zapaliły się światła samochodów i zawarczały silniki. Zastanawiała się, kogo mogłaby zagadnąć z prośbą o informację, kiedy tuż przed nią pojawił się Judd. Wyglądał jeszcze gorzej niż dziś rano.

- Nie wiem, czy uda mu się przeżyć - powiedział wstrząśnięty, a Buck otrzepał śnieg z sierści i wbiegł do domu. - Zabieramy go do szpitala.

- Jadę z wami - powiedziała Chelsea. Miała już dosyć beczynnego siedzenia w domu. W szpitalu też będzie siedzieć i też nie będzie w stanie pomóc, ale przynajmniej będzie z Juddem.

Błyskawicznie nałożyła kurtkę, zostawiła w domu rozgrzewających się poszukiwaczy i wsiadła z Hunterem do blazera, podczas gdy Judd, Nolan i jeszcze dwóch mężczyzn zanieśli Leo do wozu policyjnego.

W szpitalu znów rozpoczęło się oczekiwanie. Judd nerwowo spacerował tam i z powrotem pomiędzy małym gabinetem lekarskim i poczekalnią. Prawie się nie odzywał, jego ponura twarz i tak mówiła dostatecznie wiele. Pielęgniarki pozwoliły Chelsea korzystać ze szpitalnej kuchni, ale on odmawiał zjedzenia czegokolwiek. Pił tylko kawę. Była pewna, że wyłącznie dzięki kofeinie trzyma się jeszcze na nogach.

Około jedenastej, wbrew sobie, zdrzemnęła się na krześle w poczekalni, zwinięta w kłębek i nakryta parką. Kiedy się obudziła, dochodziła już druga, Hunter i jeszcze kilka osób stało obok, a Judd przykucnął przed nią.

- Zmarł - szepnął ochryple. - Chodźmy.

Zanim wstał, mocno objęła go za szyję i przytuliła. - Przykro mi - szepnęła. - Tak mi przykro, Judd.

Nie odezwał się, tylko lekko dotknął jej pleców. Kiedy go puściła, wstał. Dotknął zamka błyskawicznego jej parki, przypominając, że ma go zapiąć, przytrzymał przed nią drzwi i poczekał, aż wejdzie do blazera, zanim usiadł po stronie kierowcy.

Robił wrażenie oszołomionego, co było całkowicie normalne, mówiła sobie. Nie zmrużył oka przez prawie dwie doby, wypełnione olbrzymim wysiłkiem fizycznym i napięciem. Żałoba ogarnęła go w takim samym stopniu jak i wyczerpanie.

Podjechał do swojego domu i wprowadził ją do środka, chociaż ona i tak nie dałaby się zawieźć gdziekolwiek indziej. Nie zamierzała pozostawić go samego, dopóki się nie prześpi, nie zje czegoś i nie przekona jej, że zaczyna dochodzić do siebie. Nigdy w życiu nie była bardziej

przekonana, że jest na właściwym miejscu, że robi właściwe rzeczy we właściwym czasie.

Judd rzucił kurtkę na krzesło, ściągnął buty jednym kopnięciem i poszedł do łazienki, skąd po chwili usłyszała szum prysznica. Poszła do kuchni, pewna, że po całym dniu został koszmarny bałagan, który powinna sprzątnąć. Odkryła, że kuchnia lśni, podobnie jak reszta domu, wysprzątana przez anioły w postaci przyjaciół.

Kominek był załadowany żarzącymi się polanami. Dołożyła jeszcze jedno, które natychmiast się zajęło. Potem dołożyła drugie i jeszcze trzecie, i pomyślała, że tej nocy, kiedy umarł człowiek, który zadał sobie tyle trudu, żeby starannie ułożyć każdy kamień tego kominka, symboliczny ogień w nim powinien płonąć jak najwyżej. Kominek, niski kamienny mur otaczający dom, mnogość innych kamiennych murów, które zbudował, Judd - to wszystko przypominało Leo, to wszystko go przetrwało.

Buck przyszedł z tylnej części domu i wsadził nos w jej szyję. On też był przygnębiony. Objęła go na chwilę, a potem pozwoliła mu wrócić na stary postrzępiony chodnik w pokoju Judda.

Nadal słyszała dźwięk prysznica. Wyobrażała sobie Judda stojącego pod strumieniem wody, całkowicie zrozpaczonemu, pozwalającego gorącej wodzie obmywać jego skórę, ale nie przenikać przez nią do chłodu, który zmroził jego wnętrze. Tak było, kiedy Abby umarła. Takie uczucie nie opuszczało jej przez wiele tygodni.

Chciała o tym opowiedzieć Juddowi, chciała mu powiedzieć, że z czasem to minie, ale pamiętała, z jaką niechęcią sama przyjmowała takie słowa. Cierpiała z tęsknoty za Abby, chciała cierpieć z tęsknoty za nią, jak gdyby karząc się, że sama żyje. Słowa nie mogły przywrócić Abby. Słowa nie mogły przywrócić Leo. A Judda czekała jeszcze męka uczestniczenia w jego pogrzebie.

Szum wody ucichł. Zrobiła gorącą czekoladę w nadziei, że może zechce ją wypić, i wróciła do salonu. Ogień płonął wysoko, choć trzask drewna odbijał się

posepnym echem. Dom był pusty bez Leo. Nawet Chelsea, która stosunkowo niedawno zjawiała się w tych murach, odczuwała stratę.

Siedziała w fotelu obok kominka, kiedy pojawił się ubrany w dres Judd. Jego mokre włosy spadały nieporządnymi kosmykami na czoło. Stał przy kominku, położył dłoń na przepięknym kamiennym obramowaniu i wpatrzył się w płomienie.

Kiedy tak go obserwowała, sama odczuwając jego ból, kochając go - tak, kochając go - Chelsea opamiętało pragnienie, żeby go ukoić. Wstała z fotela i pod bluzą objęła go w pasie. Zanurzyła twarz w zagłębieniu poniżej jego ucha i w milczeniu próbowała przelać otuchę ze swojego serca w jego serce. Było to dla niej tak oczywiste, tak naturalne, że właśnie to powinna zrobić.

Z początku po prostu stał. Potem, jak gdyby ciepło jej ramion roztopiło coś zamrożonego, wydał niski, żalobny jęk. Otoczył ją ramionami, a w jego uścisku nie było słabości. Był silny, zdecydowany, nieomal porywczy. Jęknął znowu, tym razem wymawiając jej imię i przytulił ją jeszcze mocniej.

- Jestem tutaj - szeptała. - Jestem tutaj.

Jego ramiona drżały. Wydał kolejny okrzyk przepelniony bólem i przeciągnął rękami po jej ciele. Potem odsunął ją, żeby móc dotknąć jej piersi i brzucha. - Potrzebuję życia - powiedział zbolalym głosem i położył rękę na jej nabrzmiąłych piersiach, które były symbolem życia. Ujął jej podbródek i nakrył jej usta swoimi.

Chelsea nie myślała o fizycznej miłości, ale jej podniecenie było równie naturalne, jak obejmowanie go, cierpienie razem z nim i kochanie go. Włożyła całe serce w pocałunek, który mu oddała, i jak gdyby to wyczuł, jego pocałunek stał się jeszcze głębszy.

Przycisnął ją lekko w dół, tak że oboje uklękli przed kominkiem, zdjął z niej sweter i znów całował rozpinając guziki jej bluzki. W jego pocałunku tym razem była

żądza - i rozpacz, i smutek, i odkrycie, i pragnienie - a Chelsea odczuwała to jako dar.

Tego, co się wówczas stało, nie była w stanie ani przewidzieć, ani nie będzie w stanie zapomnieć przez resztę życia. Popatrzył na jej piersi i wtedy uświadomił sobie, że istnieje jej brzuch. Odsunął górę spodni, która go przykrywała i położył na nim obie dłonie. W tym momencie poruszyło się dziecko. Ręka, noga, ramię, stopa - trudno było powiedzieć, ale wewnątrz niej istniało życie, które Judd tak bardzo pragnął poczuć i zobaczyć.

Cudownym sposobem przez ból na jego twarzy przebił się zachwyty. Dziecko znów się poruszyło. Judd wydał cichy okrzyk. Trzymał rękę na jej brzuchu, dopóki się nie uspokoiło, a potem spojrzał na nią. Z pociemniałymi, pełnymi napiętości oczami i nierównym oddechem przyciągnął ją do siebie.

Sekundy później przycisnął ją jeszcze mocniej, jak gdyby usiłował ją wchłonąć. Cierpiał z powodu wielkiej straty i próbował wypełnić wewnętrzną pustkę, a ona pozwoliła mu wykorzystać do tego siebie, bo to był Judd i było jej z tym dobrze.

Mimo wszystkiego co przecierpiał tej nocy, w żadnym momencie nie zatracił się tak bardzo w swej pasji, by jej sprawić ból, chociaż nie był delikatny. Wziął ją z wybuchem napiętości, a kiedy skończył, wziął ją jeszcze raz, ale ani razu nie uraził jej brzucha i nie zostawił jej nie spełnionej.

Potem zapadł w kamienny sen i z początku wydawało jej się, że mogłaby patrzeć na niego całą wieczność, tak wielu rzeczy jeszcze nie udało jej się zauważyć, jeszcze tyle mogła w nim odkryć. Ale jej powieki stały się ciężkie i odnajdując w jego ciele ciepło, które do tej pory zapewniała sobie okrywając się warstwami kołder i kocy, pocałowała go w bark, szepnęła: - Kocham cię - i zasnęła na resztę nocy.

ROZDZIAŁ 22

Donna nieczęsto zwracała się do Olivera. Nie uważała go ani za dobrego człowieka, ani za wyrozumiałego ojca, ale teraz potrzebowała jego pomocy.

Zastać go samego nie było trudno, bo Margaret prawie każdego popołudnia miała jakieś spotkania. Wystarczyło się wychylić z okna domu towarowego i zobaczyć ciężarówkę Plum Granite zajeżdżającą do dużego domu z cegły na skraju skweru.

Matthew stał przy kasie. Dwa tygodnie minęły od czasu, kiedy otrzymał cios nożem i rana, piętnastocenty-metrowe cięcie wokół jego nieco otłuszczonej talii, już się zagoiła. Jej emocjonalne następstwa, przynajmniej dla Donny, nie. Reszta rodziny prowadziła dokładnie takie samo życie jak poprzednio, ale ona nabrała zupełnie nowego nastawienia.

- Idę zobaczyć się z ojcem - powiedziała do Matthew i wyszła, zanim zdążył ją zatrzymać. Nie zaczął traktować jej inaczej - był równie brutalny i ordynarny jak poprzednio - tylko ona przejmowała się o wiele mniej. Od tamtego Święta Dziękczynienia coś w niej umarło. Jeżeli o nią chodziło, to małżeństwo było skończone.

Oliver był w bibliotece. Był to jego ulubiony pokój, rodzaj majestatycznej iluzji, ciemny, umeblowany starymi meblami i pachnący nie otwieranymi od lat książkami. Oliver skończył sześć klas. Rzadko czytał cokolwiek poza literaturą zawodową, ale chciał mieć bibliotekę. Więc kiedy jego ojciec w końcu umarł i razem z Margaret wprowadzili się do tego domu, dawny salon został przerobiony na bibliotekę. Zabudował go półkami sięgającymi do sufitu i nabył kolekcję książek, które każdy kulturalny człowiek powinien mieć w domu, kupił biurko lepsze niż kiedykolwiek miał w pracy, lepsze krzesła i fotele, lepszy dywan. W gruncie rzeczy

biblioteka była lepiej urządzona niż pozostałe pokoje w domu. Czerpał ogromną satysfakcję z jej posiadania.

Kiedy Donna pojawiła się w drzwiach, siedział rozparty na krześle, z nogami skrzyżowanymi na biurku i szklanką whisky Jack Daniels w ręku. Nie ruszył się, tylko podniósł brwi.

- Dlaczego nie jesteś w pracy? - zapytał. Podeszła prosto do biurka i oparła się o nie dłońmi

- była odważna, bo strach przed Oliverem był w tej części jej osobowości, która właśnie umarła. Nie bała się go tak jak niegdyś. Nic, co mógłby powiedzieć, nie zraniłoby jej tak bardzo, jak już to zrobił Matthew. Stała się twardsza i silniejsza.

Przychodząc do niego, uczyniła dwa ustępstwa na jego rzecz. Po pierwsze, uznawała go za głowę rodziny i zamierzała go poinformować o swoich planach. Po drugie, mówiła na głos, co wołał, mimo że rozumiał język migowy.

- Chcę się rozwieść z Matthew - powiedziała. - Chciałabym mieć twoje poparcie.

Wykazując równie małe zainteresowanie, jak gdyby poinformowała go, że zamierza zrobić schabowe na kolację, powiedział: - Nie licz na to. - Wypił łyk ze szklanki. - Złożyłaś przysięgę. Plumowie nie łamią przysięgi.

- Farrowie to robią. Matthew to zrobił.

Oliver pomachał kościstą ręką. - Mężczyźni błędzą. To nic takiego.

- Dla mnie to ważne. Czy wiedziałeś o nim i o Joanie?

- To też nic takiego. Tylko plotki.

Odruchowo zaczęła używać rąk. - Nie plotki - zami-gała, a potem powiedziała na głos: - Monti ich widział. Wyciągnął nóż.

Oliver postawił szklankę na brzuchu. Ściągnął wargi i wpatrywał się w jej zawartość. - Monti nie chce się rozwieść z Joanie.

- To jego wybór. Nie przeszedł tego, co ja.

Oliver spojrział w jej oczy z wyzwaniem. - A ty skąd wiesz? Skąd wiesz, co czuje? Nie wiesz, panienko. Nic nie wiesz.

- Wiem więcej niż ci się wydaje - zamigała i migła dalej, bo tak jej było wygodniej. - Wiem, dlaczego jestem głucha i wcale nie choroba jest przyczyną. Jestem głucha dlatego, że matka wielokrotnie biła mnie po uszach, bo usłyszałam coś, czego nie powinnam była usłyszeć.

Oliver zdjął stopy z biurka. W jego oczach pojawiła się iskierka czegoś, czego nie mogła w pełni zidentyfikować, ale zaczęło jej się wydawać, że jego głos stał się cichszy. - Niczego nie słyszałaś.

Jej ręce powiedziały: - Wiele słyszałam i za to zostałam ukarana. Od tej pory jestem karana przez cały czas.

Oliver postawił szklanę na biurko. - Niczego nie słyszałaś.

Nie zamierzała tego wszystkiego mówić. Nawet teraz szumiało jej w głowie, tak samo jak wtedy, kiedy Margaret ją uderzyła, tak samo jak za każdym razem, kiedy przypominała sobie to, czego nie powinna była usłyszeć. Ten szum był niczym alarm, ostrzegający ją przed niektórymi myślami, ale w tej chwili mu się oparła. Nie chciała być ostrzegana. Wiedza była jej narzędziem.

- Wiem wszystko o Katie Love - zamigała - i wiem o Hunterze. Jest twoim synem, to twoja krew. Jest dzieckiem płci męskiej, którego twoja żona nie potrafiła ci dać.

- Brednie - powiedział Oliver, ale znów w jego oczach ujrzała dziwną iskierkę. Mogłaby przysiąc, że to strach.

- Jest. Wie o tym całe miasto.

- Nie miasto, w którym się obracam.

- Też wiedzą. Tylko nie ośmielają się tego powiedzieć.

- A ty się ośmielasz. - Wstał i pogroził jej drżącym palcem. - Nie chcę, żeby twoja matka kiedykolwiek usłyszała te bzdury.

- To nie są bzdury - powiedziała na głos. - To prawda.

- Prawda, nieprawda, to mogłoby ją zabić. - Oczy mu się zwięziły. - Czy tego chcesz? Już raz jej omal nie zabiłaś, kiedy ot, tak sobie ogłuchłaś.

Donnie opadła szczeka. - To przez nią jestem głucha.

- Gdybyś nie szpiegowwała, to nie byłabyś uderzona i nie ogłuchłabyś. Dokładnie tak samo jest między tobą i Matthew. Może gdybyś dla niego była lepszą żoną, nie musiałby szukać czegoś gdzie indziej.

Była oburzona. - Miał z nią romans długo przed naszym ślubem. - Od czasu, kiedy Matthew został ugodzony, jej przyjaciele wszystko jej wyznali. To była część tych informacji.

- No, ale długo nie udało ci się utrzymać jego zainteresowania. - Machnął ręką. - Możesz robić, co chcesz ze swoim mężem - i znów pogroził jej palcem - ale nie wolno ci martwić matki. Nie jest zbyt stabilna. To wszystko, co stało się w firmie, nie wpłynęło na nią dobrze. Ty ją zostaw w spokoju.

Donna nie zamierzała mówić Margaret ani słowa o tym, co wiedziała. Nie zamierzała też powiedzieć Hunterowi. Chciała tylko, żeby jej ojciec zaaprobował rozwiązanie tego katastrofalnego małżeństwa.

Wyglądało na to, że nie chce tego zrobić. Wyglądało na to, że będzie trzymał stronę Matthew, ale nie odczuwała takiego bólu jak kiedyś. Sprawili to Nolan, który ją kochał, i Chelsea, która ją ceniła, i Joshie, który zasługiwał na lepszy los niż ona. Była jeszcze dodatkowa różnica, jej własne przekonanie, że Oliver się myli.

Niestety, miał rację w jednej sprawie. Margaret była słaba. Potrafiła być wymagająca i jednocześnie manipulować otoczeniem, a przy tym poświęcać się, ale była słaba. Zmiany w firmie istotnie ją zmartwiły. Nie była sobą, odkąd nastąpiła Chelsea. A gdyby Donna odeszła od Matthew, to by ją dotknęło jeszcze bardziej.

Z poparciem OHvera Donna byłaby w stanie tego dokonać. Teraz już tego nie była pewna. Margaret spowodowała jej głuchotę, ale i sama też zapłaciła swoją

cenę. Donna, podobnie jak Oliver, nie chciała, żeby znów się załamała psychicznie. To była patowa sytuacja.

- Cześć, tato - powiedziała Chelsea tak wesoło jak tylko mogła, kiedy wreszcie nie automatyczna sekretarka, a Kevin odpowiedział na jej telefon. Potem czekała, cierpiąc z każdą sekundą coraz bardziej. Nie rozmawiała z nim od czasu Newport. Spodziewała się, że może po prostu odłożyć słuchawkę.

Przez chwilę się wahał, ale powiedział z troską w głosie: - Chelsea? Dobrze się czujesz?

Chciało jej się roześmiać z ulgą. - Dobrze. A ty?

- Nieźle - powiedział, ale tym razem ostrożnie, jak gdyby właśnie sobie przypominał, co działo się między nimi przed tą rozmową.

- Tęsknię za tobą - odważyła się powiedzieć. To była prawda, zawsze tak było, a teraz bardziej niż kiedykolwiek. Śmierć Leo uświadomiła jej, co mogłaby zaprzepaścić. - Zbyt długo z tobą nie rozmawiałam.

Kevin nie powiedział, że to prawda, ale w zamian zapytał: - Czy miło spędziłaś Święto Dziękczynienia?

- Tak... nie... To właściwie jeden z powodów, dla których dzwonię.

- Czy dziecko w porządku? - Znowu usłyszała troskę. Pławiła się w jego zmartwieniu, ale nie była na tyle złośliwa, żeby to przeciągać. Szybko zapewniła go, że tak i powiedziała mu o Leo. - Może tak było najlepiej. Jego stan się nie poprawiał. Było to takie trudne dla Judda.

Leo był dla Kevina tylko nieznaną ofiarą choroby Alzheimera, pozbawioną twarzy, natomiast rozmowa o Juddzie była zupełnie inną sprawą. Znał Judda. Judd miał twarz. Miał też język, którym - jak sam przyznał - powiedział coś, czego nie powinien był mówić, kiedy się ostatnim razem obaj spotkali. Chelsea nie wiedziała, co to było. Spodziewała się, że kiedyś, kiedy Kevin będzie dostatecznie zły, to jej powie.

- Judd jest niezwykłym mężczyzną - powiedział, co jej niczego nie wyjaśniało.
 - Niezwykłym?
 - Odważnym. Nie wahał się powiedzieć tego, co miał na sercu.
 - Żałował tego. Obawiał się, że mógł uczynić jeszcze więcej szkody w stosunkach między nami.
 - Tak.
 - Czy tak się stało? - zapytała Chelsea, bo nadal nie była w stanie sobie wyobrazić, co ojciec czuje i myśli. Nie odpowiadając na pytanie, Kevin powiedział:
 - Wydaje mi się, że cię lubi.
 - To obopólne uczucie.
 - Wyszłaś za niego?
- Słyszała powściąganą nadzieję. Jednak był bardzo konwencjonalny. - Czy byłoby ci z tym lżej?
- Gdybym powiedział, że tak, to czy byś to zrobiła? Cicho odpowiedziała: - Nie.
 - Tak myślałem. - Zamilkł. Miała właśnie coś powiedzieć o niewłaściwych powodach do małżeństwa, kiedy zapytał: - Ile ci jeszcze zostało? Położyła rękę na brzuchu. - Niecałe dwa miesiące.
 - Bardzo utyłaś?
 - Mam brzuch jak arbuz.
 - Czy dziecko jest aktywne?
 - Bardzo. - Uśmiechnęła się na tę myśl. Judd godzinami siedział i wpatrywał się w jej brzuch. Czasami wiedziała, że myśli o Leo, że jedno życie się skończyło, a drugie się zaczyna, a czasami był skoncentrowany wyłącznie na dziecku. Głaskał dłonią jej napiętą skórę, śledził ruchy dziecka, nakrywał małe łokieć albo piętę swoją wielką, pełną odcisków dłonią, masował jej mięśnie, kiedy spinały się w twarde węzły, i przez cały czas miał przejęty wyraz oczu.
 - Czy powzięłaś już jakieś decyzje w sprawie porodu?
 - zapytał Kevin.
 - Będę rodzić w miejscowym szpitalu. To tylko dziesięć minut drogi ode mnie. Lekarz jest dobry.

- To ten, który szkolił się w szpitalu Johns Hopkins? Uśmiechnęła się. Kwalifikacje znaczyły dla Kevina tak

wiele. - Ten z Johns Hopkins.

- To dobrze. - Przerwał. Ciszej zapytał: - Czy powiedziałaś Carlowi?

- Nie. A ty?

Odchrząknął. - Nie. Miałaś rację, kiedy mówiłaś o obawie przed wywołaniem problemów w jego małżeństwie. Nie jestem zadowolony, że ożenił się z nią, a nie z tobą, ale to już fakt dokonany. Nie rozumiem tylko, w jaki sposób udało ci się to utrzymać przed nim w tajemnicy?

- Nie byłam w Baltimore, odkąd ciąża stała się widoczna. Załatwiam wszystko telefonicznie lub faksem. Melissa wie o tym. Bardzo mi pomaga w aranżowaniu spraw z tamtego biura.

- Dużo projektujesz?

- Właśnie dostałam informację, że mogę zacząć z Hunt-Omni. - Była podniecona i bardzo, bardzo dumna. - Melissa będzie odpowiedzialna za nadzór wykonawczy. Będę jej przysyłać faksem projekty.

- Nie będzie to dla ciebie zbyt męczące?

- Ależ nie. Mam pracownię w domu na farmie. Uwielbiam wyzwania twórcze. Może moje ciało jest ociężałe, ale ręce i umysł palą się do pracy.

- Czy Hunt-Omni pochłonie cały twój czas?

- Nie cały - powiedziała zaciekawiona. - Dlaczego pytasz?

- Kilka tygodni temu dzwonił do mnie Marvin Blecker. Właśnie planuje nową inwestycję.

Chelsea od razu zrobiła się czujna. Marvin Blecker miał holdingi we wszystkich częściach kraju. - Jaką inwestycję?

- Sieć zespolonych szpitali, powstałych z fuzji co najmniej dwóch mniejszych szpitali w celu skonsolidowania świadczonych usług. Każdy taki zespolony szpital będzie potrzebował nowego głównego budynku. Marv chce projektu, który będzie zawierał jakiś charakterystyczny rys.

Powiedziałem mu, że może cię to zainteresować.

- Oczywiście! - Taka inwestycja byłaby długoterminowa. Gdyby udało jej się włączyć do projektu elementy z granitu, Plum Granite przez lata miałyby pracę. - Powinieneś być do mnie zadzwonić od razu!

Przez chwilę się nie odzywał. - To... nie było łatwe.

- Cieszę się więc, że to ja zadzwoniłam do ciebie - powiedziała bez urazy. Nie było czasu na żywienie urazy. Śmierć Leo pokazała to wyraźnie. Życie jest za krótkie, zbyt niestałe, żeby niepotrzebnie psuć stosunki między bliskimi osobami. - Naprawdę tęsknię za tobą, tato. Nie odwiedziłbyś mnie?

Cicho powiedział: - Jeszcze do tego nie dojrzałem.

- Mówiono mi, że Boże Narodzenie jest tu śliczne. Jest ceremonia zapalania świeczek na miejskim skwerze, jest gorący poncz w gospodzie...

- Na Nowy Rok wybieram się do Palm Beach.

- Czy przyjedziesz, kiedy dziecko się urodzi?

Po chwili powiedział: - Nie wiem, Chelsea. Nie mogę ci niczego obiecać. Nie chcę przyjeżdżać do tego miejsca. - Ale „to miejsce” to ja, a to jest twój wnuk.

- Wiem. Wiem.

- Mama chciałaby, żebyś przyjechał.

- To niesprawiedliwe - powiedział łamiącym się głosem. - Ona nie żyje, a ty mnie prosisz, żebym przyjechał do miejsca, o którym usiłowałem zapomnieć przez całe życie.

Chelsea musiała mu przyznać punkt za uczciwość. Robił postępy. - Kiedy wszystko przemyślałam, uznałam, że to najlepsze miejsce na urodzenie dziecka i uwielbiam mój dom na farmie. Jediną rzeczą, która mi się w nim nie podoba, jest to, że ty go jeszcze nie widziałeś. Jesteś moim ojcem. Jesteś wszystkim, co mi pozostało.

- A tam nie ma ojca?

- Jesteś tylko ty. Chcę, żebyś zobaczył dom na farmie i kamieniołomy. Chcę, żebyś poznał moich przyjaciół i żeby oni poznali ciebie. I naprawdę chciałabym, żebyś wziął dziecko na ręce.

Burkliwym tonem, który na nowo rozbudził w niej nadzieję, powiedział: - Najpierw je uródt. Znając ciebie, zrobisz to w trakcie burzy śnieżnej. Nigdy nie wybierałaś łatwej drogi, Chelsea Kane. Chelsea przypuszczała, że może mieć rację. Podczas gdy inna kobieta w tym stadium ciąży spędzałaby dni w fotelu bujanym, z nogami okrytymi kocem i książką o porodach na kolanach, ona była w biurze rozmawiając przez telefon z Marvinem Bleckerem, studiując fotografie przyszłych placów budowy przysłane przez Melisę, mnąc i wyrzucając kolejne arkusze żółtej kalki, dopóki nie powstał szkic, który jej się podobał.

Tyle tylko, że nie jeździła sama do biura. Judd zawoził ją tam co rano i znów wpadał do niej około południa. Nie chciał, żeby prowadziła samochód po oblodzonych drogach, nie chciał mieć na sumieniu wypadku, a ona nie protestowała. Nie protestowała również, kiedy wmuszał w nią litry mleka. Stała okoniem tylko, kiedy przyszło do czytania książek o porodach. Czytanie tego ją denerwowało.

- Nie masz rozsądnej wymówki - powiedział.

- Owszem, mam. Nie chcę wiedzieć o każdym drobiazgu, który może spowodować komplikacje. Dlaczego mam się koncentrować na problemach? Neil powie mi, co mam robić.

- Powinnaś była pójść na kurs.

- Najbliższy był Concord, a mnie nie chciało się dojeżdżać tam dwa razy w tygodniu. Poza tym - argumentowała - czy w kolonialnej Wirginii kobiety chodziły na kursy? Nie! Czy czytały podręczniki, jak rodzić dzieci w furgonach jadących przez równiny? Nie! A dzieci przychodziły na świat. Czasami niewiedza jest błogosławieństwem.

Szczerze w to wierzyła. Jej ciało do tej pory doskonale sobie radziło. Wierzyła w nie.

A jeżeli chodziło o błogosławieństwo, to też w nie wierzyła i dlatego zgodziła się na propozycję Judda, żeby

wyjechać na Boże Narodzenie. Nie pojechali daleko, do małego pensjonatu we wschodnim Vermont, ale i tak była to wielka frajda.

W ich pokoju było wielkie łóżko z baldachimem, wielka wanna na lwich nogach i wielki kominek z czerwonej cegły. Rzadko wychodzili poza posiłkami, spacerem po centrum miasta i pasterką.

- To jest prawdziwie dekadencje - szepnęła w pewnym momencie Chelsea. Było późne popołudnie, a oni siedzieli w wannie. Ciepła woda parowała, skręcając włosy Chelsea i zraszając nos Judda kropelkami potu. Co prawda, pot mógł być wywołany przez to, co robili. Chelsea siedziała okrakiem na jego biodrach, ramiona luźno zarzuciła mu na szyję i patrzyła mu w oczy. Leciuteńki nacisk jego rąk spowodował, że się pochyliła i pocałowała go.

- Dekadencje, ale miłe - powiedział z ustami przy jej ustach.

Włożyła palce w jego mokre włosy nad karkiem.

- Czy myślisz, że ludzie w Notch zastanawiają się, co też możemy robić.

- Aha.

- Przeszkadza ci to?

- Nie. Do diabła - powiedział - a cóż może robić mężczyzna z kobietą o budowie wieloryba? -

Pomasował jej brzuch, tworząc na wodzie małe falki.

Zaśmiała się i zanurzyła rękę pod powierzchnię wody.

Uwielbiała, kiedy głaskał ją po brzuchu. Jego reakcja wyraźnie dała jej do zrozumienia, że on też. - To dobrze, że nie musimy martwić się o prezerwatywę. Nie udałoby ci się kupić takiej, która by pasowała. Prychnął, podniósł ją i opuszczył na siebie. Siedzieli tak bez najmniejszego ruchu, leniwie, powoli się całując.

Odkryła, że Judd jest w tym niesamowity. Podobnie jak był oszczędny w słowach, potrafił być równie oszczędny w ruchach. - Dobre rzeczy przychodzą do tych, którzy czekają - przypomniał jej z zadowolonym uśmie-

szkiem. Ten wolny, leniwy sposób sprawiał, że wszystko stawało się bardziej intensywne. Potrafił trwać w niej bez końca, cały czas twardy, tylko od czasu do czasu przejeżdżał dłonią po jej plecach, od czasu do czasu muskał sutek, od czasu do czasu dotykał wrażliwego guzka tuż powyżej miejsca, gdzie byli połączeni. Podobnie potrafił się posługiwać językiem w niezwykle subtelny sposób, tak że brał w posiadanie całe wnętrze jej ust, nie będąc przy tym gwałtowny ani niecierpliwy. Po tym wszystkim potrafił doprowadzić ją do orgazmu jednym drobnym poruszeniem bioder - a ona już dawno temu przestała wierzyć, że jej system hormonalny jest zaburzony. To prawda, niektóre kobiety były bardziej aktywne seksualnie w czasie ciąży, ale Chelsea wiedziała, że i tak musiałyby być trupem, żeby Judd na nią nie działał.

Kochała go. Przypuszczała, że musiało to trwać dłużej niż była tego świadoma, chociaż po raz pierwszy zdała sobie z tego sprawę tej nocy, kiedy umarł Leo. Nie powiedziała jeszcze tych słów Juddowi. Instynktownie wiedziała, że nie powinna. Ale one w niej coraz bardziej narastały, chcąc wydostać się na zewnątrz, aż poczuła, że ją udławiają, jeżeli ich wkrótce nie wypowie.

Tak więc wczesnym rankiem Nowego Roku siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku. Owinęła rude prześcieradło i rudo-zieloną kołdrę wokół nagich ramion i wpatrywała się w Judda. Jeszcze spał. Wczesny wieczór spędzili na corocznej sylwestrowej kolacji z tańcami w kościele, ale długo przed północą ona już spała, zwinięta w kłębek i przytulona do niego. Musiał przez jakiś czas czytać, bo na nocnym stoliku leżała otwarta książka.

Leżał na plecach, z twarzą zwróconą w jej kierunku. Jego ciemne włosy były rozczochrane, rzęsy tworzyły czarną jak węgiel smugę na kościach policzkowych, jego wąskie usta były rozluźnione i łagodne. Mimo że letnia opalenizna dawno zbladła, jego cera tryskała zdrowiem.

Dotknęła jego ramienia, tego rannego. Blizna już zniknęła. Przejechała po niej palcem, przejechała wzdłuż klina włosów na piersi, lekko dotknęła podbródka.

Jego oczy wolno się otwarły. Na wargach pojawił się leniwy uśmiech, piękny u człowieka, który się tak rzadko uśmiechał.

- Szczęśliwego Nowego Roku - zaśpiewała cichutko i schyliła się, żeby go pocałować. Trwała jeszcze pochylona, pięć centymetrów nad jego ustami, kiedy powiedziała, jeszcze ciszej: - Kocham cię.

Zamknął oczy. - Mmmm.

- Słyszałeś, co powiedziałam?

- Nie mogłem nie usłyszeć, tak wrzeszczałaś.

- Nie wrzeszczałam. Powiedziałam bardzo spokojnie. Kocham cię.

Wziął głęboki oddech, na pół ziewnięcie, na pół westchnienie.

- Co to ma znaczyć? - zapytała.

- To znaczy, że mógłbym wyobrazić sobie łatwiejszy początek nowego roku.

- Ja nie - powiedziała z postanowieniem, że nie pozwoli sobie wylać kubła zimnej wody na głowę. -

Od dawna chciałam ci to powiedzieć. Było mi z tym tak dobrze, że chyba powiem to jeszcze raz.

Kocham cię. Jego usta straciły łagodną linię. Patrzył na nią oczami pociemniałymi od uczucia, którego nie odzwierciedlały ani twarz, ani głos. - Ja też cię kocham, Chelsea, ale tylko tyle mogę powiedzieć.

Nie wiem, co z tym zrobić, ani jak dalej postępować.

- Masz się z tego cieszyć - powiedziała z radosnym uśmiechem, bo te słowa z jego ust sprawiły jej niebywałą przyjemność. - To wszystko.

Nie wyglądał na przekonanego. - To trudne słowa.

- Nie dla mnie. Wyrażają to, co czuję tu i teraz. Jeżeli myślisz, że spodziewam się od ciebie jakichś zobowiązań, to się mylisz. Do czerwca mam dużo do roboty.

- To jeden z problemów. Gdzie będziesz potem?

- Nie wiem.

- Ja też nie wiem.

Uśmiechnęła się. - To stoimy na tej samej pozycji.

- Chelsea - skarcił ją - jak możesz się śmiać? W porządku, kiedy mówisz, że nie chcesz się związać, ale mimo wszystko miłość nie jest czymś, co można lekko traktować. Jeżeli to naprawdę miłość, to ona nigdy nie przemija.

Zrozumiała. - Myślisz o tym, jak Leo zakochał się w Emmie, a potem Emma go rzuciła.

- Nigdy się z tym nie pogodził.

- Opuściła go, bo nie mogła znieść Notch. W tamtych czasach albo się tu mieszkało, albo nie. Dzisiaj ludzie dojeżdżają do siebie.

Położył rękę pod głowę. - Nie powiesz tego tak łatwo, kiedy urodzi się dziecko. Już wtedy nie będziesz tak mobilna, a kiedy będzie starsze, powstanie problem szkoły. Będziesz musiała zamieszkać gdzieś na stałe. A co, jeżeli ja zdecyduję się na pracę w Denver? Albo w San Francisco? Albo w Honolulu? Wróciłem tu dlatego, że Leo zachorował. Teraz już nie żyje. Mam zobowiązania w stosunku do firmy i muszę zostać do końca czerwca, ale po tym terminie nie wiem, co będę robić. Widziała jego komputer, widziała jak go totalnie pochłania, widziała kontrakty i czeki, które przychodziły pocztą, i wiedziała, że jeżeli się zdecyduje, stoi przed nim zupełnie nowa kariera zawodowa.

Miał do tego prawo. Nie był z nią związany w żaden sposób. W najbliższej przyszłości będzie się zajmować dzieckiem, a on może tego nie ścierpieć. Jeżeli tak będzie, też ma do tego prawo. Nie jest jej nic winien.

Siedziała teraz obok niego, głaskała jego jędrną skórę od przedramienia do ciemnej kępki włosów pod pachą i wraz z ogarniającym ją od wewnątrz mrowieniem czuła, że jeżeli którekolwiek z nich ma pozostać ze złamanym sercem tak jak Leo, to nie będzie to Judd.

Judd mrużył oczy, wpatrując się w drogę. Zacisnął ręce na kierownicy i trzymał nogę na gazie tak mocno, na ile

pozwalala mu obrzydliwa pogoda. Była połowa stycznia, a śnieg padał z taką furia, jakiej nie widziano tu od Święta Dziękczynienia, chociaż tym razem było jeszcze gorzej. Wiał silny wiatr, a temperatura była dużo poniżej zera i śnieżycą powoli przeradzała się w burzę śnieżną.

- Uważaj - ostrzegł go Hunter, ale Judd już omijał samochód, który wpadł w poślizg.

- Dlaczego się tak spieszysz?

- Nie spieszę się - powiedział Judd.

- Masz randkę?

- No jasne.

- Gdybyśmy mieli trochę oleju w głowie, to zostalibyśmy w Bostonie.

Pojechali tam, żeby zamówić trzy nowe ciężarówki od firmy, z którą nigdy przedtem nie mieli do czynienia. Burza śnieżna była zapowiedziana na następny dzień. Jakies zmienione warunki atmosferyczne ją przyspieszyły. Wystarczyło jedno spojrzenie na pierwsze płatki i Judd poczuł niepokój. Z każdą chwilą uczucie stawało się silniejsze, ale nie chciał zjechać na parking, żeby przeczekać burzę.

- Dojedziemy tam - powiedział i przez jakiś czas jechali naprzód, słuchając uderzeń śniegu o przednią szybę, świstu wycieraczek, wycia wiatru i Jamesa Taylora.

Jeszcze odrobinę docisnął pedał gazu.

- Nic jej się nie stanie - powiedział Hunter. Judd nie był tego taki pewien.

- Ona ma termin dopiero za dwa tygodnie, Judd.

- Lekarze nie zawsze mają rację - powiedział Judd. - To dziecko decyduje, kiedy chce przyjść na świat.

- Nie mówiła ci, żebyś został.

- Nie zrobiłaby tego. Chciała, żebyśmy osobiście zobaczyli te ciężarówki. Kiedy chodzi o pracę, ona nie podejmuje żadnego ryzyka.

Hunter oparł się o drzwi. Po kilku minutach powiedział: - Nie możemy się na to skarżyć. Ona ułatwia nam zdobycie przedsiębiorstwa. Czy ona o tym wie?

- Prawdę mówiąc, wydaje mi się, że ją to niespecjalnie obchodzi - wymamrotał Judd.
- Więc ona nie chce przedsiębiorstwa?
- Nie tak bardzo.
- Trudno mi w to uwierzyć.

Judd usiłował wyprzedzić ciężarówkę, ale ledwo zdołał wycofać się na czas, żeby nie zderzyć się z samochodem nadjeżdżającym z przeciwka. Jak tylko samochód przejechał, znów zaczął wyprzedzać.

- Znakomity manewr - zauważył Hunter ironicznie. - Chcesz wysiąść i iść piechotą?
- Nie ma mowy. To nowe skórzane buty.
- To zamknij się - powiedział Judd. Nie potrzebował gadaniny Huntera. Nie potrzebował jego komentarzy o Chelsea i przedsiębiorstwie. Potrzebował tylko wydostać się i dojechać do Boulderbrook, i to szybko.

Hunter wyglądał przez okno. James Taylor śpiewał coś o chodzeniu wiejskimi drogami. Judd myślał o tym, co go czekało - jazda przez jeszcze jakieś trzy godziny, z tego niemało po wiejskich drogach. Zatrąbił na samochód, który włókł się niemiłosiernie, potem wykręcił kierownicę, zredukował bieg i minął go.

- Co się z tobą dzieje? - zapytał Hunter.
- Chcę tam jak najszybciej dojechać.
- Z nią wszystko w porządku.
- Jest sama. Powinienem był ją zostawić u kogoś w mieście. Przy moim pechu może się zdarzyć, że jakiś wariat zakradnie się tam i przetnie jej linię elektryczną. - Od czasu Newport wszystko się uspokoilo, ale Judd nie przypuszczał, że to już koniec. Ten ktoś był bardzo przebiegły.
- Twój pech? - Hunter powtórzył drwiąco. - Odkąd to jej los jest twoim?
- Odkąd kupiła pół przedsiębiorstwa Olivera - poinformował go Judd. - Chryste, jesteś taki cyniczny, że mnie zatyka. Czy tak trudno przyznać, że ta kobieta robi dla nas coś dobrego? Albo że jej motywy nie są wyłącznie

egoistyczne? Albo że przypadkiem może być przyzwoitą osobą? Znam cię, Hunter. Widziałem cię z nią. Na swój sposób opiekujesz się nią. Nie skrzywdzisz jej, ale jej nie cierpisz. Nie wiem tylko dlaczego. Ona ci niczego nie zabiera. Kiedy to wreszcie zrozumiesz?

Oczy Huntera wbiły się w niego. - Facet, ale cię wzięło.

- To prawda.

- Naprawdę cię wzięło - powiedział. - Jesteś złapany na haczyk.

- To nie twój interes, jaki jestem. Bądź tak dobry i zamknij na chwilę twarz. Inaczej możesz iść pieszo i zmarnować buty.

Hunter albo cenił sobie buty, albo przyjaźń Judda, albo własne życie, bo nie odezwał się już słowem.

Judd nie odrywał oczu od szosy, palce zacisnął mocno na kierownicy i nie odrywał stopy z gazu.

Mówił sobie, że wcale nie został złapany, że chciał szybko dostać się do domu, żeby uciec przed śnieżycą, ale kiedy James Taylor zaczął coś o „sposobie, w jaki się porusza”, wcisnął guzik i wyciągnął kasetę.

Chelsea wydawało się, że skurcze są już co pięć minut i próbowała zachować spokój. Nie miała ani światła, ani telefonu. Burza zerwała druty jakieś dwie godziny temu. Wkrótce potem odeszły jej wody.

A potem zaczęły się skurcze.

Pierwsze porody trwają strasznie długo. Wszyscy to mówili. Nie rozumiała, dlaczego przerwy między bólami są tak małe.

Początkowo zajęła się zapalaniem świec, zmianą pościeli, pakowaniem rzeczy osobistych do torby, którą miała przygotowaną w garderobie na korytarzu. Wysprzątała pokój dziecienny, mimo że nie wymagał sprzątanego. Był urządzony w żywych biało-żółtych kolorach, radosnych nawet w świetle świecy i rozweselał ją na tyle, na ile to było możliwe, zważywszy fakt, że była sama i rozpoczęła poród w trakcie szalejącej śnieżycy.

Nie całkiem sama. Buck był z nią, chodząc za nią krok w krok z pokoju do pokoju. Mimo że był wiernym przyjacielem, to nie mógł odebrać dziecka.

Kiedy już nie znalazła nic do roboty, usadowiła się w salonie przed kominkiem. Teraz podniosła się z krzesła i krążyła po pokoju. Kiedy znowu odezwał się ból, przytrzymała się oparcia kanapy, dopóki nie ucichł i podeszła do okna. Nie widziała prawie niczego, poza płatkami śniegu uderzającymi o szyby w słabej poświacie z kominka. Kiedy nie paliła się lampa na ganku, noc na zewnątrz była ciemna niczym sadza.

Chciała już widzieć światła samochodu, chciała już widzieć Judda. Wiedziała, że śnieżycy musiała go zatrzymać i nie poprawiało to jej samopoczucia. Wkrótce będzie potrzebować pomocy i nie będzie w stanie sama jej wezwać. Wcale nie pociągała jej myśl, że miałyby sama urodzić dziecko.

Judd miał rację. Powinna była przeczytać podręcznik o porodach. Myśląc, że lepiej późno niż wcale, wzięła świecę i przyniosła książkę z sypialni. Otworzyła ją, nie wiedząc od czego zacząć, przerzucała kartki, dopóki nie złapał jej następny skurcz. Wtedy odłożyła książkę i poddała się bólowi.

Za szybko, myślała, za szybko. Pierwsze porody trwają bardzo długo. Za chwilę wszystko się zwolni. Ale nic się nie zwolniło. Minęły zaledwie cztery minuty, a już przyszedł następny skurcz. Kiedy osłabł, znów przeszła się po pokoju. Z pobożnym życzeniem podniosła słuchawkę telefonu. Dołożyła drewna do kominka. Otworzyła podręcznik na przypadkowej stronie, zaczęła czytać o komplikacjach przy porodach, z trzaskiem zamknęła go i odsunęła poza zasięg wzroku. Próbowała być spokojna i nie przejmować się bólami, ale stawały się coraz mocniejsze. Dziecko spieszyło się, żeby wydostać się na świat. Wcale tego tak nie zaplanowała.

Kevin miał rację, pomyślała w lekkiej hysterii. „Znając ciebie, urodzisz w trakcie burzy śnieżnej. Nigdy nie

wybierałaś łatwej drogi, Chelsea Kane." Żałowała, że go tu mnie ma. Żałowała, że nie ma tu Judda. Żałowała, że nie ma tu kogokolwiek.

Wiatr bił grudkami śniegu w dom na farmie. Trzęsąc się z zimna, podniecenia i strachu, owinęła się w kołdrę i oddychała głęboko w czasie następnego skurczu. Zanim minął, przeszła cała wieczność, co wcale nie było dobrym znakiem.

Nie mogła zawiadomić Judda, nie mogła zawiadomić Neila, nie mogła zawiadomić nawet położnej, z której pomocy - jak się zaklinała - za nic w świecie nie chciałyby skorzystać. Teraz, gdyby dano jej wybór, skorzystałyby z jej pomocy. Poczowała coś mokrego między nogami i nie chciała sprawdzać, co to jest. Kolejny skurcz narastał, osiągnął szczyt i odpłynął, zostawiając ją jeszcze bardziej przerażoną. Odsunęła włosy z mokrego czoła. Usiłowała masować sobie plecy tam, gdzie najbardziej bolały. Straciła kontrolę nad ciałem. Robiło jakieś rzeczy, których nie mogła powstrzymać. Była już całkiem oszołomiona i choć tak lekkomyślnie powiedziała Juddowi: „Nie bój się, co ma być, to będzie”, teraz sama przeżywała lęk w trakcie śnieżycy.

- Nie ma odpowiedzi - powiedział Judd, wsiadając do samochodu. Nawet nie odgarnął śniegu z kurtki, natychmiast wrzucił bieg i odjechał. - Nie powinienem był się zatrzymywać, żeby zadzwonić - mamrotał pod nosem. - To tylko strata czasu.

- Dlaczego nie odebrała telefonu?

- A skąd, u diabła, ja mam wiedzieć? - Byli jeszcze o dwadzieścia mil od Norwich Notch, co w takiej zawiei śnieżnej oznaczało godzinę, zakładając, że nie będą mieli wypadku.

- Tylko idiota wyszedłby w taką pogodę - powiedział Hunter.

Judd wiedział, że Chelsea nie jest idiotką. Uparta, owszem, ale nie jest idiotką. - Musi być jakaś awaria

telefonu. Nie włączyła sekretarki. Gdyby gdzieś wychodziła, zostawiłaby na niej wiadomość. Dziesięć minut później zatrzymał się przy barze i zadzwonił do Nolana. - Coś złego dzieje się w Boulderbrook - powiedział. - Wyczuwam to.

- Wpadnę tam - powiedział Nolan - ale to może chwilę potrwać.

- W porządku. Tylko pojedź na pewno.

Podbiegł do samochodu i znalazł Huntera odgarniającego śnieg z maski i z przednich świateł, co nieco poprawiało widoczność. Ale to, że Hunter się do tego zabrał, było dostatecznie wymowne. Hunter zazwyczaj lubił niebezpieczeństwo, ale teraz był wyraźnie zdenerwowany. Judd zastanawiał się, czy martwi się o Chelsea.

Jechali dalej, momentami zmuszeni zwalniać do ślimaczego tempa, kiedy szosa stawała się niewidoczna pod śniegiem. Spotkali bardzo niewiele samochodów, co było korzystne. Judd jechał środkiem drogi, prowadząc tak szybko, jak tylko blazer i stan szosy pozwalały.

Poczuł tylko nieznaczny ulgę, kiedy wjechał do centrum Norwich Notch i pojechał dalej, nie myśląc nawet o odwiezieniu Huntera.

Kiedy dojechali do drogi prowadzącej do Boulder-brook, zobaczyli jak wyjeżdża z niej wóz policyjny Nolana. Judd podjechał do niego i opuścił okno.

- Nie mogę się tam dostać - zawołał Nolan przez zawieję. - W poprzek drogi leży zwalone drzewo. Zerwało prawie wszystkie druty. Próbowałem je zepchnąć na bok, ale mam za mało mocy. Potrzebna jest ciężarówka.

- Czy możesz jakąś załatwić? - zawołał Judd.

- Wszystkie linie telefoniczne są uszkodzone albo coś nie w porządku z moim radiotelefonem.

Najbliższa ciężarówka jest u Willema Dunleavy'ego. Wróć tu.

Judd podniósł okno i dodał gazu. Nie ujechał daleko, kiedy natknął się na zwalone drzewo. - Idę pieszo - powiedział Hunterowi. Podniósł kołnierz kurtki, wyjął ze schowka latarkę i ruszył w drogę.

W tym wszystkim dobre było to, że kiedy śnieg spadał na drogę, wiatr go od razu zwiewał tak, że jego warstwa wynosiła nie dwadzieścia pięć centymetrów, a piętnaście. Złe zaś było to, że wiatr, który go zwiewał, był bardzo silny i porywisty.

Nie zdążył nawet przejść stu metrów, kiedy obok niego pojawił się Hunter. - Jedź do domu! - zawołał do niego, przekrzykując burzę.

- To silna pokusa - odwrzasnął Hunter - ale niezbyt mądra. Dopóki nie podniosą tego drzewa, jedynym sposobem, żebyś ty pojechał do miasta jest twój blazer.

Judd nie pomyślał o tym. Przysięgając w duchu, że odkupi Hunterowi buty, jeżeli zostaną zniszczone, posuwał się naprzód tak szybko, jak tylko śnieg i wiatr na to pozwalały. Wreszcie dom na farmie stał się widoczny, przypominając w świetle latarki wielkie kanciaste zwierzę. Podchodząc bliżej, zauważył nikłą poświatę dochodzącą z okna. Ten widok dodał mu sił, żeby przyspieszyć kroku. Wciskając głowę w ramiona, by ochronić się przed wiatrem, susami popędził przez podjazd, potem schody i ganek. Wpadł przez drzwi i zobaczył Chelsea skręcającą się na kanapie.

- O Boże! - wykrzyknęła łapiąc oddech, kiedy skurcz wreszcie odpuścił. Wyciągnęła trzęsącą się rękę do Jud-da. - Poród się zaczął!

Szybko zrzucił zaśnieżone okrycia - połowa z nich spadła na Bucka, który biegał wokół w podnieceniu

- i podbiegł do kanapy. - Wiedziałem. Wiedziałem. Miałem przeczucie. - Przykucnął i wziął ją za rękę.

- Kiedy się zaczęło?

- Trzy godziny temu. - Mówiła krótkimi zrywami, ciągle zadyszna po ostatnim skurczu. - To nie powinno dziać się tak szybko. Mam już bóle co dwie minuty.

- Przycisnęła rękę do gardła i zaczęła jednocześnie śmiać się i płakać. - Myślałam, że nie zdążysz, Judd! Byłam pewna, że zostanę sama.

Wsunął pod nią ramię i przycisnął ją do piersi. - Jestem tutaj. - Odsunął kosmyk włosów z jej policzka.

- Boże, wiedziałem. W momencie, kiedy zaczął padać śnieg, wiedziałem o tym.

- Miałaś rację w sprawie podręcznika. Powinno być go przeczytać. Próbowałam to zrobić przed chwilą, ale nie byłam w stanie. - Wstrzymała oddech. Brzuch znów jej się napiął. - Do diabła. Jeszcze jeden. Judd ułożył ją na kanapie i położył jej rękę na brzuchu.

- Co mogę zrobić?

- Bądź spokojny.

- Jestem spokojny!

- Bądź pewny.

- Jestem pewny!

- Wiedziałam, że tak będzie. Ty czytałeś książkę.

- Przerwała i poddała się bólwi, który narastał coraz bardziej i w końcu osiągnął szczyt, aż łapała wielkimi haustami powietrze i była mokra od potu.

Jak przez mgłę zobaczyła, że nachyla się nad nią Hunter. - Jadę po Neila - powiedział Juddowi. Złapała go za rękę, zanim zdążył odejść. Jej oczy rozszerzyły się błagalnie. - Nie! Zostań tu! Chcę, żebyście obaj tu byli!

Niewiarygodne, ale dotknął jej głowy. - Potrzeba tu Neila.

- Nie ma czasu! Zostań tu, Hunter! Proszę! Hunter spojrzał na Judda. - Potrzeba tu Neila. Judd kiwnął głową. - Weź blazera i jedź do Dunleavych. Jeżeli ci się uda, to złap Nolana. On przywiezie Neila. Potem wróć tutaj.

- Nie odchodź! - zawołała Chelsea, ale on był już w drodze. - Nie wróci na czas, Judd!

- Wróci.

- Chcę, żeby był przy narodzinach dziecka. Chcę, żebyś ty je przyjął i żeby on przy tym był. - Kiedy już minął paniczny strach, że zostanie sama, sprawy zaczynały nabierać innego znaczenia. To, żeby w ogóle przeżyła, przestało być problemem - Judd przeczytał podręcznik. Zaczęła czuć radość. Po raz pierwszy, odkąd zaczęły się bóle, poczuła się podniecona wydarzeniami.

Następny skurcz był jeszcze dłuższy i silniejszy. Cały czas Judd patrzył jej w oczy, przemawiał do niej spokojnie i masował napiętą ścianę mięśni brzucha. - Tak, dobrze. Radzisz sobie świetnie.

Nie była tego pewna. Skurcz się nie kończył. Zmniejszył się tylko trochę, a potem znów nasilił. Była wyczerpana, kiedy wreszcie pozwolił jej na nieco odpoczynku.

Łagodnie powiedział: - Pójdę do drugiego pokoju, żeby przynieść trochę rzeczy, dobrze?

Nie chciała, żeby nawet na minutę od niej odchodził, ale wiedziała, że on myślał, że teraz albo nigdy, bo poród był już tak bardzo zaawansowany.

- Okay - szepnęła i dotknęła jego twarzy. - Dzięki Bogu, że tu jesteś, Judd. Dzięki Bogu, że tu jesteś.

Wiesz, że to dziecko jest bardziej twoje niż Carla, prawda?

- Wiem - też szepnął. - Kocham cię.

- Ja też... - Zmarszczyła twarz. - Cholera. Cholera.

- Usiłowała oddychać równo, ale ból był wszechogarniający. Otoczył jej brzuch, rezonował we wszystkich częściach ciała, spychając dziecko coraz niżej. - Już muszę przeć.

- Nie przyj! - krzyknął Judd i ściszył głos. - Jeszcze nie. Nie, dopóki nie spojrzę i nie zobaczę co się dzieje, a nie mogę tego zrobić, dopóki nie rozłożę czegoś na podłodze. Potrzebuję jakichś prześcieradeł. - Głaskał dolną część jej brzucha, oddychając z nią, dopóki się nie rozluźniła. - Już lepiej?

- Idź. Szybko.

Susami wybiegł z pokoju, z Buckiem u nogi. Właśnie wychodziła z kolejnego skurczu, kiedy otworzyły się frontowe drzwi. - Hunter?

Zrzucił kurtkę i rękawice i kopnięciem zdjął buty.

- Nolan był przy drzewie. Willem razem z synem usuwają je z drogi, a on pojechał po Neila. Gdzie jest ten wielki facet?

- Poszedł po rzeczy do drugiego pokoju. - Sięgnęła po jego dłoń.

Pozwolił jej ją schwycić. - Kolejny?

- Ten sam, kolejny, zaczynają się zlewać w jedno.

- Ciasno zamknęła oczy. Poprzez ból promieniujący ze środka ciała powiedziała: - Przekłuwanie uszu to nic w porównaniu z tym. Wydał dźwięk, który mógł oznaczać śmiech. Wrócił Judd. - Trzymasz się, kotku? - zapytał. Wydychała powietrze krótkimi, płytkimi sapnięciami.

- Trzymam się - wymamrotała. Miał pełne ręce. Spojrzał na dywan. - Nie możemy tu tego robić.

- Dlaczego nie? - zawołała Chelsea.

- To orientalny dywan.

Roześmiała się. Ból, który odczuwała, był niewiarygodny, ale nigdy w życiu nie czuła się bardziej podniecona. Właśnie miało się urodzić jej dziecko, z jej krwi i kości. Czuła, że zaraz się pojawi. Już wkrótce, lada moment je zobaczy, weźmie je na ręce. - Na orientalnym dywanie

- przykazała. - To był ulubiony dywan mamy. Ona by tego chciała. - Zaczęła płakać. - Nic nie jest zbyt dobre dla mojego dziecka!

Jej dłoń ścisnęła mocniej dłoń Huntera. Wydała z siebie rozdzierający jęk. Ból był nisko umiejscowiony, intensywny i nie mający końca.

Kiedy w końcu ustał, Judd podniósł ją i ułożył na stosie prześcieradeł na orientalnym dywanie Abby przed kominkiem. Położył jej pod głowę poduszkę i uniósł koszulę nocną.

- O Boże, jest już! Gdzie, do diabła, jest Neil? Chelsea roześmiała się. Nie mogła się powstrzymać.

- Zaczynam przeć.

- Nie.

- Widzisz główkę?

- Ma włoski.

- Zaczynam przeć. - Zrobiła to przy następnym skurczu. Poczuła, jak dziecko przemieszcza się niżej. Judd musiał to zauważyć i przyjął do wiadomości, że Neil nie zdąży, więc nagle przejął dowodzenie. - Stań za nią, Hunter. Podnieś ją, o tak. Podeprzyj ją z tyłu. Siła ciężenia powinna ułatwić sprawę.

Dyszała, kiedy skurcz zelżał, a potem, chwytając mocno za obie dłonie Huntera na jej ramionach, przykucnęła i znów zaczęła przeć przy nowym skurczu.

- W porządku, kotku - przemawiał do niej kojąco Judd. - Właśnie tak, jeszcze troszkę, zaraz tu będzie. Skurcz ustał. Westchnęła, otarła skroń o wierzch dłoni Huntera, podparła się i znów zaczęła przeć.

- Dobrze, tak właśnie - powiedział Judd. - Jeszcze trochę przyj, kotku, jeszcze trochę mocniej. Jezu, jest.

Chelsea wiedziała to w momencie, kiedy główka dziecka przedostała się przez kanał rodny, wyskakując niczym korek z butelki, i poczuła natychmiastową ulgę. Potem coś jeszcze prześliznęło się przez nią, usłyszała cichuteńki płacz, potem głośniejsze zawodzenie, a potem usłyszała dumne słowa Judda: - Masz dziewczynkę, kochanie. Jest maleńka, ale prześliczna.

Po policzkach Chelsea popłynęły łzy. Wyciągnęła ręce i objęła małe zawiniątko, które Judd położył na jej brzuchu. Dziewczynka. Własna dziewczynka Chelsea. Śmiała się i płakała, i głaskała swoją córeczkę. Jej palce zetknęły się z palcami Judda, kiedy próbował ją wytrzeć. I była taka maleńka. Miała ciemne włoski i różową skórę pod lepką mazią, którą była pokryta i niewątpliwie była najpiękniejszą istotą, jaką Chelsea w życiu widziała.

ROZDZIAŁ 23

Neil przyszedł, kiedy zaczęło się już sprzątanie, i oznajmił, że dziecko jest doskonałe, o czym Chelsea i tak wiedziała. Do rana śnieg przestał padać. Drogi zostały odśnieżone i posypane piaskiem i choć prądu nie było jeszcze przez dzień, Chelsea nie odczuwała jego

braku. Miała wszystko, czego kiedykolwiek w życiu pragnęła - małą córeczkę, która pewnego dnia włożyła pierścionek jej matki, Judda, nawet grono napływających z życzeniami mieszkańców Notch, którzy odważyli się wypuścić na ciągle śliskie drogi, żeby przynieść jedzenie i picie i podziwiać dziecko.

Hunter kręcił się po domu z ledwie zauważalnym poczuciem własności, co cieszyło Chelsea ogromnie. Donna też kręciła się po domu, na zmianę nosząc małą i zajmując się kuchnią, często z Nolanem. Ku zdziwieniu Chelsea, przyszedł Oliver razem z Margaret, która nie przestawała się wpatrywać w dziecko, dopóki Oliver jej nie wyprowadził.

Najlepszy był Judd. Od początku kąpał dziecko, zmieniał pieluszki i wyskakiwał z łóżka, kiedy tylko mała zapłakała, żeby przynieść ją do niej, a potem siedział i patrzył, jak Chelsea karmi ją piersią. Czasami zadawał pytania, ale często obserwował w milczeniu, niekiedy z taką powagą, że Chelsea chciało się śmiać.

- Wyglądasz, jakbyś stracił najbliższego przyjaciela - kiedyś powiedziała.

- Nie. To jest po prostu piękne. Ta bliskość. To wszystko.

Pochyliła się i pocałowała go ponad ciepłą głową dziecka. Jeżeli o nią chodziło, to piękno i bliskość również obejmowały jego. Uwielbiała dziecko, ale nie czułaby takiego wewnętrznego spokoju, gdyby nie Judd.

Nie wiadomo na jak długo, ale on był jej rodziną, bo Kevin nadal odmawiał przyjazdu. Zadzwoiła do niego, kiedy tylko naprawiono telefony i chociaż wyczuła, że jest zadowolony i wzruszony imieniem, które wybrała dla córki, nie chciał obiecać, że przyjedzie do niej na północ. Znowu czuła się urażona, dopóki Judd nie wykazał jej, jaki uczynił postęp. Kevin z nią rozmawiał. Podsunął jej znakomitą wskazówkę, jak ma pracować. I wcale nie wykluczył odwiedzin. Prosił tylko o czas.

Po miesiącu Chelsea wróciła do biura. Judd zainstalował tam maleńką kołyskę, żeby dziecko mogło spać, kiedy ona pracowała.

Cydra, która odwiedziła ją dwa tygodnie po porodzie, oznajmiła, że narodziny małej Abby są symbolem dobrych rzeczy, które nadejdą. Na początek opór mieszkańców Notch przeciwko niej jakoś się przełamał. Dziecko stało się przedmiotem rozmów i ludzie, którzy poprzednio nie wiedzieli, co mają powiedzieć, nagle znajdowali temat.

Potem dostała zamówienie na projekt szpitala. Chelsea nie mogła być bardziej uradowana, bo jednocześnie zawarła korzystny kontrakt na dostawy granitu.

Potem, podczas kontroli w sześć tygodni po porodzie, Neil oznajmił jej, że może rozpocząć życie seksualne. Czekala na to, ale dopiero tej nocy, kiedy klęczeli z Juddem obok siebie nadzy na tym samym orientalnym dywanie, na którym Chelsea urodziła, uderzyło ją głębokie znaczenie tej chwili. Otoczyła ramionami jego szyję i uniosła ku niemu twarz. - To pierwszy raz.

Przysunął ją do siebie tak, że jej piersi dotknęły jego klatki piersiowej. Nadal były duże i pełne, ale jej brzuch stał się równie płaski jak poprzednio. Wsunął rękę pomiędzy nich, nakrył go dłonią, a potem opuścił palce na kręcące się włoski pomiędzy nogami. Oddychał wolno, głęboko, ale nierówno, tak, że wiedziałyby, że jest podniecony, nawet nie wyczuwając jego erekcji.

- Kochaliśmy się już przedtem - powiedział chropowatym głosem, który był taki męski, tak pełen pragnienia.

- Ale zawsze z dzieckiem pomiędzy nami.

- Już, kiedy dziecko się urodziło.

- Ale nie wewnątrz. - Robili to rękami i ustami, ale ten moment był dla niej najwyższym spełnieniem.

- To będzie pierwszy raz, tylko ty i ja. Pierwszy raz ze mną, kiedy nie jestem w ciąży. Ten naprawdę pierwszy raz.

Judd był tak łagodny, jak tylko potrafił. Całował ją i pieścił, a kiedy była już rozgrzana i wilgotna, ostrożnie

w nią wszedł. Wydała westchnienie zadowolenia, odpowiadając na jego jęk, i wyciągnęła się, żeby go poczuć, poczuć jego siłę wewnątrz siebie. Rozkoszowała się tą chwilą. Życie nigdy nie było tak bogate ani tak pełne.

Zgromadzenie mieszkańców było w Norwich Notch instytucją. Zawsze rozpoczynało się wieczorem, w drugi wtorek marca, i ciągnęło się przez kolejne wieczory, dopóki wszystkie ważne sprawy miejskie nie zostały rozpatrzone, chociaż zazwyczaj kończyło się przed roztopami. O ile Chelsea wiedziała, w tym roku nie miało być żadnych ważnych decyzji. Zgromadzenie mieszkańców było przede wszystkim wydarzeniem towarzyskim oznaczającym koniec zimowej izolacji. To było jej pierwsze zgromadzenie i przy tym rodzaj inicjacji. Cieszyła się na nie o wiele bardziej niż na Czwartego Lipca czy Święto Pracy, dlatego że teraz miała przyjaciół. I rzeczywiście było to miłe. Chelsea trzymała spokojnie śpiącą Abby. Po jej prawej stronie siedziała Donna, która szyła kołdrę z patchworku. Obok Donny siedziała jej siostra Janet, która rozwiązywała krzyżówkę z niedzielnego „Timesa”. Po lewej stronie Chelsea siedziała Ginny Biden z rocznym dzieckiem, które też spało. Dalej, w tym samym rzędzie, przed nią i za nią, siedziały inne matki z niemowlętami, inne kobiety zszywające patchworki, haftujące i robiące na drutach, kobiety z miasta, kobiety z Corner, kobiety pomiędzy dwóch miejscowości.

Wszyscy mężczyźni siedzieli po drugiej stronie przejścia. Taki seksistowski podział niegdyś by Chelsea niezmiernie zirytował, a teraz jej nie przeszkadzał, bo dobrze się czuła siedząc wśród kobiet. Jeżeli by miała ochotę zabrać głos w odpowiedzi na jakiś punkt porządku dziennego, mogła to zrobić z dowolnej części sali. W tym układzie było coś archaicznego, ale również i dowcipnego. Mężczyźni słuchali z uwagą Emery'ego, który delectował się tak doniosłymi wydarzeniami, jak ponowny jego wybór na przewodniczącego zgromadzenia, przydział trzystu dolarów dla Wydziału

Oczyszczania Miasta Norwich Notch na nowe łopaty i ustanowienie kary grzywny dla właścicieli psów, które zanieczyszczają miejski skwer przed planowanymi zabawami. Kobiety reagowały bardziej wybiórczo. Cicho rozmawiały, były zajęte robotkami ręcznymi i generalnie słuchały uważnie tylko wtedy, kiedy uznawały sprawę za istotną.

Co więcej, siedząc z kobietami, Chelsea nie mrugnęła powieką, kiedy Abby obudziła się i chciała jeść. Nie znaczyło to, że wyjęła pierś i zaczęła ją karmić na sali, ale trochę pobawiła się z dzieckiem wspomagana przez sąsiadki - a kiedy płacz dziecka zaczął ogólnie przeszkadzać, wycofała się do gabinetu miejskiego archiwariusza.

Hunter pojawił się w drzwiach, kiedy Abby przytulona do niej ssła z rozkoszą pierś. Od czasu urodzenia dziecka dystans między nimi się zmniejszył. Chelsea cieszyła się myślą, że to dlatego, że był świadkiem narodzin Abby. Powrócił znów do swojego niedotykalnego sposobu bycia i kiedy oferowała mu dziecko do potrzymania, zawsze zabierał ręce, ale często obserwował Abby z cichym, intensywnym zaciekawieniem.

Teraz położył łokcie na biurku i patrzył na nią. - Rośnie.

Chelsea uśmiechnęła się i przejechała palcem po doskonałym zarysie jej uszka. Abby była nadal malutka, ale z każdym dniem stawała się śliczniejsza. Miała wielkie, szeroko rozstawione orzechowe oczy, takie same jak Carl, małe zadarty nos, a w miejsce włosów, z którymi się urodziła, jej głowę pokrywał miękki kasztanowy puch. Chelsea udało się zawiązać cieniuteńką różową kokardkę na czubku głowy. Z nią i w gofrowanym kombinezonie wyglądała rozkosznie.

- Lubisz ją? - zapytał Hunter.

- Kocham ją. Jest czymś najlepszym, co mi się w życiu przytrafiło. - Z wyjątkiem Judda, pomyślała Chelsea.

- Bo ona jest twoją rodziną.

- Tak.

Wyprostował się, pogrzebał w kieszeni i wyciągnął małą kopertę. Rzucił na biurko, przy którym siedziała. - To dla ciebie. Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin.

Chelsea zamrugła. - Dla mnie? - Uśmiechając się zakłopotana, spojrzała na kopertę, a potem na Huntera. - Skąd wiedziałeś, że dziś są moje urodziny.

- Twoje prawo jazdy. Data była łatwa do zapamiętania.

- Dlatego, że ty też masz urodziny w marcu?

Nie odpowiadał, tylko pokazał podbródkiem kopertę.

- Zajrzyj do środka.

Kusiło ją, żeby mu powiedzieć, by potrzymał dziecko, kiedy będzie to robić, ale potem się nad nim zlitowała. Nie lubił tego. Poza tym, Abby skwapliwie ssała, jej maleńkie policzki co chwila się wciągały, a jej paluszki, maleńkie jak u lalki, leżały na piersi Chelsea. Chelsea nie miała ochoty jej odrywać.

Sięgnęła wolną ręką po kopertę, otworzyła klapkę i pozwoliła, żeby jej zawartość się wysliznęła. Jedno spojrzenie na złożoną bibułkę i serce zabiło jej mocniej. Rytm stał się jeszcze szybszy, kiedy rozwinęła bibułkę, bo leżał tam nieco zmatowiały, ale poza tym nie uszkodzony, jej srebrny klucz. Spojrzała Hunterowi w oczy. Podniecona, zapytała, - Gdzie go znalazłeś?

Wzruszył ramionami. - Znalazłem go.

- Gdzie? Kto go zabrał?

- Nie wiem.

- Jak możesz nie wiedzieć?

- Rozeszła się pogłoska, że poszukuję kluczyka. Prawdopodobnie przeszedł przez dziesiątki rąk, zanim trafił do mnie.

- Kto ci go dał? - Mogła pójść za tropem i odszukać te dziesiątki rąk.

- Znalazłem go w skrzynce na listy - powiedział, co oznaczało, że znów nie ma punktu wyjścia.

Poczuła znajomą frustrację. Kolejny błysk nadziei prysnął jak bańka mydlana.

Odjęła Abby od piersi, przytrzymała ją wyprostowaną przy ramieniu i łagodnie pocierała jej plecy. Lekko rozzłoszczonym szeptem powiedziała: - Po prostu znalazłeś go w skrzynce na listy. - Wydała pomruk rozczarowania, aż dziecko się przestraszyło i zaczęło płakać.

- Przepraszam - zanuciła, całując słodko pachnącą główkę i pokołysała ją łagodnie. - Przepraszam. Abby przebaczyła jej delikatnym beknięciem, które mimo wszystko wywołało u Chelsea uśmiech. Klucz to tylko klucz. Najważniejsi są ludzie. A Abby jest z nich najważniejsza.

- W każdym razie - powiedział Hunter - chciałem, żebyś go dostała.

- Dziękuję - szczerze powiedziała Chelsea. - Cieszę się, że znów go mam. I to bardzo miłe, że pamiętałeś o moich urodzinach.

Wzruszył ramionami. - Obchodziłaś je jakoś?

- Nie, kiedy jest zgromadzenie mieszkańców.

- Może zrobimy to razem w przyszłym tygodniu?

- Czy wtedy są twoje urodziny?

- Nie. - Nonszalancko dodał: - Moje też są dzisiaj.

- Zanim zdążyła wyrazić zdziwienie, już zniknął w drzwiach.

Chelsea pewnym krokiem weszła po schodach do zakładu fryzjerskiego Zee. Wkroczyła do środka i zamknęła za sobą drzwi, a kiedy cztery twarze odwróciły się w jej kierunku ze zdziwieniem, spokojnie odwzajemniła ich spojrzenie.

George i Emery stali przy oknie wychodzącym na skwer. Oliver leżał na fotelu fryzjerskim pokrytym popękaną skórą, a Zee golił go brzytwą.

George spojrział na Emery'ego. - Czy zaprosiłeś gościa?

- Ja nie. To musiał być Ollie. Obaj spojrzeli na fotel.

- Nie patrzcie na mnie - warknął Oliver i gestem pokazał Zee, że ma kontynuować to, co robi.

Przez minutę Chelsea rozglądała się wokół. Zakład był czysty i jasny. Pachniał kremem do golenia i kawą i nie była to nieprzyjemna kombinacja. - To miłe miejsce na spotkania. Rozumiem, dlaczego przychodzicie tu co rano.

- Prawdą jest - powiedział George - że przychodzimy tu dla świętego spokoju. Później, w ciągu dnia, prawie w ogóle go nie mamy. Jesteśmy zajętymi ludźmi.

Zajęci ludzie, coś takiego. Uśmiechnęła się. - Nie zabiorę wam więc dużo czasu. Jest coś, co chciałabym wiedzieć, a ponieważ samej nie udaje mi się znaleźć odpowiedzi, pomyślałam, że wy, panowie, moglibyście mi pomóc. Jesteście ojcami miasta. Jeżeli ktokolwiek wie, to tylko wy.

- Wie co? - zapytał Emery.

- Kim byli moi rodzice. Wszyscy wiecie, że urodziłam się tutaj. W zeszły wtorek skończyłam trzydzieści osiem lat.

George obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów. - Nie sądziłem, że jesteś taka stara.

- Dobry Boże - wymamrotał Emery, zanim zwrócił się do Chelsea. - Więc?

- Więc trzydzieści osiem lat temu jakaś kobieta w tym mieście urodziła dziecko i oddała je do adopcji. Miasto nie jest na tyle duże, żeby nikt o tym nie słyszał. Ktoś coś wie i nie chce tego powiedzieć. Z mojego doświadczenia wynika, że jeżeli ludzie boją się mówić, to znaczy, że dotyczy to czegoś ważnego.

Emery wyciągnął chusteczkę do nosa i zdjął okulary.

George wsunął dłonie pod szelki.

Chelsea kolejno wpatrywała się w ich twarze. Nie mogła sobie wyobrazić, że to Emery mógł być jej ojcem. Przewodniczący zgromadzenia mieszkańców, pocz-mistrz, właściciel domu towarowego - był pompatycznym i płytkim człowiekiem. Był także ojcem Matthew i Montiego, za co dawała mu podwójną kreskę.

Nie potrafiła sobie również wyobrazić George'a jako swojego ojca. Co prawda był biznesmenem, i to niezłym,

ale przy tym miał w sobie coś jadowitego. I na dodatek był skąpcem.

Z całej trójki Oliver był najmniej wstrętny, co nie znaczyło wiele. Łatwo wpadał w złość i był uparty. Miał olbrzymie wyczucie granitu i zerowe biznesu. Był ograniczony, jeżeli chodziło o kobiety, i nieczuły, jeżeli chodziło o Donnę, a to, co zrobił Hunterowi, było wprost niedopuszczalne. Co prawda, wysłał go na uniwersytet. Kupił mu dom. Dał mu dobrą pensję i pilnował, żeby miał zaspokojone potrzeby materialne. A gdyby miała wybierać przyrodnie rodzeństwo, to natychmiast optowałaby za Hunterem i Donną.

- W porządku - powiedziała do nich - spróbujmy inaczej. Hunter Love urodził się tego samego dnia co ja. Ten sam dzień, to samo miasto, ten sam rok. O ile wiem, ciąża jego matki wywołała ogólne poruszenie. Czy mojej matki nie?

Emery czyścił szkła.

George klepał się po brzuchu w takt jakiejś niesłyszalnej melodii. Zee zeskrobywał zarost ze szczęki Olivera.

- Gdyby jeszcze jakaś kobieta była w ciąży, czy ludzie by tego nie zauważyli? - sondowała Chelsea. - Wtedy miasteczko miało ośmiuset mieszkańców i nikt nie zauważył, że dokładnie w tym samym czasie dwie kobiety były w nieślubnej ciąży? - Nieślubna ciąża była jej ostatnią konkluzją. Gdyby wszystko było jak należy i jej rodzice mieli ślub, jej narodziny nie byłyby tak ścisłą tajemnicą.

Emery wsunął na nos okulary. George kołysał się na piętach. Oliver milczał.

- Dwie nietypowe sytuacje - spróbowała Chelsea po raz ostatni. - Jedno dziecko zniknęło tuż po narodzinach, których nikt, ale to nikt nie pamięta, drugie było ukrywane przez pięć lat i nikt nie wiedział, że w ogóle istnieje. Ludzie sądzili, że Katie Love oddała dziecko do adopcji, ale udało jej się oszukać wszystkich. Czy tu

miała miejsce zamiana dzieci? Dlaczego nikt nie chce o tym mówić? Milczenie.

Prawdę mówiąc, niczego innego się nie spodziewała. Emery, Oliver i George trzymali się razem i popierali wzajemnie na dobre i złe. Nie była tak naiwna, żeby myśleć, że osobista konfrontacja przyniesie jakieś rezultaty. Przyszła jako intruz na ich święty poranny rytuał tylko po to, by złożyć oświadczenie.

Ostrożnie rozpięła przód swojej luźnej parki.

- Dobry Boże, ona ma tam dziecko! - zawołał Emery.

- Nowoczesne kobiety - chrząknął Oliver z fotela fryzjerskiego.

Abby w nosidle na piersiach spała. Chelsea rozpięła dalej dwa górne guziki swojej bluzki. Oczy Georga rozszerzyły się. - Co ona robi? - zapytał Emery.

Chelsea wyjęła srebrny klucz, świeżo wypolerowany i zawieszony na łańcuszku równie delikatnym jak poprzednia wystrzępiona czerwona wstążeczka. Trzymając klucz tak, żeby był wyraźnie widoczny, podeszła do mężczyzny.

- Czy którykolwiek z was widział to już przedtem?

- Ja nie - powiedział Emery.

- Ja też nie - powiedział George. Podeszła do fotela fryzjerskiego. - Oliver? Oliver otworzył jedno złe oko. - O co teraz chodzi?

- Czy widziałeś przedtem ten klucz?

- Oczywiście, że tak. Nolan pokazywał jego rysunek w całym mieście.

- Sam klucz. Czy widziałeś go przedtem?

- Nie - powiedział i zamknął oczy.

- Zee? - podsunęła mu pod oczy.

Zee, który uważnie przesuwiał brzytwą po szyi Olivera, potrząsnął głową.

Wsadziła klucz pod bluzkę, zapięła ją i właśnie zaczynała zapinać kurtkę, kiedy zegar na ścianie wybił godzinę. Kiedy patrzyła, dwóch doboszy wyszło ze

swoich małych domków po obu stronach zegara, uderzyli czterokrotnie w bębny i wrócili do domków.

- To prześliczne - powiedziała do Zee.

- Dzieci lubią go nakręcać - powiedział Zee z silnym obcym akcentem.

Podeszła do zegara, który wisiał na poziomie wzroku i poszukała klucza. Wyczuwała, że Emery i George obserwują ją, i przypuszczała, że Oliver również. Nie było klucza na widocznym miejscu, więc przejechała ręką po wierzchu, potem po spodzie zegara. Dopięła celu, kiedy jej palce dotknęły tyłu jednego z domków doboszów.

Zdjęła klucz z haczyka i położyła go na dłoni. Jego uchwyt przedstawiał dwa połączone bębny, jego pióro było tak samo pozbawione nacięć, jak i jej kluczyk. Jej kluczyk był ze srebra, ten był z mosiądzu, ale nie było wątpliwości, że oba jeżeli nie zostały wykonane przez tego samego mistrza, to pochodziły z tej samej szkoły.

Zee musiał widzieć jej kluczyk wcześniej. Bez względu na to, czy pozostali mężczyźni go widzieli, on szedł za ich przykładem. W tym momencie dalsze dopytywanie się było bezcelowe. Wystarczyło jej to, czego się do tej pory dowiedziała.

Z szacunkiem, jak gdyby nakręcanie zegara Zee było równoważne użyciu jej własnego kluczyka, wsunęła gładkie pióro do dziurki z boku zegara. Musiała nim kręcić, zanim udało się jej go włożyć do końca, ale potem to było już łatwe. Przekręciła uchwyt jeden, drugi, trzeci raz. Wyjęła klucz, jeszcze chwilę patrzyła z podziwem na rzemiosło mistrza, który go wykonał, i powiesiła klucz z powrotem za domkiem dobosza.

Podeszła do drzwi. Z ręką na klamce odwróciła się. - Następnym razem przyniosę wam paczki. Do zobaczenia.

Chelsea omawiała z Juddem możliwe rozwiązania, ale trudno było im się długo na tym skoncentrować, kiedy cały ich czas był wypełniony pracą, dzieckiem i sobą nawzajem.

Judda uderzało, że był szczęśliwszy niż kiedykolwiek w życiu. Ból po śmierci Leo zaczynał powoli znikać, zastępowany dobrymi wspomnieniami o Leo w jego najlepszych latach, a miejsce, które przez długie lata zajmował w jego sercu, zajęły Chelsea i Abby.

Judd uwielbiał dziewczynkę. Posiadanie dzieci było zawsze w jakiś sposób jego mglistym celem, ale nigdy nie spodziewał się, ile mogą dać przyjemności. Początkowo przypisywał to temu, że pomógł Abby przyjść na świat, ale w miarę jak mijały tygodnie, zmienił zdanie. Zajmowanie się dzieckiem było ciężką pracą. Gdyby jego przywiązanie było oparte na jednej przygodzie śnieżnej nocy, już dawno by przeminęło, a było zupełnie odwrotnie. Im bardziej Abby rosła, tym bardziej się nią cieszył. Była ślicznym dzieckiem o delikatnych rysach twarzy i z kasztanowym puchem na głowie, który szybko przemieniał się w jedwabiste włoski. Od samego początku dobrze spała. Od samego początku miała pogodne usposobienie. Teraz go już rozpoznawała. Uśmiechała się, kiedy podchodził do jej kołyski - nie nijakim uśmiechem w stylu Olivera, który czasem produkowała, ale prawdziwym, szczerym, wesołym uśmiechem, w którym pokazywała dziąsła. Wiedział, jak ją uciszyć, kiedy płakała, wiedział, jak się z nią bawić i jak ją rozśmieszyć. Dobrze trzymała głowę i rozglądała się po świecie. Spoglądała na niego w drugiej kolejności po Chelsea, nawet gdy w pobliżu byli inni ludzie. Uwielbiał to. Dawało mu to poczucie przynależności.

Chelsea również mu je dawała. Kochała go. Było to wyraźne we wszystkim, co robiła, a on też ją kochał, bardziej niż kochał w życiu jakąkolwiek kobietę. Uczucie na tu i teraz, jak to kiedyś nazwała. Coraz częściej pragnął, żeby to było coś więcej, ale właśnie tu leżał dylemat. Kiedy minie rok, będą musiały nastąpić zmiany. Nie wiedział, dokąd doprowadzą, czy Chelsea i on będą razem, czy oddzielnie, a jeżeli oddzielnie, to czy ich miłość przetrwa.

Ironią było, że teraz, kiedy stał się wolny i mógł odejść, praca w Plum Granite przynosiła mu coraz więcej satysfakcji. Przy dodatkowych zamówieniach, do których doprowadziła Chelsea, pojawiały się nieustanne wyzwania. Musiał negocjować szczegółowe kontrakty, zamawiać więcej sprzętu i materiałów używanych przy produkcji, bilansować siłę roboczą, układać plany wysyłek i zajmować się reklamą i marketingiem. Coraz więcej czasu spędzał w biurze, co mu całkiem odpowiadało, bo nad głową miał Chelsea razem z Abby. Teraz Hunter jeździł po kamieniołomach i prowadził nadzór, tak jak do tej pory robił Judd.

Hunter również teraz woził Olivera w ciągu dnia.

- Chyba żartujesz - powiedział Hunter, kiedy Judd zaproponował to po raz pierwszy.

- To ma sens. Ja jestem w mieście, a ty jesteś przy Oliverze, kiedy chce gdzieś jechać. To idiotyczne, żebym przyjeżdżał po niego całą drogę stąd i wiozł go gdzieś tam, kiedy ty jesteś na miejscu.

- Nie zechce mnie.

- Nie będzie miał wyboru.

Nie był to łatwy układ. Judda dochodziły słuchy o kłótniach między oboma mężczyznami, czasami o takie błażostki, że aż to było śmieszne. Judd przewidywał, że żeby się nie pozabijali, w końcu będą zmuszeni zawrzeć przymierze.

Miał nadzieję, że wypracują trochę wzajemnego szacunku. Oliver wiedział wszystko o swoim granicie, Hunter wiedział wszystko o swoich ludziach. Przy niewielkich ustępstwach mieli sobie wiele do zaoferowania. Niestety, ustępstwa nie przychodziły łatwo żadnemu z nich.

Z nich dwóch Hunter miał uzasadnione racje. Był przekonany, że Oliver jest jego ojcem i nie mógł znieść, że nie chce się do tego przyznać. Ostatnio stawało się to dla niego coraz trudniejsze, jeżeli wieści, które dochodziły od Crockera były prawdziwe.

Kiedyś Judd byłby u Crockera, słuchając jego bełkotliwych oskarżeń i zarzutów. Odkąd był z Chelsea, rzadko

bywał tam częściej niż raz albo dwa razy w tygodniu, i to tylko po to, żeby spotkać się z przyjaciółmi i postawić piwo pracownikom.

Mimo to tego wieczoru w połowie kwietnia Crocker wiedział, gdzie go szukać. Judd właśnie przyniósł Chelsea dziecko na ostatnie karmienie, to najspokojniejsze i najbardziej intymne, na które najbardziej lubił patrzeć, kiedy zadzwonił telefon. Dwadzieścia minut później wsuwał się do boksu naprzeciwko Huntera.

- Słyszałem, że było trochę problemów. - Było więcej niż trochę, jeżeli sądzić po odłamkach szkła, które właśnie miotłą zbierał Crocker.

Hunter, który nieruchomym wzrokiem wpatrywał się w płamę piwa na stole, podniósł tylko wzrok. Oczy miał szkliste. - To nie moja wina - powiedział i znów spuścił wzrok.

Judd wskazał na piwo. - A czyja?

- Flicketta.

Jak mówił Crocker, Ned Flickett poszedł do domu ze złamanym nosem, Jasper Campbell z pękniętym żebrem, a Johnny Jones z rozciętą wargą. Hunter miał siniaka na policzku, ale nic więcej.

- Sukinsyn - mamrotał Hunter. - Powiedział, że wchodzę staremu w dupę. - Parsknął. - Pieprzę go.

Judd usiadł w boksie. Ned Flickett musiał niezłe wypić, żeby coś takiego powiedzieć. Trzeźwy człowiek wiedziałby, że niczego takiego przy Hunterze lepiej nie mówić.

- Włazę w dupę - Hunter mamrotał pod nosem, jak zawsze, kiedy był pijany. Kiedy nagromadzona złość została już wyładowana w bójce lub rozbijaniu mebli, Hunter był tylko nieszkodliwym pijakiem.

- Nie muszę wlażyć mu w dupę. Ta praca jest moim prawem z tyt... tytułu pochodzenia.

Judd skinieniem głowy podziękował Crockerowi, który podał mu piwo, i wypił łyk.

- Nie żeby to kiedyś powiedział. Ten staruch tylko ma mnie na oku. Tylko czeka, żebym się potknął.

Muszę być

lepszy niż wszyscy we wszystkich pieprzonych kamieniołomach świata. - Zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Kiedyś wysadzę to miejsce w powietrze. Wysadzę ich wszystkich.

Judd słyszał to już przedtem. To była jedna z ulubionych pogroźek Huntera.

- Mógłbym to zrobić - bełkotał Hunter. - Mam materiał. Wiem, gdzie go podłożyć. A co ten stary powie na to? Ccco? - Zamknął jedno oko, a potem je otworzył.

- Chyba to samo co zawsze. - Podniósł głos, drwiąco powtarzając refren, który Judd znał na pamięć. - Do niczego się nie nadajesz, Hunterze Love. Nie masz ani trochę oleju w głowie. Nie wiem, po co cię tu w ogóle trzymam. - Zniżył głos do konspiracyjnego szeptu i pochylił się do Judda. - On mnie trzyma z powodu mojej mamy. Ulokował ją w szopie, dał jej muzykę i zostawił.

Judd wiedział o miłości Huntera do muzyki. Wiedział też, skąd się wzięła. Jednak kiedy na niego patrzył, ogarnęło go zażenowanie, bo zobaczył w jego oczach coś jakby łzy. Nierzadko widywał mężczyzn roniących pijackie łzy, ale nigdy Huntera.

- Straciła ją. I to jej złamało serce, ta strata. Judd zmarszczył brwi. - Kogo straciła?

Hunter oparł się na krześle. - Dlatego płakała po nocach i kiedy byłem niegrzeczny. Chciała nas zamienić, ale już było za późno.

Judd zastanawiał się nad teorią Chelsea, że Katie zawarła umowę z jakąś kobietą z miasta, żeby ta oddała dziecko do adopcji po to, aby Katie mogła zatrzymać własne. Kiedy Chelsea wysunęła tę teorię, uznał ją za wziętą z sufitu. Teraz przypuszczał, że jednak mogła być prawdopodobna.

- Na kogo się chciała zamienić? - zapytał, ale Hunter już był we własnym świecie.

- Płakała nad tym zawsze, kiedy miałem urodziny. Wtedy najbardziej wspominała. Dwie. Dwie.

Zawsze dwie świece. A ja musiałem je zdmuchiwać. Nie chciałem. Ale robiłem to, bo nie chciałem znaleźć się w dziurze.

Podniósł oczy na Judda - Mówiłem ci kiedyś o dziurze?

Judda przeszył dreszcz. - Mówiłeś mi.

- Nie o dziurze.

- Mówiłeś mi.

- Gorsza niż komórka. Długa i ciemna i nic, tylko ziemia. Musiały się tam mieścić setki zbiegów. Zawsze myślałem, że są tam kościotrupy, ale żadnego nie znalazłem. - Wydał kolejny bełkotliwy dźwięk. - Nie mogłem żadnego znaleźć, bo nie widziałem niczego, tak było ciemno. Barrr...dzo ciemno. I była długa. Bardzo, barrr...dzo długa.

Wpatrzył się w piwo. Judd wiedział, że jeszcze łyk albo dwa, a zacznie zasypiać. Wtedy trzeba go będzie zabrać do domu.

Hunter spojrział na niego. - Czy chciałeś mieć siostrę?

Judd wzruszył ramionami. - Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

- Ona byłaby dobrą siostrą.

- Kto?

- Chels...ssea.

Judd zachichotał. To, żeby Chelsea była jego siostrą, było ostatnią rzeczą, jakiej mógł sobie życzyć.

Hunter pogroził mu palcem. - Kosmate myśli. Wstydz się.

- No, jest już późno w nocy.

- Dziecko wygląda zupełnie jak ona.

Judd widział podobieństwo - kolorystykę, jasną cerę, szeroko rozstawione oczy - ale coraz częściej widział w Abby tylko Abby i nikogo więcej. W wieku trzech miesięcy można już było zauważyć zaczątki jej własnej osobowości. Nawet Chelsea, która wiecznie szukała podobieństw, bo sama nie była do nikogo podobna, zgadzała się z tym.

Hunter pokazał na podbródek. Palec dwukrotnie trafił w niewłaściwe miejsce, raz w policzek, a raz w wargę, zanim udało mu się pokazać, o co mu chodzi. - Tu. Wygląda dokładnie tak jak ona.

- Podbródek? - To było ostatnie miejsce, gdzie Judd szukałby podobieństwa.

Hunter przytaknął. Jego oczy się zamknęły, a potem otworzyły, ale nie całkiem. Podpitym głosem powiedział: - Mam obrazki.

Judd wypił ostatni łyk piwa i odsunął szklanę. Wszedł z boksu i wziął Huntera za ramię. -

Oczywiście, że masz - powiedział. Ciągnął Huntera na tyle, żeby on się ruszał i podtrzymywał, żeby mógł iść.

- Wydaje mi się, że jestem trochę zalany.

- Chyba nie zaprzeczę.

- Pokażę ci obrazki - obiecał, ale wiadomo było, że nie dotrzyma obietnicy, bo zanim dojechali do domu, już spał, a kiedy obudził się następnego ranka, wszystko zamazało mu się w pijackim widzie.

Nadszedł maj, a w powietrzu coś wisiało, oprócz zapachu kwiatów na skwerze. Plum Granite wywierało wpływ na prawie wszystkich w mieście; prawie wszyscy w mieście wiedzieli, że za miesiąc zdecyduje się los przedsiębiorstwa. Prawie wszyscy wiedzieli o nowych kontraktach na dostawę granitu. Prawie wszyscy wiedzieli, że zatrudniono jeszcze dwunastu dodatkowych mężczyzn. Wydział obróbki pracował przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Aktywność w kamieniołomach była teraz tak wielka, że pył granitowy wydawał się nigdy nie osiadać.

Chelsea grała przeciwko miejscowym, co przerodziło się w przyjacielską rywalizację, w której wiele sprzeczności zdążyło się zatrzeć. Judd był miejscowy, a mieszkał z Chelsea. Hunter był miejscowy, a był częstym gościem w Boulderbrook. Wendell Hovey był entuzjastą Chelsea, podobnie jak wszyscy jego najbliżsi przyjaciele, i gdyby przyszło do głosowania, to choć mężowie spędzali całe dni w kamieniołomach realizując zamówienia, to kobieca część Cutters Corner jednogłośnie wybrałaby Chelsea na radnego miejskiego.

Chelsea nie aspirowała do oficjalnych urzędów, ale całym sercem cieszyła się, że stała się częścią Notch.

Kiedy jechała ulicą, ludzie do niej machali. Kiedy przechodziła, drzwi się otwierały. Wymieniano przyjacielskie powitania. Dogłębnie poznała uroki Notch i - jeśli nawet nie brała pod uwagę swoich uczuć do Judda - nie potrafiła sobie wyobrazić, że wyjedzie z miasteczka i nigdy tu nie wróci.

Podobały jej się krajobrazy, powietrze, ludzie. Nawet polubiła tutejszy prowincjonalizm, który wydawał się niczym więcej jak pewnymi ukształtowanymi nawykami. Ludzie z Norwich Notch, generalnie rzecz biorąc, byli nadspodziewanie nowocześni. Dobrze się czuła wśród nich.

Ten dzień był tak ciepły i słoneczny, że Chelsea postanowiła zrobić sobie przerwę przed południem i wyszła na miejski skwer. Abby leżała w wózek, machając rączkami i nóżkami i obserwując widoki szeroko otwartymi oczami. Było tam już kilka młodych matek z dziećmi. Posunęły się i zrobiły Chelsea miejsce na ławce w słońcu.

Gdyby Cydra zobaczyła Chelsea grzejącą się w słońcu z promiennym uśmiechem i zadowoleniem na twarzy, powiedziała, że jest to znak, że odnalazła swoją niszę w życiu. Chelsea nie zgodziłaby się z tym twierdzeniem do końca, ale była na tyle pewna otoczenia, że widząc biegnącą w jej kierunku Margaret, od razu zgodziła się, kiedy jedna z matek zaoferowała, że popilnuje Abby.

Margaret zastępowała Fern, która pojechała na tydzień do siostry w Zachodniej Wirginii. Okazało się, że dzwonił Hunter, który chciał, żeby Chelsea przyjechała do niego do Huckins Ravine, na teren, którego kupno właśnie rozpatrywało Plum Granite.

Liz Willis, która zaproponowała opiekę nad Abby w czasie nieobecności Chelsea, była synową właścicielki gospody. Chelsea poznała ją, kiedy przyjechała do Notch po raz pierwszy i zamieszkała w gospodzie, ale zaprzyjaźniły się dopiero po urodzeniu Abby. Liz miała dwulatka, który właśnie bawił się na trawie, i twierdziła, że opieka nad niemowlęciem będzie dla niej przyjemnością. Ponieważ Abby właśnie się najadła i zasypiała,

Chelsea przypuszczała, że ma aż nadto czasu na dwu-dziesięciminutową jazdę do Ravine i z powrotem. Jechała z opuszczonymi oknami i radiem nastawionym na łagodny rock. Judd lubił łagodny rock. Abby też, a przynajmniej Chelsea tak sobie wyobrażała, bo śmiała się, kiedy Chelsea brała ją za rękę i klaskała. Nie miało znaczenia, że klaskanie nie było do rytmu, a śpiew brzmiał niezwykle fałszywie. Chelsea domyślała się, że Abby, podobnie jak i ona, była zupełnie pozbawiona słuchu muzycznego, ale wcale nie psuło jej to zabawy.

Teraz Chelsea śpiewała. To był taki dzień, czuła się nieomal jak w niebie.

Jechała wąską, krętą drogą do biura w Ravine, gdzie odbywały się poprzednie spotkania, ale miejsce było zupełnie opuszczone. Zjechała na dół, myśląc, że może Hunter czeka na nią w innym miejscu, ale nie widziała śladu ani kawasaki, ani szaro-białej ciężarówki Plum Granite.

Zakładając, że może nie całkiem zrozumiała informację Margaret, podjechała do Pequod, kamieniołomu położonego najbliżej Ravine, i tam skorzystała z telefonu, żeby zadzwonić do miasta. Odpowiedział jej głos Fern. - Tu przedsiębiorstwo Plum Granite. Nie możemy w tej chwili podejść do telefonu...

Dziwne, zadumała się i przez chwilę stała z rękami na biodrach i ze zmarszczką między brwiami. Wyszła z metalowego kontenera, odszukała brygadzystę, ale on nie widział Huntera od wczesnego rana.

Stale zerkając na zegarek, wsiadła do pathfindera i pojechała do Moss Ridge. Tam był Judd i jeżeli ktokolwiek wiedział co się dzieje, to tylko on.

Powtórzyła mu informację Margaret.

Przejechał ręką po czole, pozostawiając smugę kurzu. - Był tu przed chwilą, ale ktoś do niego zadzwonił i wyjechał. Nic nie mówił o spotkaniu w Ravine.

- Dziwne - powiedziała z zadumą. - Jestem przekonana, że dobrze zrozumiałam to, co powiedziała Margaret. Może to jej się coś pomyliło.

Zostawiła Judda, żeby wypatrywał Huntera na Moss Ridge, pojechała z powrotem do miasta, zaparkowała za budynkiem biura i poszła po Abby. Liz siedziała dokładnie w tym samym miejscu na skwerze, gdzie ją Chelsea zostawiła, ale nigdzie nie było widać wózka Abby.

Liz była zdziwiona, że ją widzi. - Hunter był tu przed chwilą. Powiedział, że chcesz, żeby ci przywieść Abby do Boulderbrook.

Chelsea poczuła przypływ niepokoju. - Nie rozmawiałam z Hunterem. Nie mogłam go znaleźć.

Liz zmarszczyła brwi i wzrokiem poszukała dwóch innych matek, które potakująco kiwały głowami. - Przyjechał tu samochodem Judda. Położył dziecko na siedzeniu, złożył wózek i odjechał. - Sama się wyraźnie zaniepokoiła. - Nie widziałam powodu, żeby kwestionować to, co mówił. Jesteście takimi bliskimi przyjaciółmi.

Chelsea zmusiła się do uśmiechu. - Nie przejmuj się, Liz. Jestem pewna, że istnieje jakieś wyjaśnienie. Pojadę teraz do domu i zobaczę, co wymyślił Hunter.

Wydawało jej się, że cały czas jedzie za wolno. Gdy chodziło o Abby, nie lubiła, jeżeli działy się dziwne rzeczy. Jeżeli to miał być dowcip, to Hunter naprawdę dostanie za swoje.

W Boulderbrook nie było śladu blazera. Wbiegła do środka, przebiegła przez wszystkie pokoje, wybiegła na zewnątrz i okrążyła dom. Nie było blazera. Nie było Huntera. Nie było Abby.

Wbiegła znów do środka, zatelefonowała do Moss Ridge, do Judda, i starając się mówić tak wolno i spokojnie, jak tylko była w stanie, opowiedziała mu, co się stało. Tylko pod koniec jej napięcie wyraziło się tym, że mówiła głosem cieńszym niż zwykle. - Chcę wiedzieć, dokąd on zabrał moją córkę!

Judd przeklął, ale poza tym był spokojny. - Nie martw się. Abby nic się nie stanie. Hunter nie pozwoliłby, żeby jej stała się krzywda.

- Dokąd mógł ją zabrać? - zapytała Chelsea. Czowała się tak, jak gdyby usunięto jej nagle coś ze środka i chociaż

mówiła sobie, że na tym też polega macierzyństwo, że powinna się przygotować i uodpornić, bo nadejdzie czas, kiedy nie będzie wiedziała, gdzie w danej chwili jest Abby, ale nic nie pomagało. Abby była niemowlęciem. Była całkowicie bezbronna, łatwo ją było skrzywdzić. Wkrótce będzie chciała jeść. Chelsea czuła, jak jej piersi wzbierają mlekiem.

- Zostań tam - poinstruował ją Judd. - Murphy sprawdzi wszystkie kamieniołomy. Ja pojedę do domu Huntera...

- Ja tam pojedę - przerwała mu Chelsea. - Zostawię mu wiadomość na wypadek, gdyby się pojawił, ale nie mogę usiedzieć spokojnie.

- Ja wykonam kilka telefonów. Jeżeli nie zastaniesz Huntera, to wracaj do domu. Przyjadę tam do ciebie za pół godziny.

Chelsea błyskawicznie wybiegła z domu. Za chwilę już mknęła do domu Huntera, a kiedy go tam nie znalazła, pomknęła do domu. Ale w Boulderbrook nikogo nie było. Oplotła ramiona wokół siebie, żeby powstrzymać napływ mleka i chodziła tam i z powrotem po ganku. Nie zauważała już słońca ani zapachu wiosny w powietrzu, ani śpiewu ptaków.

Chciała tylko Abby.

ROZDZIAŁ 24

W czasie, kiedy Abby powinna była spokojnie ssać pierś, Chelsea chodziła w panice po pokojach Boulderbrook. Judd był przy niej, telefonicznie poszukując Huntera. Nolań i jego zastępca poszukiwali go na drogach.

Tuż po pierwszej zjawia się Donna. - Odnajdą ją

- zamigala. - Hunter nigdy by nie pozwolił, żeby stała się jej krzywda. On ją też kocha.

- Tak myślałam - powiedziała Chelsea drżącym głosem - ale to wszystko nie ma sensu. Wie, że ją karmię piersią. Ona w tej chwili musi umierać z głodu. Musi być przemoczona na wylot. Musi wrzeszczeć. Dlaczego nie przywiózł jej z powrotem? A w ogóle po co ją zabierał? I to blazerem?

Byłoby podobne do niego, gdyby zabrał ją na przejażdżkę na motocyklu, ale motocykl został w Moss Ridge, a poza tym nie wie, jak zakładać nosidło na plecy i nie cierpi brać jej na ręce. Więc co robi?

- Szybko złapała powietrze. - A co jeżeli mieli wypadek? Wydział ruchu drogowego ich poszukuje.

- Wróć - zamigala Donna, tym razem bardzo zdecydowanie.

Chelsea uderzyło to, że Donna zyskała nową siłę. Pewnie ta siła rodziła się w niej powoli i zbyt wolno narastała, żeby to się do tej pory mogło rzucić w oczy. Gdzieś zniknęła pokorna kobieta, która tańczyła jak Matthew jej zagrał. Ta kobieta trzymała się prosto, ubierała bardziej elegancko i nosiła rozpuszczone kręcone włosy. W jej oczach pozostał jednak cień dawnego lęku, ale mimo to teraz pocieszała Chelsea.

- Jak ci się udało wyjść ze sklepu? - zapytała Chelsea trochę spokojniejszym tonem.

Donna uśmiechnęła się. Kiedy migala, jej ręce poruszały się śmiało. - Powiedziałam Matthew, że wychodzę.

- Protestował?

- I tak wyszłam.

- Będzie zły.

- Nie dbam o to. Chcę być tutaj z tobą.

Chelsea z każdą minutą była jej coraz bardziej wdzięczna, kiedy czas mijał, a ciągle nie było śladu Huntera ani Abby. Wczesnym przedpołudniem połowa miasta wyruszyła na poszukiwania. Robotnicy wyszli wcześniej z pracy, żeby pomóc, udając się w jednym kierunku, podczas gdy ich żony poszły w przeciwnym. Chelsea cały czas

była w pobliżu telefonu na wypadek, gdyby Hunter usiłował się z nią skontaktować. Nikt nie nazwał tego porwaniem. Nikt nie chciał uwierzyć, że Hunter byłby do tego zdolny. Jednak gdy czas płynął, było coraz więcej niezyczliwych komentarzy na temat Huntera, a Nolan, który przyjechał do domu na farmę, żeby odbyć burzę mózgów z Chelsea i Juddem, nie mógł ich zignorować.

- To on mógł zrobić te wszystkie pozostałe rzeczy - powiedział. Byli w kuchni razem z Donna, odizolowani od tłumu życzliwych przyjaciół w salonie. - Nie zrozum mnie źle. Bardzo lubię Huntera, ale nie da się zaprzeczyć, że zaginął razem z twoim dzieckiem.

- To niekoniecznie oznacza, że zamierzał zrobić coś złego - broniła go Chelsea. Palce miała splecione z palcami Judda. Brała od niego tyle spokojnej siły, ile tylko mogła. - To musi być jakieś niewinne nieporozumienie.

Nolan wyliczył argumenty, które świadczyły przeciwko jego niewinności. - Omal nie zostałeś przejechana przez zakładową ciężarówkę - a on cały czas jeździ zakładowymi ciężarówkami. Przecięto twoją linię telefoniczną - on zna się na elektryczności i nosi buty o rozmiarze dwunastym. Twój srebrny kluczyczek został ukradziony bez śladów włamania - on ma klucz do twojego domu. Twoja stodoła poszła z dymem - a on jest specjalistą od pożarów.

- Nie. Tylko raz coś podpalił. - Spojrzała błagalnie na Judda. - Nie widzę tu motywu. Nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego miałby zadzwonić do Margaret i wysłać mnie w pogoń za cieniem. Nie ma żadnego logicznego powodu, dla którego miałby uprowadzić Abby. Coś tu jest poplątane. - Zwracając się do Nolana, powiedziała: - A co mówi Margaret?

- Nic. Jest w Peterborough z wizytą u przyjaciółki. Oliver mówi, że wróci nie wcześniej niż za godzinę.

Chelsea, jeszcze bardziej zdenerwowana, krzyknęła. Nie chciała przeżyć jeszcze godziny bez Abby. - Coś musiało się stać. Nie ma logicznego powodu, dla którego Hunter trzymałby Abby tak długo.

Nolan znał powód. - W jego rodzinie istniały przypadki szaleństwa.

Donna gwałtownie zamachała ręką, zaprzeczając w tym samym czasie, kiedy Chelsea zawołała: - Hunter nie jest wariatem!

- On tu słyszał głosy dzieci.

- Wyobrażał to sobie. Te dzieci były jego towarzyszami zabaw. To ludzie z Notch potraktowali poważnie opowieści pięciolatka i uznali je za rzeczywistość. On tylko temu nie zaprzeczał.

Bliska łez zwróciła się do Judda. - Gdzie oni są? Łagodnie ujął jej twarz w obie dłonie i powiedział: - Nic złego jej się nie stanie.

- Chcę ją tu mieć.

- Wiem.

- Jeżeli coś jej się stanie, umrę.

- Nic jej się nie stanie.

- Ja umrę, Judd. Ona tyle dla mnie znaczy.

Jego oczy pociemniały ze zmartwienia, a Chelsea żałowała, że z jego twarzy zniknął spokój i że nie mówi nic o swoich uczuciach do Abby. Może to dodałoby jej trochę otuchy. Ale Judd był równie zrozpaczony jak Chelsea.

- Dlaczego nie dzwoni? Musi wiedzieć, że szaleję z niepokoju. Czy to jakaś gra? - Przyłożyła jedno ramię do piersi, ciężkich i bolesnych, a drugą dłoń włożyła we włosy. Łamała sobie głowę już od wielu godzin, usiłując przypomnieć sobie coś, co Hunter mógł do niej powiedzieć, kiedy dziś wcześniej rano się z nim widziała, albo coś, co ona mogła powiedzieć do niego. Wydawało jej się, że w żaden sposób go nie obraziła. Nie przypominała sobie, aby był zły. Zgadzała się ze sobą. Nie potrafiła sobie wyobrazić żadnego logicznego powodu, dla którego miałby okłamać Margaret, okłamać Liz Willis, a potem zniknąć z Abby.

- Ten chłopak to nic dobrego - oznajmił Oliver od drzwi.

Chelsea posłała mu rozzłoszczone spojrzenie. - Och, przestań tak mówić.

- Dałem mu, co miałem najlepszego. Jeden Bóg wie ile. Dałem mu tak wiele, jak tylko człowiek z moją pozycją był w stanie.

Już nie miała cierpliwości, więc ostro na niego napadła. - A może on potrzebował uczucia? A może zachęty? Może potrzebował potwierdzenia, kim jest? - Odwróciła się. Judd wyciągnął ramię, żeby ją uspokoić, ale ona nie była w stanie znieść samochwalczej przemowy Olivera.

- Przejdę się - powiedziała, oddychając z napięciem. Przeszła przez salon, weszła na schody, przespacerowała po pokojach na piętrze. Wyobrażała sobie, że otworzy drzwi i zobaczy, jak Hunter i Abby się bawią. Pokój dziecienny był rozpaczliwie pusty, podobnie jak inne pokoje. Sprawdziła nawet tajne przejście za kominkiem, prowadzące z garderoby do salonu, ale było puste, zresztą Chelsea dobrze wiedziała, że tak będzie. Gdyby Abby była gdziekolwiek w domu, już dawno dałaby znać o swojej obecności.

Chelsea jednak musiała coś zrobić. Nie mogła stać beczynn timer, kiedy dziecko było głodne, mokre i zmęczone, i być może ranne lub w niebezpieczeństwie. Wiedziała, że to głupie, ale nie miała nic lepszego do roboty, więc sprawdziła drugie tajne przejście, które odkrył Hunter

- składzik za spiżarnią kuchenną. Kiedy okazało się równie puste jak przejście za kominkiem, zeszła do piwnicy, po drodze zapalając światła, i otworzyła klapę w podłodze, prowadzącą do podziemnego tunelu. O ile widziała, on też był pusty - pusty, ciemny i przygnębiający.

Z bezradnym okrzykiem usiadła na skraju tunelu i zakryła rękami oczy. - Gdzie jesteś, dziecińo? Gdzie jesteś?

Jej głos odbił się echem w tunelu, stając się coraz bardziej odległy, ale kiedy powinien był już zniknąć, brzmiał dalej. Podniosła głowę i spojrzała w głąb tunelu. Tam były głosy. Słyszała je. Była tego pewna.

Z bijącym sercem wstała. Głosy. Nie echo jej słów. Inne głosy. Zanurkowała w tunelu. Były dwa głosy, jeden

głośny, drugi cichy, jeden męski, drugi kobiecy. Szła dalej na czworakach. Głosy były przytłumione, ale nawet odległość nie mogła zniwelować złości, którą było słycać w głosach dwojga mówiących. Wstrzymała oddech i słuchała.

- Czego, do cholery, ty się spodziewałaś...?

- To nie miało być tak...

- ...tunel, na miłość boską, dlatego przez całe lata był zamknięty...

- ...miało być wyjście...

- ...szalona starucha...

- ...nie moja wina...

- ...ty przez cały czas...

Chelsea cała drżała, niezdolna zrobić kroku ani w przód, ani w tył, sparaliżowana tymi głosami, dopóki nie usłyszała kolejnego dźwięku. Płaczu. Płaczu dziecka. To była Abby. Byłaby w stanie wszędzie rozpoznać płacz Abby. Wstrząśnięta, wyczołgała się na zewnątrz, wypadając z tunelu.

Wstała na równe nogi i biegła, wykrzykując imię Judda, zanim zdążyła dobiec do schodów. Była już nieomal na samej górze, kiedy przyszedł. Złapała go za ręce i ciągnęła na dół.

- Tam są głosy, Judd. Słyszałam głosy.

Zszedł tylko stopień w dół, po to, żeby objąć ją ramieniem. - Nie ma żadnych głosów, Chels. To była tylko wyobraźnia Huntera. Uwolniła się, znów złapała go za rękę i pociągnęła.

- Słyszałam je! Ty też je usłyszysz! Musisz pójść za mną!

- Tak silnie ciągnęła go za rękę, że miał wybór - albo zlecieć ze schodów, albo pójść za nią. - One nie są w tunelu, ale są gdzieś. - Bezlitośnie wlokła go za sobą.

- Słyszałam Abby, jak płakała. To była ona. Wiem.

- Przestała go ciągnąć, kiedy dotarli do klapy. - Wejdz

- szepnęła. - Chelsea...

Gramoliła się po klepisku na dnie tunelu, a potem usiadła, otoczyła ramionami kolana i słuchała.

- Chodź, kochanie - Judd namawiał ją, ale szedł za nią, dokładnie tak, jak przewidziała.
- Usiądź - szepnęła i przytknęła jego rękę do swojego serca. - Słuchaj. - Płacz dziecka był odległy, tak bardzo odległy. Rozdzierał ją. Zagryzła wargę, żeby samej się nie rozplakać.
- Odsuń się od niej! - wrzasnął daleki męski głos.
- Nie waż się położyć na niej ręki.

Ponad płaczem Abby słyhać było zawodzenie kobiecego głosu: - To nie miało być tak.

- Ja się nią zajmę. Ty stój tam, gdzie będę cię mógł widzieć. Nie zbliżaj się do nas.

Dziecko przestało płakać. Chelsea zaczerpnęła powietrza.

- To nie miało być tak.
- Tak. Tu miałem być tylko ja i ona.
- Wyszedłbyś stąd bez szwanku. Zapakowałam wszystko, czego potrzebowalibyście do przeżycia.
- Ale miałaś zamiar nas zamknąć. Jesteś wariatką! Kto w mieście mógłby uwierzyć, że to ja porwałam dziecko i odciąłem nas oboje od świata? Jak byłbym w stanie to wykonać? W jaki sposób mógłbym zażądać okupu, siedząc tutaj?
- To nie miało tak być.

Judd odwrócił się do Chelsea. Czują jak wibrują w nim emocje. - Hunter i Margaret?

- Gdzie oni są?

Podniósł jej dłoń do ust i w ciemności przycisnął ją zębami, podczas gdy odległe głosy nadal mówiły.

- Jak nas tu znajdują? - zapytała Margaret pokorniej.
- To cholernie dobre pytanie - odpowiedział Hunter
- bo świetnie zatarłaś ślady. Muszę ci to przyznać. Przekazałaś jej wiadomość, przekazałaś mnie wiadomość, doskonale udało ci się nami manipulować, bo nikt nie przypuszczał, że byłabyś do tego zdolna. Skąd dowiedziałaś się o tunelu?
- Ze starych gazet.
- A skąd, u diabła, wzięłaś pistolet?

- Nie chciałam nikogo skrzywdzić.
- Nikogo skrzywdzić? Co ty sobie wyobrażasz, staruszek? Porwanie jest krzywdą! Porwałaś dwoje ludzi, których życie jest teraz w niebezpieczeństwie, bo tunel się zapadł. Zapadł się. Tunel się zapadł. Żyli, ale byli w pułapce. Chelsea zaczęła się zastanawiać, o jaki tunel może chodzić. Były trzy sekretne przejścia. Tylko trzy. Zaczęła kwilić. Judd mocniej ścisnął jej rękę. Ból przywrócił jej nieco opanowania.
- Zapakowałam zapasy - broniła się Margaret. Hunter był pełen pogardy. - Odżywki dla dziecka i pampersy nie zdadzą się na wiele bez tlenu, bo tego wkrótce będzie nam najbardziej brakować.
- Jezu - powiedział Judd, a potem jeszcze głośniej: - Jezu!
- Chelsea szaleńczo rozglądała się wokół siebie. - Gdzie oni są?
- Judd zaczął wycofywać się z tunelu, ciągnąc ją za sobą. W podnieceniu powiedział: - Pamiętasz, kiedy ostatnim razem był pijany? Kiedy musiałem pojechać po niego do Crockera? Mówił o Katie Love, o tym, jak wsadzała go do dziury.
- Nie do dziury. Do komórki.
- Do dziury, powiedział. Powiedział, że była ciemna i długa, i wykopana w ziemi. Jeżeli Katie Love go tam wsadzała, to wejście musiało być w starej szopie.
- Ale szopa została spalona! - zawołała Chelsea.
- Nie fundamenty- powiedział Judd, idąc w kierunku schodów, a potem zatrzymał się, odwrócił i złapał Chelsea za ramiona. - Zostań tutaj. Ja zbiorę ekipę, a Nolan przygotowuje sprzęt. Przede wszystkim musimy dostarczyć tam tlen. Potem podeprzemy stemplami tunel i zaczniemy go odkopywać.
- Z której strony?
- Nie wiem, dopóki nie zobaczę, jak wygląda drugi koniec. Zostań tutaj, dobrze? Chcę, żebyś była bezpieczna.

- Ja chcę, żeby Abby była bezpieczna! - zawołała Chelsea, bo nagle wyobraziła sobie robaki, stare kości i brud na najśłodszym dziecku na świecie.

- Będzie bezpieczna - zapewnił ją Judd. - Wiemy, gdzie jest. Wiemy, że ma jedzenie. Wiemy, że ma Huntera. Wydobędziemy ich stamtąd. - Pocałował ją w usta i obdarzył niedźwiedzim uściskiem, zanim wbiegł do góry przeskakując po dwa schody.

Zdażył ledwie przejść przez drzwi, kiedy Chelsea wróciła do tunelu. Wpełzła do środka, usiadła i zaczęła się kołysać w przód i w tył, cały czas słuchając.

- Wiem, co masz mi za złe - mówił Hunter. - Zawsze chciałaś mieć syna, a to ci się nie udawało.

- Zawsze, kiedy byłam w ciąży z chłopcem, to miałam poronienie! Nie mogli przeżyć!

- A Katie urodziła mnie, i ja przeżyłem, a ciebie to rozwścieczyło.

- Powiedział mi, że wszystko załatwił! Powiedział mi, że odda dziecko, ale nie wiedział, że była was dwójka! Oddała jedno, dziewczynkę, i zatrzymała chłopca!

Serce Chelsea przestało bić. Przycisnęła do niego rękę. Znow zaczęło, tym razem dwa razy szybciej. Słysząc było niewyraźny szmer, a potem zapadła cisza. Chelsea przyłożyła dłonie do uszu, przez chwilę zastanawiając się absurdalnie, czy nie ogłuchła. Kiedy znow coś usłyszała, nie był to żaden z odległych głosów, ale odgłos poruszającego się człowieka, tuż po jej prawej stronie.

Podskoczyła. Szybko rozpoznała szczupłą sylwetkę Olivera i jego głowę z rzadkimi włosami, oświetloną piwniczną lampą. Z trudem gramolił się do tunelu i z chrząknięciem opadł na podłogę nie dalej niż jakieś trzydzieści centymetrów od niej.

- Słyszałeś, co ona powiedziała? - zapytała Chelsea wysokim, drżącym głosem.

- Słyszałem - powiedział.

- Czy to prawda?

- Chyba tak.

Przycisnęła mocniej rękę do serca, chcąc coś zrobić, żeby się uspokoiło. Biło nierównym rytmem, tłukąc się po klatce piersiowej, podobnie jak myśli tłukły jej się po głowie. Próbowwała przyswoić sobie to, co przed chwilą usłyszała. - Katie Love miała dwoje dzieci?

- Nikt o tym nie wiedział. Położna odeszła z pierwszym, a ona sama urodziła drugie. Pięć lat później zobaczyliśmy Huntera wędrującego drogą, znaleźliśmy martwą Katie, znaleźliśmy jej pamiątki i obrazki, które rysowała, i wiedzieliśmy.

- Kto wiedział?

- Ja. Mój prawnik. Położna. Wiedzieliśmy, że urodziła się dziewczynka i została oddana do adopcji, bo ją widzieliśmy. Potem zobaczyliśmy Huntera i wiedzieliśmy, że były bliźniaki.

Bliźniaki. Ona i Hunter. Zaczęła płakać.

- Margaret zupełnie się załamała - ciągnął dalej Oliver. - Cięża Katie Love była dla niej dostatecznie trudna. Myślała, że sprawa zostanie zakończona z porodem. Potem pokazał się Hunter i nie mogłem go zupełnie zignorować, bo był moim synem, ale nie mogłem tego oznajmić światu, bo to by ją zabiło. Od tego czasu nie była sobą. Próbowalem jej to wynagrodzić, ale mi się nie udawało. Przysięgam, nigdy nie sądziłem, że byłaby zdolna zrobić coś takiego.

Chelsea cicho łkała, kołysząc się na piętach i mocno obejmując rękami łydki.

- Od razu, kiedy zadzwoniłaś, żeby się ze mną umówić, wiedziałem, kim jesteś - powiedział Oliver. - Wiedziałem, że zostałeś zaadoptowana przez rodzinę o nazwisku Kane i że dali ci na imię Chelsea. Nie ma zbyt wielu osób na świecie, które się tak nazywają, a wśród nich jest jeszcze mniej takich, które odnajdą drogę do Norwich Notch. Potem, kiedy cię zobaczyłem, byłem podwójnie pewien. Macie taki sam wyraz twarzy. Nosy są trochę różne i podbródki, ale macie takie same oczy i usta.

Chelsea przypomniła sobie, jak po raz pierwszy przyjechała do miasteczka i zastanawiała się, czy zostanie rozpoznana na ulicy.

- Dlaczego inni ludzie nie zauważyli?

- Nie patrzyli tak jak ja. - Wydał dźwięk oznaczający niezadowolenie. - Nie rozumiem, dlaczego Katie kiedykolwiek wyszła za takiego łajdaka jak Henry Love. Przez te wszystkie lata niczego dla niej nie zrobił. Lepiej jej było bez niego.

- Lepiej? - zawołała Chelsea łamiącym się głosem. - Przez ciebie zaszła w ciążę, a potem ją porzuciłeś. Pozwoliłeś, żeby miasto ją traktowało jak wyrzutka.

- Nie miałem wyboru. W ogóle nie miałem wyboru. Kochałem Katie, ale Margaret była moją żoną. To o niej musiałem myśleć i o moich córkach.

- I o twojej pozycji w mieście.

- O tym też, i nie wyśmiewaj się z tego, panienko, bo takie rzeczy mają znaczenie.

- Ale skoro wiedziałeś, kim jestem, dlaczego zgodziłeś się na mój przyjazd tutaj? Dlaczego pozwoliłeś mi się zaangażować w twoje przedsiębiorstwo?

- Tu też nie miałem wyboru. Przedsiębiorstwo upadało. Nikt inny nie oferował pomocy, żeby znów postawić je na nogi.

- O Boże - ciężko oddychała Chelsea. Przyłożyła pięści do skroni. Zbyt wiele dowiadywała się w zbyt krótkim czasie. Poprzez ścianę ziemi słyszała zawodzenie, które rozrywało jej wnętrzności, więc w odpowiedzi też zaczęła płakać. W tym samym czasie w piwnicy zaczął się ruch. Przybył Nolan i jego ludzie.

- Wynoś się stąd, Oliver - rozkazał Nolan. Wyciągnął rękę. - Chodź, Chelsea. Musimy wywiercić otwór, żeby dostarczyć trochę powietrza. Judd jest na drugim końcu. Zaczynają łopatami.

Chelsea wzięła jego rękę i wyszła do oświetlonej piwnicy. Otarła łzy, które płynęły jej po policzkach, chwilowo odsuwając od siebie wszystko, czego się dowiedziała. Jedyna rzecz, która teraz się liczyła, to ocalenie jej

maleństwa. I ocalenie Huntera. Jej brata bliźniaka. Jej oczy znów wypełniły się łzami. W zmartwieniu powiedziała: - Jeden koniec tunelu już tapnął. Co będzie, jeżeli całość polecą? .,

- Nie polecą. Kiedy już uda nam się wprowadzić rurę dostarczającą powietrze, zatrzymamy Huntera i dziecko na tym końcu, a oni będą pracować na przeciwnym. W miarę postępu robót będą podpierać tunel stemplami. Zaufaj im, Chelsea. Oni wiedzą, co robią.

Judd wiedział z całą pewnością. Chelsea wiedziała, że on nie dopuści, aby cokolwiek stało się dziecku. Przypuszczała, że raczej poświęciłby siebie - choć ta myśl nie przyniosła jej ulgi. Gdyby cokolwiek mu się stało, umarłaby tak samo, jak gdyby coś się stało Abby, tak mocno go kochała.

Tak, kochała go bardzo. Nie przyjechała do Notch w poszukiwaniu miłości, ale znalazła ją w Juddzie. Kiedyś mogła przypisać swoje uczucia nieprawdopodobnemu wprost doborowi seksualnemu, ale teraz było w tym o wiele więcej. Podobał jej się sposób, w jaki zarządzał robotnikami w kamieniołomach, podobał jej się sposób, w jaki negocjował z klientami, podobał jej się sposób, w jaki układał Abby na zgiętym ramieniu i karmił ją tartym jabłkiem, podobał jej się sposób, w jaki leżał w nocy obok Chelsea, obejmując ją ramieniem, oddychając w jej włosach, i jak pozwalał zaginać sobie uszy. Judd Streeter nie był ślepym trafem. Był kompetentny i inteligentny, wrażliwy i czuły. Był wszystkim, czego w życiu mogła oczekiwać od mężczyzny. Wszystkim.

Jakieś ramię ją objęło. To Donna oferowała jej pocieszenie - Donna, z którą Chelsea od początku znalazła wspólny język; Donna, siostra, którą zawsze chciała mieć, ale wcześniej jej nie znała; Donna, która podobnie jak Judd była cennym darem niebios.

Stały razem, wpatrując się w tunel. Kiedy podszedł do nich Nolan, Chelsea zapytała: - Czy oni wiedzą, że jesteśmy tutaj?

- Hunter wie. Margaret dostała słowotoku. On usiłuje ją uciszyć. - Przepraszająco położył dłoń na karku Donny. - Myślę, że całkiem jej się pomieszało w głowie.

Donna uścisnęła jego rękę. Głosem zniekształconym emocjami powiedziała: - Potrzebuje specjalistycznej pomocy. Już od jakiegoś czasu.

Dla Chelsea niektóre rzeczy zaczęły mieć sens. Margaret mogła wykonywać nocne telefony. Mogła podpalić stodołę. Potrafiła prowadzić zakładowe ciężarówki i miała łatwy dostęp do jednej z nich, nawet nie zbliżając się do Moss Ridge. Podobnie miała dostęp do roboczych butów Olivera o numerze dwanaście i do narzędzi, którymi mogła przeciąć linię telefoniczną, a Chelsea przypuszczała, że umiała to zrobić.

Margaret była twarda jak stal, gdy w grę wchodziła nienawiść.

Potem przyszło jej do głowy. - Herbata. Wsypała mi coś do herbaty. Wylała ją, podała mi nową filiżankę i coś do niej musiała wsypać. Dlatego byłam tak strasznie chora. - Uderzyła ją jeszcze inna myśl. - Byłam wtedy w ciąży i coś mogło stać się dziecku. Jak ona mogła?

Ale mogła. Kierowały nią demony, które prawdopodobnie nawiedzały ją od lat, co wcale nie poprawiało samopoczucia Chelsea w obecnej sytuacji.

- Dlaczego to tak długo trwa? - zapytała Nolana.

- Są ostrożni. Ziemia była stabilna przez długi czas, ale biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się w drugim końcu, nie podejmują najmniejszego ryzyka.

- Jak gruba jest ściana, w której wiercą?

- Metr pięćdziesiąt, może metr osiemdziesiąt.

- Czy istnieje możliwość, że te dwa tunele nie są połączone?

- Niewielka. Zbiegli niewolnicy próbowali uniknąć przedstawicieli prawa. Potrzebowali sposobu, żeby uciec z domu nie ryzykując pochwycenia. Sensownym rozwiązaniem było przejście pod ziemią stąd do szopy, a potem dalej w las.

Po kilku minutach z tunelu rozległ się okrzyk oznaczający, że rura doprowadzająca powietrze została wpuszczona. Świadomość, że Hunterowi i Abby już nie grozi uduszenie, przyniosło Chelsea nieco ulgi, ale rozpaczliwie chciała wiedzieć, co się dzieje. Trzęsąc się weszła do tunelu. Żeby się utrzymać na nogach, musiała chwycić ramię, bark czy rękę osoby, która szła przed nią. Na końcu tunelu, w tej chwili oświetlonym przenośnym halogenem, wrzasnęła do rury: - Hunter?

- Słyszę cię! - odkrzyknął Hunter. - Ona ma się dobrze, Chelsea. Nie za bardzo smakowało jej mleko z butelki, ale kiedy dostatecznie zgłodniała, to wypila. Teraz śpi na moim ramieniu.

Chelsea nie wiedziała, czy ma się śmiać, czy płakać. Położyła dłoń na czole i po trochu robiła jedno i drugie.

Nolan wczuł się do środka. - Co robi Margaret? - zawołał do Huntera.

Głos Huntera stał się twardszy. - Jest tutaj. Chryste, ona mnie chciała wrobić w porwanie, tak bardzo się chciała mnie pozbyć. Nie przemyślała tego do końca, ale wydawało jej się, że miasteczko oceni mnie jak najgorzej. Wydawało jej się też, że ja pójdę do więzienia, a Chelsea przeżyje tak silny uraz, że na dobre ucieknie do Baltimore.

Chelsea pochyliła się nad rurą. - Dlaczego mi nie powiedziałeś, Hunter? Już od jakiegoś czasu wiedziałeś o mnie, o nas, prawda? - Znow wszystko zaczęło mieć sens - jego zniknięcie po tym, jak zobaczył jej prawo jazdy, to, że jej pokazał rysunki Katie, częste odwiedziny, szczególnie po tym, jak Abby przyszła na świat. I jeszcze kluczyk - zastanawiała się, co Hunter wie o kluczyku, czego nie chciał jej powiedzieć.

Właśnie miała zamiar go zapytać, kiedy zawołał: - Już słyszę kilofy na drugim końcu!

- Zostań w miejscu! - powiedział mu Nolan. - Poczekaj, aż będzie całkiem bezpiecznie.

Chelsea nie miała zamiaru czekać, a przynajmniej nie tutaj. Przepęłniało ją pragnienie, żeby wziąć dziecko

w ramiona. Chciała to zrobić, jak tylko zjawi się w świetle dziennym.

Był już zmierzch, kiedy razem z Donna przebiegły przez łąkę za domem na farmie. Minęły miejsce, gdzie kiedyś stała stara stodoła, i przeszły przez pole do punktu, gdzie byli zgromadzeni mężczyźni i pojazdy. Resztki fundamentów starej szopy zostały rozebrane i odsłoniły wielką dziurę w ziemi, której jeden koniec zwężał się w tunel. Wszystkie halogeny były tam skierowane, ale Chelsea niczego nie widziała.

Wśliznęła się do dziury. Murphy zatrzymał ją przy wejściu do tunelu. - Tam nie jest bezpiecznie. Nie dodawaj mu kolejnego zmartwienia.

- Chcę ją zobaczyć - błagała Chelsea.

- Wydobędzie ją szybciej, jeżeli nikt mu w tym nie będzie przeszkadzać.

Czekała więc. Zagryzła dolną wargę, potem zaczęła obgryzać paznokcie kciuka. Wychylała się do przodu, żeby zobaczyć, co się dzieje, a potem znów cofała. Skrzyżowała ręce na piersiach, żeby powstrzymać przyływ mleka. Oparła się na Donnie, która chętnie służyła jej pomocą.

Omam nie krzyczała z frustracji, kiedy usłyszała jak Buck szczeka, a potem doszły ją krzyki z wnętrza tunelu. Poszła tak daleko, jak Murphy jej pozwolił, i przykryła usta dłonią, kiedy płacz Abby stawał się coraz głośniejszy, ale wiedziała, że nadchodzą, że są coraz bliżej, a potem pojawił się Judd, trzymając maleństwo bezpiecznie w ramionach. Był bardzo blady, miał twarz pobrudzoną ziemią, ale z triumfalnym uśmiechem podał Abby w ramiona Chelsea, która przytuliła ją, potem pocałowała i znów przytuliła. Jej włosy sterczały pod dziwnymi kątami, jej kombinezon był źle zapięty, była bardzo mokra i bardzo brudna, ale ciepłutka i żywa. Chelsea poczuła się tak, jakby się na nowo urodziła.

- Obudziła się i przestraszyła całego tego zamieszania - wyjaśnił Judd, ale płacz już ustał, przynajmniej płacz

Abby. Chelsea nie była równie odporna. Płakała i ścisnęła Judda, płakała i ścisnęła przyzwalającego Huntera, płakała i ścisnęła Donnę, i pomiędzy każdym z nich płakała i przytulała Abby, która teraz w ramionach matki szeroko otwartymi oczami obserwowała wydarzenia.

Gdzieś pomiędzy płaczem a uściskami Chelsea była świadoma, że Margaret jest wyprowadzana. Oliver trzymał ją pod rękę. Donna przyłączyła się do nich. Patrząc ponad brudną główką Abby, Chelsea usiłowała poczuć nienawiść, ale nie była w stanie. Margaret była stara i przegrana.

Potrzebowała specjalistycznej pomocy.

Hunter pojechał do domu, żeby wziąć prysznic, ale obiecał Chelsea, że wróci. Mimo że Judd wolalby być sam ze swoimi kobietami, rozumiał potrzebę Chelsea. Dopiero co się dowiedziała, że ma brata, i to brata bliźniaka. Doprawdy, miała prawo czuć w głowie zamęt.

Wzięli Abby do domu na farmie, gdzie przywitały ją brawa i dziesiątki ramion, chętnych wziąć ją w objęcia. Były triumfalne uśmiechy i liczne podziękowania, a w końcu wszyscy odeszli i zapanowała rozkoszna cisza.

Weszli do głównej łazienki, do wanny, której Hunter tak się czepiał, napełnili ją wodą i zrzucając brudne ubrania, weszli tam we troje. Robili już to przedtem, ale był to pierwszy raz po urodzeniu Abby. Kiedy Judd zmył z siebie brud i dzięki ciepłej, czystej wodzie pozbył się napięcia, usadowił Chelsea wygodnie przed sobą, a ona przyłożyła dziecko do piersi.

Wydała długie, pełne zadowolenia westchnienie.

Judd czuł takie samo zadowolenie jak ona, czuł je głębiej niż kiedykolwiek. Było tak, jak gdyby w apogeum lęku o Abby pękła jakaś bariera, i teraz uczucia mogły docierać do miejsc, gdzie nigdy przedtem ich nie było. Zrozumiał, czego chce w życiu. Nie będzie ani trochę szczęśliwszy w Denver, ani w San Francisco, ani w Honolulu i nie będzie szczęśliwszy, nie mógłby być szczęśliwszy z inną kobietą. Wyczuł, że Chelsea o tym wie. Co

więcej, wyczuł, że odwzajemnia to uczucie, co oznacza, że nigdy go nie opuści, tak jak Emma opuściła Leo

- a z Janiną nie było tu żadnego porównania. Odgarnął wilgotne kosmyki włosów z jej czoła i szyi i pogłaskał pierś. Abby miała na wpół zamknięte oczy, a jej maleńkie paluszki otwierały się i zamykały na nabrzmiałej piersi Chelsea. Judd dotknął jej leciutko, a ona chwyciła go za palec.

- Czy ona nie jest piękna? - wyszeptała Chelsea. Judd pocałował skroń Chelsea.

Odrzuciła w tył głowę i odwzajemniła jego spojrzenie.

- Ona jest piękna, ty jesteś piękny, to jest piękne. Nie chcę, żeby to się kończyło. Nigdy. Nigdy nie chcę cię stracić, podobnie jak nie chciałabym stracić jej. Nie wyjeżdżam stąd, Judd. Niezależnie od tego, co się zdarzy w przyszłym miesiącu, ja stąd nie wyjeżdżam. Słyszysz?

Uśmiechnął się. - Nie mogłem nie słyszeć. Wrzeszczałaś.

- A ty stąd wyjeżdżasz?

- Nie mogę. Mam tu zbyt wiele do roboty.

- Czy ta praca cię nie nudzi?

- Praca jest dobra.

- Nie chcesz mieszkać gdzieś indziej?

Udawał, że się nad tym zastanawia, a potem wzruszył ramionami. - Może mógłbym spędzić trochę czasu w Baltimore. Może trochę w Newport. Ale nie wiem, czy życie byłoby takie samo, gdybym nie miał tego domu, do którego zawsze mógłbym wrócić.

Wtedy go pocałowała i kiedy już kończyli, kiedy siedzieli tak przytuleni, patrząc na dorosłe ciała i na niemowlęce ciało, na wypukłości i wklęsłości, dołeczki, piegi i włosy, które je od siebie odróżniały, Judd wiedział, że nie spocznie, dopóki jego kobiety nie będą nosić jego nazwiska. Chelsea Kane Streeter. Abigail Kane Streeter. Och, da Chelsea trochę czasu, żeby powiedziała „tak”, a jeżeli będzie się wahać, to wezwie posiłki. Donna będzie ją namawiać. Hunter będzie ją namawiać. Każdy mężczyzna na liście płac Plum Granite, który ceni swoją

pracę, będzie ją namawiać. Judd był nawet gotów pójść o zakład, że Kevin będzie ją namawiać.

Tak. To już było postanowione. Był zadowolony.

Kiedy Hunter wrócił, było już po jedenastej. Była z nim Donna. Żadne z nich nie przejmowało się godziną ani trochę bardziej niż Chelsea i Judd.

Donna nie chciała jednak usiąść. Nie chciała zostać długo. - Przeprowadzam się do dużego domu - zamigłała. - Tata zabiera mamę na kurację do ośrodka dla psychicznie chorych. Zgodził się, żebym tam zamieszkała z Joshiem podczas ich nieobecności.

- Z Matthew? - zapytała Chelsea.

- Bez.

Chelsea pomyślała o Nolandzie i westchnęła. - Nareszcie.

Donna przytaknęła. Uściskała Chelsea i zrobiła to w taki sposób, że coś oznajmiło Chelsea, iż dowiedziała się, że są przyrodnimi siostrami. Było wiele do powiedzenia, ale trzeba to było odłożyć na później.

- Przyjdiesz jutro rano na śniadanie? - zamigła Chelsea.

Donna przytaknęła. Potem zwróciła się do Huntera i powiedziała głośno: - Postępowałam równie źle, jak moja matka. Wiedziałam, kim jesteś. Powinnam była coś powiedzieć.

Ale Hunter potrząsnął głową. Wybaczył jej. - Nie mogłaś. Nie, kiedy mieszkałaś razem z nimi.

Dotknęła jego ramienia i uśmiechnęła się w podzięcie.

Hunter patrzył za nią, kiedy odchodziła, a w tym czasie Chelsea patrzyła na niego. Fascynował ją.

Czarny strój, kasztanowe włosy i kolczyk w uchu - to wszystko ją fascynowało. Fascynował ją fakt, że jest jej bratem. Od początku go lubiła, lubiła jego niekonwencjonalność i śmiałość. Zastanawiała się nad dziewięcioma miesiącami, które spędzili razem, zastanawiała się nad okresem dojrzewania, kiedy często ogarniało ją uczucie dojmującej straty, i zastanawiała się, czy to nie miało coś wspólnego z utratą Huntera w dzieciństwie.

Kiedy przyłapał ją, jak się w niego wpatruje, uśmiechnęła się. - Bliźnięta. W najśmielszych marzeniach nie potrafiłabym tego wymyślić. Tak trudno w to uwierzyć.

- Nie tak trudno - powiedział Judd, siadając na kuchennym krześle. - Pod wieloma względami jesteście bardzo podobni.

- Ale dlaczego ja tego nie widziałam?

- Poszukiwałaś czegoś innego.

Podeszła do niego, wkładając rękę w wycięcie jego swetra w poszukiwaniu ciepła jego skóry, ale zwróciła się do Huntera. - Czy Katie kiedykolwiek ci powiedziała, że jesteś jednym z bliźniąt?

- Nie. Miała swoje sekrety. Ja byłem sekretem, ale były też inne. Często mówiła o małej dziewczynce. Wydawało mi się, że mam starszą siostrę. Dopóki ty mnie nie naprowadziłaś na ślad, dopóki nie wiedziałem, że urodziłaś się tu tego samego dnia co ja, a potem zostałaś adoptowana, nie domyślałem się. A jeszcze oprócz tego był klucz.

Chelsea wyjęła go spod koszulki i gładziła palcami srebrne wygięcia. - Czy on należał do ciebie?

- To klucz do pozytywki, która należała do Katie. Dostała go od Olivera, który ją dostał od Zee, a ten przywiózł ją z Włoch.

- Jak zegar na ścianie w jego zakładzie.

- Tak. - Wpatrzył się w podłogę, wycofując się do świata wspomnień. - Uwielbiałem tę pozytywkę. Godzinami siedziałem nakręcając ją, patrząc jak poruszają się figurynki, słuchając muzyki, dopóki się nie skończyła, i znów nakręcając ją od nowa. Nie pozwalała mi się nią bawić przez cały czas. Była tylko na specjalne okazje. Ale kochałem ją, strasznie ją kochałem. Była dla mnie symbolem - poszukiwał odpowiedniego słowa - chyba wolności. Reprezentowała świat poza moim zasięgiem. Męczyłem ją, żeby pozwoliła mi się nią bawić, naprawdę ją męczyłem, dostawałem wściekłych ataków złości. - Wziął głęboki oddech i ze smutkiem wypuścił powietrze. - No i tak to się skończyło.

- Co? - szepnęła Chelsea.

Spojrzał jej w oczy. - Jeden z moich ataków złości tak ją rozwścieczył, że sama dostała ataku złości i uciekła z kluczykiem do miasta. Nigdy go już nie zobaczyłem, dopóki tutaj nie przyjechałaś.

- Ale dlaczego to zrobiła? - zapytała Chelsea. Potrzeba jej było jeszcze czasu, żeby w pełni oswoiła się z myślą, że Katie była również jej matką. Nadal czuła do niej dystans, a teraz - w imieniu Huntera - złość.

- Powiedziała, że nie zasługuję na to, żeby bawić się pozytywką. Powiedziała, że chce, żeby „ona” też coś miała i że sprawiedliwe będzie, jeżeli ja będę miał pozytywkę, to żeby „ona” miała kluczyk. Od tego czasu pozytywka należała do mnie.

- Ale bez kluczyka nie mogłeś się nią bawić.

- Prawda. - Oparł się o blat stołu, skrzyżował nogi w kostkach i włożył dłonie pod pachy. - Wtedy naprawdę zacząłem szaleć. Dostałem napadu złości, który trwał całymi dniami. Odmawiałem jedzenia. Odmawiałem mówienia. Odmawiałem pisania i czytania, i jakiegokolwiek rzeczy, której mnie nauczyła. - Spojrzał w bok. - Wtedy wpadła w depresję. Co prawda, zawsze była trochę zwariowana. Prowadziła rozmowy sama ze sobą. Myślałem, że to normalne. Ale kiedy wpadła w depresję, mówiła do siebie bez przerwy, kołysząc się na krześle i wpatrując we mnie. Myślała, że doznałem jakichś zaburzeń i winiła za to siebie.

Chelsea przysunęła się do Judda. Przycisnęła jego rękę, kiedy objął ją w pasie. - Czy twierdzisz, że popełniła samobójstwo? "

- Nie. - Wyglądał na zrezygnowanego. - Mówię, że w tym momencie się poddała. Wpadła w rodzaj transu, bez przerwy coś mamrotała do siebie. Wstała z krzesła, podwinęła jej się noga, upadła uderzając głową o kant stołu i było po niej.

- Och, Hunter - westchnęła Chelsea. To jemu serdecznie współczuła, a nie Katie. On był tylko dzieckiem, całkiem nieprzystosowanym do życia w prawdziwym świecie.

Odeszła od Judda, podeszła do niego i chwyciła jego ręce skrzyżowane na piersi. - Tak mi przykro, że musiałeś sam przez to przejść.

Wzruszył ramionami. - Jakoś udało mi się przeżyć. Powiedziałem ci kiedyś, że nie było to takie złe. Ona mnie bardzo kochała. - Przerwał. - Przez cały czas mnie rysowała. Niektóre z wczesnych rysunków są takie jak Abby. Pokażę ci je kiedyś. I jej kołdry. Są w skrzyni z rysunkami, tymi samymi, nad którymi płakałaś.

Chelsea omal znów się nie rozplakała, kiedy powiedział wruszająco: - Nigdy nie pozwoliłbym, żeby coś przytrafiło się Abby. Ona też jest z mojej krwi i kości.

Chelsea uśmiechnęła się i przytaknęła. Miała ściśnięte gardło.

On odchrząknął. - A teraz, kiedy już wiesz, że jest twoim ojcem, co masz zamiar z tym zrobić?

Nie zastanawiała się nad tym wśród emocji tego wieczoru. - Nie wiem - powiedziała, rozważając możliwości. - Pewnie nic. Może pojedę odwiedzić mojego prawdziwego ojca. - Spodobał jej się ten pomysł. Pojedzie do domu i spotka się z Kevinem. Zaprezentuje Abby jej dziadkowi i może, jeżeli nadarzy się okazja, Carlowi. Chciała, żeby Kevin zaprzyjaźnił się z Juddem i poznał Huntera. Prawdopodobnie będą się nie znosić, dlatego że Hunter był ucieleśnieniem tej szalonej strony w Chelsea. Ale i tak chciała, żeby się poznali. A potem przyszła jej do głowy myśl, która znów przywołała łzy do oczu.

- Co? - zapytał Hunter.

- Zastanawiałam się właśnie, co by było, gdyby mama i tata zaadoptowali nas oboje. Gdybyśmy razem dorastali. Miałbyś łatwiejsze życie.

- Ale wtedy nie miałbym Katie. Brakowałoby mi tego. Nie miałbym jej rysunków i jej kołder. Nie miałbym wspomnień, jak czytała mi bajki. - Uśmiechnął się krzywo. - Nie byłbym tak szalony. Czy byłbym wtedy równie pociągający?

Chelsea roześmiała się.

Poważnym tonem dodał: - I nie miałbym wtedy pozytywki.

- Gdzie teraz jest? - wyszeptała.

- U mnie - odpowiedział też szeptem.

- Mogę ją zobaczyć?

- Teraz?

Przytaknęła. Tak długo już czekała. - Ja mam kluczyk. Czy po tylu latach nie chcesz go znów użyć? - Ledwie pytanie zwisło w powietrzu, kiedy przypomniała sobie, że go używał. Wciągnęła powietrze i wypuściła z oskar-życielskim: - Ty!

Skrzywił usta w swój nonszalancki sposób - uroczy, kiedy się nad tym zastanowiła. - Ty i ten wielki facet wyjechaliście na weekend do Newport - powiedział.

- Pomyślałem, że sprawiedliwości stanie się zadość, jeżeli ja się też trochę zabawię.

- Więc to ty ukradłeś kluczyk.

- Pożyczyłem go.

- Więc dlaczego go nie zatrzymałeś? Nigdy bym się nie dowiedziała.

- Ona chciała, żeby należał do ciebie. Był twój. Poza tym słuchanie pozytywki teraz to nie to samo co kiedyś. To ładna pozytywka, ale lepiej mi się słucha muzyki na stereo. Czuję się bardziej wolny niż wtedy. Widziałem już trochę świata. Nie zrozum mnie źle

- nadal cieszę się, że mam tę pozytywkę, ale nie z powodu muzyki. Była prezentem od mojego ojca dla mojej matki.

Chelsea nie przypuszczała, że Hunter może być sentymetalny, ale również nie przypuszczała, że może być jej bratem, co wskazywało, jak znakomitą ma intuicję.

- Przywiesz mi pozytywkę? - zapytała znów. Hunter posłał Juddowi spojrzenie, które Chelsea bez trudu odczytała.

- Nie martw się - powiedziała z uśmiechem. - Później dostanie to, co mu się należy. Teraz mamy czas dla siebie. Jedź już, proszę.

Judd musiał przyznać, że po raz drugi tego wieczoru poczuł się nieco rozdrażniony. Miał za sobą piekielny dzień, zrozumiał wiele spraw i podjął życiowe decyzje, trzymał nagie ciało Chelsea Kane przy swoim, kiedy ona karmiła piersią swoje dziecko, co dla każdego mężczyzny było najbardziej erotycznym widokiem i chciał „tego, co mu się należy”, jak to treściwie ujęła, teraz, zaraz.

Ale Hunter był szybki na swoim motocyklu, pięć minut w jedną stronę, pięć minut w drugą, a potem Abby obudziła się i chciała się bawić. Po przeżyciach, jakie miała tego dnia, niezależnie czy je pamiętała, czy nie, nikt nie miał serca, aby zasnąć z płaczem, a już najmniej Judd.

A potem nic już nie miało znaczenia, bo to, co się wydarzyło, było jedną z tych niepowtarzalnych rzeczy w życiu, tych obrazów zakodowanych w pamięci, oprawionych i zatrzymanych dla potomności. Kiedy Chelsea trzymała Abby na kolanach, Hunter wyjął pozytywkę. Podobnie jak klucz, była ze srebra, w kształcie półksiężyca. Jej wieczko po podniesieniu tworzyło baldachim dla miniaturowej orkiestry, która składała się z dyrygenta, skrzypka, wiolonczelisty, puzonisty i harfisty. Chelsea zdjęła z szyi kluczyk i podała go Hunterowi, który nakręcił pozytywkę. A potem figurynki zaczęły się poruszać, każda w sposób zgodny ze swoją rolą, a jakaś urocza symfonia unosiła się pomiędzy nimi w powietrzu. Chelsea wstrzymała oddech. Judd wyczuwał jej zachwyt. Abby pomachała rączką, którą Hunter złapał i trzymał tak delikatnie, że Judd się wzruszył.

Czy czuł się pominięty? W żaden sposób. Miał najlepsze miejsce w domu, żeby podziwiać portret rodzinny. Było na tym portrecie miejsce i dla niego, ale trochę później. Mógł poczekać. Na dobre rzeczy zawsze mógł poczekać.